


# MARCIN MELLER

## MIĘDZY WARIATAMI

opowieści terenowo-przygodowe

 WIELKA LITERA

MARCIN  
MELLER

MIĘDZY WARIATAMI

opowiesci terenowo-przygodowe

 WIELKA LITERA



MARCIN  
**MELLER**  
**MIĘDZY WARIATAMI**  
opowieści terenowo-przygodowe

Dla Ani, która zna te historie na pamięć,  
i dla Gucia, który będzie musiał ich  
wysłuchiwać. Bez Was nic.

## **Co to za książka?**

„Nagrody raczej za nią żadnej nie dostanę, ale będzie się dobrze czytać w pociągu, łóżku i na plaży” – tak w pierwszym zdaniu przedstawiłem koncept *Między wariatami* Pawłowi Szwedowi, szefowi wydawnictwa Wielka Litera, a on chyba jeszcze oszołomiony nagrodą dla wydawcy roku, którą otrzymał na Warszawskich Targach Książki, od razu się zgodził.

Znaczy powiedział, że wyda.

Cóż to więc za książka? Składają się na nią trzy rodzaje tekstów i opowieści.

Po pierwsze: reportaże z lat 90. Od chuligańskiej wyprawy z „pseudokibicami” Legii do

Göteborga, przez Wojnę Ducha Świętego w Ugandzie, rock’n’roll na serbskich czołgach

w byłej Jugosławii, seks w Iranie, świat prostych męskich wartości polskich ochroniarzy, nominowaną do nagród przypowieść o zasranej – w sensie: pokrytej kałem – Polsce, po odę do barów mlecznych i przygodowe historie

z warszawskiego Festiwalu Młodzieży z  
1955

roku. Podstawowym kryterium doboru  
było to, czy te historie dobrze się czyta  
po latach.

Z żalem odrzuciłem parę ulubionych  
reportaży, ale utonęły już w odmętach  
zapomnianych

zdarzeń i kontekstów. Te, które Państwu  
proponuję do lektury, zasługują według  
mnie na żywot dłuższy niż tygodniowy  
czy ile tam żyje tekst z gazety. Nawet w  
czasach internetu.

Zwłaszcza w czasach internetu.

Po drugie: ulubione felietony z ostatnich lat.

Po trzecie: napisane latem 2013 opowieści od dziennikarskiej kuchni. Niekiedy jak

w przypadku dopisku do reportażu *Przyjechała planeta mała* o wyjeździe do Göteborga, historia A.D. 2013 jest dłuższa od właściwego tekstu. To dygresyjne gawędy o tym, czego w reportażach się nie pisze: jak bez dokumentów i zgód przekroczyć linię frontu? Jak rozliczać delegacje ze stref wojny, gdzie nikt faktury VAT nie wystawia? Co robiłem

w mundurze majora polskiego batalionu



w byłej Jugosławii i dlaczego miałem  
jęczeć

w karetce? Dlaczego mnie wzięli za  
asystenta generała? Dlaczego nie  
rozliczyli mi

kartonu wódki? Jak kłamać przed  
urzędnikami satrapów i się w tych  
kłamstwach nie

pogubić? Ale też opowieści o moim  
liceum, przyjaciółach i dlaczego w  
sumie zostałem

dziennikarzem. Anegdoty zacne, mam  
nadzieję zabawne, pouczające, głupie i  
błaha, ale

moje. A że to moja książka, to nikt mi ich nie wytnie.

Świadomie zdecydowałem się na połączenie tych trzech form. Są jak koła zębate; mają

się wzajemnie napędzać. Opowieść *Serce zdrajcy* o południowoafrykańskim dziennikarzu Rianie Malanie, którą napisałem na podstawie jego autobiografii i opublikowałem w 1995

roku, tłumaczy wiele z tego, co piszę w felietonach w 2013. Dlatego znajduje się obok

nich.

Tak naprawdę wszystkie teksty, które  
kładę przed Państwem, opowiadają  
jedną

i bardzo prostą historię: jak żyć w tym  
świecie i nie zwariować. Żwawego  
przewracania

kartek!

MM



**I IDZIEMY NAPRZÓD, NIE  
COFNIEMY SIĘ**

# Do ostatniej kropli krwi

W połowie maja 1992 roku miałem 23 i pół roku (to taki wiek, kiedy jeszcze liczy się

połówki), siedziałem w samolocie z Moskwy do stolicy Armenii Erewania i byłem bardzo

zdenerwowany. Chciałem jechać do Górskiego Karabachu, ale nie miałem kompletnie

pojęcia jak. Jeszcze parę dni wcześniej do tej ormiańskiej enklawy na terytorium

Azerbejdżanu można się było dostać z

Armenii tylko helikopterem albo samolotem, o ile, rzecz jasna, Azerowie nie zestrzelili maszyny. Na początku maja, po dziewięciu miesiącach blokady, Ormianie uderzyli i przebili się do Armenii. Otwarta została droga życia przez terytorium Azerbejdżanu.

Wiedziałem, że muszę mieć przepustkę z Komitetu Karabaskiego i na tym wyczerpywała się w sumie moja wiedza techniczna, jeśli chodzi

o funkcjonowanie w strefie wojennej. Miałem też kontakt do miejscowego dziennikarza,

który dostałem od Wojtka Jagielskiego z „Gazety Wyborczej”.

Współpasażer z samolotu zawiózł mnie do hotelu Erebuni, typowego, w założeniu

eleganckiego, sowieckiego bloczyska. Dochodziła północ, ale nie chciało mi się spać.

Zjechałem do piekiełka. Na miejscu, w półmroku uśmiechnąłem się, przypominając sobie

wszystkie podobne w duchu i stylu orbisowskie kurwidoły w późnym PRL-u. Tylko tu było

bardziej depresyjnie. Nie dopiłem jeszcze wódki, kiedy zagadał mnie mały 40-letni



człowieczek o ciepłym uśmiechu i smutnych oczach, częsta kombinacja w Armenii, jak się miałem przekonać.

– Polak? – Norik, bo tak się nazywał, cały się rozpromienił. – Zapraszam na koniak! Nie piłeś takiego! – Szybka kalkulacja, czy nowy znajomy mnie okradnie, zabije, zgwałci, do wyboru, ale jakoś tak dobrze mu patrzyło z oczu, a ja tu kompletnie nikogo nie znałem.

Zresztą jakoś przez wszystkie późniejsze lata na Kaukazie, w Afryce, byłej Jugosławii, w Iranie nigdy specjalnie mnie nie zawiódł wewnętrzny czujnik. – No dobra, Norik, pokaż ten koniak.

Przesiedzieliśmy nad nim do rana, a

Norik, jak się okazało, milicjant z prowincji,

opowiadał o historii swojego kraju. Przeglądał mój egzemplarz historii Armenii

i opowiadał o każdej postaci z fotografii. Zastanawiałem się, czy posterunkowy

z Zamojszczyzny byłby w stanie zrobić wykład o Moniuszce albo Kochanowskim. A tak

miało być z niemal wszystkimi napotkanymi Ormianami. Najpierw krótki kurs historii,

przede wszystkim nieszczęść, ze  
szczególnym uwzględnieniem tureckiej  
rzezi (z

aktywnym kurdyjskim udziałem) w  
czasie I wojny światowej, kiedy zginęło  
i zmarło

z głodu do półtora miliona Ormian,  
potem panteon bohaterów narodowych i  
na koniec

słynni ludzie pochodzenia ormiańskiego.  
Na pierwszym miejscu zawsze Charles  
Aznavour.

Wysoko Andre Agassi. Jak rozmowa z  
Polakiem, to Zbyszek Cybulski.

Najważniejsze, że Norik obiecał pomóc następnego dnia w Komitecie Karabaskim

z załatwieniem przepustki. Na koniec poprosił, żebym przekazał pozdrowienia kapitanowi Klossowi, Stanisławowi Mikulskiemu, jego ulubionemu aktorowi. – A! I jeszcze Beacie Tyszkiewicz! Nadal taka piękna?

Norik dotrzymał słowa i w Komitecie poszło gładko. Kazali pozdrowić Wałęsę i dali

przepustkę. Nie byli w stanie załatwić transportu, ale wtedy odezwał się siedzący pod

ścianą mężczyzna, który przysłuchiwał się naszej rozmowie. – Mam jutro jechać do

Stepanakertu, ale nie mam na oponę. Jak kupisz, to mogę cię zabrać. – A ile

kosztuje? – 40 dolarów. – No to nie ma problemu, pajechali. – Dobrze, będę u ciebie

w hotelu o 9 rano. Nazywam się Kamo.

Miałem jeszcze większość dnia przed sobą, Norikowi nie spieszyło się do domu, gdzie

czekał go biedny dzień jak co dzień, a gość z zagranicy trafił mu się pierwszy

raz w życiu.

Zaproponował więc, że mnie oprowadzi po mieście. Erewań był po prostu brzydki.

Niszczony w przeszłości trzęsieniami ziemi, zbudowany głównie za sowieckich czasów

z tufu, skamieniałego popiołu wulkanicznego o ciemnoróżowym odcieniu. Ponury

socrealizm bez charakteru, na różowo.

Miasto otaczały posępne skaliste nieużytki, cała Armenia jest pełna wygasłych wulkanów, surowa, nieprzyjazna ludziom. Żadną z mych

myśli oczywiście nie podzieliłem się z Norikiem.

Weszliśmy na wzgórze, gdzie znajdował się pomnik upamiętniający rzeź 1915 roku.

„Widzisz, Marcin, powinien płonąć tu wieczny ogień, ale nie ma gazu, Azerowie zamknęli nam dopływ. Dostawaliśmy gaz także z Gruzji, ale Gruzinom kurek zakręcili Osetyjczycy”.

Ze wzgórza można było zobaczyć górę Ararat, najświętszy symbol Armenii. Tyle że

Ararat, na którym miał się zatrzymać Noe, choć wydawał się tak blisko, że

można go było dotknąć, leżał w Turcji.  
Jakby Bóg chciał dodatkowo pogłębić  
Ormian, jątrząc co dzień ich rany.  
Wieczorem znowu piliśmy na smutno.

Obudziło mnie walenie w drzwi;  
otworzyłem nieprzytomny, a do pokoju  
wpadł zdyszany

oficer milicji i krzyknął: „Pakuj się!”.  
Spanikowany zastanawiałem się, o co  
chodzi, kiedy z opóźnionym zapłonem  
poznałem intruza: to Kamo z Komitetu  
Karabaskiego. Wczoraj był po  
cywilnemu. Okazało się, że jest  
naczelnikiem wydziału operacyjnego  
policji

w Stepanakerkie, a w Erewaniu był na



przepustce. W ładzie przed hotelem  
czekali żona

i syn. Opuścili Karabach samolotem w  
czasie blokady. Teraz wracali.

Niedaleko za Erewaniem skręciliśmy w  
boczną drogę. Główna była w zasięgu  
azerskich

dział. Łada, popierdując, wspinała się  
nie szybciej niż 30 kilometrów na  
godzinę coraz wyżej, mijaliśmy kolejne  
autobusy obwieszane ormiańskimi  
flagami, z uchodźcami wracającymi do  
domów w Karabachu, aż osiągnęliśmy  
pułap chmur. Po kilku godzinach

dotarliśmy do granicy Armenii, którą od

Karabachu oddzielało raptem pięć kilometrów

w linii prostej. Dziurawą drogą było ze dwa razy tyle. Jeszcze kilkanaście dni wcześniej ten pas trzymali Azerowie. Teraz pozostały po nich zniszczone czołgi, transportery i spalone domy. Droga osuwała się w urwiska, z drugiej strony sypały się na nią głazy

i kamienie. Zastanawiałem się, jak tędy w ogóle mogą jeździć ciężarówki. Zrozumiałem,

gdy wracałem do Erewania potężnym kamazem. Przez większą część drogi po prostu nie

otwierałem oczu. Kierowca pędził jak szalony – na tej drodze czterdziestka to już

straceńcza prędkość – o centymetry mijając kilkadziesiątmetrowe przepaści. I co jakiś czas sięgał pod siedzenie, skąd podnosił przybrudzoną butelkę z ciemnobursztynowym płynem w środku. Tak, pociągał z niej. Nie, to nie była herbata. Tak, to był koniak.

I owszem, jak zaproponowałem, pociągnąłem równo.

Teraz jednak wjechaliśmy do Łaczina, jeszcze do niedawna 10-tysięcznego azerskiego

miasteczka. Po mieszkańcach zostały rozprute materace, rozrzucone miski i tyle. Na

ścianach zdobywcy wymalowali białe krzyże. Następna na trasie, jeszcze do niedawna

kilkunastotysięczna Szusza, a przed wiekiem centrum życia Kaukazu, wedle niektórych

drugie, zaraz po Tbilisi, pospołu zamieszkane przez Azerów i Ormian, straszyla teraz

wypalonymi oczodołami okien. Trudno było uwierzyć, że ledwie sto lat wcześniej tłum się kłębił na jej

uliczkach, w kawiarniach i na wielkim krytym bazarze. Ale nawet opuszczona była zjawiskowa, zawieszona na skałach ponad Stepanakertem, który był

jeszcze nieistotną wioską, kiedy Szusza przeżywała dni świetności. Miesiącami Azerowie ostrzeliwali z niej położony w dole Stepanakert, waląc jak do tarczy strzelniczej. Aż do 9 maja, kiedy ormiańskie czołgi i piechota wzięły miasto w ofensywie prawie niemożliwej, cały czas pod górę. „Sami sobie urządziliśmy dzień zwycięstwa” – zaśmiał się Kamo. Część obrońców Ormianie wymordowali (czego by oczywiście nie przyznali, ale to zasada każdej wojny), reszta wraz z cywilami

uciekła.

Wieczorem zasiedliśmy w Stepanakercie w altance domu. Kamo i jego kuzyni, stary

Żora i młody Ararat, uczyli mnie rozróżniać dźwięki. Rozległ się pojedynczy, suchy trzask, ułało mi się ze szklanki, rozejrzałem się wokół, byłem jedyny, który się wzdrygnął, nawet 4-letni Kazen, syn Kama, nie przerwał zabawy. „To armata – wyjaśnił Żora – seria, taka trochę świszcząca, to grad, wyrzutnia raketowa, a jak słyszysz najpierw jakby burzę to miotacz min. O! Walnęli gdzieś niedaleko”. Ktoś przyniósł koniak w plastikowej butelce

po oranzadzie. Zaczęły się długie, często kilkuminutowe toasty, za tych, którzy zginęli, za chłopców w górach, za Karabach, za Armenię, za pokój, za człowieczeństwo, za powodzenie mojej wyprawy. Przyzwyczajony do powściągliwej nadwiślańskiej szkoły

w stylu „chluśniem, bo uśniem!”, biorąc nawet poprawkę na wyjątkowy czas zabijania,

byłem pod olbrzymim wrażeniem kwiecistości tych przemów. Nie wiedziałem jeszcze

wtedy, co potrafią wykonać – czy wojna, czy pokój – mistrzowie gatunku, Gruzini.

Ostrzał nie cichł ani na chwilę. Niebo raz po raz rozświetlały potężne błyski, po których rozlegał się huk. Zasnąłem nad ranem.

Następnego dnia pojechałem do sztabu sił samoobrony, czyli ormiańskiego dowództwa

wojskowego. Szukałem Serża Sarkisjana, przedstawiciela Rady Najwyższej Republiki

Górskiego Karabachu, który mógł mnie skierować do fedainów udających się w rejon

walk. Po latach Sarkisjan zostanie ministrem obrony Armenii, a w 2008



wygra wybory

prezydenckie. Ale teraz przyszły przywódca państwa był całkiem kontaktowym 36—

latkiem i natychmiast obiecał pomóc.

Sztab mieścił się w dawnej stacji obsługi samochodów pod Stepanakertem; brzydki

sowiecki klocek, wiele szyb powybijanych. Na placyku stała kolejka mężczyzn

zgłaszających się do oddziałów. Przyjeżdżały i odjeżdżały rozklekotane ciężarówki

z fedainami. W końcu pojawił się Sarkisjan i wskazał mi żylastego 30-latka. – To Wito, komendant okręgu askerańskiego, tam teraz toczą się ciężkie walki. Spytaj go, czy cię zabierze. – Wito przyjrzał się nieufnie mojej twarzy cherubinka (wtedy jeszcze) i blond loczkom, strzyknął śliną i powiedział: – Chłopie, w Askeranie Azerowie napierdalają miotaczami min, gradem i chuj wie czym jeszcze. Co ja zrobię, jak cię trafią? Do nieba ci spieszo? – Odpowiedziałem, że jak nas trafią, to wszyscy razem pójdziemy do nieba, nie będzie więc miał czym się przejmować. Wito się zaśmiał. – No dobra, sam tego chciałeś.

Jedziemy.

Wito miał bardzo efektowny mundur w ciapki, skórzaną kamizelkę, której nie

powstydziliby się Jean-Claude Van Damme, a na nogach baletki. Tak po prostu. Nawet

trampek dla ormiańskiego komendanta nie starczyło. Niektórzy jego żołnierze musieli

uszyć mundury ze starych worków, ale rekompensowali to sobie, narzucając na uniform

takie ilości taśm z amunicją, że wzbudziłiby zazdrość samego Chucka

Connorsa. Na

plecach białe krzyże z taśmą  
samoprzylepnej – znak, że są  
chrześcijanami (walczyli

przecież z muzułmańskimi Azerami,  
„Turkami”, jak ich nazywali), na piersi  
znaczki ze

zdjęciami poległych braci, ojców,  
synów, przyjaciół.

Załadowaliśmy się w trójkę – dołączył  
jeszcze 19-letni Marat – do  
zdezelowanego UAZ—

a i ruszyliśmy do wioski, gdzie zbierali  
się fedaini przed pójściem na pierwszą

linię. Była pusta, mieszkańców ewakuowano, gdyż znajdowała się w zasięgu azerskiego ostrzału.

Ulicą śmigały plastikowe torebki, nie czekały nawet psy, co sprawiało razem dosyć

upiorne wrażenie. Ale na jednym z podwórzy, za metalową bramą, czekał czołg, dwa wozy

pancerne i kilkudziesięciu fedainów ćmiących papierosy. Byli młodzi, bardzo młodzi.

Najmłodszy Edik miał 16 lat.

Myślałem o Ediku, o tym, co się z nim

stanie, czy jeszcze żyje, kiedy kilka tygodni

później w Erewaniu rozmawiałem z 15-letnim Rubenem. Pochodził z Karaczinazu, 12—

tysięcznej ormiańskiej osady z regionu Szahumian na północy Karabachu. Miał 13 lat,

kiedy zaczęły się walki. Razem z kolegami wybiegał w nocy, żeby oglądać smugi świetlne latających pocisków, nie zdając sobie sprawy, że któryś mógłby go zabić. Dopiero gdy Azerowie trafili w piętro jego domu, a rodzina przeniosła się na parter, zrozumiał, co to takiego wojna. Jego

ojciec, nie chcąc, żeby Ruben szwendał się z kolegami po lasach, zaczął zabierać go na posterunek. Z czasem Ruben sam stanął na warcie. Nauczył się czyścić broń. Kiedy miał 14 lat, zaczął strzelać. – Broniełem swojej ziemi – tłumaczył.

Miesiąc przed moim przyjazdem rodzice wysłali go do Erewania, żeby odpoczął. Wtedy do

miasta Szahumian weszły czołgi dawnej 4. Armii Radzieckiej, stacjonującej w Azerbejdżanie, a teraz walczącej razem z Azerami przeciwko Ormianom.

Rosyjscy czołgiści powiedzieli mieszkańcom, żeby natychmiast uciekali, bo za godzinę

wejdą Azerowie i zaczną się rzeź. Do dzieci i kobiet Rosjanie nie strzelali, zajęci byli oczyszczaniem terenu z fedainów. Przyjaciel Rubena („on już był dorosły, miał 16 lat”) zginął z kałasznikowem w ręku, broniąc swego domu. Kobiety płakały i krzyczały: „Jesteście chrześcijanami, tak jak i my! Dlaczego walczyacie z muzułmanami przeciw

nam? Dlatego, że wam płacą?”.

Rosjanie milczeli. Po pół godzinie weszli Azerowie. Kto nie uciekł, ten



zginął. Babci Rubena poderżnęli gardło. Jego rodzice uciekali przez las. Na jego skraju stali Azerowie i strzelali jak popadnie. Gdy nie było już dokąd uciec, ludzie skakali w przepaść. Matki najpierw rzucały dzieci, potem skakały same. Rodzicom Rubena udało się. Po trzech dobach marszu górskimi ścieżkami dotarli do Stepanakertu.

Ruben o tym

nie wiedział. Byłem z nim w mieszkaniu w Erewaniu, kiedy weszli jego rodzice.

Nic nie

mówili. Ojciec trzymał w ramionach syna i obydwaj płakali.

Kilka tygodni później w stolicy

Azerbejdżanu Baku byłem na zbiorowym pogrzebie

azerskich ofiar z Karabachu. Poznani na nim ludzie zabrali mnie do domu na herbatę

i ciasto i opowiadali o masakrze w Chodżałach. Trzy miesiące wcześniej, w nocy z 25 na 26 lutego, ormiańskie oddziały zdobyły to miasteczko, a następnie wymordowały ponad sześćuset mieszkańców, w tym – jak zawsze przy takich okazjach – kobiety i dzieci. I to ze szczególnym okrucieństwem. Data ataku raczej nie była przypadkowa, wypadła niemal równo w czwartą rocznicę pogromu w

Sumgaicie, gdzie z kolei Azerowie

mordowali Ormian. Ta masakra była  
preludium wojny o Karabach i  
symbolicznym

początkiem rozpadu Związku  
Radzieckiego.

Ale teraz siedzieliśmy pod  
Stepanakertem i czekaliśmy na decyzję  
Wita, który poszedł

na naradę z innymi komendantami. Co  
tak długo? – A, gadają o polityce. My  
nie lubimy

polityki. – A co lubicie? Ogólny śmiech.  
– Strzelać lubimy! Amerykański

antropolog

William McNeill zauważył związek między zjawiskiem wojny paradoksem: ucieczka od wolności

bywa często prawdziwym wyzwoleniem, zwłaszcza dla młodych ludzi, żyjących w szybko

zmieniającej się rzeczywistości, którzy nie zapewnili jeszcze sobie dorosłych ról

w społeczeństwie. Opinia McNeilla skłoniła Johna Keegana, wybitnego brytyjskiego

historyka wojskowości, do posłużenia

się kalamburem: „infantyлизм” i „piechota” (po

angielsku *infantry*) mogą mieć wspólne korzenie.

Naszą rozmowę przerwała wypakowana fedainami ciężarówka, która gwałtownie

zajechała na podwórze. Wracali, a raczej uciekali z Askeranu, do którego mieliśmy jechać, gdzie natknęli się na azerskie czy właściwie rosyjskie czołgi. Chaotyczne krzyki przerwał

Wito. – Jedziemy. Spojrzał na mnie i dodał: – Chciałeś wojny, to będziesz miał. Wskakuj do BMP. W tym momencie zacząłem się naprawdę bać.

W środku było nas czterech i jeszcze nieosłonięta piątka na wozie. Przed nami jechał czołg, na którym siedziało

dziesięciu, dwunastu fedainów, a za nami jeszcze jeden BMP.

Wjechaliśmy do położonego w dolinie Askeranu, opustoszałego jak wszystkie

przyfrontowe miejscowości. Gdzieś pomiędzy domami kryły się tylko okopane ormiańskie

posterunki. Z gór po prawej stronie ostrzeliwali je Azerowie. Właściwie zza gór, tam

znajdowały się stanowiska armat i tych

najgroźniejszych, gradów. Na szczytach siedzieli

„piloci” z lornetkami i naprowadzali ogień.

Obserwowałem przez wizjer roztrzaskane obejścia, kiedy nagle usłyszałem potworny

huk. I następny. Wóz gwałtownie zahamował. Wszyscy zaczęli na raz krzyczeć, ci, co

siedzieli na górze, już zeskakowali. 19-letni Tigram, z którym dzieliłem wnętrze wozu, ryczał, przekrzykując warkot silnika: – Strzelają do nas! I kolejny huk, gdzieś tuż obok. – Wyskakujemy! Na

lewą stroną i pod BMP! Tylko, kurwa,  
szybko, bo ustrzelą nas na

wozie!

Łatwo powiedzieć: szybko! Cały się  
trząsałem, panika fizycznie mnie dusiła,  
ubranie

zawadzałem o wszystkie pieprzone  
wihajstry wewnątrz. Już miałem  
wychylić się na

zewnątrz, kiedy Tigram wrzasnął: –  
Bierz kałasznikowa! Leżał pod nogami,  
wziąłem, nie

zastanawiając się, co robię. I do góry. I  
głowa już na zewnątrz. Trafia? Nie



trafią? Ciało ważyło tonę. I jeszcze ten cholerny kałasznikow dyndający absurdalnie na plecach. Dach był śliski, zaczął padać deszcz i ledwie postawiłem na nim niezdarnie nogę, poleciałem na twarz. Na szczęście na właściwą stronę. Szybko przeczołgałem się do rowu obok, gdzie za chwilę była już cała nasza czwórka ze środka wozu. Piątka z góry zniknęła właśnie za wzgórzem, nasz czołg i drugi BMP również.

Zostaliśmy sami, pod ostrzałem, z wozem pancernym nie do użytku, ostatnia eksplozja

rozwaliała gaśnicę. Leżeliśmy w

błocie, w ulewnym już teraz deszczu,  
wiedząc, że

musimy uciekać, bo ostrzał trwał i było  
kwestią czasu, kiedy kolejny pocisk  
rozerwie nas na strzępy. Raczej  
wcześniej niż później. Meller, ty debilu,  
pomyślałem, po jakiego grzyba pchałeś  
się w to miejsce i na tą wojnę, jakie  
idiotyczne wzdęcia dziennikarskiego ego  
kazały ci się znaleźć w tym błocie?  
Pamiętam, że w tym momencie, w tym  
huku

kanonady, kiedy moi kompani  
gwałtownie się kłócili o strategię  
wyjścia z gówna, solennie obiecywałem  
sobie: nigdy więcej. Jeśli się stąd

wydostanę żywy i w jednym kawałku,  
nigdy, przenigdy więcej nie pozwolę  
sobie na taką sztubacką głupotę.

Naprawdę w to

wierzyłem. Gdyby mi ktoś wtedy  
powiedział, że kilka tygodni później  
będę biegać

z Gruzinami pod osetyjskim ostrzałem,  
chyba dałbym mu w mordę.

Ale teraz chłopcy doszli do  
porozumienia i Tigram pokazał linię  
drzew wzdłuż drogi

w stronę Stepanakertu. – Biegniemy pod  
nimi! Już miałem się zbierać, kiedy  
złapał mnie za ramię i spojrzał na

położonego przeze mnie na ziemi  
kałasznikowa. – A to to co? – Tigram, na  
litość boską, przecież ja jestem  
dziennikarzem, nie mogę nosić broni! –  
Job twaju mat! Myślisz, że Azerowie  
będą cię pytać, jak się z nimi zderzymy?  
Bierz, i to już!

Od razu wyjaśniam: nie musiałem  
strzelać, nie użyłem broni. W tym  
momencie czułem

się strasznie, ale co miałem robić?  
Tigram miał rację. To nie była wojna,  
gdzie

dziennikarze chodzą w kamizelkach z  
wielkim napisem „Press”. Tu, po  
pierwsze, prawie

żadnych dziennikarzy nie było,  
spotkałem jednego przez tydzień w  
Karabachu, Olega,

fotografa z Moskwy. A i ubrany byłem  
jak fedaini. Moja blond grzywa raczej  
nie

stanowiła tarczy ochronnej pod tytułem  
„Cześć, jestem reporterem z Polski, w  
razie

starcia proszę łaskawie do mnie nie  
strzelać”. Zarzuciłem broń na ramię.

I pobiegliśmy pod tymi drzewami. I  
płuca rwały, jakby ktoś je kłuł  
rozpalonymi

szpikulcami. I wywaliłem się na morde.  
I poderwałem się resztką sił. I drzewa  
się

skończyły. I było pole zboża dzielące  
nas od wzgórza, za którym już były  
ormiańskie

posterunki w rozwalonych chałupach i w  
miarę, z naciskiem na „w miarę”,  
bezpiecznie.

Ale Tigram zaklął. – Co jest Tigram?  
Otóż było to, że Ormianie położyli miny  
na tym

polu, tylko moi towarzysze nie wiedzieli  
gdzie. Czyli za nami strzelający  
Azerowie, przed nami własne pole

minowe. Bosko. – No dobra – Tigram już podjął decyzję – biegniemy przez pole i niech Bóg ma nas w swej opiece. – To ja biegnę trzeci – rzuciłem.

Kalkulacja była szybka i niezbyt szlachetna. Jak pierwszy wyleci na minie, może nie dostanę odłamkiem. Ostatni najłatwiej może dostać od snajpera w plecy. W sumie główniana kalkulacja, ale na inną jakoś nie było czasu i miejsca.

To był kilometr, chyba nie więcej, mnie się wydawał dłuższy niż maraton. Miałem

wrażenie, że biegnę w zwolnionym tempie, jak po Księżycu. Charczałem.

Ale dobiegliśmy.

Moim kolegom wrócił humor: – No i jak, Polak? Podobało się? Fajnie na wojnie, co?

Na podwórzu domostwa, które pełniło rolę posterunku, stała wielka beczka z kurkiem

u dołu. Gospodarz, bezzębny nieogolony dziadek wyglądający na siedemdziesiątkę

z okładem (pewnie miał dwadzieścia mniej), popatrzył na mnie drżącego jak osika

i uśmiechnął się zapraszająco: –



Najlepszy karabaski koniak. Sami robiliśmy. Chyba ci się przyda. Nie zwracałem sobie głowy kurkiem i sięgnąłem po zawieszoną na beczce chochlę. Piłem jak wodę i biorąc pod uwagę ilość, powinienem się urżnąć i paść, ale tylko się uspokoiłem, a mój umysł, by zacytować przyszłego klasyka, był jak brzytwa.

Zapadała już noc i było zbyt niebezpiecznie, by próbować wracać do odległego o 15

kilometrów Stepanakertu. Mimo że nasza kryjówka była w zasięgu ostrzału, z dwojga

złego lepiej było zostać. Zasypiając w

izbie z kilkunastoma równie jak ja  
śmierdzącymi mężczyznami, myślałem o  
warszawskim placu Zamkowym w ten  
późny maj, o zbierających się na nim  
pięknymi dziewczynach i moich  
kumplach, którzy pewnie

właśnie teraz ruszają na łowy.

Następnego dnia, idąc ulicą  
Stepanakertu, usłyszałem wśród  
dobiegających

z przedmieść eksplozji dźwięk  
fortepianu. Dobiegał z na pół  
zrujnowanego domu. Na jego pierwszym  
piętrze – dziury po pociskach w suficie i  
ścianach – siedziały dwie nauczycielki i  
trzynastoletnia uczennica. – Ten

fortepian broni nas przed powrotem do kamienia łupanego. Uczymy, żeby nie oszaleć do końca.

## **Krajina wojny i rock'n'rolla**

Siedzimy w kawiarence, kiedy pada strzał. W pierwszej chwili nikt nie zwraca uwagi.

Ale widzę zamieszanie za oknem, więc wychodzę na ulicę. W kałuży krwi leży

dwudziestoletni chłopak. Właśnie strzelił sobie w głowę. Pęka szyba w drzwiach stłuczona ręką przez brata samobójcy, który jak oszalały wypada z kawiarni. „Dlaczego?” – pytam.

Ludzie wzruszają ramionami: *rat* – wojna. To jedno słowo wszystko tłumaczy. Chłopcy i dziewczęta rozchodzą się do innych kafejek. Nad czym tu rozprawiać? *Rat*. Jutro mogą zginąć na froncie albo od zabłąkanego pocisku armatniego.

Republika Serbskiej Krajiny (RSK). Na samo wspomnienie tej nazwy podnosi się

poziom adrenaliny każdego Chorwata: „To integralna część Chorwacji, okupowana przez

serbskich agresorów!”.

RSK ma własną telewizję. Uwagę

gościa wchodzącego do jej budynku przykuwają dwa

plakaty. Pierwszy przedstawia umundurowanego mężczyznę ze swastyką na ramieniu

i pistoletem w dłoni, który wychyla się zza flagi Unii Europejskiej. Podpis: *Ready for de(utsch)mocracy*. Drugi afisz zawiera jedynie klarowne przesłanie: „Nie deptajcie trawy, palcie ją!”. Z pobliskich pokoi dobiega ostra rockowa muzyka, w jej rytm kołyszą się prawosławne medaliki na piersiach dziennikarzy. Witamy w Krajinie wojny, rock'n'rolla

i prawosławia. Ta mieszanka

zaskakiwała mnie każdego dnia: święci sprzed wieków

i gitarowe riffy Nirvany, legendarni serbscy władcy i żołnierze wracający z pola walki, którzy wystukują rytmy Sex Pistols na swych kałasznikowach.

Modlący się w skupieniu komandosi, którzy w czasie przepustek z frontu grają w zespołach rockowych czy też

może w czasie przerw między nagraniami i koncertami walczą na pierwszej linii.

Biznesmeni w średnim wieku, którzy znają na pamięć młodzieżowe przeboje.

Na pogrzeb Coko Srdžana przyszedł

cały Knin, zjechały okoliczne wioski;  
kilka tysięcy

ludzi, od przedszkolaków do emerytów.  
Srdżan współzakładał zespół  
Mindżuszari

i napisał jego największe przeboje.  
*Mindżuszari* oznacza facetów, którzy  
noszą kolczyki, trochę podejrzanych  
kolesi. Kiedy wybuchła wojna z  
Chorwatami, wiele dzieciaków z  
bogatych rodzin wyjechało z Krajiny do  
nowej Jugosławii bądź na Zachód, by  
przeczekać niebezpieczne czasy. Tacy  
jak Srdżan, „młodzi ludzie sprawiający  
problemy”, niepokorni, z nastroszonymi  
fryzurami, w wytartych skórach i z

kolczykami, nie mieli za co i dokąd uciekać. Przede wszystkim zaś nie chcieli.

„Z przekory nie chcę uciekać, chcę zostać / bracia i siostry zrozummy się, my nie

potrafimy przegrywać / nie wyskoczymy ze swojej skóry / idziemy naprzód, nie cofniemy

się / dla Krajiny i dla Serbii idę do końca / nie ma we mnie strachu, nic mi się nie może stać”.

Kilku takich dwudziestolatków równocześnie zakładało Mindžuszari i paramilitarne



nieformalne grupy samoobrony. Jedna z nich stała się z czasem elitarnym II

dalmatyńskim oddziałem do zadań specjalnych krajńskiego MSW. Oddział ten ze

względu na jednego ze swych żołnierzy, Coko Srdžana właśnie, zwany był po prostu

„Mindžuszari”. „Kolczykowców” kierowano na szczególnie zagrożone pozycje, tam gdzie

padało morale zwyczajnych żołnierzy.

*Modlitwę* znają wszyscy. Nucił ją przy mnie sześćioletni Aleksandar i profesor

zagrzebskiego uniwersytetu (przed wojną). Srdżan powtarzał zawsze, że gdyby „coś” mu

się przytrafiło, niechaj koledzy z zespołu zaśpiewają mu ją nad grobem.

„Modłę się, aby to wszystko się skończyło / modłę się za lepsze dni / niech ta moja

modlitwa będzie przekleństwem dla wroga / nadchodzi trzecia jesień, trzeci rok wojny /

a w moich myślach przewijały się obrazy przodków / nie mogłem o tym wszystkim nawet

śnić / nie mogłem tego przewidzieć / o  
Panie! czy słyszysz mnie? uroń łzę nad  
nami /

o Panie! niech to będzie modlitwa, aby  
skończyły się te straszne dni / niech to  
będzie modlitwa za wszystkie nasze rany  
/ niech ta moja modlitwa będzie  
przekleństwem dla wroga”.

Kiedy 1 maja Chorwaci zaatakowali  
krajńską enklawę w zachodniej  
Slawonii, Srdżan

skrzyknął się z kolegami z oddziału,  
„pożyczyli” od wojsk ONZ-owskich  
kilka samochodów i ruszyli na front.  
Coko zginął następnego dnia.  
Przyjaciele próbowali wypełnić

obietnicę i zaśpiewać mu *Modlitwę* nad grobem. Nie byli w stanie dokończyć. Twardziele w panterkach płakali tak jak pozostałych kilka tysięcy ludzi.

## **Knin siostró, Knin**

Dijana ma 25 lat i mieszka w Kninie, czyli według terminologii chorwackiej, tak zwanej stolicy tak zwanej Republiki Serbskiej Krajiny. Już bez „tzw.” należałoby dodać za Chorwatami, że Dijana plasuje się gdzieś pomiędzy głupkiem, bydłem i mordercą, co

razem wzięte oznacza, że jest Serbką, więcej i gorzej: krajińską Serbką.

Siostra Dijany poślubiła Chorwata

(przed wojną, rzecz jasna) i teraz z nim mieszka

w Zadarze. Z Knina do Zadaru jest wszystkiego 70 kilometrów. Nawet biorąc pod uwagę

wąskie i kręte górskie drogi, to trasę tę można pokonać w godzinę z małym hakiem.

Dzisiaj mogą to potwierdzić tylko „błękitne hełmy” i zagraniczni dziennikarze, ponieważ w połowie drogi przecina ją linia frontu. Żaden Serb ani Chorwat nie przejedzie.

Ale siostry są siostrami, chcą się zobaczyć. Zadzwoić nie mogą: między

Chorwacją

i nową Jugosławią (do której centrali jest podłączona Krajina) przerwano łącza

telefoniczne.

Siostry kochają się, więc jakiś czas temu Zdenka z Zadaru wybrała się do Dijany

z Knina. Pamiętamy: to 70 kilometrów szosą. Zdenka najpierw udała się do Zagrzebia.

Przez Węgry wjechała do nowej Jugosławii. Dwa dni czekała, aż zostanie otwarty

korytarz posawiński, kilkukilometrowy przesmyk łączący Serbów w Jugosławii

z rodakami w Bośni i Krajinie (korytarz jest pod ciągłym ostrzałem Muzułmanów

i Chorwatów). Potem był już tylko skok do Banja Luki, kilkugodzinna jazda do Knina

i uściski z Dijaną. Raptem 1300 kilometrów.

Ojciec Slavicy był architektem w Zadarze. Budował miasto. Zaczęła się chorwacka

niepodległość i usłyszał „won!”. W Krajinie został artylerzystą. Ostrzeliwał

Zadar.

Bombardował i niszczył domy, które budował. Jego córka była wówczas jeszcze w mieście.

Straciła już pracę, sąsiedzi pluli jej pod nogi, ojciec słał pociski. Nie bała się. Cieszył ją każdy wybuch. Jej chłopak, Chorwat, przyszedł któregoś dnia i powiedział, że jest ustaszem. Trzeba wybić wszystkich Serbów, dodał. Slavica uznała, że to już za dużo, że to koniec. Uciekła do Knina.

„Zjechałem wszystkie obce kraje / i w końcu wróciłem do domu / aby mi serce mocniej



biło / i abym mógł uścisnąć ręce  
przyjaciołom / teraz znów słońce mnie  
rozgrzewa / zapach czereśni budzi mnie  
każdego ranka / i znowu moje są szalone  
dni / pełne muzyki, wierszy i  
romantyzmu *Knin, siostró, Knin, to  
wszystko, czego mi trzeba* Knin, siostró,  
Knin, od ziemi aż do nieba”.

26-letnia Tatiana studiowała pedagogikę  
w Belgradzie. Przez rok mieszkała i  
dobrze

zarabiała w Grecji, włóczyła się po  
Europie. Kilka miesięcy temu wróciła  
do swego

rodzinnego miasta, do Knina. Mówi o  
sobie, że jest kosmopolitką i nie

obchodzi jej

polityka. Ale teraz jest wojna, w której jej naród bije się zupełnie osamotniony. Kraj rodzinny Tani walczy o przetrwanie, musiała wrócić, właśnie dlatego, to proste. Tym bardziej że coraz więcej ludzi ucieka. Nie wytrzymują toczącej się od czterech lat wojny, przypiętej łątki renegatów Europy, zwyczajnej nędzy. Wyjeżdżają, więc Tania wraca. Na przekór. Jak Mindżuszari.

**Żyją ludzie prawosławni**

**Żyją ludzie prawosławni**

– Powiedz mi – pyta – dlaczego wszyscy

są przeciwko nam? Dlaczego nikt w Europie

nie chce pamiętać, co Chorwaci robili w czasie II wojny? Przecież Serbowie z Krajiny tego właśnie się boją.

Dobre pytanie, no właśnie, dlaczego? Chorwaci, nie krępując się zbytnio, powracają do

symboliki Niezależnego Państwa Chorwackiego (NDH), marionetkowego tworu Hitlera,

którego NDH było wręcz nadgorliwym sojusznikiem. Oficjalnym pieniądzem jest kuna,

którą wprowadzono po raz pierwszy  
właśnie w NDH. Ambasadorem w  
Argentynie został

mianowany pan Rojnica, były komendant  
obozu zagłady w rejonie Dubrownika, w  
którym

chorwaccy ustasze wymordowali 700  
tysięcy Serbów, Żydów i Cyganów. W  
1945 roku

Rojnica, wymieniany na alianckich  
listach zbrodniarzy wojennych, uciekł do  
Ameryki

Południowej. Dziś mówi, że Chorwaci  
powinni dokończyć dzieło, które  
rozpoczęli w 1941

roku.

Poseł, a do niedawna szef wydziału  
politycznego chorwackiego MSZ,  
antropolog

z zamiłowaniem, wykazuje, że czaszki  
Serbów różnią się od tych chorwackich,  
ma się

rozumieć doskonalszych rasowo.

I wszystko jest w porządku.

Kto pamięta, że prezydent Tudjman,  
odznaczony właśnie dziewięcioma  
najwyższymi

odznaczeniami państwowymi, dochodził

do władzy pod hasłami Chorwacji dla Chorwatów?

Zaraz po ogłoszeniu niepodległości parlament w Zagrzebiu pozbawił Serbów statusu

narodu konstytucyjnego i zepchnął do roli czwartorzędnej mniejszości na ziemiach, które zamieszkiwali od wieków. Wtedy Serbowie postawili pierwsze barykady.

„Dawno temu toczyły się wojny / ale jednak żyją ludzie prawosławni / i wszystkie,

wszystkie, wszystkie siły świata / nie mogą nas zwyciężyć / matki rodziły

bojowników /

i flaga z czterema „S” (Samo sloga  
Srbina spasava – tylko zgoda ratuje  
Serbów) / niech zabrzmie ta pieśń / to  
jest mój kraj / moja świecąca gwiazda /  
to jest mój kraj, moja Krajina / w tym  
kraju będziemy mieszkać / i tutaj  
umrzemy”.

Z Chorwatami – nigdy więcej razem,  
powtarzają krajińscy Serbowie. Każda  
rozmowa

zaczyna się od przypomnienia  
Jasenovaca i zbrodni chorwackich  
sojuszników Hitlera. – 39

osób z mojej rodziny zginęło w czasie II

wojny, w czasie tej już dziewięć. Dostyc.

Rozdzielmy się raz na zawsze – mówi Milan, dawniej popularny aktor w Zagrzebiu.

– Mój ojciec walczył z Chorwatami, ja z nimi walczę; nie chcę, żeby spotkało to

Aleksandra – przedsiębiorca Mirko wskazuje na swego sześciolatniego syna, który domaga się kolejnej partii chińczyka. Kwaśno się uśmiechając, dodaje: – Jak Chorwaci zaatakowali zachodnią Sławonię, to NATO ich nie bombardowało; pewnie z braku paliwa?

Serbowie nie zgodzą się nawet na formalną władzę Zagrzebia, Chorwaci



nie odpuszczają

części terytorium swego państwa. Ile to może trwać? – Choćby i sto lat.

Jesteśmy

wystarczająco twardzi – mówi śliczna 24-letnia Sandra, która uciekła z chorwackiego

Szybeniku. – Kiedy rok temu Jugosławia pod wpływem Zachodu nałożyła na nas embargo

i odcięła dostawy, mówiono, że nie przetrwamy miesiąca. Minął rok, a my walczymy.

– Niech przyjdą – mówi Mirko –

będziemy walczyć do końca. Mam w domu

kałasznikowa, drugiego kupiłem ojcu. Tu każdy mężczyzna ma broń i nic do stracenia.

Któregoś dnia zaszedłem na wsi do starego gospodarza, by kupić flaszkę pędzonej przez

niego rakii. Poszliśmy do „magazynu” w stodole, a tam jak żywe działo przeciwlotnicze. –

A tak – zaśmiał się bimbrownik – jak ustasze nadlatują, to wytaczam na podwórko. Moja

stara i zięć pomagają. – A potraficie jeszcze trafić, dziadku? – spytałem. Tak się obruszył, że aż wylał chochlę śliwowicy na klepisko. – W ustaszy zawsze, synku.

# Czarne dni

„Nie ma już zdrajców generałów / nie  
ma już tych szakali / nie ma już  
»naprzód«,

a potem »stój« / nadchodzą dla was  
czarne dni / teraz rusza w bój cały naród  
mój / rusza armia najsilniejsza na  
świecie / rusza armia by się mścić / raz  
na zawsze wszystkich was zgniecie /  
jesteście zbyt biedni i żałośni /  
będziecie jeszcze bardziej spragnieni i  
głodni /

ciągle lecieć będą na was »orkany« /  
wasza piękna Chorwacja stanie się  
cmentarzem”.

W zachodniej Sławonii było jednak na odwrót. 32-godzinny chorwacki blitzkrieg

wywołał szok u krajińskich Serbów. Racjonalne skądinąd tłumaczenia o kilkakrotnej

przewadze liczebnej Chorwatów nie zmieniły faktu, że oto zachwiała się, jeśli nie runęła, wiara w niezwyciężoną siłę serbskiego oręża. Co gorsza, mimo nieustannego powtarzania zaklęć o jedności wszystkich Serbów, rodacy z Bośni i nowej Jugosławii nie kiwnęli palcem.

Jakiś czas temu chorwacki minister

obrony Gojko Šušak powiedział publicznie: –

Chorwacja odzyska część Krajiny w dwudniowym blitzkriegu. ONZ i międzynarodowa

opinia publiczna poprzestaną na słownej krytyce, a Belgrad ograniczy się do pojedynczego oświadczenia. Minister miał rację, a Serbowie zdruzgotani największą klęską w tej wojnie zaczęli swoim zwyczajem kłócić się i szukać winnych.

– 15 dni minęło od agresji na zachodnią Sławonię, a władze nic nie zrobiły, nie ogłoszono nawet żałoby. To rząd

zdrajców, należy go traktować jak  
zbrodniarzy

wojennych! – grzmiał mundurowy  
mówca na kilkutysięcznym wiecu  
protestacyjnym,

zorganizowanym przez związki  
zawodowe w Kninie, i pomachał w  
powietrzu pistoletem,

jakby wskazując, co należy zrobić z  
rządem zdrajców.

Głos z tłumu: – A kiedyś ty mundur  
założył?!

Mówca przeszedł do piętnowania tych,  
co uciekli z kraju.

Głos z tłumu: – Szuka cię policja  
wojskowa za uchylanie się od służby!

Wszyscy zgodnie domagali się  
zjednoczenia z Republiką Serbską w  
Bośni i wybrania

wspólnego prezydenta: Radovana  
Karadžicia.

Zebrani pomstowali na dyrektora  
telewizji, który zaraz po chorwackim  
ataku wysłał

swoją rodzinę do nowej Jugosławii,  
zaopatrując się uprzednio w 800 litrów  
praktycznie

niedostępnej na legalnym rynku benzyny.





# Jest dobrze

„Stoisz tu na ulicy, z twarzy nie schodzi ci uśmiech / zapraszam cię do siebie / tej nocy już nie będę sam / nie chcę znać twojego znaku, imienia ani adresu / teraz milcz i całuj mnie, świat się kręci powolutku / dobrze jest, moja mała, dobrze jest, gdy leżysz obok mnie / zbliża się świt, patrzę, jak cienie tańczą na twojej twarzy / i czuję, że życie jest piękne / zapomnij o brzydkim świecie / i mówię hej! muszę poznać twój znak, twoje imię i twój adres”.

W sobotni wieczór główna ulica Knina wypełnia się tłumem młodych ludzi.  
Zewsząd

dobiega muzyka, śmiechy, krzyki. Można by na chwilę zapomnieć o wojnie, gdyby nie to,

że większość mężczyzn jest w mundurach, często z przewieszoną bronią. No i strzały, ot tak, w powietrze, z radości, smutku, dla zabawy albo dlatego, że jakiś dzieciak wyblągał

u starszego brata malutką seryjkę na wiwat. Prawie nikt nie ma pieniędzy, więc trudno

mówić o rozpasanej konsumpcji. Najwięcej chyba piją młode dziewczyny, których

narzeczeni są na froncie. Czasem ktoś

wrzuci granat do lokalu, o którego  
właścicielu

wiadomo, że uchyla się od wojska,  
robiąc interesy na wojnie.

Siedziałem z Bibą, do niedawna  
piłkarzem miejscowego klubu, a dziś  
właścicielem

modnej kawiarenki, pociągałem rakiję w  
jego miłej knajpce, kiedy zabił się ten

dwudziestoletni chłopak. Telewizor  
nastawiony był na program chorwacki,  
ale bez

dźwięku, bo z magnetofonu leciało  
Mindžuszari. Kiedy ludzie się rozeszli

od samobójcy, my z Bibą wróciliśmy do jego kawiarni. Patrzył smętnie na stłuczone szkło. Naprawa będzie drogo kosztować. Ten chłopak, który zbił szybę, pewnie przyjdzie następnego dnia i przeprosi. I co? I nic. Siedzimy znów nad rakiją w pustej salce, obok zaśmiewa się miejscowy Głupi Jasio, którego Biba żywi w zamian za sprzątanie. – Jeszcze kilka lat tej wojny i wszyscy będziemy tacy jak on – rzuca Biba.

## **Z Bogiem, Serbio**

Chorwaci pogonili Serbów, Serbowie Chorwatów. Opuszczone domostwa metodycznie

wysadzano w powietrze. Tak na wszelki wypadek. Gdyby nawet odwróciło się koło

fortuny, to wypędzeni i tak nie będą mieli do czego wrócić. Czasem dom oszczędzono, ale założono w nim pułapki: na przykład granat umocowany na klamce. Człowiek otworzy takie drzwi i już po człowieku. Jeśli nie ma granatu, to może się okazać, że pozornie

porzucona zabawka jest paskudną miną. Nigdy nie wiadomo.

W Krajinie są całe wsie-widma. Kiedyś mieszkali tu Chorwaci. Zostały ruiny i położone

nie wiadomo gdzie miny. Nie zapomnę  
chwil, kiedy Serbowie, z którymi  
jechałem

samochodem, zgubili drogę w takiej  
okolicy. Ciche przekleństwa sączyły się  
z ust

kierowcy, wgapialiśmy się w drogę i  
parliśmy do przodu. Polny trakt był za  
wąski na

zawrócenie, a manewry na porośniętym  
trawą poboczu mogły się okazać ostatnią

czynnością, jaką przyszło nam w życiu  
wykonać.

Trafiają się i pokaźne wille, z których

nawet nie wszystko rozszabrowano. W jednej

z nich, jak mnie zapewniono – „bezpiecznej” – znalazłem w ogólnej perzynie „złote myśli”

chorwackiej dziewczyny imieniem Zdravka. To było bardzo dziwne uczucie. Pamiętam

doskonale, jak moją podstawówkę ogarnęło to szaleństwo: trzeba było wpisywać do

opastych zeszytów: imię, nazwisko, datę urodzenia, ulubiony kolor, kraj, hobby, itd. itd., ale najważniejsze były „inicjały sympatii”. Ileż nerwów człowiek zjadł,



zanim dopadł

czyjeś „złote myśli”, do których właśnie  
wpisała się Ta jedyna lub Ten jedyny.

Zdravka jest (była? czy żyje?) moją  
rówieśniczką, rocznik 1968. Wpisy  
pochodzą z 1984

roku. Jej sympatią był Vladimir, poznany  
na zabawie w Slunju, rocznik 1962.

Kierowany

niezdrową ciekawością i czując się po  
trosze, jakbym odkrywał zatopioną  
Atlantyde,

zacząłem przetrząsać stosy nadpalonych  
pozostałości w willi.

1987! Vladimir pisze do Zdravki z Niemiec. Romantyczna papeteria w różyczki.

„Kocham Cię jedyna moja, i będę Cię kochał do końca świata. I love you!!!”  
Kolejne

poszukiwania, i bingo! Książeczka czekowa banku lublańskiego z 1989 roku, wystawiona

na małżeństwo Vladimira i Zdravki.  
Ostatnie gazety z sierpnia 1991 roku.

Obowiązkową rubryką „złoty myśli” było pytanie o ulubiony zespół muzyczny.

Numerem jeden Zdravki była Riblja Čorba i jej lider Bora Djordjević, nie tylko świetny muzyk i barwna, niepokorna osobowość, ale również człowiek o dużej odwadze cywilnej.

Jeszcze za życia Josipa Broz Tito Riblja Čorba nagrała piosenkę *Al Capone*. Jakoś tak się złożyło, że nikt z ówczesnych słuchaczy tekstu nie odnosił utworu do amerykańskiego gangstera.

Jeżeli ta dziewczyna żyje, ciekawe, co by powiedziała dzisiaj o Djordjeviciu?  
„Ta

nacjonalistyczna świnią! Brudny spragniony krwi czetnik! Wstydzę się, że w liceum był

moim ulubionym piosenkarzem”.

Djordjević pomógł na starcie

Mindžuszari, bardzo często

przyjeżdża do Krajiny, ale jego

największym „grzechem” są teksty

piosenek, które teraz pisze, a które

krajińscy Serbowie znają niczym

pacierz.

„Zostałem sam na górze, patrzę na Sawę

/ ciskam do wody duszę i młodość /

zwycięzca

patrzy z Kalemegdanu (wzgórza w

Belgradzie, na którym znajduje się grób

nieznanego

żołnierza z czasów II wojny światowej)

/ a ja jestem żołnierzem i mięsem  
armatnim /

z Bogiem Serbio, z Bogiem... / pojęcia  
nie mam, czy uda mi się wrócić / czy  
może głową przyjdzie mi zapłacić /  
wyrównam wszystkie swoje rachunki /  
kiedy tylko dostanę się na nowy sremski  
front (w 1945 roku, w ciągu trzech  
miesięcy walk z hitlerowcami, zginęło  
tam 13 tysięcy partyzantów, głównie  
Serbów) / z Bogiem Serbio, z Bogiem...  
/ odchodzę, żeby strzelać i ginąć / by  
cudze głowy ścinać, o Serbio, Serbio! /  
odchodzę, więc z Bogiem i cześć! / a  
Tobie mogę powiedzieć Serbio / z  
Bogiem, z Bogiem...”.

Tuż przed wybuchem wojny Franjo  
Tudjman prowadził tajne rozmowy z  
duchowym

przywódcą krajińskich Serbów,  
nieżyjącym już dziś Jovanem  
Raškovićem. Chorwaci

złamali umowę i opublikowali  
stenogram negocjacji. Chodziło o  
skompromitowanie

Raškovicia, który powiedział, że  
Serbowie są narodem szalonym,  
zwariowanym. Po części

zamysł Tudjmana się powiódł.  
Superpatrioci serbscy oburzyli się  
okrutnie, pozycja

Raškovicia uległa osłabieniu (co akurat w dłuższej perspektywie okazało się dla

Chorwatów katastrofą, gdyż człowiek, którego starali się skompromitować, był o niebo

bardziej umiarkowany od swych następców).

Gdy pytam Petara Popovicia, czołowego dziennikarza radia Knin, jacy są Serbowie, ten

patrzy na mnie zdziwiony: – Jak to jacy? Szaleni. Święte słowa świętej pamięci

Raškovicia. Jak ten dziadek w Bośni, który oczekując kolejnego

bombardowania NATO,

wymalował białą farbą na dachu swego domu gigantyczne *Fuck you!*

– Najodważniejsi ludzie, jakich znam, i najgorsi dyplomaci na świecie – mówi wyższy

urzędnik Sił Ochronnych Organizacji Narodów Zjednoczonych (UNPROFOR) w Kninie,

zastrzegając sobie anonimowość, zważywszy, że jego poglądy odbiegają od tych głoszonych przez szefów w Zagrzebiu i Nowym Jorku. – Przecież gdyby rozgrywali swą partię subtelniej, to mogliby dogadać się z Francuzami i



Anglikami, którzy doskonale widzą, jak Niemcy prowadzą kolejną ekspansję na Bałkanach, tylko że tym razem nie wysyłając własnych dywizji, a jedynie pomagając swym przyjaciołom Chorwatom i pośrednio

Muzułmanom. Serbowie nie potrafią nauczyć się od Chorwatów i Muzułmanów, że

polityka polega na bezustannym zapewnianiu o swoim przywiązaniu do pokoju i robieniu

w praktyce czegoś zupełnie przeciwnego. Nie, oni muszą walić między oczy, że będą

walczyć z całym światem.

– Jasne – mówi Petar. – Pieprzyć cały świat. I tak wygramy.

*PS.* Kilka miesięcy później wojska chorwackie w wyniku kolejnej błyskawicznej

ofensywy, zajęły całą Krajinę, wypędzając setki tysięcy jej serbskich mieszkańców z domu i z kraju.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1995/23.

# Cudza wojna

Tutaj zdarza się, że najtwardsi żołnierze płaczą po kilku dniach ostrzału

artyleryjskiego. Tutaj jest i tak, że do polskiego żołnierza podskakuje zbir w panterce, przystawia mu pistolet do głowy i pociąga za spust. Po chwili długiej jak wieczność okazuje się, że broń nie jest naładowana. Taki lokalny żarcik. Tutaj byle miejscowy pijany gnojek może przytknąć kałacha do piersi zastępcy dowódcy batalionu.

– Mojej babie niczego nie opowiadam, po co ma się denerwować. A tu jest normalna

wojna – mówi Radek z Jeleniej Góry, w cywilu kierowca MPK.

Podpułkownik Wojciech Aksamit,  
zastępca dowódcy polskiego batalionu,  
brał udział

w wielu polskich misjach – w Egipcie,  
na wzgórzach Golan, na pograniczu  
iracko—

irańskim, w Zatoce Perskiej, w Libanie.  
– To wszystko były niewinne igraszki

w porównaniu z tym, co dzieje się w  
Krajnie. Tu nie ma żadnych reguł.

– Kiedy nasz żołnierz chce sprawdzić  
zawartość serbskiej ciężarówki, a

kierowca

przeładowuje kałacha, przystawia broń do skroni 19-letniemu chłopakowi i mówi

„spierdalaj”, to wtedy nie ma Butrosa Ghalego, Akashiego, Clintona ani mądrych

dziennikarzy – dodaje podpułkownik Marek Olbrycht, szef sztabu Polbatu.

W administracji ONZ-owskiej Krajina dzieli się na dwa sektory – północny (tu między

innymi służą Polacy) i południowy. Serbów i Chorwatów oddziela szeroka

na dwa

kilometry tzw. strefa separacji, zwana po prostu strefą. Rozlokowane w niej Błękitne

Hełmy narażone są na niekontrolowany ostrzał jednych i drugich (mimo obowiązującego zawieszenia broni).

W sektorze północnym znajdują się cztery przejścia z Chorwacji na stronę serbską. Gdy

1 maja opuściłem Zagrzeb, otwarte było tylko jedno, w Mošćenicy. Kiedy nasz konwój

dotarł na *crossing*, okazało się, że 15 minut wcześniej Chorwaci ostrzelali posterunek Serbów. Ci ostatni twierdzili, że mają 12 zabitych i 16 rannych. Chcieli, żeby ich zawieźć naszymi samochodami, a tego Błękitnym Hełmom robić nie wolno. W każdym razie położyli minę na szosie. Nie pozostało nic innego, jak zawrócić do Zagrzebia.

Przejechaliśmy dopiero następnego dnia sporadycznie używanym przejściem w Vojnovacu, które kontrolują Polacy. Jest to w tej chwili jedyny czynny *crossing* (w zależności od sytuacji i humoru obu stron konfliktu) na kilkuset

kilometrach – ni to na granicy, ni linii frontu dzielącej Chorwatów i krajińskich Serbów.

– Co tu jest do opowiadania? Normalka – krygują się żołnierze z posterunku numer 63

w wiosce Bogovolja.

Jak wygląda normalka w Krajinie? W piątek 28 kwietnia o świcie Serbowie przyszli na

posterunek 63. „Będziemy wysadzać most” – powiedzieli. Most jest położony o kilkanaście metrów od białych worków z piaskiem, otaczających stanowiska naszych żołnierzy.



Serbskie wojniki dały Polakom 15 minut na opuszczenie posterunku. Żołnierze zostawili

wszystkie swoje rzeczy. Brali tylko broń, amunicję i kamizelki kuloodporne. Eksplozję

było słychać w promieniu wielu kilometrów. Podmuch zdemolował posterunek, niszcząc

kompletnie mały magazyn i barak sanitarny. Sam most mimo użycia 300 kg trotylu

jednak się nie zawalił. Źle założono ładunki.

W dwa dni później (kibelek już naprawiono) scena się powtórzyła. Serbowie przyszli

o drugiej po południu i ponownie zostawili 15 minut na ewakuację. Tym razem

wystarczyło 100 kg trotylu. Barak sanitarny znowu diabli wzięli, ale i mostu już nie ma.

Kilometr dalej jest bród. Duże samochody ciężarowe ryją w błocie. Tam akurat Serbowie

nie wysadzili mostu, tylko zdjęli jedno przęsło. Teraz polscy saperzy próbują zbudować kładkę na wysokości brodu.

Piszę „próbują”, bo żeby w ogóle pojechać w stronę posterunku 63., muszą mieć specjalną przepustkę serbskiego dowództwa. Teoretycznie

Polakom powinny wystarczyć ich błękitne karty identyfikacyjne, ale w każdej chwili może się okazać, że jakkolwiek z kilkuset serbskich punktów kontrolnych w rejonie działania Polbatu okazuje się dla Polaków nieprzejezdny i nie ma dyskusji – trzeba zawracać.

Od 6 maja wszystkie konwoje ONZ-owskie (a według Serbów konwój to choćby jeden

samochód) muszą mieć pisemną zgodę

na poruszanie się w regionie. – Czasami bierze

człowieka prawdziwa cholera – jeży się polski oficer – przecież to oni chcieli ONZ czy nie?

Na samą wzmiankę o naszej ewakuacji dostają szału... Jesteśmy dla nich tarczami

ochronnymi.

Droga na trzecią kompanię wiodła wąziutkim asfaltem kręcącym się w górach

przypominających nasze Bieszczady. Co jakiś czas drogę zajeżdżała serbska

ciężarówka.

Mój kierowca zjeżdżał na pobocze.  
Miałem w pamięci dyrektywę ONZ w sprawie min.

Szczególnie ostrzegano przed poboczami asfaltowych dróg. Czy takie zjeżdżanie jest

bezpieczne? – pytałem naiwnie szofera.  
– Chuj wie – odpowiedział rzeczowo.

Trzy miesiące temu kapitan Cezary Marciniak, zastępca dowódcy 3. kompanii,

dowiedział się, że Serbowie zaminowali drogę koło 25. posterunku, która w myśl

uzgodnień powinna pozostać czysta. Przyjechali saperzy, żeby zorientować się w sytuacji.

Na szosie przed polem minowym stała barykada. Sto metrów dalej minęli trzy miny

przeciwpancerne. Saperzy mieli zrobić swoje.

Nikt nie zauważył odciągów (żyłek zwalniających zapalniki). Kapitan Marciniak nie

zdążył paść. Dostał trzy odłamki. Zdołał jeszcze tylko dojść do samochodu. Odwieziono go do kompanii, a stamtąd helikopterem do szpitala wojskowego w

Zagrzebiu, gdzie amerykańscy lekarze pokroili go od szyi po pępek. Po dwóch tygodniach wrócił do swojego oddziału.

Sami Serbowie nie znają wszystkich założonych przez siebie pól minowych. Kładli jak

popadło, nie zawsze mają plany. Niedawno jeden chłop wyleciał w powietrze na własnym

podwórku. Zapomniał o minie.

Czasem i przepustka z serbskiego dowództwa nie pomaga. 6 maja kapitan Paweł

Chabiera, zastępca dowódcy 6.

kampanii, udał się na podległe mu posterunki (w tym

wspomniany 63. w Bogovoli), by wręczyć żołnierzom okolicznościowe medale za 6 miesięcy służby w Krajinie. Z powodu blokady nie mogli przyjechać na skromną ceremonię do Maljevaca, siedziby dowództwa kompanii. Tarpan Chabiery ruszył okrężną drogą,

ponieważ bezpośredni szlak został niedawno zaminowany. Towarzyszył mu lekarz i dwóch

żołnierzy. Mieli przepustkę.

– Około trzeciej po południu zobaczyłem z tarasu sztabu Polbatu trzy



wozy pancerne

Serbów zdążające z łośkotem w kierunku Bogovoli – mówi pułkownik Olbrycht. Okazało

się, że piąty korpus bośniackiej armii rządowej, którą od krajińskich Serbów oddziela

między innymi 6. kompania kapitana Chabiera, wykorzystał koncentrację wojsk serbskich

na granicy z Chorwacją i zaatakował osłabione pozycje wroga.

– Chabiera znalazł się w złym miejscu i w złym czasie – mówi Olbrycht. Tuż po

pierwszej dowództwo straciło z nim kontakt radiowy. Żołnierze z posterunku 631.

widzieli, jak jego tarpan został zatrzymany przez kilkunastu serbskich wojników. Polacy stali przez kilka minut z rękami uniesionymi do góry, a następnie zostali zapakowani do samochodu i wywiezieni w nieznanym kierunku.

W ślad za Chabierą pojechało dwóch oficerów ze sztabu. Na drugim szlabanie usłyszeli,

żeby czym prędzej zabierali się do Slunja. Chabiera jest na przesłuchaniu, a sama sprawa wygląda bardzo poważnie.

Rozpoczęły się rozmowy z lokalnym dowództwem serbskim. Po kilku godzinach serbski

pułkownik przywiózł Polaków. Bohaterowie mieli wyraźną ochotę na głębokiego kielicha,

ale mesa oficerska była jeszcze zamknięta.

Dokładnie w tej samej chwili, kiedy jechali z posterunku 631. na 63., Bośniacy

z 5. korpusu ostrzelali pozycje serbskie położone nieopodal polskich posterunków.

Serbowie myśleli, że Polacy wydali Bośniakom ich pozycje albo że 5. korpus zajął już

ONZ-owski posterunek 631. Wpadli w panikę i zatrzymali tarpana. Serbów było około

20. – Chłopcy nawet nie mrugnęli okiem, tylko od razu złapali za broń – mówi kapitan. –

Kazałem im odłożyć broń. Sytuacja była bez szans, a Serbowie w stanie hysterii, jeszcze chwila i pociągnęliby za spusty. Piotr Garba, lekarz 6. kompanii, mówi, że nieprędko zapomni chwile, kiedy jeden z wojników zaproponował kolegom: – Bijemy doktora?

Jeśli ktoś pomyśli, że opisywane wypadki będą długo rozpamiętywane w Polbacie –

popęlnia błąd. Już po wysadzeniu mostu koło posterunku 63., a przed przygodą kapitana

Chabiery, w czasie walk bośniacko-serbskich został kompletnie zniszczony posterunek 42.

Na szczęście załoga została ewakuowana, zanim na baraki spadły wystrzelone z czołgów

pociski.

Podpułkownik Aksamit, zastępca

dowódcy Polbatu, przeżył trzy tygodnie temu gorące

chwile z załadowanym kałasznikowem przytkniętym do piersi, kiedy Serbowie zażądali

zmiany rejestracji jego pojazdu (w myśl nowego ONZ-owskiego mandatu na jego

samochodzie widniał napis UNCRO CROATIA w miejsce starego UNPROFOR, co Serbów

doprowadziło do furii).

– Chorwaci z jednej, Muzułmanie z drugiej, Abdić (sprzymierzony z Serbami

muzułmański watażka wojujący z  
rządowym sarajewskim 5. korpusem  
bośniackim)

z trzeciej. Serbowie pomiędzy, my  
pośrodku tego całego burdelu. Byle  
woda była –

komentuje sytuację jeden z  
podchorążych.

Ale nawet spełnienie tego życzenia nie  
jest takie proste. Poszczególne  
kompanie, a jest ich sześć, muszą  
kombinować na własną rękę. Byłem  
akurat w 6. kompanii. Z terenu powrócił  
jej szef. Sierżant Edward Kapuśniak był  
– delikatnie rzecz określając – mocno  
zdenerwowany. Dotychczas 6. kompania

brała wodę z Velikiej Kladuшы, ale tam była wyłączona energia. W Slunju, gdzie mieści się sztab Polbatu, również nie było wody.

U Serbów sytuacja podobna. Trzeba pojechać do Grabovaca, do 4. kompanii położonej na

drugim końcu terytorium Polbatu. A jeśli Serbowie zamkną dojazd, tak jak to się stało 10

maja, w chwili, kiedy piszę te słowa?

Wiele polskich pozycji jest prawie kompletnie izolowanych. Do położonych w górach



posterunków 307. i 310. przejazd jest teraz dozwolony tylko raz w tygodniu. Więc kilku dwudziestoletnich chłopców, którzy tam siedzą, może liczyć tylko na siebie. W czasie kolejnych blokad, które w Polbacie są czymś tak normalnym, że nie warto tu nawet o nich wspominać, niektóre posterunki były odcięte od świata przez wiele tygodni.

Zdarzało się, że ich załogi żywiła okoliczna ludność, Serbowie i Chorwaci pospołu. Ze

względu na trudno dostępne położenie, na niektórych posterunkach nie ustawiono nawet

prymitywnych baraków. Żołnierze

mieszkają w namiotach, a prowiant  
trzeba często

dostarczać na plecach.

W Polbacie przyjęto mnie życzliwie, ale  
z daleko posuniętą nieufnością.

Pułkownik

Zdzisław Goral, dowódca batalionu,  
zgadzał się na projektowane przeze mnie  
eskapady,

ale cały czas mogłem wyczuć pewien  
dystans. W końcu jeden z podoficerów  
powiedział: –

Jest pan ostatnim dziennikarzem,  
któremu zaufamy.

W tej chwili Polbat kojarzy się w kraju głównie ze śmiercią kaprala Moszyńskiego.

Krążą wieści o pijaństwie i ciemnych interesach polskich żołnierzy.

Przez Polbat przewinęło się blisko trzy tysiące żołnierzy. Co oznacza kilkanaście

incydentów w miejscu, gdzie każdego dnia można stracić życie? Gdzie całymi tygodniami

młodzi chłopcy, zamiast chodzić na dyskoteki w Brzegu, Opolu czy Wrocławiu, znajdują

się pod ogniem artyleryjskim  
Chorwatów, Serbów, Muzułmanów.  
Gdzie strach wejść na

wieżyczkę wartowniczą, bo bywa, że  
jest przecinana serią z kałasznikowów.  
Gdzie 19—

latak widzi wyprute flaki swego  
dowódcy, który nieopatrznie zrobił  
jeden krok za daleko i wyleciał na  
minie. Gdzie syn dowiadyuje się o  
śmierci matki, chłopak o zdradzie  
dziewczyny, ojciec o chorobie dziecka –  
i nic nie mogą na to poradzić, bo ich  
posterunki są zablokowane od wielu dni.  
Gdzie trzeba się mocno pilnować, żeby  
nie zwariować, gdy ogląda się całymi

dniami te same trzysta metrów kwadratowych otoczonych białymi workami z piaskiem.

Dziennikarzy tygodnika „Wprost” zatrwożyło, iż „żołnierze często korzystają

z najprymitywniejszych rozrywek także dlatego, że wojsko nie dba o wypełnienie im czasu wolnego”.

Podpułkownik Olbrycht często powtarza, że w wojsku liczy się sukces, panienki i gorzała. O sukcesie można zapomnieć. Byle zapruty rakiją serbski czy chorwacki wojnik może wydać polecenie całemu konwojowi Błękitnych Hełmów. – Jeśli w Warszawie

podejdzie pijany żul z klamką (pistoletem) i zagrozi pana żonie i dziecku, a ma pan przy sobie spluwę i pan z niej wystrzeli, każdy sąd pana wybroni. A tutaj? Powinien pan jeszcze przeprosić łobuza. ONZ na dobrą sprawę nic tu nie może.

W Krajinie również panienki odpadają. Nie ma okazji. Co najwyżej można sobie

powiesić w baraku zdjęcia z „Playboya” czy „Cats”. – Jak na posterunku nie widzę na

ścianie gołych panienek, to dopiero zaczynam się denerwować, że trafiłem na jakichś

nienormalnych – komentuje Olbrycht.

Jakie więc rozrywki ma zapewnić  
wojsko w izolowanych kompaniach,  
plutonach

i posterunkach? Są miejsca, gdzie nie ma  
nawet wideo czy telewizora kupionego  
za

zrzutkowe pieniądze. Gdy siedzę z  
żołnierzami na posterunku, wystawiając  
się na

promienie słoneczka, mógłbym  
zapomnieć o wojnie.

– Brakuje tylko parasoli i byłyby  
wakacje, a wyjdiesz 10 metrów za

worki z piaskiem

i rozerwie cię na minie – śmieje się  
kapral Piotrek.

Żołnierze jeżdżą co 5–6 tygodni na urlop  
do kraju i wtedy mogą szaleć. W  
Krajnie

powinni tylko pamiętać, jak powtarza  
swoim żołnierzom kapitan Chabiera, że  
to nie ich

wojna i że mają przeżyć.

Cóż jeszcze można powiedzieć?

Mógłbym przywołać przypadki z innych  
batalionów,



przy których Polbat wyda się ochronką dla niemowląt. Lepiej jednak będzie, jeśli powołam się na panią doktor Anjali V. Patil, szefową cywilnego pionu ONZ, której podlega teren zajmowany przez Polaków. Według niej Polbat jest jednym z najlepszych ONZ-owskich batalionów w całej Krajinie, a kto wie, czy nie najlepszym.

Wielu żołnierzy, z którymi rozmawiałem, wychwalało Tadeusza Rocławskiego, lekarza

6. kompanii, skądinąd komandora podporucznika (siedem lat na morzu, w tym rok na

łodzi podwodnej). Jeden z oficerów

powiedział o nim kilka słów, w których zawarta jest dla mnie prawda o Polbacie: – Jeśli Tadek miał stu rannych, potrafił wyselekcjonować dwudziestu, którym pomoc i tak na nic się nie zda. Resztę próbował ratować za wszelką cenę.

Zimą zeszłego roku wojska Fikreta Abdicia uległy ofensywie 5. korpusu. Na terenach

monitorowanych przez Polaków rozlała się fala kilkudziesięciu tysięcy uchodźców,

1. i 6. kompania zmieniły się w instytucje charytatywne. Nie było

pomocy z Czerwonego

Krzyża ani od Wysokiego Komisarza ds.  
Uchodźców. Walki trwały w najlepsze.  
Serbowie

ustawiali stanowiska czołgowe i  
artyleryjskie tuż za polskimi pozycjami.  
Pociski

wybuchwały koło 6. kompanii (a jeden  
nawet na jej dziedzińcu), ale, jak  
opowiada jeden

z oficerów sztabowych, „mieliśmy już to  
kompletnie w dupie. Siedzieliśmy w  
mesie lub

barakach i słuchaliśmy muzyczki”.

– Wtedy po raz pierwszy w życiu  
widziałem noworodki z ranami  
postrzałowymi –

opowiada Rocławski – zużyłem cały  
zapas leków. Nie zostało nic dla naszych  
żołnierzy.

Kiedy przynosiłem środki  
przeciwbólne uchodźcom, czułem się  
jak ksiądz rozdający

komunię. Kierowcy z naszej kompanii  
służyli za sanitariuszy.

Któregoś dnia Rocławski siedział w  
kompanijnej karetce, kiedy przyszło  
dziecko, a jeden z Serbów wcisnął rękę  
z zaciśniętym granatem i powiedział, że

jeśli go polski lekarz nie opatrzy,  
wysadzi cały interes w powietrze.

Rocławski jest jedynym lekarzem w  
promieniu 30 kilometrów, więc tłumnie  
wałą do

niego okoliczni Serbowie. Ani on, ani  
jego dowódcy nigdy nie odmawiali  
pomocy. Na

katolickie Święta Wielkanocne jeden z  
prawosławnych pacjentów przyniósł do  
6. kompanii własnoręcznie zrobione  
pisanki.

Nikt nie mówi, że Polbat jest ideałem.  
Mógłbym przywołać słowa sierżanta  
Kapuśniaka,

szefa 6. kompanii: „Raju na ziemi za chują nie będzie”. Tłumacząc to na język

powszechnie stosowany, miało oznaczać, że polscy żołnierze i tak nie dokonają cudu

w Krajinie, nie zakończą brudnej wojny. Mogą jedynie pomóc na tyle, ile mogą. Czyli

prawie wcale.

Kiedy pytałem żołnierzy na szczególnie oddalonych i zagrożonych posterunkach, co jest

gorsze – cisza i nuda czy kulenie się pod ostrzałem, śmiali się: – Pewnie, że

lepiej, kiedy się napieprzają,  
przynajmniej nikt nam nie robi kontroli.

Żołnierze nie cierpią inspekcji ze sztabu  
w Slunju. Jeszcze gorsze są dla nich  
naloty

z Polski. – Przyczepiają się do  
wszystkiego – niedokładnie  
wyczyszczonych butów i innych  
dupereli. Każda nowa zmiana kadry  
stara się tu wprowadzić dryl, a jak  
zacznie się strzelanie na ostro, to wtedy  
jesteśmy dla kadry kumple.

– To nie do końca tak – mówi  
podpułkownik Aksamit, przywoływany  
przez wielu

żołnierzy jako pozytywny przykład oficera, który nie boi się jeździć na posterunki, kiedy jest naprawdę gorąco.

– W czasie walk mamy często zakaz opuszczania sztabu. Żołnierze na swoich pozycjach

odbierają naszą nieobecność jako dowód strachu. Ale jest też faktem, że dla niektórych sztabowców taka sytuacja stanowi wygodny pretekst, żeby nie ruszać się ze Slunja.

Specyfika jugosłowiańskiej misji: w Polsce kapral jest odpowiedzialny co najwyżej za

wyczyszczenie kibla. Tutaj decyduje



często przez wiele samotnych tygodni o losie

strategicznego posterunku. Sztab nie jest w stanie kontrolować kompanii, kompania

plutonu, a pluton drużyny na posterunku. A posterunków jest ponad 50. – Tu nie ma

MON-u, nie ma koszar. Żeby żyć, muszę na własną rękę, opierając sprawę o bar,

dogadywać się z miejscowymi Serbami – mówi oficer jednej z oddalonych kompanii. – Jak

zaczyna być nerwowo, to ja załatwiam

sztabowcom przyjazd do nas, a nie na odwrót.

Zgoda znajomego Serba stojącego na szlabanie jest często więcej warta niż oficjalne pismo od jego dowódców.

Zarówno kadra, jak i żołnierze przyznają, że wzajemne stosunki są dużo lepsze niż

w Polsce. W ekstremalnych warunkach jeden musi liczyć na drugiego. Misja jest

dobrowolna. Jeśli oficer przegnie pałę, żołnierz może zjechać do kraju. Zresztą wielu nie wytrzymuje stresów dnia codziennego wojny. Tylko od grudnia nie powróciło z urlopów ponad stu

żołnierzy, cała kompania.

Przyjeżdżają tu przede wszystkim, żeby zarobić. Na mieszkanie, na samochód, na

leczenie dziecka. Pytają, dlaczego żołnierz dostaje 580 dolarów miesięcznie (wliczając w to 3 dolary dziennie dodatku wojennego – „trupnego” według określenia podpułkownika Olbrychta), skoro ONZ daje Polsce 980 dolarów na człowieka. Co się dzieje ze znikającymi pieniędzmi? Czesi zarabiają 900 dolarów.

Żołnierze Polbatu powtarzają sobie każdego dnia: – Pamiętaj, to nie twoja

wojna, masz

ją przeżyć.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Polityce” 1995/20.

# Delegacja

Wiosną 1995 roku w polskim batalionie w Krajinie zginął żołnierz, kapral Piotr

Moszyński. W pierwszej wersji: od kuli snajpera. Serbskiego albo chorwackiego, bo Polbat znajdował się między pozycjami dwóch armii, a nawet trzech, ponieważ za plecami miał

jeszcze wojska muzułmańskie. Potem ze strony Ministerstwa Obrony Narodowej pojawiły

się informacje, że to był nieszczęśliwy wypadek, ale w dosyć kuriozalnej wersji: rzekomo dwóch żołnierzy nożem

otwierało puszkę czy butelkę, jednemu  
nóż się omsknął i dźgnął

w udo, samego siebie albo tego  
drugiego. Wojsko, jak to wojsko, nie  
było skłonne do

zasypywania dziennikarzy informacjami.  
Pozostawały spekulacje, co też w  
zasadzie dzieje się w tym batalionie  
działającym w warunkach frontowych,  
bo nigdy za wiele przypominania, że  
internetu w dzisiejszym rozumieniu nie  
było, żołnierze, ani ich koledzy czy  
bracia blogów nie prowadzili, mejli nie  
słali, więc nie było co wklejać na  
Facebooka.

W sumie jak w marzeniach

Kononowicza, nie było niczego.

Na kolegium, na którym dyskutowano o sprawie, Jerzy Baczyński, naczelny „Polityki”,

spytał, czy Meller by się nie przejechał na wojenkę do polskich żołnierzy.

Meller

oczywiście by się przejechał i zaraz zaczął sprawdzać, jak też może do nich się dostać. No i zaczęły się schody.

Polbat stacjonował jako część sił Organizacji Narodów Zjednoczonych na terytorium

formalnie chorwackim, zajmowanym

przez Serbów, którzy to Serbowie  
urządzili swoją

Republikę Serbskiej Krajiny, której  
oczywiście nikt nie uznawał poza Serbią  
właściwą,

zwaną jeszcze wówczas Jugosławią, ale  
do jej ambasady nie miałem się po co  
zwracać, bo przecież nie mają nic  
wspólnego z Krajina, a skąd. Zresztą na  
logikę wydawało się, że najłatwiej  
pójdzie przez Ministerstwo Obrony  
Narodowej. Logika bywa zgubnym  
doradcą.

Okazało się, że muszę napisać podanie o  
rozmiarach zbliżonych do *Pana*  
*Tadeusza* do MON-u, MON je przekaże



do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, MSZ do Nowego Jorku do Organizacji Narodów Zjednoczonych, ONZ do swego przedstawicielstwa w Zagrzebiu,

Przedstawicielstwo z Zagrzebia do swego oddziału w Kninie, stolicy Republiki Serbskiej Krajiny, oddział w Kninie do dowództwa Polskiego Batalionu w Slunju. Gdzieś tam po drodze podanie jeszcze musiało przeskakiwać między cywilami i mundurowymi, no i jeżeli dowództwo w Slunju byłoby tak miłe, że chciałoby pozwolić reporterowi Mellerowi na dostanie się do Republiki Serbskiej Krajiny, to już w zasadzie czysta formalność: zgoda poszłaby ze Slunja do

Knina, z Knina do Zagrzebia, z  
Zagrzebia do Nowego Jorku  
(pamiętajmy o przeskakowaniu między  
wojskiem i cywilami), z Nowego Jorku  
do

Warszawy do MSZ, z MSZ do MON i z  
MON już tylko telefon, nie, telefon byłby  
za

prosty, pewnie jakiś faks do redakcji  
„Polityki”, że rzeczony Meller może  
sobie wpaść do Slunja.

Napisałem to podanie, złożyłem w  
MON-ie, czekałem, wydzwaniałem z  
pytaniem, czy

coś wiadomo, aż mnie mieli coraz

bardziej dość i pogrążałem się we frustracji, która

osiągnęła poziom krytyczny, gdy ileś dni później Baczyński zaczepił mnie na korytarzu: –

To ty jedziesz do tej Krajiny czy odpuszczamy?

No jakbym po pysku dostał. Całkiem słusznie i kompletnie nie za swoje grzechy.

Niewiele się namyślając, wiedząc, że wóz albo przewóz i że za chwilę stracę szansę na

wyjazd, odpowiedziałem, że wszystko

załatwione i lecę pojutrze. „OK, powodzenia!” –

odparł zadowolony naczelny, a ja się zastanawiałem, jak wybrnę z sytuacji, w którą sam się właśnie wpędziłem. MON milczał, nie miałem więc żadnej możliwości dostania się do Krajiny z polskim wojskiem ani z żadnym innym, od strony Serbii było to w tamtych

realiach niewykonalne. Pozostawało liczenie, no właśnie, ciekawe, na co liczyłem?

Najwyraźniej po prostu znów, tak jak wiele razy w życiu, miałem nadzieję, że jakoś to

będzie – bo jak ma nie być, skoro ma być?

Tu dygresja na pozór absurdalna, acz uzasadniona psychologicznie, co się za chwilę

okaże. Cofnijmy się nieco w czasie. Był lipiec 1988 roku. Miałem 20 lat, oblałem

najważniejszy egzamin po pierwszym roku, czyli historię starożytną u profesora

Włodzimierza Lengauera, późniejszego prorektora uniwersytetu. Oblałem całkiem

słusznie, bo przez poprzednie miesiące o wiele bardziej niż historia starożytna zajmowała mnie działalność w nielegalnym Niezależnym Zrzeszeniu Studentów – kolportaż na uniwerku podziemnych wydawnictw, demonstracje, zadymy, narady w zadymionych

pomieszczeniach, balangi, gdzie knucie mieszało się z bardzo wesołym życiem

towarzyskim, krótko mówiąc wszystko to, co można by wzniośle nazwać walką o wolną

i demokratyczną Polską, a co przy okazji było fantastycznym czasem i doświadczeniem,

jakie przydarza się raz w życiu, a niektórym nigdy.

Więc do egzaminu zabrałem się w ostatniej chwili i poległem z kretesem. U Lengauera

błyskotliwością się nie nadrabiało, mogła być dodatkiem do porządnej porcji wiedzy, a tej mi zwyczajnie brakowało. Doszliśmy ledwie do Aleksandra Macedońskiego, Rzymu nawet nie tknęliśmy, kiedy pan profesor zasugerował powrót jesienią na poprawkę. Żarty się

kończyły, gdybym zawalił drugi termin, czekała armia. Cóż było robić? Siedziałem

w Warszawie, czasem na działce rodziców pod Pułtuskim i ryłem. Poza klasycznym

przełędem historii starożytnej, codziennie pięćdziesiąt stron z Biblii Tysiąclecia na pamięć, bo znane było zamiłowanie Lengauera do odpytywania z Pisma. Można było wówczas mnie budzić w środzku nocy, Kohelet nie Kohelet, księgi profetyczne,

dydaktyczne, Goliat, Hiob, Pieśń nad Pieśniami, Jozue, Samuel, Ewangeliści, nie było

świadka Jehowy, który by mnie przebił w znajomości Księgi.



A jednocześnie zjechał do mnie młody Francuz, syn znajomych taty z Paryża, którym

miałem się zająć, doskonaląc swą kulawą francuszczyznę przyswajaną w Instytucie

Francuskim. Ważniejsze było, że dzięki gościowi mogłem choć na chwilę oderwać się od

książek i biblijnych rzezi. Któregoś dnia, pamiętam, że była piękna słoneczna pogoda,

snuliśmy się po Starym Mieście i zaszliśmy do kawiarni Krokodyl na Rynku. Po schodach

z nawrotem na pierwsze piętro.

Usiedliśmy i od razu zauważyłem dziewczynę parę stolików dalej. Wydała mi się

zjawiskowa. Była z koleżanką. Co chwilę zezowałem na bok i widziałem, że dziewczyna

też mi się przygląda, a nawet uśmiecha. Zupełnie nie byłem w stanie skoncentrować się

na rozmowie z Francuzem, *passé composé*, czas przeszły złożony dokonany mylił mi się z *l'imparfait*, czasem przeszłym prostym niedokonanym i zastanawiałem się, jak

zagadać, kiedy podejde, żeby za bardzo się nie zbłaźnić, zwłaszcza że miałem się produkować w obecności cholernej koleżanki. I wtedy, a wszystko działo się przez następne sekundy jak na zwolnionym filmie, dziewczyny podniosły się, piękna nieznajoma jeszcze przelotnie omiotła mnie wzrokiem, i wolno ruszyły ku wyjściu. Siedziałem jak sparaliżowany w swej młodzięcej nieśmiałości, one znikwały już w tunelu schodów, zgasilem szybko papierosa i rzuciłem do Francuza, że zaraz wracam.

Pobiegłem za nimi, ale już wyszły z kamienicy, a na Rynku tego dnia, o tej porze był

dziki tłum. Pamiętam to niezwykle silne  
słońce atakujące oczy, gwar  
beztroskiego tłumu, w którym – po  
lewej, po prawej, przed sobą –  
próbowałem wypatrzeć dziewczynę.

Rozpychając i potracając przechodniów,  
pobiegłem Nowomiejską w stronę  
Barbakanu,

zawróciłem i rzuciłem się Świętojańską  
w stronę placu Zamkowego. I jeszcze  
Celną

w stronę Góry Gnojnej i Mostowej. Nic,  
ani śladu. Wróciłem spocony i wściekły  
do

Krokodyla, Francuz patrzył na mnie jak

na szaleńca, ale wyczuł, że lepiej się nie odzywać.

Nie mogłem o niej przestać myśleć.  
Francuz wyjechał, a ja codziennie  
zachodziłem do

Krokodyla, zamawiając jedną herbatę, a  
kelnerki nie przewracały oczami i nie

komentowały głośno mego bieda-  
zamówienia, jak to miały w zwyczaju w  
tym szykownym

lokalu. Bo wiedziały, po co przychodzę.  
Bo następnego dnia wróciłem i  
prosiłem, żeby

powiedziały, że jej szukam, gdyby się

znowu pojawiła. Chyba nawet się  
wzruszyły pod

tymi swoimi maskami cynicznych  
znawczyń życia, co to wszystko  
widziały, w fartuszkach

i pluszowych kapciach wsuwkach.

Minęło kilka tygodni, siedzieliśmy z  
rodzicami przy obiedzie, kiedy mamie  
nagle coś się przypomniało: – A Józek z  
Danką wpadli do nas na wieś i mówili,  
że nie poznałeś ich Oli na Starym  
Mieście.

Tadam! Serce waliło mi jak młotem.  
Ola, którą pamiętałem jako maleńkiego  
berbecia,

była młodsza ode mnie, mogłem faktycznie jej nie poznać, a ona mnie tak i stąd te

spojrzenia i uśmiechy. Nie czekając deseru, pognałem do pokoju taty, gdzie był telefon (Przypominam! Nie było komórek!), zamknąłem się i wybrałem szybko numer państwa C., których znałem, a raczej oni mnie od dziecka.

Specjalnie się nie zdziwili, że chcę rozmawiać z ich córką, a ona była na szczęście

w domu. Sprzedałem opowieść, w sumie nie tak znowu kłamliwą, że tak mi strasznie

głupio, iż jej nie poznałem, że  
koniecznie musimy się spotkać, bym  
mógł godnie

przeprosić. Zgodziła się. Umówiliśmy  
się – a jakże! – na Starym Mieście, pod

Barbakanem. Czekaając na spotkanie, nie  
mogłem spać ani znaleźć sobie miejsca,  
dusiłem

się. Na miejsce dotarłem grubo przed  
czasem.

I to nie była ona.

Znaczy to była Ola, córka przyjaciół  
rodziców, ale Ola nie była dziewczyną z  
Krokodyla.



Pamiętam, że wyginałem twarz w  
wyszczерzu, by nie zachować się  
niegrzecznie, nie dać

poznać po sobie kłującego tępo  
rozczarowania. Ale też tego dnia  
przysięgłem sobie, że

nigdy więcej nie chcę żałować czegoś,  
co powinienem był zrobić, a czego nie  
zrobiłem,

i w nieskończoność zamęczać się  
myśleniem, co by było gdyby.

Proszę bardzo, mogę się mylić, podjąć  
pochopne pod wpływem chwili decyzje,  
może

nawet brawurowe, nieroztropne i głupie, ale przynajmniej będę wiedział, czy postąpiłem słusznie. I dlatego powiedziałem Baczyńskiemu, że wszystko załatwione i lecę do polskiego batalionu w Krajinie.

Miałem nazwiska kilku oficerów Polbatu, ale byli po drugiej stronie linii frontu,

w Krajinie. Miałem kontakty do kilku chorwackich dziennikarzy, ale gdy rozmawiałem

z nimi przez telefon, nie wpadli w zachwyty na myśl, iż mieliby mi pomagać w przedostaniu się na serbską stronę.

Miałem zamiar do polskiego oficera łącznikowego

przy biurze ONZ w Zagrzebiu, ale jedyne, co mi miał do powiedzenia, to że bez oficjalnej zgody z trzystu piętnastoma pieczęciami nie mam w ogóle po co przylatywać do Zagrzebia, a wręcz sobie zaszkodzę, bo jeżeli przyjdzie zezwolenie, to do Warszawy, i tam będę je musiał odebrać.

A jednak kupiłem bilet na najbliższy lot. Na Okęciu spotkałem mamę dawnego przyjaciela, której się przypomniałem, licząc, że a nuż mi pomoże przez swe kontakty

w Zagrzebiu, które posiadała jako tłumaczka. Nie robiła specjalnych nadziei. Mogła pomóc z noclegiem i w zorganizowaniu spotkań z chorwackimi intelektualistami, gdybym był

zainteresowany. Stało się na tym, że weźmiemy razem taksówkę do centrum.

Samolotem leciało kilku wyższych rangą polskich oficerów, którym się przedstawiłem,

bardzo dokładnie wymawiając nazwę „Polityka”, licząc, że może zrobi na nich wrażenie.

Nie zrobiło. Lecieli z wizytą do cholernego Polbatu i oczywiście w

niczym nie mogli mi pomóc.

Na lotnisku w Zagrzebiu, chyba jeszcze przed odprawą paszportową i stanowiskami

odbioru bagażu, stała grupka polskich mundurowych, ewidentnie czekających na

delegację z samolotu. Już miałem ich minąć, kiedy zobaczyłem, że jeden trzyma kartkę

z napisem „Pan Meller”. Ki czort? Któryś z ważnych trepów nazywa się Meller i ja o tym nie wiem? Tak na wszelki wypadek podszedłem do żołnierza z kartką powiedziałem zgodnie

z prawdą, żeby zobaczyć, co się stanie:

– Jestem Meller.

– O! Świetnie – odparł żołnierz. – No to idziemy.

Hmm, przygoda przygodą, ale żeby tylko nie przegiąć pały, w końcu to wojsko na wojnie, poczucie humoru nienachalne.

– Na pewno panu chodzi o mnie? – zwróciłem się do żołnierza

– Marcin Meller, tak?

No tak. Jeśli tak, to tak. Co prawda słyszałem później jeszcze o trzech

Marcinach

Mellerach: pierwszoligowym  
koszykarzu, członku ekipy realizacyjnej  
*Świata według*

*Kiepskich* (znajomi często się dziwili,  
że tam dorabiam) i wielokrotnym  
mordercy (o czym dowiedziałem się z  
artykułu o skazanych na dożywocie w  
konkurencyjnym wobec „Polityki”  
„Wprost”, który nazwisko akurat tego  
zwyrodnialca wybił grubo i w ramkach,  
co nawet mnie rozbawiło), ale skoro na  
lotnisku w Zagrzebiu polski goniec  
wojskowy

czeka na Marcina Mellera, a na mnie i

tak nie czeka nic poza noclegiem w  
kiepskim

hotelu, to czemu nie dać się zaskoczyć?  
Przecież nikogo nie oszukuję. No  
prawie.

– To idziemy – odparłem.

– Niech pan odbierze bagaże i da mi  
swój paszport. Załatwię formalności i  
wyrobię

przepustkę – zaordynował żołnierz.

No coraz lepiej. Zachodziłem w głowę,  
o co tu do cholery chodzi, ale robiłem,  
co mi



kazali. Jedno biuro, drugie, czy mam zdjęcie paszportowe, mam, zawsze miałem na

wyjazdach kilka odbitek na wszelki wypadek, bardzo dobrze, tu się proszę podpisać,

jeszcze pieczętka, w biurze załatwimy oenzetowską blachę, pan sobie przypnie, żebyśmy

wiedzieli, kto jest kto, proszę nie odchodzić, samochody czekają kawałek od wejścia, żeby pan mi się nie zgubił, bo generał się zdenerwuje, jaki znowu generał, w co ja się pakuję?

Za chwilę już siedziałem w

pomalowanym w ONZ-owskie barwy  
wielkim terenowym,

wojskowym pojeździe i ruszyliśmy.

Pomyślałem, że prostym pytaniem sobie  
nie

zaszkodzę.

– A dokąd teraz jedziemy?

– Do Mościenicy.

Do Mościenicy? Jasny gwint! To  
przejście z Chorwacji na stronę serbską,  
do wymarzonej

przez mnie Krajiny. Ja chyba śnię. To nie  
dzieje się naprawdę. Zaraz ktoś

wyskoczy

i krzyknie: „Jesteś w ukrytej kamerze!”.

Przejście w Mościenicy okazało się zamknięte. Serbowie twierdzili, że chwilę wcześniej

zaatakowali ich Chorwaci, że mają zabitych i rannych i zaminowali drogę. Musieliśmy

wracać do Zagrzebia. Przy kolacji w stołówce starałem się słuchać rozmów polskich

wojskowych, żeby zrozumieć, co się dzieje, dlaczego mnie wzięli ze sobą. Do niczego nie doszedłem. Kiedy rano

się obudziłem, bałem się, że nikogo nie będzie, że to wszystko był

jakiś głupi sen. Ale już czekał na mnie ordynans i poganiał, że jestem spóźniony. Znowu do samochodu i na inne przejście, do Vojnovaca.

Przejechaliśmy bez problemu i po kilku godzinach byliśmy w Slunju, w sztabie Polbatu. Pokazano mi mój pokój w baraku, takim, jakie stawiają na zapleczach budów, i wszyscy zniknęli. Był 2 maja, co się okaże istotne w tej opowieści.

Wziąłem prysznic i zacząłem się snuć po koszarach, zagadując żołnierzy, ale cały czas

miałem wrażenie jakiejś surrealistycznej nierzeczywistości. Zaszedłem do sztabu i mówię, że chciałbym pojechać na wysunięte posterunki, a wszyscy patrzą na mnie jak na niedorozwoja.

– Ale pan generał będzie jutro przyjmował defiladę i wręczał okolicznościowe medale

z okazji święta 3 maja.

– No bardzo fajnie, ale mnie bardziej ciekawią te wysunięte posterunki – mówię.

A oni patrzą się po sobie i widzę, że coś jest nie tak, ale nikt mi niczego nie tłumaczy.

Trudno. Zostawiłem sztabowców, polazłem do koszar i chodząc od żołnierza do żołnierza, trafiłem w końcu na oficera, który jechał następnego dnia na jakiś zapomniany przez Boga i sztab posterunek i, proszę bardzo, skoro pana tu wpuścili, to ja mogę pana zabrać.

Bomba.

Następnego dnia pojechaliśmy i nie było już sztabowej okrągłej Francji elegancji, tylko przyfrontowy konkret, otwarte rozmowy z żołnierzami, cały syf życia w ciągłym strachu, głuche echa wybuchów i strzałów, to, o co mi chodziło. Mój oficer musiał wracać do Slunja, bał się wziąć na siebie odpowiedzialność za

pozostawienie mnie na posterunku

i powiedział, że jeśli tylko załatwię sobie w sztabie zgodę, to on mnie może gościć i tydzień u swoich chłopaków. Ale bumaga musi być. OK, i tak mi bardzo pomógł.

Kiedy następnego dnia rano wszedłem w Slunju do stołówki, przywitały mnie

spojrzenia, które gdybym nazwał zdziwionymi, to nadużyłbym terminu eufemizm.

Słowiańskie wojskowe oczy pytały: „a co ty, do kurwy nędzy, tutaj robisz?!”. W wersji

werbalnej usłyszałem:

– A co pan redaktor tutaj robi?

– No przyszedłem na śniadanie.

– Ale delegacja już wyjechała.

– No, ale co to ma ze mną wspólnego?

– Jak to co?! Przecież przyjechał pan obsługiwać wizytę generała. Jest pan jego

dziennikarzem z MON-u.

– Jakiego MON-u? Ja jestem reporterem „Polityki”. Przyjechałem napisać o was.



O Polbacie.

– Ale jest pan przecież członkiem  
oficjalnej delegacji ministerstwa na  
obchody święta 3

maja!

Poczułem się jak śledczy w kryminale,  
któremu nagle rozrzucone puzzle  
tajemnicy

zaczynają się układać w zaskakującą  
całość. Oni naprawdę myśleli, że jestem

przydupasem jakiegoś oficjela ze Sztabu  
Generalnego. Wydawało im się  
normalne, że

generał ważniak ma swojego chłopca z „Polityki” na posyłki, co to za nim jeździ i chwali w druku, opisując defilady i wręczanie medali.

Ale najlepsze było co innego, a mianowicie dlaczego myśleli, że jestem członkiem tej

delegacji. O tym dowiedziałem się później. Pamiętacie film *Przyjęcie* z Peterem Sellersem?

Nieudaczny aktor, który powoduje katastrofę na każdym planie zdjęciowym, zostaje

wciągnięty na czarną listę ludzi, których nigdy, pod żadnym pozorem nie należy

zatrudniać. I traf sprawia, że Ważny Producent, który go na tę listę wciąga, kreśli jego nazwisko na, jak mu się wydaje, czystej kartce. Ale jest to przykryty jakimiś innymi papierami dół strony z listą gości na wyprawiane przez jego żonę przyjęcie. I sekretarka, przepisując, dołącza nieszczęsnego Sellersa do hollywoodzkiej śmietanki. Czego efektem jest oczywiście fantastyczna katastrofa, przy której Grek Zorba wychodzi na amatora. No i ze mną było podobnie.

W którymś momencie mój wniosek złożony w MON-ie, jak już sobie pożeglował przez

MSZ za ocean i z powrotem, wylądował w Slunju u batalionowego pisarczyka na biurku,

na którym to meblu pyszniła się również lista oficjeli Ministerstwa Obrony Narodowej,

przybywających z okazji święta 3 maja z oficjalną delegacją do polskiego batalionu

w Krajinie. No i wygląda na to, że kiedy ktoś tę listę przepisywał, to z rozpędu,

przypadkiem, dopisał moje zacne nazwisko.

Gdybym poleciał dzień wcześniej albo

dzień później, każdego innego bożego dnia, tobym

utknął w statecznym, mieszczańskim Zagrzebiu i wracał wystawiony na szyderstwa, że

niby taki chojrak, a do Krajiny się nie dostałem. Bo tylko wtedy, tego 1 maja, kiedy

leciała delegacja z MON-u, na lotnisku w Zagrzebiu czekał ordynans z karteczką „Pan

Meller”, przekonany, że jestem członkiem rządowego nalotu. A ja byłem w tym samolocie.

A teraz zostałem w Krajinie, delegacja pewnie już przejechała na chorwacką stronę

i wojskowi nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Więc poprosiłem grzecznie, żeby mi pozwolili zostać i pojeździć po posterunkach. Moja ONZ-owska przepustka była ważna jeszcze 11 dni. Zgodzili się i w zasadzie od tej pory pozwalali mi robić co chciałem, a nawet więcej.

Któregoś dnia zapytałem, czy nie dałoby się przejechać do Velikiej Kladuży w Bośni,

kontrolowanej przez Muzułmanów, ale sprzymierzonych z Serbami. Chłopaki

podrapały

się po głowach, poprosiły, bym, broń Boże, nie opisał tego w swojej gazecie, i powiedziały, co wymyśliły.

Następnego dnia na posterunku granicznym wydawałem ciche jęki. Leżałem na noszach

w wojskowej karetkce. Głowę miałem częściowo zabandażowaną i widoczne ślady krwi.

Aha, i byłem w polowym mundurze majora, który cieszył w Polsce żonę swą obecnością,

a tak się dobrze złożyło, że był mniej

więcej mojego wzrostu. Musiałem pilnie trafić do szpitala w Velikiej Kladuży. I Serbowie, i Muzułmanie puścili bez problemu. Na tyłach szpitala cudownie ozdrowiałem, zdjąłem bandaż, ale zostałem w mundurze, do czego nie

mogłem się przyzwyczaić, bo napotykałem na ulicy żołnierze Błękitnych Hełmów, i to nie

tylko polscy, energicznie mi salutowali, a ja się nerwowo wzdrygałem. Polak potrafi!

Zabrali mnie nieopodal Bihacia na negocjacje między Serbami i Muzułmanami



w sprawie wymiany zwłok.

Moderatorem spotkania pod namiotem na ziemi niczyjej był

40-letni Szwed z Czerwonego Krzyża.

Procedura była taka, że strony miały rozmawiać za

jego pośrednictwem, no i tłumacza. Już po pierwszej wymianie zdań dyskutanci

zapomnieli o Szwedzie i rozmawiali tylko ze sobą po serbsku. Kłótnie o trupy – nasze,

wasze, a właśnie, że nie nasze, bo przecież obrzezane, skąd wiecie, że obrzezane, przecież już się rozkładają, a może to od Abdicia, a może... – tragedia

i groteska. Załatwili sprawę zwłok i dalej się pytać, co słyszać u Ivany, czy nadal taka piękna i czy ma już dzieci, jak tam Mirza i jego bracia, czy działa jeszcze ten klub bilardowy... Jakiś dowcip wywołał

salwę śmiechu. Szwed przyglądał się oszołomiony. Bo to wszystko byli koledzy z jednego miasta, z tych samych ulic i podwórek, z jednego biura.

Kiedy kończyła się ważność przepustki, oficerowie z Polbatu chcieli – i w sumie musieli – mnie odstawić z powrotem do Zagrzebia, ale poprosiłem ich o podwózkę do

Knina. Po pierwsze, chciałem napisać jeszcze jeden reportaż, tym razem o Serbach, po

drugie, zamierzałem w tamtejszym sztabie Błękitnych Hełmów załatwić sobie

przedłużenie ważności przepustki, żeby posiedzieć jeszcze ze dwa tygodnie. Co okazało się kolejnym problemem, bo tym razem holenderscy czy skandynawscy biurokraci zaczęli mi tłumaczyć, że powinienem był wyjechać z delegacją, niby przepustka jest jeszcze ważna

dwa dni, ale de facto jestem nielegalnie i proszę się o kłopoty, i mam natychmiast opuścić Krajinę,

przejeżdżając na stronę chorwacką, jutro jedzie konwój, którym mogę się zabrać.

Czego oczywiście nie zrobiłem, a że nie spałem w ONZ-owskim kompleksie, tylko u ludzi

na mieście, to nawet nie mieli jak mnie znaleźć. Wyrobiłem sobie przepustkę

u miejscowych serbskich władz, z którą mogłem w miarę swobodnie się poruszać, a że

była wystawiona na „Politykę”, a tak samo nazywała się nacjonalistyczna gazeta

z Belgradu, to brali mnie za jej

dziennikarza, mimo że przebóg, po serbsku nie mówiłem.

Ale skoro nasi uważali, że pracuję w MON-ie, to dlaczego Serbowie nie mogli przyjąć, że ich gazeta zatrudniła cudzoziemca? Ważne, że legitymacja robiła niezłe wrażenie na różnych komendantach.

Do biura ONZ wróciłem, kiedy przepustka z Zagrzebia straciła ważność. Powitały mnie

spojrzenia jak dwa tygodnie wcześniej na stołowce w Slunju. A ja bezradnie rozłożyłem

ręce i zapytałem, co mam teraz zrobić,

żeby wrócić do Zagrzebia. Wiedziałem, że nie będą mieli wyjścia, muszą mi wystawić nowy dokument, bo inaczej nie będę mógł przekroczyć linii demarkacyjnej, a im nie jest potrzebny do szczęścia dziennikarz, który utknął

w Krajinie. Wiedziałem też, że to wszystko potrwa: bo muszą zwrócić się do Zagrzebia

o nową przepustkę, w Zagrzebiu nie będą wiedzieć, o co chodzi i skąd się wzięłam, bo

formalnie mnie w tej Krajinie już nie było, dwa tygodnie wcześniej opuściłem ja

z ministerialną delegacją. Czyli, krótko mówiąc, miałem spokój. Kiedy pod koniec maja

dostałem nową blachę, to aż się wzruszyłem, była wstecznie datowana i ważna na trzy

miesiące.

\*

Kiedy wymarzyłem sobie wyjazd do Iranu w 1998 roku, chciałem tam jechać na półtora

miesiąca. „Polityka” dawała kasę na dwa tygodnie, ale miałem pieniądze z „Vrij

Nederland”, takiej holenderskiej „Polityki”, która wcześniej drukowała moje afrykańskie reportaże.

Wizę turystyczną dostawało się wówczas w miarę bezproblemowo, ale ja musiałem

wystąpić o dziennikarską i odbyć rozmowę z jego ekscelencją ambasadorem, który mnie

wypytywał, jakież to aspekty życia w Islamskiej Republice Iranu ciekawią mnie

i sprawiają, że chcę się tam wybrać. Sadziłem bezpieczne ogólniki, podkreślając



kilkukrotnie, jak istotny jest czas,  
dlatego proszę o wizę na sześć tygodni.  
Następnie złożyłem formalny wniosek i  
czekałem. Trwało to irytująco długo, bo  
mój wniosek czekał

na rozpatrzenie w Teheranie. Zdążyłem  
jeszcze w międzyczasie pojechać do  
Czeczenii

i wrócić, a gdy w końcu łaskawie wizę  
przyznano, to okazało się, że tylko na  
dwa

tygodnie. Próbowałem interweniować,  
ale bez skutku. Usłyszałem, że to decyzja  
Teheranu i oni w ambasadzie niczego nie  
mogą zrobić.

A co z możliwością przedłużenia na miejscu? Mogę próbować w Ministerstwie Kultury

i Przewodnictwa Islamskiego.

Spróbowałem. Powiedzieli, że nie przedłużą i mam wyjechać w terminie. I wtedy

wpadłem na pomysł nieco ryzykowny, ale wart sprawdzenia. Wiedziałem, że w głównych

miastach regionów są biura do spraw cudzoziemców, w których można w uzasadnionych

przypadkach przedłużyć maksymalnie

dwukrotnie wizę turystyczną. A moja

dziennikarska z nazwy wyglądała  
dokładnie tak samo jak turystyczna.

Problem tkwił

w tym, że nie mogłem powiedzieć w  
Isfahanie czy Szirazie, że jestem  
dziennikarzem, bo

z automatu skierowaliby mnie do  
Teheranu do Ministerstwa Kultury i  
Przewodnictwa

Islamskiego, a tam nie czekałby komitet  
powitalny z kwiatami. Ale nie chciałem  
też,

a raczej bałem się przesadnie kłamać, że

jestem na przykład nauczycielem, bo gdyby ktoś zaczął sprawdzać, to mógłbym zarobić nawet oskarżenie o szpiegostwo czy coś równie sympatycznego. Cóż więc podać? Wpisałem *columnist* (felietonista, publicysta), więc w sumie nie mijałem się jakoś dramatycznie z prawdą, a szanse, że urzędnik w prowincjonalnym biurze skojarzy, w czym rzecz, nie były za wielkie. Pierwszy nawet

się pytał koślawym angielskim, co to takiego ten *columnist*, ale ja udawałem, że mówię jeszcze gorzej od niego, więc sobie nie pogadaliśmy, machnął ręką i wbił stempel. Drugi rzucił okiem i o nic nie pytał, natomiast kiedy skończyło się

to drugie przedłużenie, musiałem udać się ponownie do Ministerstwa Kultury i Przewodnictwa Islamskiego

w Teheranie i niestety do tego samego urzędnika, który mówił, że mi nie przedłuży wizy i że mam wyjechać w terminie. Trochę się niepokoiłem, jak zostanie zinterpretowana moja bezczelność, ale skończyło się na żądaniu okazania biletu powrotnego (miałem, na za dwa dni) i ostrzeżeniu, że jeżeli nie polecę tym samolotem, zostanę aresztowany.

A po powrocie, gdy się ukazał tekst *Irańczyk z Iraną na próbę zadzwonił do mnie asystent jego ekscelencji*

ambasadora, zapraszając na pogawędkę. Uznałem, że z ambasady mnie nie porwą i poszedłem. Pan ambasador się uśmiechał, częstował herbata

i fantastycznymi orzechami pistacjowymi ze swego kraju, pytał, jak mi się w Iranie

podobało, cieszył się, że i owszem, bardzo, a następnie przeszedł do rzeczy. Wziął do rąk plik leżących na stoliku kartek i powiedział, że irańscy studenci, poruszeni błędną interpretacją sytuacji w Iranie, która przebija z mojego reportażu, napisali sprostowanie, a w zasadzie nowy artykuł. Są skromni, nie zależy im na sławie, w związku z czym

mogę podpisać tekst swoim nazwiskiem i opublikować w „Polityce”, co przynajmniej po części

naprawi szkody poczynione wcześniejszą publikacją. Na ręce jego ekscelencji złożyłem

podziękowania dla zaangażowanych „studentów”, próbując się przy tym nie roześmiać,

podziękowałem za propozycję, dodając, że to nadmierny dla mnie zaszczyt i że po prostu przekażę list szefowi działu zagranicznego „Polityki”. Co uczyniłem. Mieliśmy z Markiem Ostrowskim dużo radości, czytając później to dzieło chwalone najlepsze ustrój na świecie,

czyli islamską demokrację po irańsku, napisane sztywnym propagandowym językiem.

\*

Kiedy z kolei jechałem do Zairu, do wniosku składanego w ambasadzie w stolicy Kenii

Nairobi wpisałem *ecrivain*, pisarz. Konsul dwukrotnie upewniał się, czy aby nie dziennikarz, a ja, że skąd, w życiu, *ecrivain* pełną gębą, wulkany, goryle górskie, uskoki tektoniczne, motyle i zachody słońca, o tym piszę, tym żyję.

Miałem co prawda lecieć do Somalii i



nawet już wychodziłem sobie ONZ-owski samolot

do tego państwa w stanie rozpadu, ale w kuchni u Mamy Roche spotkałem Carstena

i Nadine i pod ich wpływem zmieniłem plany.

Mama Roche, czyli Janina Jurkowska, nasza rodaczka z Kresów, która przez Syberię,

Persję i Tanganikę trafiła do Nairobi (a „mama” w suahili to „pani”) była w Afryce,

a szczególnie w Kenii legendą wśród

backpackersów. Po śmierci francuskiego  
męża na

początku lat 70. udostępniła swój  
całkiem spory ogród na kemping dla  
nieśmierdzących

groszem włóczykiów, którzy uprzednio  
rozbijali się na dziko w pobliżu i byli  
regularnie okradani, i zbudowała kilka  
pokoi z dykty. Kuchnia w jej domku  
służyła również gościom, gdzie  
wieczorami, odbywały się huczne  
libacje, często z udziałem Mamy, która  
nie wylewała za kołnierz i paliła jak  
taśmociąg kenijskie *sportsmany*. Jej  
polski był

niezrównany: wschodni zaśpiew mieszał

się z angielskimi słowami i idiomami okraszonymi niekiedy suahili. Kiedyś zobaczyłem stukniętego peugocika Mamy.

– Co się, Mamo, stało?

– Nu na bumpach ja sfolgowała, a Murzyn mnie w dupę wjechał.

Kiedy ją poznałem w 1994 roku miała koło sześćdziesiątki, ale widać było, że życie jej nie oszczędzało.

W zasadzie każdy, kto przemierzał Afrykę z północy na południe, z południa na północ

czy wzdłuż równika, prędzej czy później, choćby na chwilę, trafiał do Mamy. No i jej

kenijski pomagier Steven sprzedawał wyborną miejscową trawę. Mówiąc krótko, u Mamy

było zwykle wesoło, parada przemykających oryginałów porażająca i można było sporo się dowiedzieć, złapać transport, umówić na wspólną wyprawę albo przebimbać koncertowo czas. Kiedy pierwszy raz trafiłem do niej zimą na początku 1994 roku, zajęchał również młody, po elitarnych szkołach, cherubinkowaty Anglik Sam, który przybył na swe krótkie afrykańskie

wakacje. Kiedy wróciłem dwa lata później, Sam nadal był u Mamy, ale już nie był ślicznym chłopcem, lecz mężczyzną po przejściach. Choć równie, po ścichapek

angielsku, zabawnym. Tak, miejsce Mamy zasysało, Afryka zasysała. Teraz Sam miał

bardzo ładną izraelską dziewczynę imieniem Efrat, która również utonęła w Afryce,

z którą się polubiliśmy i przygryzaliśmy sobie wzajemnie, komentując złośliwie co

bardziej bucowatych Izraelczyków i

wieśniackich Polaków przyjeżdżających do Mamy.

Przez cały 1996 rok miałem u niej bazę, czasem pilnowałem jej interesu, kiedy zbyt

intensywnie zabalowała albo wyjechała z przyjaciółmi do Mombasy. Pilnowała mi książek

i notesów, dawała kredyt, kiedy byłem bez kasy, chociaż gdy wychyliła solo butelkę

whisky, zapominała o tym i się awanturowała, żądając pieniędzy, ale następnego dnia nie pamiętała z kolei o awanturze. Troszczyła się, gdy

zapadałem na malarię.

Miała rozrywkowe grono kenijsko-hinduskie, ale była oskarżana o rasizm. Można

powiedzieć, że nie lubiła czarnych jako ogółu, a miała swoich czarnych znajomych

i przyjaciół. Jej matkę i brata zabili w latach 50. w czasie powstania Mau Mau rebelianci z najważniejszego kenijskiego plemiona Kikuju. Czasem wrzeszczała mi do ucha: „Ty ich, Marcin, jeszcze nie znasz! Mamę mi udusili! Tak się z nimi przyjaźnisz, a przyjdzie Mau Mau i zobaczysz!”. Ale sama z Kenii nigdy nie wyjechała, mimo że jej się nie

przelewało, a miała rodzinę w Europie i Kanadzie. Zmarła w 2000 roku.

Któregoś wieczoru, przekrzykując się w kosmopolitycznym kuchennym gronie Mamy,

zgadałem się z parą moich rówieśników z byłego NRD. Od razu złapaliśmy, oparty na

wspomnieniach komunistycznych absurdów przelot, niezrozumiały dla pozostałych

uczestników posiedzenia, pochodzących z Europy Zachodniej albo Izraela.  
Carsten



i Nadine jechali do Gomy w ogarniętej wojną prowincji Kiwu we wschodnim Zairze i nim

się noc skończyła, zaproponowali, bym do nich dołączył. Co kilka dni później uczyniłem.

Pisarską wizę na wiekopomne dzieło o zairskiej przyrodzie dostałem na miesiąc. Niemcy

podkreślali, bym wyjechał na czas, bo za pozostanie bez ważnej wizy, nawet jeśli to będzie jeden dzień, mogą mnie cofnąć z granicy i wsadzić do pudła. Zdarzały się takie przypadki, a ten i ów zwariował po zakosztowaniu warunków, towarzystwa i zabaw w zairskim

więzieniu. Nie miałem zamiaru tego sprawdzać na własnej skórze.

Z Nadine i Carstenem rozstawaliśmy się i spotykaliśmy, ja pisałem swoje teksty, oni

załatwiali swoje sprawy, po jakimś czasie razem przepłynęliśmy z Gomy przez jezioro

Kiwu do miasta Bukawu, gdzie mieli znajomego niemieckiego inżyniera i gdzie podobno

bez problemu mogłem zapisać się na samolocik HCR, ONZ-owskiego komisariatu do

spraw uchodźców, który leciał do Nairobi w Kenii. Co uczyniłem, wybierając oczywiście

termin na styk, czyli w ostatnim dniu ważności wizy, który wypadał w piątek 19 kwietnia 1996. Bo oczywiście chciałem wykorzystać każdy możliwy dzień. Ale rezerwowałem aż tydzień wcześniej, jak nie ja. Potem popłynąłem z Carstenem i Nadine do obozu

uchodźców i wróciliśmy w czwartek 18 kwietnia. Prosto z łodzi pognałem do HCR

sprawdzić, czy jest tak zwany manifest z listą pasażerów, który miał być przysłany

z Nairobi. Nie było. Zaczynało się robić delikatnie nerwowo.

Następnego dnia, ostatniego z ważną wiza, o ósmej rano dowiedziałem się w HCR, że

nie ma mnie na liście.

Najprawdopodobniej zgłosił się ktoś z jakiejś innej agencji ONZ, a oni mieli pierwszeństwo. A zgłosił się, bo to był ostatni lot przed weekendem i chciał się człowiek zabawić w Nairobi. Ludzka rzecz, tyle że ja byłem w dupie.

Niepokój zaczął

zamieniać się w lekką panikę.

Próbowałem rozmawiać z hinduskim

szefem HCR i klarować sytuację, że z powodu

wizy specjalnie zapisywałem się tydzień temu, bo potem płynąłem do obozu uchodźców na

wyspie Idjwi. I to był mój błąd, bo biurokrata od razu się przyczepił, co ja niby robiłem na Idjwi, jakim prawem Carsten mnie tam zabrał i dlaczego się u niego nie zameldowałem zaraz po przyjeździe do Bukawu. Dał mi jasno do zrozumienia, że może by i coś się dało z tym samolotem zrobić, ale za samowolkę na Idjwi nie polecę. A na końcu, żegnając, złamas jeden życzył mi szczęśliwego rozwiązania moich

problemów.

Ostatnim ratunkiem był inżynier G.,  
niemiecki znajomy Carstena i Nadine,  
który kilka

razy nas gościł, a przede wszystkim  
mieszkał w Zairze od lat, znał ten kraj na  
wylot, a co ważniejsze, kolegował się z  
różnymi funkcjonariuszami, z którymi  
normalnie nie chciałbym mieć bliższego  
kontaktu. Inżynier miał swoje  
powiedzenie: „W Zairze

niemożliwe jest nie tylko możliwe, jest  
nawet prawdopodobne, a czasami  
pewne”. Sam

zacząłem je stosować, z czasem

rozszerzając na całą Afrykę.

Któregoś razu inżynier opowiedział nam, jak wracał z Niemiec do Bukawu. Poleciał do

Buzumbury, stolicy sąsiedniego Burundi, gdzie znajdowało się najbliższe lotnisko

przyjmujące samoloty z Europy, a następnie samochodem udał się do swojego zairskiego

domu. Na granicy zairscy żołnierze zażądali łapówki za wjazd. Zdziwił się, bo przekraczał

granice na tym przejściu dość często, wszyscy go znali i wiedzieli, że jest

ustosunkowanym inżynierem i kierownikiem z Bukawu. Ale cóż, zapłacił i po powrocie do

domu, przy jakiejś okazji wspomniał o tym swojemu znajomemu pułkownikowi. Ten

oddzwonił po kilku dniach i oznajmił: – Sprawa już załatwiona. Rozstrzelaliśmy ich.

Jeszcze raz przepraszam za niedogodności.

Ta historia zrobiła na mnie wrażenie, ale byłem pod ścianą i nie miałem nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić. Inżynier bez szemrania napisał mi liścik



do swego kolegi ze SNIP-u, służby bezpieczeństwa, z prośbą o pomoc w sprawie wizej. Z pismem w ręku pogałem na miejscow ubecj. Przyj mnie monsieur Miala, który zapyt, czy wszystko w porzdku u jego przyjaciela doktora G., ucieszy si, że i owszem, i powiedzia, że czegz nie robi si dla przyjaci, mog dosta wiz na miesic, krtszych nie wystawiaj, za jedyne 150 dolarw. Zbladem, bo fizycznie nie miaem tej kasy, reszt uzywanych wwczas czekw podrżnych zostawiem w Nairobi, w kieszeni miaem wszystkiego chyba

ze sto dolarw i żadnej karty. Rzekem, że to powyżej moich moźliwośc i czy

nie da rady załatwić jakiejś kilkudniówki, bo jego, monsieur Miali, kraj – Zair jest wyjątkowo piękny, ale ja już o niczym innym nie marzę, tylko o jego opuszczeniu.

Monsieur Miala podrapał się w głowę, pogadał przez radio i podkreślił, że ze względu na doktora G. da się załatwić tygodniówkę za jedyne 60 dolarów, po czym rozpoczął ze mną dość surrealistyczną w tych okolicznościach przyrody dyskusję na temat systemów politycznych i czy moim zdaniem w Zairze lepszy byłby parlamentarny, czy prezydencki.

A następnie odesłał mnie do poczekalni,

gdzie siedziałem dwie godziny, z  
narastającym

przeżeniem słuchając od pewnego  
momentu przeraźliwych wrzasków  
dochodzących z

ścian. Jakby kogoś ze skóry obdzierali i  
w tym przypadku, miejscu i czasie być  
może

wcale nie była to przenośnia. Carsten i  
Nadine, którzy cały czas czekali na mnie  
na

zewnątrz, opowiadali później, że te  
wrzaski były tak rozdzierające, że aż  
ludzie z innych zabudowań wychodzili  
na ulicę.

W końcu przyszedł monsieur Miala i powiedział, że mam się stawić następnego dnia o 9

rano (czyli już po utracie ważności mojej wizy), a paszport to sobie do tego czasu

zatrzymają.

Zanotowałem sobie w dzienniku:

„Ciekaw jestem, po co, i co jeszcze z tego wyniknie.

Może jutro mi powiedzą, że jestem nielegalnie i mam zapłacić tysiąc dolarów albo zgniję w więzieniu czy coś takiego”. Słabo spałem tej nocy.

Dwa dni wcześniej, kiedy  
przybyliśmy z Idjwi, pognaliśmy  
land-roverem organizacji,

z którą współpracował Carsten, do  
HCR, żeby sprawdzić, czy jestem na tym  
cholernym

manifeście, na którym, jak już wiadomo,  
nie byłem. Prowadziła Nadine, klnąc na

darczyńców z Europy, którzy przysłali  
land-rover w wersji pełen wypas  
elektroniczny,

w związku z czym szyby już nie działały  
i parę innych detali. Jechała szybko po

dziurawych jak rzeszoto ulicach

Bukawu. Któregoś dnia spytałem inżyniera G., po co

komu w Bukawu, gdzie nie ma metra równego asfaltu, limuzyna mercedesa, a przecież

sporo ich. Odpowiedział: – Nie staraj się zrozumieć. Jeśli zrozumiesz, jesteś stracony.

I opowiedział mi dowcip. Trzech białych dostaje w afrykańskiej knajpie kawę z muchą.

Pierwszy woła kelnera i żąda nowej kawy, widać, że jest za krótko w Afryce. Drugi

wyjmuje muchę, wyrzuca ją i wypija kawę – spędził wystarczająco dużo czasu w Afryce.

Trzeci wylewa kawę i zjada muchę – zdecydowanie siedzi tu za długo.

Było po intensywnym tropikalnym deszczu i spod naszych kół co chwila pryskały

kaskady zabarwionej charakterystyczną afrykańską ziemią czerwonej wody.

Nagle

zajechał nam drogę samochód, wyskoczyło dwóch gości, z tego jeden potężnie wkurzony

i ryczy „SNIP! SNIP!”. Dostał ataku szału, bo go błocko spod naszego koła ochlapało przez otwarte okno, a ubrany był na biało. Groził nam bliżej niesprecyzowanymi poważnymi konsekwencjami i spytał, co by było, gdyby on tak kogoś w Europie ochlapał. Carsten na to, że nic, bo sam sobie jest winien, mógł zamknąć okno, co tajniaka jeszcze bardziej rozjuszyło.

Więc tłumaczymy, że na gwałt spieszymy się do HCR-u i jeśli chce, to możemy tam

kontynuować tę przemiłą rozmowę. On, że OK, ale ja mam prowadzić jego samochód, bo



on w tym stanie nie może. Drodzy czytelnicy, nie pytajcie mnie, dlaczego trzy czerwone, w sumie nie za wielkie, plamy błota na koszuli uniemożliwiają prowadzenie auta. Nie rozumiałem tego wtedy, nie rozumiem i dzisiaj. Poczuję tylko lekką ulgę, że od zgrozy zaczynamy żeglować w stronę absurdu, co nieźle rokuje i co w sumie stało się faktem, bo już w HCR tajniak zażądał pieniędzy na proszek do prania. Parsknęliśmy, niestety, śmiechem, jego znowu szlag trafił i Nadine powiedziała Carstenowi i mnie, żebyśmy

spadali, bo ona nie mówi słowa po francusku, więc facet może sobie do niej gadać do woli, a są na terenie HCR,

więc wielkiego ryzyka nie ma. Potem opowiedziała nam, że w którymś momencie nawet kumpel czyściocha zaczął się śmiać i go zabrał do wozu.

No i dwa dni później, w sobotę o dziewiątej rano, gdy pełen nadziei i strachu przybyłem do siedziby SNIP-u po wizę (akurat nikogo nie torturowali, przynajmniej nie było słyhać), na kogo nadziałem się w wejściu? Tak, wygrali państwo odkurzacz. Na

zabłoconego dwa dni wcześniej furiata.

– Pamiętasz mnie? – zapytał z nieruchomą twarzą. Kurwa mać, pomyślałem

i potwierdziłem znajomość lakonicznym *oui*. Wtedy cały się rozpromienił i rozchachany wielce przybił mi piątkę i powiedział, że bardzo się cieszy, widząc swego *ami*, dzięki czemu dowiedziałem się, że awansowałem na jego przyjaciela.

Wizę dostałem. I w poniedziałek, dwa dni później, znowu antyszambrowałem w biurach

HCR i znowu nie było mnie w manifeście, mimo że gdy tylko przedłużyli mi wizę,

dzwoniłem z jedyne go w okolicy płatnego telefonu satelitarnego do centrali w Nairobi

i zapewniano mnie, że będę mógł lecieć.  
A teraz nawet nie mogłem  
interweniować, bo

rzeczony telefon właśnie się popsuł.  
Innych nie było. Z manifestu, który mi  
pokazano, co prawda wynikało, że będą  
w samolocie trzy wolne miejsca, ale  
udostępnienie ich zależało od decyzji  
hinduskiego dyrektora, który trzy dni  
wcześniej potraktował mnie z buta.

Wyglądało, że nie mam na co liczyć.  
Moje obawy potwierdziły się, kiedy  
zagadałem jego

przybocznego, który pierwszy pojawił  
się w biurze. Próbowałem mu  
wy tłumaczyć swoją

coraz bardziej kafkowską sytuację, a on nawet nie dał mi dokończyć, tylko rzucił, że

pytanie jest bezprzedmiotowe, bo nie mam uprawnień do latania samolotami HCR. Na

żaden inny nie mogłem liczyć, pozostawała chyba tylko lądowa droga przez Rwandę,

w tym momencie nie najszcześniejszy pomysł.

Wychodziłem już lekko podłamany na ulicę, kiedy do HCR-u wjechał Hindus i o dziwo

uśmiechnął się na mój widok, zagadując, jak tam moje problemy. No to wyjaśniłem

sytuację, a on, że natychmiast wysłała prośbę do Nairobi o miejsce dla mnie w samolocie.

Co faktycznie uczynił, domagając się kilka razy, i to bardzo wyraźnie, by piloci nie

odlecieli beze mnie. I kiedy niewiele później wpadłem jak oszalały na pas startowy,

faktycznie stał na nim mały beechcraft, a piloci przywitali mnie pytaniem, czy już dłużej nie mogłem się wlec, bo czekają

tylko na mnie. Jeszcze tego wieczoru siedziałem w kuchni u Mamy Roche.

## **Wojna Ducha Świętego**

11-letni John Okello zyskał w buszu przydomek „zabójca kobiet”. Rok temu, gdy

rebelianci porwali go wraz z kilkunastoma dziećmi z jego rodzinnej wioski, był tak

drobny, że nie nadawał się nawet do noszenia broni. Przydzielono mu więc zadanie, które jego dowódcom wydawało się całkiem zabawne. Kiedy któraś z uprowadzonych dziewcząt była za słaba, żeby nadażyć za kluczącą po

bagnach kolumną rebeliantów, lub

wielokrotnie zgwałcona znudziła się  
oprawcom, wtedy John dostawał  
maczetę albo nóż

i na oczach grupy podrzynał kobiecie  
gardło.

Wiosną ugandyjskie wojska rządowe  
zaatakowały kryjówkę jego grupy i John  
dostał się

do niewoli. Żołnierze, którzy po latach  
walki w buszu nie należeli do istot  
szczególnie wrażliwych, byli przerażeni  
jego opowieściami. Bowiem John był  
dumny ze swych osiągnięć, które  
relacjonował zupełnie otwarcie i z



technicznymi detalami. Po pobieżnych przesłuchaniach oficerowie odesłali go do prowadzonego przez agencję humanitarną World Vision ośrodka zajmującego się dziećmi wojny.

– Ten chłopiec stracił wszelkie poczucie wartości życia. Kategorie, jakimi rozumuje, są zupełnie obce dla normalnego człowieka – powiedziała mi 25-letnia psychoterapeutka Harriet.

15-letnia Florence również została porwana przez rebeliantów, ale po półtora roku

zdołała uciec i wróciła do rodzinnej wioski. Szczęśliwi krewni zebrali się w ogródku, by przygotować powitalną

uczę. Widząc, jak jej matka tnie maczetą korzenie manioku, dziewczyna zaczęła opowiadać, że w buszu odcinała ręce i nogi porwanym wieśniakom

albo innym dzieciom, które próbowały uciec od rebeliantów. Przysłuchujący się krewni

myśleli, że Florence bajdurzy, chcąc w nieco dziwny sposób zaimponować starszym.

– Nie wiedzieli, co ona przeżyła i co teraz tkwiło w jej głowie, więc się jej nie obawiali –

podkreśliła Harriet. W końcu matce uprzykrzyły się monologi córki i

powiedziała, że skoro tak świetnie włada maczetą, niechaj wszystkim pokaże, jak się powinno ciąć maniok.

Wręczyła jej narzędzie, ale Florence nie odcięła kawałka rośliny, tylko rękę matki.

– Dla niej maczeta służyła tylko do odrąbywania kończyn ludzkich. Tak miała

zakodowane w głowie – tłumaczyła Harriet. – Stworzyliśmy nasz ośrodek, żeby uniknąć

podobnych przypadków, żeby choć częściowo przywrócić tym dzieciom hierarchię wartości

i ponownie włączyć je do społeczeństwa.

– Te, które wracały z buszu prosto do domu i szły do szkoły, nie chciały siedzieć

w ławkach; czaiły się przy drzwiach, żeby móc w razie czego uciec. Albo zrywały się

nagle, krzycząc: „nadchodzą!”. Panika udzielała się całej klasie. Koledzy przezywali je

„dziećmi Kony’ego” (przywódca rebeliantów); o dziewczynach – które nie dość, że były

w buszu gwałcone (najpierw przez komendanta, potem przekazywane w dół hierarchii), to

jeszcze większość z nich musiała walczyć pod wodzą gwałcicieli – mówili „kochanki

Kony’ego”.

Kiedy przybywają do ośrodka, nikomu nie ufają, a już zwłaszcza dorosłym.

Kryją się,

gdy widzą żołnierzy, nie chcą podawać własnych imion, często nie potrafią powiedzieć,

skąd pochodzą. Siedzą całymi dniami

nieruchomo, nie odzywając się do nikogo.

Terapeutom łatwiej jest trafić do najmłodszych, starsze mają na sobie ciężką do przebicia skorupę. Wszystkie są szalenie agresywne. – Kiedy przybywają do nas, mają poczucie, że są bezwartościowe, że ich życie nie ma sensu – mówiła Harriet.

Od marca 1995 roku, kiedy trafili pierwsi nieletni pacjenci, przez ośrodek przewinęło się blisko tysiąc dzieci. Wszystkie zostały kiedyś porwane przez rebeliantów, większość z nich uciekła, narażając życie, część została wzięta do niewoli przez żołnierzy. Kiedy

odwiedziłem Gulu, pod opieką Harriet i dwudziestu innych terapeutów przebywało 128

dzieci w wieku od ośmiu do osiemnastu lat, w większości byli to chłopcy. W buszu spędzili od sześciu miesięcy do trzech lat.

Jednym z nich był 12-letni Milton Okumu. Uśmiechnięty i wygadany, w czasie naszej

rozmowy (tłumaczonej przez terapeutę) przebierał nogami, bujał się na krześle. Ktoś, kto by obserwował go z boku, nie rozumiejąc, co mówi, mógłby pomyśleć, że opowiada o śmiesznych przygodach ze szkoły. Wydawało mi się nierealne,

że rozmawiam

z człowiekiem, który zabił nie wiadomo  
ilu ludzi. Jego historię mogłaby w  
przybliżeniu powtórzyć większość  
dzieci z ośrodka.

Porwali go w czerwcu 1995 roku. Tego  
dnia wrócił później ze szkoły, ponieważ  
wraz

z kolegami cieszył się niespodziewaną  
atrakcją: obserwował krążące nad  
buszem

wojskowe helikoptery. Kiedy przyszedł  
do domu, matka powiedziała mu, że  
rebelianci



otoczyli wioskę i żeby schował się pod  
łóżko. Znaleźli go i oprócz niego  
uprowadzili jeszcze czterech chłopców.  
Dwóch zabili bagnietami pierwszej nocy  
– w czasie próby ucieczki.

Przez następne dni kluczyli po buszu.  
Marsze były wyczerpujące. Miltonowi  
wydawało

się, że już nie da rady, ale gdy jeden z  
chłopców padł na ziemię i nie był w  
stanie dalej iść, dowódcy kazali  
pozostałym zatłuc go kijami na śmierć.  
Milton nie powiedział, czy był

jednym z nich, ja nie pytałem. Szedł  
dalej.

Po dziewięciu dniach weszli do Sudanu,  
gdzie rebelianci mają swoje bazy.

Chłopiec

przeszedł trzymiesięczne przeszkolenie  
wojskowe. Uczył się strzelać, urządzać  
zasadki, atakować konwoje, walczyć  
wręcz. Jak podkreślił, jego  
specjalnością były miny  
przeciwczołgowe. Często nie mieli nic  
do jedzenia, zrywali dzikie zioła.

Wybuchła

epidemia cholery. Potem dostał  
kałaszniakowa i wysłali go na wojnę.

Walczył w sześciu

bitwach, napadał na wioski, rabował je,  
palił i porywał inne dzieci.

Myślał o ucieczce, mimo że wiedział, co go spotka, jeśli zostanie złapany. Ale tyłu

innych zginęło w bezpośredniej walce pod ogniem artylerii albo zostało zarąbanych

maczetami przez kolegów na rozkaz dowódców, że nie robiło mu to specjalnej różnicy.

I tak zginę, myślał, więc już lepiej próbować się dostać do domu.

Dowódcy zdawali sobie sprawę, że większość dzieci uciekłaby, gdyby tylko mogła, więc kierowali je do walk z dala od ich stron rodzinnych.

W maju tego roku szczęście uśmiechnęło się do Miltona. Jego 200-osobowy oddział,

uciekając przed pościgiem wojsk rządowych, znalazł się w pobliżu wsi Miltona. Kilka dni czekał na odpowiedni moment, nie zdradzając się ze swym planem nawet przed najbliższym przyjacielem. Czwartej nocy zerwała się potężna ulewa, wszyscy starali się ukryć pod drzewami, przykryć kawałkiem plastiku, jeśli ktoś taki posiadał. Wstał po cichu, najpierw szedł powoli na palcach, potem rzucił się do desperackiego biegu. Nie wie, ile pędził; godzinę, trzy? Później szedł. Drugiego dnia dotarł do swojej wioski.

Rodzina, która była przekonana, że Milion nie żyje, powitała go równie gorąco co krótko i niemal natychmiast wysłała do ośrodka World Vision. Bali się, że rebelianci ponownie go porwą. – No i to jest moja historia, a teraz chcę wrócić do szkoły – zakończył Milton.

Harriet prosiła mnie, żebym nie pytał chłopców o zabijanie, a dziewcząt o gwałty. Ale

19-letnia Christianne Acamolok, patrząc nieobecny wzrokiem na ścianę, sama opowiedziała mi, co wydarzyło się trzy miesiące wcześniej. Oczekiwała pierwszego

dziecka, była w siódmym miesiącu ciąży, kiedy rebelianci weszli do wioski. Zgwałcili ją na oczach męża, którego później uprowadzili. Nie widziała go od tej pory. Cięża być może uratowała jej życie – bo oprawcy zostawili ją w domu. Wrócili pięć dni później i spalili wioskę. Nie miała dokąd pójść, jej rodzice uciekli przed rebeliantami już kilka miesięcy wcześniej; nie wiedziała gdzie są, poszła więc na piechotę do Gulu, do ośrodka World Vision. Przyjęto ją, mimo że jest już pełnoletnia. Tutaj urodziła dziecko. I czeka na męża.

I chce zapomnieć.

## **Alicja z krainy czarów**

Duch Święty objawił się 27-letniej Alicji Aumie w maju 1985 roku.

Pochodząca z małej

wioski kobieta miała już za sobą dwa nieudane małżeństwa, gdyż jej mężom – jak to się

często określa w Afryce – nie udało się „wydobyć dziecka” z Alicji.

Dziewczyna była

bezpłodna. I wtedy Duch, zwany w języku acholi „Lakwena” (co oznacza również

„posłańca”), nakazał Alicji leczyć ludzi.

Na inicjację udała się do Parku Narodowego Kabalega. Towarzyszył jej ojciec, Severino

Okoya Kibero, który sam dwukrotnie rozmawiał z Duchem Świętym. Pierwszy raz

Lakwena przemówił do niego w 1948 roku, kiedy czytał Pierwszą pieśń Sługi Pańskiego

z biblijnej Księgi Izajasza. Na następne spotkanie czekał do listopada roku 1984, kiedy w czasie małżeńskiej sprzeczki matka Alicji uderzyła go stołkiem w głowę. Jego dusza udała się wtedy do nieba, gdzie spotkała Chrystusa, który trzymał w dłoniach wielką



księgę. Jezus wymienił mu imiona wszystkich ludzi na ziemi, a następnie zaprowadził do Boga, który siedział na dużym okrągłym stołku. Panu towarzyszyli Abraham, Eliasz, Dawid i Mojżesz. Abraham poprosił Dawida, by ustąpił miejsca Severinowi. Wtedy trzy

duchy napełniły jego serca, a Bóg powiedział, że Lakwena wybierze jedno z jego

piętnaściorga dzieci. Severino spędził w niebie osiem godzin, a kiedy powrócił na ziemię, znajdował się w szpitalu w Gulu, głównym mieście Acholi. Pan dotrzymał obietnicy i pół

roku później Alicję wypełnił Duch

Święty. Severino opowiadał, że w czasie inicjacji dzikie zwierzęta ustawiały się w szeregu, oddając honory jego córce, i skarżyły się na okrucieństwo ludzi.

Przez ponad rok Alicja Auma przemierzała Acholiland, uzdrawiając ludzi. W sierpniu

1986 roku Lakwena wydał jej nowe polecenia: od tej pory miała walczyć, by ocalić od

zagłady Acholi i oczyścić ze Zła całą Ugandę.

Kilka miesięcy wcześniej do Kampali weszli zwycięscy partyzanci Narodowej

Armii

Oporu (NRA) Yoweriego Museveniego,  
który rządzi w Ugandzie do dziś dnia.

Tryumf

NRA oznaczał koniec trwających od  
ogłoszenia niepodległości w 1962 roku  
rządów

polityków z północy kraju.

# Granica na Nilu

Ugandę zamieszkuje ponad 50 plemion, ale stosując kryteria językowe, można je

w uproszczeniu podzielić na południowe – Bantu i północne – nilotyckie.

Umowna granica przebiega na płynącym zawijasami Nilu.

Kiedy Brytyjczycy przybyli pod koniec XIX wieku, na południu istniały wysoce

zorganizowane królestwa z własnymi parlamentami i historią sięgającą setek lat wstecz.

Na północy ludzie żyli w

społecznościach wioskowych.

Kolonizatorzy wspomagali rozwój

gospodarczy południa, ale nabór do  
tubylczego wojska przeprowadzali  
wyłącznie na

północy, głównie spośród  
wojowniczego ludu Acholi. Owa armia  
została nazwana King's

African Rifles – Królewskie Karabiny  
Afrykańskie (KAR), ale Anglicy  
tłumaczyli swym

podwładnym, że skrót należy czytać  
jako: King of Africa is the Rifle –  
Królem Afryki jest Karabin. Lekcja  
została zapamiętana. Dwaj dyktatorzy z

północy, Milton Obote i Idi Amin,  
wymordowali przy pomocy swych  
żołnierzy około miliona ludzi.

Zdobycie władzy przez Museveniego  
oznaczało dla większości Ugandy  
początek końca

koszmaru. Ale Acholi, zawsze biedniejsi  
niż prześladowani przez nich  
południowcy,

utracili teraz coś, co było sensem ich  
egzystencji w państwie: dominującą rolę  
w armii.

Drogi północnej Ugandy wypełniły się  
ponad czterdziestoma tysiącami  
wojskowych

uciekiniarów. Część powracała w niesławie do swych wiosek, gdzie wyśmiewali ich

krewni, część podążała do Sudanu, niektórzy kryli się w buszu, czekając na rozwój

sytuacji. Z Kampali napływały wieści, że ich rodacy są wyrzucani z rządowych mieszkań, pozbawiani samochodów. Plotka, główne źródło informacji w Afryce, podsycana przez zbiegłych ze stolicy byłych władców głosiła, że NRA Museveniego chce wymordować

wszystkich Acholi. Sytuacji nie poprawiało zachowanie pierwszych oddziałów nowej armii, które dotarły na

północ; żołnierze kradli, mordowali i gwałcili. Acholiland zaczęła ogarniać rebelia kierowana przez obalonych polityków.

Wtedy wystąpiła Alicja i rozpoczął się „największy wojskowy żart w historii

nowoczesnej ludzkości”, według określenia Billiego O’Kadameriego, dziennikarza

pochodzącego ze spokrewnionego z Acholi plemienia Langi i od lat zainteresowanego

rebelią na północy.

**Czyszczenie Ugandy ze Zła**



Alicja głosząc, że Bóg nakazał jej  
oczyszczenie Ugandy ze Zła, utworzyła  
Ruchome Siły

Ducha Świętego (HSMF).

Przepowiadała, że po zdobyciu Kampali  
nastąpi powódź, burza

oraz trzęsienie ziemi, a następnie  
nastanie 200 lat niebiańskiego pokoju.  
Wkrótce pod jej rozkazami zebrało się  
15 tysięcy ludzi, przyciągniętych  
opowieściami o nadprzyrodzonych  
mocach Alicji. Nawet dzisiaj  
spotykałem wykształconych Acholi,  
którzy opowiadali mi, że Lakwena (jak  
ją zaczęto nazywać od imienia Ducha)  
potrafiła przemierzać setki kilometrów

w 20 minut. Księża katoliccy, zastrzegając się, że wyznają oczywiście jedyną i prawdziwą wiarę, mówili mi, że coś musiało być we władzy Alicji.

Jej wyznawcy wierzyli, że pobłogosławione i spryskane świętą wodą z Wodospadów

Murchisona kamienie wybuchną niczym granaty. W hierarchii HSMF istniało stanowisko

„komendanta kamiennych granatów”, który był odpowiedzialny za zbieranie odpowiednich

okazów. Wojownicy Ducha Świętego wierzyli również, że po namaszczeniu

specjalnym

olejkiem przyrządzonym przez Alicję  
karabinowe kule nie uczynią im żadnej  
krzywdy,

gdyż w locie zamienią się w papier.

# Seks zakazany

Lakwena ogłosiła specjalny zbiór instrukcji: wojownicy mieli walczyć, stojąc; nikomu

nie wolno było się kryć ani unikać ognia w czasie bitwy, przed rozpoczęciem walki

wszyscy żołnierze mieli przez 15 minut śpiewać katolickie pieśni kościelne, nie

przerywając nawet w przypadku ataku przeciwnika; zabronione było uprawianie seksu

i spożywanie miodu, gdyż pszczoły

wspomagały walkę HSMTF.

Nieprzestrzeganie którejs

z reguł groziło śmiercią, pomniejsze uchybienie – raną, ale i tak po zdobyciu Kampali

wszyscy polegli mieli powstać z martwych.

W styczniu 1987 roku siły Alicji zmasakrowały duży oddział NRA, przyciągając kolejne

zastępy ochotników. Szefem jej szpitala polowego została absolwentka nauk politycznych na Uniwersytecie Makerere, dołączył do niej były minister edukacji, profesor Isaac Newton Ojok,

który do dzisiaj wierzy w nadprzyrodzone moce Alicji. Jeden z polityków

określił ją mianem „Joanny d’ Arc Acholi”. Większość jej ludzi chciała zasłużyć sobie na miejsce w niebie, część – wrócić do Kampali, niektórzy pewnie mieli nadzieję na jedno i drugie. Sama Alicja zapowiadała, że po zwycięstwie wybierze się wyzwolić Republikę

Południowej Afryki.

Muesveni i dowódcy NRA przecierali oczy ze zdumienia i zaczęli zdawać sobie

sprawę, że żart przestał być żartem.  
Alicja kierowała się w stronę Kampali.  
W czasie

kolejnych bitew NRA zabijała jej  
wojowników setkami, zazwyczaj w  
czasie

obowiązkowych śpiewów  
poprzedzających walkę albo po prostu  
masakrując wojowników

rzucających kamienne granaty przeciw  
zupełnie niekamiennym karabinom  
maszynowym

i przekonanych, że sprawiedliwych kule  
się nie imają. Mieszkańcy miasteczek, w  
pobliżu których operowały HSMF,

określali jej ataki mianem „dyskotek”, z powodu ich regularności: Alicja atakowała tylko w środy i piątki. Została pokonana w październiku 1987 roku, gdy jej siły dzieliło od stolicy ledwie kilkadziesiąt kilometrów. Uciekła do Kenii, gdzie żyje do dzisiaj, a jej wyznawcy poszli w rozsypkę. Rząd ogłosił zwycięstwo nad „lunatyczną prostytutką przeobrażoną w czarownicę”.

## **Śmieszne pytania o zabijanie**

W czasie gdy Alicja przedzierała się przez busz w kierunku granicy, Bóg przemówił do

jej 21-letniego kuzyna, Josepha



Kony'ego. Pan powiedział, że Lakwena nie wypełniła do

końca poleceń bożych, więc poprzez Ducha Świętego zsyła Josephowi moce, które pozwolą

mu ustanowić Królestwo Niebieskie na ziemi, poczynając od Ugandy. Wkrótce były

ministrant, parający się dotychczas znachorstwem, zebrał siedmiuset wyznawców.

Nazwał ich Ruchomymi Siłami Ducha Świętego 2 (HSMF 2). Organem dowódczym był

Ołtarz Kontrolny (widoma pozostałość fascynacji obrządkiem katolickim) z Jego

Świątobliwością Josephem Konym na czele. Kilkakrotnie później zmieniał nazwę swego

wojska: Zjednoczona Święta Armia Zbawienia, Zjednoczona Demokratyczna Armia

Chrześcijańska, a wreszcie od 1993 roku do dzisiaj Armia Oporu Pańskiego (LRA).

Kony'ego wspierał cały zastęp duchów. Najważniejszy pozostał oczywiście Lakwena, ale

„El Wel Best” planował operacje wojskowe, żeński duch „Major Bianca” odpowiadał za

wywiad, a „King Bruce” sprawował pieczę nad kamiennymi granatami. Odstępców karał

srogi duch „Kim Jesteś” („Who Are You”), a „Shinaska” dbał o leki. Przed walką

namaszczano wojowników i poddawano ceremonii zwanej „ładowaniem aniołów”, które

miały ich strzec na polu bitwy. Duchy kontaktowały się z Konym codziennie o dziesiątej rano i czwartej po południu,

radząc mu, jak doprowadzić do tego, by Uganda była rządzona według Dziesięciorga Przykazań, co stanowiło oficjalny cel LRA.

## **Obcięte ręce, obcięte wargi**

W ciągu kilku pierwszych miesięcy Kony skupił wokół siebie tysiące ludzi, ale po

licznych porażkach pozostała wokół niego kilkusetosobowa grupa. Jego rodacy byli

wyczerpani przedłużającymi się walkami, a wojska rządowe, mimo że nie anioły, okazały

się znośniejsze, niż zapowiadały to  
jeremiady uciekinierów z Kampali.  
Władze uzbroiły

wieśniaków w maczety i karabiny, by  
mogli się bronić przed rebeliantami.  
Wtedy, w 1991

roku, zmienili taktykę, zaczęli atakować  
cywili. Obcinali im ręce, uszy, nosy i  
usta.

– Chłop jest chłopem, nie żołnierzem,  
więc dlaczego wymierzył broń  
przeciwko nam? Za

karę obcięliśmy mu rękę. A jeśli chłop,  
który nie jest przecież oficerem  
wywiadu, donosi na nas żołnierzom, to

obcinamy mu wargi – tłumaczył komendant połowy LRA George Omona. – W Biblii napisano: „Jeśli prawa twoja ręka jest powodem do grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie. Lepiej bowiem jest dla ciebie, gdy zginie jeden z twoich członków, niż żeby całe twoje ciało miało iść do piekła” (Mt 5,30). Dlatego robimy te rzeczy. Nie zabijamy wszystkich, którzy są przeciwko nam, bo wyludnilibyśmy w ten sposób

Acholiland. Karzemy dla przykładu.

Omona wypowiedział powyższe słowa w styczniu 1994 roku, w czasie pierwszych

i ostatnich jak dotychczas rozmów

pokojowych z przedstawicielami rządu.  
Po nim

przemawiał Kony. Zacytował ustęp z  
Księgi Ezechiela: „Skieruję przeciwko  
tobie moją

zapalczywość, tak że srogo będą się z  
tobą obchodzili; odetną ci nos i uszy, a  
to, co po tobie zostanie, upadnie pod  
mieczem. Zabiorą ci synów i córki, a  
resztę ogień strawi” (Ez 23,25).

Tak powiedział Bóg w Biblii, że  
będziecie cierpieli. Kiedy obcinaliśmy  
ludziom wargi,

niektórzy podnosili wrzawę, że Duch  
Święty nie usprawiedliwia okaleczania

ludzi. Mam

nadzieję, iż jesteście świadomi, że to nie ja napisałem ten werset Biblii?

– Niektórzy – dodał Omona – zwłaszcza przywódcy religijni ciągle zadają śmieszne

pytania w rodzaju: dlaczego, jeśli rzeczywiście kieruje nami Duch Święty, zabijamy ludzi?

I pytają o to ci, którzy twierdzą, że lepiej niż inni znają Biblię! My również znamy Biblię.

W tym kłopot. Kony i jego ludzie darzą szczególnym upodobaniem księgi



prorockie,

przyswajając ich co bardziej  
makabryczne fragmenty z godną podziwu  
dosłownością.

Dzieci z ośrodka World Vision mówiły,  
że Kony, przywołując Biblię,  
zapowiedział

stworzenie nowej rasy Acholi.

Współcześni, którzy są zepsuci, muszą  
wyginać.

W czasie negocjacji w styczniu 1994  
roku Kony zażądał sześciu miesięcy na  
konsultacje

przed ewentualnym złożeniem broni. W

odpowiedzi prezydent Museveni dał mu tygodniowe ultimatum i LRA wróciła do walki w buszu. Przez resztę roku rebelianci

przycichli, by w kwietniu 1995 roku zaatakować cywilny konwój i zamordować ponad 250

osób. Później znowu zniknęli. Powrócili w lutym tego roku, ponownie atakując konwój

i zabijając ponad stu cywili. Mieli nowe mundury i lepsze uzbrojenie, dostarczone – jak twierdzą wszyscy w Ugandzie – przez islamski rząd sąsiedniego Sudanu.

Chartum od lat oskarżał Ugandę o  
wspieranie chrześcijańskich,  
murzyńskich

rebeliantów z południa Sudanu, którzy  
od 1983 roku walczą z arabską północą.  
Kampala

zdecydowanie temu zaprzecza. – To  
bardzo śmieszne – powiedział mi  
ugandyjski oficer

stacjonujący w Gulu – a jak myślisz,  
gdzie zostałem ranny w listopadzie?

– Walcząc z Konym? – zapytałem  
dyplomatycznie.

– Nie, kolego, 30 mil w głąb Sudanu,

wspierając tych partaczy z SPLA  
(Ludowej Armii

Wyzwolenia Sudanu, antyislamskich  
rebeliantów – MM).

Od lutego nie ma dnia, by nie doszło do  
walk wojska z rebeliantami, ataku na  
konwój,

eksplozji samochodów na minach czy  
kolejnych porwań ludzi z wiosek.

## **Pod osłoną buszu**

„Pan Marcin Meller z Holandii jest  
związany z naszymi europejskimi  
sponsorami

i pomaga naszym pracownikom w dystrybucji żywności przeznaczonej dla ofiar walk”.

Druga część zdania z listu, jaki otrzymałem od Francisa Odidy, dyrektora fundacji

Uganda–Australia, była prawdziwa. Wybierałem się z 37-letnim Acholi imieniem Sisto

w objazd zaatakowanych przez rebeliantów wiosek. Co do Holandii, to przestałem już

w Afryce zwracać uwagę na ciągłe pomyłki wynikające z angielskiego brzmienia nazw

naszych krajów (Holland–Poland) i na to, że ojczyzna Dennisa Bergkampa cieszy się

o wiele większą popularnością. A jeśli chodzi o sponsorów, to brzmiali oni lepiej niż

„dziennikarz”, ponieważ list przeznaczony był tak naprawdę dla rebeliantów Kony’ego,

gdybyśmy wpadli w ich łapy, a oni znali angielski i potrafili w dodatku czytać, kombinacja wysoce nieprawdopodobna.

Pojazdy kierujące się z Kampali na północ zatrzymują się przed mostem na Nilu koło

wodospadów Karumy, gdzie czekają na ochronę wojska. Dalej zaczyna się drogowa

ruletka w konwojach. Nasz składał się z kilkunastu furgonetek i autobusów

wypakowanych ludźmi oraz zwierzętami (w autobusach dominował drób), i obwieszonych

20-litrowymi kanistrami z bimbrem. Ochronę stanowiły cztery ciężarówki pełne

kompletnie pijanego wojska. Po godzinie jazdy po wertepach rozległ się strzał i konwój stanął. Okazało się, że jeden z żołnierzy zastrzelił przez

przypadek kolegę.

Czekaliśmy w autobusie; siedząca obok mnie kobieta wyciągnęła z rany na nodze

długiego, białego, glistowatego robaka, kiedy do środka weszła dodatkowo „ochrona”.

Nastoletni żołnierze ledwo trzymali się na nogach, odbijając się od siedzeń i przewracając na pasażerów, co byłoby nawet śmieszne, gdyby nie fakt, że trzymali ręczne granatniki przeciwpancerne. Dwóch starszych mężczyzn złapało ich za kark i położyło na skrawkach

wolnego miejsca. Ruszyliśmy.



Sisto, widząc moje zaniepokojenie  
rosnące pod wpływem mijanych  
spalonych wraków

samochodów – efekt ataku rebeliantów  
sprzed kilku dni – uspokajał mnie z  
łagodnym

uśmiechem: – W tym tygodniu napadną  
gdzie indziej. Nie lubią się powtarzać.  
Tutejsi

ludzie wiedzą, dokąd poszli. Nie ma się  
czym przejmować. – A kto w takim razie  
– miałem ochotę zapytać – ginie  
nieustannie od lutego jak nie „tutejsi  
ludzie”? Ale dojechaliśmy bez  
problemów do Kitgum, gdzie Sisto miał  
odebrać z magazynów żywność, którą

mieliśmy rozwozić uciekinierom. Zanim położyliśmy się spać, Sisto zapytał mnie, po co ludzie jeżdżą na nartach. Widział coś takiego w telewizji. Bo to przyjemne – odparłem. – Takie staczanie się? – Sisto kiwał z niedowierzaniem głową.

## **Nie baw się z żołnierzami**

Kitgum umierało. Na śmietniku, tuż przed wejściem do naszego hoteliku, urządziły

sobie ucztę sępy. Z domów sypały się tynki, powoli znikał ostatni kawałek asfaltu, na

który wjeżdżały dwa samochody

dziennie. Ludzie uciekali do Kampali, jeśli mieli

pieniądze lub krewnych w stolicy, albo wracali na wieś. Tam wprawdzie groził atak

rebeliantów, ale przynajmniej rodzina mogła ich wyżywić, a w Kitgum nie było pracy.

Nocami słychać było strzały i eksplozje, nie potrafiłem rozróżnić, czy to wybuchła mina, czy pocisk artyleryjski. Jakże to miało znaczenie?

Wręczając mi list, Francis Odida powiedział, że chyba lepiej będzie rozwozić żywność

bez ochrony wojska, bo najwyżej  
rebelianci nas okradną i porwą; jeśli  
zobaczą nas

z żołnierzami, zabiją wszystkich. Widząc  
moje niepewne spojrzenie, poklepał  
mnie po

ramieniu i stwierdził: – Bóg będzie nad  
tobą czuwał, synu.

Mimo to poprosił znajomego  
komendanta, by przydzielił nam asystę.

Koszary były chatkami z gliny  
przykrytymi trawą. Pomiędzy  
zabudowaniami truchtały

ubłocone warchlaki. Komendant wezwał

adiutanta, który przybiegł w basenowych klapkach, co samo w sobie nie było niczym specjalnym, ale zyskało wymiar komiczny, gdy salutując, próbował strzelić obcasami. Dostaliśmy siedemnastu żołnierzy, którzy szybko wdrapali się na budę ciężarówki, a Sisto i ja zasiedliśmy wraz z kierowcą w szoferce.

Obóz szesnastu tysięcy uchodźców z południowego Sudanu w Acholi-Pii wyglądał

schludnie i spokojnie. Nie zatrzymywaliśmy się w nim, gdyż pomoc dla jego mieszkańców

należała do ONZ. Wkrótce później padł ofiarą ataku rebeliantów, którzy zabili ponad stu Sudańczyków. Dwa tysiące osób zaginęło. W położonej kilkanaście kilometrów dalej wsi Patongo rebelianci byli przed nami. Nie przejmując się obecnością kilkudziesięciu

żołnierzy, zaatakowali osadę, zamordowali kilkanaście osób, porwali kilkadziesiąt,

głównie chłopców.

„Nasi” żołnierze zażądali lunchu. Chcieliśmy powiedzieć, że armia chyba im płaci, ale

biorąc pod uwagę, że w razie czego

nasze życie miało zależeć od ich  
dobrego

samopoczucia, wysupłaliśmy z Sisto  
równowartość dziesięciu dolarów i  
kupiliśmy im po

trzy gotowane jajka i dwa *mandazi*  
(pączki) na głowę. Byli wniebowzięci.

Mieliśmy jeszcze jechać na  
nieuczęszczaną teraz z powodu  
zagrożenia drogę do Gulu,

głównego miasta targanego wojną  
Acholilandu, ale zbliżał się zmierzch i  
postanowiliśmy zostać w Padjule, gdzie  
znajdowały się koszary. Chciałem w  
nich spać, lecz Sisto się zaśmiał: – Nasi

chłopcy są mili, ale nie baw się z nimi, jak się napiją, a wieczorem zrobią to na pewno. Jeśli nam się nawet nic nie stanie, to rano ciężarówka będzie pusta.

Poszliśmy więc do miejscowych włoskich misjonarzy prosić o nocleg i przechowanie

ciężarówki. Zgodzili się bez problemu.



# **Dola donosiela**

Zostawiliśmy u księży samochód i udaliśmy się na kolację do kuzyna Sisto. Zasiedliśmy

na macie przed chatą, żona gospodarza podała rybę i zbożowy placek. Rybka mogłaby

służyć za kamizelkę kuloodporną, ale nie skarżyłem się i zulem cierpliwie. W nagrodę

doczekałem się komplementu. Powiedzieli mi, że jestem dobrym białym, nie jak co

poniektórzy, zwłaszcza Anglicy, gdyż nie gardzę ich żywnością, a to dla nich bardzo

ważna sprawa. Ależ to nic takiego, krygowałem się, delektując się mym podejściem do

obcych kultur. I w tym momencie żona gospodarza przyniosła następne danie. – Proszę,

skosztuj – zachęcał Sisto, wskazując na garnek – to nasz narodowy przysmak.

Zdjąłem pokrywkę, a w środku kupa obleśnych, długich na centymetr robali. Nie

wiedziałem, co robić, zwłaszcza po  
wcześniejszych deserach. Każdy ma  
swoją granicę,

w moim przypadku odkryłem ją w tym  
garnku, myśli przebiegały przez głowę,  
gospodarze

patrzyli wyczekująco. Pal licho maniery,  
nie dałem rady. Przywołałem Żydów

i wieprzowinę i powiedziałem, że mi  
polski wariant katolicyzmu zabrania.  
Religia to

ważna rzecz w Afryce, zrozumieli, choć  
nie kryli rozczarowania.

Kiedy już zwyczajowo sobie

beknęliśmy, Sisto zaproponował,  
żebyśmy poszli do

telefonu, gdzie jest jego inny kuzyn. –  
Dokąd? – zapytałem zdumiony. Przecież  
nawet

w stolicy dystryktu, Kitgum, nie ma  
telefonu, to co dopiero w tej dziurze  
zabitej dechami.

Sisto zaśmiał się i powiedział  
„zobaczysz”. „Telefon” okazał się  
rodzajem amfory

wypełnionej gęstym płynem, który  
mężczyźni zebrani wokół pociągali  
przez

półtorametrowe słomki – może ich długość przypominała komuś kabel od słuchawki, stąd

angielski przydomek napoju, zwanego lokalnie „marua”. Kobiety przez trzy dni

przyrządzają zawiesisty wywar pędzonego w domu piwa, do którego w czasie konsumpcji

dolewają wrzątek. Marua to nie tylko oryginalny alkohol, to przede wszystkim element

kultury, popularny zwłaszcza na północy Ugandy. Codziennie wieczorem grupka

przyjaciół (wyłącznie mężczyzn) schodzi

się na sesję maruy i godzinami rozmawiają

o wszystkim i o niczym; taki rodzaj klubu dyskusyjnego.

– O co chodzi Kony’emu? – zapytałem jego uczestników. – Jeśli walczy z rządem, to

dlaczego morduje cywilów?

Odpowiedzią był śmiech, dosyć trudny do zinterpretowania.

W miarę jak pociągali przez słomki, wkładając w to niezwykłą ilość energii, aż im się

policzki zapadały do środka, zaczęli

opowiadać. Dla Kony'ego zabijanie ludności jest po prostu metodą dokuczania rządowi. Prezydent Museveni chce spokoju w całym kraju, Kony jest za słaby, żeby ciągle walczyć z jego żołnierzami, więc pomorduje trochę ludzi; dla prezydenta efekt jest prawie ten sam. Cywile są między młotem i kowadłem: armia chce, żeby informowali o ruchach rebeliantów, ale kiedy otrzymuje wiadomość, rusza się często po dwóch dniach. LRA nie dość, że zdąży uciec, to jeszcze wcześniej zamorduje donosiciela, bo niemal w każdej wiosce ma swoich ludzi. Poza tym zdarza się, że żołnierze przebierają się za rebeliantów, kradną, gwałcą i mordują. Prości ludzie są skołowani i

przerażeni, nie wiedzą, kto jest kto, więc boją się wszystkich.



# Duch znika i wraca

Marua okazała się trunkiem nadzwyczaj silnie działającym, więc wycofaliśmy się

z Sisto, by nie wracać do misji zygzakami. Uczyniliśmy słusznie, ponieważ zaraz po

powrocie zaatakował nas ojciec Tarcisio: – A wiesz, synu, o co naprawdę chodzi w tej

wojnie? – i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Kony jest zwyczajną marionetką

Sudanu. Owszem, islamiści rewanżują się za pomoc Ugandy dla sudańskich rebeliantów,

ale przede wszystkim zadaniem Kony'ego jest dostarczanie niewolników. LRA porywa

tysiące ludzi, a tylko część wraca po szkoleniu i walczy w Acholilandzie. Co się dzieje z resztą?

Dzieci z ośrodka World Vision w Gulu, którym udało się uciec od rebeliantów,

opowiadały mi, że kiedy były w obozach Kony'ego w południowym Sudanie, przybywali

tam Arabowie i zabierali część ich kolegów w zamian za broń. Ojciec Tarcisio, powołując się na rozmowę ze znajomym sudańskim księdzem, twierdził, że młodzi Ugandyjczycy przewożeni są do Dżuby (kontrolowanej przez rząd w Chartumie stolicy południowego

Sudanu), a następnie wysyłani samolotami na północ i sprzedawani jako niewolnicy

w Chartumie. Brzmi to prawdopodobnie, gdyż zarówno Komisja Praw Człowieka ONZ,

jak i organizacja Human Rights Watch przedstawiła szereg dowodów na

istnienie

niewolnictwa w Sudanie. Pogłoski mówią, że ugandyjskie dzieci są również wywożone do

krajów Bliskiego Wschodu w charakterze dostarczycieli organów, zwłaszcza nerek.

Następnego dnia, gdy kontynuowaliśmy rozwożenie żywności, na drodze, którą

jechaliśmy, rebelianci zaatakowali wojskowy konwój. Według oficjalnych danych zginęło

23 żołnierzy. Patrzyłem na „naszych” siedemnastu wojaków i myślałem, że

Francis Odida

miał rację: Bóg nad nami czuwa.

W ostatnich miesiącach Kony nagle  
zmienił image; kierującego nim  
dotychczas Ducha

Świętego i Dziesięcioro Przykazań,  
zgodnie z którymi chciał rządzić krajem,  
zastąpiły

postulaty demokracji, systemu  
wielopartyjnego (w Ugandzie partie są  
legalne, ale nie

mogą działać) i rządów prawa. – James  
Obita pogadał z chłopakami i  
powiedział, żeby dali sobie spokój z

Królestwem Bożym, bo to kiepsko wygląda za granicą – powiedział mi jeden z pracujących na północy Europejczyków. Obita, polityk obalonego przez Museveniiego rządu, przebywa na emigracji w Kenii i od roku jest zagranicznym rzecznikiem LRA.

Kony porywa dzieci? Ależ skąd, same dołączają, a potem zmyślają. Rebelianci podkładają miny przeciwpiechotne przy studniach i na drodze ze szkoły? Wielkie kłamstwo. Kony jest człowiekiem religijnym, który walczy o wolność swego kraju.

Ale władze kenijskie ociepliły stosunki

z Ugandą i pod koniec czerwca  
aresztowały

Obitę pod zarzutem malwersacji  
finansowych. W lipcu Kony znów  
rozmawiał z Duchem

Świętym, który poradził mu  
uprowadzenie dziesięciu tysięcy ludzi i  
obalenie rządu Zła

Museveniego.

# Dzieci i helikoptery

Ojciec Deo głosował w majowych wyborach prezydenckich na Museveniego, ale jego

plakat zawiesił przezornie w toalecie swojego mieszkania w seminarium duchownym

Alokulum, 9 kilometrów od Gulu. Nie tylko dlatego, że 95 procent Acholi głosowało na

opozycyjnego rywala prezydenta, Paula Ssemogerere. – Ludzie tu nienawidzą

Museveniego – powiedział, kiedy



wyszliśmy na drogę, gdyż Deo bał się mówić otwarcie

w obecności innych księży. – Pamiętają, że to on pokonał „ich” armię i uważają, że

specjalnie nie kończy wojny na północy, żeby zemścić się za to, co żołnierze Acholi

wyczyniali z jego ludźmi na początku lat 80. Rodzi to schizofrenię. Bez względu na to, jakich barbarzyństw dopuszcza się Kony, Acholi odczuwają perwersyjną satysfakcję, że przysparza kłopotów Museveniemu. Większość tutejszych księży mówi chłopom, że

Museveni jest Tutsim z Rwandy  
(popularne w Ugandzie oskarżenie;  
trochę jak u nas

wskazywanie na Żydów – MM), który  
chce ich wszystkich wymordować, a  
prości Acholi

wierzą w każde słowo duchownego.  
Poza tym część ludzi, którzy życzą  
wszystkiego

najgorszego Kony'emu, ma mieszane  
uczucia, kiedy słyszy, że armia posyła  
przeciwko

niemu czołgi i helikoptery. Z prawie  
każdej rodziny rebelianci porwali  
dziecko, które teraz walczy w szeregach

LRA. I rodzice mówią, że Kony'emu nic się nie stanie, a ginąć będzie ich potomstwo.

– To co mamy niby robić? – zapytał mnie generał Salim Saleh, brat Museveniego, który

wysłał go w maju na północ, by wreszcie skończył z rebeliantami. – To są nasi wrogowie.

Kiedy ktoś mierzy do moich chłopców, to mnie nie obchodzi, czyim jest synem i ile ma lat.

Żeby ich złamać i pokonać, musimy część z nich zabić. Takie jest prawo wojny. Tych,

których weźmiemy do niewoli, puścimy wolno. Ja dobrze wiem, kto w tym cholernym

Gulu jest informatorem rebeliantów, ale gdybym ich wszystkich aresztował, to mi zaraz

jakaś Amnesty International czy inny Czerwony Krzyż podniesie wrzask o prawach

człowieka. A potem załamują ręce, że Kony wymordował 150 sudańskich uchodźców.

Widzi pan tu sens? Bo ja nie. My naprawdę chcemy skończyć tę wojnę. Rozłokowaliśmy 20

tysięcy żołnierzy przeciwko dwom  
tysiącom rebeliantów, i nic. Szlag mnie  
trafia, ale tu jest niekończący się gęsty  
las, w którym bardzo łatwo się ukryć.  
Niech pan poleci do buszu i zobaczy, jak  
to wygląda w terenie.

## **Memoriał w buszu**

Helikopter wylądował w środku lasu  
Ayugi, na kawałku twardego terenu  
pośród

mokradeł. Najbliższa wioska była  
oddalona o 40 kilometrów. Wokół  
nieprzeniknione

chaszczce, bagna, dzikie zwierzęta i 200  
żołnierzy, których wysłał tu Saleh, by

zapobiegli przenikaniu rebeliantów z Sudanu. Zabrali mnie na rutynowy, wielokilometrowy patrol.

Zanim wyszliśmy z obozu, popatrzyli krytycznym wzrokiem na moje skórzane pionierki. –

Te buty są dobre na pustynię, ale nie tutaj – powiedział jeden z nich i wręczył mi parę kaloszy. Próbowałem bronić mego obuwia, ale ustąpiłem, i całkiem słusznie, ponieważ 300 metrów za obozem wpadłem po kolana w błoto. Żołnierze byli szczęśliwi, a to był

dopiero początek. Szliśmy w potrójnym szeregu, boczne oddalone od środkowego

o kilkanaście metrów na wypadek zasadzki. Przed każdym przejściem przez odkryte

mokradła kapitan nakazywał ciszę i szybko się przemykaliśmy. Salim Saleh miał rację:

rebelianci mogli być oddaleni o 50 metrów i nie zauważylibyśmy ich. Z oddali dobiegały dźwięki kanonady artyleryjskiej.

Zaprowadzili mnie do odległego o 7 kilometrów (kilka godzin forsownego marszu) obozu,

w którym jeszcze kilka dni wcześniej ukrywało się 300 rebeliantów.

Pokazywali mi

z dumą dziury po pociskach  
wystrzelonych z helikopterów, rzucali  
pod nogi odłamki bomb.

Wyglądało na to, że zgotowali tu  
ludziom Kony'ego niezły kawałek  
piekła. Za obozem

znaleźliśmy leżący na noszach szkielet;  
tropikalne robactwo nie marnowało  
czasu.

Po czterech dniach miał mnie zabrać z  
powrotem do Gulu helikopter  
przylatujący

z dostawą żywności dla żołnierzy, ale



zerwały się ulewne deszcze. Porucznik  
Bob

wdrapywał się kilka razy dziennie na  
drzewo, nawiązywał kontakt radiowy z  
Gulu,

krzyczał wniebogłosy do krótkofalówki,  
po czym zsuwał się na ziemię i  
rozpromieniony

informował mnie, że czeka nas jeszcze  
jeden wspólny marsz. Teraz można już  
było mówić

o marszobiegach; żołnierze przestali  
stosować taryfę ulgową. Miałem tego  
serdecznie

dosyć: w nocy budziłem się w kałuży wody – mój szalas przeciekał jak diabli – dygotałem do świtu, a potem rozpoczynał się jakiś kolejny Memoriał imienia Kusocińskiego.

Trwało to tak tydzień. Żołnierze szykowali się już do udzielenia mi lekcji strzelania, kiedy nadleciał helikopter. Przez cały ten czas na próżno szukaliśmy rebeliantów. Nie zniknęli. Kilka dni później przyszedli do samego Gulu. W środku nocy wyrwał mnie z łóżka huk eksplozji. Byłem nieprzytomny, ale dotarło do mnie, że to nie krowa wyleciała w powietrze na minie gdzieś za miastem. Za głośno grzmotnęło. I jeszcze raz, i zaraz

rozpętała się szaleńcza kanonada. Wybuchy, terkot broni maszynowej, a wszystko to

w samym mieście. Na dziedziniec hoteliku wypadły kolejne przerażone postacie, nikt nie wiedział, co się dzieje, a raczej wszyscy wiedzieli, że walki toczą się w samym mieście. Ale co, gdzie i jak, tego nikt nie potrafił powiedzieć. Ściany budynków odbijały dźwięki wystrzałów i eksplozji, nie wiadomo było nawet, z której strony dobiegają. I tak do świtu.

Następnego dnia okazało się, że rebelianci dotarli kilkaset metrów od centrum.

Próbowali granatnikiem zniszczyć transformator, ale nie mogli trafić. Na dźwięk

pierwszych eksplozji żołnierzy i policjantów stacjonujących w mieście ogarnęła panika.

Wielu z nich było pijanych i zaczęli strzelać, gdzie popadnie. Wtedy nawet tym trzeźwym wydało się, że zostali otoczeni. Miało to swoje dobre strony, bo z kolei wystraszyło rebeliantów, którzy dali sobie spokój z transformatorem i uciekli do buszu. A żołnierze strzelali dalej.

W zeszłym roku Joseph Kony odesłał do domu dwie swoje przymusowe

kochanki, które

zaszły w ciążę. Obydwie już zmarły na AIDS. Niektórzy zaczęli więc mówić, że tego,

czego od dziewięciu lat nie udało się osiągnąć armii, dokona choroba. Próżne nadzieje. Jak powiedział sam Kony: – AIDS jest karą bożą, ale jak każda kara Pana może być przez niego cofnięta. Szczerze mówiąc, moi żołnierze też zapadają na AIDS, ale potrafimy ich wyleczyć. Jeśli rząd chce, może przysłać do nas swoich lekarzy, pokażemy im, jak należy zajmować się AIDS. Sukces polega na wierze, a nie spożywaniu różnych ziół. Z pomocą Boga nic nie jest

niemożliwe.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1996/32.

# U Ducha na zapleczu

Myślałem, że jadę do Ugandy na tydzień, dwa, a zostałem trzy miesiące.

Sądziłem, że

na krótko, bo jak zwykle brakowało mi pieniędzy, a Uganda była droższa od Kenii,

w której w dodatku mogłem żyć prawie za darmo u wspomianej już Mamy Roche.

Chciałem się jednak ruszyć z Nairobi, zobaczyć coś nowego, napisać kolejny reportaż, bo od powrotu z wykańczającej, ale i ekscytującej

wyprawy do Zairu, utknałem na kilka bezproduktywnych tygodni.

Przyczyna była prozaiczna: malaria. I to jaka.

Nie brałem na nią lekarstw profilaktycznych, w przeciwieństwie do poprzedniej,

półrocznej podróży po Afryce, dwa lata wcześniej. Nie brałem, gdyż większość lekarzy,

z którymi rozmawiałem, i białych mieszkających w Afryce przekonywała, że jeżeli mam

zamiar spędzić w strefie malarycznej



blisko rok, to skutki uboczne wówczas stosowanych leków mogą być bardziej szkodliwe dla zdrowia niż atak malarii, na który jest się przygotowanym. W dodatku – dodawali – nie ma takiego leku, który by zupełnie

wyeliminował ryzyko zapadnięcia na malarię, stosując go zaś, tłumi się pierwsze objawy, które można zlekceważyć. A gdy się podejmie leczenie, może być już za późno.

Nosiłem więc przy sobie leki na wypadek ataku i liczyłem na szczęście, którego

zabrakło. Choroba dopadła mnie w Nairobi, tuż po powrocie z Zairu, co

miało swoje

konsekwencje. Kiedy poczułem pierwsze objawy, wysoką gorączkę poprzedzającą

mrowiące zimno, dreszcze, ból mięśni, łamanie w kościach, zacząłem wymiotować, no

taka grypa do trzeciej potęgi, nie wpadałem w panikę, bo wiedziałem, co się dzieje,

i wydawało mi się, że z automatu się wykuruję. Wziąłem swoje lekarstwa. Ale nic się nie poprawiało.

Dwie przecznice od ogrodu Mamy

Roche, gdzie spałem, znajdował się Aga Khan

Hospital, o całkiem niezłej renomie. Poszedłem do lekarza, zaordynował mi leki, łykałem i czekałem na poprawę. Ale było coraz gorzej. Kolejny napad gorączki był potworny, traciłem przytomność, już nic nie jadłem, choć Mama próbowała karmić mnie rosołem.

Nawet nie miałem czym wymiotować, lała się ze mnie jakaś żółć wytaczana bolesnymi

drgawkami organizmu. A potem robiło mi się potwornie zimno i byłem tak słaby, że nie

tylko nie byłem w stanie zwlec się z pryczy, ale nie potrafiłem nawet podnieść ręki.

I w przebłyskach świadomości wkradał się strach, bo wiedziałem, że jeszcze ze dwie takie sekwencje ciepło-zimno i kolejny atak może mnie zabić. W sumie, bez zbędnego patosu można powiedzieć, że umierałem. Uratowała mnie Konstytucja 3 maja.

Kilka dni wcześniej z jej okazji udałem się na mały raucik wydawany przez polską

ambasadę. Było drętwo jak to na takich imprezach, aż w którymś momencie zagadał mnie

mężczyzna trochę młodszy od moich rodziców. Jak się okazało opuścił Polskę w stanie

wojennym, pracował jako operator dla niemieckiej telewizji publicznej, mieszkał

w Nairobi, nazywał się Włodek Krygier. Miło nam się rozmawiało, zaprosił na kolację do swojej rodziny, do żony i dwóch córek. A że mieszkałem na polu namiotowym, nie miałem telefonu, tedy ja miałem zadzwonić za dzień, dwa, żeby potwierdzić spotkanie. No i nie zadzwoniłem, bo zdychałem.

A Włodek musiał poczuć do mnie sympatię, a może po prostu tęsknił za

rozmową z kimś

z Polski, dość, że kiedy nie doczekał się na mój telefon, wsiadł w samochód i pojechał mnie szukać. Na szczęście wiedział, gdzie mieszkam. Zastał mnie już w bardzo złym stanie i nie zważając na słabiutkie gierojskie protesty, poniósł do samochodu i zawiózł do swego wynajmowanego przez Niemców pięknego domu obrośniętego bugenwillami. Myślał, że

normalne łóżko, świeża pościel, ciepły posiłek postawią mnie na nogi, bo jak go zgodnie z prawdą zapewniałem, łykałem lekarstwa zalecone przez lekarza w Aga Khan Hospital.

Ale mój stan się nie poprawiał, a wręcz, jeżeli to jeszcze możliwe, było gorzej. Poważnie już zaniepokojony Włodek zdecydował, że jedziemy do Nairobi Hospital, gdzie, jak uważał, pracują najlepsi lekarze od malarii.

Włoski doktor, który nas przyjął, stwierdził, że należy mnie natychmiast

hospitalizować. I spytał, czy mam ubezpieczenie. Miałem, Warty, jak mnie zapewniano

w Warszawie, kiedy je kupowałem, między innymi na taką właśnie sytuację. Ale

w Nairobi Hospital stosowny druk

polskiego ubezpieczyciela, okraszony telefonami

kontaktowymi w Londynie nie zrobił specjalnego wrażenia. Albo gotówka, albo mnie nie

przyjmą.

– A ile to będzie kosztować?

– Ponad tysiąc dolarów, może tysiąc pięćset.

Napisałbym, że zrobiło mi się słabo, ale byłoby to bez sensu, bo już mi było ostatecznie słabo. To była niewyobrażalna fortuna, za takie pieniądze mogłem przeżyć trzy do pięciu



miesiący, a poza wszystkim nawet tej cholernej kasy nie miałem. Dopiero miały spłynąć jakieś przelewy za artykuły, wypowiedzi radiowe. Byłem przerażony.

Niewiele się namyślając, Włodek wyciągnął kartę kredytową.

– Oddasz, kiedy będziesz mógł. Może ci zwrócą z ubezpieczenia, a jak nie, to kiedyś

zarobisz i oddasz. Bez dyskusji.

I tak uratował mi życie. Włoski lekarz powiedział, że następnego ataku najpewniej bym

już nie przeżył. Wszystko przez ten cholerny Zair, z którego przywlokłem jakąś inną,

agresywniejszą odmianę malarii. Nie podziałały na nią moje leki przepisane w Warszawie i kupione w Rzymie, nie dały rady lekarstwa z Aga Khan Hospital. Z tego, co Włodek zrozumiał, bo ja już nie kontaktowałem, Włoch w mieszance kroplówek i proszków użył

także chińskich specyfików niedopuszczonych jeszcze oficjalnie do użytku. I mnie

odciągnął znad przepaści. A te chińskie pastylki dał mi na pożegnanie w prezencie

i zalecił, że gdy tylko poczuję nawrót choroby, mam je od razu łykać. Do końca roku

zachorowałem jeszcze dwa razy, ale już w łagodniejszej wersji. Chińskie proszki działały.

Dochodziłem do siebie w domu mojej chwilowej rodziny zastępczej Krygierów. Włodek

opowiadał mi o swoich afrykańskich przygodach, gdy krążył z kamerą po kontynencie,

a mnie wraz z przybywaniem sił rosła ochota na własne. Gdy już byłem w stanie zarzucić plecak na ramię,

pożegnałem się z tymi cudownymi ludźmi i któregoś ranka wsiałem w zdezelowany autobus do Kampali.

Miałem dwa zamiary. Jeden od Ryszarda Kapuścińskiego do Williama Pike'a, redaktora

naczelnego rządowej gazety „New Vision”. Brytyjczyk Pike trafił do Ugandy jeszcze

w latach 80. jako młody dziennikarz. Towarzyszył w dżungli ówczesnym rebeliantom

Yoweriego Museveniiego, który kilka lat później został prezydentem kraju i zaproponował

cudzoziemcowi Pike'owi stanowisko redaktora naczelnego oficjalnej gazety.

Pike'owi zawdzięczam kilka wieczorów niezwykle interesujących rozmów o historii

i terażniejszości kraju, sugestie kolejnych rozmówców, jeden świetny kontakt do strefy wojny na północy i tematy do przemyślenia. Chociaż za pierwszym razem mało mnie nie wyrzucił z domu. Zapytałem go o czas, gdy przebywał w buszu z Musevenim. Zirytował

się i powiedział, że to nudne, nie ma o czym gadać. Zmieniłem temat, ale po jakimś czasie znowu zadałem pytanie i

prawie wyleciałem. Uratowała mnie  
szybka pokuta, a kilka tygodni później  
dał mi do poczytania swe  
niepublikowane wspomnienia z  
gniewnych

czasów.

W sensie praktycznym istotniejszy był  
inny zamiar. Rink i Lenne z  
holenderskiego

oddziału Lekarzy bez Granic (MSF), o  
których piszę w reportażu *Spokój i  
cisza, czyli wojna* i dzięki którym  
mogłem opisać straszny konflikt w  
zairskim Masisi, dali mi zamiar na  
swojego znajomego w biurze w MSF w  
Nairobi. Ten zaś skierował mnie do

swojego rodaka w Kampali, mojego  
rówieśnika, holenderskiego  
dziennikarskiego wolnego strzelca

Wygera Wentholta. Swoją drogą niemal  
zawsze działałem taką łańcuszkową  
metodą,

obojętne czy to Kaukaz, była Jugosławia  
czy Afryka. Najtrudniej jest się wkręcić  
na

samym początku, zdobyć zaufanie choć  
jednego człowieka, przejść z relacji  
reporter –

przedstawiciel czegoś na kontakt  
międzyludzki podlany wieczornym  
dżinem z tonikiem

w obskurnym, a czasem eleganckim barze.

Więc po przyjeździe do Kampali i pierwszej nocy w jakimś półburdelu, półhotelu,

typowym afrykańskim lokum za parę dolarów, zadzwoniłem do Wygera. Od razu się

umówiliśmy, po piętnastu minutach dał mi wszystkie swoje kontakty w Ugandzie, a po

pół godzinie, powiedział, że następnego dnia wyjeżdża na dwa tygodnie do Burundi i jeśli chcę, mogę rozgościć się w jego małym domku w całkiem



sympatycznej dzielnicy zamieszkaanej przez pracujących Ugandyjczyków. Nie wiem, jak ją inaczej określić.

Gdybym napisał, że żyła tam biedniejsza klasa średnia Kampali, zabrzmiałoby trochę

sztucznie. Ale nie były to slumsy. Zwykle biali lubili mieszkać razem, czy to Kampala, Goma, czy Kigali, lub przynajmniej mieć jakichś białych sąsiadów. Na mojej ulicy ani na żadnej pobliskiej białych nie było, i to nawet lepiej, bo zaraz stałem się ulubieńcem okolicy, ciężko pracujący sąsiedzi pomagali mi, zapraszali na posiłki, ploty i opowieści o Ugandzie i Europie.

Wyger mieszkał z Florence, młodą kobietą z plemienia Acholi, która, uprzedzam

domniemania, była po prostu jego koleżanką i współlokatorką. A zaraz po wyjeździe

Wygera zaczęła mi matkować. Kuzynka Florence wyszła za innego Holendra, Juupa,

który w północnym, ogarniętym wojną Gulu zakładał prywatne radio Capitol FM

w imieniu wspomnianego Williama Pike'a. Czysty zbieg okoliczności, taki mały kampalski świątek. Żona Juupa

żartowała, że najlepszy sposób na natrętne ćmy barowe w Kampali to powiedzieć, że się ma żonę Acholi. Pyskały przerażone w try miga.

Potem pojechałem na kilka tygodni na północ, a kiedy wróciłem do Kampali, Wyger

właśnie zbierał się do Etiopii i ponowił swoją propozycję mieszkaniową. W sumie, przez trzy miesiące, kiedy tylko nie byłem w terenie, mieszkałem w jego domu, a widzieliśmy się na oczy wszystkiego razem pewnie kilka, najwyżej kilkanaście godzin. Kiedy z kolei wrócił z Etiopii, chciałem się wyprowadzić, ale mi nie pozwolił, nie

zgodził się nawet, bym mu odstąpił jego w końcu sypialnię, lecz przespał się na kanapie w saloniku i znowu ruszył w drogę.

Z Etiopii przywiózł ciekawe opowieści, trochę śmierdzących ran na nogach, robaki

w przewodzie pokarmowym i bardzo przyjemną trawę. Skończyły nam się bibułki, więc

paliliśmy jointy skręcone z etiopskiej gazety. Jeden miał nawet jeszcze widoczny napis

„Ethiopia”, zaleciało niemal mistyką. Popijaliśmy miejscowym bimbrem o

nazwie Kasese

Kasese (od nazwy miejscowości, z której pochodził), odpychając krążące opowieści

o możliwej utracie wzroku, a z magnetofonu leciała na cały regulator płyta *Casa Babylon* Mano Negry. Sąsiedzi pewnie się krzywili, nawet nie dlatego, że za głośno, ale tam nikt nie słuchał europejskiej muzyki, nawet w wersji *world* przyrządzonej przez Manu Chao i kolegów, lecz skocznych, szarpanych, monotennie się powtarzających zairskich dźwięków, z których każdy trwał minimum po 15 minut. Niepowtarzalne doświadczenie,

zwłaszcza jak jechało się autobusem po wertepach, a muzyka dobiegała

z przesterowanych, rżących głośników.

Trawę łatwiej było kupić niż butelkowaną wodę, ale zazwyczaj bardzo uważałem. Po

pierwsze, teoretycznie była nielegalna, mimo że wszyscy dookoła palili i nigdy nie

wiadomo było, czy jakiś żołnierz na posterunku, milicjant, bojówkarz nie użyje jej do

szantażu, nie postraszy więzieniem, by

wymusić łapówkę, albo naprawdę nie zapuszkuję.

Po drugie, jak wiadomo, marihuana wzmacnia stan, w jakim jesteśmy. Jeżeli jest nam

dobrze jak w domku Wygera za zamkniętymi drzwiami, to po zacnym jointcie kochamy

cały świat i wszystkich dookoła, a nasze myśli fruną pięknie, swobodnie i abstrakcyjnie.

Ale nie daj Boże stanie się coś złego. W południowym Sudanie przeżyłem kiedyś ostrzał po wypaleniu jointa. Nie polecam.

Tam właśnie po bombardowaniu, które opisuję w reportażu *Czarne słońca* zaszedłem do szałasu zaprzyjaźnionej organizacji pozarządowej, w którym znajomy Francuz pokazał mi wielką puszkę po nesce i zaproponował maska na wyluzowanie.

– W życiu nie widziałem tyle trawy – trudno było mi ukryć zdziwienie.

– E, to nic takiego – odparł Fabio i zaciągnął mnie w kąt obozu, gdzie stał pięćdziesięciokilogramowy worek po sorgo wypełniony po brzegi marihuaną. Widząc moje

osłupienie, Francuz wyjaśnił: – To



wkład partyzantów w dobrosąsiedzkie stosunki,

w podzięce za lekarstwa. Wszystkie pobliskie obozy korzystają. To co? Zapalimy, kolego?

Ale miało to swoje złowróżbne strony.

– Kiedy mierzy do mnie z kałasznikowa kompletnie ujarany trawą rebeliant, to już jest

źle – opowiadał mi Paolo, młody Włoch pracujący w jednym z obozów. – Ale jeśli

w dodatku ten rebeliant trzymający palec na spuście ma dziesięć lat, to mam

naprawdę

przechlapane.

Niczego i nikogo tak się nie bałem w Afryce jak ujaranych i pijanych ludzi z bronią na checkpointach, posterunkach kontrolnych. Za każdym przejściem i przejazdem mamrotałem coś na kształt modlitwy niewierzącego.

Tak więc gościna Wygera powodowała, że nie musiałem płacić za noclegi w Kampali, co

było bezcenne dla mojego mikrobudżetu. Jadłem w lokalnych barkach dla biedoty, czasem

pozwalając sobie na fanaberię w postaci  
lazanii w niby-włoskiej knajpce albo na  
masalę u Hindusa za całe trzy, a nawet,  
jejku, jejku, pięć dolarów. No i  
zarabiałem.

Jak opisuję w *Wojnie Ducha Świętego*,  
generał Salim Saleh zgodził się bym  
poleciał

z jego żołnierzami helikopterem do  
dżungli zwanej lasem Ayugi ścigać  
rebeliantów. Po

powrocie do Kampali spotkałem na  
ulicy lekko szajbniętą angielską  
współpracowniczkę

BBC. Gdy usłyszała, gdzie byłem i co

widziałem, z lekka osłupiała.

– Przecież armia tam nikogo nie wpuszcza!

– No mnie jakoś wpuścili.

Tu trzeba wyjaśnić, dlaczego mnie jednak wpuścili. 36-letni wówczas Salim Saleh,

przyrodni brat prezydenta Museveniego, był towarzyszem jego wszystkich walk z czasów

partyzanckich, a gdy przejęli władzę, jednym z najbliższych współpracowników,

biznesmenem, utracjuszem i playboyem. Gdy na północy wojska rządowe coraz gorzej

radziły sobie z Armią Oporu Pańskiego (LRA), Saleh szampańsko się bawił w Kampali.

Ponoć doszło do zwania między braćmi, a może po prostu Museveni uznał, że tylko Saleh da sobie radę z rebeliantami. Więc za karę, albo i nie, wysłał go do zagubionego w dżungli kilkunastotysięcznego Gulu, by zdławił powstanie.

I tak birbant ze stolicy, który dawno już zapomniał o frontowych trudach, trafił do tej kompletnej dziury, gdzie jedyną

rozrywką, na jaką mógł liczyć, było oglądanie wieczorem filmów na wideo. Nawet telewizja tam nie działała. Miało to swoje humorystyczne strony, bo tego lata odbywało się piłkarskie Euro w Anglii. Całe Gulu opętane futbolem jak Afryka długa i szeroka słuchało radiowych transmisji przekazywanych przez afrykański

serwis BBC. Codziennie z Kampali przyjeżdżał specjalny kurier, który przywoził nagrane na kasetach mecze z poprzedniego dnia. Wieczorem zbieraliśmy się w stodole, odpalaliśmy dieslowski generator (bo prądu zazwyczaj też nie było) i oglądaliśmy spotkanie, którego wynik znaleźliśmy, ale

emocje wśród publiczności były co najmniej takie jak na angielskich trybunach.

Czułem się nieco absurdalnie, gdy w środku dżungli, wśród chatynek krytych

trawą, ktoś potrafił wymienić prawie cały skład polskiej reprezentacji z hiszpańskiego mundialu albo zapytać, kto jest obecnie silniejszy, Widzew czy Legia.

Kiedyś moi ugandyjscy kumple-kibice z Kampali poprosili o piłkarską przysługę. Ich

drużyna grała derbowy mecz. Tamci byli faworytami, bo zatrudnili niemieckiego trenera.

Więc miałem przyjść na spotkanie,  
zasiąść na ławce rezerwowych,  
gestykulować

i generalnie robić wrażenie, że jestem  
tajemniczą cudowną trenerską bronią  
prosto

z Europy. Udało się. Zremisowaliśmy!

Co równie istotne dla mej wyprawy do  
lasu Ayugi, w kilkunastotysięcznym Gulu  
byłem

jednym z dwóch białych. Drugim był  
niemiecki stolarz, pracujący w jednej z  
organizacji pozarządowych. Wściekle  
rudy i wyższy ode mnie o głowę, ale i  
tak wszyscy nas mylili.



No cóż, dla nich wszyscy biali wyglądali tak samo, tak jak dla większości białych wszyscy czarni są spod jednej sztancy. Nieraz się zdarzało, że szukałem Niemca, rozpytujac na ulicy i ktoś wskazywał mi pobliski bar. Już do niego ruszałem, kiedy orientowałem się, że właśnie z niego wyszedłem.

Tak więc, gdy pierwszy raz zgłosiłem się do Saleha po wywiad, krótka rozmowa

zamieniła się w wielogodzinną zakrapianą biesiadę, bo byłem po prostu dla generała

niespodziewaną atrakcją, oderwaniem od beznadziejnej nudy wojny w dżungli.

Na koniec

rozmowy zaprosił na następną, aż w końcu przy kolejnej okazji bez problemu wysłał mnie ze swoimi żołnierzami do lasu Ayugi.

I kiedy na ulicy w Kampali za sprawą angielskiej dziennikarki zorientowałem się, co

mam w ręku, zgłosiłem się natychmiast do redaktorów lekko opozycyjnej gazety

„Monitor” z pytaniem, czy chcą reportaż z lasu Ayugi ze zdjęciami. Chcieli.

Męczyłem się strasznie, pisząc po angielsku, a tekst ukazał się zapowiedziany na pierwszej stronie i

cieszyłem się chwilową sławą gwiazdy ugandyjskich mediów. Za reportaż i zdjęcia

dostałem chyba sto dolarów z okładem, co pozwoliło mi na przeżycie kolejnych kilku

tygodni. Napisałem jeszcze jeden, a później sam William Pike zamówił u mnie reportaż

z Zairu i kawałek publicystyczny pod hasłem: co zagraniczny reporter sądzi o *Wojnie Ducha Świętego*? Napisałem o splocie historycznych uprzedzeń, spirali podejrzliwości, o ugandyjskim domu wariatów, w którym każdy zakłada najgorszą wolę drugiej strony i gdzie

najdziksza, najbardziej szalona plotka  
brana jest za pewnik. Żartowałem sobie

z przekazywanej z ust do ust mądrości,  
że Museveni i Saleh to tak naprawdę  
Tutsi

z Rwandy. I starałem się przedstawić  
racje Acholi, ich gigantyczne poczucie  
krzywdy,

prawie nieobecne w mediach w stolicy.  
Pike był zadowolony. Namawiał, żebym  
został

w Afryce i przestawił się na pisanie po  
angielsku. Tłumaczyłem mu, że nigdy po  
angielsku nie napiszę tak jak po polsku,  
że polski to moja najintymniejsza

ojczyzna, że kocham te niuanse słowne, subtelności, potoczną mowę, mistrzów słowa, nie ucieknę od tego.

Rozumiał, ale i tak namawiał.

Moi znajomi Acholi z Gulu byli przerażeni. Kiedy wróciłem na północ akurat

w momencie ukazania się artykułu, gratulowali mi pokątnie odwagi, ale bali się

rozmawiać na ulicy. I bali się o mnie. Saleh był na północy znienawidzony, jeszcze

bardziej niż jego brat prezydent. Był

okupacyjnym komendantem. Którejś  
nocy adiutanci

generała odwieźli mnie do gospodarzy, u  
których spałem, bo Saleh nie zgodził się

–  
całkiem słusznie – bym wracał po  
ciemku na rowerze. Ostatnie, czego  
potrzebowałem, to

porwany albo zamordowany europejski  
dziennikarz. Ale miny moich przyjaciół,  
kiedy

otworzyli drzwi po natarczywym  
waleniu i zobaczyli ludzi generała, były  
straszne.

Z drugiej strony bałem się, co może  
wyniknąć z tego, że każdy w Gulu wie o  
moich

coraz bardziej zażyłych kontaktach z  
komendantem. W dodatku odbywały się  
wybory.

W czasie kampanii poznałem Norberta  
Mao, startującego do parlamentu  
kandydata

Acholi, do niedawna szefa samorządu  
studenckiego na stołecznym  
Uniwersytecie

Makerere. Rozmawialiśmy nocami w  
jego biurze, piliśmy piwo, co nie uszło z  
kolei

uwadze Saleha, dla którego Mao był niemal kryptorebeliantem. Miał do niego taki

stosunek jak swego czasu Anglicy do polityków Sinn Fein, uważając ich za jawną

ekspozyturę terrorystycznej IRA, Irlandzkiej Armii Republikańskiej. A puenta jest taka, że w zeszłym roku Mao kandydował na prezydenta Ugandy. Przegrał z Musevenim, ale jest jednym z najważniejszych polityków kraju. Któregoś dnia wpadnę do niego na herbatkę.

Czułem, że atmosfera się zagęszcza.



Kiedy wróciłem po raz kolejny do  
Kampali

i spotkałem Saleha, nie wyglądał na  
specjalnie rozbawionego moimi  
ostatnimi popisami

publicystycznymi. Uznałem, że czas  
odpocząć od ugandyjskiej polityki oraz  
wojny,

i pojechałem do Etiopii, pobawić się w  
turystę.

## **Czarne słońce**

Przed południem pojawił się antonow.  
Wyglądał jak zabawka, krążąc na  
swoich

zwyczajowych trzech tysiącach metrów. Właściwie mógłby zejść niżej; rebelianci i tak nie posiadają broni przeciwlotniczej. Mieszkańcy obozów uchodźców, mający świeżo w pamięci ostatnie bombardowania, wskakiwali do płytkich rowów pełniących rolę

schronów przeciwlotniczych. Nieliczne samochody jadące wyboistymi rudymi drogami

zatrzymywały się gwałtownie, pasażerowie szukali schronienia w buszu, pod kolczastymi

krzakami akacji. Ale antonow pokrążył kilka minut i zawrócił w stronę swojej bazy –

trzymanej przez wojska rządowe stolicy Sudanu Południowego, Dżuby. Mogło to oznaczać

tylko jedno: zwiad przed kolejnym bombardowaniem.

Wczesne popołudnie w Nimule wypełnione było nerwowymi dyskusjami. Wszystkie

rozmowy koncentrowały się wokół jednego tematu: bombardowania. Dwie rzeczy

wydawały się nie ulegać wątpliwości: samego Nimule nie zaatakują, za dużo tu międzynarodowych organizacji

humanitarnych, no i jest UNICEF.

Pewnie będą celować

w odległe o 35 kilometrów Arapi – tymczasową siedzibę rebeliantów, i to najwcześniej

jutro przed południem. Zawsze bombardują o tej porze – kiedy jest najlepsza widoczność.

Dochodziła piąta. Siedziałem w mesie UNICEF-u, wojskowym namiocie, wraz

z Davidem Kabundą, 40-letnim Kenijczykiem, szefem UNICEF-u i ONZ-owskiej operacji

Linia Życia dla Sudanu (OLS) w

Nimule. Koszmarny upał, duchota,  
bzyczenie much.

Z dali dobiegał śmiech sudańskich  
kucharek.

– Słyszysz? – David podniósł głowę  
znad papierów, patrząc w nieokreślony  
punkt. –

Ciężarówka czy samolot? – Samolot –  
odparłem mechanicznie, pogrążony w  
pisaniu listu,

nie zdając sobie sprawy z  
wypowiedzianych słów. – Cholera! –  
David już wychodził

z namiotu. Z północy dobiegał coraz

wyraźniejszy dźwięk silników.

Podwórze zapełniało

się ludźmi: większość w slipkach,  
wyrwana z przedłużonej sjesty.

Pierwsze dwie eksplozje były ledwie  
słyszalne. Następne, po krótkiej chwili,  
już

zupełnie wyraźne. – Bombardują Arapi.  
– Nie, to będzie bliżej, chyba obozy w  
Aswie. Koło nas przebiega jedna z  
kucharek. Po chwili, z płytkiego „dołu  
przeciwlotniczego”, spoglądała  
przerażona w niebo. Mężczyźni się  
śmiali. – Nie bój się, do nas i tak nie  
przyłeci.

Wtedy go ujrzeliśmy: mała plamka  
powoli przybierająca kształty samolotu.  
– Leci na

nas! – w głosie Davida słychać było  
jeszcze niedowierzanie. – Kryć się! Już  
nikomu nie było do śmiechu. Strach,  
szukanie wzrokiem wsparcia. Mieliśmy  
w obozie kilka dołów, ale instynkt  
stadny robił swoje: wszyscy skakali do  
jednej dziury, na głowy tym, co byli  
pierwsi. Część schronu została przykryta  
cienką warstwą drewna i ziemi;  
wątpliwa

osłona, ale każdy chciał się pod nią  
znaleźć. Przyciśnięci do siebie,  
półnadzy, oblani potem z gorąca i

strachu, wsłuchiwalismy się w ryk  
maszyny.

Nakrylismy głowy rękami. Wszyscy  
ściągalismy odruchowo mięśnie twarzy,  
jakby to mogło

cokolwiek pomóc. Tych kilka, może  
kilkanaście sekund oczekiwania (gdzie  
spadną

bomby?) wydawało się nie mieć końca.  
I nagle ogłuszający huk wybuchów.  
Gdzieś blisko.

I cisza. Antonow oddalał się na północ.

Wyjrzelismy. Kilkaset metrów od nas  
ściana czarnego dymu zasłaniała stojące



już nisko

słońce. – Trafili w wieś. Jedźcie tam! –  
komenderował David. – Ja się łączę z  
Nairobi.

W biegu wskakiwaliśmy do land-  
cruisera. Kilkadziesiąt sekund  
szaleńczej jazdy po

wertepach i trąbienia na tłumy ludzi  
biegnących w stronę miejsca eksplozji.

Ulga – to pierwsze uczucie. Bomby  
trafiły w pole, dokładnie w połowie  
drogi między

skupiskami nędznych chałupek z trawy.  
Wszystko dookoła było czarne, nawet

słońce

wyglądało, jakby było oglądane przez szkło opalone nad świecą. Po pogorzeliśku biegały setki ludzi, krzycząc, płacząc, złorzecząc.

Nadjeżdżały wciąż nowe samochody miejscowych organizacji humanitarnych, hamując gwałtownie przed ludzkimi zaporami.

I wtedy ktoś krzyknął: – Antonow wraca! Tłum ogarnęło szaleństwo. Zamiast padać na

ziemię, wszyscy starali się uciekać jak najdalej, zderzali się, przewracali, wstawali i biegli dalej w tragicznym bezsensie. Właśnie w czasie ucieczki

ginie najwięcej ludzi. Jeżeli się leży nawet niedaleko miejsca eksplozji, jest duża szansa przeżycia. Kto ucieka, ten ginie albo zostaje poszarpany odłamkami. Trzeba wykrawać całe kawałki ciała. Jeśli w pobliżu jest jakiś lekarz i jeśli ma czym kroić.

Ale łatwo powiedzieć „leż!”, trudniej to wykonać, kiedy wszystkich ogarnia histeria.

Rządowi piloci wiedzą o tym, dlatego często zawracają, by ponownie bombardować to

samo miejsce. Tym razem jednak nie wrócili.

Z głębi pola, od strony zachodzącego słońca, zbliżało się kilka rozmazanych postaci. To, co nieśli, przybierało coraz bardziej ludzkie kształty. Szli w moją stronę, inni biali byli dalej, poza tym byłem najlepszym świadkiem – z przewieszonym na szyi aparatem fotograficznym. Byli coraz bliżej. Już mogłem zobaczyć martwe ciało dwunastoletniej

może dziewczynki. Położyli dziecko przede mną: – Fotografuj! Pokaż w swoim kraju, co

nam robią Arabowie. Przecież tu są tylko cywile, a oni nas bombardują. Krzyczeli,

szlochali, wygrażali. Jeden z mężczyzn przewrócił trupa, aby wszyscy mogli zobaczyć

wielką śmiertelną ranę na plecach dziewczynki. Chciałem uciec z tego straszego miejsca, ale oni żądali więcej i więcej zdjęć, jakby to mogło pomóc martwej, jakby to miało ich samych uratować.

Norweskie pielęgniarki opatrywały dwójkę rannych dzieci, mężczyźni jechali już szukać

miejsca, gdzie spadły pozostałe bomby.

Trafiły w busz, już za wsią. Przy całym okrucieństwie tej wojny jest ona nędzna

i prymitywna. Rebelianci nie mają broni przeciwlotniczej, ale i rządowych stać na użycie migów tylko do ataków na froncie. Wioski i obozy uchodźców bombardują transportowymi antonowami, z których załoga wyrzuca bomby. Wojna serca Afryki.

W ciągu 11 lat wojny blisko dwie trzecie ludności Południa opuściło swoje miejsca

zamieszkania. Uciekali przed ofensywami Chartumu, bombardowaniami, masakrami

wrogich plemion. Suche statystyki mówią, że na Południu, w wyniku działań wojennych

i głodu, zginęło już półtora miliona ludzi. W samym 1988 roku zmarło z głodu 280 tysięcy.

W obozie w Atepi było 70 tysięcy wycieńczonych uciekinierów. Atepi zostało

zbombardowane. Przez busz i góry dziesiątki godzin uciekali do Paradżok. Więc rządowi

zbombardowali Paradżok. I znów w drogę. Dobytek został daleko. Dokąd uciekli teraz?

Nikt dokładnie nie wie.

Cel bombardowań jest prosty: wygonić

wszystkich. Do Ugandy, Kenii, Zairu, Etiopii.

Kiedy zabraknie ludności, na kim oprą się rebelianci? No to jeszcze jeden antonow.

I jeszcze jeden. Najgorzej, gdy SPLA osiągnie jakiś sukces na froncie. Wtedy bombardowanie jest pewnikiem.

– Gówno mnie obchodzi rząd w Chartumie, SPLA, SPLA-UNITED, komendant Nyong.

I ci wszyscy watażkowie – mówi David, kiedy próbujemy zabić czas, czekając na kolejne



bombardowanie. – Mnie obchodzą  
kobiety i dzieci, rozumiesz? Tylko dla  
nich warto coś

robić. Jeśli pomożesz mężczyznom,  
zawsze w podzięcie otrzymasz  
zniszczenie. Ale dla

kobiet i dzieci narażę swoje życie.

Mam ich wszystkich przed oczami.  
Takich jak David, który nie wiadomo ile  
razy

uniknął śmierci w ciągu pięciu lat w  
Południowym Sudanie. Amerykanie,  
Anglicy,

Irlandczycy, Włosi, Francuzi,

Skandynawowie, Niemcy, Holendrzy,  
Australijczycy...

Niektórzy przyjeżdżają z pobudek religijnych, drudzy uważają, że ich kraje wzbogaciły się na nieszczęściu Afryki i czas spłacić dług. Jeszcze inni uciekają od swojej „małej stabilizacji”. Wszyscy w niezwykle ciężkich warunkach ratują ludzkie życia. Wyklócają

się z rebeliantami, aby ci łaskawie pozwolili na przejazd ciężarówek z żywnością dla

głodujących.

Paolo, 27-latek, był porządnym yuppie, zarabiał krocie. pracując jako

komputerowiec

w luksemburskim banku. – Któregoś dnia zrozumiałem, że nie mogę tak spieprzyć

swojego życia. Forsa i zupełna pustka. Zgłosiłem się do Lekarzy Świata. Wysłali mnie do Bośni. – Teraz Paolo pracuje dla Międzynarodowej Akcji Walki z Głodem (AICF).

Fabio, 39 lat, mógłby zostać bohaterem filmu. Był nauczycielem w Ghanie i Burkina

Faso, kierowcą ciężarówki w Chartumie, zaopatrzeniowcem Lekarzy bez Granic

w Jemenie. Miesiącami włóczył się po USA śladami i w stylu bohaterów filmów

Jarmuscha. Jest wkurzony na Davida (którego bardzo szanuje), że chce ewakuować

obóz. – Cholera, przecież wiem, gdzie przyjechałem! Spadły bomby, i co z tego? Ci ludzie w obozach zostaną. A my co? Dupę w troki i do Nairobi zgrywać męczenników? To niech ONZ wywiewa.

Stosunki organizacji humanitarnych z ONZ to w ogóle delikatna materia. Na szczęblu

lokalnym zależą od konkretnych ludzi. W

Nimule dzięki Davidowi panowała  
prawie że

sielanka. Ale im wyżej, tym gorzej.  
„Pomocowi” uważają, że ONZ to  
biurokratyczna

maszyna, którą rządzą bezduszni  
urzędnicy niemający pojęcia o  
miejscowych realiach.

Byłem z Paolem, kiedy dowiedział się,  
że obiecana ONZ-owska dostawa  
lekarstw dla

Sudanu powędrowała do Bośni. –  
Typowe ONZ-owskie myślenie! –  
wybuchnął. – Przecież

to są leki na malarię i inne tropikalne choroby.

Pal diabli lekarstwa, gorzej, że w czeluściach ONZ giną gigantyczne pieniądze

przeznaczone na pomoc potrzebującym.

Niemiecka Action Africa in Need przez dziesięć dni dawała ogłoszenia do wszystkich

ugandyjskich gazet w poszukiwaniu kierowców, którzy pojedą w konwoju przez Zair do

izolowanych rejonów Południowego Sudanu. Niemcy proponowali świetne

warunki

finansowe. Znalazło się dziesięciu  
chętnych. Strach okazał się silniejszy.

„Humanitarni” prowadzą nieustanną  
walkę ze wszystkimi możliwymi  
komendantami

na Południu. Żeby dostarczyć żywność  
czy lekarstwa do obozów, muszą  
posiadać

każdorazowo zgodę. – Najprostsza  
sytuacja: wiem, że w obozie jest 18  
tysięcy

uchodźców – tłumaczy znajomy  
Irlandczyk. – Ale SPLA żąda dostaw 24

tysięcy porcji,

tylu jest według nich. Te dodatkowe 6 tysięcy idzie na front. Minimum 6 tysięcy!

Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ale co mogę zrobić? Jeśli nie przymknę oczu,

rebelianci nie przepuszczą żywności dla głodujących. Dowódcy kradną zboże, lekarstwa,

mleko dla dzieci. Tu nikt nie przejmuje się cywilami.

Garang, Machar i jego alter ego – Lam Akol, wszyscy są doktorami zachodnich



uczelni.

Garang jest agrotechnikiem, Machiar – inżynierem budowlanym, Akol – naftowcem.

Znękani południowcy tak mówią o naszych Ph.D. (doktorach) – Poverty, Hunger, Diseases

(nędza, głód, choroby).

Jedyną prawdziwie cywilną strukturą, która funkcjonuje na Południu i cieszy się

autentycznym zaufaniem ludności, są Kościoły. Katolicy, baptyści, adwentyści,

prezbiterianie – wszyscy działają  
wspólnie w Radzie Kościołów nowego  
Sudanu.

Przeciwno nim fundamentaliści z  
Północy ogłosili dżihad – świętą wojnę.  
Na terenach

kontrolowanych przez wojska rządowe  
kościóły równane są z ziemią,  
chrześcijanie

zmuszani terrorem do przejścia na islam.

W Luo, niedaleko Nimule, stoi  
neoromański kościół z czerwonej cegły.  
Rządowi piloci,

z godną podziwu konsekwencją,

bombardują go w czasie każdego nalotu.  
Wypadły

wszystkie szyby, ogród został zryty  
lejami, ale kościół nadal góruje dumnie  
nad okolicą. –

Chrześcijaństwo przetrwa tu, tak jak  
kościół w Luo – mówi młody sudański  
ksiądz. –

Jesteśmy ich ostatnią nadzieją.

Z Nimule do Laboni – dokąd uciekło  
kilkadziesiąt tysięcy ludzi po  
bombardowaniu

Paradzok – jest w linii prostej 100  
kilometrów. Ale najkrótszą drogę przez

# Sudan

kontroluje komendant Nyong. Żaden Dinka ani nikt z nimi współpracujący żywy nią nie

przejedzie. W Laboni ludziom brakuje już żywności. Trzeba ją jakoś dostarczyć. Pozostaje określona trasa – przez północną Ugandę. Ale tam szaleją bandy zwalczające rząd w Kampali. Kiedy już byłem w Nimule, zamordowali trzech miejscowych i porwali

hiszpańskich misjonarzy.

Szczególnie zagrożone są transporty z żywnością. Kierowcy i „humanitarni”

z poprzedniego konwoju przeżyli chwilę grozy, gdy leżeli na ziemi z automatami

przystawionymi do potylicy. Przeżyli, żywność zniknęła w buszu. Trzeba ryzykować, na

ochronę nie można liczyć. Rebelianci z SPLA nie mogą przecież wjechać na terytorium

Ugandy, a ONZ nie posiada sił pokojowych.

Wyjechaliśmy z Davidem o świcie. Ponad 300 kilometrów wyboistymi drogami to co

najmniej 9 godzin. Jazda po ciemku

graniczy z samobójstwem.

W Ugandzie zepsuło nam się radio.

Godziny czekania na naprawę.

Wiedzieliśmy już, że

nie dojedziemy w ciągu jednego dnia do  
Laboni. Musieliśmy zostać na noc w  
ugandyjskim

Kitgum, jedynym bezpiecznym miejscu  
w promieniu 100 kilometrów.

I znów o świcie w drogę. David  
zachowywał kamienną twarz.

Jechaliśmy ślimaczym

tempem, podwozie zgrzytało na  
niekończących się wybojach, a gdzieś

dookoła, w buszu,

siedzieli faceci z kałasznikowami, dla których błękitna flaga była kawałkiem nic

nieznaczącej szmaty. Wjazd do Sudanu zmienił tylko tyle, że teraz bałem się innych

facetów, też z kałasznikowami. Pierwszy posterunek SPLA przyniósł chwilową ulgę.

W pośpiechu stawialiśmy samochód pod drzewem, gdzieś nad nami krążył samolot.

Odleciał.

Z ochroną SPLA dojechaliśmy do Laboni. Był tylko jeden szkopuł: most na rzece,

a raczej jego brak. Ujrzeliśmy również pas startowy: z daleka wyglądał fachowo, tylko że nie mógł na nim wylądować żaden samolot, wszędzie wystawały pnie drzew. Ostatnia możliwość dostarczenia żywności – zrzuty lotnicze, również była nierealna. Od łąki, która mogłaby służyć za zrzutowisko, do pierwszego obozu były dwie godziny drogi. Mężczyzn SPLA wzięła na front. Zostały wynędzniałe kobiety i dzieci, wszystkie bez wyjątku ze



wzdętymi z niedożywienia brzuchami.  
Kto z nich da radę nosić 50-  
kilogramowe worki?

Żywności pozostało na kilka dni.  
Większość z kilkudziesięciu tysięcy  
uchodźców śpi pod gołym niebem, za  
cały dobytek mając kanistry na wodę. Za  
chwilę zacznie się pora deszczowa.

Boją się. Kolejnej ucieczki,  
bombardowań, zemsty. W dolinie  
Laboni żyli wcześniej

Acholi. SPLA przepędziła ich. Do  
Ugandy, żeby zrobić miejsce dla swoich  
Dinka. Ale tutaj krzywd się nie  
zapomina. Acholi kiedyś się zemszczą,  
Nuerowie będą walczyć z Dinka,

Południe z Północą. Tylko kobiety i dzieci nie będą miały dokąd uciec.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1994/16.

## **Spokój i cisza, czyli wojna**

Dookoła płonęły wioski. Najpierw widzieliśmy tylko pnące się z dolin słupy dymu, potem mijaliśmy dopalające się chaty, by wreszcie wjechać między zabudowania, pod które nie dalej niż kwadrans wcześniej ktoś podłożył ogień. Wokół nie było żywego ducha.

A przecież tuż obok, za ścianą tropikalnych traw i krzewów, tak gęstych, że nie mógł

przebić ich wzrok, musieli się kryć wojownicy-podpalacze któregoś z walczących plemion.

Pewnie obserwowali nas, czekając, aż znikną biali intruzi. Nie zatrzymywaliśmy się,

jechaliśmy dalej 15 kilometrów na godzinę górską, kamienistą drogą. Jeżeli ktoś nas

faktycznie obserwował, to musiał się zastanawiać, czego szukamy w miejscu, z którego

wszyscy uciekają. W Mweso.

# Ucieczka dyrektora

Przykład dał dyrektor szpitala. Miesiąc temu wyjechał na kilka dni do stolicy

provincji – Gomy i już nie wrócił. Potem zniknęły prawie wszystkie pielęgniarki. Kiedy uciekli księża misjonarze, mieszkańcy Mweso otrzymali wystarczająco wyraźny sygnał, że czas się pakować. A teraz wycofywali się żołnierze przysłani dawno temu ze stolicy.

Rabowali i wymuszali łapówki, ale bez względu na to, które plemię było akurat przez nich wspierane, wszystkim starali się zapewnić minimalne poczucie

bezpieczeństwa.

Kiedy dotarliśmy do położonego na wzgórzu domu hiszpańskich zakonnic, siostry były

już gotowe do wyjazdu. Przekonane o nadciągającej apokalipsie, zabierały ze sobą całe

wyposażenie medyczne szpitala. Rink i Leanne z holenderskiej sekcji Lekarzy bez Granic (MSF-Holland), z którymi dotarłem do Mweso, próbowali przekonać siostry, że skoro my przyjechaliśmy, to i one mogą zostać. Zażywnie pięćdziesięcioletnie zakonnice odpowiadały uśmiechem, kolejną filiżanką kawy i półokrzykami „Ho!

ho!”, które miały oznaczać, że może my jesteśmy młodzi i nienormalni, ale one po dwudziestu latach w Afryce wiedzą

swoje, więc ho! ho! wyjeżdżają. Tak więc siostry wyjeżdżały do domu, a objuczeni

tobołkami mieszkańcy Mweso uciekali w kierunkach podyktowanych przez przynależność

plemienną: Hunde do Birambizo, gdzie mieszkało wielu ich ziomków, a Hutu na okoliczne

wzgórza, które wcześniej oczyścili maczetami z ukrywających się tam Tutsi.

# Czyje to ziemie

– Witajcie w Kichandze – naszym Sarajewie – powiedział Mwami (król-wódz) Bashali

Mukoto Nyanguba i wskazał na otaczające miasteczko wzgórze. – Tam już są Hutu. Dwa,

trzy kilometry od mojego domu. Tak blisko, że mieszkańcy Kichangi wychodzą na

pobliskie pola tylko w asyście wojowników. Zresztą to nie są nawet ich pola, lecz Hutu, którzy się teraz oczywiście na nich nie pojawią.

Rolników z Kichangi dzieli od własnych upraw kilka kilometrów, ale tam już plony zbierają Hutu.

– Ranek był spokojny – odpowiedział Mwami na nasze pytanie. – Tylko dwóch ranionych włóczyniami i jeden z karabinu. Wczoraj wieczorem zastrzelili mężczyznę, który poszedł do lasu wypalać węgiel drzewny, a potem odcięli mu głowę. – Mwami jeszcze raz popatrzył na wzgórza: – To nasze ziemie, a ci imigranci z Rwandy nam je zabierają.

Piętnaście kilometrów dalej i dwie godziny później, przywódca Hutu z Mweso, Erasto



Ni-tibanturana, odpowiedział: – Nie jesteśmy imigrantami ani Rwandyjczykami, jesteśmy

Zairczykami i mamy prawo do tych ziem.

Wojna o region Masisi jest równie krwawa i okrutna jak piękna jest górzysta ziemia, na której się toczy. Wśród wielu nieznanym konfliktów na świecie, wojna w Masisi otoczona jest jedną z największych tajemnic. Nie docierają tu zagraniczni dziennikarze.

Dwa miesiące temu zairscy żołnierze otoczyli znajdujące się pod Gomą obozy rwandyjskich uchodźców. Do miasta

ściągnął tabun przedstawicieli zachodnich mediów,

ożywionych nadzieją jakiejś większej zawieruchy, gdyby armia zairska próbowała

wypełnić swoje obietnice i wypchnąć uchodźców Hutu z powrotem do Rwandy.

Niektórzy pracownicy organizacji humanitarnych próbowali wykorzystać obecność

dziennikarzy i zainteresować ich wojną w Masisi, której ofiary można znaleźć na drogach ledwie 25 kilometrów od Gomy. Kiedy jednak dziennikarze

dowiadali się, że jest to region zamknięty przez władze Zairu, które bardzo nie lubią wścibskich żurnalistów, że znajdujący się w Masisi zairscy żołnierze są czasem bardziej niebezpieczni niż walczące plemiona, kiedy widzieli, że mieszkańcy Gomy oglądają się nerwowo na sam dźwięk słowa „Masisi”, kiedy słyszeli o rzeziach i paleniu wiosek, o kanibalizmie i czarnej magii – mówili: „Dziękujemy bardzo, mamy pilne sprawy w Nairobi”.

## **Banyarwanda, czyli kto?**

W 1910 roku Belgowie i Niemcy podpisali porozumienie, w myśl którego

ci pierwsi

przyłączyli do Konga, swej kolonii, zwanej dzisiaj Zairem, ziemie należące wcześniej do władanej przez Niemców Rwandy. Wśród nabytków znalazła się między innymi część Masisi. Tym samym członkowie plemion Hutu i Tutsi, zwani wspólnie Banyarwanda,

którzy zamieszkiwali przyłączone ziemie, stali się poddanymi belgijskich władców Konga.

W wyniku I wojny światowej Niemcy stracili swe afrykańskie kolonie. Pieczę nad Rwandą

i Urundi (Burundi) biała wspólnota

międzynarodowa powierzyła Belgom.

W połowie lat 20. postanowili oni  
ściągnąć ludność Banyarwanda do  
Konga (Zairu).

Belgami nie kierowała zasada „dziel i  
rządź” stosowana w Afryce przez  
Anglików, lecz

względy praktyczne. Rwanda była  
przeludniona, a w kopalniach Katangi  
(dzisiejsza

Szaba) i na żyznych stokach Masisi  
brakowało siły roboczej. Hutu byli  
znanymi

z pracowitości rolnikami, Tutsi

świątyniami pasterzami, a w Masisi mogli znaleźć

wymarzone dla siebie warunki, choć jak twierdzą, przesiedlenia odbywały się pod

przymusem. Belgowie nie przejmowali się faktem, że jeszcze przed przybyciem

kolonizatorów miejscowe plemiona, między innymi Hunde, Tembo, Nyanga, Kamo,

Nande, toczyły walki z sąsiadami z Rwandy. Zresztą jakie to miało znaczenie w czasach, gdy tubylcami rządził biały człowiek?

W 1937 roku ruszyli pierwsi  
przesiedleńcy, kierowani przez  
stworzoną 10 lat wcześniej

przez Belgów instytucję Misja  
Imigracyjna Banyarwanda (MIB).  
Odbierano im

rwandyjskie dowody tożsamości, w  
zamian otrzymywali kongijskie. Ilu ich  
było? Gdy

dzisiaj szacuje się liczebność  
Rwandyjczyków w Masisi, padają  
liczby od pięciuset tysięcy do półtora  
milionu. Autochtoni stanowią dziś w  
Masisi zdecydowaną mniejszość – około  
20 procent, reszta to Banyarwanda,  
prawie w całości Hutu.

W 1959 roku wybuchła w Rwandzie krwawa rewolucja chłopów Hutu przeciwko ich

panom Tutsi, cieszącym się poparciem Belgów. Hutu zwyciężyli i setki tysięcy Tutsich,

którzy uszli z życiem, uciekło do sąsiednich państw: Ugandy, Burundi i Zairu. Część

trafiła do Masisi.

Kiedy w rok później Kongo uzyskało niepodległość, przesiedleńcy stali się jego

obywatelami. Cieszyli się nawet



przywilejami, gdyż przez blisko dekadę szefem gabinetu prezydenta Konga-Zairu, Mobutu Sese Seko, był Tutsi – Bisengimania Rwema, który dbał

o wszystkich swych ziomków pochodzących z Rwandy, zarówno Tutsich, jak i Hutu. Ta

nominacja nie powinna dziwić, gdyż Mobutu zawsze lubił się otaczać „podejrzanymi”

etnicznie ludźmi, a to z tej prostej przyczyny, że nie mogli mu zagrozić. Na podobnej

zasadzie premierem Zairu jest dzisiaj Kengo Wa Dondo, który ćwierć wieku

temu, przed

akcją „zairyzacji”, autorstwa  
prezydenta, zwał się Leon Lubicz, gdyż  
jego ojciec był

polskim osadnikiem. Gdyby tego było  
jeszcze mało, matka Leona Lubicza alias  
Kengo Wa

Dongo pochodziła z plemienia Tutsi.

Koło fortuny Banyarwanda obróciło się  
wraz ze zmianą polityki prezydenta.  
Ustawa

002/81 z 29 czerwca 1981 roku  
stwierdzała, że Zairczykiem jest ten,  
którego jeden

z przodków pochodzi z plemienia żyjącego na terytorium Konga Belgijskiego w granicach

ustalonych w 1885 roku przez konferencję berlińską.

Nie sposób odmówić tej ustawie sprytu i przebiegłości, z których znany jest prezydent

Mobutu. Jednym machnięciem pióra uczyniła ona setki tysięcy Hutu i Tutsi

bezpaństwowcami. Co więcej, dzięki ustaleniu daty granicznej na rok 1885, obywatelstwa zairskiego zostali pozbawieni również ci Banyarwanda, którzy donikąd się nie przenieśli, a w

Kongu znaleźli się w wyniku zmiany granic w 1910 roku, Hutu i Tutsi pozostali zawieszani w próżni po dziś dzień.

I nic by się pewnie nie zmieniło, gdyby nie wiatry przemian wiejące z Europy

Wschodniej. Przestał istnieć system dwubiegunowy ZSRR–USA i nagle okazało się, że dla

Zachodu Mobutu nie jest już najwierniejszym afrykańskim sojusznikiem, który stoi na

drodze komunistycznej ofensywy, lecz, o zgrozo, skorumpowanym dyktatorem, za nic

mającym prawa człowieka. Cóż było robić, w kwietniu 1990 roku Mobutu zainicjował

demokratyzację. W praktyce oznaczała ona, że i tak już rozpadający się kraj, w którym

jedyne, co funkcjonowało, to gwardia prezydencka, tajna policja i usługi cinkciarskie, pogrążył się w kompletnym chaosie. Wtedy Hutu z Masisi upomnieli się o władzę.

## **Hutu chcą władzy**

W Masisi, podobnie jak w dużej części Czarnej Afryki, panuje tradycyjny system

władzy. Mwami (król-wódz) jest panem  
udzielnym i właścicielem całej ziemi,  
którą nadaje poddanym wedle  
upodobań. Sam wybiera swego następcę  
spośród członków rodziny.

Mianuje również szefów mniejszych  
jednostek terytorialnych spośród  
kandydatów

zapropionowanych przez ludność. W  
Masisi Hutu stanowili cztery piąte  
mieszkańców,

szybko się bogacili, wzbudzając  
zazdrość autochtonów, ale wszyscy  
Mwami i szefowie,

którzy nimi rządili, pochodzili z

miejscowych plemion, głównie z Hunde.

Demokratyzacja oznaczała dla Zairczyków, że teraz każdy może robić, co chce, a Hutu

chcieli władzy. W marcu 1993 roku na kolejnym wiecu w Masisi, na którym domagali się

udziału w rządach, ich mówcy ogłosili zbiórkę pieniędzy na wojnę z plemieniem Nyanga.

Miejscowy szef (Nyanga) kazał aresztować 14 Hutu. Ich ziomkowie ruszyli na odsiecz

i wzięli szefa jako zakładnika. Wtedy

wojownicy Nyanga pogonili Hutu z całego Walikale.

Ci, uciekając do sąsiedniej strefy, zaatakowali żyjące w niej plemię Hunde. Rzeki spłynęły trupami. Ostrożne szacunki międzynarodowych organizacji humanitarnych mówią, że w ciągu trzech lat zginęło ponad 70 tysięcy ludzi, a pół miliona zostało wypędzonych z domów. Wojna trwa dalej.

## **Baza sępów**

Spaliśmy na plantacji herbaty w „bazie sępów”. Sępami byli Kanadyjka Leanne Olson



oraz Holender Rink de Lange, którzy  
dowieźli mnie do Mweso i dawali  
wyborny przykład

miłości wojenno-humanitarnej. Poznali  
się rok temu w serbskiej części Bośni, w  
Banja

Luce, gdzie również pracowali dla  
holenderskich Lekarzy bez Granic.

Ona miała za sobą 12 lat po 12 godzin  
dziennie pielęgniarskiej harówki w  
szpitalu

w Winnipeg, decyzję „a niech to  
wszyscy diabli” i w jej rezultacie  
przygodę z MSF-Holland w targanej  
wojną Liberii, która zmieniła jej życie.

On – jak skwapliwie wyjaśniła Leanne – miał za sobą karierę wzorowego obiboka. Ona, szczupła i drobna, nie mogła

chwili usiedzieć spokojnie, miotała się, kłóciła, wściekała i dostawała hysterii na widok najmniejszego pająka. On – zwalisty, powolny niedźwiedź, ze spokojem mordował pajęcze plemię.

Rok temu w Banja Luce dramatycznie brakowało lekarstw. Nie pomagały monity

Leanne i Rinka do centrali MSF w Zagrzebiu. W końcu zaczęli zebrać:

w przedstawicielstwach Światowej

Organizacji Zdrowia (WHO), w UNICEF, w „CARE”-

Austria.

Ich szef z Zagrzebia, Roel (teraz w Gomie), do którego co raz ktoś się zwracał, by

przekazać paczki dla Rinka i Leanne, w końcu nie wytrzymał i powiedział swoim

podopiecznym: „Hej ludzie, jesteście parą prawdziwych sępów!”. Wkrótce zwała ich tak

cała społeczność międzynarodowych agencji humanitarnych w Zagrzebiu, a

teraz mówią

tak o nich koledzy z Gomy.

Po Bośni było Burundi, gdzie Rink mało nie zwariował, wrobiony w pracę biurową,

i wreszcie chlubny powrót do terenowych szaleństw we dwoje w Masisi.

## **Rozśpiewani żołnierze**

Kimya znaczy „pokój” lub „cisza”. Tak władze Zairu nazwały operację pacyfikacji

Masisi. Tego ranka, kiedy wyjeżdżałem

z Gomy, widziałem na ulicach miasta  
rozśpiewane

oddziały, które przysłano ze stolicy. Ale  
następnego dnia w Mweso spokój i  
cisza oznaczały wojnę. Pierwszym  
bowiem etapem operacji było wycofanie  
wszystkich rządowych żołnierzy  
zwanych parakomandosami, chociaż  
właściwsza nazwa brzmiałaby

„parałachudry”. Władze im nie płaciły,  
więc żyli z rozboju i przystawali na  
służbę do

bogatszych, w tym wypadku do Hutu,  
którzy mogli płacić krowami i gotówką.

Na miejsce parakomandosów miały

zostać przysłane elitarne jednostki  
gwardii

prezydenckiej. Problem tkwił w tym, że  
nikt nie wiedział, czy i kiedy dotrą.

Powstała

próżnia rodziła strach, histerię i chęć  
ucieczki jak najdalej. Jedyne  
parakomandosi

niespecjalnie się przejmowali.

Dokądkolwiek by ich wysłano, zawsze  
znajdą się tam

ludzie, których można złupić. Siedzieli  
pod daszkiem, popijali piwo Primus z  
butelek,

przyjaźnie z nami gaworzyli, a  
najśmielszy poprosił Leanne o  
prezerwatywy. Paczuszka,

którą dostał, wywołała sprzeczkę z  
zazdrosnymi kolegami.

Nagle czyjś krzyk wywołał panikę. Z  
domów poczęli się wysypywać  
przerażeni ludzie,

objuczeni tobołami, biegli w stronę  
samotnie stojącej na rynku ciężarówki. –  
Nie wiem, o co chodzi – powiedział  
dowódca żołnierzy. – Ktoś krzyknął  
„wojna!” i wszyscy Hunde uciekają.

– Większość z nich w czasie tej wojny  
musiała już po trzy, cztery razy

opuszczać swe

domy – dodała Leanne – są bliscy obłądu. Wystarczy cień pogłoski i łapią swój dobytek.

Masakra albo ucieczka, tak myślą. No i mają rację.

Tymczasem tłum walczył o miejsce na ciężarówce. Kilkaset osób starało się wejść na

budę, która, uwzględniając niezwykle afrykańskie zdolności do wypełniania środków

lokomocji, mogła pomieścić kilkadziesiąt osób. Reszta musiała iść na



piechotę.

Zostawiliśmy za sobą krzyki ludzi, którzy gonili oddalającą się ciężarówkę, i ruszyliśmy do Kalembe, miasteczka należącego do Hunde, odległego od Mweso o 14 kilometrów. Po kilku zakrętach drogę zagrodziło nam ścięte drzewo. Rink od razu wyskoczył z samochodu i począł badać, czy można by je usunąć. – Rink! Wracaj tu, to niebezpieczne – prosiła Leanne, a on potakiwał i obmacywał dalej drzewo. I znowu to poczucie, że jesteśmy

obserwowani. I wrażenie, że coś się może zdarzyć.

Mieliśmy w samochodzie siekierę, ale

nie mogliśmy się zdecydować: rąbać czy nie rąbać.

A nuż niewidoczni drwale poczytają to za sabotaż? Mogliśmy się tylko domyślać ich

intencji. Znajdowaliśmy się na terenie kontrolowanym przez Hutu, zapewne chcieli oni

powstrzymać samochód z wojownikami Hunde z Kalembe, gdyby taki nadjechał, albo

ciężarówkę z uchodźcami, których widzieliśmy chwilę wcześniej, żeby nie zasilili swych ziomków. Hutu ścięli drzewo, bo w Masisi żadna ze stron nie

posiada min.

Długo trąbiliśmy. Bez skutku, nikt się nie pokazał. W końcu Rink podjął decyzję, że

wracamy do Mweso i spytamy komendanta Hutu, czy można usunąć przeszkodę. Ledwo

zawróciliśmy, pojawił się wojownik w krótkich spodenkach i z włócznią w dłoni. „Możecie ciąć”. Wieczorem Rink zakończył swój raport dla centrali w Gomie stwierdzeniem, że „drogi, a nawet blokady nie są dla nas żadnym problemem. Właśnie naostrzyliśmy naszą

siekierę”.

## Śmierć za śmierć

Trzy kilometry dalej wjechaliśmy do Kasubi. Wioska wydawała się wymarła, ale

z wypalonych domów zaczęli wychodzić wojownicy Hutu. Kilkudziesięciu mężczyzn

uzbrojonych we włócznie, maczety, noże, dzidy, a nawet drągi z nabitymi gwoździami

otoczyło nasz samochód. – Żadnych Hunde w samochodzie? – zapytała twarz przyklejona

do szyby. Nasz zairski kierowca nie  
wzbudził podejrzeń, gorzej było z  
tłumaczem. –

Jestem Nande! – przekonywał  
przestraszony, ale widać według  
wojowników patrzyło mu

Hundem z oczu. – Co jest?! –  
wykrzyknęła Leanne – to pracownik  
MSF-Holland, my

bierzemy za niego odpowiedzialność!

– Nawet nie próbuj wyciągać aparatu –  
wymruczał mi do ucha Rink – oni  
wiedzą, że

jedziemy do Hunde i jeszcze cię

posądzą, że robisz dla tamtych zdjęcia.

Wojownicy byli przerażeni. Bo w Masisi wszyscy szaleją ze strachu i dlatego się jeszcze zacieklej mordują. Kilka dni wcześniej, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie właśnie staliśmy, Hunde napadli ciężarówkę wiozącą 8 Hutu. Zamordowali wszystkich,

a samochód uprowadzili do Kalembe. No i teraz Hutu bali się, że Hunde z Kalembe

zaatakują Mweso za pomocą tego jedyne go zdobycznego grata. Ale oni sami wzbudzali

paniczny strach mieszkańców Kalembe.

Bo też mieli jedną sztukę tej superbroni,  
jaką

w realiach wojny w Masisi jest  
zdezelowane isuzu z lat 60.

W odwecie za kradzież i śmierć  
pasażerów zaatakowali Kalembe.  
Ciężarówki

wprawdzie nie odzyskali, ale  
zamordowali 27 mieszkańców, sami zaś  
zostawili

10 zabitych. Ile własnych trupów zabrali  
ze sobą? Mwami z Kalembe w  
rozmowie ze mną

wyraził nadzieję, że „jeszcze sporo

zabiliśmy tych napastników Hutu”. I  
pewnie ma rację.

W każdym razie, w odwecie za odwet,  
jego ludzie zabili kilku Hutu. Odwet być  
musi.

– I wszystko to z powodu jednej  
ciążarówki. Niesamowite – odezwał się  
Rink, kiedy pod

koniec dnia wysyłał raport do Gomy.  
Bowiem rankami Lekarze bez Granic  
pertraktowali

z wojownikami uzbrojonymi we  
włócznie i drągi, obwieszonymi  
naszyjnikami z ludzkich



palców, a wieczorami w „bazie sępów” mieli do dyspozycji komputer i faks satelitarny.

Tego samego dnia, kiedy Leanne widziała 5 nagich wojowników Hunde z pistoletami

maszynowymi na głowach, powracających z obrządków magicznych, które miały ich

uodpornić na karabinowe kule – wieczorem mogła oglądać w klubie plantacji relacje na

żywo CNN bądź filmy w Canal+. Wszystkie okoliczne wsie mogły spłonąć, ale biznes to

biznes i należąca do Belgów plantacja herbaty była chroniona przez oddział gwardii

prezydenckiej. Żołnierze pilnowali, by trzy tysiące robotników należących do różnych

plemion zajmowało się zrywaniem zielonych listków, nie zaś mordowaniem kolegów.

Opuściliśmy wojowników z Kasubi i wjechaliśmy na ziemię niczyją. To tu znikają

ludzie. Trzy kobiety, które szły na targ, zbieracz drzewa, dzieci pasące ocalałe krowy.

Czasem Rink i Leanne znajdują zmasakrowane trupy. Bo nie wystarczy zabić człowieka,

trzeba całkowicie zniszczyć jego ciało. Albo wyjąć wnętrzności. Wielu wojowników wierzy, że zjadając serce zabitego wroga, przejmuje się jego siłę i odwagę. Ludzie z obydwu obozów opowiadają o przypadkach kanibalizmu – popełnionych oczywiście przez

przeciwników. I wszyscy są otoczeni przez wszystkich.

# Nikt nie chce Tutsi

Najgorzej mają Tutsi. Nikt ich nie chce. Słyszą: „Teraz wasi rządzą w Rwandzie, więc

wynocha”. Pół biedy, jeśli im dadzą odejść. Szefowie plemienia Nunga nawet użyczyli

własnych samochodów, by Tutsi mogli podążać w stronę Kigali, ale tych 900, którzy

schronili się w górskim klasztorze ojców trapistów w Mokote, wciąż boi się ruszyć, bo

musieliby przejść przez tereny Hutu. A zakonnikom kończy się żywność. (Już po moim

wyjeździe z Zairu do Ugandy Hutu zaatakowali Tutsi, którzy się schronili w klasztorze; 12 osób zamordowano maczetami i strzałami karabinowymi, 130 osób zaginęło bez śladu, a 600 zdołało uciec do Kisangi). W Birmsiso Hutu obrzucali kamieniami parafię, ponieważ księża nakarmili 100 wygłodzonych uchodźców Tutsi. Wszyscy są otoczeni.

W Kalembe Mwami Kibima Bianwy zapytał nas na powitanie co słyszać w Mleso, czy

Hutu szykują się do ataku. Na oczach tłumy dumnie wyprężył się do fotografii, którą

musiałem zrobić z bliska, od pasa w górę, gdyż król był w sandałach, a to nie uchodzi.

A potem poprosił, żebym mu kupił kilo cukru.

– Nic z tego nie rozumiem – mówił Mwami – jesteście me własnym kraju, atakują nas

rwandyjscy imigranci, im pomagają z kolei zairscy żołnierze, a rząd nic nie robi, Hutu mają Rwandę, a my nie mamy dokąd pójść. Zasypiamy i nie wiemy,

czy się obudzimy.

Powiedzcie mi, o co tutaj chodzi?

**Kto jest silnym człowiekiem?**

– To, co pan usłyszy, to są tylko moje prywatne domysły – rozpoczął szef jednej

z agencji humanitarnych w Gomie. – Dlaczego władze nie podejmują żadnej klarownej

decyzji w sprawie obywatelstwa Hutu? W przyszłym roku mają się w Zairze odbyć

wybory prezydenckie, które już raz

odwołano. Wojna w Masisi, która destabilizuje

kluczową prowincję północnego Kivu, może być dobrym pretekstem dla Mobutu do

kolejnego przełożenia wyborów. Może też podjąć decyzję w ostatniej chwili, zyskując

w ten sposób głosy. Może powiedzieć: „Proszę, kraj pogrąża się w chaosie. Potrzeba

silnego człowieka w Zairze”. I jak pan sądzi: kto będzie tym silnym człowiekiem?



Zairscy opozycjoniści twierdzą, że Mobutu liczy na głosy Hutu. Jeśli otrzymają

obywatelstwo przed wyborami, 98 procent zagłosuje na obecnego prezydenta, co może

mieć kluczowe znaczenie w prowincji Kivu, znanej z tradycyjnej niechęci do Mobutu. Nikt wprawdzie nie ma wątpliwości, że prezydent i tak wygra wybory, ale przecież nigdy nie zaszkodzi ubezpieczyć się dodatkowo.

Rząd zairski kilkakrotnie opowiadał się za wydaleniem Hutu (zarówno uchodźców

z 1994 roku, jak i ich rodaków z Masisi), ale wtedy interweniował Mobutu, mówiąc, że

jest to sprzeczne z prawami człowieka. Taka deklaracja w jego ustach nie może nie

wzbudzić leciutkiego uśmiechu. Ważne jest natomiast, że Hutu otrzymują wyraźny

sygnał: prezydent jest z nimi. Rząd niech sobie robi, co chce, a prawdziwa władza i tak należy do starego lisa.

– Nie mam wątpliwości – stwierdza mój europejski rozmówca – to będzie trwać latami.

Raz wybuchnie z wielką siłą, potem się trochę uspokoi i znów eksploduje. Okolice jeziora Kivu są skazane na permanentną wojnę.

Kiedy wróciliśmy do Mleso, miasteczko było już puste. Wiatr trząsał szpitalnymi

drzwiami, owiewał rozwalone klomby na wewnętrznych dziedzińcach. W dwóch salach

leżało kilku zagipsowanych pacjentów, którzy nie mieli jak uciec. Nie reagowali na nasze pojawienie się, świdrując wzrokiem sufit. Doglądały ich dwie pielęgniarki, które zdecydowały się pozostać w Mleso. Doktor wolał

przeczekać na plantacji. Kości nie zrosną się szybciej pod wpływem jego obecności.

– Wokół Gomy jest 900 tysięcy uchodźców z Rwandy i ponad 50 agencji humanitarnych

oraz organizacji rządowych i międzynarodowych, które im pomagają – obliczała Leanne,

kiedy błakaliśmy się bez celu po szpitalu. – A w Masisi jest 500 tysięcy uchodźców.

Agendy ONZ nie działają, bo ci ludzie nie opuścili swojego kraju, lecz są w nim

uchodźcami wewnętrznymi. Jest trochę pracowników Czerwonego Krzyża i jesteśmy my –

sępy.

Jesteśmy w krainie sępów i ludożerców.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1996/27.

# Porwana Czeczenia

W Moskwie straszą, żeby w Grozным uważać już po otwarciu drzwi samolotu.

„Na

pokładzie wiedzą, kim jesteś, przecież pokazywałeś paszport. A dzwoniłeś wcześniej do

Groznegogo, że przyjeżdżasz? No właśnie. To mogą cię zwinąć już na trapie”.

Świeci pierwsze wiosenne słońce,  
błyskają szeregi złotych zębów,  
mężczyźni witają się

charakterystycznym półobjęciem, dzieci

się śmieją, panuje względny, jak na  
Kaukaz,

porządek, przestrogi zaczynają się  
wydawać tworem przesadnie pracującej  
wyobraźni.

Niepokój wraca, gdy w tłumie na  
asfaltowej płycie nie udaje się wyłowić  
znajomej twarzy kogoś, kto miał  
oczekiwać, a sąsiad z samolotu, widząc  
niepewność ruchów, proponuje pomoc.  
Grzecznie odmawiam i, nie ma wyjścia,  
idę ze wszystkimi do budynku lotniska.

Tam już panuje zdrowy bałagan,  
mundurowi przetrząsają bagaże,  
przeglądają

dokumenty. – Marcin? – zwraca się nagle rosły żołnierz. – Ja od Zenona. To dlaczego go tu nie ma?

Widząc nieufne spojrzenie, wojak wyciąga z kieszeni beret: „OBWE”. A oto i gospodarz.

Stoi pod słupem, w pierwszej chwili go nie poznałem, dyplomata do zadań specjalnych

Zenon Kuchciak w łaciatym mundurze (żeby się tu nie wyróżniać, jak później wyjaśni),

wyraźnie rozbawiony moją niepewną miną.



– Co żeś mi Musa dziennikarza tak wystraszył? – rzuca do człowieka z beretem. Musa

szczerzy zęby. Dołącza jego brat Magomet. – OK, zmykamy, zanim cię naprawdę

porwą. – To takie żarty, tak? – Trudno zinterpretować ironiczny wyraz twarzy

Kuchciaka. – Jakie żarty? Spójrz na nich. Przechodzimy właśnie obok stojącego na

parkingu jeepa, wyładowanego młodymi mężczyznami. Uważnie nam się przyglądają. –

Szacują, na ile jesteś smaczny. Wskakuj – otwiera drzwi wołgi.

Nadal myślałem, że trochę przesadzają – pokpiwają? – kiedy idąc do sławojki na

podwórku, widziałem za sobą  
czuwającego Magometa z  
kałasznikowem. A potem

pojechałem z ludźmi Baszira.

W śródmieściu Groznego mało co  
przetrwało bombardowania, więc i  
ocalałe przedszkole

nadawało się na siedzibę Centrum  
Antyterrorystycznego. Kieruje nim  
Hunkar Pasza

Israpiłow. Dwa lata temu wraz z Sałmanem Radujewem wślawił się atakiem

(terrorystycznym? – oni wolą określenie narodowowyzwoleńczy) na dagestańskie miasto

Kizlar. Chcieli zniszczyć bazę helikopterową, ale uprzedzeni Rosjanie wycofali sprzęt.

Radujew i Israpiłow wzięli więc tysiące zakładników, opanowali szpital, a następnie, gdy wycofywali się do Czeczenii, otoczeni przez elitarne oddziały rosyjskie Alfa pod wsią Pierwomajskoje, zdołali wyrwać się z okrążenia. Teraz Israpiłow walczy z

terrorem,

porwaniami i bandytyzmem, podobnie zresztą jak parę innych czeczeńskich struktur. Bo

jest i Narodowa Służba Bezpieczeństwa (która – przynajmniej formalnie – odbiła

zakładników), i Brygada Antyporwaniowa, i Wydział do spraw Specjalnych przy Sztabie

Generalnym, i Ministerstwo Bezpieczeństwa Szariackiego, a i jeszcze Islamski Szariacki Pułk do Zadań Specjalnych. W Czeczeniu wszyscy dzisiaj walczą z terroryzmem oraz porwaniami i jednocześnie o

wszystkich można usłyszeć, że w porwania są zamieszani.

Na tej mapie niepewności wyróżnia się postać zastępcy Israpułowa – Baszira

Dałchadowa. Jego właśnie poprosiłem, żeby zabrał mnie na akcję poszukiwania

zakładników. Zgodził się, ale nie robił wielkich nadziei: – Trafiamy raz na trzydzieści.

Przekazywane informacje zazwyczaj są spóźnione albo nieprawdziwe. Zdarza się, że ktoś

donosi na niezbyt lubianego sąsiada albo na takiego, który zajmuje się czymś

podejrzanym. Wysyłam chłopaków,  
wyłamują drzwi u staruszków – i nic.

Tym razem były to wielkie  
posowchozowe magazyny rolne na  
południe od Groznego.

Pojechała ponad setka ludzi Baszira,  
czego po drodze zupełnie nie było  
widać, bowiem

antyterrorysty - prawie wszyscy dawniej  
walczyli razem na froncie południowo-  
wschodnim pod rozkazami Israpułowa –  
poruszali się własnym samochodami  
osobowymi, ot sznur pojazdów  
opuszczających miasto. Nagle wozy  
stanęły i żołnierze w przeróżnych

mundurach rzucili się w stronę magazynów, hal i silosów. Rozległa się strzelanina, po

chwili okazało się, że przypadkowa. Przeskakiwali płoty, wspinali się po drabinach,

schodzili do piwnic, znowu biegli, znowu szukali, wszystko na nic. Fałszywy alarm?

Nawet jeśli byli tam jacyś zakładnicy, to wzięwszy pod uwagę ogrom terenu, porywacze

mogli ich spokojnie wyprowadzić, a nawet, kto wie, przeczekać operację w jakimś tylko

sobie znanym zakątku. Znowu pół godziny jazdy i ponownie zabudowania rolne, dużo

mniejsze, ale akcja przebiega z tym samym skutkiem.

Po powrocie do Groznego miałem zadzwonić na komórkę Kuchciaka i Musy, aby ich

powiadomić, że mogą mnie odebrać (przełącznik ustawili Rosjanie po zdobyciu miasta,

nietknięty przetrwał odbicie i akurat w tej dziedzinie Czeczeni nie mają nic przeciwko pozostawaniu w rosyjskiej strefie wpływów). Ktoś jednak wziął ze



sobą aparat Dałchadowa. Czekanie się przedłużało, a Baszir zbierał się do wyjścia. zaproponował, że mnie odwiezie do domu. Wezwał swego adiutanta, ten dobrał dwójkę ludzi.

Pół godziny po moim powrocie przyjechał Musa. Najpierw zrugął za to, że nie czekałem

w centrum do skutku, a później stwierdził, że w zasadzie powinien mnie natychmiast

wsadzić do samolotu, tyle że dzisiaj jest i tak już za późno. – OK, nie mamy teraz dla ciebie innego mieszkania, ja muszę iść, a Magomet tak szybko nie wróci, bo myśli, że jesteś z nami. Tu masz walkie-

talkie, jakby co, gadamy na tym kanale, a tu automat

i dwa magazynki. No co się tak patrzysz? Jak ktoś wejdzie, strzelasz pierwszy.

Dla Musy sprawa była oczywista: mieszkanie jest spalone. Baszirowi można ufać, ale

jego ludziom, choćby i adiutantowi, już nie. A nawet gdyby oni sami nie byli związani

bezpośrednio z porywaczami, to opowiadając wieczorem znajomym o minionym dniu,

mogą ot tak sobie wspomnieć o polskim dziennikarzu i o tym, dokąd go odwieźli.

Frustracja to zbyt łagodne słowo na opisanie stanu umysłów. Czeczeni wygrali wojnę

i co z tego? Szerzy się narkomania; w czasie wojny sprzedawanie wszelakich używek

okupantom było połączeniem przyjemnego z pożytecznym: nie dość, że demoralizowano

wroga, to jeszcze kupowano broń. Ale chorobą zarazili się i sami Czeczeni.

– Panuje kompletna beznadziejność –

mówi Kuchciak. – W końcu ile razy  
można

obejrzeć ten sam film na wideo? Ilu  
ludzi może handlować w przydrożnych  
budkach? Poza

tym wojna unaoczniała młodym, że życie  
trwa krótko i nie warto sobie pewnych  
rzeczy

odmawiać. Więc świat kryminalny staje  
się atrakcyjny.

Trzeba także pamiętać – o czym w swej  
książce *Chechnya, a Small Victorious  
War*

(Czeczenia. Mała zwycięska wojna)

przypominają Carlotta Gall i Thomas de Waal – że

porwania nie są odkryciem ostatnich lat, tworzyły stały element krajobrazu XIX-wiecznej, także walczącej z Rosją Czechenii. Porywano Kozaków, Rosjan, nawet gruzińskie księżniczki, i także wtedy okolicznością sprzyjającą był brak silnej centralnej władzy i pewne przyzwolenie dla kultury przemocy, kwitnącej w szarych strefach pomiędzy tradycyjnymi i silnymi klanami. A Baszir Dałchadow mówi, że i dzisiaj między

Czeczenami zdarzają się porwania wynikające z niespłacenia długu. Nie oddasz

w określonym terminie – porywają  
ciebie lub kogoś z twojej rodziny. Są i  
porwania

związane z zasadą zemsty rodowej za  
przelaną krew. – Albo gdy podejrzewają  
cię o coś,

porywają i trzymają, dopóki się nie  
przyznasz lub nie udowodnisz swojej  
niewinności.

Ale te porwania należą niejako do  
tradycji, są w pewnym sensie honorowe,  
tak jak

kiedyś uprowadzenia wybranek serca,  
który to sposób w niektórych klanach  
uważany był

za bardziej godny niż zwyczajne uiszczenie opłaty małżeńskiej. Porwania dla okupu to coś nowego i sami zaczynają się tego bać, w końcu to oni padają ofiarą kilkunastokrotnie częściej niż cudzoziemcy. Przynajmniej kilkunastokrotnie. Mamy tu do czynienia

z ciemną liczbą, oficjalnie w zeszłym roku porwano około 200 osób, ale bardzo wielu

Czeczenów nie idzie na policję, bo, po pierwsze, wie, że ta jest skorumpowana, a po

drugie – nie uchodzi. Czeczeniec ma sam wymierzyć sprawiedliwość: odbije, wykupi albo

zwróci się do kogoś, kto mu jest winien przysługę, może to być nawet policjant, ale nie dlatego, że jest policjantem, i też nie jak policjant będzie ten dług wdzięczności spłacał.

– Poszukiwaliśmy jednego chłopaka – mówi Dałchadow. – Żądali od jego rodziców 50

tysięcy dolarów. Wczoraj wypuścili go za 10. Pojechaliśmy, pytamy, co i jak. Mówią nam: składaliśmy przysięgę na Koran, że nic nie powiemy. Mówię: jak to, przecież zrobiliście to pod przymusem, nawet w Koranie jest napisane, że taka przysięga jest nieważna.



Zaprowadziliśmy człowieka do duchownego, by ten wyjaśnił, że wymuszona przysięga nie

liczy się przed Allachem. Ale on ciągle: nie i nie, będziemy mieli problemy.

Swoją rolę odgrywa tu strach. Gangi są często lepiej wyposażone i zorganizowane niż służby powołane do ich zwalczania.

Dałchadow oczywiście podkreśla rolę ukrytej ręki Rosji „zainteresowanej destabilizacją i oczernieniem naszej republiki”, ale podaje też wiele ciekawych faktów. On i jego ludzie zidentyfikowali 42 grupy porywaczy, liczące od kilkunastu do dwustu ludzi. –

Podczas wojny w każdym z rejonów było po dwóch, trzech komendantów, teraz jest chyba po

czternastu. I wszyscy oni chcą nosić dobre pistolety, jeździć odpowiednimi dla ich rangi samochodami, mieć pałace. Przez nasze ręce przeszło wielu porywaczy, ale przysięga na Koran przed sądem szariackim oczyszcza ich ze wszystkich zarzutów.

Porwania – przekonywał mnie prezydent Asłan Maschadow – to pole działania naszych

wrogów, usiłujących doprowadzić do stanu informacyjnej blokady i braku inwestycji.

Pełniący obowiązki premiera Szamil Basajew tłumaczył, że porwań dokonuje się

czeczeńskimi rękoma, ale są to Czeczeni tylko według paszportów, zdrajcy i renegaci,

a wszystkim kierują rosyjskie służby specjalne.

Słuchając Czeczenów, można czasem odnieść wrażenie, że i trawa rośnie w wyniku

knowań FSB (dawnej KGB), ale jest też faktem, że w Moskwie nie brakuje ludzi

zainteresowanych destabilizacją

Czeczeniu, zarówno Rosjan, jak i odsuniętych od władzy Czeczenów, związanych z kolaboracyjnymi rządami. Gdy w październiku 1995 roku dokonano zamachów na specjalnego wysłannika Borysa Jelcyna Ołega Łobowa

(nieudanego) i głównodowodzącego rosyjskich wojsk w Czeczeniu gen. Anatolija

Romanowa (udanego), Rosjanie głośno oskarżali ludzi Dudajewa, wykorzystując akty

terroru do zerwania procesu pokojowego. Rok później wpływowi politycy zaangażowani

w negocjacje, w tym przemysłowiec Arkadij Wolski, przyznali, że nie można za nie winić przeciwnika. Dowody wskazywały na rosyjskie służby specjalne bądź marionetkowy promoskiewski rząd czeczeński. Za czasów ZSRR Czeczenia była jednym z najpilniej

strzeżonych regionów państwa, KGB dysponowało tu potężną siatką, której archiwa

wywieziono do Moskwy.

Pogłoski o powiązaniach porywaczy z władzami Iczkerii to kolejna z form dyskredytacji

przez naszych wrogów – twierdzi  
Maschadow. – Weźmy choćby porwanie  
Jeleny Masjuk

(znanej rosyjskiej reporterki),  
prawdziwej bohaterki. Kiedy porywają,  
to nie pierwszego lepszego dziennikarza,  
lecz starannie wybraną ofiarę. Jelena  
Masjuk podczas wojny pomogła nam i  
pokazała całemu światu, co się u nas  
dzieje. Wybrali właśnie ją, by

udowodnić wszystkim innym  
dziennikarzom, że tacy właśnie są  
Czeczeni. Podczas wojny

im pomagasz, a po wojnie wyznaczą za  
ciebie okup. Porwania dokonano w  
dodatku na

dwa dni przed podpisaniem traktatu pokojowego.

I uwolniono dziennikarkę w dzień spotkania Maschadowa z Jelcynem w Moskwie, co

skłoniło szefa NTW (stacji Masjuk) do stwierdzenia, że w porwaniach bierze udział rząd Czeczenii. Na taką logikę Szamil Basajew odpowiada, że to jest właśnie dowód diabolicznego sprytu Rosjan, podwójny bluff, by skompromitować Czeczenów.

Znajomy dziennikarz, dobrze zorientowany w miejscowych realiach, radzi, by

porozmawiać z „dyżurnym wariatem”  
Czeczeni, osławionym terrorystą  
Sałmanem

Radujewem, o którym ostatnio znów  
było głośno, gdy wziął na siebie  
odpowiedzialność za zamach na  
gruzińskiego prezydenta Eduarda  
Szewardnadze. Prasa moskiewska  
ironizowała, że niedługo przyzna się do  
zabójstwa braci Kennedych, ale  
zaprzyjaźniony

dziennikarz stwierdził, że „jak na  
nienormalnego, ma całkiem trzeźwe  
przemyślenia”.

Radujew przyjmuje w wielkiej sali, nie  
ruszając się z za biurka, na którym stoją



cztery telefony komórkowe i okazały napis informujący, jakby ktoś nie wiedział: „Sałman Radujew, generał brygady”. Dziennikarz musi przejść przez salę, by położyć na stole

magnetofon, a następnie wrócić na drugi jej koniec. Wystarczy mu zadać jedno

najprostsze pytanie, by mówił bez chwili przerwy przez pół godziny, zadając sobie po

drodze pytania pomocnicze. Kiedy się unosi, wali ręką w stół i wygraża palcem

dyktafonowi. – Oskarżyłem rząd o praktykowanie porwań i dlatego

# Maschadow podburzył

przeciwko mnie wszystkich generałów, choć połowa z nich była zamieszana w porwania.

Powiedziałem do Maschadowa: słuchaj Asłan, jeśli świadomie kryjesz ludzi, którzy za tym stoją, to piłujesz gałąź, na której siedzisz. Jeśli porwali Polaka czy Rosjanina, kogoś tam jeszcze, to znaczy, że nic ich nie powstrzyma, będą porywać najbliższych przyjaciół. Jeśli ten sam generał porwie ci krewnego, to co wtedy zrobisz? Czy dopiero wtedy się zorientujesz, że trzeba to powstrzymać? Zapłacono okup za dziennikarzy rosyjskiej NTV, dwa czy

trzy miliony dolarów. Czy aby nie wiecie, komu płacicie? Dobrze, załóżmy, że nie wiecie. Ale dlaczego w takim razie nie można było sprawdzić człowieka, któremu dawaliście pieniądze? Dlaczego nikt go potem nie zatrzymał i nie sprawdził, kto za nim stoi? Bo to nie wy płacicie, za to wszyscy czerpicie z tego korzyści. Stworzyliście strukturę mafijną i chcecie w ten sposób zarabiać pieniądze. Cały naród wie

o powiązaniach waszych ministrów, o tym, że w wiele porwań zamieszani są ludzie

władzy. Jeśli byłoby inaczej, można by

zadać pytanie: dlaczego dotąd nie  
ukarano ani

jednego porywacza? Są głupi, mogliby  
ukarać choćby jednego, na pokaz. W  
zasadzie nie

mają kogo ukarać, każdy z nich powie:  
jeśli mnie ukarzesz – ja ciebie wydam.  
Błędne

koło, wszyscy mogą się szantażować.  
Nie mówiłbym o tym, gdyby Rosjanie  
doskonale tego

wszystkiego nie wiedzieli.

A „naród” mówi, że Arbi Barajew, szef  
Islamskiego Szariackiego Pułku do

## Zadań

Specjalnych, powołanego do walki z terroryzmem, w tym z porwaniami, sam skupował

zakładników od porywaczy i występował jako pośrednik, pobierając uczciwą dołę.

„Naród” gada, że zamordowany latem zeszłego roku wiceminister spraw wewnętrznych

Nurdi Bażijew zorganizował porwanie dziennikarki Leny Masjuk i wziął trzy miliony

dolarów. Na miejsce wymiany Masjuk

eskortowały samochody MSW. Czy to właśnie miał

na myśli Radujew? Zgody nie ma, dlaczego Bazijew przedwcześnie dokonał żywota. Mówi

się, że wykonywał zlecenie dla kogoś jeszcze ważniejszego i został usunięty, gdyż za dużo wiedział. Bądź też na odwrót, nie spłacił podwykonawców, a może po prostu padł ofiarą zemsty z powodu innego zabójstwa.

A przy tym wszystkim nie ma dzisiaj w Czeczenii przywódcy o takim autorytecie

(nawet jeśli po części gangsterskim),

jakim cieszył się Dudajew. Maschadow jest

przywódcą oficjalnym, jego formalny najbliższy sojusznik Basajew ma swoją strefę

wpływow. Pierwszy ma więcej pieniędzy, drugi – karabinów. Liczy się wciąż były

prezydent Jandarbijew, wokół którego grupują się islamiści, ale na ich czele coraz

wyraźniej staje wspierany przez arabskie pieniądze minister spraw zagranicznych

Mowladi Udugow. Żeby dopełnić obrazu chaosu, do obozu Jandarbijewa należy jego były

premier, a dziś oficjalnie minister obrony w rządzie Maschadowa.

No i jest czarny koń, coraz bardziej zyskujący na popularności: Radujew, poszukiwany

oficjalnie przez rząd Maschadowa listem gończym za działalność antypaństwową, który

najspokojniej urzęduje kilka przecznic od prezydenta. Swą sytuację komentuje krótko: –



Teraz toczą się przeciwko mnie jakieś postępowania karne. Jakie znowu postępowania,

przecież siedzę tu przez cały czas, po co pokazujecie przed całym światem swoją

bezsilność?

Właściwie dokładnie nie wiadomo, czym jest dzisiaj Czeczenia. Stosując literę prawa

międzynarodowego, odpowiedź jest prosta: to podmiot Federacji Rosyjskiej. Tyle że

formalna obecność Rosji ogranicza się do dwóch przedstawicieli rządu i

prezydenta, którzy urzędują na lotnisku, jakby dla podkreślenia niepewności i niejasności ich sytuacji. Na terytorium Iczkerii nie ma żadnego żołnierza podległego Moskwie, choć całe ich garnizony tkwią w formalnie niepodległych państwach byłego ZSRR. Czeczeni lubią mówić o Rosjanach per „psy” i jednocześnie wieczorem bawić się, oglądając idiotyczne programy rozrywkowe moskiewskiej telewizji ORT. Podobno nawet najtwardsi wojownicy dopingowali piłkarską reprezentację Rosji w czasie mistrzostw Europy w 1998 roku, kiedy w Czeczenii trwały ciężkie walki.

Czeczeni mówią „żadnych

kompromisów” i podpisują z Rosjanami porozumienie

o tranzycie ropy przez swoje terytorium. Wpływowy moskiewski tygodnik „Itogi”

stwierdza, że Czeczenia i tak już jest de facto niepodległa, więc trzeba się z tym pogodzić, a radykałowie w Groznym przekonują, że wszystko w republice ciągle kontrolują Rosjanie. Ci z kolei, uznając, że Czeczenia jest częścią Federacji, nie są w stanie

skutecznie kontrolować jej granic; właśnie zastanawiają się nad przekazaniem obsady

nieformalnych posterunków granicznych

z rąk wojsk MSW oddziałom

powietrznodesantowym. A jednocześnie każdy w Groznm wie, że oprócz pieniędzy

i karabinów najbardziej liczą się kontakty z Rosjanami; i nie chodzi o kolaborację, ale o biznes.

Wicepremier Rosji Borys Niemcow chce zbudować nowy rurociąg dla azerskiej ropy,

który by obchodził „zbuntowaną prowincję” (jak Czeczenię proponował formalnie określić minister spraw wewnętrznych Kulikow). W ten sposób praktycznie uznawał niezależność

dumnych górali, którzy z tego samego powodu oskarżali go o organizowanie nieformalnej

blokady gospodarczej. Ale i to nie wszystko, bo o ile kilometrów może Niemców odciągnąć rurociąg od Czeczenii?

I dlatego słowa ministra spraw zagranicznych Iczkerii Mowładiego Udugowa, że jego

kraj jest kluczem do stabilizacji na Kaukazie i w południowej Rosji, nie są tylko bufonadą.

Nikt na Kaukazie nie chce podzielić losu Groznego, ale też nikt, bez względu na

doraźne sojusze, Rosji tam nie kocha. Tworzą się nowe elity, które doskonale pamiętają, że przed atakiem na Czeczenię Rosjanie obiecywali góry złota, by powstrzymać odruchy solidarności. Udało się. Czeczenom praktycznie nikt nie pomógł, ale też obojętni oglądacze nie ujrzeli zbyt wielu kopiejek. Mają teraz o czym rozmyślać.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1998/13.

## **Samuraje, Pigmeje i kowboje**

Media przyzwyczyły nas do tego, że wojna czy klęska głodu to widowisko jak każde

inne. Nie liczy się już zrozumienie zjawiska, lecz jego efektowne pokazanie. Czynią to dyletanci, których szefowie zamiast na imprezę w ratuszu wysyłają do Bośni; wychodzi taniej niż wynajęcie specjalisty, a jeśli w dodatku korespondent nie jest zatrudniony na etacie, nie trzeba będzie opłacić ubezpieczenia. Jeśli zginie – jego sprawa.

„Jechałem z francuską ekipą telewizyjną na linię frontu pod Vukovarem. Pusto dookoła,

z daleka słyszeć grzmot artylerii. Mieliśmy już za sobą doświadczenia wojenne, ale i tak byliśmy spięci, nie

wiedzieliśmy dokładnie, co się dzieje.  
Nagle z naprzeciwka wyłania się jeep,  
hamuje koło nas z piskiem opon.  
Wysiada... no właśnie, jak by to  
powiedzieć, kto wysiada? Uśmiechnięty  
od ucha do ucha Japończyk, wyglądający  
jak coś między Rambo i samurajem;  
wojskowe spodnie, jakaś  
nieprawdopodobnie filmowa kamizelka  
kuloodporna, cudaczny hełm, rozliczne  
pasy, na szyi dynda mu nie wiadomo ile  
aparatów

fotograficznych i potężnych obiektywów.  
Zdębieliśmy, patrzymy po sobie, a on  
mówi:

»Cześć! Coś mi się pomyliło, nie



wiecie, którędy na front?«. » A kto ty w ogóle jesteś?« –

pytamy. Samuraj jeszcze szerzej się uśmiechnął: »‘Playboy’. Edycja japońska!«”.

Tę historię opowiedział Jon Magnus, korespondent wojenny norweskiego dziennika

„Verdens Gang”, na seminarium Europejskiego Centrum Dziennikarstwa w Maastricht

poświęconym relacjonowaniu „niebezpiecznych” tematów.

„Jest coraz więcej stacji telewizyjnych,

radiostacji i gazet. Tym samym jest coraz więcej dziennikarzy. W tym zawodzie zawsze było wielu amatorów, ale dziś amatorzy zdominowali profesję” – napisał w *Lapidarium II* Ryszard Kapuściński. Samuraj nie był

jedynym przykładem tego zjawiska, który przywołano w Maastricht.

Josy Dubie, belgijski weteran telewizyjnych reportaży z zapalnych punktów świata, był

niedawno członkiem jury przeglądu twórczości młodszych kolegów po fachu. To, co go

uderzyło, niezależnie od klasy filmów, to

skrajne ryzyko podejmowane przez

rozpoczynających karierę dziennikarzy. Niekiedy jeszcze szybciej tę karierę kończących, dodał Dubie, gdyż głównie giną ci niedoświadczeni i napaleni. Młodzi wolni strzelcy chcąc zaistnieć, związać się z jakąś poważną firmą, są gotowi rzucić wszystko na szalę. Takie nastawienie do zawodu powoduje, że coraz bardziej liczy się spektakularność przekazu, nie zaś jego sens czy wartość poznawcza.

Martha A. Teichner, korespondentka wojenna amerykańskiej sieci CBS, z 15-letnim

stażem, napisała ostatnio w „Media

Studies Journal”, że z jednej strony rozwój technologii środków przekazu pozwala coraz większej liczbie kompletnych ignorantów wybierać się w gorące miejsca, z drugiej zaś media są coraz bardziej złałnione sensacji. A cóż może być bardziej sensacyjnego niż wojna. Co więcej, swych reporterów bądź tylko ambitnych współpracowników zaczynają wysyłać stacje lokalne. W ten sposób ekipa z amerykańskiej

provincji, która dotychczas zajmowała się pracą policji w małym miasteczku, nagle trafia w środek piekła Bośni bądź między walczących Hutu i Tutsi. Nie rozumieją nic z tego, co się dzieje wokół

nich, a goniąc za efektownymi ujęciami, narażają nie tylko siebie, ale i pracujących dookoła zawodowców.

Niedawno w stanie Wirginia wzniesiono pomnik upamiętniający dziennikarzy, którzy

stracili życie, zbierając informacje. Na szklanym monumencie wyryto 934 nazwiska. „Co

szczególnie uderza, to wielkie wolne miejsce pozostawione na dodatkowe nazwiska – pisze Teichner. Zastanawiam się, ile spośród tych, które pojawią się pewnego dnia na szkle, należeć będzie do ludzi, którzy nigdy nie powinni byli zostać wysłani na jakąkolwiek

wojnę”.

Martin Bell, weteran zagranicznych korespondentów BBC (sam ranny w Bośni

odłamkiem pocisku moździerzowego), w tym samym numerze „Media Studies Journal”

zwracał uwagę na inny niebezpieczny aspekt omawianego zjawiska.

Redaktorzy

i wydawcy najpoważniejszych mediów, od jakiegoś już czasu zaniepokojeni rosnącą liczbą ginących i rannych „ich” dziennikarzy, coraz częściej rozważają wysyłanie „wolnych strzelców” zamiast

etatowych pracowników. Chętnych nie brakuje, a nie trzeba się o nich troszczyć, o ubezpieczeniach już nie wspominając. Bell twierdzi, że prawdziwym przełomem była wojna w Czeczenii, zdominowana przez – według jego określenia – „dziennikarskich kowboi”. Wykonywali najniebezpieczniejszą robotę, a etatowcy dogrywali komentarz na tle jakiejś ładnej ruiny albo czołgu.

Ale nawet ci kowboje, jak podkreślił w Maastricht Andriej Konstantinow, szef petersburskiej agencji reporterskiej Chance, byli przedmiotem westchnień rosyjskich

korespondentów, „Dziennikarze z Zachodu, okuci w potężne kamizelki kuloodporne,

drepczący w nich jak żółwie, sprawiali na nas wrażenie średniowiecznych rycerzy.

Rosyjscy redaktorzy naczelni nie przejmowali się takimi detalami. Na wszystko

brakowało im pieniędzy. Wysyłali zupełnie nieprzygotowanych ludzi, którzy mogli tylko

marzyć, by śladem dziennikarzy zagranicznych wynająć przewodnika, który



poprowadziłby ich do Groznego”.

Konstantinow opowiadał, że młodzi reporterzy umawiali się przy wódce na wypad do

Czeczeniu jak na wspinaczkę na Elbrus. Według niego bardziej chodziło o zaliczenie tej wojny, możliwość wpisania sobie jej do biografii niż o jakieś głębsze i poważniejsze sprawy.

Byłem przerażony – mówił mi Konstantinow. Jako młody chłopak przez to, że

studiowałem arabistykę, zostałem w połowie lat 80. wysłany na wojnę do Jemenu.

Spędziłem tam dwa lata, byłem trzy razy ranny i wiem, jakie to potworne gówno.

Po

powrocie zapijałem się przez trzy lata, nie wiem, co by się stało, gdyby mnie nie

wyciągnęli przyjaciele i rodzina. Ale kto z tych dzieciaków zdaje sobie z tego sprawę? Ach, wojenka, zabawimy się, będzie klawo. A szefowie mediów cynicznie to wykorzystują. Jak dziennikarz przeżyje, to będzie materiał, jak nie, no to trudno, wiadomo: wojna. A już szczególnie odrażające jest wysyłanie z premedytacją dziewczyn, chyba dla jakiejś chorej pikanterii.

Konstantinow wywołał furie zebranych na seminarium pań, głosząc, że zawsze był

przeciwny wysyłaniu kobiet jako korespondentów wojennych i sam nigdy by tego nie

uczynił. Argumentował, że już sama wojna doprowadza mężczyzn – a to oni przecież

w zdecydowanej większości walczą – do szaleństwa. Obecność kobiety tylko zwiększa

irracjonalność zachowań. I nie chodzi tu o spieranie się, czy kobieta reporterka wykona swe zadanie lepiej, czy gorzej

od mężczyzny. Problem polega na tym, że samą swoją obecnością niezdrowo podnieca – w każdym ze znaczeń – mężczyzn. Nie zdając sobie

nawet z tego sprawy, zaczynają odgrywać chojraków i powodują, że wszyscy wokół – sami

żołnierze, dziennikarka i, jeśli są, inni reporterzy narażeni są na jeszcze większe

niebezpieczeństwo.

Bardzo często, przekonywał Konstantinow, jeśli dziennikarz mężczyzna poprosi

żołnierzy o zabranie go na szczególnie niebezpieczne pozycje, powiedzą mu, żeby dał sobie spokój, bo to nie kino ani nie wesołe miasteczko. Ale jeśli pojawi się kobieta, to sami wojacy oferują silne wrażenia. Konsekwencje mogą ponieść wszyscy. I często ponoszą.

Korespondent wojenny przynajmniej częściowo świadomie bierze na siebie ryzyko

śmierci. Jest ono wpisane w charakter jego zawodu. Nie można tego powiedzieć

o dziennikarzach lokalnych, a to przedstawiciele małych prowincjonalnych mediów bardzo

często są głównie zagrożeni. Dość przywołać przykład Algierii czy Kolumbii.

Marcela Szymanski z hiszpańskiego CNN podała, że w jej rodzinnym Meksyku – kraju

w końcu o nie najlepszej reputacji – w ostatnich 25 latach zginęło 97 dziennikarzy.

W zdecydowanej większości pracowali właśnie dla prowincjonalnych gazet i wszyscy

naruszyli „tematy nie do ruszania”, któreś z obowiązujących w Meksyku tabu, których

lista według Szymanski wygląda następująco:

handel narkotykami i bronią,

polityczny nepotyzm,

korupcja na szczeblu rządowym,

przekraczanie swych uprawnień przez policję i wojsko,

wyzysk pracowników przez prywatnych właścicieli,

działalność obcych służb wywiadowczych w Meksyku,

krytyka polityki USA w Ameryce

Łacińskiej (z wyjątkiem

Kuby),

lokalne rebelie zbrojne, z wyjątkiem  
zapatystów, którzy i tak

zostali już nagłośnieni do granic  
możliwości przez światowe

media.

Szymanski przypomniała znane  
powiedzenie: „Co się dzieje w biznesie,  
to nie twój

biznes”. Pozostaje pisać o sporcie.

Z kolei w USA niemal wszyscy zabici w



ostatnich latach dziennikarze pracowali dla

tw. mediów etnicznych, wietnamskich i hiszpańskojęzycznych.

Andrew Buckoke, afrykański korespondent m.in. „Economista”, „Guardiana”

i „Financial Timesa”, przypomina w swej gorzko-śmiesznej książce *Fishing in Africa*.

*A Guide to War and Corruption*, iż pewien operator filmujący głodne dzieci wyjaśnił mu, że zawsze należy fotografować je z góry. Wtedy ciała wydają się chudsze, a głowy większe.

Słowem – niezły efekt. Inny angielski dziennikarz wysyłany na placówkę do

Afryki zapytał w czasie pożegnalnego obiadu szefa działu zagranicznego swej gazety, jaki temat z Afryki wydaje mu się idealny. „Pigmej z AIDS” – padła lakoniczna odpowiedź. Od siebie już dodałem w dyskusji opis spotkania w południowym Sudanie z ekipą telewizyjną, kiedy to jej producent, zaraz po przylocie, zażądał dzieci z wzdętymi brzuchami.

Powyższą wypowiedzią poczuł się wezwany do tablicy wspomniany już Josy Dubie. „Nie

zapominajmy jednak, na czym polega

nasz zawód. Jakkolwiek by to cynicznie i banalnie

zabrzmiało, nie interesuje nas pies gryzący człowieka, lecz sytuacja, w której człowiek pogryzł psa”.

Sam Dubie przypomniał sprawę sfingowanych masowych grobów ofiar Securitate

w Timișoarze w czasie rumuńskiego przewrotu w grudniu 1989 roku. Kiedy Dubie

przesłał materiał pokazujący, że zachodni widzowie mieli do czynienia z mistyfikacją, jego szefowie wpadli w panikę. „Co ty robisz? Zniszczysz ruch”.

„Jaki ruch?” – pytał Dubie.

„Ruch młodych ludzi, którzy z całej Europy spieszą z pomocą”.

Andrew Buckoke opisał historię katastrofalnej powodzi w Sudanie w sierpniu 1988

roku, której nigdy nie było. Jego szefowie z Londynu w trybie pilnym zażądali, by

natychmiast poleciał z Nairobi do Chartumu, skąd napływają apokaliptyczne wieści

o setkach tysięcy osób zalewanych przez wezbrane wody Nilu. Gdy Buckoke

dotarł na

miejsce, okazało się, że w czasie jednego wylewu utonęło poniżej stu osób, jak zauważył –

dziesięciokrotnie więcej umierało codziennie na południu kraju w wyniku wojny domowej, ale tam było o wiele trudniej dotrzeć ekipom telewizyjnym. Poza tym ciężko by było o jakieś efektowne obrazy, bo dramat rozgrywał się w wielu miejscach naraz na

gigantycznym terytorium, a w Chartumie liczono na spektakularne widowisko. Na dachu

Hilona zainstalowano już anteny

satelitarne. Kłopot polegał jednak na tym, że nie było żadnej powodzi.

Centrala naciskała Buckoke'a i żądała dramatycznych relacji. Nie należy zapominać, że

działo się to w sierpniu, w szczycie sezonu ogórkowego. Konkurencja nadsyła obrazy ludzi brodzących w wodzie wśród pospiesznie skleconych chatynek, tłumów szturmujących odlatujące samoloty, relacje o zerwanych połączeniach telefonicznych i braku prądu

w mieście. Ale w przeciwieństwie do większości dziennikarzy, którzy zostali do Chartumu wysłani na zasadzie już

opisanego pospolitego ruszenia,  
Buckoke spędził wiele czasu w Afryce i  
o kilku rzeczach wiedział.

Prawie wszędzie na Czarnym Lądzie  
samoloty są dramatycznie przeładowane,  
a już

zwłaszcza w Sudanie (miejscowe linie  
lotnicze Sudan Airways noszą popularny

przydomek „Sudden Death” – Nagła  
Śmierć), i powódź, zwłaszcza  
nieistniejąca, nie ma

nic do rzeczy, tak jak nie mają z nią nic  
wspólnego lepianki, gdyż gnieźdzą się w  
nich południowcy uciekający przed  
wojną. Kłopoty z prądem i telefonami

również były zjawiskiem normalnym i nawet nowicjusze wiedzieli, że poza jednym punktem faktycznie

zalany przez wodę reszta miasta funkcjonuje normalnie. Ale szefowie żądali dramatu.

Na wczesnym etapie tego teatru absurdu nieporozumienie mogliby wyjaśnić

przebywający w mieście pracownicy organizacji humanitarnych. Ale dla nich sytuacja

miała swoje dobre strony:  
nieoczekiwane masowe zainteresowanie  
zapomnianym krajem



niosło nadzieję na dodatkową, a bardzo potrzebną pomoc. Tak też się stało. A afrykańskim wydarzeniem numer jeden A.D. 1988 w światowych mediach pozostała wielka powódź

w Chartumie. W tym samym roku na południu kraju w wyniku wojny domowej i głodu

śmierć poniosło ponad ćwierć miliona ludzi.

Evelyn Waugh w swej klasycznej, przesiąkniętej wisielczym humorem, powieści

o dziennikarzach *Scoop* opowiada fikcyjną historię mistrza reportażu

wojennego, który wysłany do jednej z bałkańskich stolic, ogarniętej rewolucją, pomylił kraje i wysiadł

z pociągu w zupełnie spokojnym mieście. Niezrażony zamknął się w hotelu i zaczął słać do swej gazety relacje, w których trup słał się gęsto, a kraj stał w ogniu. Konkurencja nie mogła się nadziwić, ale natychmiast wysłała własnych asów. Stanowcze dementi zainteresowanego rządu tylko podgrzało atmosferę. Rychło władze musiały wprowadzić

stan wyjątkowy, a zaraz później wybuchła prawdziwa rewolucja.

Może zdarzyć się i na odwrót. George

Bush podjął decyzję o wysłaniu wojsk do Somalii

pod wpływem wstrząsającego (i prawdziwego) reportażu z „New York Timesa” autorstwa

Jane Perlez.

Peter Arnett, jeden z najślynniejszych reporterów wojennych na świecie, a dziś gwiazda CNN, opisywał, jak w czasie narastania kryzysu haitańskiego o mało nie został

zinczowany przez agresywnych demonstrantów pod ambasadą USA. Z dachu budynku

zdarzeniu przyglądali się obojętnie *marines* i pracownicy poselstwa, w tym sam

ambasador. Arnett wykaraskał się z kłopotów i później zapytał rzecznika prasowego

ambasady, dlaczego nikt nie reagował. Ten odpowiedział z uśmiechem, że Waszyngton

szukał zasadnych powodów do inwazji na Haiti i usunięcia generałów, a śmierć Arnetta

z rąk ich stronników byłaby idealną prowokacją, która spowodowałaby ściągnięcie 101.

dywizji spadochroniarzy.

Ryszard Kapuściński w *Lapidarium II*:  
„Wszystko jest już widowiskiem,  
wszystko

informacją, nic już nie ma znaczenia ani  
wagi! Jedyne, co się liczy w tej pracy:  
żeby było krótko, żeby było szybko!”.

Według dziennikarskiej organizacji  
Reporterzy bez Granic (RSF) w  
ubiegłym roku

zamordowano przynajmniej 29  
dziennikarzy tylko za to, że wykonywali  
swoje zawodowe

obowiązki. Międzynarodowa Federacja

Dziennikarzy (IFJ) podała liczbę co najmniej 50

zabitych przedstawicieli mediów.

Szacuje się, że od 1986 roku zginęło na świecie blisko 500 dziennikarzy. Do 1989 roku

liczba ofiar nie przekraczała 30. Wraz z rozpadem świata komunistycznego i wybuchem

szeregu lokalnych i niezwykle brutalnych wojen liczby zaczęły rosnąć. W roku Jesieni

Ludów zginęło już 63 dziennikarzy (według amerykańskiego Freedom

House).

Najkrwawsze żniwo przyniósł rok 1994 – przynajmniej 115 ofiar. Warto pamiętać, że

w czasie trwającej ponad dekadę wojny wietnamskiej zginęło 63 dziennikarzy.

Mniej

więcej tylu sarno zostało zamordowanych w trwającej o wiele krócej wojnie w byłej

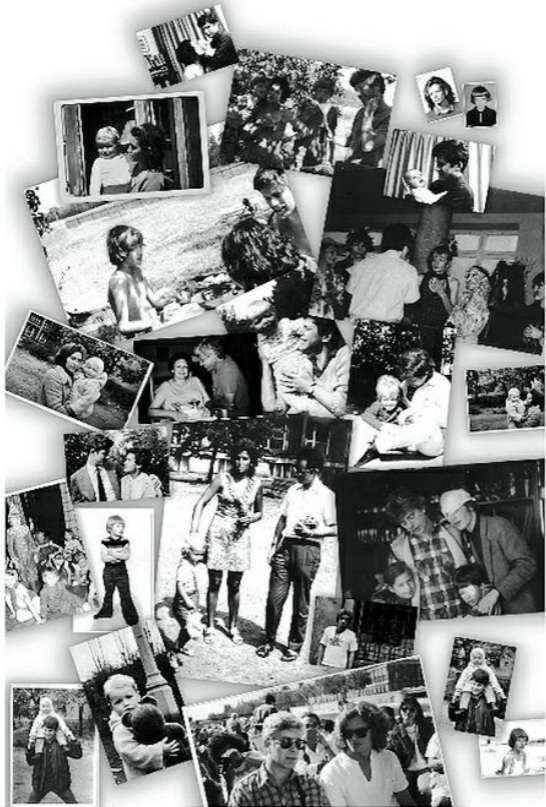
Jugosławii. Dawid Warszawski wyliczył w „Gazecie Wyborczej”, że „proporcjonalnie do

swej liczebności dziennikarze ponieśli

w konflikcie jugosłowiańskim większe straty niż siły ONZ”.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1997/7.







# II DOBRZY BOGOWIE

## Kąpiąc Gucia

A więc powiadacie, „Newsweeku” szanowny, że jako młody stażem tata mam napisać

o świadomym tacierzyństwie, znaku naszych pięknych czasów. Bo bycie fajnym,

zaangażowanym ojcem staje się wręcz modne. No, coś jest na rzeczy. Znajoma, która

uczyła mnie wiązać takie przypominające chustę nosidełko,

rozculiła się, że nic tak na laski nie  
działa jak facet z worem na brzuchu.

Ale, ale! Jest jeden problem. Kiedy  
słyszę o tej wzbierającej fali  
nowoczesnego ojcostwa, zdaję sobie  
sprawę, że mnie to w pewnym sensie nie  
dotyczy. Bo ja wiele lat temu zostałem  
wychowany przez ojca, co – jak  
rozumiem – jest postulatem  
postępowych matek.

Odkąd pamiętam, dokąd pamiętam, był  
obok mnie, ze mną. „Słońce pleni się /  
na

wszystkie / strony / chodzimy nad wodę  
/ lato i woda *to dobrzy bogowie* mój  
synek /

mówi o nich przez cały dzień / potem wracamy do *domu* dom to jest również łatwe

słowo” – pisał w wierszu 28-letni bezrobotny historyk (wyrzucony z pracy w marcu 1968

roku) o swoim dwuletnim synku. O mnie.

Kiedy miałem niespełna 8 lat, urodziły się „one”, jak wszyscy nazywali moje bliźniacze rodzeństwo: Kasia i Andrzej. I nagle wypadłem z centrum uwagi, które wypełniły dwie małe poczwary. Rodzice szybko się zorientowali, że coś jest nie tak, i postanowili, że mama zostanie z bliźniakami, a tata zabierze mnie na

chłopacką wyprawę. Minęło 36 lat, a ja pamiętam, jakby to było wczoraj, jak po ciemku rozbijaliśmy namiot w pienińskiej wiosce pod drzewem i nagle drzewo się zapaliło, bo to była drewniana latarnia,

i zwijaliśmy się ze śmiechu w naszych wilgotnych śpiworach. A potem w Bieszczadach

poszedłem myć kochery w strumieniu i zobaczyłem byka, i uciekałem do taty, który mi

tłumaczył zapłakanemu, że to krowa, a nie byk, ale naczynia szlag trafił. I siedziałem mu na kolanach, i prowadziłem samochód na polnych

bezdrożach. I czułem się, jakbym był

wicekrólem świata na dworze mojego  
supertaty.

Nienawidziłem go, kiedy w liceum, w  
weekend, gdy mogłem pospać, budził  
mnie o 9

rano, kiedy zmuszał do czytania  
Sienkiewicza i Żeromskiego, kiedy  
dawał

mikrokieszonkowe, tłumacząc, że więcej  
muszę zarobić sam. Kochałem go, gdy w  
Paryżu,

w którym byłem pierwszy raz w życiu,  
zamiast kisić zaskórniaki ze stypendium,

wziął

mnie do Dzielnicy Łacińskiej na prawdziwy francuski befszyk. Wtedy, w latach 80.,

kosztował pewnie jedną czwartą polskiej pensji wykładowcy. Tata skąpił na duperele, ale uważał, że konsumpcja takiego befszyka to obowiązek jak lektura *Hrabiego Monte Christo*. A na to żadnych pieniędzy nie szkoda.

Wielu kolegów zazdrościło mi takiego ojca, gdy widzieli, że nawet smyka traktuje jak

dorosłego, rozmawia ze mną na poważnie, a jednocześnie potrafi się



wyglupiać i stroić

sztubackie żarty. I kiedy ludzie mnie pytają: „Skąd w tobie tyle optymizmu i apetytu na życie?”, odpowiadam: bo tak mnie wychowano. W poczuciu, że życie jest piękne i że chodzi o miłość, przyjaźń, lojalność, uczciwość i dobre chwile. I parę jeszcze rzeczy, ale wszystkie ze znakiem plus. To mi kładli do głowy mama Beata i tata Stefan.

A teraz jest mój Gucio (jaka szkoda, że ich nie pozna) jak zwiastun zapowiedzianego

szaleństwa. Od pierwszego dnia, kiedy go zobaczyłem jako plamkę na zdjęciu,

zrozumiałem, że zwariuję.

Z moim przyjacielem Maksem było inaczej. W ciąży był przerażony. Spanikowany.

Pamiętam ten dzień, 12 kwietnia 2006 roku. Siedziałem w Moskwie na lotnisku

Szeriemietiewo, czekałem na samolot do Tbilisi, kiedy zadzwonił Max. Mój serdeczny

druh Max, ale nagle usłyszałem obcego człowieka. Był w amoku. Nagle jego świat

rozleciał się na strzępki i skleił na nowo pod nazwą Maria Mercedes. Nagle ta

wówczas

fasologlista, teraz rezolutna panienska, stała się centrum kosmosu, wszystkiego i okolic.

I tak jest do dzisiaj.

Ja też jestem od paru tygodni w amoku, ale w amoku planowanym. Czekałem na niego,

gadałem do niego, gdy był w brzuchu Ani. W trzecim miesiącu snułem wizję wspólnych

wypraw w Bieszczady i Beskid Niski, w szóstym kłóciłem się z małżonką, która nagle

zapytała, czemu Guccio ma niby być kibicem Legii Warszawa, a nie Ruchu Chorzów? OK,

moje serce to wytrzymało,  
wy tłumaczyłem żonie, na czym polegają nieprzekraczalne

granice poczucia humoru.

Z rozczeniem obserwuję, jak tonę w magmie banału. „Twój świat się zmieni” – mówili

wszyscy, tratatata. Miliony przede mną to przerabiały, większość przyjaciół i znajomych ma dzieci, ba! moja osobista siostra Kasia jest od dwóch lat matką Marusi, z powodu której termin

„ADHD” należałoby zmienić na „ADHDISSIMUS”. Cóż mnie tu może

zaskoczyć? On może. Kiedy go zobaczyłem wydobytego z łona mamy, popłakałem się jak

nigdy od śmierci rodziców. Nagle cały świat wykonał zwód i otulił się wokół tych paru

kruchych kilogramów, które właśnie leżą na moich kolanach i karmię je lewą ręką, więc

piszę prawą, czyli bez polskich znaków, nie ma problemu, poprawię później.

Przed poczuciem żenady, że klecę

oczywiste oczywistości, ocala mnie to, że o ile dobrze pojąłem nowe dla mnie zjawisko ojcostwa, to prawie każdy tata uśmiechnie się, czytając te truizmy. Bo przypomni sobie pierwsze tygodnie, na totalnym haju, kiedy ekstaza miesza się z paniką, gdy wracasz z kuchni do pokoju, patrzysz i on naprawdę jest, nie

żadne tamagotchi, nie, to twój syn albo córka na wieki wieków. I odkrywasz, co to znaczy miłość absolutna, bezwarunkowa, że aż cię skręca w środku.

Pamiętam, jak ładnych kilka lat temu kolega poszedł na tacierzyński, bo żona zarabiała więcej i wyszło im, że lepiej,

żeby to ona pracowała. Kiedy pojawiał się przedpołudniami w parku z wózkiem, wywoływał sensację i duszne opary podejrzeń, czy aby dziecka nie porwał i o co tu chodzi. Nie wiem, jak w skali kraju, ale w moim światku bycie ojcem,

który się angażuje, dzieli obowiązki z mamą, wstaje w nocy, zapieprza, walczy z płaczem i kolką, jest normą.

Patrzę z podziwem na mojego przyjaciela Mikołaja, jak wychowuje Krzysia, Kazia

i Stefka, tercet z okolic piekielnych, których ze względu na godną podziwu żywotność

nazywałem odpowiednio Duracellem, Energizerem, a na najmłodszego już zabrakło mi

wyobraźni. Ja po spędzeniu z tą ekipą godziny mam silne zawroty głowy.

„Wuju! A czy tu są skorpiony?”. Nie ma, Krzysiu. „A na tej górze są skorpiony?”. Też nie ma, Krzysiu, odpowiadam rozkojarzony, bo Stefek upadł i płacze, a Kazio za bardzo zbliżył się do

ogniska. „A na tamtej, wuju?”. Po czym Krzyś pyta o każde wzniesienie w okolicy, każdą dolinkę, zakręt drogi, dom i altankę. Po usłyszeniu 68.

rozczarowującej odpowiedzi Krzyś na chwilę milknie i już myślę, że się udało,



kiedy basałyk rzuca: „Wuju! A są tu pytony?”.

I kiedy kąpię Gutka wieczorem w plastikowej wanience, to czuję, że nigdy, na żadnej

z wojen, które opisywałem jako reporter, na żadnym górskim spływie, ścierając się

z zomowcami na dawnych zadymach, pisząc artykuły, pyszniąc się w telewizji, a więc

nigdy nie byłem tak męski, tak spełniony, tak cholernie ważny jak w tej niesamowitej,

jedynej, niepowtarzalnej chwili, chlup, chlup, chlup.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2012/19.

## **Rozbrajacz południa**

Najlepszy patent na autostopie:  
wystawić na szosę atrakcyjną  
dziewczynę, a chłopak,

chłopaki, kompania chłopaków chowa się w rowie, lesie. No i jak już jakiś kierowca się zatrzyma, panowie rażno doskakują do koleżanki. Jeśli kierowca jest bucem liczącym na łatwą okazję, odjeżdża z piskiem opon, a jak jest normalny i ma poczucie humoru, to

w miarę pakowności zabiera ekipę. Sam tak robiłem, często działało.

Nic jednak nie równa się podróżowaniu po południowej Europie z niemowlakiem. Blond

niemowlakiem, dodajmy, choć z moich obserwacji wynika, że kolor włosów i jasna cera nie są warunkiem koniecznym wywoływania stanów euforycznych wśród miejscowej ludności.

Ale na pewno nie przeszkadzają. Gdybym na podstawie polskich doświadczeń miał

podejmować decyzję o liczącej 5 tysięcy kilometrów podróży z

sześciomiesięcznym

kawalerem – do Włoch i Chorwacji, a potem na dwa tygodnie do Gruzji –  
pewnie bym się

zastanowił.

Rodzice takiego malca w miejscu publicznym są w Polsce na cenzurowanym. „Taki mały

i już z nim państwo wychodzicie?”, „I on tak w kawiarni wieczorem zamiast w łóżeczku?”

„A nie za ciepło ubrany?”, „A nie powinien nosić czapeczki?”, „Tak płacze, pewnie nie jadł”

„Obcym dajecie go dotykać? Żeby jeszcze chorobę złapał?”. No, do cholery jasnej. Czy ja ci, kobieto, mówię, co masz robić ze swoim grzdylem?

Pytanie o przewijak w popularnej i dużej przydrożnej knajpie też raczej entuzjazmu nie budzi. Widać, że mnóstwo pieniędzy poszło na lokal, w toaletach jakieś fikuśne brewerie, ale przewijaka niet. No i wstydliwie, kryjąc się po rogach, w strachu głębokim, że obok będzie przechodził profesor Mikołejko, kombinujemy z żoną, jakby tu juniora jednak przewinać. Co powoduje też, że od oznaczeń, jakimi to kartami można płacić i czy jest

WiFi, czy też nie, o wiele ważniejsza stała się dla nas informacja o pokoju dla matki

z dzieckiem (dla matki, dlaczego tylko dla matki?) czy choćby o rzeczonym przewijaku.

Ale to normalne, tak jak to, że ostatnio bardziej mnie na ulicy kręcą wózki, ich parametry techniczne i design niż najbardziej ekscytujący pojazd z silnikiem.

Tak czy siak, śmiem twierdzić, że kilkumiesięczne stwory i te trochę starsze

w najlepszym razie wywołują w

ojczyźnie mej chłodną i lekko wyniosłą  
obojętność. Nie

mówię, że to źle, ale gdy opuściliśmy  
cywilizację piwa i masła, wkraczając  
rażno w strefę kultury wina i oliwy,  
rozpętało się regularne szaleństwo.  
Liczyliśmy na to, mając w pamięci  
wielokrotne wakacje w tureckich  
wioskach i miasteczkach. Jeszcze bez

potomstwa, zauroczeni byliśmy  
stosunkiem Turków do dzieci, widokiem  
40-letnich

ojców – obojętne czy ze stambulskiej  
klasy średniej, czy chłopów –  
bawiących się ze

swoimi smykami. Nie zawiedliśmy się.

Pod chorwackim Rovinjem  
zarezerwowaliśmy dwuosobowy pokój  
w hotelu na wyspie,

prosząc o możliwość wstawienia  
łóżeczka turystycznego. Dostaliśmy  
dwuosobowy

apartament w tej samej cenie, no bo  
dziecko, i prawo do parkowania w  
samym porcie, tuż koło promu, bo  
wiadomo, niemowlak. Wieczorami nikt  
się nie dziwił, że siedzimy z Gutkiem w  
restauracji. Nie było szansy, żeby zasnął,  
bo co chwila ktoś podchodził – klienci,  
kelnerzy. Tak, kelnerzy najczęściej, nie  
kelnerki, ci bałkańscy macho, którzy na



widok naszego syna zamieniali się w inne istoty, i się zaczynało. Dził, dził, dził, jaką ma słodką stópkę, to łaskoczemy stópkę, policzek taki pulchny, szczypiemy w policzek. Gucio trzęsie się ze śmiechu, ani mu w głowie spać, bo już włoska rodzina pyta, czy może go wziąć na ręce, i przechodzi od *papa italiano* do jego żony i dzieci.

Ech, ci Włosi. Wszystkie dzieci są nasze, a każde to skarb i świętość. Nieważne, czy

pójdziecie do restauracji, sklepu, zagadacie karabiniera, spróbujecie dowiedzieć się czegoś w urzędzie – mały budzi amok, przedłuża rozmowę,

daje do niej pretekst. Ale w Gruzji to samo. Kierowca marszrutki – ichniego minibusa – kwadrans kombinował z rana, jak zapakować wózek między siedzeniami. Przewijaków u nich jeszcze mniej niż u nas, ale

stosunek trochę inny, więc właśnie przed chwilą w portowej restauracji w Batumi, gdy

intensywna czerwień na twarzy pierwородnego i charakterystyczne napięcie mięśni

oznajmiło, że pojawiła się grubsza sprawa, po prostu przewinałem go na stole, wywołując powszechną radość obsługi i gości. A wolontariuszki na

batumskim festiwalu filmowym zapytały, czy mogą sobie z Gutkiem zrobić zdjęcie, i właśnie trwa sesja.

A wczoraj wieczorem, jak nam syn dał lekki popis wokalny w restauracji, podszedł

młody chłopak. Spytał, czy może, kiwnęliśmy, że tak, wyjął lekką tetrową pieluchę

z wózka i opuścił na twarz Gucia. Podniósł i znowu opuścił. Pełnia szczęścia. Uśmiech

małego – bezcenny. Podobnie jak podróżowanie z nim po krajach śródziemnomorskich.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Newsweeku” 2012/39.

# Arhentina

Przyznam się bez bicia: nastolatki w wieku okołogimnazjalnym budzą we mnie

potwora. Strzelać może bym nie strzelał, ale od marzeń o dobrze strzeżonym obozie,

z drutem kolczastym pod napięciem, najlepiej jak najdalej od mojego domu, uciec nie

potrafię. Tak jak od podziwu dla geniusza, który postanowił rozpieprzyć system

podstawówkowo-licealny, zerwać  
ciągłość nauczania, a młódź w  
najbardziej porąbanym

przez hormony wieku zgrupować w  
jednym, trzyletnim tworze.

Już wolałbym się znaleźć na zebraniu  
fanklubu Antka Macierewicza w  
Czeladzi niż

codziennie oglądać te wracające ze  
szkoły rozwrzeszczane watahy miotające  
w ciągu kilku minut więcej bluzgów niż  
ja za rządów Tuska, a naprawdę się nie  
oszczędzam. Swoją drogą, jak oni  
reagują, gdy się wkurzą, skoro tak jadą  
w sytuacji relaksacyjnej? Wołają: do  
kroćset!? Motyla noga!? Przebóg!?

Ciekawe. I ten durny śmiech, rozmowy jak z kolejowego przedziału w *Dniu świra*, dziewczyny przypominające Vicky Pollard z *Małej Brytanii*, pałkowate albo kuliste chłopaki, stanów pośrednich brak, hałasem i gówniarskim kozaczeniem przykrywający nieśmiałość. Rany, skąd wzięli tych

mutantów? Pomyłka w laboratorium? Dosypywali czegoś w McDonalddie?

I w tym momencie złorzeczący wujek Marcin postanawia przypomnieć sobie, jak

szlachetne było jego pokolenie, gdy w nastoletność wkraczało. Bo przecież

było inaczej!

Hmmm... Jestem w piątej czy szóstej klasie, wieczór, tata poważnym głosem prosi mnie

do dużego pokoju. Leci „Dziennik Telewizyjny”, a na fotelu siedzi milicjant, który pyta mnie, czy chcę skończyć w więzieniu. Teraz, kiedy o tym myślę, to jakbym czytał

przygody Mikołajka. Ale wtedy nie jest mi do śmiechu, tym bardziej że rodzice nawet nie podnoszą głosu, czyli jest naprawdę źle. By odpędzić obraz kazamat, w których minie moja młodość, skupiam się na pagonie milicjanta i zastanawiam się, czy jest taki sam jak na



okładkach komiksów z kapitanem  
Żbikiem.

A wszystko przez mundial '78 i te  
fantastyczne serpentyny fruujące na  
stadionach

Argentyny. Tak jak wszystkie dzieciaki  
oszalałem na ich punkcie. Fajnie było  
rzucać

papierem toaletowym, tylko za to można  
było dostać solidny ochrzan od  
rodziców, bo

w socjalizmie był towarem  
deficytowym. Ale na szczęście  
chodziłem do podstawówki na

warszawskim Nowym Mieście, przez płot z Instytutem Niewidomych. A oni do śmietnika

wyrzucali mnóstwo taśm zapisanych alfabetem Braille'a.

Trzeba było tylko przekraść się przez ogrodzenie i robiło się „arhentine”. Co istotne, taśmy były zrobione z jakiegoś powlekanego papieru i widowiskowo się paliły. Więc taka płonąca arhentina to naprawdę było coś. No i raz chyba nie dogasiliśmy, poleciliśmy bawić się dalej, rzucać napełnione wodą balony z dachów bloków przy Nowotki, dzisiaj

Andersa, czy czynić coś równie wesołego. No i kiedy po południu

wreszcie wlokłem się do domu,  
zobaczyłem czarny, gęsty słup dymu nad  
Konwiktorską, po chwili zabrzmiały  
wozy strażackie i jakoś, nie wiedzieć  
czemu, intuicja podpowiedziała mi, co  
się dzieje. Więc pogałem w te pędy,  
zamknąłem się w swoim pokoju, licząc,  
że burza przejdzie bokiem.

Nie przeszła.

Mą sławę piromana z milicyjnym  
dozorem przyćmił kolega z klasy,  
Piotrek. Rok później

spalił znany warszawski teatr Stara  
Prochownia. Znana zabawa: oprzeć  
zapałkę o draskę

i pstryknąć, by zapaliła się w locie. Tylko, nie wiedzieć po co, kumpel pstrykał przez uchylony lufcik położonej w suterenie garderoby teatru. Znaczy wiedzieć po co: bo był

nastolatkiem. Lata trwała odbudowa Prochowni, Piotrek jakimś cudem nie trafił do

poprawczaka, jest dzisiaj inżynierem w Kanadzie.

O eksplozjach dokonanych za pomocą Małego Chemika nie ma co wspominać, banał.

Kradzieże oranżady w proszku i płynie w pobliskim warzywniaku – także.

Trzynasta

księga *Pana Tadeusza*, skonfiskowana przez nauczycielkę w czasie lekcji, to samo, tyle że akurat ja ją miałem na kolanach, więc wezwali mojego tatę. Pierwsze niemieckie pornosy.

Kiedy nauczycielka polskiego wspomniała, że była w Stodole, znanym warszawskim

klubie, rechotaliśmy jak opętani, bo byliśmy święcie przekonani, że to coś między

burdelem i klubem ze striptizem. Po gówniarsku rozerotyzowani ekscytowaliśmy się

opowieściami o mitycznej johimbinie,  
cudownym afrodyzjaku, który ho, ho, ho!  
z nami

zrobi, jak ją w końcu dorwiemy.  
Naiwnemu koledze wmówiliśmy, że ją  
mamy,

i skłoniliśmy go do wciągnięcia nosem  
saletry potasowej, przez co wylądował  
u lekarza.

Pierwsze fajki na obozie sportowym w  
piątej klasie. Sprawdzanie po wuefie,  
komu już

włosy na jajkach zaczęły rosnać, a jak  
nie, to pastwić się rechetem nad  
delikwentem.

Itepe, itede.

Patrzę więc na ośmiomiesięcznego syna  
i myślę: spieszmy się kochać malców,  
tak

szybko stają się nastolatkami!

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Newsweeku” 2012/47.

# Synowie Edmunda

Prawie cały rok 1996 spędziłem w Afryce. Miałem 28 lat, bazę na kempingu w Nairobi

u słynnej Mamy Roche, którą wojenna zawierucha rzuciła do Afryki. Budka, w której

mieszkałem, przeciekała w dni i noce tropikalnych ulew, więc książki i notatki trzymałem w bungalowie Mamy. I ciągle jeździłem: do Zairu, Etiopii, Somalii, na krócej albo i na trzy miesiące, jak do Ugandy. Pisałem reportaże, drukowane w Polsce i Holandii, chłonałem Afrykę, czytałem jak opętany i od rana do nocy



zastanawiałem się, jak przeżyć kolejne tygodnie, bo z pieniędzmi było bardzo krucho.

Mama często odpuszczała mi czynsz w zamian za zbieranie opłat od przelatujących

przez jej pole turystów. Ci niekiedy zabierali mnie na obiad i płacili w zamian za

błyskotliwe opowieści i rady afrykańskiego kombatanta. Raz zdarzył się cud. Na

pobliskim basenie spotkałem Polaka. Dziwnego. Mówiąc po ludzku, chyba

jakiegoś

pomniejszego gangstera. Nie dociskałem go pytaniami. Z dość mgławicowych opowieści

rodaka wynikało, że na jego powrót do Polski czekają przeróżne służby, więc on wybierał

Nairobi, w którym mieszkał w apartamentowcu z dwiema pracującymi dla niego

ukraińskimi prostytutkami. Prowadził kasyno dla czarnych, a zarobki puszczał w kasynie dla białych. Namawiał mnie, żebyśmy razem pograli, a ja zawsze tłumaczyłem, że mnie nie stać nawet na

jeden zakład, poza tym nie gram dla zasady.

Ale lubiłem się z nim włóczyć nocami. Nairobi *by night*, dziwne miejsca, dziwni ludzie z bronią, mrok. Kiedyś, kolejnej nocy, porządnie już pijany wręczył mi garść żetonów i rzekł: – Obstawiaj. Jak przegrasz – trudno, jak wygrasz – oddasz mi tylko to, co ci dałem.

Spędziłem już z nim na tyle sporo czasu, że wiedziałem, iż cokolwiek się stanie, raczej mnie nie potnie ani nie zakopie żywcem. Więc wziąłem równowartość dwustu dolarów. Na stole ruletki ułożyłem wszystkie żetony w kształt liter

MM, moich inicjałów.

– Pojechało cię? – krzyknął. – Stawiaj po trochu.

Ale się uparłem. Krupier zakręcił kołem i wygrałem 1400 dolarów minus zwrot 200 dla

szemranego darczyńcy. Miałem spokój na wiele tygodni, mogłem nawet opłacić się ONZ

za pobyt w ich bazie w Somalii. A parę dni później, kiedy do niego zaszedłem, mieszkanie było zamknięte na głucho i już nigdy więcej go nie spotkałem.

To był jednorazowy cud. Normalnie mój

budżet wyglądał tak jak w zatopionym

w dżungli Gulu na północy Ugandy:  
gówniany (pod względem zapachowym  
można ten

przymiotnik traktować całkiem  
dosłownie) „hotel” za dwa dolary, rano  
spacer na

przedmieścia do dziko rosnących  
mangowców, z których zrywałem  
darmowe śniadanie, na

obiad i kolację miska ryżu z pikantnym  
sosem po dolarze i co drugi wieczór  
torebka

przedziwnego bimbru (nadal widzę!) za

dolara. Problemy zaczynały się, gdy musiałem się przemieszczać, przeżyć w dużym mieście, załatwiać wizy i dziennikarskie przepustki.

Kiedyś w pisanym ręcznie i kopiowanym w punkcie ksero liście do przyjaciół

wspomniałem o mojej finansowej dupie i o wynikającym z niej wiecznym zmęczeniu

i irytacji. Kilka tygodni później na adres polskiej ambasady w Nairobi przyszła przesyłka, a w niej kilkaset, chyba 250 dolarów od Michała, Mikołaja, Dominika, Marka i Pawłów dwóch, mam nadzieję, że nikogo nie pominąłem.

I list taki mniej więcej w duchu: „Na tyle nas stać, więc nie zmarnuj tej kasy i gnaj za marzeniami!”. Chyba się nawet wtedy popłakałem przy pani z ambasady, która wręczała mi kopertę.

Znaliśmy się jeszcze z liceum, a z Dominikiem nawet z przedszkola, trzymaliśmy się

przez wszystkie te lata, byli też z nami Max, Grześ, Piotr i inni, kłóciliśmy się, godziliśmy i trzymamy się nadal, gadamy kilka razy w tygodniu, spotykamy się nieustająco w podzespołach, a kiedy raz na miesiąc czy dwa dochodzi do obrad plenarnych w pewnym

warszawskim oldskulowym lokalu,

wtedy nasze żony i narzeczone klną, na  
czym świat

stoi.

Nie wiem jak z resztą watahy, ale moje  
bebechowe rozumienie chłopactwa  
ukszałtował

najważniejszy pisarz mej  
najwcześniejszej młodości – Edmund  
Niziurski. *Księga urwisów, Sposób na  
Alcybiadesa, Naprzód, Wspaniali!*,  
*Awantura w Niektaju, Adelo, zrozum  
mie!*, *Szkolny lud, Okulla i ja*,  
niezliczone opowiadania – to z nich  
najpierw chłonałem przekonanie, że  
jedną z najważniejszych rzeczy w życiu  
jest chłopięca, a potem męska przyjaźń.



Na dobre i na złe. Tak, u Niziurskiego często pojawiał się wątek rozczarowania, zdrady, o tym nigdy nie zapomniałem, ale za moich kumpli dałbym się pokroić. A oni – jak wiele razy udowadniali – za mnie.

Przeczytałem kiedyś, że jeżeli mierzyć uczucia w skali od zera do dziesięciu, to w związku heteroseksualnym możemy dobić do szóstki, no, siódemki, w męskim

homoseksualnym do ósemki, a lesbijki otrą się o dziewięć. A gdzie, pytam, męska

przyjaźń, bez seksualnych podtekstów?

Więc nie pozostaje mi nic innego jak tylko życzyć, by wasze kobiety rozumiały, że

czasem nie ma na świecie nic piękniejszego niż posiedzieć z kumplem i pomilczeć.

## **Dlaczego nie zostałem oceanografem**

Chciałbym napisać, że od zawsze pragnąłem być dziennikarzem, ale minąłbym się

delikatnie z prawdą. Moje pierwsze konkretne marzenie o przyszłości to oceanografia. Nie pamiętam, czy to ja poprosiłem rodziców, by mi kupili poważną księgę naukową o oceanach, bo

już mnie fascynowały, czy też  
zainteresowanie przyszło pod wpływem

prezentu. Pewne jest, że na dłuższy czas  
zanurzyłem się w morskich głębinach,  
śledziłem dyskusje, który rów jest  
najgłębszy i ile ma w zasadzie metrów,  
czytałem z podziwem o przygodach i  
odkryciach Jacques'a Cousteau,  
oglądałem potwory żyjące setki metrów,

jeśli nie kilometry pod powierzchnią, a  
nawet, o zgrozo, napisałem wzmożony  
uczuciowo

wiersz o sile miłości przypominającej  
tsunami i na tym moja przygoda z  
oceanografią

zasadniczo się skończyła. Może to i lepiej. Jedyne znany mi człowiek z szeroko

rozumianego kręgu towarzyskiego, który studiował naukę moich marzeń, pracuje dzisiaj

w banku.

Był powód praktyczny porzucenia marzeń o wyprawach, których dokonuje James

Cameron. W szkole podstawowej nr 233 imienia Xawerego Dunikowskiego, położonej na

ulicy Konwiktorskiej na warszawskim

Nowym Mieście byłem całkiem niezły

z matematyki. W sumie jednym z najlepszych. Z fizyką szło nieco gorzej, ale dawałem

radę bez problemu. Z matematyki startowałem nawet w olimpiadzie, poległem w miarę

szybko, no, ale jednak co olimpiada to olimpiada. A potem poszedłem do liceum i wszystko się zmieniło.

Już egzaminy mnie otrzeźwiły. Zdawałem do matfizu, klasy matematyczno-fizycznej

w liceum Frycza Modrzewskiego, od lat

mającego reputację jednej z najlepszych szkół

średnich w Warszawie. W dodatku zdawałem w czerwcu 1983 roku.

Miesiąc wcześniej

milicja zakatowała na śmierć maturzystę z Frycza – Grzegorza Przemyka.

Dziesiątki

tysięcy warszawskich licealistów i studentów szły w kondukcje żałobnym, a w telewizji

Jerzy Urban, rzecznik komunistycznego rządu, kłamał dzień w dzień, kryjąc morderców

i ich protektorów od Kiszczaka i Jaruzelskiego. Więc wczesnym latem 1983 roku, oprócz

zwyczajowych tłumów, które chciały dostać się do Frycza, doszło jeszcze sporo młodych

ludzi, dla których zdawanie do Modrzewskiego było gestem solidarności z zamordowanym

starszym kolegą, pokazaniem wała łobuzom rządzącym krajem. Nastoletnim znakiem

sprzeciwu.

Na egzaminie dostałem piątkę (wówczas

najwyższa ocena) z polskiego, czwórkę plus

z matematyki i czwórkę z fizyki. Z taką średnią dostałbym się do każdej innej szkoły, ale nie do Modrzewskiego. Do dzisiaj śni mi się pytanie na ustnej fizyce: jaka jest temperatura na dnie głębokich zbiorników wodnych? Miałem kompletną pustkę w głowie,

a odpowiedź brzmi: pieprzone cztery stopnie, bo w tej temperaturze woda ma największy

ciężar własny czy jakąś inną cholerę, którą postarałem się wyprzeć z pamięci.

Przyjęto mnie do noszącego imię Józefa



Poniatowskiego V LO, zwanego powszechnie

„Poniatówką”. Budynek szkoły położonej na terenie dawnego getta był swoistym

dziwolągiem przypominającym, z powodu wewnętrznych antresoli, więzienie Alcatraz.

Przynajmniej nam, uczniom tak się wydawało, bo oczywiście nie mieliśmy pojęcia, jak

wyglądało prawdziwe Alcatraz.

„Poniatówka” była super z kilku powodów. Sporo było

w niej frików, a fizyki uczył genialny, niepowtarzalny profesor Tratkiewicz. Krążyły

o nim legendy. Jedną z pierwszych, jaką usłyszeliśmy na początku roku szkolnego, to, że kiedy kilka miesięcy wcześniej zmarł Breżniew, „Trat” przyszedł do szkoły ubrany na różowo. Sami już słyszeliśmy, co powiedział, kiedy uczniowie bodaj na imieniny próbowali mu wręczyć kwiaty. „Co państwo mi tu dają? Przecież kwiaty są narządami rodnymi roślin. Czy pan chciałby, żeby obcięto panu genitalia?”. Do uczniów zwracał się per pan z pierwszą sylabą. Ja byłem panem Mel. Kiedyś kolega z klasy, Krzysztof Sugier

nie bardzo skupiał się na lekcji, pisząc coś pod ławką. Tratkiewicz zapytał:

– Panie Sug, co pan tam piszesz?

– Nic panie profesorze.

– Panie Sug, jesteś pan kłamca, oszust i jeszcze raz oszust. Na pewno piszesz pan

„Tratkiewicz chuj złamany”, jak wielu przed panem. Chuja rozumiem, ale dlaczego

złamany?

I przez wiele tygodni, a może nawet miesięcy, wywołując Sugiera do

odpowiedzi, mówił:

„Do tablicy pójdzie oszust, kłamca i jeszcze raz oszust, pan Sug”. Potrafił podrzeć na strzępy zeszyt ze źle rozwiązany zadaniem i nie było litości, na następną lekcję trzeba było mieć cały przepisany. W trakcie lekcji, przez klasę do jego kanciapy na zapleczu przemykali przedziwnie wyglądający osobnicy i atrakcyjne kobiety. Dzisiaj pewnie ktoś by pozwał Tratkiewicza do sądu, poszczał gazetą, telewizją albo jakimiś urzędnikami.

A Poniatówka kochała Trata. Kiedy jego klasa składała mu w holu życzenia urodzinowe (a widać było zewsząd, no

bo antresole, Alcatraz, wiadomo), cała szkoła biła brawo.

I do Tratkiewicza poszedłem, widząc po paru miesiącach, że nie daję rady. Że muszę ryć nocami, by dostać trójcę, a moi niektórzy koledzy z klasy łapią wszystko w lot na piątkę i rozmawiają sobie z Tratem na poziomie abstrakcji, którego nigdy nie osiągnę i będę dupa, a nie dobry oceanograf, a chcę być dobry w tym, co będę w życiu robił.

Powiedziałem mu to, a on przekonywał, żebym został, i martwił się, że był dla mnie za

surowy. „Nie, panie profesorze, był pan w sam raz i właśnie dzięki temu

zrozumiałem, że w dyscyplinach ścisłych świata nie zawojuję. A z polskiego, historii i geografii jestem naprawdę niezły, potrafię pisać, wiem to. Co by pan zrobił na moim miejscu?”. Pokiwał

wolno głową, a mnie się chciało płakać.

No i w Poniatówce pierwszy raz usłyszałem *Sunday Bloody Sunday* U2, tę furję, tę wściekłość, tę rozpacz, piosenkę, która tak naprawdę nigdy nie opuściła mojej głowy, która mi brzmiała, gdy lata później jeździłem po różnych wojnach, frontach i ziemiach niczych.

Pozostawało znaleźć klasę  
humanistyczną z angielskim, bo tego  
języka uczyłem się

przez pół roku w matfizie. Mógłbym na  
luzie pójść do klasy francuskojęzycznej,  
gdyż

uczyłem się popołudniami w Instytucie  
Francuskim, ale z powodów formalno—

papierkowych było to niemożliwe. A w  
tamtych latach prawie wszystkie klasy

humanistyczne miały francuski, miałem  
więc kłopot. Jednym z wyjątków było  
XI LO

imienia Mikołaja Reja, gdzie ostatecznie

trafiłem w połowie pierwszej klasy, i  
gdzie

spotkałem nauczycielkę polskiego, prof.  
Marię Kalinowską, i historii, prof. Julię

Tazbirową, którym zawdzięczam chyba  
więcej niż całym studiom. Nawet jak  
trochę

przesadzam, to tylko trochę. W każdym  
razie przygoda z oceanografią została

definitywnie zakończona.

Chciałem również być zawodowym  
rewolucjonistą, jak ci wszyscy  
wspaniali, brodaci



faceci w wyciągniętych swetrach. Ale ledwie poknułem w liceum, ledwie zacząłem działać w podziemnym Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, ledwie zapuszkowali trzy razy na 48

godzin, parę razy pałą poczęstowali, to się komuna wzięła i zwinęła i tyle w temacie

kariery rewolucjonisty. Choć jak się rozglądam dookoła, to niektórzy dopiero dzisiaj

nabierają rozpędu w zwalczaniu poprzedniego systemu, zwłaszcza jak go nie pamiętają,

więc może się myliłem, może trzeba

było iść tą drogą.

A z tym dziennikarstwem to chyba zaczęło się nawet podświadomie. Bo gdy

w podstawówce koledzy pragnęli zostać kowbojami, polarnikami, rajdowcami

i kosmonautami, ja zamarzyłem o pracy w kiosku Ruchu. Takim konkretnym kiosku, na

warszawskim Rynku Starego Miasta. Nie w żadnej lichej budce, tylko elegancko, na

parterze kamienicy, wchodziło się po schodkach w bramę i na prawo. Po

przekątnej,

w Muzeum Historycznym Miasta Stołecznego Warszawy, pracowała moja mama Beata

i pewnie dlatego w tym kiosku na Rynku rodzice mieli założoną teczkę na tygodniki

i miesięczniki, mimo że najbliższy od naszego mieszkania był ten na Freta na Nowym

Mieście. Tam mnie tata wysyłał po papierosy Carmeny, które tak ładnie pachniały przez

folię i strasznie śmierdziały jak je tata

palił i po codzienne „Życie Warszawy”. A chłopaki w szkole mówiły, że pani z kiosku na Freta dziurawi szpilką kondony, co nie miało dla nas specjalnego znaczenia, bo jedyne, do czego ich używaliśmy, to do napełniania wodą i zrzucania z dachów kamienic i bloków na ludzi i samochody.

Tak więc w kiosku na Rynku Starego Miasta była nasza teczka. Gruba pani i gruby,

zawsze spocony i taki świszcząco-sapiący pan odkładali rodzicom „Politykę”, „Tygodnik

Powszechny”, „Przekrój”, „Film”, „Kino”, „Kobietę i Życie”, „Więź” i

„Znak”, „Literaturę na Świecie”, „Odrę” i pewnie jeszcze jakieś tytuły, których już nie pamiętam. No i gazeta dla mnie! Wychodzący trzy razy w tygodniu „Świat Młodych”, pismo, gdzie po raz pierwszy drukowane były kolejne odcinki *Tytusa*, *Romka i a' Tomka* i *Kajka i Kokosza*, towar absolutnie deficytowy. A jak w 1980 przyszła Solidarność, to rodzice dorzucili do teczki „Tygodnik Solidarność”. I to było piękne, bo kiedy w karnawale Panny S. odbierałem

gazety dla domu, to specjalnie pod pachą tak je układałem, żeby wielkie logo Solidarności było na wierzchu, żeby wszyscy widzieli i żeby na drodze do domu omiatały mnie radosne

uśmiechy, a czasem nienawistne spojrzenia.

Bo tak jak nie cierpialem większości obowiązków domowych, chodzenie po ziemniaki

wydawało mi się beznadziejne, to odbiór „teczki” stanowił zaszczyt. Zazwyczaj czyniła to oczywiście mama, wychodząc z muzeum, ale czasami udawało się połączyć dwie przyjemności. Muzeum zajmuje kilka połączonych ze sobą w środku kamienic.

Zwiedzający poruszali się ustaloną trasą. Ale ja byłem synkiem pani Beatki z działu

oświatowego i mogłem hulać jak wiatr  
po polu. Chodzić na skróty pod  
oznaczającymi

zakaz wstępu grubymi sznurami, jeździć  
windą, pędzić po skrzypiących  
schodach,

wchodzić do sal i pomieszczeń  
przeznaczonych tylko dla pracowników,  
a nawet do

pokoików pracujących na potrzeby  
muzeum rzemieślników i  
konserwatorów, którzy

zdradzali mi sekrety swego fachu i  
pokazywali potrzebne narzędzia i  
leczone eksponaty.

Dla dzieciaka czysta magia. No i jakby tego było mało, mogłem w dodatku odebrać

z kiosku gazety.

Patrzyłem z zazdrością, jak pracujące tam małżeństwo składa wielkie płachty gazet

(dziś takich już nie ma) przed podaniem klientom, wydaje resztę monetami, czasem

dorzuca dla równego rachunku pudełko zapalek i tak bardzo chciałem ich zastąpić,

a przynajmniej z nimi popracować. I



którejś wiosny, pod koniec roku szkolnego, jeszcze w podstawówce, czyli pewnie miałem dwanaście, trzynaście lat, zachęcony amerykańskimi filmami, w których wszystkie nastolatki gdzieś dorabiały, poszedłem niezwykle spięty do kiosku marzeń i spytałem się państwa, czy mógłbym im pomóc, pracując w wakacje.

Byłem przekonany, że rozpromienią się w zachwycie, zbudowani moją postawą, zatrudnią

natychmiast i do zarobków dorzucąc będą gumy do żucia, a tymczasem burknęli, że nie

trzeba. Zabolało.

A jako nastolatek i tak zacząłem pracować. Od pierwszej klasy liceum myłem okna

u znajomych rodziców i znajomych ich znajomych. Poza tym, że zarabiałem parę złotych

na drobne przyjemności, mogłem liczyć na dodatkowe atrakcje. Jak u sędziwego ojca

przyjaciela rodziców, ekonomisty Jacka Kochanowicza. Miałem 16 lat. Po wykonanej

robocie starszy pan zapytał:

– A teraz papieroszek z lampką

wybornego koniaku?

Trochę mnie zamurowało.

– Ale przecież to bardzo niezdrowe –  
odparłem wyuczoną mądrością.

– A któż szanownemu panu takich bzdur  
naopowiadał?! – starszy pan był  
autentycznie

zbulwersowany. Stańło na tym, że  
razem się napiliśmy, papierosem zaś  
cieszył się sam.

A ja zacząłem palić półtora roku  
później, w czasie wakacyjnego,  
chłopackiego wyjazdu do Zakopanego  
po drugiej licealnej.

Ale nic się nie równa pewnemu myciu  
szyb w 1986 roku. Któregoś dnia tata z  
figlarnym

uśmiechem zapytał:

– A chciałbyś umyć okna u Michnika?

Aż się zapowietrzyłem. Mój absolutny  
idol, wieczny rewolucjonista, jakim sam  
chciałem

być, właśnie wyszedł z więzienia, po  
kolejnej, kilkuletniej odsiadce. Rodzice,  
którzy go znali jeszcze ze studiów, a tata  
i wcześniej, trochę się podśmiewali z  
tego mojego zauroczenia, ale bawiło ich  
raczej pozytywnie. W sumie lepszy  
Michnik, niż gdybym

zbyttnio zachłysnął się Ianem Curtisem z Joy Division i chciał ciąć żyły. No, był jeszcze Jim Morrison, ale on nawet mojej mamie się spodobał (za moją sprawą, w młodości nie znała Doorsów) i kiedy lata później mieszkała w Paryżu, przyszła jesień, Wszystkich

Świąt, zrobiło jej się ckiwie tak daleko od domu i grobów bliskich i zadzwoniła do mnie do Warszawy z pytaniem gdzie jest grób Jima.

Wy tłumaczyłem. Kupiła świeczkę albo kwiatek i poszła na Père-Lachaise. Choć nie widziałem tej sceny, często sobie

wyobrażałem moją stateczną mamę, wtedy panią ambasadorową, oddającą w

Paryżu

cześć zmarłemu tragicznie  
amerykańskiemu, genialnemu, złemu  
chłopcu rock'n'rolla

w najbardziej polskie z polskich świąt. I  
uwielbiam jej ciepły surrealizm.

Ale wróćmy do okien u Michnika. Po  
1989 roku nieraz będę się zżymać,  
śledząc

poczynania i słowa niegdysiejszego  
bohatera. Ale lata wcześniej, gdy byłem  
w niego

wpatrzony, nie przyszłoby mi do głowy,  
że generał Kiszczak stanie się dla niego

„człowiekiem honoru”. Nie, wtedy kiedy  
tenże Kiszczak zaproponował

Michnikowi

zwolnienie z więzienia w zamian za  
opuszczenie kraju, czyli przymusową  
emigrację, ów

Michnik mej młodości odpisał  
generałowi słynnym listem, w którym  
ujął to znacznie

bardziej kulturalnie, ale którego treść  
dałaby się streścić do prostego „pierdol  
się!”.

I takiemu Michnikowi miałem myć okna  
w jego michnikowym mieszkaniu.

Miałem 18 lat

i czułem się, jak pewnie poczułby się młody kleryk, otrzymując zaproszenie na prywatną audiencję u Franciszka.

Bałem się, że tata rzuca propozycję trochę sobie a muzom, że Michnika znowu wsadzą,

zanim zdążę zabrać się do jego szyb, ale wszystko poszło, jak miało pójść.

Pamiętam to mieszkanie, zavalone wszędzie książkami, monstrualnymi ilościami książek, wypełniających półki, przykrywających stoły i krzesła, ustawionych w kopce i kopczyki na podłodze, pomiędzy którymi można było poruszać się wąskimi ścieżkami. Co prawda na początku przeżyłem



rozczarowanie, gospodarza nie było w domu, ktoś, nie pamiętam kto,

mnie wpuścił, ale gdy kończyłem długą pracę – bo okna były naprawdę brudne – wrócił

Michnik i to w towarzystwie kilku innych „ekstremistów”, którzy właśnie opuścili

więzienia. Co więcej, zaproponowali, żebym z nimi został, jeśli mam ochotę. Mówcie do

mnie jeszcze! Czułem się jak w raju. Oto siedzę z „elementami antysocjalistycznymi”

z moim idolem na czele, którzy dzień w dzień są opluwani w gazetach i telewizji jako

największe zło Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, palę z nimi papierosy i słucham tych

cudownie antypaństwowych i antyustrojowych rozmów, a oni mnie nawet pytają, o czym

rozmawiają licealiści, co sądzą o tym czy o tamtym, jaka jest sytuacja w szkołach. Do

domu wracałem zamroczony. Tata z trudem powstrzymywał uśmiech i tylko poprosił,

żebym nie chwalił się przesadnie w szkole moją ostatnią robotą.

Niedawno napisałem w felietonie: „Od maleńkości, może nawet przesadnej,

interesowałem się polityką. Nie, inaczej: sprawami publicznymi. Jak dziś pamiętam,

kiedy za fotelem w gabinecie taty znalazłem dziwnie wydrukowane gazetki. Był rok 1979, miałem 11 lat, wystarczająco dużo, bym zrozumiał, że coś się nie zgadza: że świat opisywany na tych niewyraźnych stronach jest zupełnie inny niż to, co opowiadają

w telewizji. Zapytałem tatę, o co chodzi,

a on westchnął i ku pewnemu strapieniu  
mamy

wytłumaczył szczyłowi, jak się sprawy  
mają, że się źle mają, ale są dzielni  
ludzie, którzy się na taki stan rzeczy nie  
zgadzają i próbują go zmienić. I że bym  
broń Boże o tym nie opowiadał w  
szkole. Traf chciał, że z tej pierwszej  
nielegalnej lektury dowiedziałem się o  
praskiej wiośnie 1968 roku i jej  
przywódcy Aleksandrze Dubczeku,  
skądinąd szefie Komunistycznej Partii  
Czechosłowacji. I proszę się nie śmiać,  
wieczorami zasypiałem,

marząc o tym, że któregoś dnia zostanę  
polskim Dubczekiem, wyzwolę swój

kraj

i sprawię, że wszyscy będą żyli swobodnie, godnie i sprawiedliwie. A potem przyszła

Solidarność i można było już marzyć bardziej realnie”.

Wśród komentarzy pod tekstem znalazłem taki: „Jak zawsze megalomania na wysokim

poziomie. Tym razem przegiął pan pałę. Jedenastoletni gówniarz zrozumiał praską

wiosnę, za chwilę pacholę genialne, mając 12 lat, jest wyznawcą

»Solidarności«. Wymarzył

pan sobie być Dubczekiem? Zgadza się, jest pan »dupczek«”.

No cóż, kiedy naprawdę tak było. A nawet lepiej, bo politykę znałem nie tylko z domu.

Polskiego w podstawówce uczyła lubiana przez większość uczniów, a przede mnie

uwielbiana Małgorzata Kielska-Żukowska. Przede wszystkim, co w tamtych czasach

trąciło ekstrawagancją, uczyła nas samodzielności myślenia. Przynajmniej

tak to

zapamiętałem, ale sądząc po szacunku, jakim darzyli polonistkę moi rodzice, chyba się nie mylę. W piątej klasie (rok szkolny 1979/80), a więc jeszcze przed Sierpniem 1980

i narodzinami Solidarności, w fazie gnijącego Gierka, chyba pod wpływem pytania jednego z uczniów, Kielska opowiedziała nam, co się wydarzyło na Wybrzeżu w grudniu 1970, o masakrze bezbronnych stoczniowców mordowanych przez władzę ludową. Nie wiem jak

na innych, na mnie opowieść wywarła wstrząsające wrażenie. No, ale miałem

też 11 lat,

więc poleciałem podekscytowany do domu podzielić się z rodzicami uzyskaną wiedzą. Tata nie mógł uwierzyć, że usłyszałem to od nauczycielki, ale z lekka osłupiały dołożył dalszych opowieści i mówił do mamy, że ma nadzieję, iż nikt nie doniesie, bo szkoda by było, gdyby uczniowie stracili taką nauczycielkę. Chyba nikt nie doniósł, a na pewno jej nie straciliśmy. Lata później zabrała ją choroba, a ja niedawno dostałem od jej córki mejla z Meksyku, gdzie żyje, z pytaniem, czy ją pamiętam. Jakże mógłbym zapomnieć? Nie wiem, czy ty pamiętasz, ale jak byłaś w trzeciej klasie, a ja w piątej, to



za zgodą twojej mamy poszliśmy na lody, czyli jakby na randkę. Takich rzeczy się nie zapomina.

Czyli gdzieś od piątej klasy byłem całkiem uświadomiony. W dość specyficzny sposób,

który unaocznę, lekko cofając się w czasie do pierwszej klasy podstawówki. Pani pokazała na planszy jelenia i zapytała nas, kto wie, jak się nazywa to zwierzę. Ja wiedziałem, więc się ochoczo zgłosiłem i powiedziałem, że Lenin. Pani się stropiła i powiedziała, że chyba coś mi się pomieszało, bo to jelen, a wielki Lenin, Włodzimierz Iljicz to człowiek, wódz zwycięskiej

rewolucji październikowej i spoczywa  
w mauzoleum na placu Czerwonym. Na  
co ja buńczucznie, że to pani się myli, bo  
mi tata wyraźnie powiedział, że to z lasu  
to Lenin, a w mauzoleum leży jeleń. I  
jeszcze mówił coś o sareńce-dupeńce,  
tylko nie pamiętam, czy była żoną tego z  
lasu, czy z mauzoleum. W każdym razie  
tata został

wezwany do szkoły w trybie  
natychmiastowym i wyparł się syna  
swego, patrząc głęboko

w oczy wychowawczyni i pochylając się  
troskliwie nad swym z lekka  
niedorozwiniętym

dziecięciem, głaszcząc po główce jak

niepełnosprawnego umysłowo i obiecując, że bardziej się przyłoży do mojej edukacji i wychowania. A w drodze powrotnej kupił mi cukierki w sklepie spożywczym na Smolnej, gdzie dzisiaj jest coś, co się nazywa „Studio

Paznokcia”, i powiedział mi, że ta cała historia była bardzo śmieszna, ale żebym już tego nie powtarzał w szkole. Czy to wtedy zorientowałem się, że inaczej mówi się w domu, a inaczej w miejscach publicznych?

Tata był wezwany jeszcze raz w pierwszej klasie, kiedy jakiś dzieciak rozwalił sobie

głowę o szafkę, krew się lała

strumieniami, a nauczyciele pytali, krzycząc, czy ktoś z nas ma rodzica doktora. Pamiętałem, że chwilę wcześniej była u nas w domu huczna impreza, bo tata został doktorem, więc podniosłem rękę. Zadzwonili po tatę, który przybiegł w te pędy, przerażony, że znowu coś wykombinowałem. A pokazują mu zalanego krwią smyka i mówią:

- Niech pan coś zrobi.
- A co ja niby mam zrobić?
- No przecież jest pan lekarzem.
- Jakim lekarzem?!

– Tak Marcin powiedział.

– Marcin! Chodź no tu!

– No tato, przecież mówiłeś, że jesteś doktorem.

Dodajmy, że chodziło o doktora nauk historycznych, specjalizującego się w historii

Rewolucji Francuskiej. Powiedzmy, że to była mała, podświadoma zemsta za jelenia

w mauzoleum.

Wracając do piątej, szóstej klasy: coraz częściej, kiedy przychodzili przyjaciele

i znajomi rodziców, pozwalano mi na kwadrans, dwa posiedzieć przy stole i posłuchać, o czym rozmawiają dorośli. A bardzo mnie to ciekawiło. No i nadciągały niezwykle czasy:

Sierpień, 15 miesięcy karnawału Solidarności (po latach napiszę pracę magisterską

o postrzeganiu historii przez pierwszą „Solidarność”), stan wojenny, gaz na ulicach,

aresztowani przyjaciele rodziny i studenci ojca z Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, zerwane na lata znajomości.

I jakoś w pierwszych miesiącach stanu wojennego doszło do mego debiutu na łamach

prasy. A było to tak. Któregoś pięknego dnia dowiedzieliśmy się od wychowawczyni, że

cała nasza klasa, wszyscy, jak stoimy czy siedzimy, zostaliśmy zapisani do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Na co wstałem i powiedziałem, że ja się nie zapisywałem i nie mam zamiaru należeć. Wychowawczyni zapytała, czy mam coś przeciw przyjaźni

z ojczyzną światowego proletariatu. Odpowiedziałem, że nie o to chodzi, ale

skoro się nie zapisywałem do TPPR, to niby dlaczego mam należeć, wypraszam sobie, nie chcę i już.

I po powrocie do domu pochwaliłem się rodzicom swym patriotycznym czynem, wywołując

ciche westchnienie rodzicieli, czekających na kolejne wezwanie do szkoły i już w swoim pokoju napisałem list do „Świata Młodych”. Takie delikatne rżnięcie głupa: że przecież przyjaźń rzecz dobrowolna, to dlaczego hurtem i na siłę zapisują wszystkich? I najlepsze jest to, w co ani ja, ani moi rodzice, ani tym bardziej moja wychowawczyni nie mogli uwierzyć: że



list się ukazał. I to w dodatku z komentarzem redakcji, która też ewidentnie leciała w kulki, że oczywiście TPPR to coś wspaniałego, ale jeżeli ktoś nie docenia bogactwa duchowego, jakie oferuje, to nie należy nikogo do niego ciągnąć na siłę. I jakoś temat TPPR w naszej szkole, a przynajmniej klasie, umarł.

W sumie następna przygoda paradiennikarska też była związana ze „Światem

Młodych”, który ogłosił konkurs na opowiadanie, kiedy byłem w ósmej klasie, w 1983

roku. Nie pamiętam, jak był

sformułowany temat, chyba odnosił się do mitologii greckiej, a może tylko tak mi się teraz wydaje, bo napisałem szytą grubymi nićmi opowiastkę w formie listu władcy podziemi Hadesa do gromowładnego Zeusa. Hades skarżył się na

bajzel u siebie, niewdzięcznych lokatorów i prosił o pomoc. Jakby ktoś był sprawny

intelektualnie inaczej i nie zajarzył, że Hades to Jaruzelski, podziemia to Polska, a Zeus to Breżniew, to na wszelki wypadek wyposażyłem Hadesa w czarne okulary przeciwsłoneczne. No wiecie, miałem 14 lat. I najlepsze, że

dostałem jedną z nagród,

drugą albo trzecią. Tyle że „Świat Młodych” wydrukował wszystkie nagrodzone

opowiadania, a nawet wyróżnione, a mojego, nie wiedzieć czemu, nie.

Podobnie zresztą sprawa się miała z maturą z polskiego. Na pisemnej wybrałem temat

„Które konwencje w literaturze i sztuce odpowiadają ci najbardziej i dlaczego?”.

Prawdziwe cudo, można było pisać od serca, co się chce, a ja chciałem pisać

między innymi o wydanych w podziemiu powieściach Tadeusza Konwickiego: *Kompleksie polskim, Małej Apokalipsie i Rzece podziemnej, podziemnych ptakach*. Pewnie gdybym chodził do większości innych liceów, nawet w najbardziej liberalnej Warszawie, nie pozwoliłbym sobie na to. A jak bym sobie pozwolił, to może dla zasady zostałbym uwalony, no bo

przecież oficjalnie te książki nie istniały, równie dobrze mogłem się powoływać na to, co mi opowiedział gwiazdny pył. W gorszym wariancie mogło to zostać uznane za antypaństwową prowokację. Ale to był Rej. Wiem, że doszło do jakichś przepychanek

między moimi nauczycielami i  
wysłannikami kuratorium, ale dostałem  
piątkę, najwyższą

ocenę. A moja szkoła, i tu już zahaczamy  
o zawsze przeze mnie cenione absurd

i surrealizm, zgłosiła moją pracę do  
wówczas bardzo cenionego i  
prestizowego konkursu

prac maturalnych „Życia Warszawy”. I  
jak gdyby nigdy nic dostałem  
wyróżnienie.

A samej pracy oczywiście nie  
wydrukowano. Mimo wszystko to jednak  
był rok 1987.

Wcześniej w Reju (etap: będę  
zawodowym rewolucjonistą)  
redagowałem swoją pierwszą

gazetę. Konkretnie gazetkę ścienną, w  
gablocie z tekstami przepisywanymi  
przeze mnie

na maszynie wieczorami w domu i  
zdjęciami, które robiłem w szkole  
radzieckim aparatem

Zenit. Wszystkie były lekko nieostre, bo  
jeszcze nie wiedziałem, że mam wadę  
wzroku,

a o autofokusie w Zenicie można było  
pomarzyć. Przeżywałem dole i niedole  
redaktora, bo ten i ów obraził się za

podpisy pod zdjęciami albo że wyszedł na nich głupio. No i wkradła się polityka. Zrobiła się afera o tekst o marcu 1968. Profesor Tazbirowa, która była formalnym opiekunem gazetki, powiedziała, że muszę go zdjąć. Próbowałem tłumaczyć,

że to sama prawda historyczna, a ona przecież uczy nas szacunku do prawdy, brnąłem

pięknie. Tazbirowa popatrzyła na mnie tym swoim stalowym spojrzeniem dopełnionym

ironicznym uśmiechem, który można by przetłumaczyć na język mówiony mniej więcej

tak: „Nie chrzań, synku (pani profesor nigdy by tak nie powiedziała, ale sens był

dokładnie taki), dobrze wiesz, że przesadziłeś, teraz pajacujesz”. A powiedziała: „Nie czaruj i zdejmuj”. Prawda też była taka, że kiedy do Reja przychodziłem, ze szkołą żegnał

się jej wieloletni i bardzo lubiany dyrektor Witold Kaliński. Jak wieść wśród uczniów i po Warszawie niosła, za to, że pozwolił uczniom na zrobienie okolicznościowej gazetki z okazji Nobla dla Lecha Wałęsy. Ostatnie, czego bym chciał, to zaszkodzić profesor

Tazbirowej.



A ona pewnie miała w tyle głowy Emila Barchańskiego. Był starszy ode mnie o trzy

lata, chodziliśmy do tej samej podstawówki, w jego niewielkim bloku mieszkali moi

koledzy z klasy, więc się na niego natykałem na podwórku czy po mieszkaniach. Poszedł

do Reja. Na początku stanu wojennego, w marcu 1982 roku został aresztowany

w podziemnej drukarni, gdy drukował książkę Michnika. Ciężkim biciem esbecy zmusili

go do złożenia fałszywych zeznań, które później odwołał. Miał sprawę w sądzie. Kilka dni przed swoimi 17. urodzinami, na początku czerwca 1982 roku pojechał nad Wisłę i zaginął. Wyłowiono go martwego kilka dni później. Wedle wersji oficjalnej kąpał się

i utonął, ale jego matka mówiła, że Emil nienawidził wody. Nie wchodził do niej nawet

nad morzem, nie chodził na basen. A jego zwłoki znaleziono w górę rzeki od miejsca, gdzie miał rzekomo utonąć, czyli musiałby po śmierci popłynąć pod prąd. Nie było o nim tak głośno jak o zamordowanym rok później Grzegorz

Przemyku, ale Rejacy w większości

jego historię znali. Później został uznany za najmłodszą ofiarę stanu wojennego.

Po wielu latach prezydent Lech Kaczyński odznaczy go pośmiertnie Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a jego matka powie: „On się nie bał. Pewnego dnia powiedział, że my należymy do pokolenia przestraszonych, natomiast jego jeszcze nie zdołali przestraszyć”.

Kiedyś razem z kolegami z klasy, Tomkiem Drągowskim (wtedy fan Slayera, Megadeth

i w ogóle thrash metalu, a dzisiaj nobliwy radca prawny) i Ewą Kulabko

(późniejszą

fotoedytorką „Vivy”, a następnie wewnętrzną emigrantką w Beskidzie Niskim)

rozlepialiśmy i rozrzucaliśmy po szkole ulotki „Solidarności”. Ja kleiłem, oni mnie

zabezpieczali. No tyle że zapomnieliśmy o jednym przejściu, z którego wyłoniła się

profesor Drozdowska, przez chwilę dyrektorka szkoły po Kalińskim, a przede wszystkim

sekretarz POP PZPR, czyli Podstawowej

Organizacji Partyjnej Polskiej  
Zjednoczonej

Partii Robotniczej w naszej szkole.  
Zobaczyła mnie, zamarłem, odwróciła  
wzrok, poszła

dalej, nigdy ani pół słowem nie  
nawiązała do tego spotkania. Choć  
rugała wielokrotnie za zwyczajne  
chuliganienie, w rodzaju gonienia się po  
pobliskim skwerze z zaschniętymi psimi  
kupami nadzianymi na patyki. I choć  
wielokrotnie i regularnie później  
pojawiały się w szkole ulotki  
„Solidarności”.

Tuż przed maturą wezwał mnie kolejny  
dyrektor, Janusz Węgiełek, który

próbował

zgrywać czujnego ideowo, ale w sumie nikomu krzywdy nie robił. A wezwał mnie, żeby

postraszyć, że nie zostanę dopuszczony do egzaminu dojrzałości.

– A za co panie dyrektorze?

Naprawdę nie wiedziałem, bo w drugim semestrze klasy maturalnej postanowiłem się

uspokoić pod każdym względem, żeby jednak trochę do egzaminów się pouczyć i na

przykład je zdać.

– Już ty, Meller, nie udawaj. Za chwilę najważniejszy egzamin w twoim życiu, a ty

jakieś głupie prowokacje urządzasz, które mają zaszkodzić sojuszm naszemu państwa!

A ja przez ciebie mam problemy! Chcesz wylecieć tuż przed końcem liceum?

Za cholere nie wiedziałem, o co chodzi, i w tej nieświadomości opuściłem dyrektorski

gabinet, nie wiedząc, czy mnie wyrzucą, czy może zawieszą. Na korytarzu dopadł

mnie

Michał Wójcik, z klasy klasycznej rok  
niżej (późniejszy reporter radia Zet, a  
dzisiaj

naczelnny „Focusa”) i zapytał  
podekscytowany, bowiem jak widać  
wieść, że mnie wezwali

na dywanik już się rozeszła:

– No i co? No i co? Dostało ci się za  
Karmala?

– Jakiego Michał, kurwa, Karmala?

No i się okazało, że Wójcior wraz z  
kolegami z klasy, Markiem Węcowskim



(dzisiaj

profesorem Uniwersytetu  
Warszawskiego i wybitnym historykiem  
starożytnej Grecji)

i Maćkiem Wąsikiem (późniejszym  
wiceszefem Centralnego Biura  
Antykorupcyjnego za

Mariusza Kamińskiego, dzisiaj  
politykiem PiS-u) postanowił  
zaprotestować przeciwko

wizycie w Warszawie Babraka Karmala,  
sowieckiego namiestnika na Afganistan.

A że

Karmal miał jechać pod Grób

Niezanego Żołnierza na tradycyjne  
złożenie wieńców ulicą

Królewską, czyli pod naszym liceum, to  
chłopaki postanowiły wywiesić w oknie

transparent z napisem solidarycą  
„Solidarni z Afganistanem”. Którego  
oczywiście nie

zauważył ani Babrak Karmal, ani w  
ogóle nikt poza ciotką, czyli szkolną  
woźną, która

poleciała do dyrektora, no, a dyrektor  
jak zobaczył tak zwaną szmatę, to miał  
jedno

skojarzenie: Meller. Aha, dodajmy, że

chłopcy powiesili transparent do góry  
nogami. Do matury mnie dopuścili, a  
parę tygodni później dostałem się na  
historię na Uniwersytecie Warszawskim.



# III W KRAINIE CZARÓW

# Charakter

Gdyby tak spróbować wymienić trochę polskich wad narodowych:

warcholstwo,

systematyczny bunt przeciw władzy,  
wieczny lęk przed władzą absolutną,  
ciągle rozłamy

i secesje polityczne, zbyt ufnosc  
wobec obcych i uleganie ich wpływowi,  
nieumiejetnosc wykorzystywania  
zwyciestw. Do tego brak wytrwalosci i  
bohaterstwa na co dzien.

Polakom latwiej umierac niz zyc dla  
Ojczyzny. Lekcewazacy stosunek do

mrówczej pracy

i szarego człowieka. Zła organizacja  
działań. Niedocenianie fachowców i  
zjawisk

ekonomicznych. Swoisty snobizm  
narażania i poświęcania się.  
Patriotyczne bicie piany,

powierzchowność i blaga. Przesadne  
zdawanie się na pomoc Opatrzności.  
Bierna postawa:

jakoś to będzie. W walkach zapał,  
uczucie i morale są przed stroną  
materialną

i techniczną. Wiara w prorocstwa i

wróżby.

No dobrze, zanim ktoś wystuka na klawiaturze komentarz, że przemawia przeze mnie

wrodzony i zwierzęcy antypolonizm, wyrażający się w prymitywnych stereotypach,

maleńka uwaga o pożytkach z posprzątania mieszkania. Otóż stojąc na stanowisku, że

pośpiech jest złym doradcą, właśnie otworzyłem karton spakowany przy przewodzce

bodaj w roku 1998. Myślałem, że leżą w



nim jakieś stare reporterskie notesy, a zostałem zaskoczony kilkoma ciekawymi książkami, które już dawno opłakałem jako pożyczone na wieczne nieoddanie.

Wśród nich wydany w Londynie w roku 1995 cienki tomik *Charakter narodowy Polaków*

*i innych* łódzkiego socjologa Edmunda Lewandowskiego. Szybki żuraw do internetu wykazał, że rok temu ukazało się nowe, rozszerzone wydanie, cały czas dostępne, co poddaję pod rozważenie czytelników, bo rzecz wdzięczna. I to właśnie z książki

Lewandowskiego zaczerpnąłem litanię przywar, ale nie to jest najciekawsze.

Bowiem lista owa pochodzi z artykułu opublikowanego wiosną 1942 roku w „Biuletynie Informacyjnym”, głównym organie Armii Krajowej, największym piśmie Polski

podziemnej. Napisał go najprawdopodobniej Aleksander Kamiński, redaktor naczelny

pisma i autor słynnych *Kamieni na szaniec*.

Więc co złego, to nie ja. Żeby było jasne, Kamiński wymienia też liczne zalety

narodowe, choć na przykład taka, że „Polacy zawsze przyznawali schronienie

prześladowanym w innych krajach” w świetle ostatnich doniesień prasowych o brutalnych

losach uchodźców w Polsce trąci zbyt głęboką ironią. „Tolerancja religijna przy dużej

pobożności” brzmi ładnie i można by podyskutować, jak oba elementy opisu funkcjonują

dzisiaj, bo z „masową i świadczoną honorowo pracą społeczną” chyba za słodko nie jest.

Z kolei zaleta polegająca na tym, że „nigdzie tylu ludzi nie ofiarowało życia państwu”

uświadamia nam, że 70 lat, jakie minęło od opublikowania artykułu, to cała wieczność

i jeszcze trochę.

A gdy spojrzeć na te wady z początku, to jakby czas stanął w miejscu.

Przyglądałem się tej liście i tylko śmigały mi obrazy z telewizora, ulicy i rozmów znajomych czy przypadkowych ludzi w kinie.

Lewandowski cytuje słynnego psychiatrę Antoniego Kępińskiego, który wśród Polaków

wyróżniał dwa przeważające typy osobowości: histeryczny i

psychasteniczny. Pierwszy to polska szlachta, zastaw się, a postaw się, polonez i Somosierra, drugi to polski chłop, uparty, pracowity, twardy i cichy, ale jak się rozeźli, przeraża obrazem Jakuba Szeli. No przecież jakbym otworzył wczorajszą gazetę albo włączył gadające głowy w telewizji, które wałkują to szlachecko-chłopskie rozdarcie, splecenie w polskiej mentalności

i terażniejszości. Co jeszcze ciekawsze, obydwaj typy mają parę cech wspólnych, na

przykład przywiązują ogromną wagę do tego, co inni o nich myślą, nie mają

wyrobionego

zdania o sobie i bardzo potrzebują afirmacji otoczenia. Halo, halo! Brzmi znajomo? Ktoś w norweskiej telewizji powiedział, że coś w Polsce jest nie tak i od razu ogólnopolska histeria, że źle o nas mówią, a potem druga fala hysterii z powodu tej pierwszej, z tym że ta druga obnosi swą dumę w kontraście do kompleksów pierwszej.

Mój egzemplarz Lewandowskiego jest niemiłosiernie pobazgrany. Tu Maurycy

Mochnacki dostrzegający w polskości „pewien element niewieści” (nie on jeden) – nadmiar słabości i miękkości oraz skłonność do plotek i drobnych

intryg, tam Witkacy przywołujący  
znajomego malarza, który na to polskie  
„jakoś to będzie”, „na olaboga” ukuł  
wdzięczne słowo „jebałpiesizm”.

A co mnie rozradowało najbardziej, to  
wymienne używanie terminów „praca” i  
„zabawa”

jeszcze 200 lat temu. Jak pisze  
Lewandowski: „To mylenie pracy z  
zabawą stanowi chyba

ewenement w skali światowej”. I  
pomyśleć, że całe moje życie to  
niezwykle intensywna

praca. Czuję się zbudowany.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2012/46.

## **Sprawa do załatwienia**

Jak co roku w czasie wakacji  
załatwiliśmy Polskę wzdłuż i wszerz.  
Od gór po morze.

Zapaskudzone są nadbałtyckie wydmy,  
parkingi leśne przypominają szamba,  
górskie

doliny mieniają się serpentynami papieru  
toaletowego.

Najpierw kwestia słownictwa rażącego  
być może wrażliwsze uszy. Kathleen  
Meyer,



amerykańska przewodniczka turystyczna, wydała przed laty światowy bestseller pod

tytułem *How to Shit in the Woods*, co należałoby przetłumaczyć „Jak się wysrać w lesie”.

W polskim tłumaczeniu (nakład, niestety, wyczerpany) tytuł zmieniono na:

*Ekologiczna defekacja, czyli Jak się załatwiać, żeby nie załatwić lasu*. Stało się tak na prośbę Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach, który wspomógł finansowo publikację. Jak mówi Stanisław Pisarek, właściciel wydawnictwa

Stapis, ujęło go typowo amerykańskie,  
praktyczne i okraszone poczuciem  
humoru

podejście do problemu. Poza tym jako  
alpinista doceniał wagę problemu  
defekacji

terenowej, która nie szkodziłaby  
środowisku i powszechnym kanonom  
estetyki.

Według Meyer słowa „mocz”,  
„defekacja”, „wypróżnienie” czy  
„stolec” mają konotacje

jednoznacznie szpitalne. „Łazienka i  
toaleta są eufemizmami i nie pasują tam,  
gdzie ich faktycznie nie ma, podobnie

wygódka czy szaleć”. Ktoś, kto obejrzał poturystyczne pozostałości, rzadko użyje innego słowa niż gównno.

## **Mazurskie wstęgi dróg**

Sierpniowa wyprawa na Mazury to był horror. Przewodnik po najlepszych trasach

rowerowych poleca wycieczkę z Rucianego-Nidy do Wierzby wzdłuż wschodniego brzegu

pięknego jeziora Bełdany. Wspaniałe, leśne ostępy, dzika przyroda rezerwatu konika

polskiego. Może to i prawda wczesną

wiosną. U schyłku wakacji brzeg jeziora jest jedną wielką kloaką.

Za przystanią żeglarską w Piaskach szlak wiedzie ścieżkami wzdłuż stromej skarpy:

brązowo-biały tor przeszkód, wstęgi idą prosto, zapętłają się, krzyżują niczym jakieś

absurdalne oznaczenie kolarskiego krosu. Od smrodu – bogatej kombinacji moczu, kału

i śmieci – aż mdli. Zafajdane jest wszystko, metodycznie i skutecznie: kępki trawy,

jagodowe krzaczki, mech. Nie darowali nawet ścieżkom. Pewnie dlatego, że kucając na

nich, nie ryzykuje się dotknięcia pokrzywy, która skrzywdziłaby pośladki. Kiedy już na skarpie zabrakło wolnego miejsca, turystyczne gówno ruszyło dalej w las.

– Niedługo brzegi mazurskich jezior będzie można oglądać tylko z helikoptera –

uśmiecha się gorzko Henryk Janus, zastępca nadleśniczego Nadleśnictwa Maskulińskiego,

na którego terenie leży większość lasów

otaczających Bełdany.

W starostwie powiatowym w Piszcu, na którego terenie znajdują się Bełdany, mówią (po

wstępnym chichocie; ten temat prawie zawsze wywołuje chichot), że to nie ich

kompetencje, że musieliby mieć 150 pracowników, żeby zająć się śmierdzącym

problemem. Odsyłają do sanepidu. W powiatowej stacji również twierdzą, że to nie ich

działka. Zajmują się lokalami gastronomicznymi, ośrodkami

wczasowymi, oficjalnymi

polami namiotowymi. Mogą prosić urząd miasta i gminy o rozwiązanie problemu bądź

przekazać sygnały, jeśli ktoś je zgłosi. To problem na granicy kompetencji urzędu

i nadleśnictwa, uważają.

Henryk Janus, zastępca nadleśniczego, podkreśla, że od dzierżawców pól namiotowych

Lasy wymagają utrzymania czystości i higieny. A te nadjeziorne ścieżki? Gospodarzem

terenu są Lasy, a właścicielem gmina.  
Więc kto miałby sprzątać po turystach?  
Lasom

brakuje ludzi. A nawet gdyby się  
znaleźli, to wysypisko miejskie żąda  
opłat, a Lasy nie chcą dopłacać do  
utrzymania porządku na gminnych  
terenach.

– Problem jest – przyznaje Jan Paweł  
Skulmowski, burmistrz Rucianego,  
którego

gmina sięga nad Bełdany. – Nie bardzo  
wiadomo, kto ma się tym zajmować. W  
Polsce

w ogóle nie jest to uregulowane. W



Niemczech byłoby niedopuszczalne.  
Istnieje tam

system odbioru fekaliów z łódek, nie do  
pomyślenia jest, żeby załatwiać te  
sprawy na

dziko. Tak naprawdę nie mamy żadnego  
wpływu. Nie możemy ściągać opłat od  
żeglarzy

czy kajakarzy i przeznaczyć tych  
pieniędzy na sprzątanie po nich. A że  
żądamy opłat za korzystanie z  
wysypiska? Kiedy jesienią odbywa się  
akcja Sprzątanie Świata, nie bierzemy  
od Lasów ani grosza. Nie wszystko  
może być za darmo. Jesteśmy biedną  
gminą.

## **Toaletowa metamorfoza?**

Kathleen Meyer opisywała, jak nieomal „kompletnie zasrano” Wielki Kanion.

Potrzeba

było radykalnych kroków. Spływający rzeką Kolorado muszą teraz zaopatrzyć się

w specjalne pojemniki. Meyer w ogóle uważa, że w szczególnie uczęszczanych przez

turystów miejscach najlepszym rozwiązaniem jest „wynoszenie tego, co się ze sobą

przyniosło i na miejscu zrobiło”.

Stanisław Czubaj, zastępca dyrektora  
Tatrzańskiego

Parku Narodowego, pamięta, że kiedy  
czytał książkę Meyer, najpierw go  
zadziwiła,

a potem doszedł do wniosku, że  
reprezentuje ona obcy jeszcze Polsce  
poziom

cywilizacyjny. Uważa jednak, że nawyki  
cywilizacyjne powoli do Polski  
przychodzą. Mówi wręcz o toaletowej  
metamorfozie: – W 1996 roku po raz  
pierwszy wprowadzono w TPN

ubikacje kontenerowe, po trzech dniach  
zbierano ich szczątki – sprzęt był

zupełnie

zdeprawiony. Trudne było to dla mnie do zrozumienia. Dzisiaj na terenie Parku stoi 60

kabin, również dla niepełnosprawnych, a turyści ustawiają się wręcz w kolejkach.

Czy byłoby w takim razie lepiej, gdyby wszędzie było więcej szaletów? Anna

Zbrojkiewicz, dyrektor powiatowej stacji sanepidu w Sandomierzu, zauważa, że nie

można przecież postawić szaletów na łąkach i w lasach, chyba że

zorganizowano na nich

zbiorowy wypoczynek i istnienia szaletu wymagają przepisy.

Ryszard Głuchowski, właściciel firmy TOI-TOI, systemy sanitarne, od dziewięciu lat

wynajmuje plastikowe kabiny. Zaczynał od dwudziestu, dzisiaj ma ich 10 tysięcy.

Imponujący wzrost, który jednak zatrzymał się trzy lata temu. Na dodatek to, że są

wynajmowane od Głuchowskiego, nie oznacza jeszcze, że są wykorzystywane. Na

przykład bary piwne przepisami są  
zmuszone, by toalety mieć, lecz  
niekoniecznie muszą

je udostępniać. Można to sprawdzić w  
Warszawie nad Wisłą w tzw. miasteczku  
piwnym.

Toi-toie są zamknięte na klucz.  
Wychodzi taniej. Wynajmujący  
oszczędzają na serwisie,

czyli na czyszczeniu i wywózce.  
Oszczędza się również na liczbie kabin.  
Według

Głuchowskiego na polu namiotowym,  
gdzie koczuje przeciętnie 30 osób,  
powinny być

przynajmniej trzy kabiny (ludzie ruszają zazwyczaj gromadnie rano i wieczorem). Trudno w Polsce znaleźć pole o tak komfortowych proporcjach. Podczas tegorocznej mszy papieskiej na krakowskich Błoniach do dyspozycji 2,5 mln pielgrzymów oddano 500 kabin.

Według Głuchowskiego powinno być minimum trzykrotnie więcej. W 1999 roku podczas

mszy w Sopocie, która zgromadziła 800 tysięcy ludzi, postawiono 1,2 tysiąca toi-toiów.

Janina Sarara z częstochowskiego sanepidu uważa, że tradycyjne pielgrzymki na Jasną

Górze są teraz lepiej zorganizowane,  
mniej śmiecią i zanieczyszczają. Kiedyś  
brakowało

ludzi do sprzątnięcia, a odpadki wrastały  
w ziemię. W zeszłym roku na polu  
biwakowym

były dobrze wyposażone i zadbane  
szalety. Ale część pielgrzymów wolała  
chodzić do lasu, byle tylko nie płacić. –  
Widok był straszny. Urząd miasta musiał  
wynająć firmę sprzątającą. Ludzie w  
kombinezonach, rękawiczkach, ze  
specjalnymi szpikulcami

sprzątali te bomby z zarazkami.

Barbara Tumińska wraz z mężem



Markiem prowadzi na Mazurach  
przystań Pod

Dębem. W zeszłym roku dostali nagrodę  
pisma „Żagle” dla najsympatyczniejszej

przystani. Mówi, że niektóre szalety na  
polach biwakowych są w takim stanie,  
że po

prostu strach wejść, i nic dziwnego, że  
ludzie załatwiają się obok. Ale u niej  
sanitariaty są czyste i regularnie  
sprzątane, a i tak tuż za płotem ciągle  
pojawiają się śmierdzące serdele.

Powód? Za skorzystanie z ustępu trzeba  
zapłacić złotówkę. Polak potrafi.

Przychodzi grupa, wrzuca jedną monetę i

potem blokują wejście rolką papieru  
albo

szczotką klozetową. To jeszcze pani  
Barbara jest w stanie zrozumieć. Wolą  
wydać na piwo zamiast na kupę. Ale nie  
jest w stanie pojąć, po co komu  
dewastowanie toalet: podpalanie  
zamków, drzwi, łamanie desek  
klozetowych, gruchotanie muszli i  
wreszcie smarowanie odchodami  
wszystkiego, z podłogą i ścianami  
włącznie.

Chytróść Polaka na każdą złotówkę  
potwierdza Elżbieta Pawlikowska ze  
schroniska

Murowaniec na Hali Gąsienicowej w

Tatrach, chociaż zaznacza, że większy problem

stanowią śmieci niż fekalia. – Gdyby w słowackie Tatry jeździło więcej Polaków, to na

pewno wyglądałyby tak jak polskie.

Jak podkreśla Głuchowski, ani skąpstwem, ani brakiem zdolności przewidywania nie da

się wytłumaczyć faktu, że – głównie na imprezach zakrapianych alkoholem – w kabinach

można znaleźć kał w pisuarach bądź na suficie. – To kwestia poziomu

cywilizacyjnego, na jakim się znajdujemy. Co najmniej o trzy gałęzie za nisko.

Dlatego na przykład na hiszpańskiej Majorce można zobaczyć napisy po polsku:

„Prosimy nie sikać do basenu”.

## **Polskie piekło dla nosa**

Niewiele ponad sto lat temu kronikarz pisał, że „Warszawa była piekłem dla każdego

nosa, który się w niej nie urodził”.

Ustępy umieszczano w najbrudniejszym

i najciemniejszym kącie podwórza.  
Stróż sprzątał je nie częściej niż raz na miesiąc.

W latach 80. XIX wieku „Kurier Warszawski”, opisując, jak naturalne potrzeby

załatwiano „na ulicach bez żenady”, zauważał, że wszelkie działania policji zmierzające do egzekwowania przepisów o wywozie nieczystości nie przyniosą skutku z powodu opieszałości i niechlujności właścicieli domów i lokatorów. Nawet Bolesław Prus, wielki zwolennik kanalizacji miasta (przeciwko której protestowali kamienicznicy, bojąc się kosztów), był

sceptyczny wobec przedwczesnych projektów budowania szaletów

publicznych (istniał jeden w 400-tysięcznym mieście). Uważał, że ich funkcję

z powodzeniem spełniają bramy kamienic.

Na pocieszenie można przytoczyć podobne opowieści z całej Europy. Jeszcze na

początku XIX wieku płynąca przez Londyn Tamiza niosła takie ilości rozkładających się

ekskrementów, że bijący z wody smród

zmuszał brytyjski parlament do odbywania sesji

wcześnie rano, zanim nad rzeką rozejdzie się unoszona rozgrzanym powietrzem

odrażająca woń. Historyk, prof. Antoni Mączak, odnalazł o półtora wieku wcześniejszą

relację angielskiego dworzanina o zwyczajach mieszkańców Madrytu. „Nocą wracałem do

naszej gospody, gdzie po drodze tak wiele rzeczy opróżniano na ulicę, że niemal nas to zatręło. Jest zwykłym obyczajem, że o 11 w nocy każdy te

rzeczy wylewa na ulice, a następnego dnia wszystko tak wysycha, jakby tej rzeczy całkiem nie było. Pragnęliśmy wiedzieć, jak można znosić ten bydlęcy zwyczaj; mówili, że jest to zalecane przez lekarzy, bowiem powietrze jest tu tak delikatne, że taki sposób psucia złymi wyziewami utrzymuje je w równowadze. Fakt, nie znają tu zarazy!”.

## **Złapać defekanta**

Wydaje się, że Polska wciąż pozostaje na etapie takich rozważań. Łącznie, a nawet na

czele ze stolicą. Wystarczy przejechać się wieczorem wzdłuż warszawskich



nadwiślańskich barów piwnych; przed  
toi-toiami stoją w przeważającej mierze  
kobiety.

Panowie kibel mają wszędzie. A i w  
biały dzień, w centrum widok sikającego  
pod ścianą

mężczyzny, niekoniecznie pijanego, nie  
należy do rzadkości. Sika się w  
autobusach

miejskich, widziano panią w średnim  
wieku, która około godziny 15 na  
reprezentacyjnym

Krakowskim Przedmieściu w  
Warszawie, w tłumie przechodniów  
przykucnęła i zrobiła

kupe.

Ale problem nie dotyczy tylko  
specyficznego marginesu. Wieczorem  
brzegi mazurskich

jezior utkane są łódkami, nieraz  
kosztownymi, w większości cumującymi  
na dziko, co

krok płoną zabronione ogniska. – Ci  
sami ludzie odchodzą od ogniska, robią  
w ciemności kupa, a następnego dnia  
płyną na drugi brzeg i w krzyk: ojejku,  
wszystko zafajdane! – mówią Tekla i  
Marcin Żurkowscy, trzydziestolatkowie  
z Warszawy osiadli w Onufryjewie

nad Bełdanami. On jest leśniczym w

wydzielonym leśnictwie  
doświadczalnym Polskiej

Akademii Nauk w Popielnie, ona  
prowadzi badania naukowe. – Jednak  
prawda jest taka,

że kupy, choć bardzo widoczne i  
uciążliwe, są dużo mniej szkodliwe niż  
śmieci. W tym

roku akurat problem bardziej daje się  
we znaki, bo prawie nie padało.

Normalnie deszcze rozmywają odchody  
i jeśli nie są zbyt blisko wody, to są po  
prostu zwykłym nawozem, jagódki  
ładniej rosną. Przy ogniskach 80 procent  
biwakowiczów jest nawalonych i rzuca  
co popadnie za siebie, do lasu. Trzeźwi

pakują śmieci w plastikowe worki, które kulturalnie zostawiają pod drzewem. Odpływają, wtedy przychodzą zwierzęta, rozszarpują worki i roznoszą śmieci po całym lesie.

Żurkowski mówi, że nie sposób złapać kogoś na wyrzucaniu śmieci, o pozostawieniu

niezakopanej kupy nie wspominając. Poza tym, co miałby zrobić ten smukłej postury

leśniczy o wyglądzie klasycznego inteligenta w zetknięciu z defekującym młodzieńcem

o rozrośniętym karku? Jesienią po

sezonie leśniczy z pięciu kilometrów  
podległego mu

brzegu wywozi trzy, cztery przyczepy  
ciągnikowe śmieci.

Henryk Janus z Nadleśnictwa  
Maskulińskiego już 10 lat temu  
alarmował władze, że

trzeba wprowadzić zakazy dzikiego  
cumowania jachtów, a w zamian  
stworzyć

infrastrukturę przystani, pomostów,  
system odbioru ścieków. Minęło 10 lat i  
w zasadzie niewiele się zmieniło. – Ja  
rozumiem, że miło jest biwakować na  
dziko, ale Wielkie Jeziora po prostu tego

dłużej nie zniosą. Przekroczony został punkt krytyczny.

Zgadza się z nim Maciej Grójec, prezes TKKF Korektywa w Piaskach nad Bełdanami,

zarządzającego jedną z większych przystani żeglarskich na Mazurach. – Na Wielkich

Jeziorach jest kilkanaście tysięcy jachtów, z tego 2–3 tysiące dużych z toaletami, często chemicznymi. Ale nie ma systemu odbioru tego, co załogi naprodukują, i wszystko trafia do wody lub na brzeg.

Dziś na ulubione przez wędkarzy

mazurskie wyspy bez kaloszy lepiej nie wchodzić.

Zdarzają się spontaniczni wolontariusze, a może po prostu ludzie zdesperowani, którzy

zakopują cudze odchody, ale jest to praca syzyfowa. Na miejsce jednej zakopanej kupy

pojawiają się trzy nowe.

# Szkolenie saperskie

Żurkowski obserwuje regułę: kiedy sprząta teren jesienią, po biwakach Niemców,

w ogóle przybyszy z Zachodu, nie zostanie nawet jeden papierek. Grzegorz Wagner,

dyrektor Mazurskiego Parku Krajobrazowego, potwierdza: – U Niemców, nawet jak się

rozbiją na dziko, pośrodku obozowiska stoi wbity palik, a na nim saperka.

Ewa, plastyczka, od 25 lat pływa po



Mazurach. Niedawno, mimo daleko  
posuniętej

ostrożności, wlaźła na brzegu w czyjaś  
kupa, mało jej szlag nie trafił. Kiedy  
dopłynęła rozjuszona do Mikołajek,  
rzuciła w kłębiący się żeglarski tłumek:  
kto z was ma saperkę?

Podniosły się dwie ręce.

Krzysztof Stańczyk na co dzień wykłada  
na Politechnice Łódzkiej i od siedmiu  
lat

prowadzi rejsy szkoleniowe na  
Mazurach. Zanim jego młodzi  
podopieczni w ogóle dotkną

łódki, przechodzą instruktaż: do czego w terenie służy saperka. Że na uchwycie można

sobie zawiesić rolkę papieru, a po wykopaniu niewielkiego dołka (zawsze przed!) wbita

w ziemię łopatką lepiej będzie służyć za podpórkę niż krzaczek bądź, nie daj Boże, złapana w krytycznym momencie pokrzywa. – Na początku zawsze jest hi, hi, hi, ha, ha, ha, ale stosują się do zaleceń. Jak się do młodych trafi, to poważnie traktują problem. A jeśli zobaczę, że któryś wraca z lasu z papierem w ręku, ale bez saperki, to mówię: wracasz, kolego, kopać.

Krzysztof Stańczyk uważa, że przydałaby się natrętna dydaktyka na wzór

amerykański: w serialach młodzieżowych, w telenowelach, w sitcomach. – Trzeba

ośmieszać takie zachowania. Bo w sumie rzadko spotyka się takiego przekornego chama,

który i tak swoje zrobi, nawet jak mu zwrócić uwagę. Trzeba wytykać palcem. Kiedy się

z Polaka pokpi i go wyszydzi, może to na nim zrobić wrażenie.

Tekla Żurkowska jest sceptyczna: – Jeśli

się w domu człowiek nie nauczy, gdzie i jak

robić kupę, to potem niewiele pomoże.  
Może jednak trzeba wieszać  
transparenty na

wszystkich brzegach: Ludzie! Nie róbcie  
kupy na brzegu! A jak zrobicie, to  
zakopcie!

A tak w ogóle to defekacja oznacza  
oczyszczenie.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Polityce” 2002/36.

**Kto nie stoi, ten siedzi**

Niby stanowią margines, ale bardzo istotny: tylko o krok od podziemia i mafii. Mało kto ich lubi, bo zazwyczaj kojarzą się z brutalnością, chamstwem, przemocą. Napompowane sterydami karki i tyle. Oni sami mało się przejmują tym, czy wzbudzają sympatię. Bo

lubią siebie. Bo mają swój świat. Świat dyskotekowych, klubowych, koncertowych

bramkarzy.

Wciąga kumpel z podwórka. Z sąsiedniej klatki. Z siłowni. Z treningu sportów walki.

Samemu raczej trudno się wkręcić.

Lepiej wykazać się na sali  
gimnastycznej, w końcu

ktoś zaproponuje. Ale można też bić się  
często i ładnie w lokalu. Ambicja i  
konsekwencja zostaną dostrzeżone.

W tym fachu jest duża rotacja. Rok, dwa  
i człowieka nie ma. Pieniądze mogą  
szybko

zdemoralizować, bo młodzi ludzie  
dostają je za coś, co ich kręci. Ci, co  
lubią bić, biją, nikt im słowa nie powie i  
jeszcze zapłacą. Czują się kimś ważnym,  
więc kolejnym logicznym krokiem jest  
pójście w świat przestępczy z całą  
grupą. W ściąganie długów albo handel

narkotykami. – Długi są śliskie tak samo jak narkotyki. Odradzam – mówi szef grupy

bramkarzy. – Ale jak który z chłopaków w to jedzie, to na własną rękę. Ale tak być nie musi. Wielu chłopaków stoi, bo chcą po prostu dorobić. I nie przechodzą na drugą stronę prawa.

Nieliczni znajdują po bramkarskiej przeszłości normalną pracę, otwierają jakiś mały

lokalik, rzadko udaje się komuś zorganizować ochronę z prawdziwego zdarzenia

w porządnym lokalu. Sami mówią, że

jeśli ktoś nie stoi na bramce, to całkiem możliwe, że już siedzi.



# Kultura fizyczna

– Trenowałem wschodnie sztuki walki, zauważyli mnie. Zaproponowali bramkę

w klubie studenckim – opowiada Andrzej, 30-latek, osiem lat na bramce, konflikt

z prawem. Bardziej przez lekkomyślność niż ze złej woli dał się wciągnąć w próbę

wyłudzenia. Udało mu się wykaraskać. Odszedł. Skończył studia, założył rodzinę, podjął

normalną pracę. Umysłową. Przy

nowych znajomych nie rozwodzi się nad swoją kolorową

przeszłością. Podobnie jego przyjaciel Janusz. Nawet gdy się spotykają, rozmawiają

o teraźniejszości i przyszłości, o karierze i wyrzynaniu się ząbków dzieci. Dopiero

obecność osoby z zewnątrz budzi wspomnienia. Nakręca. Wywołuje salwy śmiechu.

– A pamiętasz, jak przyszedł ten starszy Polak z zagranicy i zaczął nas chwalić, jak

dobrze pracujemy?

– No pewnie! Co za jaja! Facet  
wyszukaną polszczyzną nam kadzi, a  
Duży Maniek ni

w pięć, ni w dziesięć wyjeżdża mu w  
ryja. Gość pada nieprzytomny. Bo  
Maniek, który

miał mnóstwo mięśni i dwa zwoje  
mózgowe, nie zrozumiał  
skomplikowanego przekazu

i uznał, że dziadek sobie z nas kpi. No to  
zareagował po swojemu.

– Bo to bokser był. Bokserzy to jednak  
straszne ciołki. Oni najszybciej idą w

sterydy, narkotyki.

Maniek dostał skądś niemieckie pismo dla kulturystów. Niemieckim wprowadzenie

władał, ale redakcja drukowała fotografie najbardziej niebezpiecznych dla zdrowia

specyfików, przekreślając je dwiema czerwonymi kreskami. Była to nieoceniona pomoc dla Mańka i bliskich mu intelektem kolegów. Sumiennie spisywał wszystkie nazwy i konsekwentnie próbował je potem kupić. Z dużym powodzeniem.

Andrzej: – Moja złota rada: jeżeli

widzisz na bramce anabola, który popija alkohol, to uciekaj jak najszybciej. Już te wszystkie sterydy poniszczyły im mózgi, a dodany alkohol wywołuje ogromną agresję. Dostają świra. I nie czują bólu. Pod koniec imprezy, gdy zaczynają popijać, idzie na dym. Chodzą po sali i wyszukują, komu by wlać. Pretekst

zawsze się znajdzie. A jak zaczną bić, to nie myślą. Nakręcają się. Ze sterydami przyszły narkotyki. Niektórzy stosują amfę jako świetny środek pobudzający przed treningiem.

Biorą również do pracy. Raport „Polityki” o sterydach to nic w porównaniu z tym, co

wiedzą te ówki. Ale większość ludzi, z którymi staliśmy, wspominam niemal czule. Dla

siebie wzajemnie byli do rany przyłoż.

## **Dobra materialne i wartości rodzinne**

Po co zostaje się bramkarzem? Dla każdego coś miłego. Można się wyżyć. Jak ktoś

naprawdę lubi się bić, to lepiej trafić nie może. Oczywiście wszystko zależy od lokalu.

W jednym człowiek miesiąc stać będzie i nic, a w drugim codziennie solidne mordobicie.

Można odreagować kompleksy. Poczuc  
władzę. I zapach wielkiego świata.  
Zobaczyć

znanych ludzi. Albo przynajmniej  
bogaty. Poznać ich. Pogadać. Bawić  
się. Pić. Wyróżnić się. Być w grupie. W  
silnej grupie. Jak się ma 17–19 lat,  
kielbie we łbie, to może zaszumieć. Jest  
kasa. Dziś już nie taka jak przed paru  
laty, kiedy za lewe bilety można było  
sobie pańsko żyć. Teraz często trzeba  
szukać drugiej, dziennej roboty. Ale  
jakaś kasa jest. A jak ktoś handluje  
anabolami, to pieniądze są większe niż z  
dragów. Zresztą dziś można błysnąć już  
tym, że się ma stałą robotę.

No i są kobiety. Te niedostępne, na które można sobie popatrzeć, uśmiechnąć się, wyobrazić sobie, tylko wyobrazić to i owo. I cichodajki, prosty hebel. Dla nich tydzień jest po to, żeby nadszedł weekend. Wkładają zarobiony za gówniane pensje reprezentacyjny ciuch i na kilka godzin są królowymi nocy. Dwa drinki i lądują w łóżku bramkarza. Albo na zapleczu. Jak miejsce jest oblegane, to robią laskę za darmowe wejście do klubu. Albo full service. Dla chłopaków, co tak lubią, bramka to raj.

## **Bezpieczeństwo i higiena pracy**

Najpierw Andrzej i Janusz stali w klubie studenckim. Jako najmłodszy



musieli się

sprawdzać w bójkach, które tam regularnie wybuchały. Najgorsi byli goście – sportowcy.

Uważali, że skoro trenują zapasy lub boks, to nie ma na nich mocnych, zwłaszcza

w klubie studenckim. Celowali w Janusza, bo był nieduży jak na bramkarza: – Tylko że

taki jełop zamachnie się i myśli, że ja zareaguję podobnie. Nie spodziewa się, że najpierw kopnę go w łydkę, a zaraz potem dostanie kolaniem w jaja i palcem w oko. I jest załatwiony. Ale generalnie,

tam gdzie chodzą dzieciaki, na wielkich dyskotekach, powinni stać koleś, którzy potrafią przestraszyć własnym wyglądem.

Bramkarz X: – W mieście stacjonowały czerwone berety. Co parę miesięcy miałem coś

połamanego: rękę, nogę, przestawioną szczękę. Ale nie skarżyłem się. Stałem z fajnymi

chłopakami, biliśmy się razem, nawet jak nas było pięciu, a żołnierzy dwudziestu.

Bramkarze chronią lokale głównie przed przestępcami. Ale teraz do nowo

otwieranych

klubów, nastawionych na ludzi nowych zawodów, spragnieni haraczy już tak chętnie nie

przychodzą, już nie te czasy. Na wymuszeniach łatwo wpaść, a są inne bardziej

dochodowe dziedziny działalności.

Bandyci doszli do wniosku, że pieniądz lubi ciszę

i spokój. Kłopoty przychodzą do tych właścicieli lokali, którzy o nie proszą: wchodzą

w narkotyki, prostytutkę, dziwne

pożyczki, chcą skorzystać z usług korporacji

taksówkowych, które proponują promocyjny system monitoringu lokalu, a zaraz potem

promocyjne damy i prochy.

Teraz najgorsze są małolaty z bloków. Gdy się napiją i wciągną to i owo do nosa, chcą

sprawdzić się na mieście.

Szef ochrony w modnym klubie: – Jak się zjawia beemka pełna napakowanych koleśi,

nie ma co iść na rozwiązanie siłowe, bo nawet jak się uda, to wrócą w dziesięć

samochodów. Liczą się zdolności negocjacyjne, perswazja. Moi chłopcy mają przede

wszystkim sprawnie poruszać głową, a dopiero potem mięśniami.

W zasadzie bramkarz powinien mieć predyspozycje psychologa, wzbudzać zaufanie

i podświadomie gwarantować bezpieczeństwo. Jest recesja, a jednocześnie coraz więcej

lokali i coraz bardziej wymagający

klienci: jeśli raz się sparzą, nie wrócą,  
ostrzegą

znajomych. I takich bramek jest coraz  
więcej. Ich szefowie, weterani  
wściekłych lat 90., wyciągnęli wnioski z  
własnych doświadczeń i teraz uczą  
innych, by dla gości byli gwarancją  
spokoju, a nie źródłem zagrożenia.  
Uśmiech, spokój zamiast pięści.

Menedżer lokalu: – Wjazdy (tzn. gdy  
grupa siłą wchodzi do lokalu, zazwyczaj  
przy

okazji go demolując, najczęściej, by  
przejąć tak zwaną ochronę lokalu,  
nastraszyć

konkurencję) oczywiście nadal się zdarzają, ale to już nie to, co dawniej.

Policja

i prokuratura powsadzały mnóstwo ludzi.

Szef dużej grupy bramkarzy: – Kiedyś musieliśmy sobie z konkurencyjną grupą ręcznie

tłumaczyć, czyja jest pewna dyskoteka. Teraz to bardziej zależy od właściciela, sam

wybiera ochronę, jest kulturalniej.

Andrzej i Janusz: – Zakłóca spokój nie ten, co zakłóca, tylko słabszy, bo łatwiej

się go pozbyć. Jak kilku bandytów lało studenta, który przyszedł się pobawić z dziewczyną, to wywalaliśmy studenta. Wtedy z tamtymi był spokój.

Wyjątkowo rzadko sprawy o pobicie przez bramkarzy lądują w sądzie. Mówią, że

uważać trzeba tylko na dzieciaki z dobrych domów. Ale zasadniczo z bramkarzem nikt nie wygra. Nie dyskutuje się z bramkarzem. Kiedy klient jest pijany, to choćby był nie wiadomo kim, i tak jest na przegranej pozycji.

W lokalach rozrywkowych pracują zwykle na lewo, jeden z ekipy jest zatrudniony



z dopełnieniem wszelkich formalności.  
Gdyby ktoś pytał – reszta to koledzy,  
którzy

przyszli w odwiedzinach. Lokal bywa  
czymś w rodzaju pośredniaka prac  
zleconych. Mówią,

że są lepsi od komorników. – Pewnemu  
człowiekowi skradziono samochód.  
Policja nie była w stanie nic poradzić.  
Poszkodowany zwrócił się do nas.  
Szybko namierzyliśmy sprawców.

Poprosiliśmy grzecznie, żeby w ciągu 24  
godzin zwrócili auto, bo porozmawiamy  
niegrzecznie. Zwrócili.

Co to znaczy rozmawiać grzecznie? –  
Zapakowaliśmy ich do bagażnika,  
wywieźliśmy do

lasu, kazaliśmy zdjąć spodnie, dostali  
kopa w dupę i wracali na piechotę bez  
gaci. Żeby odzyskać dla klienta  
należności, nie trzeba szaleć, wystarczy  
wypłacić plaskacza. To działa. Co to  
jest plaskacz? No, raz z otwartej. Moi  
chłopcy mają duże dłonie. Naprawdę  
działa. Rzecz nie dotyczy tylko  
pieniędzy. Przypuśćmy, że ktoś sprawił  
panu przykrość.

Pan jest człowiekiem kulturalnym,  
pracuje głową, w pewne rzeczy nie  
może się pan

angażować. Więc zwraca się pan do nas i my w pana imieniu wypłacamy plaskacza.

Bramkarze zapewniają osobistą ochronę wielu szanowanym osobom. Nawet dzieci do

szkoły odwożą.

– Owszem, są firmy ochroniarskie, ale to pedały. Bogaci ludzie wolą nas – utrzymuje

zwierzchnik dużej grupy bramkarzy, której zdarzyło się zlecenie następujące: senatora

zawieźć do agencji, zamknąć całą,

obstawić, aż się człowiek wybawi.

Szef dużej grupy: – Takie epizody zdarzają się jednak stosunkowo rzadko, częściej

chodzi o porachunki wewnątrz branży. Jedna taka bramka na naszym terenie trochę się

niegrzecznie zachowuje. Poprzestawiało się chłopcom w główkach. No więc idziemy

w sobotę. Żadnej siły. Kupimy bilety i będziemy sobie chodzić. Kogoś oblejemy, kogoś

oplujemy, wszystko grzecznie. Powinni

zrozumieć. Bo będzie nas stu.

# Etyka zawodowa

Istnieje coś takiego jak honor bramkarza.  
Nie można popuścić zniewagi.

Porachunki

trzeba załatwić, bo inaczej straci się  
prestizż u kolegów. Trzeba pomagać  
kolegom

z bramki. I ich kolegom. Więc jak  
proszą, żeby jechać, to się jedzie, bo  
inni nie pojedą, gdy ty będziesz  
potrzebował.

Bramkarz X: – Kiedyś zwolnił mnie  
właściciel lokalu, po prostu interes mu  
nie szedł,

nie stać było go na ochronę. A moi koledzy myśleli, że mi krzywdę zrobił, nawet się mnie nie spytali, tylko mu połamali nogi. Chcieli dobrze, ładnie się zachować wobec kolegi, ale szkoda faceta. Nie był taki zły.

Najgorsza jest zdrada. Kiedyś doszło do bójki pijanych bramkarzy z pijanymi

policjantami, bramkarze poszli siedzieć. Koledzy na wolności podejrzewali jednego spośród siebie o zdradę. – Dotarliśmy do zeznań i okazało się, że faktycznie gad sprzedał.

Pojechaliśmy do niego, pokazaliśmy, że utopił kolegów, dostał mocne lanie. Jak się

dowiemy, że poszedł do konkurencji, to ich ostrzeżemy.

**Na straży prawa**

**Na straży prawa**

Policjanci stoją na bramkach nielegalnie, ale to dobrze chronione lokale. No i nie ma

tam narkotyków. Z kolei dla wielu bramkarzy bramka to droga do policji.

Policjant, trenował sporty walki, stał na bramce przed wstąpieniem do służby: – Parę

lat czekałem na pracę w policji, kryłem



się, nie mówiłem kolegom z bramki, wiedziałem, że za bardzo by się to im nie spodobało.

Generalnie w tym środowisku policji się nie lubi. Nawet jak ktoś jest czysty – nie

wchodzi w działalność przestępczą – będzie szanował bandytę, gangstera, ale nie

policjanta. Policjant: – Kiedyś przyszedłem na siłownię, znajomi wiedzieli już, że pracuję w policji, ale wszystko spoko, cześć, cześć. No i widzę w szatni na ławce torebkę z amfą, a pracowałem już wtedy w prochach. Chwilę się zastanawiałem i odwróciłem wzrok, byłem tam prywatnie. Jakbym w

czasie akcji wpadł na dawnych kumpli z bramki, nie

wahałbym się ani chwili. Zresztą oni też nie. Przetrwa ten, kto przetrwa. Taki świat.

Handel narkotykami stał się zbyt ryzykowny. Toteż bramkarze rzadko robią to sami,

raczej przymykają oczy, gdy ktoś inny handluje, i to też raczej nie w klubie, ale na

parkingu na przykład. Biorą za to pieniądze, ostrzegają przed policją, czasem coś

przechowają. Kto jest kim i z kim w tej grze, trudno czasem rozpoznać.

Bramkarz: – Na dyskotekach policjanci i złodzieje piją razem. Jedna paczka.

Właściciel siłowni: – Na mojej siłowni ćwiczą antyterrorysty, bandyci, ochroniarze

z firm. To są wszystko kumple, Krzychu, Rychu, a potem się rozchodzą i jeden jest

policjantem, a drugi robi samochód.

**Wybierz przyszłość**

Ze wszystkich kolegów z bramek

Andrzeja i Janusza paru już nie żyje. Nie umarli

w łózkach. Wielu siedzi. Wielu jeszcze stoi. Niektórzy, jak wyjdą, to znów będą stać, bo co mają robić. Niektórzy, zdecydowana mniejszość, poszli w ich ślady, podjęli stałą pracę, ktoś otworzył piwiarnię, ktoś ma grupkę chłopców, która próbuje chronić lokale legalnie. – W którymś momencie trzeba się opowiedzieć – mówi Andrzej – albo idę na całość i zostaję poważnym bandytą, albo się wycofuję do normalnego życia. Ja się wycofałem w ostatniej chwili. Udało się. Ale co może potem bramkarz robić, jak jedyne, co zna, to być

bramkarzem. Normalnie żyć, co to  
znaczy normalnie? Kumpel w burdelu  
pracuje, kurwy

wozi i my uważamy, że jest normalny.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Polityce” 2002/9.

# Obrazki barowe

W roku 1990 gazety obwieściły, że bary mleczne zniknęły wraz z końcem realnego

socjalizmu. Katolickie „Słowo Powszechne” wzdychało: „tego pomysłu akurat szkoda!”. Ale przecież każdy student Uniwersytetu Warszawskiego wie, że żyje legendarny „Karaluch”, czyli bar Uniwersytecki położony kilkadziesiąt metrów od bramy uczelni, gdzie jak za

dawnych czasów przyszli prawnicy i redaktorzy kłócą się o politykę nad leniwymi, dzieląc stolik z narkomanami

i kloszardami z Krakowskiego  
Przedmieścia.

Gdy młody diler lub broker pędzi z  
warszawskiej giełdy mieszczącej się w  
budynku

dawnego KC PZPR do szykownej  
francuskiej restauracji „Montmartre”, to  
czasem jego

wzrok przykują zaparowane szyby baru  
Szwajcarskiego, za którymi jak dawniej  
znikają

w żołądkach kotły pomidorowej.  
„Jeszcze żyję i sprawiam radość  
ludziom” – mógłby

zawołać ryż z cukrem i masłem za pięć tysięcy starych złotych, które w „Montmartrze”

nie starczą na szatnię.

Książka telefoniczna Warszawy z 1983 roku wymienia 41 barów mlecznych. Podróż ich

śladami przypomina – mimo wszystko – ekspedycję archeologiczną.

Pod adresem Górczewska 131/135 mieści się ciąg pawilonów. Gdzieś tutaj był bar

Góralski. Pewnie w miejscu, gdzie dzisiaj zaprasza chińska restauracja Lua



Moi.

Przechodnie potwierdzają przypuszczenia. Do pomieszczeń po barze wprowadziła się kilka lat temu restauracja Bora Bora – Wie pan, jak ta wyspa na Pacyfiku – objaśnia szatniarz.

Fikały na scenie trzy panienki, ale skończyła się koniunktura w dzielnicy na gołe atrakcje i weszli Wietnamczycy. Ich rodacy zmienili inny bar – Akademicki przy placu Narutowicza – w restaurację Li Yuan.

W barze Łódzkim rozlokował się salon samochodowy Mitsubishi, ale poniosło go

w lepsze miejsce i do lokalu powróciła  
gastronomia w postaci typowej (czyli  
drogiej)

restauracji Patron. W dawnym Miłym  
można kupić kaloryfer albo inny sprzęt  
praktyczny,

w Magdzie zrobić fachowe odbitki  
ksero, w Śródmieściu wziąć kredyt,  
gdyż ulokował się

tu oddział Banku Przemysłowo-  
Handlowego. W Tramwajowym  
(Bambola) i Działdowskim

(Ciao Maurizio) można dziś zjeść pizzę,  
w Nadwiślańskim (Tokio) pokosztować  
japońskich specjałów, a w Naszym

(Fuks) pożywiają się co zamożniejsi  
wegetarianie.

## **Bary młodego kapitalizmu**

## **Bary młodego kapitalizmu**

Była Łowiczanka, ulica Obozowa 61, na  
warszawskiej Woli. Na ścianach  
odrapane

chińskopodobne inskrypcje, a w  
bardziej przyswajalnym alfabecie  
informacja, że to

restauracja Ping Pong i przybytek o  
nazwie Relax 44. Za brudną szybą, w  
pustym

pomieszczeniu trzech młodzieńców w fartuchach wykonuje trudne do zdefiniowania

czynności. Walę w szybę, macham, podchodzi jeden, nie słyszę go ani on mnie i tak sobie gadamy. W końcu na migi wskazuje drogę na zaplecze.

- Tu był kiedyś bar mleczny – zagajam.
- Co jest teraz?

Twarze młodzieńców przypominają kamień, jeden patrzy w podłogę, drugi w sufit,

trzeci na ścianę.

- No, co tutaj robicie?

– A, to trzeba spytać szefa – odpowiada najbardziej rezolutny.

Akurat słysząc warkot silnika na podwórku, młódź w fartuchach oddycha z ulgą. –

Właśnie przyjechał.

Człowiek to bezpośredni i chętnie wyjaśnia, że nie produkuje bomb, lecz mrożonki.

Dania azjatyckie, żydowskie – „kosher”, greckie – „Zorba”, włoskie – „mafioso”. Wszystkie opakowania przypieczętowane flagą narodową i dumnym napisem „produkt polski”.

– Pamięta pan aferę z Casanową kilka lat temu? – pyta. Widząc niepewność na mej

twarzy, szybko wyjaśnia: – No, pierwszy burdel w Polsce. Na Ursynowie. Afera nie z tej ziemi. Czarni kompletnie odjechali. Wszystkie gazety na czołówkach pisały... To ja! Proces miałem! – podkreśla dumnie. – Michał Michalski, może sobie pan nazwisko napisać. Co mi tam. Już się w to nie bawię.

Bawił się jeszcze przez moment po historii z Casanową. Wynajął lokal baru Łowiczanka

i otworzył klub odnowy biologicznej

Relax 44, w którym panów odnawiały biologicznie

trzy Tajki z Bangkoku. – Specjalnie sprowadzone – podkreśla Michalski.

Ale że świat jest okrutny, „zrobił się dym”. Innowacyjny przedsiębiorca dostał

wypowiedzenie. Ponieważ człek z niego obrotny, nie przejął się tym zbytnio i z dnia na dzień zmienił przybytek rozkoszy w chińską knajpę. Nazwał ją z wrodzonym sobie poczuciem humoru: Ping Pong. Gminę zatkało. Na początku szło nieźle, panowało

„kompletne wariactwo na chińszczyźnie”,

stoliki trzeba było rezerwować telefonicznie.

Potem zrobiło się nieciekawie, „skośni” rzucili się w ilościach hurtowych na stolicę,

a Obozowa 61, jak mówi Michalski, to „Wola, strefa B, czyli generalnie przesrane miejsce.

Taki Targówek, Harlem, wiadomo, o co chodzi”. Wziął się więc za mrożonki. Idzie nieźle.

Hurtownie kupują, sklepy sprzedają. Nawet Billa. – Czyli jest klawo, bo tam można



gówny zawinąć w papierek i ludzie z zachwytem kupią – komentuje Michalski

z charakterystycznym dla siebie przekąsem.

Niech tylko wszystko ruszy pełną parą, to spakuje manatki i wyniesie się

w przyjemniejsze okolice, a wtedy dawny bar mleczny Łowiczanka będzie musiał szukać

nowego użytkownika.

## **Postęp w nożach**

Wiele lat temu w Łowiczance pracowała pani Jadwiga, dzisiaj

kierowniczka

Szwajcarskiego, tego vis-à-vis giełdy.  
Związana jest z barami mlecznymi od  
1967 roku.

W stanie wojennym płakała razem z  
koleżankami w barze Pod Barbakanem,  
kiedy

zomowcy pałowali i gazowali Stare  
Miasto. Różnie było.

Szwajcarski jest jednym z dwóch  
spośród dwudziestu istniejących obecnie  
warszawskich

barów mlecznych, którymi zarządza  
Warszawska Spółdzielnia

## Gastronomiczna Centrum

wywodząca się ze Społem. Wszystkie pozostałe zostały sprywatyzowane i przeważnie

trafiły w ręce pracowników. A pani Jadwiga nie została posiadaczką i szefuje w imieniu spółdzielni.

Jasne, że chciała mieć swój lokal. Kiedy zmieniał się ustrój, prowadziła kawiarnię

w atrakcyjnym miejscu Warszawy. Złożyła wniosek o przejęcie lokalu. Ale miała pecha.

Pewien telewizyjny gwiazdor o

porażającym poczuciu humoru również upodobał sobie jej

kafejkę. I tak się jakoś stało, że to on właśnie ją dostał. Szefował, jak rozśmieszał, więc właścicielami są tam dzisiaj Chińczycy.

Ale pani Jadwiga nie narzeka. Po prostu lubi bary mleczne. Poszła raz z ciekawości do

McDonalda, ale to dla młodych. Nawet na randki tam się umawiają, jak kiedyś pani

Jadwiga do kawiarni. Do budek Wietnamczyków nie zagląda – może to i dobre, ale, jak

mówi, każdy przyzwyczajają się do własnego brudu.

Po prawdzie jej bar (jak zresztą wszystkie pozostałe ocalałe z zawieruchy dziejowo—

kulinarnej) już nie jest dzisiaj taki „mleczny”. Ale co robić? Ile można zarobić na

emerytach pałaszujących pół porcji buraczków? A coraz częściej starsi ludzie, niekiedy wyraźnie zażenowani, proszą o połówki potraw, które i tak kosztują w okolicach nowej złotówki. Tak więc pani Jadwiga, żeby zarobić, wprowadziła potrawy luksusowe, mięsne,

dla klienteli bardziej dzianej, ot schabowy za trzy i pół złotej. Rety, rety.

A nowe podchodzi ze wszystkich stron. Kiedyś jak „konsument” przychodził do „zakładu”, miał proste życzenie: dużo tłuszczu, kopę skwarek. A teraz, studenci zwłaszcza: żadnego tłuszczu. Pani Jadwidze to się nawet podoba: dbają młodzi o zdrowie.

Rozszerzyła więc „asortyment” jarzynek świeżych, bo studenteria dzisiejsza to lubi.

Wszystko dla klienta.

Schludnie tu i przyjemnie. Po remoncie bar upodobił się trochę do kafelkowatych

zachodnich fast foodów. W pojemniczkach w okienku kuchennym są nawet noże. Fakt ten

jest wart podkreślenia, ponieważ w Familijnym na przykład nóż dostaje się tylko do mięsa serwowanego w jednym dużym kawałku. To i tak nieźle, ponieważ w Mirowie możemy przez chwilę poczuć niezapomnianą atmosferę filmu *Miś*. Otóż jest tylko jeden nóż przymocowany solidnym kawałkiem sznurka do kuchennego parapetu. Odbierasz schaboszczaka, kroisz na

miejscu i dopiero wtedy udajesz się do stolika.

Ale nawet w Szwajcarskim podaje się wyłącznie sztucce aluminiowe. – Taki przekrój

klienta – tłumaczy pani Jadwiga. – Jak rano podam lepsze, to wieczorem nie mam co

zbierać.

## **Żywot Polaka smakosza**

Przy jednym ze stolików Szwajcarskiego siedzi para staruszków. Kobieta zagłębia się



w naleśnikach, mężczyzna czyta jej półgłosem książkę. Z ciekawości zerkam na tytuł

i niemiej: to *Warszawa na podniebieniu. Dziennik smakosza* Piotra Bikonta, zjadliwego recenzenta kulinarnego „Gazety Wyborczej”. Nieco zdezorientowany zagaduję parę seniorów.

Pobrali się jeszcze przed wojną. Wywodzą się ze średnio zamożnych urzędniczych rodzin

II Rzeczypospolitej. Często spotykane życiorysy: patriotyczne przedwojenne wychowanie, niezgoda na Polskę powojenną i w związku z tym

przymusowe wegetowanie na marginesie życia, praca na stanowiskach, które nie wzbudzały czujności nowych władców.

Dziś głodowa emerytura, obiady w barze mlecznym i prasa czytana w Empiku.

Felietony Bikonta opisujące najczęściej lokale, w których za cenę skromnej przystawki

mogliby kupić od dwóch do dziesięciu obiadków w swoim barze, nie wywoływały ich złości.

Wręcz przeciwnie, budziły przedwojenne wspomnienia i w jakiś dziwny sposób pozwalały

marzyć, że w normalnym kraju to oni kosztowaliby tych smakołyków.

W którymś momencie zaczęli się bawić, używając dramatycznych opisów Bikonta do

komentowania swoich posiłków. – Kopytka dzisiaj, moja droga, były wręcz oszałamiająco

wyborne, absolutnie znakomite... Naleśnik był zaskakująco udany, a smak jabłek został

celnie złamany cynamonem... Degustacja pomidorowej z makaronem dech zapiera, pierogi

z grzybami i kapustą prowadzą na szczyty rozpusty, kisiel jest fascynujący, a na kolana rzuca superfenomenalny kotlet mielony, do którego fantastycznie adekwatna jest surówka z białej kapusty.

150 tysięcy starych złotych za książkę Bikonta to dla dwójki staruszków prawdziwa

fortuna (18 porcji naleśników z jabłkami, śmietaną i cukrem), ale nie potrafili sobie

odmówić przyjemności.

Nieco oszołomiony tym wywodem spojrzałem na mój talerz, zerknąłem do książki

i stwierdziłem, że omlet z pieczarkami reprezentuje wybitny poziom i tak inteligentnie skomponowaną potrawę należy bezwzględnie przechować dla potomności.

## **Kromka życia w zaparte**

Urzednicy w kolejnych bankach pukali się w głowę, gdy dwa lata temu Andrzej

Naumowicz chciał wziąć kredyt na wyremontowanie dawnego baru Stalowego położonego

w sercu starej warszawskiej Pragi, wśród ulic, których same nazwy kojarzą się

z podrzynaniem gardeł: Brzeska,  
Wileńska, Stalowa, Środkowa... Pan  
Andrzej pożyczył

więc pieniądze od znajomych i zajął się  
zamkniętym od półtora roku i kompletnie  
zdewastowanym lokalem.

Brakowało mu miejsca, w którym sam  
jadał, kiedy pracował w pobliskim  
punkcie

naprawy i napełniania syfonów. Teraz  
siedzimy w przytulnym lokaliku, który  
nazywa się

po prostu Jadłodajnia. Pan Andrzej  
myślał o dodaniu nazwy Kromka

Chleba, gdyż, jak

podkreśla, pieczywo jest u niego za darmo. A jeśli przyjdzie ktoś głodny, bez pieniędzy, to dostanie ciepły posiłek. – Tak każe mi moja wiara: być wrażliwym na ludzką biedę – mówi. Z dużego obrazu na ścianie spogląda Chrystus.

Gdy spytałem na drugim końcu Warszawy o dawny bar Przy Okopowej, pani

w eleganckim sklepie długo się zastanawiała, wreszcie przeżyła olśnienie: – A, ci biedni?

To na rogu.

Nad wejściem napis: Towarzystwo  
Tylko z Darów Miłosierdzia. To  
darmowa jadłodajnia

dla najuboższych i bezdomnych  
prowadzona przez pobliską parafię  
Miłosierdzia Bożego,

czyli znany w Warszawie kościół na  
Żytniej. A w Towarzystwie scena jak z  
przypowieści

o miłosiernym Samarytaninie: Pan  
Ryszard, który sprząta tu w zamian za  
łóżko

w kościelnym schronisku, przysiadł się  
do stolika. Wyszedł niedawno z  
więzienia



i dowiedział się, że „kochana żona”  
wymeldowała go z rodzinnego gniazdka.

W załatwieniu formalności pomógł jej  
miejscowy policjant. – Tak ją ruchał, że  
se jeszcze mieszkanie załatwił –  
tłumaczy.

Schodzą się znajomi, przeważnie z  
kościelnego schroniska. Sami mężczyźni.  
Pan

Ryszard bluzga na życie. Dusi się ślepą  
nienawiścią. – Zapudłowany nie  
znajdzie roboty –

kończył litanię.

– To od jutra masz u mnie pracę i łóżko

– odzywa się ostrzyżony na jeża

czterdziestoletni mężczyzna, który właśnie wszedł do stołówki. Pan Ryszard zgłupiał,

a przybysz najzwyczajniej zaczął się dopytywać, czy jego nowy pracownik potrafi kłaść

glazurę. – Jeden warunek: zero alkoholu.

Gdy pan Ryszard doszedł do siebie, zaczyna złorzeczyć „czarnym”: – Nam tu byle gówno

dają do żarcia, a sami rzygają tymi swoimi szynkami.

– Ale dają, prawda? – pyta nowy pracodawca. – Z głodu byś bez nich zdychał.

– A co ja tam mam – nie ustępowałem bezdomny. – Wyro w piwnicy i 50 tysięcy na

tydzień. Butelki zbieram, żeby mieć na fajki.

– Masz złe podejście – poucza miłosierny samarytanin. – Ja oprócz tego, że dostałem

w dupę, to jeszcze potrafię myśleć. Masz łóżko i jedzenie. To już jest punkt zaczepienia.

– Ale jak śpisz u klechów, to nie możesz dorobić na boku.

– No to teraz masz pracę i spanie u mnie. Tak?

– No tak – panu Ryszardowi wyraźnie ciężko się pogodzić z nagłą odmianą losu. Dodaje

więc na odchodnym: – Ale tej żonce mojej to bym przyłożył.

## **Dialogi nad naleśnikami**

– Stach, stary jesteś, a dumny taki! – wykrzyknął równie zwawy, co łysy mężczyzna po

siedemdziesiątce przy stoliku w barze Familijnym. – Żydków to niby nie lubisz, a tym

Urbanem ciągle mi przed nosem machasz!

Zaczepiony z tygodnikiem „Nie” nad talerzem zaperzył się: – A co ty mi tu będziesz! –

i przystąpił do gwałtownej riposty demaskującej prawicę polską i jej nieczny spisek przeciw premierowi Oleksemu. Przez kolejne pół godziny seniorzy wyzywali się od najgorszych.

Bar Familijny na Nowym Świecie został otwarty w 1949 roku jako dragi bar

mleczny

w stolicy, spełniał „rolę instrumentu walki klasowej” w walce z kapitalistycznymi

przeżytkami „na froncie żywienia”, o czym możemy się dowiedzieć z pozólkłych gazet.

Jednak „jego stylizowane wnętrze dostosowano zupełnie niepotrzebnie do zabytkowego

charakteru ulicy. Kute w żelazie żyrandole i kandelabry, drewniany bufet i parapety,

wszelkie ozdoby stwarzają niewątpliwie

przyjemny nastrój, ale sprzyjają zarazem

gromadzeniu się kurzu i utrudniają dokładne sprzątanie. Postulatowi estetyki uczyniono zadość kosztem higieny, wymagającej bezwzględnej prostoty urządzeń”.

Ale dwaj staruszkowie nie przejmują się estetyką, lecz polityką. Poznali się, jeszcze gdy Warszawa leżała w gruzach i od tego czasu zawsze się kłócili, i nie mogli bez siebie żyć.

Jak w stanie wojennym jeden pędził na mszę za Ojczyznę, to drugi zanosił termos herbaty żołnierzom przy koksownikach. Kiedy zaczęło się ukazywać „Nie”, zadręczał kolegę

głośną lekturą co smaczniejszych fragmentów. Przyjaciel był bezbronny. Ocaleniem okazała się „Gazeta Polska”. I tak od dwóch lat, co środę idą razem do kiosku, kupują swoje ulubione pisma, by po ich wnikliwej lekturze dręczyć się nawzajem nad naleśnikami w barze Familijnym.

Miło nam się gaworzyło do czasu, kiedy spytałem ich o nazwiska. – Panie młody, coś

pan! Tu nie Rakowiecka! – prycają solidarnie. Nie oni jedni. Podobnie reagowali

miłośnicy recenzji kulinarnych ze Szwajcarskiego. I spotkania w barze



Gdańskim.

I w Średnicowym. I w Mirowie. – Po co to panu? – nagle odzywały się niezmierzone

pokłady ostrożności, nieufności i widocznego w oczach strachu. – Starzy ludzie wiedzą

swoje. Starzy ludzie już się nie nazywają.

**Fragmentaryczny PS 2013 czyli czasy się zmieniają**

„Karaluch” na Krakowskim Przedmieściu istniał do wiosny 2009 roku. Na jego miejscu

powstała francuska sieciówka Saint Honoré – kawiarnia i piekarnia.

Restaurację Montmartre na Nowym Świecie zamknięto w sierpniu 2007 roku i na jej

miejscu otwarto pierwszy w Polsce salon Emporio Armani, który z kolei zlikwidowano pod koniec 2012 roku. Teraz mieszczą się tam luksusowe delikatesy Food & Joy.

Bar mleczny Szwajcarski na Nowym Świecie zlikwidowano w kwietniu 2005 roku. Na

jego miejscu powstało typowo warszawsko-nijakie Bistro Bordo.

Bar mleczny Mirów na Elektoralnej  
został zastąpiony przez restaurację  
włoską Mille

Gusti, ta przez restaurację Rozpusta, a  
teraz mieści się tam serwis  
komputerowy.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Polityce” 1996/4.

# Szlafroki na placu Defilad

*Skarpetki są bronią straszliwą. O niesłychanym zasięgu. Tylko dlatego (...) że istnieją idioci, którzy zakazują noszenia takich, zaś domagają się noszenia innych. I tępią nieposłusznych.*

Leopold Tyrmand, *Życie towarzyskie i uczuciowe*

Leopold Tyrmand powiedział kiedyś, że wszystko, co w Polsce stało się w Październiku

'56, było wynikiem o rok wcześniejszego Festiwalu Młodzięzy i

Studentów. Natomiast

Wojciech Roszkowski (Andrzej Albert) napisał w swej *Najnowszej historii Polski*, że festiwal zorganizowany w pierwszych dwóch tygodniach sierpnia 1955 roku, „w trakcie pokojowej i rozbrojeniowej ofensywy Moskwy”, odegrał „dużą rolę w skierowaniu na neutralny tor młodzieżowego fermentu”.  
Więc jak to było?

Pełna nazwa imprezy sprzed dokładnie 40 lat to V Festiwal Młodzieży i Studentów

o Pokój i Przyjaźń. Dziwnie brzmiąca dla polskiego ucha składnię – „festiwal

o coś” –

Jakub Karpiński tłumaczył niezbyt zgrabnym przekładem z języka rosyjskiego.

„Festiwal będzie wielką manifestacją młodzieży zjednoczonej w walce o lepszą

przyszłość, przyjaźń i pokój, przeciwko podżegaczom wojennym, którzy odbudowują

zbrodniczy wehrmacht i snują opętane plany zastosowania broni atomowej i wodorowej

w napastniczej wojnie” – pisali na

początku lutego 1955 roku delegaci na II Zjazd Związku Młodzieży Polskiej w apelu skierowanym do młodzieży i mieszkańców Warszawy.

„Młodzież świata (...) zmanifestuje swą nienawiść do imperialistycznych podpalaczy

świata. Pewność zwycięstwa w walce o pokrzyżowanie haniebnych zamierzeń wrogów

ludzkości umacnia w młodzieży wciąż potężniejszą siłę i rozkwit obozu pokoju

i socjalizmu, rozszerzający się nieustannie ruch zwolenników pokoju na całym świecie”.

„Walka o pokój” była podstawą polityki międzynarodowej Związku Radzieckiego, a co za

tym idzie – wiodącym motywem propagandy światowego ruchu komunistycznego.

Problem ujął jasno sam towarzysz Stalin: „Pokój zostanie zachowany i umocniony, jeśli

narody wezmą sprawę w swoje ręce i będą bronić jej do upadłego”. W czasach

warszawskiego festiwalu opowiadano dowcip, który dosyć dobrze oddawał ducha



pacyfistycznych zmagani Kraj Rad:  
„Tato, czy wybuchnie trzecia wojna  
światowa? – Nie,

synku, ale będzie taka walka o pokój, że  
kamień na kamieniu nie zostanie”.

Historyk

Dariusz Jarosz, który przebadał tysiące  
raportów o nastrojach ludności w latach  
1949–

1956 autorstwa UB, PZPR, ZMP, MO i  
innych instytucji, doszedł do wniosku, że  
reakcja

polskiego społeczeństwa na zmagania o  
pokój była „największym paradoksem  
tamtych

czasów”. Otóż każdorazowe nasilenie przez komunistów „walki o pokój” traktowano

w potocznej opinii jako przygotowanie do wojny. Przypomina się w tym miejscu uwaga

Tyrmanda o „ludowym zmyśle interpretacji”.

## **Warszawa bez białych niedźwiedzi**

Andrzej Drawicz, wówczas 23-letni początkujący dziennikarz, wierzący ZMP-owiec ze

środowiska czerwoniutkiego Studenckiego Teatru Satyryków,

podkreśla, jak istotny

w przypadku festiwalu był kontekst czasu. „Nie wyobrażam sobie imprezy w tym stylu na

przykład w roku 1953. Władza i bezpieczeństwa nie pozwoliłyby wtedy na podobne bezhołowie”.

„Dla mojego środowiska festiwal znaczył dużo więcej niż te wszystkie późniejsze

przełomy – mówi starszy o 5 lat od Drawicza Andrzej Roman, dziennikarz, wówczas

świeżo po studiach, który w tamtych

latach starał się zapomnieć, kiedy tylko było

możliwe, o istnieniu władzy ludowej. – Całe moje ówczesne środowisko to była taka trochę przeterminowana młodzież, bo przecież sześć lat nam wypadło przez wojnę. Nie mieliśmy już tych straceńczych odruchów jak zaraz po wojnie, kiedy trzeba było natłuc po mordzie gościa, jeśli próbował zatańczyć przy *Czerwonych makach*, ale panował nastrój opozycyjny. Kolegę, który poszedł na pochód pierwszomajowy, otoczył ostracyzm. Żadnych ZMP-owców. Było w nas trochę prawdziwej, trochę wyimaginowanej determinacji,

podejście »a ja to pierdolę«, bo cóż nam  
innego pozostało w ten paskudny czas  
poza

zabawą i piciem. Bezpieka musiała nas  
mieć za wariatów, bo nie tykała. I nagle  
w tym

wszystkim nastąpił jakiś  
nieprawdopodobny wybuch: festiwal –  
okazja, żeby odkuć się

trochę za przechlapane lata. To były  
pyszne, znakomite dwa tygodnie i  
absolutnie

niewpowtarzalne. Właściwa impreza we  
właściwym miejscu, we właściwym  
czasie.

Kiedykolwiek później byłby to  
zwyczajny komunistyczny spęd, który by  
nie obchodził

nikogo poza stadkiem aktywistów”.

„Festiwal wymknął się władzom spod  
kontroli, to oczywiste – wspomina  
Andrzej Osęka,

który tamtego lata został magistrem  
historii sztuki. – Miał być typowy  
komunistyczny

*parteitag*, na którym spotykają się  
oficjalnie przedstawiciele wielkiego  
postępowego ruchu, ogarniającego cały  
świat. Istniał zamysł, żeby ci z Zachodu  
powiedzieli po powrocie, że w

Warszawie nie chodzą po ulicach białe niedźwiedzie, Polska to wolny kraj, ludzie bawią się, są weseli, klawo jest. I to się władzy, przynajmniej częściowo, zapewne udało.

Natomiast dla polskiej młodzieży był to powiew wolności, której pragnieniem przesiąknięte było powietrze. Czuło się ogromną zmianę, ludzie zaczęli ze sobą inaczej rozmawiać, już nieco inaczej wyglądały gazety. Festiwal trafił w swój czas”.

Minęły dwa lata od śmierci Stalina i rok od opublikowania w ZSRR *Odwilży* Ilii Erenburga (polskie wydanie pojawiło

się w kwietniu 1955). Tytuł książki oddawał

zmieniającą się powoli atmosferę.

## **Oto Zachód**

Na festiwal przyjechało 30 tysięcy gości, w tym połowa z krajów zachodnich. „To było

podstawowe wrażenie, mogliśmy zobaczyć ludzi z tego legendarnego Zachodu – opowiada

Drawicz. – Wcześniej nie mieliśmy żadnych kontaktów, byliśmy odpowiednio nastawiani



i tresowani, żeby nam się to nawet nie śniło”.

„Zachód był mitem, krainą wyśnioną, Edenem i wszystkim, co niewiadome” – napisze

potem Agnieszka Osiecka w *Szpetnych czterdziestoletnich*.

„To był fizyczny głód. Wystarczyło popatrzeć na kilometrowe kolejki, jakie się ustawiały przed kinami, w których grano nieliczne zachodnie filmy” – mówi Osęka.

W 1954 roku wyjechało służbowo na Zachód 2064 osób, prywatnie – 52, „ludzie godni

zaufania, a więc: wysocy urzędnicy,  
karierowicze z dyplomacji i handlu  
zagranicznego

o wypróbowanej (?) wierności, różna  
zawiesina partyjna i bezpartyjna na  
usługach tzw.

cyrku Stalina, który załatwiał zjazdy  
intelektualistów, kongresy pokoju itp.,  
PAX-owcy, marynarze, ubecy do  
pilnowania ich wszystkich oraz  
Jarosław Iwaszkiewicz i Jan Kott” –  
wymieniał szczęśliwców w paryskiej  
„Kulturze” Leopold Tyrmand.  
Wyjeżdżali również

„ludzie niezbyt godni zaufania, ale  
których trzeba było choć raz pokazać,

jak różni

sportowcy, matematycy, kompozytorzy,  
zawsze skrupulatnie dobierani pod  
względem

pozostawionych rodzin, aby nie przyszło  
im coś do głowy”.

„Skąd brały się nasze ówczesne  
marzenia o »inności«? – zastanawia się  
Osiecka. –

Chyba stąd, że przez ładnych kilka lat  
piekliśmy się w jakimś przeraźliwym  
tyglu

przeciętności. Studiowaliśmy  
*Trzyście cech młodzieży*, brnęliśmy

przez apele

i capstrzyki, tańczyliśmy na wieczornicach i wyjeżdżaliśmy na wczasokursy”.

**Świat odrażająco nudny**

**Świat odrażająco nudny**

Socjolog Hanna Świda-Ziemia podkreśla, że ówczesny świat przedstawień był nie tylko

obcy prawdzie, ale co równie ważne – odrażająco nudny. „Dziś – gdy sięga się do tekstów z tamtych czasów – wydają się one wręcz zabawne, wtedy jednak była to rzeczywistość groźna i ponura,

otaczająca nas bowiem szczelnie, jak ciasne mury sięgające w horyzont, była jakby ze spiżu i stali, poza nią nie było świata, nie istniał prześwit słońca.

Gazety, radio, filmy, książki, programy szkolne, wykłady uniwersyteckie, wypowiedzi oficjalne, ulice, transparenty, plakaty, obrazy, ubiór, tańce oraz wypowiedzi tych, którzy mieli prawo być widoczni – wszystko było z jednego tworzywa, jednej makiety”.

Hanna Świda-Ziemia mówi, że ci sami ludzie kształtują często dzisiejszy obraz

stalinizmu – „subiektywny świat działaczy”, który diametralnie się różni

od doświadczeń reszty społeczeństwa. Własne zaangażowanie i często późniejsze rozczarowanie próbują przedstawić jako prawdę ogólną. Tyrmand pisał w *Porachunkach osobistych* o byłych stalinowcach jako o „najpotężniejszej mafii świata”, której „święta wspólnota polega na wzajemnym zmywaniu z siebie win, na genialnie skomponowanych żalach na swój zły los zgwałconej i wyeksploatowanej niewinności”.

„Studiowałam w latach stalinowskich, czyli zgodnie z powyższym obrazem, należę do

pokolenia ZMP – wspomina Hanna

Świda-Ziemia. – Jednak kiedy  
zdawałam maturę

w 1948 roku w czterech klasach  
równoległych, ani również rok wyżej,  
nie było ani jednego ZMP-owca.

Owszem, słyszeliśmy o »młodych  
gniewnych« z innych szkół; była ich  
marginalna mniejszość, która miała  
możliwość głośnego zaistnienia na  
scenie życia

publicznego”.

Wśród późniejszych roczników  
przynależność do ZMP była już  
rytuałem. Należy

pamiętać, że jeszcze w 1949 roku

praktycznie zamknięto wstęp na wyższe uczelnie

ludziom niezrzeszonym w komunistycznej młodzieżówce. Kwitło więc podwójne myślenie.

Kierownik katedry marksizmu-leninizmu poznańskiej Akademii Medycznej opowiadał

swoim przełożonym o „charakterystycznej odpowiedzi studenta, który na pytanie,

dlaczego Kraków jest dla nas drogi, ograniczył się do stwierdzenia, że Lenin w nim



mieszkał. Przyznał, iż sądził, że na egzaminie z podstaw marksizmu tylko na takiej

odpowiedzi należy poprzestać”.

Popularne było wówczas stwierdzenie:  
„Wszystko lipa,

wszystko jest nudne, wszyscy kłamią”.

Pozostawała ucieczka w prywatność, byle dalej od kolektywu, i otoczenie się szczelnym murem.

**Werbunków nie przeprowadzać**

**Werbunków nie przeprowadzać**

Polski komitet festiwalowy rozpoczął pracę w styczniu 1955 roku, W marcu

ściągnęli do

Polski członkowie komitetu międzynarodowego w liczbie 57, wraz z rodzinami. Wtedy

w Warszawie nad organizacją festiwalu pracowało już 350 osób i jak przewidywał

przewodniczący polskiego komitetu Artur Starewicz, „liczba ta będzie rosła w sumie do

ponad 20 tysięcy ludzi w okresie maksymalnego nasilenia”.

Największym problemem organizatorów była „sprawa tłumaczy i opiekunów

delegacji,

których liczba musi przekroczyć 2500”.  
Również Komitet do spraw  
Bezpieczeństwa

Publicznego interesował się tym  
zagadnieniem. Na posiedzeniu w dniu 25  
kwietnia 1955

„omówiono sprawę tłumaczy jako  
ważnego elementu rozpoznania”.  
Obydwa komitety:

festiwalowy i bezpieczeństwa musiały  
być chyba nieco zawiedzione po  
impresie, gdyż, jak możemy przeczytać  
w sprawozdaniu z działalności ośrodka  
prasowego festiwalu, „poważne

trudności wystąpiły w pracy tłumaczy.  
Spowodowane one były przede

wszystkim słabą znajomością języków”.  
Ale jak podkreśla autor raportu,  
tłumacze

nadrabiali ofiarną pracą i serdecznym  
stosunkiem do gości.

Na wspomnianym posiedzeniu Komitetu  
do spraw Bezpieczeństwa  
„przedstawiono

zadania aparatu w transporcie (obsada  
konduktorska itp.) oraz zwrócono uwagę  
na

zajęcie się w okresie festiwalu

członkami rodziny prowokatora Światły”. 27 maja wysłano do wojewódzkich i powiatowych urzędów bezpieczeństwa instrukcję nakazującą „sprawdzić kartami E-15 (rejestrowano w nich element podejrzany – MM) w kartotece

operacyjnej delegatów na festiwal, z wyjątkiem etatowego aktywu ZMP. O osobach, co do

których są wątpliwości, powiadomić właściwe czynniki partyjne i ZMP celem

ewentualnego wycofania. Podjęto też decyzję, żeby wśród delegatów werbunków nie

przeprowadzać”. W przygotowaniach do festiwalu aparat bezpieczeństwa martwił się

„pewnymi tendencjami separatystycznymi ze strony MO”.  
Trudno orzec, czy cieszyła

wiadomość o przyjeździe „przedstawicieli bratnich aparatów bezpieczeństwa”. Już

w czasie festiwalu minister spraw wewnętrznych informował województwa o „napływie agentów kapitalistycznych”.

# **Autobusy od Rokossowskiego**

Komitet festiwalowy nie narzekał na brak problemów. Artur Starewicz proponował

w piśmie skierowanym do sekretariatu KC PZPR „zlikwidowanie znajdującego się na

terenach byłego getta obozu pracy, którego istnienie było już niejednokrotnie

wykorzystywane przez wrogą propagandę. W dodatku ostatnie trudności na rynku

z mięsem bywają komentowane przez pewną część mieszkańców, jakoby spowodowane

zostały przez tworzenie zapasów na okres festiwalu”. Nie pomagała kampania prasowa,

wyśmiewająca powyższe przypuszczenia. Jak można wyczytać z raportów ZMP, same

sprzedawczynie tłumaczyły w ten sposób brak mięsa, a nawet pomidorów lub

ziemniaków.

Równie trudne było przekonanie



ministra obrony narodowej, marszałka

Rokossowskiego, że kilkudziesięciu  
tysiącom zagranicznych gości (a i  
przyjezdnym

z prowincji) przydałaby się mapa  
Warszawy. Kartografia stolicy była  
wówczas wielką

tajemnicą wojskową i przez 10 lat  
powojennych nie ukazał się żaden plan  
miasta. Bożena Puchalska, która była  
wówczas w komitecie festiwalowym  
zastępcą kierownika biura manifestacji,  
wspomina, że Rokossowski w końcu się  
zgodził, ale nie pozwolił na mapie

nanieść mostów ze względu na ich

znaczenie strategiczne.

Zdobycie od wojska kilkuset autobusów i ciężarówek także nie było najprostszą sprawą:

jak będzie wojna, to zostaniemy w Warszawie bez transportu – odpowiadał Rokossowski.

W końcu Puchalska zebrała się na odwagę i powiedziała: „Towarzyszu marszałku,

dlaczego uważacie, że akurat w sierpniu 1955 roku musi wybuchnąć wojna, może będzie

trochę później”. Towarzysz marszałek

też człowiek, zaśmiał się, sprawa komunikacji

została załatwiona.

## **Co młodzież ma śpiewać**

Władze partyjne były głęboko zaniepokojone stosunkiem młodzieży do festiwalu. Na

specjalnie zwołanej w czerwcu naradzie w KC ostrzegano, że na „skutek naszych braków

w pracy politycznej festiwal przez młodzież rozumiany jest jako wielka estrada

i egzotyka. Dlatego widzimy konieczność natychmiastowego rozwinięcia propagandy (...)

i wskazywanie na polityczny program festiwalu. Należy uzyskać wielki rozmach

w propagandzie przez przygotowanie tysięcy prelegentów partyjnych i ZMP-owskich

i agitatorów dla pomocy w pracy z młodzieżą. (...) Zwrócić szczególną uwagę, aby wśród śpiewanych przez młodzież piosenek znalazły się pieśni rewolucyjne, robotnicze, masowe”.

Młodzież co prawda podejmowała

zobowiązania w ramach tak zwanego  
czynu

festiwalowego, ale jej inicjatywa  
wyrażała się „głównie w organizowaniu  
zespołów

artystycznych, różnego rodzaju  
konkursów, pisaniu listów do młodzieży  
zagranicznej itp.”.

Ku zaniepokojeniu przywódców młodzi  
ludzie – w tym aktyw ZMP – zupełnie  
lekceważyli

czyny produkcyjne.

W prasie starano się ukazać pozytywne  
wzory. Na przykład taki aktyw

światlicowy

z Dębicy, który deklarował: „Wiemy dokąd chcą pchnąć świat podżegacze wojenni

i odwetowcy z Niemiec Zachodnich. (...) Z nami jest wielki Związek Radziecki. Młodzież całego świata jest za pokojem. Ale my wiemy, że pokój nie przychodzi sam, że trzeba go wywalczyć. Będziemy walczyć o pokój! Będziemy o niego walczyć jeszcze lepszą pracą, jeszcze lepszymi wynikami w zasiewach, sianokosach, żniwach i wykopkach”.

Dębicki

aktyw światlicowy zobowiązał się między innymi „założyć poletko

doświadczalne dyni

oleistej, soi i krokosza, uprawić i zakontraktować 1 ha kukurydzy, a za uzyskane z niej pieniądze zakupić stroje pyrzyckie dla zespołu artystycznego; opracować program występów dla brygady agitacyjnej”.

ZMP-owcy z Ursusa pracujący na maszynach wyrabiających tłoki zobowiązali się

wyrabiać trzy tłoki dziennie ponad plan, a 8 lipca „Sztandar Młodych” donosił, że „2

miliony młodych wita festiwal nowymi tonami węgla i stali”.

W świąteczny dzień 22 lipca czytelnicy „Sztandaru” mogli przeczytać na pierwszej

stronie swej gazety okolicznościowy wiersz Antoniego Słonimskiego: „Dałaś Polsko

Ludowa swym dzieciom / Dzień radosny  
dziesięciolecia / Bosym nóżkom mocne  
dałaś buty

/ Oczom śmiałość i nadziei iskry / Na  
horyzont mgłą szarą zasnuty / Wiatr od  
Wschodu

nadleciał, od Wisły / I już niebo jak  
sztandar rozwiane / Gra muzyka”.



Na tej samej stronie dziennika można było przeczytać, że poprzedniego dnia Michaił

Susłow przekazał w ręce polskie dar Związku Radzieckiego, czyli Pałac Kultury i Nauki

imienia Józefa Stalina – „symbol nowej, wolnej od szpetoty i bezładu architektonicznego stolicy”.

Dziennikarzom trudno było „znaleźć słowa, które mogłyby oddać piękno marmurowych westybulów, precudnych sztukaterii. W najnowocześnie pod względem

wyposażenia technicznego urządzonej wieżowcu na świecie wszystko gra

przecudowną

harmonią i doskonałym smakiem. Nie sposób się dziwić, wszak wszystko, czym piękna

i bogata jest ziemia radziecka, wszystko, co typowe i bliskie naszemu narodowi, znalazło tu miejsce”.

Tego samego dnia Warszawa wzbogaciła się również o Ogólnopolską Wystawę Młodej

Plastyki zorganizowaną pod hasłem „Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi”.

Przygotowana jako impreza

towarzysząca festiwalowi, zwana była po prostu „Arsenałem”

od miejsca lokalizacji. Wywołała skandal. „Pesymizm w malarstwie socrealistycznym był

zabroniony – mówi Osęka – a Arsenał był krzykiem przerażenia, smutku, gniewu.

Zamiast wypiętej piersi socjalistycznego bohatera można było zobaczyć obraz Izaaka

Celnikiera *Ghetto*, gdzie wychudły człowiek ciągnie trupa drugiego wychudłego człowieka na ogromnym, ciemnym obrazie: taka groźna i ponura

wizja ludzkości. W *Poemacie dla dorosłych* było powiedziane, że w socjalizmie palec nie boli, a w Arsenale wszystko wszystkich bolało”.

## **Pstro!**

Powszechnie zachwycono się festiwalową oprawą plastyczną Warszawy. „Ulica Nowy

Świat przyozdobiona była na kolorowo. Nie na czerwono, nie na biało-czerwono, nie na

maryjnie, tylko całkiem po prostu – na pstro!” – pisała Agnieszka Osiecka. Stojące jeszcze warszawskie ruiny pokryto gigantycznymi malowidłami

ściennymi, płótnami, transparentami, których wykonanie nie miało nic wspólnego ze sztuką socrealizmu.

Niezwykłe barwne, wesołe, pełne słoń, małąp, żyraf, słońc, księżyców, motywów

z malarstwa francuskiego, wprowadzały radosną atmosferę. „To było coś niebywałego po

okresie stalinowskim” – mówi Franciszek Starowieyski, który wówczas pracował nad

ozdabianiem miasta w festiwalowym biurze dekoracji. W niekończących się dyskusjach

cała ówczesna czołówka plastyków –  
m.in. Wojciech Fangor, Henryk  
Tomaszewski, szef

zespołu Lech Zahorski – przekonywała  
do swych pomysłów.

Bolesławowi Bierutowi nie spodobało  
się nowoczesne w formie malowidło  
wykonane

według projektu Młodożeńca, które  
pokryło całą fasadę budynku naprzeciw  
Komitetu

Centralnego. Kazał je zamalować.  
Bożena Puchalska wspomina, jak  
ganiała do

Starewicza i Morawskiego, żeby przekonali Bieruta do zmiany decyzji: „argumentowałam,

że jeśli to zamalujemy, to mamy gwarantowaną demonstrację młodzieży”. Udało się.

„Charakterystyczne – podkreśla Puchalska – że Bierut zobaczył to malowidło, kiedy już

było gotowe. Nie lataliśmy z każdym problemem do KC”.

Podobne kontrowersje wywołał projekt Fangora. Na Rynku Starego Miasta, gdzie

organizowano „wiec o rozbrojenie i zakaz broni atomowej, o pokojowe współżycie

i przyjaźń narodów” („nigdy więcej Hiroszimy”), miał zawisnąć gigantyczny plakat

ukazujący dziewczynę, która miała spaloną połowę twarzy. Jakkolwiek słuszna, ilustracja musiała wówczas szokować. Puchalska rozwiązała problem, przyprowadzając autora pomysłu na zebranie komitetu festiwalowego. Jego członkom trudno było zaprotestować

w obecności twórcy.



# Zetempowcy i bikiniarze

„Teraz maszeruje Związek Młodzieży Polskiej” – relacjonuje reporter dzień młodzieży

polskiej, „ŚFMD i Międzynarodowy Związek Studentów. Oto wielki napis »Chwała

Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej«, portrety przywódców partii i rządu –

towarzysza Bieruta, towarzysza Zawadzkiego, Cyrankiewicza i Rokossowskiego.

Zetempowcy gorąco wiwatują na cześć partii i władzy ludowej. To dzięki partii, dzięki jej leninowskiej polityce, stworzone zostały warunki wszechstronnego rozwoju młodego pokolenia”. Jakże plugawie na tym wzniosłym tle wyglądają „dziwacznie tańczące

niedobitki bikiniarzy, ustrojone krzykliwie jak papugi, kręcące pośladkami jak zmęczone szkapy”.

„Delegaci przyjeżdżający na festiwal dzielili się na dwie grupy – wspomina Andrzej

Drawicz. – Część to byli zawodowi rewolucjoniści, których nazwisk nawet

nie wolno było podawać. Pamiętam, jak nam mówiono, że ci towarzysze są zakonspirowani. Do tej grupy zaliczali się też komunistyczni studenci. Ale przyjechali również zwyczajni młodzi ludzie, trochę tak na wycieczkę. Zachowywali się zupełnie normalnie, i to właśnie było najbardziej szokujące. Byliśmy przekonani, że jesteśmy najweselszą i najszcześliwszą

młodzieżą na świecie, tymczasem w bezpośredniej konfrontacji okazywało się, że jesteśmy smutni, ponurzy, ogromnie sztywni, spięci i w ogóle nie wiemy, co z sobą zrobić. A oni tańczyli, śmiali się, całowali na ulicach... To było dla nas zupełnie nie do wyobrażenia: jak

można całować się na ulicy! Trudno opisać, jak niesłychany to był szok. I ten ich absolutnie swobodny sposób bycia, cały czas na luzie, kolorowe ubrania... Ciężko mi było to wszystko ogarnąć”.

Autorzy sprawozdania z działalności festiwalowego biura prasowego pisali:

„Dziennikarze naszego obozu tworzyli na ogół odseparowane grupy. Można było

natomiast zauważyć wielką łatwość nawiązywania stosunków towarzyskich między

dziennikarzami burżuazyjnymi”.

Na pofestiwalowych zebraniach delegaci mówili: „Młodzież z krajów kapitalistycznych

będąca na festiwalu jest dobrze rozwinięta fizycznie i ładnie ubrana, mimo że u nas mówi się, że tam jest źle, kiedy w Polsce co drugi młody człowiek choruje na gruźlicę”.

„My – zetempowcy – byliśmy tak zwaną młodzieżą ideową, czyli mieliśmy skrzywiony

kręgosłup i horyzont, natomiast ulica warszawska, normalni młodzi ludzie, rzucili się

z niesłychaną żarliwością na tych

przybyszów z innego świata, podziwiali ich” – opowiada Andrzej Drawicz.

„Wśród niektórych grup młodzieży biorących udział w przywitaniach daje się zauważyć

mania łowienia znaczków i innych pamiątek od delegatów” – dawali wyraz swemu

z troskaniu ZMP-owscy informatorzy. – „Zachodzą przypadki bezczelnego wprost

nagabywania delegatów, aby od nich coś wydostać. Atmosferę powitań oceniano jako na

ogół niezłą, chociaż czasem dostrzegano objawy zażenowania i onieśmienia, które

owocowały sztywnym nastrojem wśród witających”.

Nie wszyscy jednak byli skrępowani. Na przykład pod kwaterami delegacji fińskiej

zebrał się „element przypadkowy polujący na różnego rodzaju przedmioty, wielu

chuliganów i bikiniarzy. Rozmowy oraz pytania zadawane niektórym delegatom są

żenujące. Wiele rozmów prowadzonych było przeważnie na tematy seksualne.

Zachowanie

niektórych jest wprost oburzające. Np. jedna kobieta (lekkich obyczajów) proponowała po stwierdzeniu, że delegat ma pieniądze, pójście na zabawę”.

## **Trafiła mi się amerykańska komunistka**

„To była jedna wielka impreza alkoholowo-erotyczna – wspomina Stanisław

Manturzewski. – Takie seksualno-artystyczne odkorkowanie”.



„Krążyliśmy wtedy po mieście i naszym jedynym celem i pragnieniem było dorwanie

fajnych pańienek. Nie było to takie trudne – wspomina znany warszawski lekarz. –

»Pokój« w nazwie festiwalu miał dla nas bardzo duże znaczenie w tym sensie, że trudno

znaleźć było pomieszczenie na konsumpcję zawartej znajomości”.

„Trafiła mi się jakaś amerykańska komunistka – mówi Andrzej Roman. – Opowiadała,

jaki cudowny jest Związek Radziecki, zaś jej ojczyzna, nad czym ona bardzo boleje, dąży do wojny. Taka dokładnie wyszprycowana. Powtarzałem jej: masz rację kochana w stu procentach, tylko przysuń się troszkę bliżej. Panowała kompletna euforia. Nie czuć było żadnej kontroli. Milicjanci tylko stali pod ścianami i patrzyli spode łbów. Można było chodzić na rękach, na głowie, śpiewać cokolwiek i nikomu to nie robiło różnicy. Na zabawę pod Pałacem Kultury poszliśmy z kolegą ubrani w szlafroki, ot tak, chcieliśmy być oryginalni”.

Te trzydzieści tysięcy zalało kompletnie Warszawę. Goście zmieszali się z

tubylcami

i rozpoczęła się przez nikogo  
nieplanowana i niekontrolowana szalona  
zabawa. Rodacy płci obojga o  
egzotycznej urodzie wykorzystywali ten  
fakt do erotycznych podbojów.

„Takim podszokiem w ogólnym szoku  
był obraz delegacji izraelskiej –  
przypomina

Drawicz. – Wpatrywałem się w nią jak  
ciele w malowane wrota, bo w moim  
wspomnieniu

dziecięcym i powszechnym obrazie  
kulturowym Żydzi to byli tacy smutni,  
chudzi,

pejsowaci chłopcy w jarmułkach, a tu nagle przyjechały dobrze odżywione młode byczki,

każdy wyglądający jak atleta średniej wagi. No i te zupełnie cudowne dziewczyny...

Wszyscy patrzyliśmy na nich w osłupieniu i nie mogliśmy pojąć, że coś takiego jest

możliwe: oto są nowi Żydzi, zupełnie nowa rasa ludzi. Tego wrażenia nie mogę zapomnieć po dziś dzień”.

Warszawska ulica często nie chciała wierzyć tłumaczeniom, że ta egzotyczna i piękna kolorowa młodzież to krewni dawnych znajomych z Nalewek (a może

nawet oni sami).

Innego rodzaju był kłopot z Niemcami. Należy w tym miejscu przypomnieć

o gwałtownym ociepleniu tuż przed festiwalem stosunków radziecko-niemieckich.

W Polsce spowodowało ono natychmiast masowe pogłoski o zgodzie ZSRR na zjednoczenie

Niemiec i przyłączenie naszych „ziem odzyskanych”. Wszak w nocy rządu ZSRR do rządu

RFN można było przeczytać między innymi: „Wiadomo powszechnie, że w

latach, gdy

między naszymi narodami istniały przyjazne stosunki i współpraca, oba kraje miały z tego duży pożytek”.

W pierwszych dniach festiwalu aktywiści ZMP-owcy relacjonowali: „Zauważa się mocno

rozwinętą wrogą propagandę wokół niektórych delegacji zagranicznych, wyrażającą się

przede wszystkim w plotkach krążących w całej Warszawie na temat delegacji

niemieckiej. W Warszawskim Biurze Projektów Energetycznych krąży plotka,

że na

dzielnicy wolskiej zabito dwóch  
członków delegacji niemieckiej. Na  
dzielnicy Wola

w czasie zdawania na odznaki  
festiwalowe w dniu wczorajszym paru  
chłopców

opowiadało, że »niemiecką delegację  
przy witaniu na dworcu tak  
poturbowano, że kilku

delegatów odwieziono do szpitala«. Krąży również plotka, że wśród delegacji niemieckiej rozpoznano SS-manów. Sytuację tę pogarsza fakt, że w dniu przedwczorajszym jeden z

szoferów niemieckich opowiadał o tym, jak dawniej wyglądała Warszawa, pokazując,

gdzie było getto itp. Ponadto stwierdzono, że grupa szoferów niemieckich na Kole, gdy

dowiedziała się, że w kiosku zabrakło piwa, formułowała złośliwe uwagi, jak np. »Jak

w tej Polsce dobrze. Nawet piwa nie można się napić«. Jeden z tych szoferów porozrzucał

cukierki na ulicy, a gdy dzieci zaczęły zbierać, robił zdjęcia”.



Ożywione dyskusje w całej Polsce, zwłaszcza na zachodzie, wzbudziło otwarcie

festiwalu i „wystąpienie delegacji niemieckiej pod jednym sztandarem”.

Jeszcze w czasie trwania warszawskiej imprezy odpowiednie czynniki w województwie stalinogrodzkim (katowickim) zauważyły, że powracający z festiwalu autochtoni dużo chętniej i częściej niż poprzednio posługują się językiem niemieckim. „Według oświadczenia Zarządu Wojewódzkiego ZMP, wpływ na to wywarło spotkanie z delegacją Niemiec. Stąd też

Egzekutywa KW PZPR wysunęła wniosek, by młodzież z województwa stalinogrodzkiego

nie spotykała się oficjalnie z młodzieżą niemiecką”.

# Lenin na baterie

Któregoś dnia Andrzej Drawicz poznał sympatycznego Araba o niezapomnianym

uśmiechu, „w którym pokazywał całą paletę zębów”. Widzieli się kilka razy. Drawicz

zabrał go do przyjaciół z STS-u. Później spotykali się jeszcze dwukrotnie: w następnym roku na zjeździe studentów w Pradze i na festiwalu młodzieży w Moskwie w 1957 r. Wiele lat później Drawicz oglądał telewizję, gdy nagle mignął mu charakterystyczny uśmiech.

„Cholera, pomyślałem, skąd ja znam tę

bużkę? Ależ oczywiście! – toż to mój festiwalowy kolega”. Z telewizji Drawicz dowiedział się, że jego uśmiechnięty znajomy nazywa się Jaser Arafat.

Delegaci radzieccy chodzili z tak zwanym dzieciątkiem Lenin: znaczkiem wodza

wpisanego w gwiazdkę z żaróweczką w środku podłączoną do bateryjki schowanej

w kieszeni. Po zmierzchu setki takich świecących leninków pozwalały zlokalizować

przodującą delegację. Przybysze zza

Bugu prowadzeni byli zawsze w grupach i nie wolno

im było oddalać się pod żadnym pozorem, co już wówczas nawet ZMP-owcom wydawało

się dziwaczne. Gdy zniknęła jedna Rosjanka – przyczyną, jak się później okazało, była

randka z imperialistą – zrobiła się grubsza afera i, według delegacji radzieckiej,

polityczna prowokacja.

# Wrogie napisy

Do legendy festiwalu przeszły wyczyny delegatów murzyńskich, którzy mieli ponoć

uszcześliwić połowę warszawianek. Siła egzotyki była wówczas tak wielka, że dla młodej kobiety stanowiło szczyt sukcesu pokazanie się na mieście z kolorowym chłopakiem.

Wielu ludzi widziało w ogóle po raz pierwszy czarnych obywateli. Opowiadano potem, że

dziewięć miesięcy później pojawiło się w naszym kraju całkiem pokaźne stadko

czekoladowych niemowląt. Andrzej Oseka może potwierdzić jeden pewny przypadek,

ponieważ poznał ową miłą Mulatkę.

Na prowincji zaczęły szeroko krążyć plotki o „masowych rzekomo gwałtach kobiet przez

Murzynów”. Nie były to pierwsze głosy niechętne festiwalowi. Ludzie starsi widzieli

w nim często „jedną rozpustę”, przyczynę wielkiej demoralizacji młodzieży. Chłopi byli niezadowoleni, „że tak dużą ilość młodzieży odrywa się od pracy w polu w okresie żniw i

wysłała na zabawę do Warszawy.  
Oświadczają również, że koszty, które  
pochłonnie

festiwal, mogłyby być przeznaczone na  
budowę szpitali, szkół itp.

Na skutek niedostatecznej pracy z  
delegatami i uczestnikami, niektórzy z  
nich

rezygnują z udziału w festiwalu.

Komitety partyjne nie zawsze jeszcze w  
porę

przeciwstawiają się działalności wroga.  
W miejscach, gdzie najczęściej zbiera  
się młodzież, ukazują się wrogie napisy,  
nawołujące do rezygnacji z uczestnictwa



w festiwalu”.

31 lipca w Cieszynie nastąpiło oberwanie chmury. Rzeki Bobrówka i Puńcówka

wystąpiły z brzegów. Przerwana została komunikacja drogowa i kolejowa, kilkaset rodzin ewakuowano, a „elementy klerykalne” głosiły, że jest to kara za odstępowanie od wiary i za bezbożny festiwal. Ale i duchowni korzystali na warszawskiej imprezie.

Oburzeni

ZMP-owcy z Krosna informowali Zarząd Główny swej organizacji, że w Lubatowie „kler

zwrócił się do młodzieży, by w czynie festiwalowym (!) oczyściła mu stawy rybne”.

W ogóle „kler”, jak konsekwentnie pisali działacze, robił wrogą robotę. Organizował

wycieczki, imprezy artystyczne, pielgrzymki, turnieje ping-ponga, zawody sportowe,

straszył, groził, wyklinał; wszystko, byle tylko odciągnąć młodzież od festiwalu.

W województwie zielonogórskim elementy wrogie próbowały zastraszyć uczestników

wyjeżdżających na festiwal, wysyłając anonimowe listy zapowiadające katastrofy

pociągów jadących do Warszawy...

## **Właściwe oblicze**

A Warszawa kipiała i szalała. Chyba aż za bardzo. „Byłoby wielkim błędem, gdybyśmy

uważali festiwal jedynie za imprezę turystyczno-rozrywkową, gdyby pieśni i tańce (...) przysłoniły nam prawdziwą, głęboką treść festiwalu – niepokoiła się Monika Warneńska. – Chcieli ją zamazać i ukryć fagasi »Wolnej Europy«, którzy w swoich

monachijskich audycjach początkowo wylewali na festiwal wiadra pomyj i oszczerstw,

potem nieoczekiwanie zmienili front i tonem dobrotliwych wujaszków zdawali się

podzielać radość i wesołość zgromadzonej w Warszawie młodzieży, kierując do niej gorącą zachętę, by tańczyła, tańczyła jak najwięcej, by się bawiła, bawiła jak najhuczniej.

Oczywiście po to, by stłamsić, przekreślić właściwe oblicze festiwalu, który był niczym innym, jak potężnym wyrazem woli pokoju, woli walki o pokój – walki, której terenem jest cały

świat”.

Inny komentator wpierw spokojnie tłumaczył, że „zaczęliśmy tańczyć – lecz nie na

tańcach festiwal polega”. W drugim tygodniu warszawskiego szaleństwa walnął prosto

z mostu: „Monachijczycy wierzą, że zatańczą istotny sens festiwalu. Nie! Sensu tego się nie zatańczy choćby najdłużej trwającym tańcem. W Warszawie bowiem tańczy się w imię czegoś i przeciw czemuś!”.

Aktywiści pióra mogli się pocieszyć, że festiwal „prostował bajeczki o Polsce

i socjalizmie. Otworzyły się oczy wielu ludziom (...), którzy nałykali się mnóstwa bajek na temat »żelaznej kurtyny«, historyjek o prześladowaniu religii w Polsce, o agentach depczących pięty każdemu cudzoziemcowi. Bezpośrednie zetknięcie się z naszym życiem

zdarło w wielu wypadkach łuski z oczu zagranicznych gości. Jerychońskie mury kalumnii

wałą się od dźwięku festiwalowych fanfar”.

W pofestiwalowej ankiecie student łódzkiej Filmówki K. Romanowski wypowiedział

słowa następujące: „Przez cały czas zadawałem sobie pytanie, dlaczego nie bawimy się tak jak nasi koledzy z innych krajów, czemu polskie obrazy, które oglądaliśmy na wystawie plastyki, są tak smutne i melancholijne, czego nam właściwie brak?”.

Takie pytanie może uruchomić lawinę.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1995/32.

## **Jesteśmy mali, ale czerwoni**

A co tu robią dwie opowieści historyczne, o festiwalu młodzieży w 1955 roku i o obozach internowanych w stanie wojennym? No cóż, to również

historie przygodowe. Sławomir Mrożek pisał w stanie wojennym do ONZ, że Polacy to też Murzyni, tylko że biali, więc

się jakieś prawa nam należą. A skoro tyle w tej książce o Afryce, to może i trochę

o Polsce, której już nie ma.

No i nie zapominajmy, że jestem magistrem nauk historycznych, ciągnie wilka do lasu.

Chociaż nie zostałbym nim, gdyby nie rodzice. Co niedzielę, już po obiedzie, a przed



deserem, padało sakramentalne pytanie:  
„A jak tam praca magisterska?”,  
ewentualnie

„To kiedy się obronisz?”. Wszystko z  
ironicznym uśmiechem, którym mnie w  
końcu

załatwili, nie wytrzymałem i z pewnym  
poślizgiem obroniłem się w 1995, w  
wieku 27 lat.

Dzisiaj pewnie bym ich zaskarżył do  
sądu za przemoc psychiczną,  
symboliczną czy co tam się teraz nosi.

Ale jako w sercu konserwatysta, jestem  
im głęboko wdzięczny. Niby do niczego  
dyplom

w życiu się nie przydał, a jednak dobrze zrobiło mi na psychikę, że się obroniłem, a praca magisterska dostała nawet wyróżnienie w konkursie im Jana Józefa Lipskiego. Gdy je wręczali w siedzibie Polskiej Akademii Nauk w Pałacu Staszica, byłem w Afryce. Kiedy

wyczytano moje nazwisko, ktoś krzyknął: „nie ma go!”, ale zaraz ktoś inny dodał: „ale

jego mama tutaj jest!”. I tak było w istocie. Wzruszona odbierała dyplom, a kiedy gdzieś w Zairze czy Ugandzie czytałem jej list z pełną dumy relacją, mogłem sobie wyobrazić, jak wywołana przez prowadzącego uroczystość

poprawiła odruchowo włosy po bokach, tak jak to zawsze robiła, kiedy była przejęta, zestresowana, zdenerwowana. I choćby dla tej

chwili warto było tę magisterkę napisać i się obronić.

A w moim pokoleniu to wcale nie było takie oczywiste. Urodzeni na przełomie lat 60.

i 70., byliśmy dwudziestolatkami, gdy padała komuna i rodził się nowy, pełen możliwości świat. Idealny wiek, żeby rzucić się w nieznaną rzeczywistość. A studia? No, nie żartujmy. Ludzie szli do powstających mediów, rodzącej się reklamy, zmieniających się

urzędów państwowych i służb specjalnych, zakładali biznesy. Jeden z kolegów, dzisiaj

ważna szucha, parę lat temu zapisał się na studia MBA. Kiedy go zapytałem, po jaką

cholere, skoro sam mógłby uczyć tych studentów, a i w sumie wykładowców,

odpowiedział, że musi mieć argument w postaci jakiegoś dyplomu, kiedy będzie dzieciom

tłumaczył, że warto studiować.

Czy warto było iść na historię? Bez dwóch zdań. Przynajmniej jeśli o mnie

chodzi. Szlag mnie trafiał, jak godzinami analizowaliśmy jakiś średniowieczny edykt czy oświeceniową korespondencję, ale nauka analizy tekstów źródłowych – bezcenna. W tej dziedzinie miałem zresztą przygotowane niezłe podglebie przez licealną polonistkę, prof. Marię

Kalinowską. Na początku trzeciej klasy zapowiedziała, że szkoda czasu na Sienkiewicza, bo o czym tu niby mówić, fajne czytało i tyle, co możemy sobie sprawdzić w domu, a na lekcjach zajmiemy się sprawami poważnymi, czyli analizą *Dziadów* Mickiewicza i *Kordiana* Słowackiego. I, to nie żart, na każdy z dramatów poświęciliśmy po pół

roku.

Scena po scenie, wers po wersie,  
analizowaliśmy, dyskutowaliśmy,  
kłóciliśmy się. Może

trudno w to uwierzyć, ale zachęceni  
przez nauczycielkę do wyrażania choćby

najdziwniejszych poglądów, tak się  
pokłóciliśmy o monolog Kordiana na  
Mont Blanc, że

jedna z dziewczyn się popłakała,  
zmiądzona argumentami kolegi.  
Kalinowska regularnie

zaniżała mi oceny za prace pisemne.  
Żeby mnie zmobilizować, jak

tłumaczyła.

– Ale – awanturowałem się – Iksiński dostał piątkę, a ja czwórkę, a nie powie mi pani, że jego praca jest lepsza od mojej!

– Nie, ale on zrobił wszystko, co mógł, a ciebie stać na więcej, tylko się nie przykładasz wystarczająco.

Może ktoś z uczniów Kalinowskiej cierpi do dzisiaj, że nie poświęciła wystarczająco

czasu *Nad Niemnem* (szczerze mówiąc, chyba ograniczyła się do przewrócenia oczami gdy wymawiała tytuł), ale ja jej mogę tylko podziękować za

przygotowanie do zawodu.

Studiowanie na historii, oprócz solidnego pakietu wiedzy o tym, skąd się wzięliśmy,

dawało też świadomość, że wszelkie wydarzenia mają swoje korzenie i przyczyny,

omawianie zaś ich w oderwaniu od kontekstu jest nierozsądne albo po prostu głupie. Choć dzisiaj nagminne. Ale to inna historia.

No i niekończące się rozmowy i dyskusje. Zanim wyjaśnię związek między fabryką



mrożonek firmy Hortex i powstaniem styczniowym, krótka opowiadka felietonowa, którą

napisałem jakiś czas temu, traktująca o tamtej atmosferze.

## **Okupanta poproszę**

Wiosną roku Pańskiego 1988 byłem cudownie młody, należałem do nielegalnego,

podziemnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów i strajkowałem sobie radośnie na

Uniwersytecie Warszawskim. Od razu wyjaśniam rzecznikowi SLD

Dariuszowi

Jońskiemu, że ten strajk, mimo  
zwodniczej zbieżności dat, to nie było  
Powstanie

Warszawskie. Chociaż wielu z nas  
zachowywało się, jakby właśnie był  
ranek 1 sierpnia

1944 roku. To głębokie poczucie, że oto  
przy Krakowskim Przedmieściu  
tworzymy

historię, że jak tyle pokoleń przed nami  
idziemy do walki o wolną Polskę, było

wszechobecne i, przynajmniej dla mnie,  
nieodparcie komiczne, choć każdym

skrawkiem

duszy o tej niepodległej Polsce  
marzyłem.

Ale jak się człowiek za dużo naoglądał  
w najwcześniejszej młodości Monty  
Pythona

i *Allo, Allo*, to trudno było zachować  
powagę, obserwując przejęte  
dziewczęta szykujące strajkowe kanapki  
i termosy z herbatą, młodzieńców w  
biało-czerwonych opaskach (sam  
nosiłem, a co!). I w tych opaskach,  
uzbrojeni w latarki, patrolowaliśmy  
uniwersyteckie opłotki, spodziewając  
się w nocy ataku ZOMO (panie  
Prezesie, nie stałem tam, gdzie oni!) lub

ubeków.

Na tych patrolach kwitły cudowne nocne  
Polaków rozmowy, bo ten nasz NZS  
skupiał

ludzi od lewa do prawa. Kłóciłem się  
wtedy nocą – nie, nie kłóciłem,  
dyskutowałem –

z kumplem, który był zafascynowany  
konserwatywnym liberalizmem à la  
Korwin-Mikke,

czego ja, wówczas mocno lewicowy,  
przesiąknięty tradycją przedwojennej  
PPS, pojąć nie

mogłem, a on z kolei pracował

intensywnie, by wygnać ze mnie to, co  
postrzegał jako

lewactwo. Co nie zmieniało faktu, że  
łączyły nas rzeczy zupełnie  
podstawowe:

demokracja, wolność słowa i  
zrzeszania, precz z komuną i Ruskimi,  
chcemy wolnej Polski.

Właśnie mi w telewizji mignął profesor  
Tomasz Nałęcz od pana prezydenta, jak  
zwykle

płynnie objaśniający z zatroskanym  
wyrazem twarzy jedynie słuszny sens  
bieżących

wydarzeń, a to przypomniało mi, jak kilka miesięcy po strajku, w czasie NZS-owskiej

demonstracji, doszło do niezłej zadymy z ZOMOwcami. Jako pacyfista z natury zawsze

miałem problem z miotaniem kamieni i śrub, więc ograniczałem się do obelżywych

wrzasków i starań, by nie dostać pałą, co niestety się nie powiodło. Ale konserwatywny kumpel okazał się biegły nie tylko w lekturze prac Friedricha Hayeka, lecz także w ćwiczeniach sprawnościowych i w którymś momencie tak huknął z gołej piąchy

ZOMOWca, że tamtemu pękł pleksiglas chroniący twarz, a koledze kość dłoni.

Otoczony mołojecką sławą dzień później z ręką w gipsie czy bandażach stawiał się jak co tydzień na seminarium profesora Nałęczca, który z troską zapytał, co też mu się w łapkę stało. Co zebrani studenci powitali chichotem, bo profesor był znanym działaczem PZPR, która ZOMO-wców na nas posyłała. Więc jak spojrzę w telewizor, to przypomina mi się zdanie Franza Maurera z *Psów*: „Czasy się zmieniają, ale pan zawsze jest w komisjach”.

Tamtej majowej nocy świetnie się też gadało z KPN-owcami, ówczesnymi

radykałami,

którzy naprawdę gdyby mogli,  
rozpoczęliby powstanie, choćby zaraz.  
Szczególną sympatią darzyłem grupę,  
która cieszyła się nie do końca formalną  
nazwą KPN Rybitwa. Tu wyjaśnienie  
dla niewarszawiaków i młodszych  
mieszkańców stolicy. Rybitwa była  
jedną

ze słynnych pijalni piwa położonych na  
nadwiślańskim, legendarnym Szlaku  
Orlich

Gniazd. W niej, a także w Mewie czy  
Albatrosie, mieszała się charakterna  
ludność



okoliczna ze studenterią, profesurą,  
artystami czy bardziej rozrywkowymi  
działaczami

wspomnianego KPN. Stąd i KPN  
Rybitwa. Ja ich uważałem trochę za  
wariatów, oni mnie

za mięczaka i jakoś mimo wszystko szło  
gadać i razem knuć przeciwko  
czerwonym.

Na strajku, już nie nocą, ale następnego  
dnia, w przerwie między wiecami,  
pogadałem

nawet długo i kulturalnie z dość  
radykałnym narodowcem. Dzieliło nas  
praktycznie

wszystko, co potwierdziliśmy w protokole rozbieżności na zakończenie rozmowy,

zgadzając się jedynie co do tego, że komunistów szlag ma trafić i zrobimy wszystko, by tak się stało.

Wspominam te zamierzchłe czasy, bowiem obserwując nasze coraz ciekawsze życie

polityczne, sympatyczną wymianę poglądów między adwersarzami, zdolność

porozumiewania się w sprawach ważnych dla kraju, dochodzę do wniosku, że jest jedno

proste rozwiązanie. Kiedyś za komuny  
Jan Pietrzak proponował, by  
wypowiedzieć wojnę

USA i natychmiast się poddać, a w ten  
sposób zyskamy wolność i demokrację.  
To ja tak

samo, ale na odwrót. Wypowiedzmy  
wojnę Białorusi, niech Łukaszenko  
przyjdzie i nas

gnębi długo i mocno. Wtedy wreszcie  
będziemy mogli ze sobą normalnie  
rozmawiać

i współpracować. W podziemiu.

\*

Tyle felieton. Wracamy do opowieści.

Jak wiadomo, studenci to degeneraci i swołocz. W dodatku za nieboszczki komuny

jeszcze ideowo niepewni. Więc po demonstracjach i strajkach 1968 roku władza ludowa

wymyśliła przymusowe praktyki robotnicze dla przyszłych studentów. Każdy, kto zdał

egzaminy na studia, musiał latem przed pierwszym rokiem przepracować miesiąc

w fabryce na stanowisku robotnika

niewykwalifikowanego, by w ten sposób przyswoić

problemy klasy robotniczej i poznać prawdziwe życie.

No bo wiadomo, że dla przyszłego magistra nauk historycznych praca w fabryce opon

i prezerwatyw, na taśmie przy produkcji samochodów lub przy sortowaniu owoców jest

niezwykle przydatna. A taki wybór miał mój rok latem 1987. Trafiłem do fabryki

mrożonek Hortexu w Górze Kalwarii pod Warszawą i powinienem dziękować

Opatrzności. Bo część zesłano do Stomilu w Olsztynie, a reszta zostawała co prawda

w Warszawie, ale w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, pracując na taśmie

razem z kryminalistami. No i byli tak uwaleni smarami i zmęczeni po szybcie, że zanim się doprowadzili do porządku, to już czas był na lulu. W obydwu zakładach pracy panował

burdel tak kosmiczny, że nawet najbardziej zaprzysięgli wrogowie systemu byli w szoku, do czego potrafi doprowadzić socjalistyczna gospodarka planowa.

Na tym tle fabryka mrozonek to był raj.  
Było upalne lato, ale my pracowaliśmy

w chłodni, więc tak jakby w  
pomieszczeniach klimatyzowanych w  
czasach, kiedy nikomu

klimatyzacja nad Wisłą się nie śniła.  
Mieliśmy gustowne ubranka robocze w  
postaci

gumofilców, walonek, pikowanych  
ogrodniczek i uszatek, no i było bardzo  
wesoło.

Generalnie nasza praca polegała na tym,  
że segregowaliśmy malynę i truskawkę.  
Tak

właśnie w liczbie pojedynczej, mnogiej  
nie używano i mały na przez  
warszawskie twarde

„ly”, jeśli wiecie, o czym ja mówię.  
Więc się szło do zamrażarki i brało 20-  
kilogramowy worek truskawki.  
Następnie powrót do chłodni. Tu  
wysypywaliśmy zawartość powoli na  
wielkie sita, by kurdupłowate  
egzemplarze przeleciały i poszły się  
robić na dzemy czy co tam. Duże, które  
pozostały na sicie, wysypywaliśmy na  
długie metalowe stoły, przy których stała  
większość praktykantów i polowała na  
zgniłki do odsiania. Ocaleńcy

zjeżdżali na końcu stołu do



przezroczystych torebek, hop na wagę, pół kilo odmierzone, ulotka do środka i do kartonika marsz!

Te 20-kilogramowe worki odgrywały istotną rolę w życiu towarzysko-uczuciowym

zakładu. Większość zatrudnionych to były kobiety, więc dwuzębne chłopaki pracujące na

hali już na dzień dobry miały do przodu. A jak taki Zdzisiek podszedł cichutko do Mariolki od tyłu i huknął po plecach tym worem, że dziewczynę prawie do ziemi przygięło, no to już jej wszystkie zazdrościły, bo wiadomo było, że mogą z tego być dzieci jak ta mały.

Albo truskawka.

No i państwo sobie przedstawiają: te worki, chłodnia, walonki, gumofilce, a my, sortując owoc mrożony, dyskutujemy o szansach powstania listopadowego, sensowności styczniowego, czy absolutyzm oświecony mógłby uratować Pierwszą Rzeczpospolitą, kto

bardziej przysłużył się odzyskaniu niepodległości, Piłsudski czy Dmowski, i prawie na

noże idzie, gdy endek z roku mówi, że Piłsudski był zwyczajnym kryminalistą, bo napadał

na pociągi w carskiej Rosji, której

prawa winien był przestrzegać,  
ponieważ był poddanym praworządnie  
panującego cara. Kilku z nas chce  
endeka potraktować workiem mrożonej  
truskawki, i to bynajmniej nie w celach  
erotycznych, drzemy się na siebie,  
zapiekłe

gestykulujemy, a klasa robotnicza z  
kalwaryjskiej fabryki patrzy na nas jak  
na osobników po lobotomii mózgu.

Był na szczęście też „Brzuch”, czyli  
Andrzej Brzuskiwicz, później  
dziennikarz m.in.

Radia Zet i TVN24, z którym mogliśmy  
się powymieniać wrażeniami z  
najlepszego

ówczesnego festiwalu Warszawy, czyli Róbrege, organizowanego tego lata w namiocie

cyrku Intersalto na Woli. No i podniecaliśmy się Kultem i T.Love Alternative, jak chyba jeszcze w pełnej wersji nazywał się wówczas wesoły ansambl Zygmunta Staszczyka.

Tak naprawdę studiowałem niespełna trzy lata, gdyż w 1990 wyjechałem na rok do

Stanów, a po powrocie zaczął się najpierw wakacyjny, a potem wiecznie przedłużany staż w „Polityce”, który w efekcie zamienił się w 12 lat (z przerwami) spędzonych w redakcji.

Więc gdy wróciłem do Polski w 1991, to na uniwersytet wpadałem jak po ogień, byle zaliczyć kolejne coraz mniej mnie interesujące zajęcia. A że w sumie wszyscy rozpiechli się w swoje strony, zaczynając prace, a czasem błyskotliwe kariery, to nie było

poza naukowych powodów, by częściej gościć na Karkowskim Przedmieściu.

Za to te trzy lata prawdziwych studiów, a szczególnie pierwsze dwa, od przyjscia na

uniwersytet jesienią 1987 do częściowo wolnych wyborów 4 czerwca 1989 to rock'n'roll

w czystej postaci.

Jednym z powodów, dla którego  
wybrałem historię, była jej legenda  
najbardziej

opozycyjnego wydziału na  
uniwersytecie. Co w sumie nie powinno  
dziwić. W kraju, gdzie

kłamano na każdy temat, najbardziej  
zakłamywano przeszłość. Siłą rzeczy  
ludzie, którzy szli się uczyć prawdziwej  
historii, stawali się potencjalnymi  
rebeliantami. A na historii panowała  
pełna wolność. Dość przytoczyć  
zabawną w sumie scenkę. Oto Paweł  
Piotr Wieczorkiewicz, świetny historyk,  
a przy okazji członek PZPR do samego

końca i jej drugi sekretarz na wydziale,  
omawia z nami sprawę pułkownika  
Kuklińskiego. I w którymś momencie  
dochodzi do bardzo ciekawego sporu,  
bo sekretarz PZPR, dla której oficjalnie

pułkownik jest najgorszym zdrajcą z  
możliwych, wynosi Kuklińskiego pod  
niebiosa jako

polskiego bohatera, którego walka z  
komunizmem miała realny sens w  
przeciwieństwie

do krajowej opozycji, a na to kilku  
członków podziemnego,  
antykomunistycznego

Niezależnego Zrzeszenia Studentów

argumentuje, że może na bohaterów bardziej nadają

się jednak działacze nielegalnej „Solidarności”, którzy przesiedzieli swoje w więzieniach i nie byli amerykańskimi szpiegami.

Więc jak wielu szedłem na historię, licząc, że się zadzieje i się zadziało. Była nas

całkiem pokaźna czereda. Tak jak po grupie dresiarzy, która wchodzi do lokalu znać, że mają ochotę na bitkę, tak i po nas było widać, że marzy nam się dym. Szybko nas wyłowili koledzy ze starszych lat, wśród nich między innymi „Mario”, czyli Mariusz



Kamiński, późniejszy twórca CBA, a dzisiaj wiceprezes PiS-u, „Papa”, Andrzej Papierz, do niedawna ambasador w Bułgarii, czy „Skwiet”, Piotrek Skwieciński, później dziennikarz „Rzeczpospolitej”, prezes Polskiej Agencji Prasowej, dzisiaj publicysta „W Sieci”.

Lubię dzisiaj słuchać opowieści o tym, jak to cały naród walczył z komuną,

a przynajmniej był jej wrogi. Na historii, która była najbardziej rozpolitykowanym

środowiskiem, w jakim obracałem się przez całe moje życie, w momencie największego

entuzjazmu, kiedy wiosną 1988 roku  
NZS wychodził na powierzchnię, w jego  
działania

w jakikolwiek sposób zaangażowała się  
jedna trzecia mojego roku. Kosmiczny  
wynik, bo

dla całego Uniwersytetu to było w  
porywach, jedynie w porywach na  
niektórych

wydziałach, 10%. A mówimy o  
Warszawie, względnie  
najbezpieczniejszym dla

opozycjonistów wówczas mieście i jego  
najlepszej, najbardziej niezależnej od  
władz

uczelnii. W moim porządnym warszawskim liceum jakoś tam zaangażowanych

w jakąkolwiek działalność można było policzyć na palcach kilku rąk. Nie mówię, że to źle, choć wtedy czułem pewne rozzalenie, ale tak przypominam, zwłaszcza młodszym czytelnikom, jakbyście znowu usłyszeli banialuki o tym, jak to cały naród... Gównno

prawda. Większość narodu zajęta była swoimi prywatnymi sprawami. Jak Jaruzelski

zorganizował jesienią 1987 jakieś absurdalne referendum, to dwie trzecie ludu szło. I choć władzę większość

darzyła niechęcią, to opozycję  
przynajmniej taką samą nieufnością.

Więc tak, byliśmy w mniejszości. Ale za  
to całkiem fajnej, bo przyciągającej

najaktywniejszych, najciekawszych ludzi  
pokolenia. Dookoła trochę wariatów,  
sporo

adrenaliny, przekładańców męsko-  
damskich i balang do utraty tchu, do  
utraty sił.

I dziwnie się to wszystko mieszało.  
Zważywszy na to, że w PRL-u  
brakowało wszystkiego, to i nic  
dziwnego, że brakowało też środków  
antykonceptyjnych. Ówczesnym hitem

rynkowym był jugosłowiański patentex oval, który ciężko było kupić, czyli jak się

wówczas mówiło – „dostać”. Chyba że się miało kumpla, którego matka była

ginekologiem. Pozostawało jeszcze się umówić na odbiór, co było trochę trudniejsze

logistycznie niż dzisiaj ze względu na brak komórek, a w dodatku studiowaliśmy na

różnych uczelniach i byliśmy totalnie zalatani. Więc kolega, również zaangażowany

w działalność opozycyjną, wymyślił  
rozwiązanie najprostsze. 11 listopada  
pod katedrą

przed tłumną mszą z okazji  
nieobchodzonego w PRL-u Święta  
Niepodległości, w bramie

na Świętojańskiej, nastąpiło przekazanie  
cennej paczuszki. I wtedy podszedł do  
nas kolega z NZS-u, nieco zirytowany: –  
Czy wy już kompletnie zdurnieliście,  
żeby tutaj, z ubekiem na ubeku, bibułę  
sobie przekazywać?!

Kolega był dosyć poważnie wierzący,  
więc woleliśmy już robić za kretynów  
niż przyznać

się, że w kopercie było coś innego niż podziemny „Tygodnik Mazowsze”.

Swoją drogą, ucieszyłem się po latach, studiując w IPN-ie swoją teczkę i czytając prace o uniwersytecie tamtego czasu, że nasz NZS był słabo rozpracowany przez ubecję. Założyli mi „sprawę operacyjnego rozpoznania” po pierwszym aresztowaniu w kwietniu 1988

w trakcie rozdawania anglojęzycznych ulotek zagranicznym Żydom przybyłym na

obchody 45. rocznicy powstania w getcie. Dali mi kryptonim operacyjny „Banan”, co

świadczy, że nie byli pozbawieni poczucia humoru, i zaplanowali, co następuje:

„1. Systematyczne rozpoznawanie kontaktów figuranta na terenie uczelni oraz w innych

środowiskach. 2. Określenie stopnia zaangażowania się w działalność NZS.

3. Stała

kontrola operacyjna figuranta. 4.

Zgromadzenie materiałów dokumentujących działalność

figuranta”. Z ubeckich raportów dowiedziałem się, że jeszcze przed pierwszym



aresztowaniem prowadzono obserwację  
naszego mieszkania i że mieliśmy  
założony

podśluch. Jeśli czyta te słowa były  
podporucznik SB J. Piekarski, to  
pozdrawiam go

z okazji tych dni i nocy pod naszym  
domem, gdy musiał raportować, ile to  
osób płci obojga wchodzi i wychodzi  
ode mnie.

Podporucznik Piekarski był niemal jak  
stalker, łaził za mną i łaził. Po Dniu  
Dziecka

1988 raportował do pułkownika doktora  
R. Dreżewskiego, że w „centrum

Warszawy

odbyła się impreza Rewolucja  
Krasnoludków. (...) Eksponowano liczne  
transparenty

i hasła, m.in. »Milicja w krainie  
czarów«, »jesteśmy mali, ale czerwoni«  
(...) wznoszono okrzyki: »chcemy  
śmieszka nie Wojcieszka«. W  
happeningu Rewolucja Krasnali czynny  
udział wzięli czołowi aktywiści NZS  
UW, a wśród nich Marcin Meller”.

Trochę po ludzku mi przykro, że  
zostałem przez esbeków zaliczony do  
frakcji

umiarkowanej wśród aktywistów

uniwersyteckiego NZS-u. Pocieszam się,  
że w dobrym

towarzystwie, bo razem z Pawłem  
Lisickim, dzisiaj redaktorem naczelnym  
tygodnika „Do

Rzeczy”.

Ale najbardziej rozbawiło mnie to, że  
do inwigilacji 20-letniego gówniarza  
skierowali

czterech tajnych współpracowników.  
Jednak żaden z nich nie był z mojego  
kręgu ani

nawet środowiska, bo jak widać nikogo  
tam nie mieli. Najbliżej (a i tak bardzo

daleko) był

niejaki „Mieczysław”, czyli Bogusław Kowalski, działacz katolicko-narodowy na

uniwersytecie, później polityk endecki i poseł PiS-u, gdzie wszyscy wiedzieli, że to dawny agent, ale że był bliski Radiu Maryja, to w jego wypadku czujność lustracyjna w partii trochę osłabła.

Kiepska orientacja ubeków miała też przykre skutki uboczne dla życia erotycznego

jednego z kolegów. Oto co się zdarzyło.

Równocześnie z wychodzeniem NZS-u

na powierzchnię z Wrocławia do  
Warszawy

dotarła fala cudownie absurdalnych  
happeningów Pomarańczowej  
Alternatywy.

Zaangażowałem się w nie po uszy,  
budząc irytację niektórych bardziej  
bogoojczyźniano

nastawionych kolegów z NZS-u. Że to  
niepoważne, że odciągamy młodzież od  
walki na

serio z komuną, robiąc sobie  
bezsensowne jaja na ulicach. Że  
obracamy wszystko

w absurd, a tu walka na śmierć i życie.  
Nie sądzę, że gdyby nie było  
happeningów

Pomarańczowej, to jej uczestnicy  
zwiększyliby frekwencję na mszach za  
ojczyznę (choć

niektórzy, na przykład ja, byli i tu, i tu).  
Ale i tak najważniejsze było to, że

Pomarańczowa Alternatywa trafiała do  
mnie idealnie ze swym surrealistycznym,

anarchistycznym poczuciem humoru,  
które, uważałem, jest dla tej władzy  
bardziej

niebezpieczne niż śpiewanie grobowym

*głosem Ojczyzna ma, tyle razy we krwi  
skąpana...*

Spójrzcie choćby na taką scenę.

Jesienią 1988 zorganizowaliśmy (my,  
czyli Warszawska Pomarańczowa  
Alternatywa)

na Starym Mieście obchody Rewolucji  
Październikowej. Tak się złożyło, że  
praktycznie

wszyscy poza mną organizatorzy zostali  
aresztowani przed happeningiem.

Nauczony

wcześniejszym Dniem Milicjanta, o  
czym za chwilę, przez kilka poprzednich

dni

nocowałem poza domem. No i mam pod  
Barbakanem wielotysięczny tłum  
młodych ludzi,

w większości jeszcze młodszych niż ja,  
których rozpiera energia, dookoła  
ZOMO,

a wszyscy moi koledzy, którzy  
przygotowywali jakieś happeningowe  
atrakcje, siedzą. Co

robić, żeby zaraz nie doszło do jatki?  
Już nie pamiętam, czy sam na to  
wpadłem, czy ktoś mi podpowiedział,  
ale z murów Barbakanu wyryczałem, że  
jak święto rewolucji, to trzeba oddać



hołd Włodzimierzowi Iljiczowi  
Leninowi i idziemy do jego muzeum,  
które mieściło się przy ówczesnej  
Świerczewskiego, a dzisiejszej alei  
Solidarności. No i tłum ruszył.

A ZOMOWcy:

– Dokąd, kurwa?!

– Do muzeum wielkiego przywódcy  
światowego proletariatu, Włodzimierza  
Iljicza

Lenina! – odpowiadali grzecznie młodzi  
ludzie. A na to ZOMOWcy: – Już my  
wam,

kurwa, damy pierdolonego Lenina!!!

No dla samego tego tekstu z ust  
zbrojnego ramienia władzy ludowej  
warto było robić

„hepy”.

I tu trzeba cofnąć się o miesiąc. Na  
Dzień Milicjanta (nie robię sobie jaj,  
było coś

takiego) przyszykowaliśmy happening na  
placu Dzierżyńskiego, czyli Bankowym.

W przeddzień wieczorem wracałem na  
rowerze do domu, pod którym już  
czekali

w samochodzie. Nie zdążyłem zawrócić,  
pozwolili zostawić rower w mieszkaniu,

gdzie

dziadkowie pilnowali mojego młodszego rodzeństwa, bo rodzice byli za granicą. Później się okazało, że ubecy przyszedli najpierw do domu, babcia powiedziała, że mnie nie ma, ale niedługo powinienem wrócić, bo, jak tłumaczyła, myślała, że to moi koledzy. No to

grzecznie poczekali. Jak się tata o tym dowiedział po powrocie, kiedy nadal siedziałem, to dostał piany i krzyczał na babcię: – I ty stara przedwojenna komunistka nie poznajesz tajniaków, jak przychodzą do domu?!

Zawieźli mnie na Mostowo, czyli do

komendy wojewódzkiej w Pałacu Mostowskich. Tam

przesłuchiwali, bawiąc się w dobrego i złego ubeka, a ja bawiłem się, udając kompletnego głupka. Potem przerwali z komisariatu na komisariat, szukając wolnego miejsca w areszcie, aż zostawili na Oczapowskiego. Kiedy wszedłem do celi, ucieszyłem się wielce, gdyż zastałem w niej dobrego kolegę z NZS-u, ale, nie wiedząc czemu, ledwo mi odpowiedział na powitanie, obrócił się tyłem i udawał, że śpi. Na drugiej pryczy leżały jakieś nieznane, spore, parujące wódą zwłoki. Które obudziły się rano (kumpel nadal się do mnie nie odzywał) i zaczęły sobie

przypominać, jak tu w zasadzie trafiły. A trafiły tak, że poprzedniego wieczoru oglądały mecz w telewizji, popijając go piwkiem. Wieloma piwkami. Które trzeba było zrzucić w przerwie meczu. Kiedy zwłoki wróciły do pokoju, na kanapie przed telewizorem siedziała konkubina zwłok i oglądała drugi program. Zwłoki powiedziały, żeby natychmiast przełączyła na mecz i wypierdalała.

– A ta kurwa nic. No święty by się wkurwił, nie? No to wyjechałem jej lekko, uciekła.

I dobrze. Druga połowa meczu, siedzę sobie spokojnie, a tu dzwonek do drzwi.

Patrzę, psy.

Mówię, żeby spierdalali, wracam na mecz. A ci, kurwa, z drzwiami wchodzą i się na mnie rzucają. A za nimi moja pani z taką pizdą pod okiem. Że to niby ja jej zrobiłem.

Facet był recydywistą, wielokrotnie siedział, wielokrotnie konkubina zgłaszała pobicie.

Teraz doszła jeszcze obraza munduru, czynna napaść na milicjanta, więc szykował się

kolejny wyrok. A tymczasem częstował nas opowieściami, z których najlepsze były o tym, jak siedział w stanie

wojennym z politycznymi i błagał o przeniesienie, bo myślał, że zwariuje od niekończących się wykonań pieśni patriotycznych.

Tą historyjką współlokator rozbroił i mojego kumpla, dzięki czemu wreszcie się

dowiedziałem, dlaczego się na mnie boczy. Tu trzeba zaznaczyć, że kolega serdecznie

i szczerze nie cierpiał Pomarańczowej Alternatywy, uważając ją za wyjątkową

gówniarzerię. A od jakiegoś czasu czynił coraz bardziej intensywne podchody pod pewne

urocze dziewczę. Które było odporne i trudne do zdobycia. Aż wreszcie po długich

tygodniach miał nadejść Ten wieczór, zgodziła się złożyć wizytę w jego domowej samotni.

– Posprzątałem mieszkanie. Udało mi się dostać białe wino, chłodziło się w lodówce.

Prysznic wzięty, dzwonek do drzwi, uśmiechnięty szeroko otwieram, a tam dwóch

smutnych: „Pan X? Pan pójdzie z nami”. Ja się pytam, za co? A oni, że to prewencja przed jutrzejszymi



możliwymi zamieszkaniami z powodu happeningu. Myślałem, że oszaleję.

Przecież ja z tym debilnym happeningiem, z którego powodu mnie brali, nie miałem nic

wspólnego! O czym zresztą doskonale wiesz. Więc jak cię zobaczyłem w drzwiach celi, to myślałem, że zatłukę.

No i proszę, gdyby ubecja wiedziała, kto działa w Pomarańczowej, tylko od kolegi

zależałoby, czy ta noc do innych byłaby niepodobna. Ale oni brali z klucza NZS-owskiego, myśląc chyba, że to ci sami ludzie robią. W moim wypadku trafili, w

przypadku kumpla i na jego zgubę, już nie. I nie wiem, czy dziewczyna wykazała się zrozumieniem dla

więziennej odysei niedoszłego Romea i odwiedziła go raz jeszcze. Nie śmiałem pytać.

## **Śpiewały wszystkie internaty**

W stanie wojennym władze pozbawiły wolności 10 tysięcy przeciwników.

14 grudnia 2001 roku osobliwy pochód ciągnął przez więzienie w podwarszawskiej

Białołęce. Na zaproszenie kapelana i dyrektora zakładu karnego z okazji

rocznicy stanu wojennego zjechali pensjonariusze sprzed lat – teraz dziennikarze, niedawni ministrowie, działacze społeczni, urzędnicy państwowi i samorządowi, aktywiści praw człowieka, emeryci, intelektualiści, biznesmeni.

Przyjechali autobusami. Na początku spokojni, ale gdy po mszy rozpełzli się po

korytarzach i celach, rozdokazywali się jak małe dzieci. Przekrzykiwali się, kto w której celi siedział, kto na jakim łóżku, że numery pozmieniane, a tu bimber był schowany.

Jakby im ubyło 20 lat.

„Uważając, że pozostawanie na wolności obywatela (...) zagrażałoby bezpieczeństwu

państwa i porządkowi publicznemu przez to, że (...) (np. nawoływał do niepokoju

społecznych – MM) na zasadzie art. 42 dekretu z dnia 12.12.81 o ochronie bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego postanawia się internować ob. (...) i umieścić go w ośrodku odosobnienia w (...).

Komendant Wojewódzki MO”. Po 13 grudnia taki dokument z wpisanym własnym nazwiskiem przeczytało około

dziesięciu tysięcy osób. Zapełniły kilkadziesiąt obozów.

## **Do kryminału też kolejka**

Obojętnie, skąd wygarnęli – czy wywalili łomem drzwi w domu, czy wtargnęli do

siedziby Solidarności – najpierw brali na komendę.

Anatol Lawina, działacz Solidarności, jeszcze w latach 70. związany z opozycją, dzisiaj pracownik instytucji państwowej: – Na komisariacie to była mieszanina Pałacu Smolnego z groteską. Harmider, tłok, tramwaj, nie można było wsadzić igły. Każdego z nas

prowadziło dwóch, więc powstała gigantyczna kolejka, czyli nadal śmiesznie, bo nawet do pierdła kolejka. Tam nie było świadomości grozy, raczej buta, że tamci zaraz dostaną wpierdol, bo za nami Polska cała stanie. No i pełno znajomych, wielu na cyku, bo to

sobota była. Po jednej stronie korytarza my – roześmiani, po drugiej oni – ponurzy.

Marka Nowickiego, wówczas szefa zespołu do spraw technicznej organizacji akcji

protestacyjnych (czyli dla władzy – szefa od zadym), a dzisiaj prezesa Komitetu

Helsińskiego w Polsce, przewieźli na Mostowo, czyli do Komendy Stołecznej.

– W czasie

przesłuchania straszili rozstrzelaniem, chcieli znać plany strajkowe. Na początku

myślałem, że to kolejna awantura, nie wierzyłem, nawet jak pokazali dekret o stanie

wojennym. A jak do mnie dotarło, to wiedziałem, że wszystko jest możliwe. Ci, których

internowali później, już wiedzieli, że raczej ich w lesie nie rozwalą. My nie wiedzieliśmy nic. Co się z nami stanie,

dokąd wiozą, może na wschód?

Lawina, który był prezesem  
reaktywowanego za Solidarności  
Patronatu –

stowarzyszenia pomocy więźniom i ich  
rodzinom (kasywa Prezes w Białoleńce,  
także

z powodu skłonności do organizowania  
życia więziennego), zaczął się  
awanturować od

samego początku: – Wiedziałem, bo  
siedziałem już wcześniej, że reguły  
ustanowione na

początku potem będą obowiązywać,



więc ruszyłem do boju o jak najlepsze warunki.

Internowani, przynajmniej teoretycznie, nie byli więźniami, lecz ograniczono ich

wolność. Skoro tak, to jak Polska długa i szeroka starali się o otwarcie cel, by mogli kontaktować się z innymi internowanymi, o częste widzenia, dostęp do informacji, niestosowanie wobec nich reżimu dla kryminalistów. W praktyce wszystko zależało od

zadziorności i pomysłowości internowanych, podejścia dyrekcji więzień i klawiszy,

wreszcie od tego, czy był to mały

ośrodek dla działaczy z prowincji, czy też internat

z obsadą gwiazdorską, jak Białoleka, w dodatku blisko Warszawy i zachodnich

dziennikarzy. Były więzienia, gdzie internowanych brutalnie bito, były takie, gdzie

strażnicy chodzili na paluszkach. Były internaty, gdzie więźniowie oddawali

odwiedzającym jedzenie, bo tyle paczek przychodziło, były i takie, gdzie usmażona cebula uchodziła za rarytas.

Prawie wszędzie dochodziło do głodówek z żądaniami politycznymi, ale też o poprawę warunków.

Wszystkim internowanym podtykano do podpisania lojalki, w których mieli się

zobowiązać, że wyrzekną się wzajemnej działalności, w zamian za co mogliby uwolnić się

z internowania. Zdecydowana większość odmawiała. Jeszcze w styczniu 1982 roku władze

stanu wojennego zaproponowały internowanym rodzaj dobrowolnej banicji: uwolnienie

w zamian za wyjazd za granicę. Im więcej miesiące mijało, im większa beznadzieja

panowała za murami, tym więcej internowanych, zwłaszcza na prowincji, często pod

wpływem rodzin, decydowało się na wzięcie paszportu.

**Zlikwidować bałwana**

**Zlikwidować bałwana**

Lawina: – Na święta jedna z grup na spacerunku ulepiła bałwana. Następni, którzy

wychodzili, zaczęli przed nim defilować, ktoś mu wsadził ciemne okulary. Bałwan stał się symbolem. Przyleciał do mnie oficer, że bałwan

musi zniknąć. Ja mu na to, że jestem prezesem, ale od więźniów, a nie od bałwanów. Na to tamten, że bałwan to demonstracja

polityczna i jaja z generała. Ja, że bałwan to bałwan, a jak się komuś kojarzy, to jego sprawa. Bałwan stał nieruszony do końca wizyt, na które pozwolili tego dnia z okazji świąt. Kiedy się skończyły, zaczął się prawdziwy cyrk. Oficer kazał kalifaktorom

(funkcyjnym więźniom kryminalnym) zlikwidować bałwana. Ci się wstydzili, kręcili się

wokół tego bałwana i nic. Wtedy ktoś z

naszego baraku krzyknął: w ryja go! No i się

zaczęło. Dołączyli kryminalni. Wpierdol mu! Kopa mu daj! W patrzałkę! No to jak tak, to ci na dole wzięli się do roboty. Oficer chyba przeklinał samego siebie, że nie zostawił

w spokoju bałwana.

Na święta otwarto w Białołęce cele. Jan Skórzyński, do 13 grudnia pracownik Ośrodka

Badań Społecznych mazowieckiej Solidarności, a dzisiaj I zastępca redaktora naczelnego

„Rzeczpospolitej”, mógł się zobaczyć z siedzącym w innej celi bratem Piotrem.

Na

drzwiach własnej wywiesił zaproszenie na ślub, na 25 grudnia 1981 roku.

Dwanaście dni

wcześniej jego niedoszły teść powiesił inną kartkę na drzwiach warszawskiego kościoła

Najświętszej Marii Panny: ślub przełożony z powodu internowania pana młodego.

Skórzyńskiego wypuszczono w styczniu i jeszcze w tym samym miesiącu wziął ślub. Jego

świadek, Marcin Frybes, dzisiaj warszawsko-paryski socjolog, był na liście do

internowania, ale nie zastali go w domu i nie znaleźli przez następne tygodnie. – Po

ślubie – opowiada Skórzyński – mieszkał u nas parę dni i go zamknęli. Jakby na moje

miejsce w Białołęce.

Lawina: – W Białołęce zarcia było tyle, że mózg stawał, cała Polska i świat przysyłały.

Najgorsze było z rodzinami. Nasze



kobiety użerały się z codziennością,  
dzieci przeżywały, a my – wszystkiego  
w bród. Tam wewnątrz była wolność.  
Mieliśmy przemycone radia, więc  
wszyscy słuchaliśmy Wolnej Europy,  
przemycone gazety, pełen Empik.

Andrzej Zozula, jeszcze przed Sierpniem  
współpracownik nielegalnego  
„Robotnika”,

działacz Solidarności, redagował  
biuletyn „As”, dzisiaj dyrektor Związku  
Gmin

Żydowskich w RP: – Białołęka to nie  
był Kwidzyn, gdzie bito, tu nie było  
atmosfery

zagrożenia. Taki pluszowy krzyż, wedle określenia Szpotańskiego. Mieliśmy biuletyny

nasłuchu. Gazetki „BAS” i „Koniem przez świat”. (Koń lub chabeta to technika

przekazywania wiadomości lub przedmiotów z celi do celi. Z okna jednej wystawia się

pakunek na sznurku, kręci się nim dookoła, a z drugiej wystawiany jest kij czy szczotka, na którym zaczepia się sznurek). Kontynuowaliśmy dyskusje z wolności i toczyliśmy nowe, by odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak nam w dupę dali. Odbywały się

wykłady,

w końcu posadzili niegłupich ludzi, były książki. Alkohol był zabroniony, ale odkryliśmy aknosan, nagle wszyscy zaczęli się ustawiać do gabinetu lekarskiego z trądzikiem.

Ruszyła własna produkcja. Kiedy już nas wywozili z Białołęki do Załęża pod Rzeszowem,

mieliśmy gotowy zacier, szkoda było go zmarnować. Przemyciliśmy jakoś do więźniarki

i po drodze wszystko wypiliśmy, tak że na miejsce dojechaliśmy nieźle nawaleni. Przed

„Asem” pracowałem w Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Opakowań, miałem

tam przyjaciół, więc przysyłali do Białoleki puszki z zielonym groszkiem, tylko że

w środku groszku nie było, a na przykład śliwowica.

Marek Nowicki: – Najlepszy bimber robili zakopiańczycy w Załężu. Od nich się

uczyliśmy. Mieli specjalną technologię, w takim tempie do kubka kapało, że jak się we

trzech siedziało, to akurat było przyjemnie. Co nakapało, to się wypilo, nie za szybko, pogadać można było.

Robert Kozak, dziś szef warszawskiego biura BBC, był najmłodszym internowanym

w Białoleścu. Był w trzeciej klasie liceum, kiedy jego szkoła szykowała się do przerwy

milczenia 13 maja 1982 roku, w miesięcznicę wprowadzenia stanu wojennego.

W przeddzień Kozaka wezwała dyrektorka i zażądała od niego jako szefa samorządu

odwołania akcji. Odparł, że samorząd jej nie organizuje, a poza tym, jak można zabronić milczenia w czasie przerwy? Następnego dnia dyrektorka weszła na angielski i poprosiła Kozaka do swego gabinetu. – Tam już byli wezwani przez nią dwaj smutni panowie, którzy wyprowadzili mnie na oczach całej szkoły. Przewieźli na Mostowo, gdzie przez 12

godzin przesłuchiwało mnie sześciu ubeków i jeden wojskowy. Potem wywieźli do

Białoleki. Rodzicom powiedzieli, że mnie wypuścili. Potem w domu zjawił się jakiś

człowiek i powiedział: niech pani ratuje syna, bo skatowali go na Mostowie. Dopiero po kilku dniach udało mi się przekazać rodzicom gryps z Białołęki. A tam ktoś rzucił: jest młody, do szkoły nie chodzi, trzeba go uczyć, nie wiadomo, ile posiedzi. No i miałem dosyć imponujące grono pedagogiczne. Polskiego uczył mnie Janek Dworak, rosyjskiego Antoni Zambrowski, historii Adam Michnik, fizyki Marek Nowicki, a matematyki Janek

Lityński, który przy okazji wypijał mój aknosan, choć ja naprawdę miałem trądzik.

Krzysztof Leski, wtedy 22-letni

dziennikarz solidarnościowego „Asa”,  
dziś – jak Kozak –

w BBC, przesiedział od 13 grudnia trzy  
miesiące. – Akurat żeby zostać  
bohaterem,

przynajmniej na własnym podwórku, a  
nie za długo, żeby się zmęczyć.

Odespałem cały

karnawał Solidarności, wyleczyłem się  
z nienawiści. Zacząłem poważnie  
myśleć o polityce.



# Klawisz sprowokowany

Adam Grzesiak, podziemny drukarz (we wspomnieniach opublikowanych w 33.

numerze „Karty”): „Byliśmy pod specjalną ochroną, nie byliśmy więźniami kryminalnymi,

więc obsługa była skrupowana; póki nie było rozkazu – przypuszczam, że na bardzo

wysokim szczeblu – nie wolno im było tknąć nas palcem. Myśmy im strasznie dokuczali,

wyzywali, rzucali w nich różnymi

rzeczami. Robiliśmy proce i strzelaliśmy  
do nich

z landrynek. Zbieraliśmy resztki mięsa  
do słoików, kładliśmy je na słońcu, żeby  
się

robactwo zaległo, smród  
nieprawdopodobny – i tymi słoikami  
rzucaliśmy tuż obok nich,

jak któryś przechodził pod naszym  
oknem. Kiedyś na zmianę warty przyszło  
trzech

strażników, młodych chłopaków, i  
myśmy ich wyzywali. Wtedy jeden z  
nich nie

wytrzymał, zerwał z ramienia karabin i cisnął nim na bruk, rzucił czapkę z orzełkiem,

zaczął kopać i krzyczeć: wy głupie skurwysyny, wy myślicie, że ja tu jestem dla

przyjemności! Mnie z zakładu wzięli, ja nie jestem ZOMO, tylko ROMO (Rezerwowe

Oddziały Milicji Obywatelskiej)! I kopał to wszystko, i krzyczał, że woli do nas, że woli po tamtej stronie siedzieć niż tutaj z tym karabinem chodzić. Jego koledzy stali sztywni z przerażenia – a my zaczęliśmy go wszyscy błagać, żeby podniósł tę czapkę, broń, bo

pójdzie siedzieć. I od tej pory daliśmy im spokój”.

Bogdan Ciszak, w 1981 roku 28-letni przewodniczący Solidarności w poznańskich

zakładach Cegielskiego, siedział w Gębarzewie, Gnieźnie i Kwidzynie: „Od pierwszych

chwil pobytu w więzieniu zauważyliśmy wrogi stosunek strażników do nas. Traktowali

nas wręcz jak bandytów. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że przed naszym przybyciem zostali poinformowani o listach do

wymordowania sporządzonych przez Solidarność, na których to znajdowali się wszyscy funkcjonariusze Straży Więziennej wraz z rodzinami.

Prowokacja ta spełniła zadanie, bowiem jeszcze po kilku miesiącach jeden ze strażników, gdy mówił o tej liście, nie mógł ukryć wzburzenia, że Solidarność chciała zabić jego synka, 11-letniego kalekę”.

Kiedy przyszli po 55-letnią polonistkę z warszawskiego liceum im. Marii Konopnickiej

Teresę Tomczyszyn-Wiśniewską, straszili, że zastrzelą jej psa (właśnie wróciła ze spaceru z Luxem), jeśli

będzie się upierać, że chce sąsiadów na świadków. Mieli też nakaz na córkę, ta jednak była chwilowo w Paryżu. Byli agresywni. – Powiedziałam im, że mnie nie przestraszą, przeżyłam sześć rewizji gestapo, więzienie NKWD, łagier.

Trafiła do obozu w Olszynie Grochowskiej, gdzie napisała podanie, żeby pozwolono jej przynieść niesprawdzone prace uczniów. Dostała je 14 stycznia, dzień przed transportem do

kobiecego obozu w Gołdapi, gdzie dotarła w karetce. Miała wieńcówkę i nadciśnienie. Ze sprawdzenia prac najbardziej ucieszył się klawisz w Gołdapi, bo kiedy dawała je z prośbą o

przekazanie do liceum wizytującej obóz Mai Komorowskiej (za pośrednictwem strażników), zapomniała części, klawisz musiał wracać i jeszcze raz mógł panią Maję

pocałować w rękę.

Żałowała młodych kobiet, które oderwano od dzieci. Płakały, kiedy słyszały, jak dzieci więziennych ubolek wołają „mamo!”. W Gołdapi zamknął się zaczarowany krąg pani Teresy. W październiku 1944 roku, ją, 18-letnią łączniczkę AK, aresztowało

w Białymstoku NKWD. Siedziała w celi ze swoją nauczycielką, jeszcze sprzed wojny,

panią Zofią Krajewską. – I któregoś dnia  
w Gołdapi wołają, że przywieźli nową

z Warszawy, młodą, ładną kobietę.

Wychodzę, patrzę, a to moja dawna  
uczennica, jeszcze z liceum

Dobiszewskiego – Zosia Krajewska.

Ze wspomnień Bogdana Ciszaka,

15.12.81: „Odśpiewaliśmy przy  
otwartych oknach

hymn narodowy, stojąc na baczność. Na  
naszych twarzach było głębokie  
wzruszenie.

Czułem się spadkobiercą tych Polaków,  
którzy od wieków walczyli o wolność



i niepodległość własnej Ojczyzny.  
Byliśmy przekonani, że prawda i racja  
jest po naszej stronie. Nas, uwięzionych  
członków Solidarności, która musi  
zwyciężyć z brutalną siłą i bezprawiem.  
Zdawałem sobie sprawę, że na mnie,  
przewodniczącym NSZZ Solidarność

tak dużego zakładu i z tradycjami z 1956  
r., ciąży szczególny obowiązek walki o  
te ideały.

Prosiłem Boga w modlitwie wieczornej,  
żeby mi dał siłę w wytrwaniu i żebym  
się nie

załamał, przynosząc wstyd i hańbę  
ludziom, którzy mnie wybrali do tego  
zadania”.

Ciszak, 16.12.81: „Wszystkie cele odśpiewały hymn *Boże coś Polskę*, *Międzynarodówkę*, *Warszawiankę*. Szczególnie niesamowite wrażenie robiły słowa *Międzynarodówki* »i Związek nasz bratni ogarnie ludzki ród«, co bardzo mocno akcentowaliśmy. Służba

więzienna bardzo nerwowo zaczęła reagować na te śpiewy. Strażnicy wzywali nas do

zachowania spokoju”.

Józef Nowak, wówczas przewodniczący komisji zakładowej przy dyrekcji okręgowej

PKS, internowany w Białymstoku,  
pamięta szczególnie silnie moment, gdy

przetransportowano ich już z komendy  
do więzienia, budy się zatrzymały, na  
zewnątrz

czekały szpalery umundurowanych w  
kaskach, ujadające psy, nikt nie  
wiedział, co się

stanie, i nagle ktoś zaintonował hymn.  
Momentalnie wszyscy podchwycili. –  
Potem było

śledztwo, kto ze zdrajców narodu śmiał  
śpiewać hymn.

Śpiewały wszystkie internaty. Pieśni

patriotyczne, religijne, pamflety na  
generałów

i ich sługusów. – Mieliśmy z początku  
jakąś nadzieję – wspomina Nowak – że  
wojsko

aresztuje nas, ale i odsunie komunistów  
od władzy. Ale szybko się okazało, że to  
tylko zamach na Solidarność.

Marek Nowicki: – U nas niektórzy  
śpiewali jakoś tak: lecz przyjdą czasy,  
kiedy te

kutasy przed nami będą na baczość  
stać, a my ich coś tam coś tam będziemy  
w mordę

łać. No, ja tego nie czułem, myślę, że nie czułem w ogóle nienawiści, może pewne poczucie wyższości, bo nienawidzić to można partnera.

Wiktor Mikusiński był w 1981 roku porucznikiem wydziału dochodzeniowo-śledczego

Komendy Stołecznej MO i próbował milicję reformować. Więc 31 sierpnia z milicji

wyleciał, a po 13 grudnia rozesłano za nim listy gończe. Wpadł w lutym. Dziwnie się czuł

prowadzony tam, gdzie dawniej on prowadził innych. Podwójnie dziwnie,

gdyż do celi

prowadzili go koledzy. Potrójnie dziwnie, gdyż na schodach Pałacu Mostowskich minął

eskortowanego oszusta z ostatniej sprawy, jaką prowadził przed zwolnieniem.

W Białoleńce spotkał się najpierw z nieufnością ze strony innych internowanych. Ale

miał czas, by zyskać zaufanie i nawiązać przyjaźnie: wyszedł ostatniego dnia – 23 grudnia 1982 roku. Był przeciwny bimbrownictwu. – Opozycję znałem tylko z druku i Wolnej Europy, byłem

przekonany, że to ludzie o niezwykle wysokim poziomie etycznym, a tu

nagle bimber. Koledzy docenili jego profesjonalne doświadczenie i kiedy destylowali

zacier, przyszedł komendant stołeczny policji (1991–1994) stał na czatach. – Był naprawdę dobry. Bardzo czujny – chwali Andrzej Zozula. Mikusińskiego denerwowało, gdy internowani przejmowali więzienne obyczaje i wyrażenia: nie obiad, lecz szamka. I że

ciągle próbowali go nawracać. Notował wtedy, że nastroje dewocyjne rosą. Tak było

wiosną. Latem spadały. Na więziennym uniwerku wykładał prawo i uczył o milicji. Po

miesiącach odsiadki w męskim towarzystwie jego wiedza zyskała na znaczeniu. 18

listopada zanotował w kieleckim więzieniu: „Chłopaki mają kalendarz z dziewczynami

i w końcu każda rozmowa schodzi na ten temat. Proszony jestem o opowiadanie

o gwałtach i zboczeniach – po 11 miesiącach obozu różne pomysły przychodzą do głowy,



a wspomnienia są jeszcze barwniejsze”.

„Dzień za dniem powoli mija, coraz dłuższa życia szyja, wszystko wokół się pierdoli, my w niewoli, my w niewoli” – śpiewali smętnie uwięzieni.

Adam Grzesiak: – Na przełomie maja i czerwca przywieziono do Białołęki nowy

transport internowanych. Tym razem byli to kryminalni – kwiat warszawskiego

podziemia: cinkciarze, włamywacze, głównie ludzie starsi, z doświadczeniem zawodowym,

„profesorowie” różnych branż

przestępczych. Chodziło o to, żeby zdewaluować status

internowanego, pokazać, że zagrażamy państwu na równi z bandytami i złodziejami, że to jest jedno przestępcze podziemie. Dlatego powsadzali nam ich do cel.

Być może taki był powód ich internowania, ale z innych relacji, z prowincji, wynika, że komendanci milicji chcieli sobie po prostu ułatwić życie. Nie mieli na kryminalistów dowodów dla sądu, ale zawsze mogli ich internować. Ot, takie poczucie humoru.

Andrzej Zozula: – Bardzo miło się z

nimi siedziało. Jak wspólnota losu, to  
wspólnota

losu. Zupełnie nie rozumieli, jak tak  
można za nic siedzieć. W głowie im się  
nie mieściło, że komendant wzywa na  
rozmowę, a można nie iść. Byli nieufni.  
Chętnie się przysłuchiwali naszym  
rozmowom, dzielili się doświadczeniem  
więziennym, ale o sobie na wolności nie  
chcieli mówić. Był jeden szuler, no to  
chciałem skorzystać z okazji i przejść  
szkolenie, ale pokazał dwie sztuczki i  
tyle.

## **Ostatni gasi światło**

W sierpniu internowani w Białołęce  
zorganizowali spartakiadę: biegi,

badminton,

warcaby. Startowały między innymi zespoły: Wrona Love Supreme, Czerwoni Łowcy

Okoni, Black Wrona Killers.

Andrzej Zozula z Białołęki trafił do podrzeszowskiego Załęża: – To był szczyt absurdu.

Internowani podorabiali sobie wytrychy, otwierali nasze cele, jak chcieli.

Adam Grzesiak: – To, co dalej zobaczyłem, kompletnie mnie oszołomiło: ogromne

więzienie, korytarz może ze sto metrów, parędziesiąt cel w jednej linii i od pierwszej celi –

na przestrzał – widać tylną ścianę ostatniej celi! Myślałem, że mi się śni. A to po prostu górnicy, specjaliści od fedrowania, rozpieprzyli wszystko w drobny mak. Przy kibelkach były takie metalowe pręty, osłaniające sedes. Oni te pręty wyrwali, ściany rozwalili, żeby się spotkać i pogadać. A ponieważ było to więzienie nowoczesne, gierkowskie, przy którego budowie powstało obok gustowne osiedle domków jednorodzinnych, więc

cementu – towar wtedy ściśle

reglamentowany – nie za dużo poszło w te ściany.

Wyglądało to tak, jakby ktoś z armaty strzelił i przestrzelił na wylot. (...)

Obsługa

więzienia była na mieście, w Rzeszowie – do tłumienia demonstracji, której czerwony się spodziewał, tak że mieli niewystarczające siły i po prostu uciekli. Zabarykadowali więzienie, ale od zewnątrz. A w środku odbył się na naszą cześć wspaniały bankiet,

festyn, śpiewy, pijaństwo.

Komendant, który nie chciał ich pacyfikować, ubłagał w końcu, by się

dali pilnować.

Obiecał otwarte cele i spacerniak od rana do wieczora. Umowy dotrzymał.

Lawina: – Wyszedłem ostatni z Januszem Onyszkiewiczem 23 grudnia 1982 roku

o 18.30. Jako że ostatni gasi światło, to zrobiłem na pożegnanie zwarcie i wysadziłem im korki.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 2002/1.





# IV ADRENALINA W DOMU WARIATÓW

## Mury, zasieki, zapory

Siedzi to we mnie od lat, od komuny, to  
poczucie, że przekraczając granicę,

doświadczam wolności, jestem wolny,  
przekraczam światy, mogę wszystko i  
wszystko

może się zdarzyć.

To była najfajniejsza jazda od 1994  
roku. Wtedy leżałem na górze worków  
bawełny

przypiętych do mocno zdezelowanej

ciężarówce i jechałem przez  
dramatycznie piękne,

spalone słońcem góry północnej Etiopii.  
Teraz była zima 2013 roku, trzaskający  
mróz

w Beskidzie Żywieckim, a my z kolegą  
Grzesiem wyliśmy z uciechy, trzymając  
się

kurczowo zawieszanej przed kabiną  
gigantycznej łyżki koparki, na której  
siedzieliśmy

zmarzniętymi tyłkami i gnaliśmy jak  
opętani zaśnieżoną leśną drogą od  
granicy

słowackiej w stronę Korbielowa.

Przekrzykiwałem ryk traktora i szum wiatru, streszczając przyjacielowi materiał

w „Faktach” o nieodpowiedzialnych ludziach ciągnących sanki za samochodem czy

traktorem. Ale o jeździe na łyżce koparki nie było w telewizji ani słowa, więc uniesionymi kciukami pozdrowiliśmy kierowcę i jego towarzysza w kabinie. Uśmiechnęli się promiennie, a Grześ skomentował: „No, jednak co Polska, to Polska. Na Słowacji za

cholere by nas tak nie wzięli. Tam przestrzegają tych przepisów. A w ojczyźnie bez słów.

Zobaczyli nas na drodze, zatrzymali się, opuścili łyżkę, żebyśmy mogli się wdrapać,

klasa”.

Tego dnia rano ruszyliśmy w góry z Oravskiej Polhory po słowackiej stronie. Co tam

w ogóle robiliśmy? A lubimy sobie czasem zimą brnąć po pas w śniegu przez góry. Takie

nasze kumpelskie święto zawieszzone

między „człowiek musi sobie od czasu do czasu

polatać” z *Wniebowziętych* Kondratiuka a „czasem lubię ostro się zeszmacić”

z *Motorniczego* T.Love.

Na Słowację poszliśmy bez powodu. A raczej powód był bardzo istotny, zasadniczy

i najgłębszy. Chciałem się znaleźć za granicą czy raczej ujmując rzecz precyzyjnie:

przekroczyć granicę. Siedzi to we mnie od lat, od komuny, to poczucie, że przekraczając granicę, doświadczam

wolności, jestem wolny, przekraczam światy, mogę wszystko i wszystko może się zdarzyć.

Siedzi to i dzisiaj, kiedy większość najczęściej przekraczanych granic zniknęła. Moment, kiedy widzę pierwszy znak w obcym języku, w tym wypadku nie takim znowu obcym, bo po słowacku, ale co tam, wydaje mi się czystą zmysłowością. I przypominam sobie jazdę

pociągiem przez nieświętej pamięci NRD, ich pograniczników, którzy fachu uczyli się

chyba na hitlerowskich kronikach, choć nie, na owych kronikach chłopaki z SS

czy

z Wehrmachtu wydawały się dużo sympatyczniejsze od tych frankensteinów na granicy

dzielącej zaprzyjaźnione oficjalnie kraje: Polską Rzeczpospolitą Ludową i Niemiecką

Republikę Demokratyczną. Byli jak karykatura karykatury z legendarnego *Top Secret*.

A potem jeszcze parę godzin i przekraczało się granicę Republiki Federalnej, a cały

przedział, cały wagon, cały pociąg

oddychał z ulgą i byliśmy w kosmosie.

Możesz wyciągnąć chłopaka ze slumsów, ale nie wyciągniesz slumsów z chłopaka,

ostatnio chyba tak mówiono o Wayne Rooneyu, a ze mnie nie wyciągnie się tego

niewolniczego zachwytu przekraczaniem granicy. Lecąc do Wrocławia, wpadam na

Okęciu w ekstazę, bo lotnisko to granica, to wolność, to przekroczenie i potwierdzam ten cudowny smak, kupując cokolwiek w sklepie wolnoctwowym, choćby ptasie mleczko, ale żeby coś



kupić jak panisko lecące na Zachód.

Zapominam czasem wnętrze krajów, ale granice pamiętam zawsze. Samolot

z Amsterdamu do Teheranu i młode Iranki, kiedy samolot podchodzi do lądowania,

zakrywające bezkształtną czernią materiału mini i dekolty. Sznurek zawieszony między

dwoma patykami na pustyni, czyli granica między Erytreą i Sudanem.  
Zdziwienie

ostatniego lata, że istnieje jeszcze granica między Chorwacją i Słowenią,

na której co prawda nikt nikogo nie zatrzymuje, niczego nie sprawdza, ale granica jest, mocium panie, dziwy, dziwy.

Piękno zbliżania się do granicy,  
malejące kilometry na znakach, coraz  
więcej nazw

obcego, nowego kraju, czysta poezja.

\*

Byliśmy już nieźle przemarznięci na tej koparce i z początku nie zauważyliśmy, że

pierwsze chałupy przed Korbielowem są zadziwiająco podobne do chałup pod

Oravską

Polhorą, z której ruszyliśmy rano. W końcu to te same góry, podobna kultura materialna, pomyślałem. Ale już po chwili wiedziałem. Idąc przez las na azymut, ja druh Boruch, popieprzyłem do cna drogę i ściągnąłem nas z powrotem na słowacką stronę. Co

oznaczało, że po całodziennym mordędze wróciliśmy do punktu wyjścia, a teoria Grzesia

o przestrzeganiu przepisów po obu stronach granicy poszła się uderzyć. A podobieństw

kulturowych doświadczyliśmy nawet

więcej. Ani Słowacy z koparki, ani polski szklarz,

który nas wziął później tego dnia na stopa do Korbielowa, nie chcieli od nas ani grosza.

Prosiliśmy, próbowaliśmy wręczać. Uśmiechali się, odmawiali, odjechali.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2013/10.

## **Przyjechała planeta mała**

Czwarta rano, wtorek, 22 sierpnia. Zgodnie z planem cztery autokary do Göteborga

mają odjechać o piątej, ale pod stadionem Legii czeka już kilkadziesiąt osób. Twarze

wczorajsze. Niektórzy popijają piwko. Ludzi przybywa, noc ustępuje, ożywia się

atmosfera. Większość w klubowych koszulkach, na nogach adidasy lub basenowe klapki.

Pojawia się radiowóz. Kilku chłopaków siedzących na sportowych torbach nuci od

niechcenia: „Zawsze i wszędzie policja jebana będzie”.

Blisko 200 miejsc w autobusach  
sprzedano już 10 dni wcześniej.  
Zagapiliśmy się

z kolegą, więc próbujemy na wariata.  
Byle do Świnoujścia, na promie coś się  
wykombinuje. Ale czy nas wezmą?  
Jesteśmy przecież obcy, a tu jedzie  
wiara znająca się

od lat. Można by próbować pociągiem  
albo samochodem (tylko z Warszawy  
jedzie ich

ponad 70), ale to nie ta sama zabawa, co  
autokar.

Pierwszy zgryz: przyznać się czy nie, że

jestem dziennikarzem? Decyduję się na  
szczerłość i jest to właściwy wybór. Jak  
się później przekonam, kibole są w  
stanie wiele wybaczyć, ale kłamstwa  
nigdy. Wielu z nich ma wręcz obsesję  
policyjnych konfidentów.

„Dobra, jedziecie do Świnoujścia w  
pierwszym autokarze na miejscach  
dwóch

chłopaków, którzy pojechali na mecz z  
Pogonią do Szczecina i dołączą do nas  
w porcie –

słyszemy. – Na promie zobaczymy, co  
dalej”.

Po siódmej ruszamy. Jadąc przez  
Warszawę, ćwiczymy gardła: „Mistrzem  
Polski jest

Legia, Legia najlepsza jest, Legia to jest  
potęga, Legia CWKS”. Mijani kierowcy

pozdrawiają nas, trąbiąc rytmicznie „ce-  
ce-cewuka-cewukaes-legia!”, pokazując  
wiktoryę rozcapierzonymi palcami czy  
wznosząc kciuki do góry. Śpiewamy:  
„Na Szweda Legio marsz!”. Ostrożni  
przypominają, że dwa lata temu, kiedy  
na mecz z IFK jechali kibice

Lecha Poznań, szwedzka straż graniczna  
postawiła w porcie alkometry i nie  
wpuszczała



nikogo, kto miał ponad pół promila.  
Znaczy, trzeba uważać. „Co tam! W  
Malmö będziemy

za 24 godziny” – mówi Edek, hydraulik  
pracujący u prywatnego. „Dajemy w  
palnik”. No

to dajemy.

Wiadomo: rok 1980, Legia gra z Lechem  
w finale Pucharu Polski w  
Częstochowie. To

był polski Heysel pięć lat przed Heysel.  
Według oficjalnych danych zginęło  
wtedy osiem osób, o rannych lepiej nie  
mówić. W naszym autokarze są  
świadkowie i uczestnicy ówczesnych

walk na łańcuchy.

Wiadomo: rok 1993, Legia zostaje w szemranych okolicznościach pozbawiona tytułu

mistrzowskiego przez Polski Związek Piłki Nożnej na rzecz Lecha Poznań.

Jest co pamiętać, śpiewamy więc na melodię Boney M.: „Bahama, bahama mama,

zajebimy poznańskiego chama. Pijemy, pijemy wódkę, zajebimy Lecha prostytutkę”.

A także nieco awangardowo i abstrakcyjnie: „Lech to są kurwy z

krainy kwitnącej bulwy”.

Pracowity lud wielkopolski spogląda na nas niezbyt ciepło.

Po dwunastu godzinach jesteśmy w Świnoujściu. Wszyscy pamiętają o szwedzkich

alkomatach, więc nikt nie wypił w autobusie więcej niż literek na głowę. Trzeba uważać.

Jeszcze cztery godziny do promu, można się pokąpać w morzu, poślizgać się na zjeżdżalni.

Odbijamy od brzegu, śpiewamy o ukochanej Legii i rzucamy do wody, co

popadnie.

Trochę nam miny rzedną, bo ponoć nie dość, że na brzegu będą sprawdzać promile, ale

i przy wejściu na stadion w Göteborgu. Ci Szwedzi są zupełnie bez poczucia humoru.

Z głośników płynie komunikat, że osoby będące w stanie wyraźnie wskazującym na

spożycie alkoholu nie zostaną wpuszczone na ląd. Czynimy gorączkowe obliczenia:

w ciągu godziny wskaźnik obniża się o

0,12–0,15 promila. Jak wypije się  
jeszcze

połówkę...

Patrzą na nas czujnie ubrani na czarno  
polscy policjanci. Starsi kibice wdają  
się z nimi w pogawędki. Promowa  
kafeteria zamienia się w rozśpiewany  
klub kibica. Jest noc, bogatsi zasypiają  
w kajutach, golasy padają gdzie  
popadnie. Weterani snują przy wódce  
wspomnienia.

Średnia wieku wyjeżdżających do  
Göteborga jest zdecydowanie wyższa od  
tej z meczów

na Łazienkowskiej. W dużej mierze to kwestia pieniędzy. Wyjazd autokarem kosztuje

milion dziewięćset (wliczając w to prom, ale bez biletu na mecz, który będzie kosztować sto koron, czyli 340 tysięcy). Ale liczy się również co innego. Jak tłumaczy mi jeden z kibiców: do Göteborga jadą ludzie, którzy mają czerwono-biało-zieloną krew. Fanatycy.

Tacy, którzy nazwę klubu są w stanie wytatuować sobie na genitaliach. Którzy prędzej

dadzą się wyrzucić z roboty, niż opuszczą mecz na Łazienkowskiej.

Którzy od piętnastu, dwudziestu,  
trzydziestu lat dzielą dole i niedole  
wojskowego klubu.

Dzisiaj mogą być biznesmenami,  
bezrobotnymi, gangsterami, lekarzami,  
lumpami czy

proletami, ale zawsze najważniejsza  
będzie Legia ich ukochana.

„Gdziekolwiek Legia

będzie grać / blisko czy daleko stąd /  
tam będzie z nią warszawska brać / aby  
dopingować ją”. Kapitan promu życzy  
nam powodzenia.

# Zero agresji u policjanta

W Malmö nie było żadnych alkomatów. Miła panienka w mundurze wbiła nam do

paszportów pieczętki i już byliśmy w Szwecji. Jazda! „Do kościoła kurwy! Modlić się!” –

pokrzykują kibice wesoło do napotykanych Skandynawów. Na wieść, że ci są

protestantami kierowca TIR-a trąbi i wskazuje kciukiem do dołu. „Wojna! Wojna!” – coraz częściej dobiega z naszego jelicza.



Piętnaście kilometrów przed  
Göteborgiem zajężdża nam drogę  
radiowóz szwedzkiej

policji. Podążamy za nim na parking.  
Nasi chłopcy wyskakują z autokaru i  
dalejże

strzelać fotki z „polismanami”. Nasze  
radykały krzyczą: „Co jest?”. Ale  
„polisy” już dostały od naszych  
starszych szaliki i znaczki Legii i teraz  
tłumaczą po angielsku, spokojnie i z  
uśmiechem, żebyśmy jechali za nimi, to  
doprowadzą nas pod sam stadion, a  
potem

będziemy mogli robić, co chcemy. Zero  
agresji u policjanta – to wprost

niepojęte dla

polskiego kibica. „Widziałeś, jakie mają fikuśne pały?” – komentują nasi. Już po meczu usłyszę od jednego z legijnych weteranów: „To najlepsi gliniarze w Europie. Wiem, co mówię, bo dostałem już wpierdol od kilku policji, w tym na samym Wembley”.

W Göteborgu jesteśmy kwadrans po pierwszej. Do meczu blisko sześć godzin. Bawimy

się.

Miasto pod jednym względem przypomina Amsterdam: na ulicach tysiące rowerów.

Użytkownicy pozostawiają je gdzie popadnie, zabezpieczone symbolicznymi znaczkami.

Park miejski pełen jest pedałużących legionistów. Skąd macie rowery? „A! Zamieniliśmy

się na szaliki. He, he”.

Nasi twierdzą, że Szwedzi to lapety i frajerzy. Dają się grzać na własnym terenie. Idzie trzech legionistów, a pięciu z IFK pryska: totalny obciach. Andrzejowi i kumplom, kiedy szli przez pasaż handlowy, kilku tubylców pokazało „fucka”. „Święty by się wkurwił, nie!

Szwedziory dostały kopa w dupę i już ich nie było. Co za kicha – spieprzać we własnym

mieście”.

Chłopaki kupują sobie koszulki IFK (400 koron sztuka – blisko milion czterysta

tysięcy), popijają piwko i jak się Szwedzi nie boją, to robią sobie wspólne zdjęcia. Ciągłe mówią coś o planecie małąp. Kiedy widzą, że nie rozumiem – tłumaczą. Szwedzi, pytani, dlaczego do Warszawy przyjechało tylko kilkudziesięciu kibiców, wyjaśniali – pod

wpływem wielokrotnych telewizyjnych emisji czerwcowych zamieszek w Warszawie – że

bali się jechać na planetę małp. „To teraz planeta małp przyjeżdża do nich” – śmieją się warszawiacy.

## **Na Szweda, Legio, marsz**

Idziemy na stadion. Fiat uno na polskiej rejestracji. Pastą do zębów wymalowane:

„Legia Champions League”. Kakofonia dźwięków. Ktoś przybiega z wieścią: „Książ na

mszy wezwał miejscową Polonię, żeby

przyszła na mecz. Wykupili trzysta miejsc”.

Istotnie: widać sporo starszych, porządnie wyglądających ludzi z polskimi flagami.

Zasiadają w szwedzkich sektorach. Ich dzieci i wnukowie przychodzą do nas, na miejsca

stojące za bramką („Nawet Rumuni dawali lepsze miejscówki” – komentują weterani);

jeden policzek w barwach Legii, drugi na biało-czerwono. Kibole pod wrażeniem.

Szczególnie śmiesznie jest, gdy ci pół-Szwedzi śpiewają gromko „Na Szweda, Legio,

marsz!”.

Mecz. Najstarsi kibice powtarzali później, że dopingu z Göteborga nie da się z niczym

porównać. Jakiś czas temu odbywał się w Poznaniu mecz Polska–Holandia w ramach

eliminacji do mistrzostw świata. Polacy byli już wówczas bez szans. Na stadionie w stolicy Wielkopolski Holendrzy stanowili przytłaczającą większość. Dariusz Szpakowski, który

komentował ten mecz dla telewizji, tak mniej więcej rozpoczął swą relację: „Proszę

państwa! To nie Amsterdam, to Poznań. Oby ta sytuacja nigdy więcej się nie powtórzyła!”.

Mecz w Göteborgu, w odróżnieniu od pojedynku poznańskiego, stanowił dla obu stron być

albo nie być. Kibice szwedzcy byli w przeważającej większości. Ale Dariusz Szpakowski

mógł spokojnie powiedzieć: „Proszę państwa! To nie stadion na Łazienkowskiej, to



Göteborg!”), bowiem ponad tysiąc polskich kibiców – wliczając posiłki z zaprzyjaźnionego Szczecina i Sosnowca oraz kochanych polonusów – dosłownie znokautowało wokalnie gospodarzy.

To nie przesada: nie wiem, jak potoczyłyby się losy tego pojedynku, gdyby przez ponad

90 minut, bez chwili przerwy, z naszego sektora nie wydobywał się nieustający

fanatyczny ryk. Straciliśmy bramkę; nic to: „Jesteśmy z wami, hej Legio, jesteśmy

z wami”. „Bosman”, „Achim”, „Tulipan” i „Sitek” niezmordowanie

dyrygowali śpiewami.

(Już po meczu jeden z dziennikarzy szwedzkich powiedział mi: jeśli Legia zagra w Lidze Mistrzów tak, jak ją dopingują jej kibice, to może dojść do finału). Ani sekundy przerwy.

Ktoś krzyczy: „Nic nie widzę!”,  
człowiek, który mu zasłania,  
odpowiada: „To se obejrzysz w domu na  
wideo, teraz walcz! CWKS!”. „Dziś  
zgodnym rytmem biją nam / nasze serca,  
które my / za Legię damy w każdy czas /  
czy czas dobry czy czas zły / nie dla nas  
jest porażki smak / nie dla nas forma zła,  
forma zła / na całe gardła krzyczymy wraz  
/ Ligę Mistrzów Legia ma!”.

Po wyrównującej bramce Piszta już wiedzieliśmy, że nic na świecie nie odbierze awansu

i działały się wtedy w polskim sektorze rzeczy zadziwiające. Większość zrzuciła koszulki.

Dorośli mężczyźni siedzieli podkuleni i beczeli jak małe dzieci. Kaleki chłopak z mojego autokaru puścił kule, padł na ziemię i płakał. Próbowałem go podnieść z ziemi, a on się wtulił, złapał mocno i szlochając, powtarza: „o kurwa, ja nie mogę, o kurwa”. Potem tylko *Sto lat!*, *Jeszcze Polska nie zginęła* – zwycięska bramka Bednarza i fiesta.

Po końcowym gwizdku warszawscy

piłkarze zbliżali się do naszego sektora „samolotami”. Szczupak na ziemię, powstań, szczupak, powstań i tak do samej

odgradzającej siatki. W hołdzie kibicom. Czegoś takiego nie było nigdy wcześniej,

powtarzali wzruszeni kibole. I koszulki w tłum. Rafał złapał nr 16 – kapitana Leszka

Pisza. Ktoś mu natychmiast zaproponował za nią 500 „papierów”. Rafał odmówił.

Potem policja szwedzka zamknęła nas w

sektorze. Göteborscy kibice, wkurzeni klęską,

próbowali ją sobie powetować atakiem na gości. Policja stanęła w naszej obronie i zaczęła się uliczna zadyma. Na próżno legioniści prosili policjantów, by ci wypuścili ich na ulice.

„My to za was załatwimy” – przekonywali warszawiacy.

## **Najdłuższa balanga**

Wtedy zaczęła się najdłuższa balanga nowoczesnej Europy. Apogeum osiągnęła na

promie. 15 minut po otwarciu sklepu

wolnołowego w obszernej kafeterii  
rozległy się

pierwsze śpiewy. Wielka kolejka po  
napoje regenerujące nie topniała ani na  
chwilę. Na

pokładzie tańczono poleczkę, biegano w  
wężykach. Masowo wdrapywano się na  
radar,

który w końcu został uszkodzony. Z  
okrzykiem „wojna!” na ustach kibice lali  
się piwem

i ciskali pustymi puszkami. „Normalni”  
pasażerowie przylatywali robić sobie  
pamiątkowe zdjęcia z „dziczą” w tle. Do  
wody frunęły koła ratunkowe i inne

przedmioty, które dało się odczepić. W „Country Pubie” biesiadnikom udało się powyrywać stoliki, którymi walili następnie po suficie. Kibice zrezygnowali z usług barmana i zaczęli sobie sami serwować drinki.

Kiedy rankiem następnego dnia odczytałem współtowarzyszom z autokaru doniesienie

„Gazety Wyborczej” o „poturbowaniu barmanki” na promie, koledzy stanowczo

zaprotestowali: „Jakie tam turbowanie! Normalnie za cipę ją złapali”. Była i inna wersja:

„To nie barmankę. Barmana Pruszków trochę po ryju obił. Ale żeby od razu w gazetach

pisać...”.

Po 76 godzinach wróciliśmy do Warszawy. Po drodze rzuciliśmy parę petard

i odśpiewaliśmy zmodyfikowaną wersję kultowej pieśni: „Na promie jest tłok, w pociągu

jest tłok, kibice na Legię jadą, wtem nagle ktoś wstał, zaśpiewam ja wam o Legii mej

ukochanej: cewukaes! Do boju Legia



Warszawa, dwie bramki Kucharski,  
dwie bramki

Podbrożny i Legia ma mistrza Polski!”.

Obserwując nieco chaotyczne  
poczynania legionistów w czasie  
niedzielnego pojedynku

z Górnikiem Zabrze (tak czy inaczej 1:0  
dla Legii), warszawscy kibice  
komentowali, że

trener Paweł Janas zapewne ustalał  
skład za pomocą alkomatu. „Minęła  
trzydziesta

minuta spotkania” – ogłosił spiker.  
„Puściły pierwsze promile” – dodał

kibic.

„Na Moskwę, Legio, marsz!” – śpiewały tłumy. (Legia wylosowała Spartaka Moskwa

wśród swych rywali w Lidze Mistrzów). „Legia, Legia wszędzie; zwariowało, oszalało moje serce”.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1995/35.

## **Sekretne życie małp**

Do Göteborga pojechałem z moim przyjacielem Dominikiem Rutkowskim, którego

poznałem jesienią 1971 roku w  
przedszkolu na tyłach nieistniejącego już  
kina Wars na

warszawskim Nowym Mieście. Zresztą  
przedszkola też już nie ma, o czym  
przekonałem

się, kiedy dorwała mnie nostalgia i  
wybrałem się na spacer po miejscach  
dzieciństwa.

Potem poszliśmy do różnych  
podstawówek i liceów, aż jesienią na  
początku trzeciej

licealnej w XI LO im. Mikołaja Reja  
pojawił się Dominik i ze swą  
legendarną później

niechęcią do barokowej przesady (ulubiony toast: „no to bez zbędnych frazesów!”) rzucił:

„Chodziliśmy razem do przedszkola. Podobno lubisz Bowiego”. I tak się zaczęła przyjaźń z przygodami i problemami, która trwa do dzisiaj. A Bowiego faktycznie lubiłem, i to bardzo, miałem nawet dwa bootlegi, w tym z kapitalnym koncertem w Detroit. No i za

*Ziggy Stardust* dałbym się zabić. Gorzej, że pod wpływem wyglądu Davida z okresu *Let's Dance* zamarzyłem o takiej samej fryzurze, idealnie przylizanej do tyłu. W tym celu podprowadziłem dziadkowi siateczkę

do włosów, w której spał, by ujarzmić swoją szopę lwa. Teraz spałem w niej i ja, ale to, jak wyglądałem rano, niewiele miało wspólnego

z Bowiem. Więc z kolei z przyjacielem Pawłem Naumanem, dzisiaj wziętym panem

doktorem neurochirurgiem, a wówczas fanem Roberta Smitha z The Cure

postanowiliśmy, że idziemy do fryzjera i każemy się strzyc: on na Smitha, ja na Bowiego.

No cóż, po wizycie Paweł twierdził, że ma fryz jak Bowie, a ja jak Jagger, ale według

mnie wyglądaliśmy po prostu jak dwie dupy z za krzaka.

Dominik nie miał tych problemów, dla niego liczyła się tylko muzyka, wszelką

stylizacją gardził. Jak w liceum chodził w czarnych sztybletach, czarnych dżinsach

i czarnym T-shircie, tak mu mniej więcej zostało do dzisiaj. A ze względu na swą

prasłowiańską urodę, dostał ksywę „Siemko” od naszego klasowego przyjaciela Drągala,

dzisiaj pana radcy prawnego Tomasza Drągowskiego. I nie było już Dominika,

był

Siemko, i tak do matury. Którą zresztą Dominik oblał, poległ koncertowo na polskim, co jest w sumie zabawne w kontekście jego zainteresowań i przyszłości, o czym za sekundkę.

Swoją drogą pewien przyjaciel Dominika zasłynął z tego, że po maturach latał wokół

szkoły z płachtą „Życia Warszawy” i krzyczał; „Napisali o mnie w gazecie! Napisali o mnie w gazecie!”. Co było świętą prawdą, bo stało jak wół: „W elitarnym liceum imienia Stefana Batorego tylko jeden uczeń nie zdał matury”. Dzisiaj jest dziennikarzem

ekonomicznym.

Lata długie po naszej wyprawie do Göteborga, a konkretnie latem 2011 przeżyłem

chwile prawdziwej grozy, kiedy Dominik poprosił mnie o przeczytanie jego debiutanckiej powieści pod tytułem *Ile kroków do domu*. Sytuacja zapowiadała się złowieszczo. Od spotkania w trzeciej klasie liceum kłóciliśmy się o książki. Upraszczając: Dominik i Dostojewski kontra ja i Chandler. Nie to, żebym nie cenił Rosjanina, wielkim, ogromnym pisarzem był. Ale Dominik uważał, że zwariowałem, skoro zaliczam autora



*Żegnaj, laleczko* do dziesiątki moich ulubionych wybitnych autorów, gdzie miejsce powinno być tylko dla Fiodora, Czechowa, Céline'a, Joyce'a, Witkacego... Po drugie, przez wszystkie lata po szkole słyszałem o mitycznej powieści, do której się zabiera.

Kiedy wkładałem pendrive do komputera, zastanawiałem się, co się stanie z naszą

przyjaźnią, gdy jakaś monumentalna historia o starciach z Bogiem, Szatanem i Ojczyzną

nie przypadnie mi do gustu. I przeżyłem jedno z głębszych zdziwień. Albowiem *Ile kroków do domu* okazała się

powieścią z mojej chandlerowej frakcji!  
Zainspirowana prawdziwą historią  
człowieka, który kilkakrotnie próbował  
uciec z PRL-u, jest przede wszystkim  
znakomitą powieścią przygodową. Ale  
to także historia o przyjaźni czterech  
kumpli

wychowanych na warszawskim Powiślu.  
I o tym, jak świat dziecięcych wygłupów  
zderza

się z szorstką rzeczywistością Polski lat  
60. i 70. i jak rwą się nierozzerwalne,  
wydawałoby się, więzi.

Zygmunt Miłoszewski, autor świetnych  
kryminałów z prokuratorem Szackim,

podkreśla, że czytelnikowi, który płaci za jego książkę 35 złotych, winien jest uczciwą i ciężką pracę, stąd jego żmudna dokumentacyjna dłubanina.

Dominik na swoje honorarium solidnie zapracował – z pietyzmem oddaje realia zaginionego świata:

warszawski ogórek linii 166, żul, który „perfumów nie pali”, bakelitowe słuchawki

telefonów, życie towarzyskie na basenie Legii...

I ten PRL z powieści Dominika był taki duszny, klaustrofobiczny, przytłaczający, co

doceniałem, a jednocześnie się dziwiłem, bo pamiętałem nasze spory pod koniec komuny.

Dominik miał znacznie mniej krytyczny stosunek do systemu, był z frakcji Barei i *Misia*, że to wszystko takie surrealistycznie śmieszne i niepoważne. Kiedyś nawet jak sobie popiliśmy u mnie w domu na improwizowanym spędzie, pożarliśmy się strasznie, a on mi

zaproprowował, żebym spierdalał do swoich opozycyjnych chujków czy jakoś tak. Więc

wywaliłem go z domu. To siedział na ulicy i każdemu wchodzącemu i

wychodzącemu

skarżył się z pijacką emfazą, że to chamstwo, że dla mnie opozycyjne chujki są ważniejsze od przyjaciela. Chyba przez jakiś czas nie odzywaliśmy się do siebie, nie ostatni raz w życiu, a potem wszystko oczywiście wróciło do normy. No, a teraz czułem tę zatykającą jak wilgoć w tropikach atmosferę z powieści Dominika i nie kryłem pełnego szacunku zdziwienia.

Odpaliłem *Ile kroków do domu* na komputerze i nie padłem, dopóki nie skończyłem.

Przyjacielowi po tych wszystkich latach naprawdę się udało! Trzeba było jeszcze

tylko, bagatela, znaleźć wydawcę – w czym później pomógł inny przyjaciel z naszego nieformalnego „Klubu Ściemniacza”, Mikołaj Burchard, od lat pracujący w branży

książkowej – ale uśmiechałem się, bo widziałem, że mam przed oczami pewniaka:

ambitne czytadło będące gotowym materiałem na scenariusz thrillera. Rok później

powieść wyszła, zebrała świetne recenzje od lewa do prawa ponad podziałami, co

w dzisiejszej Polsce zakrawa na cud, a

za chwilę, niemal równocześnie z książką, którą trzymacie teraz w ręku, wychodzi nowa powieść Siemka *Pozostał gniew*. (Dopuściłem się pewnego anachronizmu. Nikt już go tak nie nazywa. Kiedy z rocznym poślizgiem pojawił

się na uniwerku, próbowaliśmy z Drągalem lansować „Siemka”, którego serdecznie nie

trawił, ale przegraliśmy z banalnym „Rutkiem”).

A wtedy jesienią 1985 zgadaliśmy się z Dominikiem na Bowiego i Legię. Ścisłej rzecz

biorąc, choć trwało to długo i z oporami, zaraził mnie swoim futbolowym świrem, który

wyniósł z domu, a którego ja w ogóle nie miałem. Pierwszy raz wyciągnął mnie na Żyletę, na którą chodziliśmy latami, za każdym razem rozgrzewając się wcześniej w „Źródełku”, ulubionym barze kibiców Legii i uczniów położonego po drugiej stronie ulicy legendarnego, snobistycznego i wyjątkowo hojnie obdarowanego pięknymi dziewczynami liceum im.

Batorego. I jakoś tak latem 1995 roku, dzień w dzień balując do upadłego w trójkę – był



z nami jeszcze Michał Wójcik, też weteran Reja, wtedy reporter Radia Zet, a dzisiaj

redaktor naczelny „Focusa” – wpadliśmy na pomysł, by pojechać z kibolami (czy jak się

wtedy mówiło „pseudokibicami”) Legii do Göteborga. Przedstawiłem pomysł w redakcji

„Polityki”, a naczelny Jerzy Baczyński od razu rzecz klepnął.

Gdy się szykowaliśmy do wyjazdu, to wspominaliśmy, jak rok wcześniej Legiunia

poległa w kwalifikacjach z Hajdukiem Split. Pierwszy mecz był w Warszawie, zjechało

800 Chorwatów, na długo przed meczem zasiedli po przekątnej od Żylety, gdzie z kolei

rozlokował się Klub Ściemniacza, czyli Dominik, Burki, Wójcior i ja. Trwała wojna w byłej Jugosławii, więc Żyleta skandowała nazwiska Miloševicia i wszelkich możliwych serbskich przywódców, przetykając to obelgami po serbsku (doksztalčili się!) o dumnym

narodzie chorwackim. I kiedy śpiewaliśmy *Deszcze niespokojne*, tak aby wykrzyzczyć

„nakarmimy psa! psa! psa!”, wskazując jednocześnie na przeciwnika, w tym wypadku

kibiców Hajduka, nagle, jak na rozkaz, i pewnie na rozkaz, wszyscy Chorwaci odwrócili

się, spuścili spodnie, wypięli i ujrzeliśmy osiemset dorodnych, gołych chorwackich dup.

Żyleta zamarła, a my w czwórkę dostaliśmy spazmatycznego ataku śmiechu, najgłośniej

Wójcik, co nie rokowało najlepiej, bo nikt wkoło się nie śmiał. Na twarzach wkurw

mieszał się z niezrozumieniem i chęcią zwrócenia uwagi tym czterem rechoczącym

pajacom, czyli nam. Zresztą jakiś młodzian o rozbudowanym karku rzucił do redaktora

Wójcika: „I czego rzysz, debilu?!”. No więc się trochę uspokoiliśmy, choć do końca meczu ledwo nad sobą panowaliśmy. Legia przegrała w słabym stylu 0:1, a w rewanżu już była masakra: 0:4. Tym razem mieliśmy nadzieję, że w Göteborgu nie będzie blamażu. No i na

pierwszym meczu w Warszawie nie zobaczyliśmy ani pół męskiej szwedzkiej dupy.

Rokowało dobrze.

Kiedy wróciliśmy z Göteborga do Warszawy, najpierw wpadłem do rodziców na obiad.

Pewnie zadzwoniłem wcześniej i poprosiłem jak zwykle o maminego kurczaka pieczonego

z domowymi frytkami. A może były zrazy wołowe zawijane z ogórkiem i serem w środku?

Cokolwiek wjechało na stół, na pewno było pyszne, w końcu mama była współautorką (z

Barbarą Adamczewską, dzisiaj znaną

popularyzatorką ciekawej kuchni)  
książki

kulinarnej *W kuchni babci i wnuczki*, w której przedstawiała polskie przepisy sprzed stu lat. Moja siostra Kasia nadal robi najlepszy pasztet na świecie według przepisów mamy.

Na pewno jak zwykle wylizałem talerz, powodując ostentacyjne uniesienie matczynego

wzroku połączone z głębokim westchnieniem i kręceniem głową, bo po tych wszystkich

latach już się jej nie chciało nawet głośno protestować. Pewnie i tak się

cieszyła, że to nie śniadanie i nie jemy jajecznicy, bo wtedy lizałby i tata.

No i przy obiedzie zacząłem opowiadać co smaczniejsze anegdotki z tego 72-godzinnego

wyjazdu i nucić, fałszując jak zwykle okrutnie, co bardziej liryczne pioseneczki. Mama wpadła w przerażenie: „Boże! Co to za hołota i bydło! Opisz to wszystko ku przestrodze!

Żeby ludzie wiedzieli co to za barbarzyństwo!”.

Ech mammo kochana, no jak ci miałem powiedzieć, że bawiłem się jak mało

kiedy

w życiu? Ale zacząłem się robić nerwowo. No bo tak: „koledzy” z Göteborga oczekiwali od pismaka, czyli ode mnie, wojennej epopei sławiącej szwadrony legijnych zagońców zdobywających Szwecję. Gdyby tekst im się nie spodobał, mogliby zastosować wobec mnie

narzędzia krytyki literackiej, których nie uczą na wydziale polonistyki. Z drugiej strony mama, moja najdroższa mama, dobry człowiek, która chce, żebym swym towarzyszom podróży zrobił z wiadomo czego werbalną jesień średniowiecza. Jak z tego wybrnąć, nie



dając samemu również wiadomo czego,  
nie staczając się w hipokryzję i nie  
zawodząc

mamy?

No więc napisałem, co napisałem.  
Zaniosłem, a raczej zawiozłem swym  
maluchem

koloru kawy z mlekiem tekst do redakcji  
„Polityki” (no bo przecież mejli, droga  
młodzieży, jeszcze nie stosowaliśmy) i  
czekałem w pokoju działu krajowego, co  
tam zadecyduje „góra”. A jak  
zobaczyłem – bo pokazały mi panie  
maszynistki, które dostały reportaż do  
ponownego przepisania – to dostałem  
zawału. Masakra to eufemizm. Najlepsze

akapity, cytaty i wierszyki wyleciały. Została jakaś mdła, niby-reporterska papka, z dopisanymi zdaniami, z których wynikało, że ho! ho!, nieładnie tak swawolić i ja to potępiam.

No zrobiło mi się gorąco i zimno na przemian i w panice zastanawiałem się, jak

wybrnąć z tego gówna. Ubłagałem panie maszynistki, żeby jeszcze chwilę poczekały

z wysyłaniem tego żalospnego kikuta do sekretariatu redakcji, czyli do produkcji i druku.

A pięć minut później poprosiłem, żeby

mi dały starą, oryginalną wersję i że ja sam ją

zaniósę do sekretariatu. Spytały się, czy wiem, co robię, i czy zdaję sobie sprawę, że za taki numer mogą mnie spotkać grube nieprzyjemności. Odpowiedziałem, że tak i że w razie czego one o niczym nie wiedziały.

Swoją drogą to nie zliczę, ile razy w życiu ratowały mi tyłek panie woźne, dozorki, szatniarki, pracownicy rozmaitych sekretariatów. Zawsze lubiłem z nimi gadać, słuchać plot i opowieści, witałem się, znałem imiona, żartowałem głupio i kiedy zdarzała się chwila, że jak zwykle na własne

życzenie wpadałem w kłopoty, pomoc przychodziła

z najmniej spodziewanej strony. Tak jak wtedy, gdy mój opiekun roku na historii, młody, ambitny i żądny studenckiej krwi asystent postanowił skreślić mnie z listy z powodu jakichś zawałonych zaliczeń. Miał prawo.

Kiedy panie z dziekanatu dostały jego wniosek, schowały go do szuflady i znalazły mnie gdzieś (komórek przecież nie było, droga młodzieży) na terenie Instytutu Historycznego, a może i na dziedzińcu, bo zawsze nosiło mnie jak kota z pęcherzem. Może akurat handlowałem podziemnymi książkami i

„Tygodnikiem Mazowsze” przy wejściu  
na

uniwerek od strony Krakowskiego  
Przedmieścia, może jarałem fajki w  
siedzibie

opanowanego przez nielegalny NZS  
samorządu przy Małym Dziedzińcu, a  
może popijałem

herbatą legendarne kanapki z pastą  
jajeczną serwowane w „Szafocie” na  
wydziale prawa.

Niewykluczone, że próbowałem  
podrywać jakieś dziewczę w  
„Kazimierzu”, czyli bufecie

Pałacu Kazimierzowskiego, siedziby rektoratu, do którego to lokalu chyba w owych

czasach wstęp studentom był formalnie wzbroniony. Nieważne. Istotne, że mnie znalazły, zaalarmowały, że zegar tyka, że mogą przetrzymać wniosek opiekuna jeszcze parę dni, ale mam zrobić to, to i to, żeby uratować swój krągły tyłek przed Ludowym Wojskiem

Polskim, które niechybnie zaprosi mnie na swoją imprezę, kiedy Uniwersytet wyrzuci ze

swojej. Udało się, ocalałem, rozczarowana mina opiekuna bezcenna, podobnie jak

uśmiechnięte buzie pań w dziekanacie. Jeżeli któraś z nich czyta te słowa, to jeszcze raz pięknie dziękuję! Za to i parę innych numerów.

Ale wróćmy do „Polityki”. Wziąłem od pań maszynistek reportaż w oryginalnej wersji,

z naniesionymi jedynie poprawkami interpunkcyjnymi i zaniósłem do sekretariatu, szybko znikając z pola widzenia. Liczyłem na ciśnienie czasu. Było poniedziałkowe przedpołudnie, za parę godzin cała „Polityka” szła do druku, by ukazać się w środę, panował

cotygodniowy dom wariatów, znaczące ożywienie spokojnej zazwyczaj

redakcji. Miałem

nadzieję, że człowiek, który mi  
wykastrował tekst, nie zajrzy do niego  
jeszcze raz na

kolumnach, bo będzie miał ważniejsze  
rzeczy na głowie w rodzaju wywiadu z  
jakimś

politykiem, którego dzisiaj już nikt nie  
pamięta, albo, co gorsza, nadal ma na  
nas wpływ, czy też komentarz do  
najnowszej młócki w Sejmie.

Czekałem w napięciu i strachu,  
spotęgowanym, kiedy poprosili mnie do  
siebie



sekretarze redakcji. Ale okazało się, że chcą tylko, żebym przeczytał tekst na kolumnach, czy się wszystko zgadza. Zgadzało się bosko, więc oddałem płachtę A3 i czmychnąłem do domu.

Nie wywalili mnie z roboty ani w poniedziałek, ani we wtorek. W który to wtorkowy

wieczór gdzieś zabalowałem, bo spałem jeszcze, kiedy koło dziewiątej rano w środę obudził

mnie dzwonek domowego, stacjonarnego telefonu. „Haloooo...” – wysapałem sennie i od

razu oprzytomniałem pod wpływem

dynamicznej frazy mego rozmówcy. Bez zbędnej gry

wstępnej w rodzaju „dzień dobry” rzekł:

– Coś ty, kurwa, jebańcu napisał o naszej Legiuni kochanej? Co, kurwa?!

– Ale, ale... – jękałem się dramatycznie, zdając sobie sprawę, że mają mój domowy

numer, może reszta ekipy stoi już pod klatką albo i drzwiami. Osiedle w końcu było

zielono-biało-czerwone.

– Żadne, kurwa, „ale”! Jaki, kurwa,

prom zdemolowany, piździelcu!  
Pojechało cię,

frajerze?! Psom służysz?!

– Jakim psom? Przecież obiektywnie...

– Przyjdź, kurwa, zasrańcu na  
Łazienkowską, to będziesz miał, kurwa,  
obiektywnie po

kolanach!

W tym momencie gość jakby się zaśmiał.  
Nie mogłem uwierzyć.

– Dominik?!!

Teraz już rżał. Do dzisiaj lubi mi

przypominać, jaki byłem zestrachany. A  
reportaż

bardzo się mojej mamie spodobał, „bo  
pokazałem, co to za hołota”. Ale i  
hołocie przypadł

do gustu, bo jeszcze długo później po  
trybunach krążyły kserokopie *Planety  
małp*.

A i dzisiaj zdarza się, że ktoś wklei tekst  
na jakimś kibicowskim forum i łezka mi  
się w oku kręci, gdy czytam komentarze  
co młodszych internautów, bo dla nich  
wyjazd do Göteborga to więcej niż  
Płowce, Grunwald i Wiedeń razem  
wzięte.

Co jeszcze lepsze, a na pewno zabawniejsze, *Planeta* bardzo się spodobała w „Polityce”.

Zewsząd płynęły komplementy, z innych redakcji słyszałem wieści, że redaktorzy

wściekali się, iż nie wysłali swoich reporterów z kibicami, tylko luksusowo samolotami.

Człowiek, który o mało mi nie zniszczył opowieści, milczał i tak się zastanawiałem, czy zobaczył, że tekst się podoba, więc udaje, że deszcz pada i przechodzi do porządku dziennego nad moją samowolką, czy może już nie pamięta, bo z racji kierowniczego

stanowiska tyle tych tekstów przerabia. Swoją drogą, kiedyś po tym, jak pewien redaktor wywalił mi połowę tekstu, z czystej ciekawości, bo sprawa nie była pilna, dałem ponownie oryginalną wersję innemu redaktorowi, pracującemu z pierwszym na zmianę. Drugi wywalił dokładnie to, co pozostawił pierwszy. Obydwaj byli naprawdę niezłymi

fachowcami, co piszę bez cienia ironii.

A żeby zaświecić też budującym przykładem z dziedziny obróbki tekstów, to dla mnie

w „Polityce” ten przykład nazywał się Leszek Będkowski. Zresztą nadal się tak

nazywa

i nadal pracuje w „Polityce”, o ile mnie pamięć nie myli, bo widzieliśmy się kilka dni temu w towarzystwie naszych żon, a żona Lecha to Ewa Wilk, była szefowa działu społecznego „Polityki”, w którym pracowałem. Zresztą kiedy odchodziłem na redaktora naczelnego

„Playboya”, powiedziała mi, nawiązując do mych przysłowiowych obsuw terminowych:

„Żeby cię pokarało takimi podwładnymi, jakim sam jesteś!”. No zdarzało się.

O Lechu Będkowskim Igor Janke

powiedział kiedyś, że to najlepszy redaktor w Polsce,

co oczywiście spotkało się z ironicznymi komentarzami w „Polityce”, bo, po pierwsze,

komplement od zakutej prawicowej pały to jak pocałunek śmierci, a po drugie, wiadomo,

że najgorsze rywalizacje, zawiści i intryżki nie dzieją się między redakcjami czy partiami, tylko wewnątrz. Ale Janke miał rację. Pamiętam, jak napisałem reportaż, który miał

mieć 15 tysięcy znaków, a wyszło mi 50. Po długiej nieprzespanej nocy ściałem



go do

trzydziestu i zatrzymałem się, bo wiedziałem, że każde następne wycięte zdanie i słowo będzie gwałtem na strukturze tekstu. I z takim materiałem podążyłem do Lechutka, tłumacząc mu, że się nie da i w ogóle. Lechu powiedział „spokojnie, daj tekst, pogadamy jutro”. A nazajutrz wręczył mi mój reportaż, który miał 16 tysięcy znaków, zachowany sens, nastrój i temperaturę i w którym nie widziałem żadnego zasranego skrót, i który niestety był znacznie lepszy od tego, co przyniosłem. I niezmiennie uwielbiam wizyty w ogródku państwa Będkowskich i piękne, pouczające rozmowy o

dziennikarstwie,

polityce, pisaniu, podróżowaniu i  
jedzeniu. I jak Lech usłyszy pomysł i od  
razu, na gorąco, planuje, jak powinien  
być napisany tekst, co w sobie zawierać,  
na co autor musi zwrócić baczną uwagę,  
a co pojawić się w tle. No cholerny  
Miszcz przez duże M.

A Göteborg miał jeszcze jedną puentę.  
Poszło o rozliczenie delegacji. To był w  
ogóle mój stały problem, kiedy  
jeździłem w dziwne miejsca.  
Księgowość żądała rachunków, a ja  
próbowałem grzecznie tłumaczyć, że tam  
wojna, faktur generalnie nie wystawiają,  
forsa

idzie z ręki do ręki, co mam zrobić, jeśli nie wystarczają moje oświadczenia?

Ano mam

zbierać oświadczenia od tych, którym płacę. Pięknie, zwłaszcza jak co drugi analfabeta.

Pamiętam, jak wróciłem z reportażu z Albanii i w narożnym redakcyjnym pokoiku na

Miedzianej męczyłem się ze stosem takich oświadczeń upstrzonych krzyżykami i pismem

przedszkolaka mańkuta, którego zmuszają do pisania prawą ręką. Zobaczyli mój kopczyk

Wojtek Markiewicz i Piotrek  
Pytlakowski i się zapytali, co to takiego.  
No to im

wytłumaczyłem. Zarzeli radośnie i  
zaoferowali ochoczo, że mogą mi więcej  
machnąć, jeśli taka moja wola.

Poprosiłem ich, żeby pouprawiali seks  
na samych sobie i dali mi spokój, ale  
fakt jest faktem, że był to kompletny  
absurd. Nieograniczający się do Polski  
zresztą.

Później czytałem *Terytorium*  
*Komanczów* Artura Pereza Reverte,  
kapitałną książeczkę osnutą na jego  
doświadczeniach, kiedy nie pisał  
jeszcze thrillerów historycznych, a

Roman Polański ich nie ekranizował, lecz był korespondentem wojennym hiszpańskiego dziennika „El País” i telewizji RTE. No i po jakimś powrocie miał dokładnie tę samą sytuację, a jego Pytlakowskim była 9-letnia bratanica, która swym charakterem pisma bośniackiego półanalfabety kreśliła oświadczenia na kolejne opłaty za transport czy łapówki dla

watażków.

A niedługo przed wyjazdem do Göteborga dostałem burę od dyrektor finansowej, że

niewłaściwie opisuję przywożone z delegacji rachunki. Na każdym –

powiedziała – nawet

jeśli jest to czyjeś oświadczenie, ma być wyraźnie określone przeze mnie, co zostało

zakupione i w jakim celu. Tak też uczyniłem. Siedziałem sobie spokojnie w naszej

kanciapie działu krajowego, ćmiłem papierosa, plotkowałem z kolegami, kiedy wpadła

dyrektor finansowa z moim rozliczeniem w rękę, cała czerwona i zadęła w surmy: „To już szczyt! To jest Meller gówniarstwo i kpina! Dosyć tego dobrego. Zobaczymy, co na to powie

naczelny!” . Koledzy oczywiście zastrzygli uszami, żeby się dowiedzieć, o co chodzi, ale ja już pognałem do gabinetu Jerzego Baczyńskiego, chcąc być przy kablowaniu, żeby się móc tłumaczyć.

Sekretarka „Bacza” musiała już wiedzieć, o co chodzi, bo puściła oko i życzyła

powodzenia. Wszedłem, kiedy pani dyrektor sapała: „To jest skandal! Przynosi mi

rachunek na skrzynkę wódki z promu, pisze na odwrocie »Co to jest? To jest karton

wódki. Przeznaczenie? Nawiązanie pozytywnych kontaktów z pseudokibicami«.

Pseudokibicami! Przecież to obu-rza-jące!!!”.

Mam zamiar się tłumaczyć, ale widzę, że Baczyński ledwie nad sobą panuje i zaraz

ryknie śmiechem, więc tylko mruczę, że tak właśnie było, wódka poszła na integrację

i całkiem dobrze ta integracja wyszła, co ma swoje odzwierciedlenie w reportażu.

Baczyńskiemu udało się uspokoić i



powiedział, że oczywiście to absolutnie niestosowne

z mojej strony i nie rozliczy rachunku za wódkę. A tydzień później dał mi superpremię za najlepszy tekst miesiąca. Przepiliśmy ją z Dominikiem.

A chwilę później, jesienią 1995 roku, wyleciałem z „Polityki”. Z dużym hukiem

i dokładnie w dniu, kiedy Legia grała z Blackburn u siebie w fazie grupowej Ligi

Mistrzów. Niedługo po tym, jak wreszcie po czterech latach stażowania i współpracy

dostałem etat.

A wyleciałem, bo zabalowałem. Nigdy nie byłem wzorem punktualności i mistrzem

terminów, ale tym razem przegiąłem w szczególnie złym momencie. „Polityka” akurat

przechodziła z formatu wielkiej czarno-białej płachty na kolorowy magazyn, jakim, mimo wszystkich zmian szaty graficznej, jest do dzisiaj. Wcześniej w sumie nie miało to tak olbrzymiego znaczenia, w którym miejscu pisma idzie tekst, jeden można było podmienić innym. A układ w magazynie był dużo bardziej restrykcyjny, nie mówiąc o tym,

że na

początku zmian zawsze jest nerwówka.  
A ja pisałem reportaż o święcącym  
wówczas

największe tryumfy disco polo do  
trzeciego kolorowego numeru. No i  
zawaliłem

nieprzekraczalny termin. Dawniej  
pewnie dostałbym ochrzan, kazaliby  
skończyć do

następnego numeru i wsadziliby coś  
innego. Teraz zostawała dziura. Więc  
naczelny

Baczyński mnie wywalił.

Kilka dobrze mi życzących w „Polityce” osób, przede wszystkim sekretarz redakcji

Piotrek Adamczewski i szef działu kultury Zdzisio Pietrasik poszli do Baczyńskiego

przekonywać, że owszem, może i leń ze mnie i hulaka, ale zdolny, więc może dać mi

szansę na samo pisanie. Na co Baczyński się zgodził. Mogę pisać bez gwarancji druku,

a jeżeli przez kilka miesięcy będę dostarczał teksty na termin, to możemy porozmawiać

o jakimś ponownym, formalnym  
związaniu się z redakcją. No to pisałem,  
ledwo wiążąc

koniec z końcem, bo z samych  
honorariów wyżyć się nie dało, a nie  
miałem nawet, jak

wcześniej przed etatem, skromnego  
ryczałtu. Tata powiedział, że jak  
spieprzyłem sprawę, to mam radzić  
sobie sam, a do nich mogę wpadać w  
niedzielę na obiad. Aha, i codziennie  
spotykałem kogoś na mieście, kto  
jeszcze niedawno chwalił moje teksty, a  
teraz nie krył

radości, że mi się powinęła noga. No  
cóż, życie.

Kombinowałem jak mogłem, pisałem teksty do „Polityki” i brałem wszelkie chałtury na

boku, jeśli się w ogóle trafiały. Kolega z działu, Wojtek Markiewicz, załatwił mi niezłe płatną fuchę w piśmie „Hotelarz”, za co mu w tym miejscu jeszcze raz serdecznie dziękuję.

Przyjaciel od dawna, Mikołaj Burchard, który wówczas importował albumy malarskie

i fotograficzne, wysłał mnie busem po odbiór okolicznościowych kalendarzy świątecznych do Bawarii. Oczywiście nie miałem żadnych papierów na zawodowego kierowcę, tachometr nie

działał, a mój współkierowca, również przyjaciel Mikołaja w potrzebie,

kiedy już wracaliśmy, zasnął za kierownicą i zjechaliśmy z drogi po skarpie w czyjeś pole.

Byliśmy przerażeni, że niemiecka policja nas aresztuje, samochód skonfiskuje czy coś

w ten deseń, a oni jak przyjechali, poczęstowali kawą i sprowadzili bauera z traktorem, żeby nas wyciągnął z brei.

Ale kiedy kilka miesięcy później dostałem sygnał z „Polityki”, że są zadowoleni z mojego pisania i terminowości i że mogę ubiegać się o

ponowne zatrudnienie, ja zamiast to  
uczynić, wykonałem hucpę miesiąca,  
jeśli nie roku. Gdy stanąłem przed  
szanownym

gremium decyzyjnym,  
zakomunikowałem, że nie będę ubiegać  
się o przywrócenie do

pracy, bo wyjeżdżam na rok do Afryki. I  
jeżeli redakcja chce, żebym jej przysyłał

reportaże, to poproszę o legitymację i  
jakąś kasę. Resztę załatwię sobie sam.  
No cóż, sam się dzisiaj zastanawiam, co  
bym uczynił, gdybym siedział z drugiej  
strony stołu? Pogonił

bezczelnego gówniarza czy jednak dał w



sumie niewielkie pieniądze ambitnemu

i skłonemu do ryzyka młodzieńcowi?

W „Polityce” wybrali drugie  
rozwiązanie i bardzo

im jestem za to wdzięczny.

Jak bardzo często w moim życiu,  
pomogli przyjaciele. Zdobywali dla  
mnie po kilkaset

dolarów na podróż, a to za obietnicę  
ekskluzywnego pokazu slajdów z  
opowieściami po

powrocie dla rodziny biznesmenów, a to  
za zdjęcia jakiegoś dziwnego plemienia

w koszulkach pewnej małej firmy.  
Któregoś ranka obudził mnie telefon:

– Dzień dobry panu, mówi Ryszard  
Kapuściński. Słyszałem, że wybiera się  
pan znowu

do Afryki. Czytałem pańskie reportaże i  
mi się podobały. Może znajdzie pan  
chwilę przed wyjazdem i zajrzy do  
mnie?

Cóż mam powiedzieć? Że osłupiałem?  
Oniemiałem? Zatkanęło mnie?  
Wybelkotałem, że

z przyjemnością. Przesiedziałem ze  
dwie godziny w pracowni pana  
Ryszarda, słuchałem

rad i opowieści, dał mi wiele swoich afrykańskich namiarów, z których korzystałem

w nadchodzących miesiącach. A kiedy wychodziłem, wręczył mi kopertę. Spytałem, cóż to

jest. Odpowiedział, że takie małe stypendium na soft drinki. W środku było 300 dolarów.

Powiedziałem, że nie mogę ich przyjąć. Uśmiechnął się i powiedział, żebym się nie

wyglupiał, jemu też ktoś kiedyś pomógł.

I tak, razem z tym, co odłożyłem z

pisania, ruszałem do Afryki z dwoma tysiącami

dolarów w kieszeni. Mało, bardzo mało, biorąc pod uwagę, że chciałem nie tylko

podróżować, ale i pisać z miejsc, do których samo dostanie się kosztowało wiele, a życie na miejscu jeszcze więcej. Ale liczyłem na to, że coś mi wpłynie z wysyłanych tekstów, no i na swoją szczęśliwą gwiazdę. Która od razu zajaśniała, bo ledwie wylądowałem w Afryce, dowiedziałem się, że holenderski tygodnik drukuje tłumaczenie mojego artykułu z „Polityki” o twarzy współczesnych wojen, a płacą (mnie, nie redakcji, jakby się to stało

dzisiaj, takie to wspaniałe czasy były!)  
jakieś absurdalnie wysokie na ówczesne  
polskie warunki honorarium. O ile mnie  
pamięć nie myli tysiąc guldenów, czyli  
ponad 500

dolarów. A wtedy to naprawdę była  
kupa szmalu.

No i miałem przed sobą wiele miesięcy  
– dopóki kasa starczy – wolności  
ograniczonej

tylko moimi decyzjami i fantazjami.  
Bezcenne.

# **Daleka droga do Kurdystanu**

– Kurdystan?! Co to jest Kurdystan?!  
Nie ma żadnego Kurdystanu! – wściekł  
się

w czasie skądinąd sympatycznej  
rozmowy właściciel lodziarni w  
Ankarze. W południowo-wschodniej  
Turcji obowiązuje prawo stanu  
wyjątkowego. W zależności od sytuacji  
poszczególne miasta, wsie, doliny są  
strefą zakazaną dla cudzoziemców albo  
tylko dla ich gorszej części –  
dziennikarzy. Powodów może być  
wiele: właśnie zaatakowali rebelianci z

Partii Pracujących Kurdystanu – PKK  
(rozpoczął się proces ich lidera  
Abdullaha

Öcalana, porwanego w Kenii przez  
tureckich agentów); ruszyła kolejna  
ofensywa armii

rządowej, która w pogoni za  
„terrorystami” znowu się zapędzi daleko  
w głąb Iraku;

wybuchła gdzieś bomba; zbliżają się  
wybory i zaraz parę regionów albo po  
prostu cały

południowy wschód zostaje ogłoszony  
zoną zamkniętą. Jak to w demokracji.

Najgorsze przyszło w 1992 roku. PKK stała wówczas u szczytu potęgi.

Kontrolowała

całe połacie kraju i w dniach poprzedzających Nowruz, kurdyjski Nowy Rok (21 marca),

wezwała do serhildanu, co w przybliżeniu odpowiada palestyńskiej intifadzie. Zwłaszcza położone nad iracką granicą miasto Cizre stało się sceną antytureckich demonstracji. Na czele rozpalonego pochodu szły kobiety i dzieci. Policjanci – według zagranicznych obserwatorów ewidentnie żądni krwi – nie zamierzali się temu biernie przyglądać. Zginęło dziesiątki



ludzi, w tym dziennikarzy. Wielu zabitych padło od strzałów w plecy.

Władze wybrały brutalną siłę i taną socjotechnikę. Nagle się okazało, że 21 marca to

w istocie stare tureckie święto o nazwie Nowruz i zarządzono jego oficjalne obchody

z udziałem niekiedy zagranicznych gości, ale bez miejscowych Kurdów. Turecka norma

absurdu została osiągnięta, gdy w noworoczną noc na południowym wschodzie przez

płonące ogniska skakali rządowi żołnierze, a zatwardziali kurdyjscy nacjonaści na znak protestu zostawali w domu.

## **Nie dzieje się nic**

Już jakoś tak jest, że prawie każdy urzędnik, odpowiedzialny za uprzykrzanie życia

dziennikarzom, czuje się w obowiązku poinformować swą ofiarę, że rozumie, nawet

sympatyzuje i podziela, ale właśnie taka sytuacja, no szkoda po prostu. Nie inaczej było z korpulentną czterdziestolatką w Departamencie

Prasy i Informacji w Ankarze.

Rozumiała, sympatyzowała i podzielała, ale bardzo jej przykro, dziennikarze nie mogą

teraz wjechać do Diyarbakır, głównego miasta południowego wschodu, stolicy

nieistniejącego Kurdystanu. A do Hakkâri? Też nie. Bitlis? Siirt?

Nie i nie; dla pańskiego dobra, wyjaśniła, no i dla państwa tureckiego też. Nie daj Bóg porwą pana terroryści. Albo zabiją. I co wtedy? Gazety europejskie napiszą o tym na pierwszych stronach. Ludzie pomyślą, że w Turcji nie wiadomo co się dzieje, a jak

doskonale wiadomo, nie dzieje się nic specjalnego. Nie do końca przekonany postanowiłem dostać się do Diyarbakır i otoczonej legendą twierdzy kurdyjskiego oporu górskiego Hakkâri naokoło, z Van, od strony granicy z Iranem. – Zamelinuj gdzieś na wszelki

wypadek legitymację dziennikarską – tłumaczył znajomy, od lat mieszkający w Turcji

Europejczyk. – Najwyżej cię zwiną i wywalą. To jednak nie jest Kongo ani Bośnia.

W Van padał śnieg. Przykrywał fundamenty starego Van, kompletnie zniszczonego

w czasie morderczych walk rosyjsko-tureckich w czasie I wojny światowej.  
Niegdyś

kipiało tu życie Ormian,  
wymordowanych na początku wieku w  
kolejnych okrutnych

pogromach. Rozkazy wydawali Turcy,  
zabijali głównie Kurdowie. Jeden z ich  
bardziej

przenikliwych wodzów Chalid Beg  
zauważył po kolejnej masakrze: „Zdaje  
się, że

naostrzyliśmy szablę, która poderżnie  
nam gardło”. Jego akurat Turcy  
powiesili – za

zorganizowanie powstania w latach 20.,  
a samą rebelię, jak i wiele kolejnych  
rewolt,

faktycznie utopili we krwi. Odtąd  
problem kurdyjski miał przestać istnieć,  
żyć mieli sobie tylko „górcy Turcy”,  
lojalni obywatele republiki.

Na kilkadziesiąt lat południowy wschód  
wdeptano w ziemię. Ankarą  
kontrolowała teren

poprzez plemiennych i klanowych  
przywódców. Aż w końcu lat 70. z  
jednej

z niepoliczalnych lewackich grup, które  
wraz ze swymi skrajnie prawicowymi

lustrzanymi odbiciami toczyły walki na ulicach miast, zrodziła się Partia Pracujących Kurdystanu (PKK) Abdullaha Öcalana. W 1984 roku zaatakowała po raz pierwszy. Od tego czasu

toczy się wojna.

## **Droga do Hakkâri**

Droga do Hakkâri wiodła przez okupowany kraj. Przez bardzo piękny i zarazem ponury

krajobraz. Gdzieś w skalnych grotach kryli się rebelianci. Co kilkanaście kilometrów

bunkry, stanowiska strzeleckie za  
workami z piaskiem i drutami  
kolczastymi przykryte

siatkami ochronnymi, wypalone domy,  
gaziki z ciężkimi karabinami  
maszynowymi,

najprzeróżniejsze wozy pancerne. Armia  
turecka jest wyposażona chyba w każdy  
możliwy

rodzaj broni: od nowoczesnych dostaw z  
USA do darów Niemiec z magazynów  
byłej

NRD – prawdziwy raj dla maniaków  
militariów. I żołnierze: nic z podpitego  
luzu



trzecioświatowej wojny. Palce na spustach, czujne, nieufne spojrzenia. Policjanci

i żandarmi są bardziej amatorscy (co zazwyczaj oznacza, że również bardziej brutalni), wojsko to mimo wszystko część NATO.

Na początku wojny przysyłano tu zwykłych poborowych, PKK urządziła istne

strzelanie do kaczek. Rozsądek przyszedł z czasem i wraz ze specjalnymi szkoleniami,

w tym przez amerykańskich oficerów. Ze zwierzyny turecka armia stała się

łowczym.

W pogoni za rebeliantami zapędza się w głąb Iraku, prowadzi wojnę z powietrza, odcina

całe połacie gór (w tym i za granicą) i bezwzględnie pacyfikuje. Partyzanci (terroryści) uciekają coraz wyżej, w coraz dziksze ostępy, coraz dalej od życzliwych albo zmuszanych do życzliwości wieśniaków. Tych zresztą jest coraz mniej. W ciągu ostatnich siedmiu lat spalono trzy tysiące wiosek, wysiedlono setki tysięcy, jeśli nie miliony Kurdów. Ale kiedy armia wraca do baz, wracają na te tereny i wojownicy Öcalana.

Jedna trzecia drugiej co do wielkości armii NATO – ponad 200 tysięcy żołnierzy –

ugrzęzła w kurdyjskich górach. Co roku wojna kosztuje Turcję osiem miliardów

dolarów. – I być może w tym też tkwi sekret, że to wszystko trwa tak długo – mówi jeden z ankarskich dziennikarzy. – Rządowa propaganda głośno podkreśla, że PKK czerpie zyski z przemytu i produkcji narkotyków. Ale jest też wiele dowodów, że walcząc

w ludzi Öcalana w dzień, w nocy wielu wyższych wojskowych gładko współpracuje

z nimi w kontrabandzie. Pokój  
oznaczałby pozbawienie wielu ludzi  
niewyobrażalnych

dochodów.

## **Odwrót do Van**

Już wjechaliśmy do miasta, już  
minęliśmy „tureckie” osiedle (wojsko,  
policja,

administracja, nauczyciele; łatwo  
poznać, chronią je zasieki i wozy  
pancerne), kiedy drogę zajechała nam  
stara renówka. Wskoczyło dwóch w  
czarnych garniturach, weszli do autobusu  
i kazali mi wysiadać. Co tu robię? Kto  
mi pozwolił? – łamaną angielszczyzną

i coś po turecku. Rozumiałem tylko „PKK”. Zaczęli szturchać, łapać za kieszenie,

krzyżeć. To był chyba ten moment na legitymację. Kwadrans później byłem z powrotem

na posterunku przy rogatkach Hakkâri. Policjant, który wcześniej mnie puścił, pokiwał

teraz głową i poczęstował plackiem z mięsem.

Przyjechał na rozkaz z pełnego turystów Izmiru. Jego żona była nauczycielką i teraz

pracowała w Hakkâri. Trochę się bał,  
bo dla PKK nauczyciele byli celem  
takim samym

jak żołnierze. Zginęło ich setki. – Ale  
przecież muszę bronić swego kraju.  
Zresztą –

pocieszał się – teraz jest bezpiecznie.  
Tylko w nocy lepiej nie jeździć. No  
chyba że się jest Kurdem.

Tłumaczył, że Europejczycy wspierają  
Kurdów, by ich rękami zrealizować  
odwieczne

marzenie: rozbitcie Turcji. Podreptał do  
bunkra i wrócił z tureckim  
podręcznikiem. –

Zobacz – wskazał papierosem na mapę  
wykreśloną zgodnie z traktatem z Sèvres  
z 1920

roku, po klęsce i rozpadzie imperium  
Osmanów – mój Izmir mieli wziąć  
 Grecy, prawie

całe wybrzeże śródziemnomorskie –  
Włosi, Sambuł i cieśniny miały przejść  
pod zarząd

międzynarodowy, wschód zostałby  
podzielony między Anglików,  
Francuzów, Ormian

i Kurdów. A co dla nas? Co dla  
Turków? Jakiś kebab nad Morzem  
Czarnym. Wtedy ocalił

nas Atatürk. Teraz znów musimy się bronić. Tym razem przed terrorystami z PKK,

których utrzymuje Grecja i którym pomaga Europa Zachodnia.

Nadjechał autobus. Kierowca nie chciał pieniędzy za wymuszony powrót do Van. Za to

następnego dnia kazali płacić za samolot do Ankary. To była dziesiąta kontrola na 400—

kilometrowej drodze z Van do Diyarbakır. Jak każda pod lufą automatów. Kontrola



bagaży. Zainteresowali się anglojęzyczną historią Turcji. Znaleźli zaznaczone fragmenty o Öcalanie. A co to? Nawet nie czekali na odpowiedź. Uśmiechali się, częstowali herbatą, machali zbywająco rękami na próby tłumaczeń i gdzieś dzwoniли.

Przyjechali furgonetką. Dwóch uniwersalnego sortu ubeków. Trochę pokrzyczeli,

a potem już też się uśmiechali. Zawieźli na komendę w Diyarbakır, tam dorzucili  
40—

letniego Niemca z Partii Zielonych, który przybył na rozpoznanie praw człowieka.

Wyglądający na szefa zapytał, skąd jesteśmy. Kiedy usłyszał „Polska”, cały się

rozpromienił: – Lech Wałęsa jest wspaniały! Niemiec mało się nie udławił. Zawieźli nas na lotnisko i kazali kupić bilety w jedną stronę do Ankary. Notes zatrzymali, książkę oddali.

Mieliśmy kilka godzin do samolotu. Niemiec opowiadał, jak jego czternastoletni syn wraca ze szkoły zaczadzony Wielkimi Niemcami, Kurdów (Turków zresztą też) ma za psy, a kiedy ojciec chce mu opowiadać o Hitlerze – zatyka uszy. Stewardesa,

oglądając kartę pokładową, nie mogła powstrzymać jadu: – I po co było pchać się do Diyarbakır?

## **Wzgardzona miłość Dogana**

## **Wzgardzona miłość Dogana**

– Intelktualna masturbacja – tak już w Ankarze powiedział Dogan, asystent na jednym ze stołecznych uniwersytetów.

– Facetom w Europie, którzy mdleli na widok Castro, popierali sandinistów, nagle świat się zawalił i teraz znaleźli sobie nowy obiekt: Kurdów. Nic nie wiedzą, nic nie rozumieją, ale dmą w surmy bojowe. Dogan jest lewicowcem,

nie cierpi tureckiej polityki, można by nawet powiedzieć, że jest antysystemowy (przez system rozumiejąc kulejący miejscowy wariant demokracji), mentalnie jest człowiekiem Zachodu, ale nie oznacza to wcale, że się pochyla z troską nad niedolą Kurdów. PKK z właściwą sobie retoryką nazywa prawie wszystkie tureckie partie głównego nurtu mianem faszystowskich.

Jest w Doganie ta specyficzna gorycz prozachodnich (w rozumieniu cywilizacyjnym

bardziej niżli politycznym) Turków, smutek wzgardzonej miłości: Europa

jest gotowa

przyjąć jakąś postsowiecką Estonię, a odrzuca pukającą od dziesięcioleci do jej bram

Turcję. – I za jeden z pretekstów używa Kurdów – prycha Dogan. – Dawniej myśleliśmy,

że bez Europy nie damy rady. Ale dajemy, kraj się rozwija. Jeśli w Brukseli nie chcą

widzieć, jak bardzo się staramy, ile jest zmian na lepsze, również w tych ich ulubionych prawach człowieka, jeśli nie dostrzegają, że moje pokolenie 30-latków jest już zupełnie inne, takie jak

we Francji czy Niemczech, to ich sprawa. Przecież, bez obrazy, w Turcji jest więcej młodych ludzi po zachodnich uczelniach niż w Polsce, Czechach i na Węgrzech razem wziętych. Ale proszę bardzo. Pójdziemy własną drogą.

To zbuntowane poczucie dumy dało o sobie szczególnie znać po schwytaniu Öcalana.

Pełen politowania śmiech z greckiej żaby, która pomagając Öcalanowi, próbowała

podstawić nogę tureckiemu rumakowi. Upojenie się własną siłą: Włochom zagroziliśmy

sankcjami, do Iraku wchodzimy, jak chcemy, Syria nas się boi, Armenia się dusi. I co

więcej: nasze strategiczne położenie, nasz rynek, nasza armia powodują, że tak czy

inaczej Zachód jeszcze przyjdzie do nas na kolanach. Już idzie.

## **Jak być Kurdem**

Nawet niezależne od władz badania opinii publicznej przyznają, że nie więcej niż

15 procent Kurdów chce niepodległego Kurdystanu i popiera PKK. Wbrew

temu, co się

powszechnie myśli w Europie, bycie Kurdem nie zamyka w Turcji dróg kariery. Kurdem

jest przewodniczący parlamentu, były minister spraw zagranicznych, ponad stu (na 550)

posłów, kurdyjskie korzenie miał były prezydent Turgut Özal, który skądinąd na początku lat 90. po raz pierwszy publicznie powiedział, że w Turcji żyje 12 mln Kurdów. Co innego jednak uznanie podmiotowości zbiorowości kurdyjskiej.

Do początku lat 90. zakazane było nawet



w domu mówienie po kurdyjsku.

Paranoja

posunięta była tak daleko, że żołnierzom wysyłanym na południowy wschód tłumaczono

w kieszonkowych broszurkach, iż określenie „Kurd” jest gwarowym określeniem

pochodzącym od dźwięków *kürt, kürt*, które wydobywają buty depczące górski śnieg południowo-wschodniej Turcji.

Do dzisiaj nie wolno mówić po kurdyjsku w urzędach, nie istnieje kurdyjskie szkolnictwo. Samo upomnienie się o te prawa może zostać uznane za

przejaw separatyzmu i chęć rozbicia niepodzielnej Turcji, co pociąga za sobą wieloletnie wyroki. Może, ale nie musi.

– Jaki znowu język kurdyjski? – irytuje się Norman Stone, profesor historii najnowszej z Oxfordu, wykładający obecnie na elitarnym uniwersytecie Bilkent w Ankarze. – Istnieje przynajmniej 28 różnych kurdyjskich dialektów, niektóre różnią się między sobą tak dalece jak polski i angielski. Między innymi z tego powodu nawet kurdyjskie pisma

emigracyjne drukowane są po turecku. Ba, po turecku komunikują się dowódcy PKK.

Sam Öcalan ledwo mówi w jakimkolwiek kurdyjskim narzeczu.

Profesor socjologii Doğu Ergil wraz ze współpracownikami, z którymi tworzy Fundację

Tosav, stawiającą sobie za cel dialog turecko-kurdyjski, wezwał ostatnio publicznie do stworzenia autonomii kulturalnej dla Kurdów. W swoim ankarским gabinecie tłumaczy, że wyjdzie to na dobre i samym Turkom, których pozbawia się wielu demokratycznych

praw, szantażując „separatystycznym” zagrożeniem. – Przecież nawet otwarcie klas

z wykładowym językiem kurdyjskim nie oznacza rozpadu Turcji. Co więcej, nie wszyscy

i być może nawet nie większość Kurdów z nich skorzysta. Wielu, bardzo wielu jest silnie zasymilowanych z tureckim społeczeństwem. Poza tym proszę zwrócić uwagę: Kurdów jest w Turcji 20 procent, ale ich narodowa partia HADEP dostaje nie więcej niż 5 procent głosów. To o czymś świadczy. Większość czuje się tureckimi obywatelami.

– Tak się mówi – krzywi się Dogan – dasz palec, zjedzą ci rękę. Nie widziałeś, jak się rozpadał Związek

Radziecki?

# Wallenrod z Partii Cnoty

Policjanci na posterunku w Diyarbakır przeglądający notatki szczególnie się skrzywili

na widok nazwiska Haşima Haşimiego, posła islamskiej Partii Cnoty i byłego burmistrza

kurdyjskiego miasta Cizre.

– Dlaczego? – Haşimi krzywo się uśmiecha, pozując w swoim gabinecie fotografowi do

zdjęcia, które ma się znaleźć na jego wyborczym plakacie.

– Nic dziwnego. To za cztery lata w Cizre.

Został burmistrzem, mając 34 lata, w 1990 roku. Dwa od lat zwalczające się miejscowe

kurdyjskie klany nie mogły nijak dojść do porozumienia. Młodzi ludzie z Cizre poprosili go, by jako człowiek z zewnątrz wystartował w wyborach.

Wygrał. W jego biurze otwarcie mówiło się po kurdyjsku. To były lata szczytu potęgi PKK. Cizre znalazło się w epicentrum walk. Wciąż ginęli ludzie. – W pewnym momencie bardziej niż merostwem

byliśmy zakładem pogrzebowym –

wspomina Haşimi. To za jego kadencji doszło do

masakry w Nowruz w 1992 roku.

Dzisiaj jest posłem islamskiej Partii Cnoty. Nie, nie jest islamistą, lecz kurdyjska partia HADEP nigdy nie przekroczy progu 10 procent wymaganego, by się dostać do parlamentu. Oportunizm? Ale dzięki temu mógł współtworzyć poselski raport o sytuacji

południowego wschodu, który stał się przełomem w mówieniu o sytuacji Kurdów w Turcji.

To już nie jest artykuł z gazety, lecz



oficjalny dokument. Poza tym Kurdowie są znacznie bardziej religijni niż Turcy. To też jeden z fenomenów PKK, która jest organizacją marksistowską, wręcz maoistowską, a szuka oparcia wśród bardzo tradycyjnych górali.

Ale jak podkreśla Haşimi – wielu jego współplemieńców było tak zdesperowanych, że nie

liczyła się dla nich ideologiczna metka, lecz fakt, że oto ktoś zbrojnie stanął w imię kurdyjskiej sprawy. A co Haşimi sądzi o niepodległym Kurdystanie?

Niemożliwe, świat na to nie pozwoli. Ale co on o tym sądzi? Mogę prosić o inne pytanie?

## Wróg ze Wschodu

Dlaczego Turcy w nieskończoność pokazywali obrazy skutego Öcalana z zawiązanymi

oczami. To sprawa elementarnej psychologii, że nawet wielu niesympatyzujących z PKK

Kurdów musiało się poczuć upokorzonych. Dogan lekko się uśmiecha, wzrusza

ramionami: – Złapaliśmy największego wroga. Reszta to Wschód i tradycja.

A Baran, młody aktywista HADEP, niekryjący swych sympatii dla Öcalana,

czy nie

widzi, że jego idol to okrutny rzezimieszek? Baran uśmiecha się, odpowiada w trzeciej

osobie liczby mnogiej: – Ludzie lubią siłę. Podziwiają Apo („wuja”, jak często nazywa się Öcalana), że potrafił przeciwstawić się tureckiej potędze. A to, że likwidował swoich zbuntowanych ludzi, ich rodziny, że palił nieprzychylne kurdyjskie wioski, no to przecież dowodzi jego naprawdę niezwykłej siły. Mogą się go bać, ale będą podziwiać.

W wyborach powszechnych 18 kwietnia zwyciężyły partie o zdecydowanie

nacjonalistycznym obliczu.

Zorganizowane tego samego dnia wybory lokalne wygrali na

południowym wschodzie nacjonaści kurdyjscy.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1999/25.

## **Ten nasz koleżka**

Przed wojną był taki dowcip: Czym różni się Artur Rubinstein od Mośka Rubinsteina?

Tym, że Artur Rubinstein jest naszym wielkim rodakiem, a Mosiek Rubinstein małym

Żydkiem. 20-letni napastnik Legii  
Nigeryjczyk Kenneth Zeigbo stał się  
Arturem

Rubinsteinem piłkarskiej Warszawy.

Nie ma co okrywać: polskie stadiony to  
nie fankluby Martina Luthera Kinga.  
Legia nie

jest wyjątkiem. Swego czasu GKS  
Katowice testował Afrykanina. Legia  
śpiewała: „Mieli

Rudego (nazwisko piłkarza GKS),  
wyfelowali czarnego”. Kiedy trzy lata  
temu

przyjechała do stolicy pierwsza

zatrudniająca afrykańskich piłkarzy  
drużyna z Pniew

(nosząca wówczas nazwę tygodnika  
„Miliarder”), przy Łazienkowskiej  
pojawiły się ulotki:

„Nadeszła nowa era – jebać czarnych z  
miliardera”. W czasie treningów na

Afrykańczyków leciały banany.

Jeszcze wiosną tego roku, w czasie  
pamiętnych, zakończonych podpaleniem  
stadionu

Polonii, derbów Warszawy, każde  
dojście pochodzącego z Ghany polonisty  
Annora Aziza

kibice Legii kwitowali szybkimi „Uh! Ufa! Uh!”, co miało przypominać dźwięki wydawane

przez człekokształtnych. Ubaw był po pachy. Nie miało znaczenia, że Aziza testowała

wcześniej Legia.

Aż tu nagle ostatniego lata na testach się nie skończyło. Legia oficjalnie pozyskała 20-letniego napastnika z nigeryjskiej drużyny Rangers Enugu – Kennetha Zeigbo.

Zapanowała, szczególnie wśród starszych kibiców, lekka konsternacja. Bambus w Legii?

Asfalt w zielono-biało-czerwonej koszulce? Wielu było przekonanych, że wyjdzie czarny na 20 minut, popłacze się, śmiech trybuny ogarnie i zniknie znów w tej swojej dżungli.

Emocje nie rozpały się zanadto, gdyż trwała przerwa w lidze, a warszawska drużyna

zabrała Nigeryjczyka na sparingi do Francji. Zadebiutował w Warszawie w sierpniowym

superpucharze przeciwko Widzewowi. Trybuny dyszały żądzą rewanżu za haniebno—

komiczną porażkę 2:3 sprzed sześciu



tygodni, kiedy to Legia w pięć ostatnich minut

straciła trzy gole i szanse na tytuł mistrza Polski. Nie trzeba było nawet czerwcowej

katastrofy: Widzew tradycyjnie wywołuje w Warszawie – i wzajemnie – żądę mordu.

Więc kiedy przyjezdni widzowiacy śpiewali przed meczem: „mamy banana dla waszego

orangutana”, Legia odpowiadała: „mamy Murzyna, co zajebie łódzkiego skurwysyna”.

Trochę na podobnej zasadzie jak pewien kibic Liverpoolu, który powiedział w telewizji:

„Nie lubię Murzynów, ale jak idziemy na tych Żydów z Totenhamu, to nie liczy się kolor skóry; trzeba po prostu im wpierdolić”. Analogia tym pełniejsza, że z racji historii do łódzkich klubów przyłgnęło w piłkarskiej Polsce miano „żydowskich”: „Łódź to jest wioska, wioska typowo żydowska”, „Mistrzem Polski są chuje, cała Polska żałuje, cała Polska się wstydzi, mistrzem Polski są Żydzi”.

I gdy Legia już przegrywała, a kibice bali się przyznać, że ogarnia ich wizja

powtórki koszmaru, Zeigbo w kapitalny sposób wyrównał. Choć spaprał później wyborną sytuację sam na sam, a zwycięską bramkę zdobył Sokołowski, to on – Kenneth – był najlepszym

zawodnikiem meczu i stadion zegnał go owacją: „Murzynek Zeigbo w Warszawie mieszka,

rozjebał Widzew ten nasz koleżka”.

Jak to ujął stary stażem i wykształcony kibic: – On wpisał się w filozofię, że każdy, kto rozwali Widzew, jest super. I nastał czas kennethomanii oraz miłości szalonej.

Dziekanowski, Kosecki, Kowalczyk

potrzebowali długiego czasu, żeby osiągnąć pozycję

idoli Warszawy, a Kenneth zagrał, strzelił gola, zatańczył ten swój taniec, uśmiechnął się i miał to w półtorej godziny.

Ledwie stał się bożyszczem, zniknął. Pojechał jako rezerwowowy wraz z drużyną

narodową Nigerii na turniej do Tunezji. Wedle jego wersji sprawdził się tak dobrze, że trener, wbrew wcześniejszym planom, powołał go na mecz z Gwineą w ramach eliminacji mistrzostw świata. Później zaś nie było wolnych miejsc w samolocie z Lagos do Europy.

W tym czasie Legia grała fatalnie. Miasto huczało od plotek: wzięli nam naszego Murzyna na testy gdzieś do Hiszpanii. Już nie wróci. – To były cierpienia zranionego kochanka – opowiada kibic intelektualista. – Po trybunach szło tylko: No wróci ten bambus czy nie?

Jak na Mesjasza czekali.

I się doczekali. Wrócił, uśmiechnął się i dwukrotnie wypowiedział pierwsze słowo,

jakiego nauczył się po polsku: – Spoko, spoko. To zresztą teraz jego oficjalny pseudonim.

Podoba mu się; lubi używać  
angielskiego cool, man, a to mniej  
więcej znaczy to samo.

Trybuny na melodię: „Gdzieżeś ty bywał  
czarny baranie? We młynie, we młynie  
miłościwy

panie”, śpiewały: – Gdzieżeś ty bywał,  
czarny Murzynie? W Nigerii w Nigerii  
miłościwy

panie.

Na spotkaniu rozeźlonych fatalnymi  
wynikami kibiców z działaczami  
zupełnie

rozładował wybuchową atmosferę,

kiedy zapytany, jak się nazywa taniec,  
który wykonuje

po każdej bramce, odpowiedział:  
„Makumba ska”. A kogo uważa za  
najlepszego piłkarza

na świecie? Siebie, rzecz jasna. Szanuje  
Ronaldo czy George’a Weaha, ale  
najlepszy jest Kenneth. No i był znów  
Legii, a Legia jego. Kupił wszystkich,  
łącznie z ultrasami.

Te uczucia to ciekawa sprawa. W  
kolejnym, październikowym – i także  
zwycięskim –

meczu z Widzewem Zeigbo ośmieszył  
łódzkich obrońców, położył ich na

trawie i strzelił

bramkę. Szał. Nic to, że przestrzelił  
potem stuprocentówkę. W 65. minucie  
wiedzwiacy

przeprowadzili zmianę i na boisko  
wszedł ich niedawny nabytek, afrykański  
piłkarz

Bleriot Heuyot i się zaczęło.

– To całkiem proste – tłumaczy znany  
dziennikarz, po godzinach fanatyczny  
kibic

warszawskiego klubu. – Nic nie  
odgrywa roli, jeśli jest zgodne z  
interesami Legii. Można kosić



przeciwnika, kupić mecz, nieważne,  
byleby woda na nasz młyn. Jeśliby  
Hermann Göring grał u nas, to też byłoby  
OK. Zeigbo jest nasz, więc nie ma  
znaczenia, że jest

czarny.

Dawniej było trochę inaczej. Kiedy zimą  
1979 roku pojawił się w Starcie Lublin

pierwszy w Polsce czarnoskóry  
koszykarz, słynny Kent Washington,  
ludzie oszaleli. Do

pękającej w szwach lubelskiej hali  
próbowali wchodzić przez dach. Gdy  
Kent grał ze

Startem pierwszy wyjazdowy mecz przeciwko Wybrzeżu Gdańsk, spiker trójmieskich

zawodów musiał prosić kibiców, by dopingowali własny zespół; gdańszczanie bowiem

szaleńczo wiwatowali po każdym zdobytym przez Washingtona koszu. Całą Polskę

ogarnęła mania „chodzenia na Murzyna”.

Dzisiaj dba się o swego. Wiernym kibicem Mazowszanki Pruszków jest „Masa”, jeden

z głośniejszych ludzi „Pruszkowa”.

Luksusowe limuzyny zajmują specjalną część parkingu przed halą Mazowszanki. Więc jak mówi znawca miejscowych realiów: – Ktoś, kto by tu tknął Murzyna, to tak jakby wydał na siebie wyrok śmierci. Nie jest to wcale takie

oczywiste. Ciemnoskóry Żyd holenderski, świetny piłkarz Aaron Winter, przedwcześnie

opuścił włoskie Lazio, nie mogąc znieść rasistowskich ataków własnych kibiców. Podobnie bywa w Anglii.

Sam Zeigbo uważa, że w Polsce nie ma rasizmu, a przynajmniej jego nie dotyka, i że to

tolerancyjny kraj. Jego tłumacz i przewodnik, 25-letni absolwent warszawskiej AWF

Mariusz Mucha (angielskiego nauczył się sam, głównie z MTV), dodaje: – On wprawdzie

nie rozumie polskiego, ale ja nigdy nie słyszałem, żeby mu ktoś za plecami mówił

czarnuch czy coś w tym stylu. Nawet jak jeszcze nie był znany i chodziliśmy do nocnych klubów, to nic się nie działo. Nigeryjczyk zdziwił się jedynie, że Polska to tak rozwinięty kraj. Wcześniej wiedział, że mieliśmy komunizm, co rokowało jak najgorzej, znajomi

opowiadali o Bułgarii, więc spodziewał się czegoś o wiele mniej zabawnego, a tu proszę.

Jeżeli już coś Kennethowi doskwiera, to przesadne czasem objawy uwielbienia ze strony

fanów. Nieraz już pytany na ulicy przez wpatrzonych jak w relikwię nastolatków, czy on to on, odpowiadał, że jest swoim bratem, a bohater zaraz przyjdzie.

Piszą już o nim piosenki. Ola, Beata, Piotr i Ireneusz wysłali do redakcji „Naszej Legii”

przerobioną wersję *Makumby* zespołu

Big Cyc. „Tekścik jest w deseczce,  
pośpiewajcie troszeczkę” – zachęcają  
redaktorzy. „Ja być najlepszy, nazywać  
się »Spoko« / Szaleć w ataku,  
wygrywać wysoko / Legia to być klub  
bardzo kochany / dlatego tutaj chcieć  
strzelać bramy / Ja kochać kibic co  
przyjść na »Żyleta« / Zatańczyć  
„acicuru«, taniec

Kennetha / Hej Legia! Hej Legia! Hej  
Legia-ska! / Kibic uwielbia, gdy  
Kenneth gra!”.

– To czarny król Warszawy – mówi  
spiker Legii Wojciech Badaj. – Może  
chodzić

samotnie nocą po mieście – byle w szaliku Legii – i nie dość, że go nie tkną, to jeszcze na wódkę zaproszą. Tylko że on chyba wódki nie pije.

Po treningach i meczach wraca do wynajętego przez klub dwupokojowego mieszkania

w mrówkowcu warszawskiego gomulkowskiego osiedla Za Żelazną Bramą. Nie w głowie

mu nocne zabawy. – W czasie rozgrywek muszę dać odpocząć ciału i pomyśleć

o następnym dniu. Pobawię się w czasie zimowych wakacji w Lagos. Mimo młodego wieku

i wiecznego uśmiechu Kenneth bardzo poważnie traktuje życie. Płynną angielszczyzną,

z której znani są członkowie jego plemienia Ibo, podkreśla, że jest wdzięczny Legii za daną mu szansę i dlatego zawsze stara się dla niej walczyć całym sercem. Czasami wyskoczy z Mariuszem do kina bądź na spacer po ulubionej Starówce.

Gdy zajeżdża na trening, oczekujący go tłumek małolatów wie o tym, zanim samochód

wyłoni się zza wzniesienia: dobiega pulsująca afrykańska muzyka. Kenneth wysiada



uśmiechnięty, opatulony jak Marek Kamiński na biegunie, cierpliwie rozdaje autografy.

Zachwycone dzieciaki nie rozumieją pytania dziennikarza o ich stosunek do Murzyna. –

A widział pan, jak on gra? –  
odpowiadają z rozmarzeniem w głosie.

W samochodzie do końca treningu poczeka 18-letnia dziewczyna Kennetha – Adaora.

Opowiada, że są razem od siedmiu lat. Wcześniej zaczęli? Chichocze. Właśnie przyleciała do niego z Nigerii, gdzie studiuje stomatologię. Kenneth, już bez

niej bzikował. Zabijał

czas oglądaniem telewizji i rozmowami z Mariuszem o dziewczynach, polskich i nigeryjskich, podobieństwach i różnicach.

Zapytany, czego mu teraz najbardziej brakuje, odpowiada bez zastanowienia: matki.

Jego ojciec już nie żyje, był oficerem, Kenneth jest najmłodszy z szóstki rodzeństwa. Dwaj bracia są w USA, jeden z nich jest lekarzem, dwaj w rodzinnym Enugu handlują częściami zamiennymi, tam też żyje i pracuje w hotelu, ich siostra. Druga wykłada

matematykę w szkole marynarki w  
stolicy Nigerii Lagos.

Brakuje mu też słońca. W czasie meczu z  
GKS przeżył prawdziwy szok termiczny.  
Do

schabowych już się zdążył  
przyzwyczaić, ale zapytany o listę strat,  
żywność wymienia

zaraz po matce. Nie rozumie, dlaczego  
Polacy zawsze zatrzymują się na  
czerwonym

świecie, to dla niego jakieś ograniczenie  
wolności. I dlaczego tak oszczędnie  
okazują

uczucia? – Jestem człowiekiem raczej powściągliwym – mówi Mariusz Mucha. – Ale po pół

roku z Kennethem może nie szlocham, kiedy jestem smutny, lecz nauczyłem się śpiewać,

kiedy jestem wesoły.

Dobrze poinformowani twierdzą, że na rozmowy z rodziną Kenneth wydaje miesięcznie

blisko 4 tysiące zł, a wbrew pozorom nie zarabia tak wiele. Mówi się o 15–25 tysiącach, co jak na piłkarza Legii jest sumą skromną; po prostu kiedy podpisywał kontrakt, był nikiem, teraz

pewnie przyjdzie czas na renegocjacje kontraktu. Kibice obawiają się, że na tym się nie skończy, że jakiś potężny klub z Zachodu po prostu wykupi ich idola. Już teraz sprowadzony za 300 tysięcy dolarów Zeigbo szacowany jest na przynajmniej trzykrotnie

większą sumę.

Mariuszowi Musze opowiadał, że kiedy będzie bogaty, wybuduje w Nigerii kościół, dom

dziecka i dwa domy dla siebie. Jest bardzo religijny, nieustająco się modli, kiedy tylko ma czas, każe się prowadzić Mariuszowi do kościoła (jest katolikiem) i jak przekonuje, to nie on

był sprawcą fantastycznego gola strzelonego przewrotką w meczu z ŁKS, lecz Palec Boży. Mówi, że skoro Pan ofiarował mu talent, to oznacza, iż musi spełnić jego

posłannictwo i szerzyć imię Boga na boiskach świata.

Toteż z jego samochodu często dobiega religijna muzyka gospel. Z autem zresztą, jak

i z zarobkami, Kennethowi nie bardzo się poszczęściło. Klub sponsorowany przez

koreański koncern samochodowy zaproponował mu daewoo bądź

poloneza Atu. Daewoo

znał z Nigerii, zapytał więc, co to takiego ten polonez. Usłyszał, że to najnowsza wersja pojazdu z fabryki. Brzmiało ciekawiej. No to ma. Czerwonego.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1997/46.

## **Irańczyk z Iranką na próbę**

W Islamskiej Republice Iranu w zasadzie wszystko jest zakazane. Zwłaszcza

przebywanie razem mężczyzn i kobiet, o ile nie są spokrewnieni lub

spowinowaceni.

Niewiernemu za stosunek z muzułmanką grozi kara śmierci, nawet jeśli – jak w głośnym

przypadku niemieckiego biznesmena – tym stosunkiem był pocałunek. Zakazany jest

taniec. Prywatki. Anteny satelitarne. Alkohol. Niesłuszne książki. Zachodnie filmy,

pisma, muzyka popularna. Irańska zresztą też. Kolorowe ubrania.

Odsłonięty kosmyk

kobiecych włosów, obnażony kawałek



damskiej szyi bądź stopy. Makijaż.  
Niestosowny

śmiech. Radość życia. A przecież  
wszystko to jest. Podszyte lękiem,  
szarzą, łaknieniem życia takiego, jakie  
się wydaje, że powinno być. Nawet  
więcej: to, co jest ostatnim krzykiem  
mody w Paryżu – małżeństwa na chwilę,  
dla wygody lub przyjemności –  
Irańczycy praktykują od 10 lat.

## **Fruwający meczet**

Z Amsterdamu wylatuje kilkuset  
pasażerów, prawie sami Irańczycy.  
Niektóre kobiety

już wtedy są zasłonięte. Ukazują tylko

twarze, które pozbawione schowanych pod chustą

włosów, czoł, uszu, podbródków wydają się jednakowe. Podróżują z mężami, niewiele się

odzywają. Reszta wygląda na Europejki. Ale wraz ze zbliżaniem się do Teheranu, na

pokładzie samolotu rozpoczyna się wielka przemiana. W toaletach i na fotelach biznesowe kostiumy, spódniczki mini, bluzki, spodnie, nagie ręce, łydki, fryzury nikną pod płachtami materiału wyciągniętymi z podróżnych toreb.

Dwa dokumenty tej samej kobiety. W

holenderskiej karcie identyfikacyjnej  
zdjęcie

uśmiechniętej, atrakcyjnej  
czterdziestolatki. Bujne, pofarbowane na  
ciemny blond włosy.

Żywe, zadziorne spojrzenie. W irańskim  
paszporcie otoczony czernią skrawek o  
trudnym

do określenia wieku, ale raczej starej  
twarzy.

Samolot, który startował z Amsterdamu,  
nie różnił się od tego, który wiozłby na

wakacje do domu Włoszki lub  
Greczynki. W Teheranie lądował

fruwający meczet.

Wszystko wydawało się czarne. Na lotnisku wczuć się w klimat pomagały wielkie portrety surowo spoglądających ajatollahów. Zaskoczenie było bardziej natury estetycznej, bo w sumie przecież tak miało być. W końcu to osławiona Islamska Republika Iranu. Symbol

wyraźny i jednoznaczny, jak mało który w świecie.

Tak też – potwierdzająco – na pierwszy rzut oka wyglądały ulice: wszechobecne

ideologiczne muralia, czczące męczenników wojny z Irakiem, krzyczące „niech żyje”

i „precz”, przekazujące idee brodatych patriarchalnych przywódców o groźnych

spojrzeniach. Najbardziej niesamowity jest chyba Chomeini, namalowany tak, że cały

czas podąża wzrokiem za obserwatorem.

I obłe, czarne figury kobiet, owo marzenie perwersyjnych mułłów, dla których sama

idea dbania kobiet o siebie jest jawnym bluźnierstwem. Ale gdy zmienić perspektywę,

nagle wszystko wygląda inaczej.

Zwłaszcza w północnych, bogatszych

dzielnicach miasta.

Czerń pozostaje czernią, ale już nie płachtą czadoru, lecz modnym płaszczem z Paryża lub Mediolanu. Chusta narzucona na głowę skrzy się orientalnym wzorem lub kompozycją popularną właśnie w Londynie. I włosy, przecież powinny być całkowicie zasłonięte, a nie są. To cała sztuka: jak daleko można się posunąć, by zaznaczyć swoją odrębność, a jednocześnie nie sprowokować basidżisów, ochotniczych jednostek stróżów moralności?

Więc włosy potrafią wystawać na pięćdziesiąt różnych sposobów.

Make-up. Oczywiście, że jest zakazany,

ale skoro zabroniono ukazywania  
wszystkiego

innego, trzeba walczyć przynajmniej o  
twarz, a przecież perskie kobiety zawsze  
lubiły

ostry makijaż. No i buty. Buty są może  
najważniejsze. Im akurat nie  
poświęcono

rygorystycznych przepisów. Nimi więc  
można się pokazać. Goła stopa jest  
zakazana, ale

w Teheranie odsłonięcie tego kawałka  
ciała stało się wyzwaniem rzuconym w  
granicach

rozsądku.



# **Feministki w kraju agresywnego machismo**

Znalezienie podanego adresu w Teheranie jest czynnością z pogranicza niemożliwości.

Po kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt ulic nosi tę samą nazwę. Więc żeby ci pomóc,

gospodarze zaczynają tłumaczenie od jakiejś głównej arterii, przechodząc do coraz

drobniejszych odnóg. Tak zresztą wyglądają też oficjalne adresy; pięć, sześć kolejnych nazw. Połowa nazw

zmieniła się po rewolucji, ale po 19 latach ludzie i tak używają starych. Co tam ludzie. Ważny urzędnik w Ministerstwie Kultury i Przewodnictwa

Islamskiego tłumaczy, jak trafić do biura wizowego, podając stare nazwy.

Stałem więc bezradnie na skrzyżowaniu, obracając w kółko mapę, kiedy podeszły dwie

dziewczyny, pytając, czy mogą pomóc. Przypomniało mi się od razu, że przebywanie

z kobietą grozi więzieniem i chłostą. W najlepszym wypadku. Dla niewiernego za

stosunek z muzułmanką – kara śmierci. A stosunek może przecież w Iranie znaczyć

cokolwiek. Na przykład pocałunek jak w przypadku niemieckiego biznesmena skazanego

kilka miesięcy temu na karę śmierci. Wyroku wprawdzie do dzisiaj nie wykonano,

Europejczyk przechodzi gehennę kolejnych uchyleń i przywróceń wyroku, kolejnych

interpretacji (jest wdowcem, jego zmarła żona była kurdyjską muzułmanką i adwokaci

twierdzą, że przed ślubem i on sam przeszedł na islam, w związku z czym nie może być

mowy o zbrodni, a co najwyżej podlegającym chłościę występku), ale kto wie? Gdzie jest granica? Kto ją określi? Może więc sama rozmowa na ulicy jest niebezpieczna?

Zdenerwowany odburknąłem coś i szybko odszedłem.

Gdy wieczorem opowiedziałem tę historię Europejczykowi mieszkającemu od lat

w Iranie, gospodarz długo pokładał się ze śmiechu. – Nic strasznego się nie

stało, straciłeś tylko okazję na flirt albo miłą rozmowę, ale posłuchaj mnie uważnie. Zapomnij o Islamskiej Republice. Tu jest Persja. Pójdiesz do meczetów, bo są piękne. Ale są puste.

Pełno jest za to ludzi przed telewizorami w czasie meczów i na imprezach. Kto się nie

bawił na balandze w Teheranie, nie wie, co to życie. Moje słowo.

Brzmiało dziwnie, nawet absurdalnie. Do czasu.

No więc balanga. Jeszcze tego samego wieczoru. Pierwsze wrażenie, pod wpływem

wspomnień z samolotu: film puszczoney do tyłu. Do willi jedna po drugiej wchodziła – by posłużyć się określeniem de Maupassanta – śmierć na spacerze. Ale potem, z korytarzyka służącego za szatnię, wyłaniały się wydekoltowane dziewczyny w mini. Ostro umalowane, tak ostro, że zaczynałem tęsknić do nieśmiałych cieni z ulicy. Całe obwieszane złotem, często we fryzurach jakby stworzonych przez uczniów Gaudiego. I wszystkie na czarno.

Na ulicy musiały, bo tak kazali brodaci władcy, tutaj też musiały, gdyż takie wzory

jaskółki niosły z Paryża.

Studentka z zachodniej Europy  
przebywająca na stypendium w  
Teheranie opowiadała,

że nie jest w stanie tego pojąć: jej  
irańskie koleżanki figlowały z  
chłopakami, czasem uprawiały tylko  
seks francuski i analny, by nie tracić  
przed zamążpójściem wymaganego przez  
tradycję dziewictwa, albo tuż przed  
małżeństwem za dwieście dolarów  
dziewictwo

to u chirurga odzyskiwały, a  
jednocześnie uważały, że kobiety z  
Zachodu to bez wyjątku dziwki i  
pogardliwie prychnając, dawały wszem

wobec odczuć swą moralną wyższość.

Jak one tańczyły! Drapieźnie,  
agresywnie, niemal atakując mężczyzn,  
omiatając ich

provokacyjnymi, wzniosłymi, dumnymi  
spojrzeniami. To też było trudne do  
pojęcia.

Przecież kobiety miały być tu zerem. A  
patrzą prosto w oczy, z jakąś  
nieokrzesaną

dumą – zalotnie, niekiedy zaczepnie.  
Czyżby był w błędzie mój europejski  
rozmówca,

który twierdził, że Iran jest przede



wszystkim przypadkiem rządów  
agresywnego

machismo, męskich szowinistów, gdzie  
kobiety są traktowane niewiele lepiej  
niż bydło?

Jak w innych krajach rządzących się  
prawem islamskim, głos kobiet przed  
sądem jest

wart połowę tego co mężczyzny. Mogą  
być wydane za mąż po ukończeniu 9.  
roku życia

i od tego też wieku ponoszą  
odpowiedzialność karną (chłopcy od 15.  
roku), ale żeby

wyjechać na stypendium, muszą mieć zgodę ojca lub męża.

Szirin Ebadi, czterdziestoparoletnia prawniczka wsławiona obroną w licznych procesach

politycznych, nazywana jest (przez islamistów z przekąsem) czołową irańską

feministką. – Wierzę w równość ludzi, mężczyzn i kobiet, muzułmanów

i niemuzułmanów, Persów i nie-Persów. Jeśli to jest feminizm, to proszę bardzo.

Ebadi jest gorliwą muzułmanką, w swym gabinecie przyjmuje w płaszczu i

narzuconej

na głowę chuście. – Prawo islamskie tu nie ma nic do rzeczy. To jest problem jego złej interpretacji. 9-letnia dziewczynka może wyjść za mąż, a nie może głosować. Więc gdzie według prawa islamskiego kończy się dzieciństwo dziewcząt?

Trzeba zmienić interpretację. Nic nie jest dane raz na zawsze. Mułłowie też

kilkakrotnie zmieniali prawo. Po rewolucji praktycznie każda muzyka była zakazana,

bowiem tak każe szariat. Ale zorientowali się, że to nierealne, więc

Chomeini zezwolił na muzykę „nieodurzającą”. Islam zabrania lichwy, więc po rewolucji zakazano w ogóle pożyczek na procent. Wkrótce banki stanęły na krawędzi bankructwa. Szybko, co prawda

okrężną drogą, ale oprocentowanie przywrócono. Jeśli to można było zmienić, czemu nie

można uczynić tego samego z zasadą hidżabu (zasłonięcia kobiet)?

- Problemem nie jest islam, lecz pewni ludzie, którzy się nim posługują do sprawowania władzy – tłumaczy Ebadi.
- Islam pozwala, by prawa dostosowywane były do wymogów

czasu i sytuacji.

Na uwagę, że i tak w Iranie kobiety cieszą się większymi swobodami niż w krajach

arabskich, Ebadi z niesmakiem się krzywi i mówi to, co chętnie i z pewną irytacją

powtarzają jej rodacy: – Nie jesteśmy Arabami.

I to jest druga strona medalu. Iraniki prowadzą aktywne życie zawodowe, zajmują

odpowiedzialne stanowiska. Iran szczyti się najniższym w regionie

współczynnikiem

analfabetyzmu kobiet. Nikogo nie dziwi widok grupki kobiet wybierających się do

restauracji czy na piknik poza miastem. Blisko dwie dekady rządów mułłów nie zabiły

pamięci o sytuacji kobiet w czasach szacha; matki opowiadają o tym córkom.

O ironio, wyzwoleniu kobiet przysłużył się i sam Chomeini. Gdy narastała już rewolta

przeciwko szachowi, ajatollah wezwał do wyjścia na ulice niewiasty z

najbardziej

konserwatywnych i religijnych rodzin,  
które w normalnych warunkach rzadko  
kiedy

opuszczały swe domostwa, nawet w  
towarzystwie mężów. I gdy wyszły w  
swych

czadorach, pomstując na marionetkę  
amerykańskiego Wielkiego Szatana, to  
nawet jeśli

nie stały się podobne do Szirin Ebadi,  
przekroczyły pewną granicę.

**Adrenalina w domu wariatów**

Balanga w otoczonej ogrodem willi już się na dobre rozwinęła. Whisky lała się

strumieniami, dym marihuany mieszał się z gorzką wonią opium, na parkiecie trwało

szaleństwo trzy stopnie poniżej orgii. – Nieźle, nie? – zagadał stojący obok bogato ubrany dwudziestoparolatek. – Mówię ci, nie ma to jak Teheran. Wino lepsze niż we Francji, narkotyki lepsze niż w Amsterdamie, dziewczyny lepsze niż w Los Angeles. No

i adrenalina, bo wszystko nielegalne.

Jego ojciec robił jakieś nie do końca jasne (jak wszystkie w Iranie) interesy



z rządzącymi mułłami. Chłopak latał do USA co dwa, trzy miesiące. W ojczyźnie starał się nie przesadzać. Adrenalina adrenalina, ale nie dało się zawsze przekupić wszystkich nieproszonych gości. Zawsze istnieje ryzyko, że imprezę najedzie oddział którejś ze służb mundurowych i towarzystwo pójdzie siedzieć. Potem już prawie wszystko zależy od obrotności rodziców i zdolności do szybkiego wysupłania kasy. Po 19 latach Rewolucji

Islamskiej i szermowaniu hasłami o moralności i wartościach – jeśli nie masz forsy, jesteś niczym.

Byłem i na „biednej” imprezie. W bloku,

w niewielkim mieszkaniu, towarzystwo próbowało się bawić, ale każdy dzwonek do drzwi budził dreszcz: goście czy Komitet. –

Dusimy się – mówili młodzi ludzie i stwierdzenie to oprócz przesłania symbolicznego

miało znaczenie również całkiem dosłowne: ludzie bawili się przy zamkniętych oknach, by jakiś sąsiad zwabiony hałasem nie doniósł na gospodarzy.

Ileż w nich jest frustracji! Oglądają telewizję i mówią: „mułowizja”, „żyjemy pod

okupacją”, „w domu wariatów”.  
Przecież wiedzą, że jest inny świat.  
Znają go. Anteny

satelitarne są nielegalne, ale kto może,  
zamelinował je na tarasie, balkonie, w  
ogródku.

Płynie nieprzerwana fala przemycanych  
kaset wideo. *Titanica* można było  
oglądać niemalże równocześnie z  
nowojorską premierą.

**Dziewczyny Szahrama**

# Dziewczyny Szahrama

Szahram tak naprawdę nie jest taksówkarzem. Pracuje w banku, po godzinach dorabia

przepisywaniem tekstów na komputerze i tłumaczeniami z angielskiego, a wieczorem

bierze rozlatujący się samochód ojca i jeździ na łebka. Wszystkie te zajęcia razem wzięte nie pozwalają mu jednak na usamodzielnienie się. A ożenek w Iranie to sprawa kosztowna. W Teheranie normalnym zjawiskiem są dobiegający trzydziestki kawalerowie.

Nie stać ich na zmianę stanu.

Chyba że wezmą *sige*. To taki czysto irański przyczynek do dziejów hipokryzji bądź –

jak kto woli – dowód na to, że islam (w swej szyickiej odmianie) potrafi się dostosować do wymogów szybko zmieniającego się świata. *Sige* to związek między mężczyzną i kobietą usankcjonowany przez duchownego. Można go zawrzeć na dowolny czas: tydzień, dwa miesiące, pięć lat. Wystarczy podpisać papier i już można legalnie zameldować się

w hotelu, a nachalni stróże moralności stają się nieszkodliwi.

*Sige* ma bardzo pojemną formułę. Rodzice mogą powiązać swe pocięchy *sige*, by mogły bez przeszkód bliżej się poznać przed ślubem, zaznaczając jednocześnie w dokumencie, że układ nie obejmuje seksu, lecz jedynie platoniczne spacerunki. *Sige* może skrywać wzięcie utrzymanki, a nawet relacje zbliżające się do oficjalnie zakazanej prostytutki; wtedy zaznacza się, że mężczyzna płaci kobiecie – jednorazowo lub w ratach – określoną sumę.

Można i tak jak teherański japiszon Sijawasz brać *sige* co parę miesięcy: – Poznają dziewczynę, coś się zaczyna dziać, no więc, żeby uniknąć problemów

z tymi brodatymi palantami, korzystamy z *sige*. Nie dłużej niż na trzy miesiące. Taką mam średnią. A jak i po tym czasie jest dobrze, to zawsze można przedłużyć. Wszystko legalnie. No i jaka frajda, że to oni wymyślili.

Wśród muzułmanów tylko szyici (Iran jest jedynym krajem islamskim, w którym

panuje ich odmiana wiary) uważają, że Mahomet zaaprobował *sige*. Ale nawet w Iranie *sige* praktycznie zanikło. Wróciło dzięki wojnie z Irakiem i specyficznemu rodzajowi pragmatyzmu byłego prezydenta Rafsandżaniego. Wojna, jak to wojna, pozostawiła

mnóstwo wdów. Dlatego zezwolono młodym mężczyznom, którzy zubożeli przez lata

wojny i nie byli w stanie założyć rodziny, na wzięcie *sige* z wdowami po zapłaceniu im niewielkich pieniędzy. Feministki krzyczały, że rząd zachęca do prostytucji nieszczęśliwe kobiety, ale większość samych zainteresowanych wydawała się zadowolona.

Ale i tak co drugi młody Irańczyk chce uciec. Do Europy, Ameryki. Ale nie Szahram.

Dlaczego? – Nie odpowiada mi zachodnia kultura. A co konkretnie? – To, co się dzieje



między mężczyznami i kobietami. Ja bym nie pozwolił swojej dziewczynie spać z innym.

Ha, Szahram, ja też swojej dziewczynie na to bym nie pozwolił, podobnie jak,

podejrzewam, większość facetów w Europie i Ameryce.

Sęk w tym, Szahram, że ty zapytany, czy masz dziewczynę, odpowiadasz, że owszem,

i to nawet trzy. Jedną kochasz, ale jej rodzice nie pozwalają wam się spotykać, więc

rozmawiacie tylko przez telefon. Za

drugą w zasadzie nie przepadasz, ale skoro

dziewczyna ma wolne mieszkanie, no to wiadomo, korzystasz. Z trzecią pracujesz

w banku, możecie więc się bez przeszkód spotykać i rozmawiać. Jest miła i pewnie się

pobierzecie. I ty, Szahram, mówisz o zepsuciu Zachodu?

Popatrzył bez zrozumienia.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Polityce” 1998/44.

## Nieemożliwe w Omorate

Mieszkańcy tego zakątka południowo-zachodniej Etiopii jeszcze niedawno nie wiedzieli,

że coś takiego jak Etiopia istnieje.

Kiedy do wioski Omorate docieraliśmy ciężarówką,

która kursuje w porywach raz na tydzień, mieliśmy wrażenie, że cofnęliśmy się do epoki kamienia łupanego. Tyle że półnadzy wojownicy koczowniczych plemion w rękach ściskali kałasznikowy, a w uszach w charakterze ozdobnych kolczyków nosili plastikowe klipsy

stosowane jako zabezpieczenia ubrań w

domach towarowych.

Krowie odbiło. Miotła się na wszystkie strony i za nic nie pozwalała sześciolletniemu

pastuszkowi doprowadzić się do wodopoju. Nagle, wyraźnie rozeźlony smyk z impetem

wyskoczył w powietrze i precyzyjnym kopem kung-fu przyłożył bydłociu w żebra. Zwierzę

pognało do rzeki. Parsknęliśmy śmiechem, zastanawiając się, gdzie też mały obszarpaniec się tego nauczył? Odpowiedź uzyskaliśmy wieczorem.

## **Czy są dziewice w waszych stronach?**

Do czego służy ta szopa? – zachodziłem w głowę, przyglądając się konstrukcji z patyków i trawy postawionej na podwórzu naszego Tourist Hotel. Pomieszczenie, podobnie jak i pobudowane z gliny klitki udające pokoje sypialne, odznaczało się specyficzną cechą

afrykańskiej architektury: brakiem choćby jednego kąta prostego. Za służącą za drzwi

ceratą kryły się ławy i stolik na niewielkim podwyższeniu.

W pobliżu nie było nikogo, kto by

potrafił powiedzieć po angielsku coś więcej niż że

„Pepsi jest niemożliwa w Omorate”. Z nieznanymi bliżej powodów Etiopczycy używają

słowa „niemożliwe” w znaczeniu „nie ma”. Możliwa była za to herbata oraz upał, który

działał silniej niż miejscowy bimbier.

Wkrótce po zmierzchu do szopy zaczęli ciągnąć ludzie. Przepasani skromnymi chustami

wojownicy o fantazyjnych kolorowych fryzurach z wetkniętymi w nie strusimi

piórami,

opierali włącznie i karabiny o ławy, nagie dzieciaki kładły się na ziemi.

Kobiety

przewiązane śmierdzącymi skórami zasiadały dyskretnie z boku. Ci, których nie stać było na opłatę w wysokości jednego birra (równowartość 15 centów), podglądali zza płotu.

Mignęła gdzieś twarz pastuszka karateki.

Rozległ się warkot dieslowskiego generatora. W chwilę później właściciel hotelu został

powitany przez zebrany tłumek

okrzykami zachwytu, gdy wniósł na  
podest wideo

i telewizor. Rozpoczął się pokaz  
mordobicia made in Hongkong.

Widownia podziwiała

akrobacje w nabożnym skupieniu. Gagi  
witała spazmami śmiechu. Później  
okazało się, że

wzruszenia nie znają narodowości:  
posepni Gelebowie wychylali się ze  
swych siedzeń

przejęci losem bohaterów hinduskiego  
melodramatu. Projekcję zakończyły  
oklaski.



Gdy już widzowie oddalili się do swych  
szafasów rozrzuconych po okolicznym  
buszu,

podszedł do nas ubrany po europejsku  
mężczyzna. Wyglądał jak modniś z  
popularnego

młodzieżowego warszawskiego  
(londyńskiego, paryskiego) pubu. Nie,  
ten człowiek nie

wybierał sobie ciuchów z katalogów  
awangardowych pism młodzieżowych.  
Tak się składa,

że dzisiaj zachodnia moda, jak muzyka,  
pełnymi garściami czerpie z lat 70.  
Etiopscy

nędzarze – jeśli nie noszą tradycyjnych  
wdzianek – cieszą się tym, co dostaną z  
darów

możnych tego świata. A co dostają?  
Pewnie dziesięć lat temu jakaś  
szlachetna rodzina

z Kalifornii oczyściła strych z ubrań  
sprzed kolejnych dziesięciu lat i  
przekazała je jednej z organizacji  
humanitarnych pomagających Afryce.  
Teraz, po dekadzie, obdarowani  
donaszają te pikowane kamizelki  
wyglądające jak z najnowszych  
reklamówek firmy

Diesel.

Tak więc nieświadomy modniś popatrzył łakomym wzrokiem na Anię i zapytał

wystudiowaną angielszczyzną: – Czy są jakieś dziewice w waszych okolicach? Bo on –

Seid, bardzo chętnie by poślubił białą, no, ale musi być nieskalana. Czy jak przyjedzie do Polski, to coś mu zorganizujemy? Udzieliłem wymijającej odpowiedzi i z pomocą nowego znajomego zamówiłem w glinianym barku miejscowy dzin i herbatę, zaznaczając „mało

cukru”, w którego użyciu Etiopczycy nie znają żadnej miary. Barmanka uśmiechnęła się

i posłodziła mi dzin. Podniosłem wrzask, więc nie przestając się uśmiechać, odlała alkohol przez sitko do drugiej szklanki. Wciąż protestowałem, ona wciąż się uśmiechała. Zniknęła na chwilę, a Seid zapytał, jak mi się podoba etiopska kultura. Barmanka powróciła z dwiema szklaneczkami. W jednej była gorzka herbata, w drugiej anyżówka.

## **Biała histeria**

Odechciało mi się reklamacji; przecież wszyscy i tak wiedzą, że *farandzi* (biali) są jak dzieci i ciągle im coś głupiego przychodzi do głowy. Dlaczego bym nie miał pić dzinu z cukrem, jeżeli taki Josef

przyjechał do Omorate z Kenii na  
rowerze? Miejscowi byli

zafascynowani jego domniemanym  
upośledzeniem umysłowym: tysiąc  
kilometrów

z okładem przez pustynię i busz. Nas  
Josef, Austriak, bawił trochę mniej.  
Miał doprawdy rzadki talent  
przynudzania. Przejechał trasę, którą  
ciężko pokonać najlepszym samochodom  
terenowym, przez ostatnie dzikie pola  
naszego globu – istny materiał na

powieść przygodową – a opowiadał o  
tym, jakby streszczał wyniki finansowe  
banku

w Salzburgu. Jechał średnio sześć i trzy dziesiąte kilometra na godzinę, pchał rower

osiem przecinek dziewięć, wydał 23 dolary 18 centów, spał 7 godzin 47 minut, ale w sumie to przepłacił około 38 centów po kursie dnia, a tak w ogóle to użył niewłaściwej łąty, kiedy złapał gumę. A czy droga była przynajmniej ładna, Josef? Nie wie, bo jak jedzie, to musi być bardzo skoncentrowany na tym, co pod kołami, *natürlich*.

Turystów jest tu coraz więcej. Pewnie, że wciąż są to ilości śladowe, nie tylko w porównaniu z zatłoczoną Kenią, gdzie trzydzieści obiektywów jest

wymierzonych

w jednego Masaja, który po prostu żyje z modelowania. Wciąż biały pojawiający się

w wiosce czy miasteczku wywołuje prawdziwe szaleństwo. Autor jednej z książek o Etiopii nazwał to zjawisko *Farandzi histeria*.

Przybysza witają trzy słowa-okrzyki: *Farandzi!*, *You!* i *Birr*. To ostatnie oznacza etiopską walutę, a konkretnie, że tyle mamy zapłacić za zrobienie zdjęcia. Jeszcze kilkanaście lat temu Gelebowie czy Bumi nie wiedzieli, jak wygląda aparat fotograficzny.

A dzisiaj... Na drodze spotkaliśmy efektownie wyglądającego wojownika. Popatrzył na

nas, wskazał na aparaty, następnie na siebie. OK, wszystko jasne. Zrobiłem cztery zdjęcia i uprzejmie wręczyłem mężczyźnie banknot jednobirrowy. Popatrzył nań i zawrzał

z oburzenia. Zaczął krzyczeć, robić groźne miny i wymachiwać w naszym kierunku

włócznie.

– O co chodzi? – zapytałem tłumacza.

– On mówi, że zrobiłeś cztery zdjęcia i



masz zapłacić cztery birry. Po jednym od sztuki – przełożył chłopak. Osłupiały uściłem różnicę. Wojownik rozpromienił się,

serdecznie uścił nam dłonie i zniknął w buszu.

W Etiopii niemal każdy mężczyzna nosi karabin. – Wojna – wyjaśnia krótko Sekt.

Gelebowie bili się właśnie z Hamerami. Tak w ogóle, to Gelebowie walczą ze wszystkimi sąsiadami, nawet z mieszkającym w Kenii ludem Turkana. O ziemię, wodę

i bydło. Biją się nawet o kamyki. Status męczyzny w ich społeczności wyznacza fryzura: fantazyjna i kolorowa. Barwniki potrzebne do jej ukształtowania pochodzą z ucierania kamieni, które, tak się składa, występują na terenach zamieszkałych przez Turkana.

Jeśli ci nie zechcą sprzedać surowców, Gelebowie wybierają się po nie zbrojnie. Ale

głównym powodem walk jest dorosłość.

Chłopiec Gelebów – żeby stać się pełnowartościowym mężczyzną – musi zabić kogoś

z wrogiego plemienia. Gdy nadchodzi

już jego czas, kobiety z wioski całymi nocami tańczą i śpiewają, aby popchnąć młodziana do czynu. Następnie starcy dają mu wskazówki na podstawie wróżb z wnętrzości zabitej kozy. I chłopak idzie. Jeśli mu się powiedzie – i na dowód przyniesie genitalia zabitego wroga – do końca życia cieszyć się będzie szacunkiem ziomków.

## **Mężczyzna po byku**

Kilka lat temu w walkach z Gelebami zginął ojciec Geltiego. 17-letniego Hamera

zobaczyliśmy zaraz po przyjeździe do Turmi, miasteczka, a raczej dużej wsi, wokół której żyją jego ziomkowie. Nie

bardzo wiedząc, w którą stronę się ruszyć, staliśmy obok potężnego kamienia z wyrytym sierpem i młotem, pozostałością po siedemnastoletnich (do 1991 roku) rządach komunistów w Etiopii. Drogą przechadzali się obleczeni w skóry Hamerowie, którzy wyglądali, jakby właśnie zeszli z planu *Walki o ogień* albo *Milion lat przed naszą erą*. Ciekawe, jak im tłumaczono marksizm-leninizm?

Gelti był w grupie nastolatków, którzy za wszelką cenę chcieli zostać naszymi przewodnikami. Mimo że nieźle mówił po angielsku, nie skorzystaliśmy z jego usług:

wyglądał za inteligentnie z tym swoim szelmowskim uśmiechem, co, jak wiedzieliśmy

z doświadczenia, wiąże się zazwyczaj z niesympatycznym cwaniactwem.

Konkurent,

którego wybraliśmy, wydawał się uczciwy, tyle że miał problemy z udzieleniem

odpowiedzi „tak” albo „nie”.

– Hefti, będzie jutro ciężarówka do Konso?

– Tak – odpowiadał.

– Tak? – podnosiłem brwi.

– Nie – precyzował chłopak.

– No to tak czy nie! – denerwowała się Ania.

– Tak, nie – patrzył rozbijająco.

Pomyśleliśmy jednak, że zdoła nas doprowadzić następnego dnia do swojej osady

i umówiliśmy się na rano. Spóźnił się cztery godziny.

– Co się stało, Hefti?

Uśmiechnął się:

– Spać. Nie pamiętać. Poprosiliśmy więc Geltiego.

Chcieliśmy zobaczyć w jednej z osad Hamerów ich rytuał przejścia, kiedy chłopiec staje się mężczyzną. Na szczęście młody Hamer, pędząc ku dorosłości, nie musiał nikogo zabijać. Jego zadaniem było przebiegnięcie na golasa po grzbietach kilkunastu

ustawionych równolegle byków. Taka ceremonia odbywa się średnio raz na miesiąc, więc

nie żywiliśmy zbyt wielkiej nadziei. Czas poganiał. Ale Gelti przekonał nas, że nie powinniśmy się ruszać z Turmi, ponieważ szwagierka kuzyna wujka

zapewniła go, że jutro w jednej z wiosek chłopak będzie skakać przez byki. No i czekaliśmy. To się nazywa zachłanność.

Każdego dnia Gelti miał inne wytłumaczenie: czyjaś śmierć, zalało drogę, przesunięto

ceremonię. I widząc nasze twarze, zadawał pytanie świadczące o tym, że najnowsze

dziwactwa naszej cywilizacji nie są mu obce: – Dlaczego Michael Jackson jest taki biały?

Minał tydzień i odjechała jedyna ciężarówka łącząca nas ze światem, kiedy Gelti



oznajmił, że oto doczekaliśmy się.  
Dzisiaj będą skakać przez byki.  
Załadował nas na

wielkie chińskie rowery i pognał przez  
busz do wioski kuzyna. Dojechaliśmy  
wykończeni

po przeszło dwóch godzinach. W jednej  
z chat zostawiliśmy rowery i ruszyliśmy  
pieszo

korytem wyschniętej rzeki. Za którymś z  
zakrętów wpadliśmy w środek  
szaleństwa. Już

wcześniej dobiegały nas przeraźliwe  
dźwięki trąbek, teraz ujrzeliśmy tłum  
opętanych,

piszczących kobiet, które podbiegały do stojących mężczyzn, bodiczkowały ich,

wrzeszczały wprost do uszu, uderzały długimi, świeżo pofarbowanymi gliną na czerwono

fryzurami. Eskalowały agresję, dopóki panowie nie brali w swe ręce różg i nie zaczynali chłosty. Bili powoli i melodycznie, ciała kobiet spływały krwią.

Kobiety były krewnymi chłopaka, który miał tego dnia, skacząc przez byki, stać się

mężczyzną. W społeczności Hamerów większość obowiązków spada na

mężczyzn. Kobiety

wykorzystują więc ceremonię, aby  
wykazać własną przydatność:  
zmasakrowanie się ma

być dowodem przywiązania do kuzyna.  
Kobiety wydawały się opętane. Ból  
samym sobie

zadany wprowadzał je w stan  
kompletnego upojenia. Jedna z kobiet  
zatrąbiła mi wprost

do ucha i niczym pejczem smagnęła  
przez twarz ciężkimi warkoczami. – No  
uderz ją –

zachęcał Gelti, a siedzący obok starcy

kiwali potakująco głowami.

Dochodził zmierzch, gdy spędzono z pola byki. Mężczyźni chwytali je za rogi i ustawiali bokami, dziesięć, jeden obok drugiego. Opodał, w asyście dwóch wojowników, czekał

chudziutki i goły jak go Pan stworzył chłopczyzna. Nagle, na dany znak zerwał się

i w okamgnieniu, cztery razy w tę i z powrotem – tak jak zakłada rytuał – przebiegł po byczych grzbietach. Udało się. Był mężczyzną. Tłum eksplodował euforią, poczęstowano nas gęstym i gorącym piwem z sorgo podawanym w olbrzymich tykwach.

Gelti miał skakać za rok.

– Boisz się? – zapytałem go.

– Bardzo – odpowiedział markotnie.

– A musisz?

– Muszę. Jeśli nie skoczę, to nie zostanę mężczyzną i nie będę mógł się ożenić –

odpowiedział chłopak, który chodzi do liceum w siedzibie dystryktu, ubiera się po

europiejsku, nauczył się angielskiego, słucha Michaela Jacksona, podnieca się Michaeliem Jordanem.

Jego dziewczyna, również Hamerka, pracowała jako sekretarka w lokalnej misji

protestanckiej.

– A nie możesz ożenić się z Amhara?  
(główne plemię Etiopii, stworzyło jedną

z najstarszych na świecie cywilizacji, rządziło krajem od tysiący lat, z niego wywodzili się cesarze, wszyscy nauczyciele Geltiego, których skądinąd bardzo lubi, są Amhara).

Gelti strasznie się skrzywił:

– Amhara? To bardzo zła kultura.

– Dlaczego?

– No bo jakbym ją uderzył, toby sobie poszła.

## **Waga za kratą**

– Zobaczcie, to wyjątkowy człowiek. –  
Dinote wskazał dostojnie  
wyglądającego starca.

– Dlaczego?

Nasz przewodnik zawiesił głos i  
teatralnym szeptem rzucił:

– Jest zabójcą.

– A kogo zabił!?! – Dinote uśmiechnął

się tryumfalnie: – Lwa!

Ale przecież wokół Konso nie ma żadnych lwów.

– No tak – zgodził się Dinote – ale on go zabił 40 lat temu, i to bez karabinu!

Teykanto Fursho okrył się tak wielką sławą, że jego zdjęcie trafiło do wspaniałego i już słynnego albumu o Rogu Afryki *African Ark*. To z kolei spowodowało, że dzisiaj lokalni przewodnicy coraz częściej uznają, że na przyjezdnych większe wrażenie niż „pogromca zwierząt” zrobi określenie: „ten człowiek z książki Carol Beckwith i Angeli Fisher”.



Nasz przewodnik Dinote, nauczyciel angielskiego w odległym o kilkaset kilometrów

liceum (właśnie przyjechał w rodzinne strony na wakacje), pochodził z tej samej wioski co

„człowiek z książki”: z Patankalto, w którym właśnie przebywaliśmy. Miejsce było

zupełnie wyjątkowe. Lud Konso, w przeciwieństwie do koczowniczych Hamerów czy

Gelebów, prowadzi osiadłe życie i wyspecjalizował się w budownictwie osad, które jako

żywo przypominają rodzinną wioskę  
Asterixa: z wąziutkimi uliczkami,  
grubymi,

misternie stawianymi z pali płotami,  
chatami o stożkowatych dachach,  
fantazyjnymi,

grubymi niekiedy na metr bramami.

Ale najświetniejszym wytworem Konso  
są *waga*, posązki ku czci wybitnych  
zmarłych stawiane na polach. Tyle że  
nikt już ich dzisiaj nie umieszcza na  
zbozczach zielonych wzgórz, a te, które  
przetrwały dziesiątki i setki lat, znosi się  
do wiosek. Powód?

Kradzieże. W stolicy Addis Abebie

warte są i trzy tysiące dolarów. –

Tradycja umiera –

wzdychał Dinote nad miodowym winem.

– Chrześcijaństwo czyni postępy, młodzi nie boją

się już nieznanymi mocy i duchów przodków. Cóż więc za problem zabrać kawałek

drewna.

Żeby zobaczyć posąжки, wybraliśmy się do położonej w górach wioski Machake. Robiłem

akurat zdjęcia posąжка, kiedy ktoś mnie złapał za ramię i zaczął krzyczeć. Był to

bardzo, bardzo wkurzony żołnierz w koszulce z napisem „Leisure is Pleasure” (odpoczynek jest przyjemnością). Wrzeszczał, a Dinote robił się coraz mniejszy. Co się stało? Przerażony nauczyciel wyjaśnił, że nas aresztują za nielegalne wtargnięcie do wioski. Jak to nielegalne? Przecież mamy kwit. No tak, ale papier ma wczorajszą datę. Przecież nie

możemy mieć dzisiejszej: urząd otwierają o dziesiątej, a żeby się wyrobić w tę

i z powrotem przed nocą, musieliśmy wyjść o świcie. – Właśnie to im tłumaczyłem –

wyjęczał Dinote – ale tylko się bardziej zdenerwowali. Biorą nas do więzienia.

Ciupa okazała się ustawioną na małym podwórku ławką pod daszkiem z trawy.

Na

drodze zgromadziła się chyba cała wieś, przyglądając się w zachwycie zapudłowanym

*farandzi.*

Nie pragnąłem niczego więcej, tylko wydostać się z tego wariatkowa.

Wręczyłem

komendantowi banknot i odruchowo się skurczyłem, gdy wyciągnął w moim

kierunku

ręce. Przyłożył czy co? Objął mnie serdecznie, a uśmiech, jaki rozjaśnił jego surową twarz, odsłonił paletę zdrowych, mocnych zębów. –

Fotografujcie do woli – przetłumaczył jego słowa nauczyciel.

Po co kusić licha. Dinote, lepiej sobie pójdziemy.

Ale dowódca już łapał dzieciaka i stawiał przed nami. Smarkacz zaczął wyć, żołnierz go zrugął i pańskim gestem wskazał na mój aparat. Cóż było robić? Zdjąłem osłonę obiektywu.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w

„Polityce” 1997/39.

**Taka karma, czyli nieco niemoralna  
opowiadka**

**z sympatyczną puentą i całkiem  
budującym**

**moralem**

Pochłaniam wydaną właśnie po polsku  
cudną książkę: *Krąg łgarzy. Powiastki*

*filozoficzne z całego świata* autorstwa  
Jeana Claude'a Carrière'a. Do którego  
mam stosunek niemalże intymny. Otóż  
ponad 30 lat temu mój ojciec był  
konsultantem historycznym *Dantona*  
Andrzeja Wajdy z brawurową rolą

tytułową Gérarda Depardieu.

Wajda przy okazji dał tacie w prezencie francuski plakat do filmu, a tata dał mnie.

Budziłem się i zasypiałem, patrząc na Dantona/Depardieu z rozwianą grzywą, wzywającego lud na barykady. A u dołu majaczyła szubienica, na której charyzmatyczny

trybun miał zakończyć swe burzliwe życie.

Mijały lata, zmieniałem kolejne mieszkania, a Danton z plakatu szedł za mną, patrzy



i teraz, kiedy stukam w klawisze i...  
chrzanić love story Gérarda z Putinem,  
nie zdejmę go ze ściany. A scenariusz  
*Dantona* napisał właśnie Jean Claude  
Carrière. Podobnie jak *Piękności dnia*,  
*Blaszanego bębenka*, *Mrocznego*  
*przedmiotu pożądania*, *Nieznośnej*  
*lekkości bytu* czy *Duchów Goi*. Carrière  
przez lata zbierał drobne przypowieści z  
całego świata, którymi możemy się teraz  
cieszyć, wyciągając je na chybił trafił  
niczym czekoladki z książkowego  
pudełka, i zastanawiać się, co też  
oznaczają. I tak delektując się tymi  
łakociami, przypomniałem sobie pewną  
historię z Iranu.

A było to tak. Bawiąc ongiś w

Teheranie, poznałem młodego świra,  
nazwijmy go

Hassan. Hassan miał odłożoną sumkę po  
nieżyjących rodzicach, sam robił  
niewielkie

interesy, które zapewniały mu całkiem  
przyzwoity żywot w rządzonej przez  
ajatollahów

kraju. Duchownych u władzy  
nienawidził szczerze i serdecznie, a tę  
niechęć, bardziej niż zaangażowaniem  
politycznym, wyrażał dość hulaszczym,  
czyli nielegalnym w Islamskiej  
Republice Iranu, trybem życia. W  
którego obroty dostałem się i ja.

Szczytem bezczelności był numer z kroplówkami. Hassan kupował je w sklepie

z zaopatrzeniem medycznym. Potem dzwonił po ormiańskich dilerów, którzy dowozili do

domu nielegalną gorzałę, w wersji luksusowej dosyć dziwną jordańską whisky,

a zazwyczaj pędzony pokątnie bimber lany do półlitrowych torebek. Przelewał procenty do kroplówek, które wsadzaliśmy sobie do wewnętrznych kieszeni marynarek, a wylot rurki mocowaliśmy pod klapą, by móc sobie dyskretnie popijać, nie przejmując się

grożącą nam karą chłosty, gdybyśmy zostali złapani przez jedną z kilku odmian policji obyczajowej.

Czasem zdrowo przesadzaliśmy. Z jakiejś imprezy u znajomych Hassana wracaliśmy

taksówką w takim stanie, że kierowca nas prosił, byśmy na przyszłość uważali, bo on nie jest kapusiem, nie doniesie, ale jak trafimy na kogoś innego, to wylądujemy jak nic w pudle. Więzienie należało nam się już za samą imprezę, z której wracaliśmy. W willi

w północnym Teheranie, tej zamożniejszej, bardziej liberalnej i niechętnej ajatollahom części miasta,

bawił się tłum młodych ludzi płci obojga, niepowiązanych relacjami małżeńskimi ani rodzinnymi, co zgodnie z restrykcyjnie egzekwowanym prawem

koranicznym było zabronione. Nie wspominając już o wyglądzie kobiet, w sukienkach

mini, z ostrymi makijażami i głębokimi dekoltami.

Po jakimś czasie Hassana odwiedził mój polski przyjaciel R. Postanowili wybrać się nad Zatokę Perską. Gdy jechali taksówką na dworzec autobusowy, Hassan poprosił kierowcę, by się zatrzymał, podbiegł do stojącej na ulicy skrzynki i szybko wrócił. Wyjaśnił

zaciekawionemu R., że wrzucił datek na religijną fundację pomagającą weteranom wojny

z Irakiem. R. się zdziwił, znając powściągliwy stosunek Hassana do

zinstytucjonalizowanej wiary. – No tak – odparł irański utracjusz – ale ci ludzie walczyli za ojczyznę, a teraz często są w bardzo ciężkiej sytuacji. Należą im się szacunek i pomoc.

A poza tym głęboko wierzę, że dobre uczynki do nas wracają, taka karma.

Wieczorem tego dnia, już nad morzem, łapali stopa. Było ciemno, pusto i nikt się nie

zatrzymywał. Aż stanął wielki, czarny mercedes z przyciemnianymi szybami.

W środku

siedziało dwóch obywateli o wyglądzie sugerującym związki ze sferami dalekimi od

legalizmu. Hassan i R. popatrzyli na siebie, nie bardzo wiedząc, co robić.

Ale kierowca z kompanem już łapali za ich plecaki. Raz się żyje, stwierdzili moi kumple. Pojechali.

Gadali z gangsterskimi samarytanami o wszystkim i o niczym, kiedy ci zatrzymali

samochód na kompletnym pustkowiu.

Hassan i R. zamarli. Kierowca z kolegą  
poszperali

w kieszeniach i na deskę rozdzielczą  
wysypali kupkę białego proszku.  
„Kokaina. Czysta.

Najlepsza” – rzucili, widząc zdumione  
miny swych pasażerów i zapraszająco  
się

uśmiechnęli. Hassan tryumfalnie się  
rozpromienił.

– A nie mówiłem? Dobre uczynki  
zawsze wracają!

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Newsweeku” 2013/11.







# V SERCE ZDRAJCY

## Jak być patriotą? Pogadanka

Drogie dzieci, powiedzmy od razu i bez lęku, że dzisiaj w Polsce to postawa arcytrudna.

Niepokorni dziennikarze muszą kanałami przedzierać się do stacji radiowych

i telewizyjnych, by głosić słowo prawdy, ryzykując przy wyjściu na powierzchnię

spotkanie ze szwadronami śmierci Platformy.

Reżim Rudego patriotów ściga, gnębi i

więzi w lochach. Choćby Naczelnego  
Patriotę

Kraju, Wolnego Polaka, pana Starucha.

I tu pierwsza rada, jak się wykazać  
prawdziwym patriotyzmem, a nie jakąś  
jego

lemingową parodią, którą  
obserwowaliśmy w czasie największej  
katastrofy ostatnich

lat, czyli turnieju Euro. Umrze, dajmy na  
to, jakiś znajomy leming albo  
pseudoautorytet łże-elity i już  
wychodzimy na podwórko i krzyczymy:  
„Jeszcze jeden! Jeszcze jeden!” – jak to  
pięknie zapodawał Mariuszowi

Walterowi wspomniany pan Staruch na stadionie Legii po śmierci Jana Wejcherta.

Jeżeli już jesteśmy przy myślach i czynach tego Wielkiego Rodaka oraz jego towarzyszy

walki, możemy miłość do Ojczyzny okazać daniem komuś po ryju, tak jak Wolny Polak

Staruch, pożałuj się Boże, futboliście Rzeźniczakowi, który nie zadowolił pana Starucha

poziomem boiskowego rzemiosła. Cenne jest również charchnięcie na kogoś flegmą, ten

wariant preferuje poznańska szkoła miłości do Ojczyzny.

Myślę, że jeśli korekta w „Newsweeku” nie wychwyci ewentualnych błędów

gramatycznych w mej pogadance, wpadnę do redakcji i wyjadę komuś z plaskacza, czym

zasłużę na przychylny komentarz w najsilniejszym portalu po stronie prawdy, czyli

[Wpolityce.pl](http://Wpolityce.pl), albo na słowa zrozumienia polityków z partii prezesa.

Tak jak zasłużyli wspaniali patrioci, gdzie mi tam do nich!, którzy buczeli,

gwizdali

i krzyczeli w czasie obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego. Co skądinąd jest spójne z patriotycznym turpizmem wspomnianego „Jeszcze jeden!”. Więc pamiętajcie, drogie dzieci: jak jakieś dziadki, co to niby z karabinami pałętały się po powstańczej Warszawie, a teraz ledwo na nogach się trzymają i coś tam marudzą, żeby uszanować wzniosłość chwili i pamięć ludzkiej hekatombi – chrzanić to. I dajemy: „Raz sierpem, raz młotem

czerwoną hołotę!”. Dziękuję, widzę, że coś się zaczyna otwierać w waszych małych

główkach.

Niezbędnym, absolutnie koniecznym elementem nowoczesnego patriotyzmu jest

przyswajanie w miłosnym uniesieniu przemyśleń Prezesa. I zaznaczmy od razu, że

szacunek, a nawet podziw dla dorobku Lecha Kaczyńskiego niczego nie załatwia.

Powiedzmy sobie szczerze: najbardziej dwulicowe gady używają tej żałosnej retoryki, że niby Lech to nie to samo co Jarosław. Spójrzcie choćby na zakłamane facjaty tych nieszczęsnych



muzealników.

Prawdziwy patriota kocha Jarka  
ekstatycznie i lirycznie. Po bardziej  
szczegółowe

wytyczne i wzór wzruszających laurek  
zgłóście się, drogie dzieci, do  
najbardziej

niepokornych z niepokornych, czyli  
braci Karnowskich. I myślcie ciepło o  
wuju Antonim, który krok po kroku  
odsłania prawdę o smoleńskim zamachu.  
I przykro mi, jest tak – tak, nie – nie,  
jeśli wasz tatuś albo mamusia w zamach  
nie wierzą, to uczestniczą w masowej  
zdradzie, przyczyniając się do zgnicia,  
likwidacji Narodu.

Prawdziwy patriota trwa w stanie wiecznej obrazy. Wybaczcie, ale świadczy to o waszej

jeszcze dziecięcej, milusi, naiwności, jeśli zastanawiacie się, po co się obrażać, gdy nie ma powodu do obrazy. Ech, wy słodziaki moje kochane! Powód do obrazy znajdzie się zawsze.

Przed chwilą skasowałem przez pomyłkę kawałek tego tekstu, więc obraziłem się na

komputer. Proste, prawda? Uczcie się. Wiem, że lubicie, jak to szkraby, pośmiać się nieco.

No to sobie jeszcze trochę

pochichoczcie, ale niech ten śmiech  
powoli zamiera, bowiem

Ojczyzna nasza pod rządami rusko-  
szkopskich zdrajców dogorywa i nikomu  
dorosłemu nie

powinno być do śmiechu. Patriota ma  
mieć lico marsowe jak poeta  
Rymkiewicz, który

wyliczył, że prawdziwi Polacy to  
ledwie jedna trzecia obywateli  
Przywiślańskiego Kraju.

Śmiech więc patriocie nie przystoi, ale  
płacz i wzmożenie emocjonalne, nawet  
dygot

szlachetny jak najbardziej. Pamiętajcie: prawdziwych polskich patriotów nikt dookoła nie lubi, świat jest zły i wrogi, wszędzie szerzą się spiski, wszystko ma swoje drugie, wredne dno, na pozór neutralne zachowania są produktem przemysłu pogardy i nienawiści, więc całkiem zrozumiała jest poetyka najsilniejszego portalu po stronie prawdy, którą

otumaniony leming mógłby nazwać płaczliwością i histerią. Dziękuję. Rośnijcie i dbajcie czule o fasolkę swego gniewu.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2012/32.

## **Bagnet wyprowadzić**

Polska i polskość przetrwały sytuacje poważniejsze niż inżynieria społeczna Palikota.

Ale polskiej lewicy autentycznie szkoda.

Wisi sobie, płowiejąc nieopodal mego domu. Plakat nawołujący do blokady

zeszłorocznego Marszu Niepodległości. Na nim napis „Moją ojczyzną jest cały świat”.

Mijam go regularnie, jakoś dobrze wpływa na myślenie o sprawach znacznych, a nie

bieżących, więc i od razu zapalić się chce, coby uprzyjemnić i wzmóc proces myślowy,

toteż zapalam i zawsze wychodzi mi tak samo: otóż cały świat nie jest moją ojczyzną.

Dużo świata zjeździłem, dwa lata w sumie spędziłem w Afryce, rok mieszkalem

w Stanach, szwendałem się tu i tam po paru kontynentach, no i nie zapominajmy

o ukochanej Gruzji, w której nawet ślub wziąłem i o której lubię pół żartem, pół serio ciepło napomknąć, że jest moją drugą ojczyzną. W dodatku nawałnice

historyczne, polityczne i erotyczne  
porządnie mi zmieszały krew i polska  
pluska się z żydowską

i rosyjską, a pewnie trochę ukraińskiej  
też by się znalazło. I gdy mam to  
wszystko na

uwadze, tak czy siak wychodzi mi  
prawie jak Jasiowi w dowcipie o  
flaszce i matce, która jest tylko jedna:  
moja ojczyzna jest tutaj.

Raymond Aron, wybitny XX-wieczny  
francuski filozof i politolog pochodzenia

żydowskiego, powiedział, że ma więcej  
wspólnego z francuskim antysemitą niż

z marokańskim Żydem. Zachowując wszelkie proporcje, pewnie nie posunąłbym się tak

daleko, żeby stwierdzić, że mam więcej wspólnego z, dajmy na to, wrocławskim skinem

niż z moim przyjacielem Acziko z Tbilisi, ale... Wierzę, że jesteśmy tworem naszej

tradycji, kultury, osiągnięć i porażek przodków, czegoś między słowami, co kształtuje

niewpowtarzalną mieszankę zwaną polskością. Czy się ją lubi, kocha, szanuje, czy się jej nie cierpi, czy nią



gardzi, to już zupełnie inna sprawa, ale ona jest w nas, wokół nas, między nami.

Dlatego kiedy przeczytałem o naradzie przywódców polskiej lewicy, na której Janusz

Palikot rzekł, iż nadszedł czas, by powiedzieć Polakom, że muszą się wyrzec polskości, z początku wzruszyłem ramionami. Ot, kolejna błazenada, jutro założy Kościół latających naleśników, a pojutrze ogłosi, że w ramach solidarności z mieszkańcami głodującego Darfuru zje kawałek własnego uda. Z drugiej strony, jest uznawany za jednego

z przywódców i przyszłość polskiej

lewicy. No i zaciekały mnie reakcje. Oburzenia po prawej stronie w sumie można się było spodziewać. Braku reakcji po lewej, a w najlepszym razie jakiejś letniej uwagi – no właśnie, można się było spodziewać czy nie?

Tak się złożyło, że mniej więcej w tym czasie, kiedy Palikot głosił swe mądrości

prawdziwego Europejczyka, czytałem niezwykle ciekawą biografię Władysława

Broniewskiego *Miłość, wódka, polityka* napisaną przez Mariusza Urbanka, autora równie znakomitego *Złego Tyrmanda*. Broniewski – genialny poeta,

szlachecki zawadiaka, legionista  
Piłsudskiego, bohater wojny z  
bolszewikami, w 20-leciu ideowy  
komunista, po wojnie pieszczoch i  
chwalca PRL, zawsze chory na  
polskość, straceńczy alkoholik,  
popapraniec w związkach z kobietami,  
tak naprawdę zakochany chyba tylko w  
córce—

bzdurce – jak ją nazywał – Ance, która  
zmarła w dziwnych okolicznościach ku  
bezkresnej rozpaczycy ojca. Więzień  
sanacji, Sowietów, i de facto, w  
psychiatryku, także PRL. A przede  
wszystkim obezwładniający mistrz  
słowa, zarówno gdy chwalił rewolucję,  
wzywał

w obliczu niemieckiego zagrożenia:  
„bagnet na broń!”, jak i wtedy, gdy pisał  
najpiękniejsze liryczne wiersze miłosne.

Jego życie to swoją drogą świetny  
pretekst do dyskusji o meandrach  
polskiej historii

w XX wieku, zwłaszcza o manowcach,  
na które zeszło wielu ludzi polskiej  
lewicy. Ale też część spuścizny  
polskiego szlachecko-socjalistycznego  
patriotyzmu, tego samego, który wydał  
Józefa Piłsudskiego. Która to spuścizna,  
jak wynika z reakcji na Palikota,  
przestała dla dużej części polskiej  
lewicy mieć istotniejsze znaczenie.

Polska i polskość przetrwały sytuacje  
nieco poważniejsze niż inżynieria  
społeczna

w wykonaniu ambitnego producenta  
alkoholu. Nie ma się co więc przesadnie  
ekscytować.

Ale już lewicy polskiej autentycznie  
szkoda. Prawa strona odwołuje się nie  
tylko do

tradycji narodowej, endeckiej. Gładko  
wchłania dziedzictwo powstań  
narodowych czy

niepodległościowych socjalistów. Stara  
się pogodzić historycznych białych z  
czerwonymi.

Lewicy à la Palikot nie zostanie nawet stary komunista Broniewski. Zbyt polski.

Nieuleczalnie polski.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2012/11.

## **Kiedy chciałbym wystrzelić w kosmos**

1. Kiedy siedzę sobie grzecznie przy kawiarńnianym stoliku, zatopiony w lekturze gazety albo, nie daj Boże, książki, a tu nagle ktoś znajomy lub, co gorsza, nieznajomy, podchodzi i pyta, czy może przeszkodzić/dosiąść się/pogadać, bo najwyraźniej uznał, że czytać można tylko z nudów i z braku lepszych zajęć.

Zawsze wtedy mnie korci powtórzenie  
za poetą, że „jestem w nastroju

nieprzysiadalnym”. Jednak już teraz  
wykorzystam ten felieton i ulokuję  
produkt swej

oldskulowej myśli: czytam, bo kocham.  
A już czytanie przy jedzeniu to czysta  
poezja, co moja mama próbowała przez  
lata mi wyperswadować – a to maczugą  
dobrego wychowania, a to kijem  
potencjalnych wrzodów na czymś tam w  
środku mnie czytającego,

a to pałką niedoceny smaków w  
trakcie lektury. Bez rezultatu. Więc się  
pogodziła

z porażką pedagogiczną i potem już tylko kręciła głową, patrząc, jak podanego

schabowego najpierw kroję sobie na kosteczki, żeby potem w trakcie lektury nie

rozpraszać się zbyt mocno.

2. Kiedy mnie kelner w knajpie pyta, czy mi smakowało, za każdym nadejściem

i minięciem stolika, najlepiej tym bezosobowym tonem, na który mógłbym odpowiedzieć:

„Nie wiem, bo mam właśnie zawał i umieram”, a on i tak by się uśmiechnął i poszedł



dalej. Jak wczoraj pałaszowałem żurek  
wsparty cynaderkami w restauracji  
Piotra

Adamczyka, to cudownym smakom  
towarzyszyło duszące poczucie  
niepokoju, że czegoś

nie ma, co być powinno. I nagle – bingo!  
eureka! – żaden ze sprawnych, ale

nienadskakujących kelnerów nie zapytał:  
„Smakowało?”.

3. Kiedy jadę metrem obok koleśi w  
koszulkach na ramiączkach, co samo w  
sobie jest

obleśne w centrum miasta, a im tak wali

spod tych pacholców, tak capi nieprzytomnie jak z kibli w dawnej bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, tych przy samym wejściu do świątyni czytania, które na dzień dobry atakowały niezapomnianym i absolutnie morderczym bukietem.

4. Kiedy słyszę w reklamach i wypowiedziach, że coś jest „dedykowane” zamiast

„przeznaczone dla”. Autorom dedykuję życzenia powrotu do szkoły.

5. Kiedy słyszę „tak” na końcu zdania, zwłaszcza wśród prowadzących i gości radia Tok

FM. I słysząc to półinteligentne, wkurzające jak uśmiech Ryszarda Czarneckiego „tak?”, zaczynam tęsknić za bezpretensjonalnie knajackim „nie?”. Nie?

6. Kiedy poruszam się po mieście slalomem, bo właściciele nie sprzątajają po srających

gdzie popadnie swych braciach mniejszych.

7. Kiedy nabzdyczeni godnościowo spacerowicze łążą po ścieżkach rowerowych i jeszcze

wygrażają, jak im się zwróci uwagę.

8. Kiedy jedzie taki pięć na godzinę lewym pasem na drodze szybkiego ruchu i nie

zjedzie na prawy, choćby skały – sami wiecie co.

9. Kiedy wyjeżdżający z parkingu idzie płacić dopiero wtedy, gdy zatrzyma się pod

szlabanem, blokując wszystkich innych, ale co tam.

10. Kiedy obcy komentują, jak mam ubranego dzieciaka: za ciepło, za zimno, za mało

warstw, za dużo.

11. Kiedy pokazują te szczęśliwe  
rodzinki i paczki przyjaciół w  
reklamach, jakieś

zmutowane parodie *Truman Show*.

Potem w nocy mam koszmary. A  
przecież nigdy ich nie miałem, nawet po  
najkrwawszych japońskich horrorach ani  
po polskich komediach romantycznych  
(a to wielka sztuka) – a po tych  
reklamówkach mam. Śnią mi się awatary

o szczękach jak zgniatarki złomu z  
dzieciorami o wyglądzie niehumanoidalnych  
pluszaków

z fabryki szalonego naukowca. A ci  
koleżkowie od browarów to już na  
pewno kosmici

podmienieni w ramach utajnionej jeszcze inwazji obcych.

12. Kiedy słyszę reklamy środków na grzybicę pochwy czy monstualne pierdzenie

zwane dla niepoznaki wzdęciem. Efekt jest porażający, długotrwały i nawet jak potem

usłyszę przedni żarcik o puszczeniu bąków, to jakoś śmiech mi zamiera w tym

reklamowym wzdęciu.

13. Kiedy w telewizorze jest przerwa na reklamy i toto zaczyna wyć o 300

decybeli

głośniej, a pilota właśnie rąbnął pierworodny i nie mogę ściszyć tego szajsu. I już wiem, jak czuli się więźniowie w Guantánamo.

14. Kiedy gadają w kinie, komentują co drugą sytuację, albo gadają ot, tak sobie, o abstrakcyjnej dupie Maryni albo jakiejś całkiem konkretnej Maryni. Albo gadają przez telefon, załatwiając niecierpiące zwłoki sprawy i nawet na sceniczny szept się nie wysilą, tylko tak donośnie, żebym kurde poznał każdy szczegół transakcji z panem Kazkiem czy umowy z panią Mariolką.

15. Kiedy se strzępię nerwy takimi pierdołami.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2013/15.



# Czosnek spod pachy

Człowiek pisze, Pan Bóg słowa nosi.  
Takie *Mury* Kaczmarekowskiego to przecież  
bardzo gorzka pieśń o samotności artysty  
niezrozumianego przez tłum, a stały się  
hymnem tłumowi. Żeby nie było, sam  
byłem w tym tłumie.

Tak się asekurancko zastrzegam, bo  
zaraz ktoś czujny i wzmożony napisze, że  
gardzę

Narodem Polskim, który jak Jeden Mąż  
Walczył z Komunistyczno-Sowiecką  
Okupacją

i Zdrajcą Bolkiem pod Przywództwem

Mariusza Błaszczaka i Joachima Brudzińskiego.

Albo *To wychowanie* Muńka i T.Love („Ojczyznę kochać trzeba i szanować...”). Pieśń ironiczna z goryczkową nutką, którą swego czasu upodobali sobie skini, bo wzięli refren całkiem dosłownie. Co z kolei dziwić nie powinno, bo jak ktoś ma szarych komórek w ilości wystarczającej, by nie wypróżniać się na podwórku, to raczej skinem nie zostaje.

Nie to, żebym śmiał się porównywać do tych pięknych twórców, na których skądinąd się

wychowywałem, ale skoro przydarzyło

się takim mistrzom słowa, to mogło  
trafić się

i mnie.

Poszło o felieton sprzed tygodnia, taki  
mój prywatny dzień świra pod tytułem  
*Kiedy chciałbym wystrzelić w kosmos*.  
Jego punkt nr 3 zaczynał się tak: „Kiedy  
jadę metrem obok koleśki w koszulkach  
na ramiączkach, co samo w sobie jest  
obłeśne w centrum miasta, a im tak wali  
spod tych pacholców, tak capi  
nieprzytomnie jak z kibli w dawnej  
bibliotece Uniwersytetu  
Warszawskiego”.

Od razu podkreślę ogromną liczbę  
głosów ludzi, którzy cierpią tak samo w

podobnych

okolicznościach przyrody. Jednak teraz skupię się na równie potężnej liczbie komentarzy, które da się sprowadzić do tego, że obrażam/nienawidzę Polaków, śmierdę czosnkiem i mam się wynosić do Izraela. Co zostało rozpisane na różnorakie wersje, różniące się

poziomem wzmożenia patriotycznego oraz godnościowego i nasunęło mi parę nieśmiałych

pytań.

Czy gdybym napisał, że ci śmierdziele wyglądali mi z twarzy i dialogów na

platformersów albo, daj Boże, palikociarzy, to też bym był antypolski czy już arcy-polski w swym szlachetnym demaskowaniu wrogów Narodu przez bardzo duże „N”? Czy chodzi o to, że polskość wyklucza niekorzystne aromaty cielesne, czy może na odwrót, wszystkie nieszczęścia i krzywdy, jakie spadły na Polaków, od potopu szwedzkiego przez rzeź Pragi, rozbiory, przegrane powstania aż po Katyń, sprawiają, że Polak ma prawo dumnie śmierdzieć? Czy w związku z tym Polak umyty nie zasługuje na miano Polaka?

Powie ktoś: po co w ogóle zajmować się jakimiś przygłupami hejterami z internetu?

Odpowiedź brzmi: skala zjawiska. Stale rosnąca. Agresywny antysemityzm, a raczej

prymitywne żydożerstwo przestało być czymś wstydliwym. I nie mówię teraz

o anonimowych forach, lecz o portalach, gdzie ludzie występują pod własnymi nazwiskami i twarzami. Słodkie zdjęcia z dzieciątkami i wpisy, że szkoda, iż Adolf nie dokończył

roboty. Albo i mocniej.

Kiedy słyszę na Zachodzie, że Polska jest antysemickim krajem, zawsze wdaję się w –

czasem mocno nieprzyjemne – dyskusje. Ale kiedy słyszę polskich prawicowych szwależerów publicystki, że w Polsce nie ma antysemityzmu albo jest marginesem, no to, w zależności od nastroju, ogarnia mnie spora radość albo podziw dla cynizmu autorów.

Nie, Polak nie równa się antysemita, ale w zależności od badań i ich interpretacji,

jakkolwiek by patrzeć, wychodzi na to, że gdzieś do jednej trzeciej obywateli kraju nad Wisłą łapie się w tej kategorii. Lubię uważać, że szklanka jest do połowy pełna, więc jest to dla mnie mniejszość, ale nie jestem ślepy, by nie

widzieć, że pokaźna. A polska prawica cynicznie na nią gra. Wejdźcie choćby na „największy portal po stronie prawdy”, czyli [wPolityce.pl](http://wPolityce.pl), może tam się trafia jakiś tekst, pod którym nie ma antysemitów komentarzy, ale ja jeszcze na taki nie trafiłem. Zawsze odbije się czosnkiem, choćby komentowany tekst był o hodowli orchidei.

I to autorzy takich wpisów najczęściej krzyczą o Narodzie z wielkiej litery, o antypolonizmie i wszystko im się kojarzy z gnębieniem Polaków, nawet spoceni faceci

w metrze. Dla nich ktoś z domieszką krwi żydowskiej zawsze pozostanie



Żydem, nawet

jeśli uważa się za Polaka. Wycierają sobie gęby Polską i nie rozumieją przyciągającej siły polskiej kultury, polskiego ducha. Nic dziwnego, że jak ktoś na Zachodzie czy gdzieś indziej powie o Polsce coś krytycznego, wpadają w histerię. Bo nie wierzą w siebie ani w swój kraj. I mieszają ten kompleks wyższości z kompleksem niższości.

Powiedz takiemu, by się umył, to od razu zawyje, że cały naród obrażają. Nie, gościu, to oznacza tylko, żebyś się umył, i nie mieszaj do tego tchórzliwie cywilizowanych w tradycyjny sposób

Polaków. Jak napiszę, że Mazury po sezonie są obsrane, to nie jest to działalność antypolska, lecz propolska, bo chcę, żeby w moim kraju było czysto i przyjemnie. A cele te chcę osiągnąć nie przez likwidację Polaków, jak ci się wydaje, tylko przez zachęcanie do sprzątnania po sobie.

Publicyści, autorytety i politycy prawicy mogliby pewnie coś tam próbować zmienić, na

jakąś część ludzi wpłynąć, ale po co? Nie wkurza się swoich czytelników i elektoratu.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2013/22.

## **Za mundurem chłopcy sznurem**

Nie dajcie się zwieść początkowej opowiastce. To mit, przykrywka, brak

samoświadomości, efekt presji kultury homofobicznej lub wszystko naraz.

A więc jednego z ostatnich dni października 1984 roku, jak co roku zmierzałem

z rodzicami na warszawskie Powązki, by pokłonić się bliskim i oddać cześć bohaterom.

Patriotyczna ekscytacja 16-latka, że oto zaraz złączy się z niepokornym (wtedy to słowo nie miało wydźwięku

błazeńskiego) tłumem w Dolince  
Katyńskiej, nad grobem Przemyka czy  
wśród mogił Szarych Szeregów, nie  
przeszkodziła mi dostrzec ślicznej  
dziewczyny

w harcerskim mundurze, która pomagała  
kierować ruchem na parkingu. Niewiele  
się

namyślając, przeprosiłem rodziców,  
powiedziałem, że ich dogonię, i  
zawróciłem.

Już dzisiaj nie bardzo pamiętam, jak  
bardzo żenująca była moja próba  
podrywu, ale

efekt był taki, że kilka dni później

zapisywałem się do jej harcerskiego  
szczepu nr 23, czyli legendarnej  
Pomarańczarni z warszawskiego, nie  
mniej słynnego liceum Batorego, choć  
sam chodziłem do Reja. Ale przyjęli,  
zastanawiając się pewnie nad  
motywami. W Reju

harcerstwo praktycznie nie istniało,  
podobnie jak w większości szkół. A w  
Batorym było silne i całkiem, jak  
powiedziałyby się lata później, cool. No  
i miałem za sobą harcerskie  
doświadczenie z podstawówki, więc nie  
wyskoczyłem kompletnie jak filip z  
konopi.

Z wymarzonego romansu, który pchnął

mnie do Pomarańczarni, nic nie wyszło,  
zapisali

mnie do innej drużyny (bo  
Pomarańczarnia była naprawdę duża),  
niż należało cud—

dziewczę ze służby porządkowej,  
uczucie zgasło, zanim się narodziło, ale  
pознаłem kupę fajnych ludzi, przeżyłem  
parę przygód, przeczytałem trochę  
dobrych stron, poznałem tradycje innych  
środków, byłem na świetnym  
zimowisku, na którym omal nie  
zszedłem,

brnąc z kolegami nocą przez ośnieżone  
góry, mówiąc krótko, świetne,  
kształtujące

życiowo doświadczenie. Którego tak naprawdę nie rozumiałem, dopóki nie zapoznałem się

z odkryciami doktor Elżbiety Janickiej z Instytutu Slawistyki Polskiej Akademii Nauk.

A ta jasno wykazała, że „Zośkę” i „Rudego”, bohaterów z Pomarańczarni, łączyły

homoseksualne relacje, czemu „Rudy” dawał wyraz nawet na łóżu męczeńskiej śmierci.

Ludzie prości, ciemni i nierozumni zaczęli się awanturować, ale „przecież taka

wspólnota mężczyzn jest bardzo blisko wymiaru homoerotycznego”, jak to zauważył

czujnie i celnie Krzysztof Tomasik, publicysta związany z „Krytyką Polityczną”, który

opublikował zbiór esejów *Homobiografie. Pisarki i pisarze polscy XIX i XX wieku.*

Trudno się nie zgodzić. Tak trochę parafrazując Maksa z *Seksmisji*: „Same chłopaczki, nieżonaci, babskiej konkurencji praktycznie żadnej...”. I te fikuśne mundurki, wrrr!

I pojąłem, że w zasadzie, zgodnie z



najśluszniejszym trendem współczesnej humanistyki, moje całe życie „było bardzo blisko wymiaru homoerotycznego”. Nie tak dawno pisałem tu o wyprawie w Beskid Żywiecki z moim przyjacielem Grzesiem. Już to samo powinno dać do myślenia. Dwóch facetów, góry, Brokeback Mountain, jesteśmy w domku. A jakby

państwo zobaczyli, jak zaryłem w śnieg po pas, nie byłem w stanie się wygrzebać

przygnięciony plecakiem, a wtedy Grześ zawrócił i wyciągnął ku mnie muskularne ramię

ćwiczone od jakiegoś czasu na treningach krav magi. (Ha! Tam to dopiero musi się dziać!).

Co więcej, przypomniałem sobie, że gdy robiliśmy razem czterdziestkę (bo urodziliśmy się dzień po dniu i znamy się od ćwierćwiecza) w Bieszczadach, to dobrze po północy padliśmy sobie w ramiona, a ja zawyłem, płosząc wszystkie niedźwiadki z okolic Lutowisk: „Grześ, kocham cię, ty stara dupo!”.

Harcerstwo już mamy omówione, a o zuchach aż się boję wspomnieć, zwłaszcza że

wtedy oglądałem pierwszy raz *Czterech*

*pancernych*. Jak dziś o tym pomyślę, to wszystko staje się jasne: czterech facetów non stop razem, długa lufa, babki daleko w tle, tylko ten Szarik... Aż strach pomyśleć, co odkryją badacze śmielsi intelektualnie od doktor Janickiej. Albo i ona sama, kiedy weźmie na warsztat książki Edmunda Niziurskiego.

Wyjdzie jej, że Marek Piegus organizował pierwsze podziemne parady równości.

Szkoła. Piłka nożna jako nieustające dotykanie się, obmacywanie, obłapianie, szturchanie, dźganie, ocieranie i czego tam nie było. A wszystko po to, by

wskoczyć pod prysznic. No tu trochę pamięć zawodzi, bo to, co sobie przypominam, to że nikomu nie chciało się myć i śmierdząc okrutnie, gnaliśmy szlajać się po podwórkach albo na zupełną do mamy (matka jako domina z chochlą pomidorowej – to wiele tłumaczy).

Potem było tylko gorzej. Kąpiele nago nocą w Bałtyku i na Mazurach? Co z tego, że

niby szpanowaliśmy przed czekającymi na brzegu dziewczynami? Hełoł! Dostyc udawania!

A uliczne demonstracje na studiach i chłop z chłopem, ramię w ramię? I jak tak sobie

teraz analizuję, to jedynymi  
niehomoerotycznymi mężczyznami,  
jakich spotkałem

w życiu, jest tych paru gejów, których  
znam.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Newsweeku” 2013/15.

# Ale beze mnie

W tym roku prima aprilis zaczął się już w marcu. Kiedy ogłoszono pewną dyrektorkę

teatru świecką świętą i pierwszą obrończynią wolności słowa za to, że miała niesłychaną odwagę nazwać nowego papieża chujem donoszącym wojskowym na lewicujących księży.

Pomińmy w tym miejscu, że więziony przez juntę obrońca praw człowieka, laureat

pokojowej Nagrody Nobla Adolfo Pérez Esquivel miał na ten temat nieco inne

zdanie niż

pani dyrektor z Poznania: „Byli biskupi, którzy współpracowali z dyktaturą, ale nie

kardynał Bergoglio”. Czytałem kolejne listy, felietony, artykuły, wypowiedzi, wpisy

poparcia tuzów naszego życia kulturalno-politycznego dla nowej świętej i, mimo że po

wielekroć już obiecywałem sobie, że niczemu dziwić się więcej nie będę, to jednak się

zdziwiłem. Więc napisałem na

Facebooku co następuje: „Ech, i pomyśleć, że jak mi się

kiedyś »kurwa« w charakterze znaku przestankowego wyrwała w programie na żywo, to

było mi nieco (nienachalnie, nie będą ściemniał) wstyd i głupio. A to trzeba było świadomie nazwać kurwą posłankę PiS, zakonnicę albo konserwatywną dziennikarkę, a stałbym się symbolem wolności słowa. Wpływowa gazeta w niemym zachwycie robiłaby ze mną

wywiady na piętnaście stron, artyści i intelektualiści pisaliby listy w mojej obronie.



Byłbym, kurwa, personifikacją  
Oświecenia w tym ciemnym, chujowym  
narodzie. Mogło

być tak, kurwa, pięknie”.

Wśród wielu komentarzy znalazł się i  
ten Jasia Kapeli, felietonisty lewicowej  
„Krytyki Politycznej”, który już  
wcześniej swym zaangażowanym piórem  
wspierał na łamach „KP”

prawo pani dyrektor do nazywania  
Franciszka chujem. Cytuję, bo głos to  
dość często się powtarzający: „Może  
jakby jakaś rada nadzorcza postanowiła  
pana po tej »kurwie«

zwolnić, a dyrektor prosiłby prawników

o radę, jak to zrobić legalnie, skoro jednak jest wolność poglądów, oraz ludzi, którzy podpisaliby list w pana obronie, zmuszano by do składania samokrytyki i podania się do dymisji, byłby pan jednak tym symbolem wolności słowa, a nie prowadzącym w telewizji śniadaniowej. Trochę szkoda”.

Problem polega na tym, że moja „kurwa” nikogo nie lżyła, nie miała takiej intencji, była poczciwą przerywnikową kurwą z rodzaju tej od Zbuczyna redaktora Lisa czy od nieposprzątanego stołu redaktora Durczoka, świadcząca o mym braku oglądy,

kindersztuby i samokontroli. W  
przeciwieństwie do chuja pani dyrektor,  
który miał być

brutalną obelgą i był. Kapela nawiązuje  
do historii profesor Zofii  
Kolbuszewskiej

z Katolickiego Uniwersytetu  
Lubelskiego, która podpisała list w  
obronie poznańskiej

dyrektorki, co wzbudziło poruszenie i  
ataki na prawicy, w efekcie czego pani  
profesor

złożyła rezygnację z funkcji prodziekana  
Wydziału Nauk Humanistycznych KUL,

pozostając na uczelni jako wykładowca.

To mam prośbę do Jana Kapeli o małe ćwiczenie umysłowe. Jakiś ONR-owiec nazywa

Sławomira Sierakowskiego, szefa „Krytyki Politycznej”, męską kurwą i pierdolonym

żydziochem. Tak się składa, że potwarca pracuje na państwowym i lewicowi radni w jego

mieście domagają się od jego przełożonych sankcji za skandaliczne słowa. Rozumiem, że

podpisuje pan wtedy list w obronie

ONR-owca, a Sławek Sierakowski,  
zdając sobie

sprawę, że pana ogrom zajadłości  
ideologicznej jest odwrotnie  
proporcjonalny do

sprawności intelektualnej, tuli pana do  
piersi i szepcze: „Już dobrze, Jasiu, już  
dobrze...”.

W niedawnym wywiadzie dla „Gazety  
Wyborczej” pisarz Szczepan Twardoch

powiedział: „Dwa barbarzyńskie  
plemiona napierdalają się pałami po  
łbach, ale oficjalnie to się nazywa  
debata i życie publiczne”. I ja mam już  
tego totalnie dość. Rzygać mi się chce,

jak widzę tę hipokryzję obrońców dyrektorki, której trzeba bronić, bo jest nasza i walnęła w Kościół, lepiej, w najczarniejszego z czarnych. Rzygać mi się chciało, jak z innego barbarzyńcy robiono symbol wolności słowa, bo podarł Biblię, ulubioną książeczkę czarnuchów. Rzygać mi się chce, jak palikotowa trucizna zalewa liberalną

część Polski, tak jak macierewiczowsko-kaczyński koktajl zżera tę konserwatywną.

I rzygać mi się chce, jak chwalą mnie prawicowcy za wpis w sprawie chuja, bo gdzie

byliście, jak ceniony przez was reżyser

mówił, że takich jak ja z TVN i „Wyborczej” trzeba wystrzelać? Ten facet nie obrażał, on wzywał do mordów i nie dalej jak wczoraj widziałem z nim milusi wywiad na najbardziej wzmożonym moralnie prawicowym portalu. Więc dzięki, nie potrzebuję waszego poklepywania po ramieniu, zajmijcie się swoim smrodem.

Ale wśród ponad dwóch tysięcy ludzi, którzy polubili mój wpis na Facebooku, ze

zdziwieniem, czasem zdumieniem zobaczyłem nazwiska osób, których bym nigdy nie

podejrzewał, że ich też trafi szlag z

powodu tego, co się wyrabia. Bo są z tego wesołego, liberalnego, zdystansowanego wobec wszystkiego świata i mniej bym się zdziwił, gdyby popukali się w głowę na widok mojego wpisu, niż kiedy go lajkują.

Więc kiedy mówię tym wszystkim z lewa i prawa, co tak się kochają nienawidzić: „Mam

was głęboko w dupie”, to pocieszam się, że nie jestem z tym w Polsce kompletnie sam.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2013/14.

**Polskie jabłka**



Naprawdę nie chciałem pisać o sędzim  
Tulei. Od momentu, kiedy padło z jego  
ust

porównanie działań CBA do metod  
stalinowskich, było jasne jak słońce, że  
oto jedna

Polska ma swego nowego bohatera na  
miarę samego księdza Bonieckiego, a ta  
druga

kolejnego wroga na usługach  
łotrowskiej władzy. Nadwiślański  
klasyk. Pierwsi nie

zapytają, czy jednak sędzia Tuleya nie  
przesadził nieco ze swą radykalną,  
publicystyczną swadą na sali sądowej,

drudzy nie zastanowią się ani przez moment, że może działania i metody CBA były co najmniej dyskusyjne. Po co, skoro mamy tak cudny pretekst do kolejnego kopania się po krocach.

Teraz doszła matka sędziego, Lucyna Tuleya, która za PRL pracowała najpierw

w milicji, a potem przez 17 lat, niemal do samego końca komuny, w Służbie

Bezpieczeństwa. Informacje odnalezione w archiwach IPN podał Cezary Gmyz. Waldemar

Kumór zarzucił mu w „Gazecie

Wyborczej” metody stalinowskie,  
Tomasz Lis

w NaTemat – bolszewickie. „Nasza  
prawica ma bolszewicką mentalność –  
pisze Lis. – To

bolszewicy grzebali ludziom w  
życiorysach, szukając genetycznie  
skażonych przodków.

Szkoda, że 45 lat po marcu 1968 ta  
bolszewicka praktyka wciąż ma się  
dobrze”. A Kumór

dodaje: „Wydawałoby się, że to  
oczywiste, że nie jest tak, iż wina ojca  
idzie w syna. Dla Gmyza, tak jak dla  
stalinistów, jednak nie. Wstyd”.

Parę miesięcy temu ukazał się w „Newsweeku” reportaż Cezarego Łazarewicza o ojcu

braci Kaczyńskich, Rajmundzie. O jego życiu w PRL, charakterze, niełatwych relacjach

z żoną i synami. Pamiętajcie, co się działo? Prawica zawyła, że mamy do czynienia

z kolejnym produktem przemysłu pogardy, nienawiści czy jak oni tę gałąź gospodarki

definiują. Łazarewicza spostponowali, nominując do tytułu hieny roku. Po wywiadzie dla

„Newsweeka” z Krzysztofem Skowrońskim, szefem Stowarzyszenia Dziennikarzy

Polskich, przyznającego hieny, w którym krytykowałem pomysł z antynagrodą dla

Łazarewicza, zareagował Piotr Zaremba. W tekście „To Skowroński powinien

przesłuchiwać Mellera. W sprawie jego współpracy z »Newsweekiem«, który przekroczył

wszelkie granice dziennikarskiej etyki” pisał: „Cezary Łazarewicz zajął się za to życiem prywatnym nieżyjącego człowieka, który postacią publiczną

nigdy nie był. Chciał poprzez ojca ugodzić w synów. Trudno sobie wyobrazić coś obrzydliwszego”.

No to jak jest? Raz wolno, kiedy indziej nie? Może faktycznie nikt nie ma moralnego

prawa pisać o ojcu ważnych polityków, który sam był prywatną osobą? A może to, jaki

miał wpływ na synów, miało znaczenia dla ich działalności, charakteru, sposobu

rozumowania, a więc i dla sytuacji nas wszystkich?

A co z Lechem Wałęsą, który, gdy

dowiedział się, że dziadek jego  
lustracyjnego

biografa, Sławomira Cenckiewicza, był  
ubekiem, napisał: „Niedaleko pada  
jabłko od

jabłoni. (...) Całkiem możliwe, że  
paranoja polityczna u wnuka jest  
dziedziczna (...).

Cenckiewicz jako współczesny Ubolek z  
IPN potrafi patrzeć oczami bezpieki,  
potrafi, bo ma to w genach po dziadku”.

No dobrze, powie ktoś, Jarosław  
Kaczyński to najważniejszy polityk w  
Polsce,

świadomie poddający się osądowi publicznemu, a Igor Tuleya to tylko sędzia wykonujący

swoją pracę. Ale czy sędzia wydający wyrok w niesłuchanie gorącej społecznie

i kontrowersyjnej politycznie sprawie, który używa bardzo wyrazistego języka, w tejże

polityce osadzonego, jest tylko osobą prywatną? Charakter Rajmunda Kaczyńskiego mógł

mieć wpływ na jego synów, a matka w SB, w departamencie zajmującym się inwigilacją



demokratycznej opozycji, nie ma  
żadnego znaczenia w przypadku  
sędziego, który orzekał

w sprawach lustracyjnych i wygłasza  
śmiałe porównania służb, było nie było,

demokratycznego państwa do  
najbardziej zbrodniczych  
zwyrodnialców?

Może i nie ma to znaczenia. Może młody  
Igor Tuleya nie wiedział, gdzie pracuje  
matka,

może jako licealista buntował się i  
wspierał podziemną Solidarność, może  
miał to gdzieś i interesował się tylko  
thrash metalem, a może uważał, że

Jaruzelski jest za miękki, paru antykomunistycznych wichrzycieli warto by postawić pod ścianą, i pytał matkę, dlaczego jest taka łagodna dla tych Michników i Kuroniów? Nie wiem, sędzia mówić o tym nie chce, czy w związku z tym zastanawianie się nad uwikłaniami rodzinnymi jest

stalinizmem w praktyce? Swoją drogą ojciec Jaruzelskiego gonił w 1920 roku bolszewików z Polski, dziadek był powstańcem styczniowym, a on sam wybrał dokładnie przeciwną drogę. Nie ma żadnych reguł, ale czy to oznacza, że temat nie istnieje?

Warto by porozmawiać, ale oczywiście

żadnej dyskusji nie będzie, bo przecież chodzi

tylko o to, by udowodnić, iż przeciwnik to szuja, swołocz i szmata.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2013/4.

# Pozywanka

Dziewięćdziesięciu pasażerów słynnego lotu kapitana Wrony złożyło w Chicago pozew

do sądu w sprawie feralnego, a raczej szczęśliwego lądowania. Chcą odszkodowania za

urazy fizyczne i psychiczne. Ich prawnicy przekonują, że pasażerowie do dziś

doświadczają stresu pourazowego i boją się latać.

To ja poproszę o namiar do tej

kancelarii, bo właśnie zdałem sobie sprawę, że moje życie jest jednym wielkim splotem stresów pourazowych i krzywd poniesionych. Prawie jak w wypadku tego włamywacza, co chciał okraść willę, ale idąc po dachu, nie zauważył

w nim otwartego okna, spadł, coś tam sobie złamał i pozywał – już nie pamiętam –

właścicieli domu albo producenta okien, albo wszystkich naraz. Podoba mi się takie

podejście.

A więc po kolei i od końca. Grono mych

znajomych uwielbia spotykać się co jakiś czas,

by wspólnie oglądać epickie dzieła PRL-owskiej kinematografii w rodzaju *Klątwy doliny węży*, *Wilczycy* czy *Thais*. Które to pozycje serdecznie polecam młodszym czytelnikom.

Jeśli myślicie, że nie da się zrobić niczego gorszego od dzisiejszych polskich komedii romantycznych, to rozumiecie, że jesteście patetycznymi pesymistami. Otóż da się, a dowodem wspomniane przeze mnie dzieła. Coś pięknego. Ale ostatnim razem ktoś nie

dowiózł płyty i zdani byliśmy na zapasy domowe, a tam wdzięczyła się, wypluta

z jakiejś gazety *Bitwa warszawska*.  
Tośmy obejrżeli. Chichocząc  
ekstacyjnie, jakbyśmy wypalili  
ulubioną karmę Ramony, suczki Kory.

Ale teraz, gdy łzy śmiechu już dawno  
otarte, a przykład zaoceaniczny bije po  
oczach,

dochodzę do wniosku, że kogoś  
powiniennem podać do sądu. Żeby z  
jedyne go wielkiego

polskiego tryumfu militarnego w  
ostatnich kilkuset latach zrobić takie  
jaja, no to

naprawdę serca i sumienia trzeba nie  
mieć. Więc mam stres pourazowy i boję

się pójść do kina na jakikolwiek polski film historyczny.

Posła Niesiołowskiego w sumie też bym pozwał, bo za każdym razem, jak pluje

w kamerę, to ja przed telewizorem odruchowo się uchylam, jakichś takich boleści w karku doznałem i lęklivość mnie ogarnia, gdy w programie mówią o polityce i istnieje zagrożenie, że Stefan może się pojawić.

Zuckerberga, o tak, zdecydowanie pozwać trzeba za monstrualną kradzież czasu na

tym jego cholernym fejsie. Choć jeżeli potwierdzą się moje prywatne badania,



że internet jako taki jest wynalazkiem szatana, wtedy Zuckerberg może odpowiadać jedynie za pomoc w narażeniu mnie na straty.

Producentów „Michałków” i ciemnych truflి Wawela, ptasiego mleczka Wedla,

pomarańczowej czekolady Lindta, krówek Krakowskiego Kredensu – wszyscy oni winni są

memu niekończącemu się stresowi, który polega na tym, że wsuwam opakowanie każdego

z tych produktów na raz i – co wywołuje we mnie uraz – nie chudnę, a nawet wręcz

przeciwnie. A od rozpoczęcia pisania tego felietonu wciągnąłem już sześć trufelków i to jest sprawa kryminalna, że one tak smakują. To powinno być zabronione, a przynajmniej powinienem dostać odszkodowanie za straty moralne.

Będę pozywać każdą knajpę, w której kelner podejdzie do mnie z czymś na kształt

bazooki i zapyta, czy życzę sobie świeżo zmielonego pieprzu, a potem 30 razy zapyta, czy mi smakowało.

Taty już nie pozwę, gdyż nie żyje, ale za to, że w podstawówce nie pozwalał mi czytać

po nocach, w związku z czym *Hrabiego Monte Christo* w dużej mierze przyswoiłem po raz pierwszy pod kołdrą przy świetle latarki i zepsułem sobie nieco wzrok. O tak, to sprawa zdecydowanie do sądu. Podobnie jak zmuszanie do wynoszenia śmieci i – o zgrozo! – odśnieżania chodnika przed domem. Toż to przecież zatraća o niewolniczą pracę dzieci i ja ten krzyż, tę łopatę śnieżną nieść muszę całe życie i jak widzę śnieg, to mam dreszcze i stany lękowe. Tylko nie bardzo mam dzisiaj kogo do sądu za to podać.

Twórców *Skyfall* pozwałbym za to, że po raz pierwszy w życiu nudziłem się na Bondzie i mam teraz stracha, co będzie

dalej i musiałem się wykosztować natychmiast w sklepie na parę starszych Bondów, by odegrać tę traumę niekończącej się gadaniny bez napięcia, bez emocji.

Opowiadał przyjaciel, taki z tych płodniejszych w znaczeniu zupełnie podstawowym,

anegdotę śliczną. Jak ci pierwsze dziecko połknie monetę, zasuwasz z nim do szpitala. Jak uczyni to drugie, czekasz, aż wydali. A jak trzecie, to potrącasz mu z przyszłego kieszonkowego. W dzisiejszych czasach rozważyłbym podanie gnojka do sądu.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w

„Newsweeku” 2012/45.

## **Jak dogodzić kobiecie?**

Z góry przepraszam, jeśli zawiodę oczekiwania czytelników liczących pod wpływem

tytułu na porady z dziedziny akrobatyki alkowianej. W sumie mają państwo prawo być

zawiedzeni. Wszak studiując pisma kobiece, można dojść do wniosku, że współczesnemu

mężczyźnie i w tej dziedzinie zawieszono poprzeczkę ponad Everestem. Powinien łączyć

w sobie siłę Pudziana, zwinność  
gimnastyka sportowego, wytrwałość  
mrówki, no i parę

sztuczek Davida Copperfielda by nie  
zaszkodziło. Ale żeby tylko to.

Wszyscy mówią o Kongresie Kobiet,  
sytuacji kobiet, równouprawnieniu  
kobiet, pensjach

kobiet, awansie kobiet, i w tych  
litaniach mężczyźni występują jako  
zazwyczaj wraże,

a panujące tło. No, ja przepraszam  
bardzo. Zastanówcie się tylko, drogie  
panie, czy

chciałybyście dzisiaj być facetem. O pierwszym problemie już wspomniałem. Jak przecież normalnie zbudowany mężczyzna i o zwyczajnych predyspozycjach atletycznych weźmie do ręki takie „Cosmo”, to musi popaść w otchłań przerażenia. Trzysta sposobów na

doprowadzenie jej do orgazmu? Jak to zrobić na huśtawce, czytając Dantego w oryginale

i szykując jej śniadanie po tajsku? Może one naprawdę tego wszystkiego oczekują? Strach się bać.

Pooglądasz sobie, chłopie, programy dla kobiet, seriale dla kobiet, zajrzysz do

książek do nich skierowanych i co ci wychodzi? Masz, chłopie, być męski, ale jednocześnie wrażliwy. Najlepiej tak wrażliwy jak filmowy przyjaciel geja głównej bohaterki, który

zawsze zrozumie, pocieszy, utuli. Masz być empatyczny, wyrozumiały, partnerski, ale

jesteś facetem, więc wniesienie gdańskiej szafy trzydrzwiowej na czwarte piętro to

powinna być dla ciebie betka, żart i czysta radość. Twe męskie ramię ma być czasem jak stal, a niekiedy jak atłasowa poduszcza.



Zarób na rodzinę, w końcu jesteś mężczyzną, patrz na pokolenia samców przed tobą, ale

radź sobie perłowo, gdy cię zwolnią z pracy, nie załamuj się, wszak to takie niemęskie, żadna baba nie chce mieć w domu mazgaja, no, chyba że akurat oglądacie brytyjskie komedie romantyczne. Więc zarabiaj, ale przecież nie będziesz robić problemu, jeśli ona zarabia więcej. Zniesiesz to godnie, a jak nie, to co z ciebie za nowoczesny facet.

Dbaj o dzieci, miej dla nich czas, bądź odpowiedzialnym ojcem, ale jednocześnie

kumplem swych pociech, przecież żyjemy w XXI wieku. Więc władza, ale bez przesady,

autorytet, lecz bez nadmiaru. Pilnuj, co latorośle robią ze swymi komputerami, jakie

strony odwiedzają, a gdy one znajdują się lepiej na technologiach i nie potrafisz niczego sprawdzić, no właśnie, co wtedy, masz poprosić własne dzieci o pomoc, jak je kontrolować i wychowywać, no bardzo proszę, nie zadawaj takich głupich pytań, jesteś w końcu mężczyzną!

Dbaj o siebie! Wiadomo, nie musisz od razu przypominać Brada Pitta, ale świat

idzie

naprzód, mężczyźni troszczą się o swój wygląd, urodę i ubrania. No jasne, nie spędzaj

więcej czasu przed lustrem niż twoja kobieta, ale przecież chyba nie chcesz wyglądać jak panowie z kronik filmowych z lat 80. ubiegłego wieku. Nie możesz być zniewieściały, wymuskany, ale prząsny i byle jaki też nie możesz. A jaki masz być? Sam sobie

odpowiedz, w końcu jesteś mężczyzną. No i dbaj o zdrowie, ale nie bądź hipochondrykiem.

Troszcz się o przyszłość, ale nie dziel

lękami.

Zrozum, że najwyższą formą męskości jest zrozumienie dla walki kobiet o swe miejsce

w życiu, twoje zaś zastanawianie się nad własną rolą w zmieniającym się świecie to

niemęskie kwękolenie. Nie oceniaj kobiet po wyglądzie, teraz jest ich czas rekompensaty, one mogą sobie taksować ciacha i mięska.

Więc bądź tak fajnie męski, ale nie w złym pojmowaniu męski, władczy dokładnie

wtedy, kiedy kobieta tego potrzebuje, i  
broń Boże w momencie, gdy ona uznać  
to może za chęć prostackiej dominacji.  
Masz być w sam raz, idealnie skrojony,  
nigdy nie zadawać pytań, bo sam  
powinieneś wiedzieć lepiej, jaki masz  
być, w końcu chcesz być  
nowoczesnym mężczyzną.

Więc ja się, drogie panie, pytam: nadal  
uważacie, że dzisiejsi faceci mają tak  
słodko?

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Newsweeku” 2012/39.

# Nieistotne

Na jakikolwiek temat by dyskutowano, w którymś momencie ktoś zawsze użyje

argumentu: „Ale może byśmy porozmawiali o sprawach naprawdę istotnych”.

No, powiedzmy, że z wyjątkiem sporu o emerytury, bo nawet jeśli wydaje się

śmiertelnie nudny, to nikt rozsądny nie zaprzeczy, że akurat ten temat pieruńsko istotny jest, howgh.

No dobrze, ale poza emeryturami, co jest istotne, a co nie? Zacznijmy od

przykładu

skrajnego, symbolu tego, co absolutnie nieistotne, a co od tygodni zaprzęta uwagę

wszystkich, przed czym żadnym sposobem uciec się nie da, chyba że Adamowi Wajrakowi

w białowieskiej głuszy, i to jak się nakryje dwoma żubrami. A więc Madzia z Sosnowca,

która rzuciła jakieś upiorne zaklęcie na pół kraju. Łatwo się pastwić nad kontrastem

między skalą tej fascynacji i choćby

kompletnym brakiem zainteresowania rzezią w Syrii.

Ale iluś tam ludzi nie tylko włącza telewizor, by usłyszeć, co nowego w sprawie, lecz także wydaje pieniądze na gazety, które ciągną makabreskę na pierwszych stronach, i widać w badaniach wyraźną różnicę sprzedaży numerów z Madzią i bez niej. Czyli dla nich to

sprawa istotna. Sam się łapię, że trzy razy sprawdzam, jak zawinałem synka w kocyk,

pięć razy patrzę na przechodzony próg, czyli co, dla mnie też jest to sprawa istotna?



Z roku 1997 nie pamiętam prawie nic.  
OK, po chwili zastanowienia  
przypominam sobie,

że wybory wygrała AWS (ktoś kojarzy,  
co to było?) wraz z Unią Wolności  
(dowcipy

o Mumii Wolności uruchamiają jakieś  
łącza w mózgu?), ale tak naprawdę  
pamiętam noc,

gdy wracaliśmy z przyjaciółmi z nad  
morza do Warszawy i szukając drogi w  
Gdyni,

usłyszeliśmy w radiu o śmierci Lady  
Diany. Jak dziś pamiętam piorunujące  
wrażenie,

kompletnie zapomniałem o pilnowaniu drogi, lądując wśród jakichś portowych magazynów. Dlaczego? Przecież ta śmierć tak naprawdę nie miała żadnego znaczenia. Ale

może skoro nas walnęła, skoro ją tak dobrze pamiętam po 15 latach, jednak istotna była.

Czytałem ostatnio ciekawy wywiad z twórcą świetnego serialu *Mad Men*. Reżyser mówił, że rekonstruując świat lat 60., bazowano na ówczesnych gazetach, a nie podręcznikach historii. Bowiem to, co dzisiaj uchodzi za przełomowe, istotne wydarzenia, ponad 40 lat temu było często notkami na

dalekich stronach. I na odwrót.

Wracając do dyskusji terażniejszych, weźmy pierwszy z brzegu temat: in vitro i jego

refinansowanie – a raczej brak tegoż – przez państwo. „Są istotniejsze sprawy

i ważniejsze wydatki” – można często gęsto usłyszeć, o ile ktoś w ogóle procedury nie chce zakazać i za nią karać. No pewnie dla emeryta, rodziców piątki dzieci – niech im słońce zawsze świeci – nie jest to najistotniejsze, ale dla setek tysięcy par, które pragną, a nie mogą mieć w naturalny sposób dzieci i dla których kilkanaście tysięcy złotych to fortuna, na którą muszą się zadłużyć,

często na długie lata, więc dla tych rzesz spragnionych miłości ludzi to sprawa najistotniejsza na świecie. A i dla państwa, w którym

dramatycznie spada przyrost naturalny, chyba również.

Ale spójrzmy na problem bardziej błahy: marihuana i związane z nią kwestie karania

lub legalizacji. Dla kogoś, kto trawy nigdy nie palił albo spróbował i mu się nie spodobało, dla człowieka, który a priori jest przeciwko wszelkim narkotykom (ale wódkę pije, bo to nasze polskie, odwieczne) i wydaje mu się, że od blanta droga prowadzi prosto do

śmierci w drgawkach i wymiocinach,  
problem marihuany jest nieistotny.

Z kolei dla kogoś, kto trawę ceni jako  
najsympatyczniejszą z używek,  
nastrajającą

przyjaźnie do świata, perspektywa  
wsadzania za nią do więzień, aresztów,

przeprowadzania policyjnych  
przeszukań jest jakimś horrendum i  
sprawa legalizacji,

a przynajmniej niekarania jest istotna po  
stokroć.

Więc kiedy słyszę frazę „Jezu, ci to już  
naprawdę nie mają czym się zajmować!”

(w tym

z własnych ust), staram się przynajmniej o krótki błysk refleksji, czy to, o czym mówimy, tak nieistotne jest. Ostatnie El Clasico (starcie Realu Madryt z FC Barceloną) obejrzałem z kolegą adwokatem, który wskutek poważnych błędów wychowawczych jest zagorzałym kibicem Realu. Idę o zakład, że zwycięstwo na Camp Nou było dla niego sto razy

istotniejsze niż wszystkie sprawy kancelarii z ostatniego półrocza.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2012/19.

# Pod pomnikiem z Mazurkiem

Robert Mazurek, zjadliwo-kaśliwe  
pióro prawicowej publicystyki,  
wywołał burzę

artykułem w „Rzeczpospolitej” *Więcej  
nie pójdę przed pałac*. Nie tym, iż  
podkreśla, jak wiele razy wcześniej, że  
woli „z babcią spod krzyża zgubić niż z  
mądralą z TVN znaleźć”.

Nie tym, że krytykuje władzę za brak  
klasy w traktowaniu Smoleńska („i jest  
to

określenie najdelikatniejsze”).

Lawinę komentarzy wywołało tłumaczenie autora, dlaczego tym razem nie zdzierzył.

A nie wytrzymał, bo zamiast na wieczór pamięci ofiar katastrofy trafił na wiec wyborczy PiS połączony ze spotkaniem promocyjnym „Gazety Polskiej”, którego uczestnicy trzymali plakaty z szubienicami i głowami zdrajców w ruskich czapkach. Mało było o ofiarach, za to sporo skandowania „Jarosław! Jarosław!” i mowy o upadających stocznicach, drożyznie i niepolskiej polityce zagranicznej.

Prawicowi czytelnicy zarzucili Mazurkowi w najlepszym razie



naiwność

i pięknoduchostwo. Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy: bez obalenia tej władzy

prawdziwe śledztwo nie zostanie nigdy zamknięte, stąd też czczenie rocznicy 10 kwietnia musi mieć charakter stricte polityczny. W wariancie ostrzejszym internauci sugerowali mu przejście do „organu Maleszki”, tchórzostwo, poddanie się i – cóż za zaskoczenie – zdradę.

Zanim napiszę, co poniżej, muszę podkreślić, że nie wierzę w zamach. Uważam, że

prezydencki tupolew pod żadnym pozorem nie powinien był lądować w Smoleńsku

w warunkach, jakie panowały 10 kwietnia, że obsługa wieży ostrzegała, iż nie ma do tego warunków, choć potem co chwila zmieniała zdanie, że 96 osób padło ofiarą polskiego bajzlu, rosyjskiego bardaku i presji sytuacji rocznicowo-politycznej.

Zdaję sobie też sprawę, że po tym, cośmy przeżyli przez ostatnie dwa lata, na pytanie, jakie pada często w mych przyjacielskich rozmowach: „Ile jeszcze potrwa ta szalona zimna wojna domowa?”, nie ma dobrej odpowiedzi.

A raczej może są odpowiedzi złe. 10

lat? 20? 50? Atatürk, twórca świeckiej Turcji, zmarł ponad 70 lat temu, ale linie podziałów religijno-ideowych nadal kroją na pół kraj nad Bosforem.

Wędrując po południu Stanów Zjednoczonych, można czasem pomyśleć, że wojna secesyjna skończyła się wczoraj, a nie

150 lat temu.

Erupcjami radykalizmu po stronie „smoleńskiej” niech się zajmą publicyści tamtego

obozu, jak choćby Robert Mazurek (byłbym zachwycony, gdyby ktoś tam

odważył się

powiedzieć „stop” nurzaniu w błocie Lecha Wałęsy), ja pozwolę sobie powiedzieć parę słów jako samozwańczy reprezentant tej drugiej Polski. Bo dyskusja na poziomie „a u was biją Murzynów!” jest w tym momencie już kompletnie bez sensu. Zgadzam się ze słowami Włodzimierza Cimoszewicza, że ta władza potraktowała katastrofę prezydenckiego samolotu trochę jak włamanie do garażu na Pradze. Że zlekceważyła zarówno wagę

historyczną tragedii, jak i swe powinności w egzekwowaniu

zobowiązań państwa

polskiego, choćby w kontaktach ze  
wschodnim sąsiadem po katastrofie. Że,  
co gorsza,

pozwoliła na „palikotyzację” swego  
przekazu, czyli pełen pogardy, cyniczny  
rehot

z obolałej wrażliwości jednej trzeciej  
narodu.

Pisałem to już wiele miesięcy temu na  
Facebooku, powtórzę jeszcze raz: w  
centrum

Warszawy, w prestiżowym miejscu  
powinien stanąć pomnik Lecha

Kaczyńskiego,

najlepiej z panią Marią. Nie głosowałem na niego, nie głosowałbym w kolejnych wyborach, ale był wielkim polskim patriotą, kierującym się najlepiej przez siebie pojmowanym interesem ojczyzny, zginął na posterunku, wypełniając misję państwa polskiego, a dla

milionów rodaków był, jest i będzie bohaterem narodowym.

Nie chcę używać zbyt mocnych słów, więc powiem tylko, że uważam co najmniej za

niegodną małostkowość próbę utracenia

budowy pomnika przez platformerskie  
władze

Warszawy pod pretekstem sondażowego  
sprzeciwu większości mieszkańców.

Być może

pomnik niczego nie zmieni w naszej  
niechęci i nienawiści. Jednak bez tego  
gestu, który –

podkreślę jeszcze raz – jest naszą  
powinnością, nie zmieni się na pewno  
nic.

Powiecie: i tak będą nas wyzywać od  
zdrajców i lemingów! Być może. Ale  
przynajmniej

będę mógł pójść razem z Robertem Mazurkiem i wspólnie złożyć kwiaty. I mam nadzieję,

że będzie nas znacznie więcej. Z obydwu stron. Od czegoś trzeba zacząć.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2012/17.

## **Zgoda, że niezgoda**

W słynnym, opublikowanym tuż po katastrofie smoleńskiej wierszu *Do Jarosława*

*Kaczyńskiego* pisał poeta Wolnych Polaków, że „to co nas podzieliło – to się już nie skleji”.



Z kolei wieloletni redaktor „Gazety Wyborczej”, tłumacząc powstanie po lewej stronie

Towarzystwa Dziennikarskiego, mówił, że w środowisku „nie da się już być wspólnie”,

mając na myśli prawicowych kolegów po fachu skupionych wokół Stowarzyszenia

Dziennikarzy Polskich.

Cytatem z Rymkiewicza posłużył się Przemysław Wipler, wolnorynkowy i otwarty na

świat poseł PiS, argumentując, dlaczego

rezygnuje z próby pisania ponad  
podziałami do

portalu [Natemat.pl](http://Natemat.pl) Tomasza Lisa. W  
niedawnym wywiadzie dla „Gazety  
Wyborczej”

Andrzej Mleczek mówił: „Przestałem  
już dyskutować z ludźmi, którzy mają  
inne poglądy

niż ja. Kiedyś to uwielbiałem. Lubiłem  
kłótnie polityczne, obyczajowe, a teraz  
się

zorientowałem, że to nie ma sensu. Teraz  
nie dyskutuje się, żeby dotrzeć do  
prawdy, ale żeby pokonać przeciwnika.  
Dzisiaj jak gdzieś idę, to sprawdzam,

czy nie będzie tam osób, z którymi mam diametralnie różne poglądy. Po co się denerwować?”.

Na ostatnie święta dostałem życzenia od kumpla, który uważa, że cierpię na syndrom

Tewje Mleczarza, czyli niepotrzebnie i po wielekroć zastanawiam się: „no, ale z drugiej strony...”. Konkretnie kolega sądzi, że zbyt często staram się wykazać zrozumienie dla Polski pisowskiej.

Napisał więc: „Życzę Ci, żeby od tych prób siedzenia na barykadzie nie obtarło Ci się krocze. U nas jest fajniej!”.

Z kolei pod wpływem wywiadu z Mleczką mój kolega, historyk

średniowiecza Piotr

Węcowski, wywołał burzliwą dyskusję na Facebooku, pisząc w poście m.in:

„Po raz

kolejny jakiś znajomy zbeształ mnie, że na FB ciągle sobie robię jaja, że żadnej powagi, żadnych głębszych komentarzy i uwag, tylko cały czas jakieś żarty słowne, sytuacyjne i w ogóle, zamiast napisać coś poważnie, podyskutować, włączyć się *etc.* Kiedyś

(zwłaszcza w szkole lub na studiach, ale i po studiach też) dyskutowałem, i to nie tylko podczas jakichś alkoholowych imprez. A teraz? Teraz zupełnie nie wierzę, że w dyskusji można kogoś

przekonać i uświadomić mu, że ja mam rację, a nie on (ona), albo żeby ktoś mnie przekonał. Niestety, każdy ma swoją rację i przekonać nikogo nie można. Dlatego nie dyskutuję (a nawet – chyba – nie rozmawiam) np. o Smoleńsku. Jedni wiedzą swoje,

inni – swoje. Żeby nie wiem jakich argumentów się używało i jakie informacje by się

przywoływało, każdy zostanie przy swoim i tylko dojdzie do mordobicia. Nie chodzi mi

oczywiście o ten konkretny przykład. Równie dobrze można »dyskutować« o ACTA,

parytetach lub o jakimś filmie. Każdy wie swoje, a dyskusja jest tylko po to, żeby wyrazić swoje poglądy, a nie żeby w wyniku starcia różnych opinii wyrobić sobie własne. A skoro tak, po co się denerwować, po co kłócić z kimś, kogo się lubi (a po czymś takim może by się lubiło mniej). Po co? I właśnie dlatego wolę na FB konwencję zabawową (nawet jeśli moje żarty nikogo nie śmieszają) niż poważną. Howgh”.

Kiedy spotykam się z przyjaciółmi ze studiów, wszystko jest dobrze, dopóki przerzucamy się dowcipami, prowadzimy abstrakcyjne wymiany

myśli, purnonsensowe

dialogi. Ale niech tylko zejdzie na coś poważniejszego! Ostatnio w rozmowie rzuciłem od niechcienia, że z dwóch nielubianych przeze mnie polityków od biedy wolę Iksa. No i się zaczęło! Czy ja wiem, co Iks wyczyniał wtedy i wtedy?! Za czym się opowiadał?! Tak, wiem, chłopaki, wyluzujcie, to wewnętrzna rozmowa watahy – że nawiążę do terminologii

*Kac Vegas* – a nie panel na uniwerku.

Ale rzecz już nie tylko w podziałach i wzajemnych inwektywach rzucanych na „pisiórow” i „lemingów”, „faszystów” i

„POjebów”. Żyjemy w jednym wielkim wirtualno—

realnym portalu społecznościowym, gdzie możemy grupować się w dowolnie formatowane

towarzystwa, które nas utwierdzają, że nasza racja jest najnaszejsza, a wszyscy inni to kretyni, zdrajcy, oszołomy i popaprańcy.

Tak więc dzisiaj spotkam się z kumplami, jak zawsze w tym składzie obejrzymy

*Braveheart*, a kto uważa, że film Mela Gibsona nie jest wielki, ten idiota.



Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2012/16.

# Odwyk

Zmiana pracy ma parę zalet. Na przykład długie albo bardzo długie wakacje.

Oczywiście, znam takich, którzy muszą z gałęzi na gałąź, pracoholizm w wersji hard ich zżera i gnają natychmiast podejmować nowe wyzwania. To nie ja.

Pomijam już, że wielce cenię lenistwo, nicnierobienie, zbijanie bąków, bezmyślne

leżenie na kanapie i zastanawianie się, czy obejrzeć mecz w trzeciej lidze mołdawskiej, telenowelę z Emiratów Arabskich, czy może po raz

siedemdziesiąty ósmy trzeci sezon *Małej Brytanii*. Albo siedzenie w knajpie na rogu i patrzenie na ludzi, odgadywanie, kim są, co ich właśnie rozbawiło lub wkurzyło.

No, a długie wakacje plus przerwa w „Drugim śniadaniu mistrzów” w TVN24

oznaczają, że mogę odłączyć się kompletnie od polskiej sceny i – *excusez le mot* – debaty publicznej. Dostaję SMS, żebym skomentował pozew Giertycha w sprawie Tuska. Ale że co? Ktoś znowu nazwał kogoś debilem, zdrajcą, a ja mogę zająć się na swoim odwyku

naprawdę interesującymi sprawami.

Na przykład starymi ludźmi za granicą.  
Weźmy taki Stambuł. Specjalnie  
przytaczam

przykład turecki, żeby nie było, że  
próbuję porównywać Polskę do  
najbardziej

rozwiniętych krajów Zachodu, co  
wypaczy argumentację. A więc za  
każdym razem, gdy

jestem nad Bosforem, urzeka mnie liczba  
siwiutkich pań i panów, którzy siedzą po

kawiarniach, piją kawę lub herbatę,  
sączą raki – ichnią anyżówkę, według  
mnie

szlachetniejszą od greckiego ouzo czy francuskiego pastisu, bo bez tego słodkawego

posmaku – cieszą się życiem i rozmową.

Widzieliście gdzieś w Polsce, może poza kawiarnią Czytelnika, lokal pełen emerytów,

którzy na emeryturę przeszli już dawno temu? I nie chodzi mi o kluby seniora czy

uniwersytety trzeciego wieku, lecz o normalną przestrzeń publiczną, gdzie starzy ludzie są jej pełnoprawnymi uczestnikami, a nie jakimiś niechcianymi dziwadłami, ruchomymi

przypominaczami o śmierci. Kilka lat temu Igor Zalewski postawił w felietonie tezę, że w Polsce dyskryminowaną mniejszością tak naprawdę nie są homoseksualiści, kolorowi czy feministki, lecz ludzie starsi. Spojrzenie wyostrzone, ale coś jest na rzeczy.

A potem się zastanawiam, czy przesadza mój przyjaciel pół-Włoch, że kryzys kryzysem,

ale oni i tak będą mieli swoje wino, oliwę i architekturę, więc i żyć łatwiej. Te rozmyślania przerywa mi SMS w sprawie tego, co Jarosław powiedział albo nie powiedział, co na pewno jest

niesłuchanie istotne i na pewno można o tym dyskutować do białego rana, ale mnie bardziej ciekawi – bo właśnie zobaczyłem zdjęcie Jennifer Aniston w chorwackiej gazecie – czy w końcu, do jasnej cholery, *Przyjaciele* się zejdą na choćby jeden, więcej nie wymagam, odcinek. Czy będę mógł znów nacieszyć się chwilą serialu, który w mojej skromnej komórcie rodzinnej odgrywa niezwykle istotną rolę terapeutyczną. Syf w pracy?

Nie ma kasy? Kumpel olał? To zobaczmy odcinek, w którym wszyscy kończą trzydziestkę.

Dlaczego nie zechcą się zejść na ten

jeden, jedyny raz? W czasie szczytów popularności

„Friendsi” rywalizowali z *Kronikami Seinfelda* o komediową palmę pierwszeństwa. I ta druga ekipa, co prawda w pokręcony sposób, spotkała się na planie *Phamuj entuzjizm* Larry’ego Davida, współtwórcy *Seinfelda*. No to może Chandler Bing jeszcze raz swym sarkazmem popieści mą duszę?

Kolejny ważki problem, który nie daje mi spokoju na odwyku, mój następny postulat do

popkultury, to chęć dowiedzenia się, co w zasadzie Bill Murray powiedział



## Scarlett

Johansson pod koniec zjawiskowego *Między słowami*. Pamiętacie ten moment, kiedy film już się kończy i wiadomo, że przeznaczeni sobie nie mogą być ze sobą, i rozmawiają na tokijskiej ulicy ostatni raz, i on coś szepcze jej do ucha, i niesamowite piękno tej sceny polega na tym, że nie słyszymy tego, co mówi, i od lat zżera mnie ciekawość, i może państwo mają jakiś pomysł.

Ale może gdybym się dowiedział, przeżyłbym rozczarowanie, tak jak wtedy, kiedy

zobaczyłem wersję reżyserską *Kina*

*Paradiso*. W tym filmie też przeznaczona sobie para rozdziela się wskutek splotu losu, ale pod napisami końcowymi wersji kinowej widać bohaterkę starszą o lata. A ja przez lata zastanawiałem się, o co chodzi, czy to jakieś puszczanie oka do widza przez Giuseppego Tornatore, sugestia, że bohaterowie spotkają się po latach? No i, kurczę, się dowiedziałem, bo w którymś momencie pojawiła się na

DVD wersja reżyserska. Zgroza.

Niewiarygodne, jak uleciała gdzieś cała poezja i bolesna wręcz nostalgia wersji kinowej, czyli producenckiej. Może więc niech Sofia Coppola nigdy nie wyjaśnia, co Bill powiedział Scarlett.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2012/37.

**From Korea with Love**

**Od: Min Hee Hee**

Do: Min Hyuk Hyuk

Subject: *Poland is fantastic!*

Stary! W sumie to fajnie, że jak kupowałem bilety, to pomyliłem Holland z Poland. Co

prawda tu nie mają coffee shopów, ale i tak jarają wszyscy, a podobno ostatnio jakoś

poluzowali z prawem, bo mafia przekupiła kogoś w rządzie. Więc jest

prawie jak na Goi, kiedy byliśmy w zeszłym roku. Tylko dziewczyny bardziej bezpośrednio.

W szkole byłeś lepszy z historii, więc weź ty mi powiedz: czy ich też okupowali

Japończycy? Turcy na pewno. Tak kombinuję, bo danie narodowe biedaków to kebab,

a zamożnych sushi. Bogatsi jeszcze jedzą coś dziwnego, co się nazywa „jadło”. Jest

wszędzie, może ty wiesz, o co chodzi, jest „jadło chłopskie”, „jadło polskie”, „jadło

swojskie”, „jadło wiejskie” i podają to w takich śmiesznych drewnianych domach.

Sprawdzę i dam znać. A, à propos Turcji, to tu też mają takich Kurdów. Jedni twierdzą, że to naród, a drudzy, że żaden naród, bo prawo mówi, że nie ma takiego narodu. Nie pamiętam, jak się nazywają. Chyba Ruch Chorzów, możesz sprawdzić.

Dziwna sprawa jest z samochodami. Wydawało mi się, że na całym świecie ludzie jarają

się mercedesami i o nich marzą. A tu jak złapię taksówkę, takiego nowego merola,

i zapytam kierowcę, jak leci, ten odpowiada: „do dupy, panie, do dupy”. Znaczący, że jeżdżą nimi ci, którym najgorzej się powodzi. Ale czego chcą? Naszych hyundaiów? A może chodzi o to – ktoś mi tłumaczył, ale nie do końca zrozumiałem – że tu Niemcy się kryją, przebierają czy chowają w kopalniach. Wiesz, tych od węgla. A propos: co to jest przemysł

pogardy? To jakaś chyba szczególnie ważna tutaj gałąź gospodarki, ale człowiek, który mi o niej mówił, nie bardzo potrafił to wyjaśnić. Ciekawe też, że jak chciał kogoś nazwać bardzo nieładnie, to mówił „młody, wykształcony z wielkiego miasta”. Ma

to chyba jakiś związek z pracą w tym przemyśle pogardy. Ten, z którym rozmawiałem, wyglądał na inżyniera.

Twoja siostra Sun – pozdrów ją serdecznie! – byłaby zachwycona tym krajem, ona tak

kocha wiersze. Czy ty sobie wyobrażasz, że tu wszystkie serwisy informacyjne były dzisiaj o poezji? Bo niedawno odbył się wieczór autorski jakiegoś znanego człowieka, a on tam deklamował nieżyjącego poetę. Przyszły tysiące miłośników literatury, którzy oddawali

recytującemu cześć, machając pięknie flagami, i teraz wszyscy analizują wiersz



i jego

interpretację. Nie ściemnam!

Oprócz poetów najpopularniejsi są dwaj goście: jeden słynie z polowania na krokodyle

i nazywa się Forfiter (to chyba znany podróżnik, bo tu krokodyli nie mają, ale podobno w rzekach pływają wieloryby), a drugi nazywa się Aleurwał i jest mistrzem w takiej tutejszej odmianie ni to curlingu, ni to wyścigów samochodowych. Generalnie chodzi o to, że zjeżdża się samochodami w mieście po lodzie i wali w inne samochody. Nie kapuję dokładnie reguł, ale jest to megapopularne, a Aleurwał to

sędziuje czy komentuje.

W telewizji prawie jak u nas: tańczą i śpiewają, ale lubią też filmować i pokazywać

commentarze. Mają chyba taką własną całoroczną odmianę Halloween. Ale u nas się fajniej

biją w parlamencie, bo tu tylko raz widziałem, jak jacyś posłowie skakali przez barierki na policjantów czy na odwrót.

Jak przeczytałem w necie, że nasz Gangwon przegrał z Ulsanem 0:1, to pomyślałem, że

chciałbym wprowadzić u nas jeden zwyczaj Polaków. Tutaj jak piłkarz się leni, to ty jako kibic możesz pójść do szatni i dać mu w ryja. Ochrona cię puszcza do lesera i potem grzecznie odprowadza na dwór, żebyś się nie zgubił w korytarzu. Powiem ci, że nabrałem za to dla nich niesamowitego szacunku. Widać, że dla tych ludzi honor to nie tylko puste słowa! A poza tym to się ekonomicznie opłaca, bo w nagrodę dostali organizację Euro.

Klasa, co?

Zanim tu przyjechałem, nie miałem pojęcia, że chyba z połowa słynnych ludzi na świecie ma polskie korzenie. Za

to połowa słynnych ludzi w Polsce to Żydzi. Nie rozumiem tego do końca, ale przyznasz, że to ciekawe. Tak jakby podmiana jakaś czy co?

Pytałeś, jak mnie tu traktują. Są przemili, naprawdę. Pomagają, nieraz w domu

ugościli, uśmiechają się, są cudowni, a dziewczyny takie piękne i seksowne!

Tylko na

siebie czasem patrzą tak jak nasz dziadek na japońskich turystów.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/16.

# Sen o Warszawie

Ja to już nie wiem, może naprawdę u tej  
Madonny w dziale PR siedzi jakiś

zakonspirowany palikociarz i przed  
koncertami w Polsce kombinuje, jaki by  
tu skandal

machnąć. Najpierw inwazja na lotnisko  
Bemowo w ważne święto maryjne i  
zarazem

rocznicę cudu nad Wisłą, teraz ma być  
taneczne umpa-umpa 1 sierpnia, równo  
68 lat po

wybuchu powstania warszawskiego.

Pewnie znowu ktoś zaprotestuje, media się pożywią, ci, którzy chcą, uczczą pamięć

bohatersko-straceńczego zrywu, inni pójną oglądać przebrzmiałą nieco skandalistkę. Może trochę wyłazi ze mnie konserwa, bo perspektywa dudnienia rozlewającego się po mieście wieczorem 1 sierpnia jakoś nie wprawia mnie w stan ekstazy, ale cóż robić w naszym

patchworkowym świecie? Ja wolałbym 1 sierpnia bez Madonny, komuś innemu

przeszkadzała 15, ktoś nie będzie sobie życzył występu niemieckiej kapeli 1 września,

a wielu jakikolwiek koncert 10 kwietnia, z wyjątkiem żałobnego, uznają za profanację. Żeby nie było: mój przyjaciel Max Łubieński urodził się 1 sierpnia. Nie jego wina.

Jeżeli już, pretensje o tajming może zgłaszać do sprawcy, wybitnego eseisty

i dramaturga Tomasza Łubieńskiego, skądinąd surowego krytyka powstania i jego mitu.

I nie raz, i nie dwa, zaraz po godzinie „W” szedłem zapalić znicz powstańcom, by później dołączyć do druha i świętować kolejny rok życia. Jak to mówił znajomy hydraulik: „To jest selawi”. A jednocześnie jakież to

warszawskie! To zderzenie wzniosłości i pstrokacizny, patosu i przyziemności, szlaku miejsc egzekucji i czystego hedonizmu.

I gdzieś pomiędzy jest moje miasto, zmęczone jak ja, które kocham i którego nienawidzę, bo inaczej nie potrafię, bo wydaje mi się, że w ogóle inaczej się nie da.

Zaczyna się od trzewi, najprostszych odruchów. „Moje miasto – złoty sen /  
Tutaj

urodziłem się / Tutaj kumple i speluny /  
Tutaj kurwy, punki, ćpuny / I kasztany  
kwitną w maju / Bo za ręce się trzymają



/ Zakochani (...) Moje miasto – złoty sen  
/ Choć niejeden czarny cień / Kładł się  
w poprzek jakby drwił / Chciałem  
nożem sięgać żył / Chociaż kląłem fart  
zasrany / To wciąż byłem zakochany / W  
mieście mym”.

To wiersz o Lublinie, autorstwa Jarka  
Suszka, ale emocje te same.

Dwadzieścia lat

temu, zaraz po upadku komunizmu,  
przyjechali do Warszawy po latach  
przymusowej

nieobecności przyjaciele rodziców. I  
wzruszało ich niemal każde obskurne  
skrzyżowanie, bo przez te wszystkie lata  
tęsknoty nic się nie zmieniło. Te same

kwiaciarnie, capiące zjełczalym  
tłuszczem bary, ta sama pani Kazia w  
sklepie ze słodyczami. Dzisiaj wszystko  
gna, miasto buzuje. Była knajpa, jest  
inna, często niestety bank albo apteka,  
ale też było skrzyżowanie niczego z  
niczym, a tu nagle robi się minizagłębienie  
ruchu towarzysko-kulturalnego między  
przytulnymi miejscówkami. I z  
przyjaciółmi polujemy na oldskulowe  
klejnoty gastronomii, bo coraz mniej ich  
w wirującym stołecznym świecie.

A pięć przecznic dalej rośnie jak na  
drożdżach kolejny biurowy koszmar

architektoniczny. I robią remont  
pobliskiej ulicy, żeby tramwaje tak nie

łomotały i kiedy fachowcy schodzą z placu boju, dopiero jest łoskot, jakby czołgi znów miażdżyły Warszawę. I kiedy szlag mnie trafia na to miasto bez centrum, jakby namalowane przez

pijanego artystę z zezem, wtedy rozmawiam z zaprzyjaźnionym cudzoziemcem, który

mógł wybrać pracę w wielu zachodnich stolicach i wybrał Warszawę, bo mówi, że nigdzie

nie widział takiej energii, takiego ożywiającego drżenia. Przychodzi długi weekend,

miasto pustoszeje, a taksówkarz

komentuje: „Warszawiacy pojechali do domów, he, he”.

Wrzucam to na Facebooka i leje się kaskada złośliwości pod adresem cholernejszej, bucowatejszej warszawki. I zazwyczaj im kto więcej tu zarabia, tym bardziej się wyzłośliwia, jakaś moda opętańcza, żeby zgnoić tę okropną Warszawę.

A ja idę na Legię i kiedy wielotysięczny tłum, bezlitośnie fałszując, śpiewa przed meczem *Sen o Warszawie*, to budzi się we mnie ckliwy nastolatek i przed oczami jak film gnają obrazy międzywojennego Paryża Wschodu, i szlag mnie trafia na tych, co rozpoczęli

powstanie warszawskie, bo już nigdy nie będzie tego miasta. I marzę, jakie by było, gdyby połączyć jego dawne piękno z dzisiejszą energią, ale też wiem, że Warszawa to sierpień 1944, samo jądro jego duszy, tak samo jak odbudowa, a raczej budowa miasta po 1945

roku, tak jak listopadowe łuny na Powązkach, Grzesiuk, Tyrmand, Hłasko, Muniek,

Sidney Polak, Pablopavo i majowe eleganckie tłumy na Krakowskim, blaszane bazary

i wykwinne lokale z daniami o nazwach nie do wymówienia. Hasło promocyjne stolicy to

„Zakochaj się w Warszawie”. Od nikogo nie wymagam tak trudnego uczucia, ale ja do tej

nie najpiękniejszej pani po przejściach mam nieuleczalną słabość.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2012/7.

## **Nic śmiesznego**

Czort mnie podkusił, że wkleiłem na Facebooku link do strony [Bachormagazyn.pl](http://Bachormagazyn.pl), czyli do Bezradnika dla Nieudaczných Rodziców. Trzy trzydziestoparoletnie matki w sposób dość daleki od ortodoksji opisują uroki ciąży i macierzyństwa. Żadnego ciu, ciu,

jaki

śliczny bobasek, dzidziulka najkochańsza, za to takie na przykład kwiatuszki: „Cyc jest tematem drażliwym zawsze, a w kontekście bachora nawet bolesnym. Z cycem same problemy: za duży, za mały, za twardy, za miękki, za okrągły, za obwisły, za spiczasty, za płaski, za kwadratowy. Porośnięty włosem, pokryty piegami, nierówny, asymetryczny – ch...wy jednym słowem. I zawsze jakiś kretyn uraczy cię uwagą: »ale balony!« (jak on to dostrzegł pod puchową kurtką?), albo wręcz przeciwnie powie coś o wklęsłych cyckach i deskach (deską to można w ryj zarobić, głowonogu o

inteligencji ujemnej)”.  
Albo o modzie na ekozabawki: „Jeśli twój bachor był dobrym ekobachorem: segregował

śmieci, jadł nieprzetworzoną brukiew i nie marnował naturalnych zasobów twojej energii, w nagrodę możesz mu kupić ekozabawkę. Z drewna lub wikliny. Dopuszczalny jest też papier i wełna z owiec szetlandzkich. Wykonana oczywiście ręcznie przez parę

niewidomych norweskich trolli lub pochodząca ze specjalnych ekouppraw zabawek

w południowej Francji. Naucz bachora



odczuwać naturalną odrazę i pogardę  
wobec

zabawek z plastiku. I ch., że  
edukacyjne! Baw się kartoflanym  
puzzlem, gówniarzu, albo eko nazi front  
zrobi ci z dupy jesień średniowiecza!”.

No i kiedy pokładałem się ze śmiechu,  
przeczytałem i usłyszałem też – w tym  
od

znajomych – o moim braku wyczucia (o  
autorkach, zwyrodniałych potworach,  
nawet nie

wspominając) i żenującym poczuciu  
humoru. Koleżanka zawodowo  
poruszająca się

w świecie słodziutkich dzieciątek  
huknęła mnie nawet cytatem z Janusza  
Korczaka,

z którego wynikało, że autorki, a ja w  
ślad za nimi, poniżają i obrażają dzieci.  
W panice szukałem godnej riposty,  
koniecznie autorstwa jakiegoś giganta,  
no bo jak cię trafią Starym Doktorem, to  
dalej już tylko papież i Irena  
Sendlerowa. Na szczęście w domowej  
toaletce leży sobie wertowany  
regularnie tom felietonów Antoniego  
Słonimskiego *O*

*dzieciach, wariatach i grafomanach*, w  
których te pierwsze słodyczki określone  
są mianem zakały ludzkości.

Żeby nie było: autorki Bezradnika mają ewidentnego hopla na punkcie swoich nie do

końca anielskich kruszynek, ale dla ludzi, których razi samo użycie słowa „bachor”, nie wspominając już o innych popisach lingwistycznych, zapewne i tak są złe, złe, złe! I tu dochodzimy do sedna problemu. W ślad za najśłynniejszym plantatorem papryki mógłbym zapytać: jak się śmiać, panie premierze?! Z czego się śmiać? Czasy takie, że nie wiadomo, co kogo i kiedy śmiertelnie obrazi.

Na przykład dzisiaj wrogiem publicznym numer jeden tej części internetu spod znaku

Pudelka, kimś odrażającym na równi z  
Heinrichem Himmlerem, ale dużo  
gorszym od

Bieruta, stał się Bartosz Węglarczyk. W  
„Dzień dobry TVN” na westchnienie  
Jolanty

Pieńkowskiej, że niestety nie mamy  
sprzątających robotów, chlapanął, że jak  
to nie,

przecież są Ukrainki. Tekst akurat słaby,  
w dodatku Węglarczyk kaja się i  
tłumaczy –

i w Polsce, i na Ukrainie – już drugi  
tydzień, ale Pudelek pewnie odpuści  
szczucie dopiero, kiedy dziennikarz

popęłni seppuku. Jednak pamiętam też, że radiowy żart Wojewódzkiego i Figurskiego o „Murzinach” Węglarczyka bawił i kojarzył się ze spuścizną Monty

Pythona, co z kolei rozsierdziło Kazimierę Szczukę i pytała, czy jak popastwi się nad

Węglarczykową tuszą, to tenże będzie rozbawiony. Chyba nie był.

Żeby pozostać na grząskim gruncie emocji rasowo-narodowych: poseł PiS Marek Suski

w podsłuchanej prywatnej rozmowie użył na określenie kolegi z klubu PO Johna Godsona

nienachalnie śmiesznego w tym kontekście słowa „Murzynek”. I co się dzieje? Pani

minister od równego traktowania Agnieszka Kozłowska-Rajewicz występuje do Komisji

Etyki Sejmu z oskarżeniem o „mowę nienawiści”. Szkoda, że nie o zbrodnię przeciwko

ludzkości.

Z kolei Doda, która krotocwilnie rzecze, iż Biblię napisali najjarani i napruci winem

kolesie, z jednej strony zostaje skazana

przez sąd za obrazę uczuć, z drugiej staje się autorytetem religioznawczym w poważnej, wydawałoby się, prasie. I wyrok, i ekspercka kariera pieśniarki śmieszą mnie jak jasna cholera, i tylko nie wiem, czy to, że mnie to setnie bawi, nie obraża czyichś uczuć. Palikotowcy zaś chcą zniesienia karania za obrazę uczuć religijnych, ale pociągnęliby przed sąd za żarty o gejach. Pisowcy na odwrót. Mnie do spazmów doprowadza *Mała Brytania* i Larry David w *Pohamuj entuzjazm*, za to parę polskich kabaretów pozwałbym za obrazę poczucia humoru. Więc jak tu się śmiać, panie premierze?

Tekst po raz pierwszy ukazał się we

„Wprost” 2012/6.



# Tahrir po polsku

Czy kiedy 31 października roku  
Pańskiego 1517 Marcin Luter przybijał  
swoje tezy do

drzwi kościoła zamkowego w  
Wittenberdze, ktokolwiek spodziewał  
się, że oto zaczyna się wielki rozłam w  
zachodnim chrześcijaństwie? Że  
sprzeciw wobec handlu odpustami  
prowadzi właśnie do narodzin  
reformacji?

A kiedy w grudniu 1773 roku  
amerykańscy Synowie Wolności  
rozkoszowali się

herbatką bostońską, któż mógł przewidzieć powstanie supermocarstwa, które nadal nie

chce znieść wiz dla Polaków?

A czy sam Gavrilo Princip spodziewał się 28 czerwca 1914 roku, że jego śmiertelne

strzały do następcy tronu i jego żony odwiedzających Sarajewo rozpętają największą

wojnę w dotychczasowej historii?

Nawet i sto lat później pewnie mało kto w tunezyjskim miasteczku Sidi Bu Zajd

spodziewał się, do czego doprowadzi  
samospalenie sprzedawcy warzyw  
Mohammeda

Bouaziziego. Kiedy jednak fala  
arabskich rewolucji rozlała się na  
dobre, mogliśmy na

żywo śledzić wydarzenia na kairskim  
placu Tahrir.

Więc gdy i u nas nad Wisłą błysnęła  
iskra rewolty, wiedzieliśmy, że nie  
możemy

powtórzyć błędu papieża Leona X, który  
zlekceważył wystąpienie Lutera. Gdy  
powiał wiatr historii, my dmuchnęliśmy  
mu naprzeciw. Gdy nadszedł dzień, który

miał wstrząsnąć Polską, byliśmy gotowi.

Media od rana stanęły na wysokości zadania. Głupawe doniesienia z najnowszymi

ploteczkami o akcji ratowniczej na „Concordii”, protest aptekarzy, prawyборы w USA,

zamach w Afganistanie, wszystkie te, umówmy się, nudne i nieistotne pierdoły musiały

ustąpić zapowiedzi, że Janusz Palikot zapali w Sejmie jointa.

Stacje radiowe przerywały programy, a telewizjom zabrakło kolorów na kolejne

paski,

które miały unaocznic widzom wage obserwowanych wydarzen. Straz marszalkowska

szacowala, ze wokol Sejmu zebrało sie wiecej reporterow, niz George W. Bush miał

ochroniarzy w czasie wizyty w Iraku.

Po zawiadomieniu prokuratury przez marszalek Kopacz o planowanej akcji Palikota

prokuratorzy Seremet i Parulski na zwolanej błyskawicznie konferencji prasowej

zapewnili, że puszczają w niepamięć wszelkie wzajemne urazy, by zająć się sprawą, która jest największym wyzwaniem dla Polski w XXI wieku.

Polscy reporterzy donosili z Afganistanu o stanie podwyższonej gotowości w polskich

jednostkach, które miały być w razie potrzeby przerzucone do Warszawy w celu

opanowania sytuacji w Sejmie. Rzecznik MON uznał za niesmaczne spekulacje, że

żołnierze z polskiej misji dowiozą wysokogatunkowy afgański haszysz.

## Rzecznik klubu PO

dementował również pogłoskę o liczeniu się tzw. blanciaków, nowej frakcji w ramach

partii rządzącej. Przedstawiciel PSL zapewniał, że kolor ugrupowania nie ma nic

wspólnego z marihuaną.

Jak donosiły dobrze poinformowane źródła, za samą możliwość podetknięcia mikrofonu

pod usta Roberta Biedronia redakcje oferowały małe fortuny. W nagrodę mogły cytować

minuta po minucie. Oto słowa, przy których błędnie „Houston, mamy problem”. „Nasi

ludzie skręcają jointa w konspiracyjnym lokalu na południu Warszawy”. „Zarząd partii

podjął decyzję o użyciu maszynki do robienia skrętów, by blant, który zmieni historię

polskiego zaścianka, miał idealne proporcje”. „Joint jest prawie gotowy, ale naszym

działaczom pod wpływem skrajnych emocji zabrakło śliny w gardłach. Apelujemy do



wszystkich Polaków o otwartych umysłach o dostarczenie jakże potrzebnej śliny”. Tu

w niektórych relacjach dało się słyszeć charczenie niezidentyfikowanych gardeł. Solidarna Polska na zwołanej konferencji zażądała zidentyfikowania charczenia przez krakowski Instytut Ekspertyz Sądowych. Rzecznik rządu nie negował potrzeby samej identyfikacji, ale zasugerował, że premier skłaniałby się raczej ku ekspertom z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego.

„Joint jedzie do Sejmu” – kontynuował Biedroń, a akcje na warszawskiej

giełdzie leciały na pysk. „Mogę też już ujawnić, że skręcany był na Ursynowie”.

Chwilę później na nadzwyczajnym posiedzeniu zbierały się samorządowe władze

Ursynowa, a w radiu mogliśmy wysłuchać dyskusji socjologów i politologów, którzy

rozważali istnienie związku między sympatiami wyborczymi mieszkańców dzielnicy,

tradycyjnie głosujących na PO, a tym, że to wśród nich skręcano najśłynniejszego blanta nowoczesnej Europy. Gdy w trakcie audycji napłynęły wieści, że

Palikot zapalił kadzidełko zamiast trawy, jeden z komentatorów zauważył: „To wydarzenie wyjątkowe. 20 stycznia 2012 przechodzi właśnie do historii jako Dzień W Którym Janusz Palikot Nie Zapalił

Jointa”. Tuż po audycji Robert Biedroń zgłosił wniosek, by 20 stycznia stał się dniem

wolnym od pracy, kiedy Polacy mogliby wreszcie nie palić trawy.

Wiadomość z ostatniej chwili: Janusz Palikot zaprasza na mord sądowy w Sejmie.

Trwają spekulacje, czy rozdepcze

mrówkę, czy packą rozplaszczy śniętą  
muchę.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we  
„Wprost” 2012/4.

**13, 30, 80**

Gdzie ja to zobaczyłem? Usłyszałem?  
„Generale, historia może ci wybaczy,  
ale u mnie

masz przesrane”. Na murze  
warszawskiej Starówki zimą 1982 roku?  
Od kolegów

powtarzających greps podziemnego  
satyryka? Nie wiem, już nie dojdę, ale  
tym bardziej po latach zgadzam się z

anonimową mądrością. Wybaczyła historia? Nie wybaczyła?

A Wielopolskiemu wybaczyła?

Ci, którzy jeszcze w ogóle wiedzą, kim był margrabia, kłócą się o jego rolę do dzisiaj, więc i pewnie za 50 lat, jak dożyję, będę mógł napisać kolejną wersję tego felietonu.

Słupki pokazują, że po 30 latach większość Polaków uważa decyzję o wprowadzeniu stanu

wojennego za uzasadnioną, a na pewno popierających jest znacznie więcej niż przeciwników Jaruzelskiego. No to

pobędę sobie w mniejszości.

Uśmiecham się lekko,

kiedy słyszę opowieści o stanie wojennym, jak to cały naród walczył z komuną,

przekleństwo ciśnie się na usta, kiedy widzę członków Polskiej Zjednoczonej Partii

Robotniczej z lat 80., ba, jej sekretarzy, którzy dzisiaj licytują się w antykomunizmie.

Byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie tak obłudnie bezczelne. Upierdliwa pamięć

podpowiada mi, że w tych czasach

pogardy konspiratorów, nawet takich  
okazyjnych,

którzy czasem przechowali paczkę  
podziemnych gazet, takich dziecinnych  
nastolatków

jak ja i moi koledzy było zadziwiająco  
mało. Nawet kiedy Niezależne  
Zrzeszenie

Studentów wychodziło w 1988 roku na  
powierzchnię, na Uniwersytecie  
Warszawskim, tej

chyba najbardziej rozpolitykowanej  
uczelni kraju, zapisało się do niego  
ledwie 10 procent studentów.

U nas na historii na pierwszym roku padł rekord – deklaracje podpisała jedna trzecia.

Co i tak było zachwycające. Ale najczęściej słyszałem, że polityka jest brudna, każda, także ta Solidarności i NZS. Że chcemy podpalić Polskę. Że żyjemy, gdzie żyjemy, i nigdy tego nie zmienimy. Kiedy umawialiśmy się na mieście w pięćdziesięciu, stu i nagle zaczynaliśmy skandować antykomunistyczne hasła i rozrzucać ulotki, na twarzach

przygodnych pieszych nie widzieliśmy zrozumienia. Częściej niechęć. Nie to, żeby



większość ukochała generała, partię i  
broniących ich zomowców, ale byliśmy

w osłabiającej, zniechęcającej się  
czasami do wszystkiego mniejszości.  
Większość chciała świętego spokoju.  
Stąpam teraz po kruchym lodzie, ale  
oddając hołd każdemu z setki  
zastrzelonych i zamordowanych w stanie  
wojennym, pamiętając o starszym  
koledze

z warszawskiej podstawówki nr 233 i  
liceum im. Mikołaja Reja Emilu  
Barchańskim,

o chodzącym do pobliskiego Frycza  
Modrzewskiego Grzegorz Przemysku,  
nie mogę nie

zauważyć, że jak na standardy  
wojskowych przewrotów i  
kontrrewolucji w wykonaniu

służb wszelakich opór był wyjątkowo  
słaby. Tak, wiem, 15 miesięcy  
obrzydliwej medialnej propagandy,  
nakręcającej atmosferę strachu i  
niepewności, zrobiło swoje. Tak, udało  
się wmówić milionom, że Solidarność  
jest zagrożeniem, doprowadzić je do  
takiego stanu, że wielu, bardzo wielu  
ludzi chciało tylko, żeby ktoś  
zaprowadził mityczny porządek. A jeśli  
jeszcze to nie Ruskie, tylko nasi, w  
orzełkach, tym lepiej. I była pamięć o  
rzekach krwi, które wylał ten naród. I  
strach przed hekatombą. Co nie zmienia

tego, że potężny ruch Solidarności dał się zadziwiająco łatwo złamać.

Pamiętam swoje trzynastoletnie

zdziwienie w tę mroźną zimą, że tak łatwo pada wolna Polska. Ale pamiętam też

demonstrację 1 maja 1989 roku.

Nieprzebrany tłum podążał pod flagami Solidarności

przez miasto, spod kościoła św.

Stanisława Kostki, by na koniec rozlać się na błoniach pod Starym Miastem. I

wtedy Maciej Jankowski z uniwersyteckiej Solidarności

powiedział

nam, pełnym nadziei, takie mniej więcej  
słowa: „Szliśmy tu osiem ciężkich lat,  
ale

wreszcie doszliśmy”.

A potem wygraliśmy najważniejsze w  
historii Polski wybory. Dzisiaj generał  
podobno

umiera. Nadal ma u mnie przesrane,  
choć nie boję nad tym, że za swoje  
czyny nie

trafił po 1989 roku do więzienia. Oddał  
bezkrwawo władzę, nie kazał kolejny  
raz strzelać.

Mało? Żenująco mało? Nie wiem, jak

wy, czytelnicy, którzy pamiętacie lato 1989 roku, ale czekałem tylko, kiedy nastąpi znowu uderzenie.

Jeśli ktoś dzisiaj twierdzi, że Jaruzelski nie miał innego wyjścia, to zazdroszczę

wstecznego optymizmu. Jaruzelski odchodzi, a jego dawne ofiary w rocznicę stanu

wojennego tak pięknie się okładają najcięższymi zniewagami. Nie będę was słuchał, nie

chcę was słyszeć. Dopiero co byłem w kinie na *80 milionach*, kapitalnej, wzruszającej, zabawnej historii o Solidarności, o pokoleniu, które

zmierzyło się z Historią, zapłaciło cenę i wygrało. O zwyczajnych ludziach, ze słabostkami i śmiesznościami, którzy urosli ponad samych siebie i pokazali najpiękniejszą twarz tego kraju. Którą tylko my sami możemy poharatać.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/50.

# Na wycieraczce

Dowcip z brodą, ale na czasie: jaki jest szczyt bezczelności? Nasrać komuś na wycieraczkę, zapukać i poprosić o papier toaletowy.

Przypomniał mi się, gdy przeczytałem skargi niemieckich lewackich bojówkarzy na to,

jak paskudnie potraktowali ich warszawiacy, a szczególnie policjanci. No bo do czego to podobne! Przyjechali przecież zwalczać polski faszyzm, który – jak wiedzieli od zapraszających Polaków – wychyla się z za każdego

polskiego, czarnosecinnego rogu.

Swoją drogą, gdzie oni są? Ci wszyscy zapraszający? Schowali się po różnych, no może nie mrocznych instytucjach, ale jakoś pięknie się rozmyli.

W każdym razie młodzieńcy z niemieckiej Antify, pięknie ubrani na czarno, postępowe

buzie zasłonięte, w rękach pałki i inne narzędzia tolerancji oraz dialogu

międzykulturowego, wpadli przypadkiem w okolice Nowego Wspaniałego Świata, siedziby

„Krytyki Politycznej”, i natychmiast



zostali podstępnie sprowokowani. Bo jak inaczej

określić zachowanie polskich rekonstruktorów historycznych, którzy jak gdyby nigdy nic w Święto Niepodległości wyszli na Nowy Świat w mundurach z czasów Księstwa Warszawskiego? No jasne, że to agresywni faszyci i sam bym pluł na takich i z liścia albo pałą przyłożył. A tu jeszcze policja ich zwinęła i na dołek powiozła. I teraz się skarżą w Niemczech, że traumę mają, terapii się muszą poddać, bo nikt ich obiadem nie podjął, a gliniarze jacyś niemili byli. Szok.

Jakby mało było groteski, Michał Sutowski z „Krytyki Politycznej” tłumaczy, że

bojówkarze znaleźli się w Nowym Wspaniałym Świecie przez przypadek, bo to akurat

jedyny otwarty lokal w okolicy był. Jasne, a kibole znaleźli się na placu Konstytucji, bo szczególnie cenią architekturę socrealizmu i chcieli sobie w kajecikach poszkicować monumentalne latarnie.

„W chuja cięcie też zajęcie” – jak mawia zmyślny lud polski, a Sutowski jest równie

dowcipny jak ci roznegliżowani młodzieńcy, co to tłumaczyli gest wyciągniętej ręki tym, że pięć piw zamawiali. Wszystko to bardzo śmieszne, ale jako członek komisji doradczej przy burmistrzu Śródmieścia, która rekomendowała udostępnienie lokalu na Nowym Świecie środowisku „Krytyki Politycznej”, uważam, że ktoś tu, nomen omen, przegiął

pałę. Drewnianą. Nadal uważam, że w 2009 roku to był dobry wybór. „KP” przedstawiła

najbogatszy plan działań i trzy tygodnie temu, oceniając kolejny rok ich działalności, ponownie wydałem

pozytywną opinię. Krytykom odpowiadałem zawsze, że gdyby jakieś inne środowisko, prawicowe, centrowe czy apolityczne, przedstawiło realną alternatywę, byłoby o czym rozmawiać. Ale nie było, „Krytyka” była najlepsza dwa lata temu i potem ciężko pracowała na sukces Nowego Wspaniałego Świata. Doceniony również przez

przeciwników ideowych. Tym bardziej szlag mnie trafia po 11 listopada. Na kompletną

bezmyślność ludzi, którzy ściągali niemieckich bojówkarzy i doprowadzili do tego, że

z siedziby „Krytyki” zrobili sobie

Festung Antifa.

I o ile po zamieszkach 11 listopada po  
prawej stronie pojawiły się głosy  
samokrytyki,

choćby Tomasza Terlikowskiego czy  
Marka Magierowskiego, że sojusz  
prawicy z kibolami

był błędem, który znalazł swe  
dramatyczne zwieńczenie na placu  
Konstytucji, o tyle po

lewej stronie trwa mentalna sielanka.  
Seweryn Blumsztajn, Kazimiera  
Szczuka, Jacek

Żakowski czy wspomniany Sutowski idą

w zaparte. Nasi bojówkarze są super, a blokada

faszystów z Marszu Niepodległości okazała się wielkim sukcesem.

No to, po pierwsze, gratuluję im kompletnie oderwanego od rzeczywistości dobrego

samopoczucia. Po drugie, spójrzmy na rezultaty ich działań. Dwa lata temu

demonstrowało kilkuset oenerowców i wszechpolaków. W tym roku na ich demonstrację

przyszło 20 tysięcy albo więcej. W zdecydowanej większości normalnych

ludzi, którzy

nigdy by nie dołączyli do ONR, gdyby nie prostacka propaganda drugiej strony, którą

odebrali jako chęć uniemożliwienia im świętowania niepodległości własnego kraju. „Nie

będą komunisty robić ze mnie faszysty!” – głosił jeden z transparentów, i do tego rzecz się w dużej mierze sprowadza.

Jeden jedyny raz byłem w życiu na Paradzie Równości, w roku 2006, kiedy zakazał jej ówczesny prezydent Warszawy Lech Kaczyński. Nie dlatego, że

popierałem całkowicie postulaty środowisk gejowskich, ale w imię podstawowo rozumianej wolności, prawa do manifestacji i trochę z przekory. Taką przekorę widziałem też  
11

listopada w tłumach pod biało-czerwonymi flagami: „Nie będzie mi skrajna lewica

z niemieckimi (i polskimi) bojówkarzami mówiła, jak mam świętować”. Organizatorzy

Marszu Niepodległości powinni dać na mszę w intencji animatorów blokady.

Skrajność syci skrajność. Gdyby nie



było zapowiadanej od roku blokady,  
Marsz

Niepodległości byłby kilkukrotnie mniej  
liczny, przeszedłby pod pomnik  
Dmowskiego,

usłyszelibyśmy kilka mniej czy bardziej  
kontrowersyjnych mów i tyle. No to do  
roboty!

Wzywajcie już do blokady 2012, w  
końcu nic was tak nie nakręci jak 100  
tysięcy, które

przyjdą w przyszłym roku na Marsz  
Niepodległości. I tylko marszałek  
Piłsudski

przewraca się w grobie, widząc, jak  
świętowanie 11 listopada przejmują  
spadkobiercy

endecji.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we  
„Wprost” 2011/47.

***Ave, Nergal!***

No nie uwierzą państwo, co  
przeczytałem w „Gazecie Wyborczej”!  
Rzecz dotyczy

manifestacji, która odbyła się we  
Wrocławiu w 2007 roku. Członkowie  
Narodowego

Odrodzenia Polski skandowali: „Polska dla Polaków!”, „Polska cała tylko biała!”, „Biała siła, czarna kiła”. Były też transparenty: „Europa dla białych, Afryka dla HIV” i „Każdy inny, wszyscy biali”.

Jacyś antypolscy fanatycy skierowali wówczas do sądu sprawę przeciwko wrocławskim

patriotom. Na szczęście rozpatrująca problem pani sędzia stanęła na wysokości zadania

i w uzasadnieniu wyroku napisała, że organizatorzy marszu, „propagując hasło czystości krwi, nie deprecjonują równocześnie żadnego koloru skóry,

podkreślają, że stanowić ma to gwarant zachowania w mozaice ras ludzkich biologicznych cech własnego narodu, jego oryginalnego, niepowtarzalnego piękna”. W samym wydarzeniu nie ma jeszcze niczego

dziwnego, ale szokujący jest komentarz publicystki „Wyborczej”: „Nie jest to mój ulubiony sposób demonstrowania, ale sąd uznał, że manifestanci nie popełnili przestępstwa.

Działacze NOP nie zasłużyli więc, by odebrać im prawo do obecności w przestrzeni

publicznej”.

Coś się nie zgadza? Ależ oczywiście.  
Opis demonstracji, uniewinniający  
wyrok sądu

i argumentacja sędzi są prawdziwe, za  
to komentarz to moja trawestacja  
felietonu

zajmującej się religią i Kościołem  
publicystki „Gazety Wyborczej”  
Katarzyny

Wiśniewskiej. Jej myśli poświęcone  
były oczywiście Nergalowi i  
uniewinniającemu tegoż

wyrokowi sądu w Gdańsku. Bo na  
wyroku sądu w sprawie wrocławskiej  
„Wyborcza” nie

pozostawiła suchej nitki. „Sąd sprawił rasistom prezent, jakiego nie mogli sobie wyśnić.

Jak z nieba spadł im papier sankcjonujący ich poglądy, przyzwalający na język nienawiści w publicznej debacie. Idę o zakład, że będą wiedzieli, jak z niego skorzystać. Uzbrojeni w orzeczenie sądu już niebawem zorganizują jakąś akcję. I znów – tym razem zupełnie legalnie – usłyszymy, że Polska może być tylko biała, czarni to małpy, a szczęśliwa

przyszłość świata zależy od wprowadzenia segregacji rasowej” – komentował niedawno

w „Wyborczej” Jacek Harłukowicz. I może państwa zaskoczę, ale się z nim zgadzam. Nie

płakałbym, gdyby panowie białej przygłupiej siły pomachali mopami w jakimś sierocińcu

albo jeszcze lepiej w ośrodku dla uchodźców w ramach zasądzonych prac społecznych.

No więc chciałem się zapytać nie tylko pani Wiśniewskiej, ale też wszelkich obrońców

i wielbicieli Adama „Holocausto Nergala” Darskiego: dlaczego rasistowskie okrzyki są

wzewaniami do nienawiści, a darcie czy palenie Biblii i ryczenie „Żryjcie to gówno!” to działalność artystyczna i przejaw aktywnego korzystania z wolności słowa? Farfał był be, bo jako nastolatek napisał coś do skinowskiego fanzinu, ale że dorosły już Darski przybrał

sobie pseudo Holocausto, no to nie bądźmy zbyt drobiazgowi. Jak jakiś prymityw

sprofanuje groby żołnierzy rosyjskich w Ossowie albo pomnik w Jedwabnem, to jest

skandal (bo w istocie jest), ale jak barbarzyńca profanuje Biblię, lży ludzi i



szerzy

nienawiść, to sam cymes.

Żeby było jasne: krzywiąc się, ale może jeszcze bym uznał, że brutalnie nienawistne

występy Darskiego, w myśl łacińskiej zasady „chcącemu nie dzieje się krzywda”, można

tolerować na jego koncertach. Ale promowanie barbarzyńcy w publicznej telewizji? No to zaproście tych misiaczków z Wrocławia, pięknie poszerzą ofertę TVP, a pewnie ich sympatyków jest nad Wisłą równie wielu jak miłośników hajlującego

szatanowi muzyka.

Demokracja będzie kwiczeć z zachwytu.  
Albo jakiegoś śpiewającego skina z ich  
prężnej

sceny muzycznej. Jeśli nie ma chłopak  
wyroku, to na jurora jak znalazł się  
nadaje.

Od awantury o Nergala w „Drugim  
śniadaniu mistrzów” zaczepiają mnie  
ludzie,

bynajmniej nie oszalałe mohery, typowa  
polska proplatformerska klasa średnia, i  
pytają:

„Dlaczego znani ludzie bronią prawa tego

człowieka do plucia na to, co dla nas drogie, a dla wielu święte?”. Doskonałe pytanie, mógłbym powtórzyć za klasykiem. Przy okazji: moja odpowiedź na uwagę Małgorzaty Domagalik, że Darski jest prywatnie miły: „Hitler też był pewnie miły dla bliskich”, znaczyła to, co znaczyła, czyli że osobiste powaby nie mają znaczenia dla osądu czynów człowieka, a nie że Nergal ma zamiar palić Żydów czy – tu ręce opadają – jak pisał Stanisław Tym w „Polityce”, że „wyjątkowo ciepło” wypowiadałem się o Hitlerze.

Ja mógłbym zapytać: jeżeli chcecie, by ludzie reagowali na rasistów z NOP-u,

łobuzów

profanujących cmentarze i malujących gwiazdy Dawida na szubienicy, to jak im

wytłumaczycie, że ich wartości wolno obrzygać i obsrać, jeszcze można się z tego

publicznie cieszyć, ale oni mają być wrażliwi na to, co wam jest drogie, szanowni

humaniści?

Tytuł relacji „Wyborczej” o wrocławskiej demonstracji brzmiał *Można lżyć innego*. No, okazuje się, że można. Byle to nasz lżył.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we  
„Wprost” 2011/39.

# Niepowtarzalny styl

Jeżu, jak się cieszę, że nie jestem posłem i nie musiałem wybierać między Beatą Kempą

i Wandą Nowicką, a więc decydować, która z pań zostanie wicemarszałkiem Sejmu.

Spieszę zaznaczyć, że ten nieszczęsny wołacz na początku to było odruchowe nawiązanie

do piosenki Lecha Janerki z czasów Klausa Mitffocha, a nie próba brutalnej klerykalizacji łamów zacnego tygodnika „Wprost”. Poniosło mnie. W końcu

usuwanie tych narodowo-katolickich złogów, ksenofobicznych myślowych kalk nawet dla tak świątłych liderów jak Janusz Palikot i Roman Kotliński stanowi wielkie wyzwanie.

Skoro przy opium dla ludu jesteście. Przymomiał mi się ziomal Sławomira Nowaka, co

to tak ładnie na scenie radził sobie z pewną księgą, a co przez świat wielu warszawskich kawiarni zostało odczytane jako przejaw oryginalnej ekspresji twórczej, walki o wolność słowa, przekonań i co tam jeszcze, drodzy czytelnicy, chcecie. A przymomiał mi się, bo czytam wydaną

dopiero co po polsku wyśmienitą powieść dokumentalną *HHhH. Zamach na kata Pragi*.

Autor, Laurent Binet, 39-letni Francuz zakochany w kulturach czeskiej i słowackiej, we frapujący sposób odtwarza życie i śmierć „archanioła zła”, „blond bestii”, „rzeźnika Pragi”, czyli Reinharda Heydricha. *HHhH* to skrót od *Himmlers Hirn heisst Heydrich*: mózg Himmlera nazywa się Heydrich, jak mawiano w SS. Binet w brawurowy sposób miesza drobiazgową dokumentalną rekonstrukcję z pisarską wyobraźnią. Prowadzi czytelnika przez własne poszukiwania i



wątpliwości, pokazuje szwy swego literackiego rękodzieła,

w którym oddaje tragizm czesko-słowackiej historii, mrok nazizmu i heroizm

zamachowców. Nowoczesna powieść, którą czyta się jak najlepszy thriller.

Akademia

Goncourtów uznała *HHhH* za najlepszy debiut w 2010 roku.

Ale co książka Francuza ma wspólnego z bożyszczem naszych salonów? Oto

Binet

opisuje noc kryształową, wielki pogrom,

który hitlerowcy urządzili Żydom w nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku. Nie, nie chodzi o właśnie minioną rocznicę. Posłuchajcie: „W innym miejscu funkcjonariusz SA wchodzi na dach obrabowanej synagogi i wymachuje

zwojami Tory, krzycząc: Podetrzyjcie się tym, Żydzi! Rzuca je jak serpentyny

w karnawale. Już wówczas naziści mieli ten swój niepowtarzalny styl”.

„Niepowtarzalny

styl”, ładne, zapamiętajcie.

Niepowtarzalny styl ma też Michał Nowicki, młody polski komunista. Choć stylistyka to

dość stara. Otóż na stronie organizacji Lewica bez Cenzury napisał, że „Stalin popełnił

poważne błędy. Nie uczynił z Polski republiki zależnej od Związku Radzieckiego ani nie napadł na Europę Zachodnią”, a odnosząc się do Katynia, stwierdził: „ZSRR nie było stać na wyżywienie 20 tysięcy darmozjadów. Wystarczyło już tej bezczelności z czasów sanacji, gdy robotnicy i chłopcy ich żywili”.

No i się zrobił dym, bo o skomentowanie tych myśli poproszono mamę autora, czyli

kandydatkę na wicemarszałka Sejmu

Wandę Nowicką. Żeby było jasne:  
rodzice nie

ponoszą odpowiedzialności za słowa i  
czyny dorosłych dzieci. A nawet  
przesunąłbym tę

granice w dół, bo jak geny i natura  
wariują, to najlepszy rodziciel nic nie  
poradzi i kiedy nastolatek świruje, to  
czasem tylko sięść i płakać. Ale  
Nowicka jest osobą publiczną, a jej syn  
nie wpisywał swych myśli w kajecie  
intymnym, lecz na publicznym portalu.  
Co nadal nie zakłada, że Nowicka  
uważa zamordowanie polskich oficerów  
za czyn ze wszech miar

usprawiedliwiony, ale jedynie świadczy

o jakimś strasznym stanie umysłu jej syna.

Jednak Nowicka poproszona o komentarz odparła: „Przede wszystkim jest takie

powiedzenie: jeśli ktoś nie był komunistą za młodu, to nie będzie przyzwoitym

człowiekiem na starość”. Czyli nie ma problemu. Otóż jest. To powiedzenie, przypisywane Bismarckowi, brzmi inaczej: „Kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie świnią, ale kto na starość socjalistą pozostał, ten jest po prostu głupi”. Pozostawmy na boku drugą część, ale co do pierwszej to

socjaliści do komunistów mają się tak jak konserwatywni chadecy do faszystów, szanowna pani, niestety-już-wicemarszałek.

A polscy socjaliści byli wśród tych darmozjazdów, którzy ryli twarzami w katyńskich

dołach.

I tu wracam do dylematu z początku felietonu. Wizja świata i poglądy Beaty Kempy

budzą mój fundamentalny opór. Wiele z działań Wandy Nowickiej na rzecz kobiet,

dostępu do antykoncepcji czy in vitro  
popieram. Ale nie przeskoczę tego, co  
powyżej. Cóż mam więc robić? Ano  
poczytam dziś wieczorem, dzień przed  
rocznicą odzyskania niepodległości, o  
Kazimierzu Pużaku, wielkim polskim  
socjaliście, zamęczonym przez

komunistów w więzieniu w Rawiczu w  
roku Pańskim 1950. Co i Wandzie  
Nowickiej

polecam.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we  
„Wprost” 2011/46.

**Między Rio i Budapesztem**

Każde polskie dziecko wie, że jednym z przekleństw kraju nad Wisłą jest jego położenie między Rosją i Niemcami. Co ja plotę. Po kolejnych reformach edukacji, spychaniu historii, ograniczaniu nauczania tej najnowszej, wykładowców uniwersyteckich nie dziwią już absolwenci liceów, którym stan wojenny miesza się z powstaniem styczniowym, a Kuroń z Trauguttem, jeżeli w ogóle o nich słyszeli.

Opowiadał znajomy dziennikarz anegdotę, jak mawiają Włosi: jeśli nieprawda, to

dobrze zmyślane. Toczy się kolejna odsłona procesu Wojciecha



Jaruzelskiego. Na sali

sądowej młoda przedstawicielka  
jednego z mediów szturcha sąsiada,  
który pewnie według

niej był tak stary, że musiał pamiętać  
wojny punickie, i pyta: a ten Jaruzelski  
to który?

Ale wróćmy do polskiego spojrzenia na  
geografię w jej politycznym wydaniu.  
Furora,

jaką zrobiła obietnica Jarosława  
Kaczyńskiego, że przyjdzie dzień, gdy  
będziemy mieć

w Warszawie Budapeszt, feeria

dowcipów na portalach przebiła nawet komentarze na

temat drugiej Irlandii, którą w swej dobroci cztery lata temu zapowiedział Donald Tusk.

Szef PiS musiał przemyśleć swoją wypowiedź, bo przecież niedawno straszył, że

skończymy jak Słowacja, która nocami tonie w ciemnościach, bo, o ile dobrze

zrozumiałem, po przyjęciu euro naszych południowych sąsiadów nie było stać na żarówki

ani prąd. A wiadomo, że Słowacy z

Węgrami mają pod górkę, więc rozumowanie

Kaczyńskiego jest klarowne. Tak jak zastanawianie się, czy zaatakuje nas Gabon. Bo

niedługo później dzielni Gabończycy przeskoczyli nas w rankingu narodowych

reprezentacji piłkarskich.

Polska Tuska miała być drugą Irlandią, a PO drugą Barceloną. Maciej Skorża

powiedział, że Legia grała jak Real. I co mam o tym myśleć, skoro wolę Legię od PO, ale Barcę od Realu?

Nie wiem, jak państwa, ale mnie kusi  
bardziej wizja prezesa. Gdzie  
guinnessowi do

wytrawnego czerwonego węgryna!  
Albo do tokaju, jak kto lubi. No i zupa z  
suma.

A potem spacer po Budapeszcie. Sam  
wychowałem się, czekając na drugą  
Japonię, którą

z kolei w 1981 roku obiecywał Lech  
Wałęsa. I on akurat w jakimś stopniu  
dotrzymał

słowa. Nieraz mam wrażenie, że polska  
scena polityczna przypomina filmy o  
Godzilli,

zwłaszcza gdy pojawia się  
Terrormechagodzilla. Chociaż Ebirah,  
potwór z głębin, też  
potrafił dołożyć do pieca.

Bracia Golcowie wierzyli, że na  
polskim ściernisku stanie San Francisco,  
w czym bliscy byli prawicowym  
publicystom, których pociąga  
amerykańska surowość prawa,  
gospodarczy liberalizm i nieporównanie  
większa od europejskiej religijność.  
Choć akurat San Francisco pod tym  
względem to sodoma i gomora.

Nie chcemy w Polsce drugiego  
Wietnamu, bo przez lata Sajgon oznaczał  
coś między

bałaganem, katastrofą i cyrkiem. Mowa potoczna przewidziała problem, jaki Europie

zafundują Grecy, bo co niby oznacza „udawać Greka”? Z kolei „za Chiny nie dać rady”

w proroczy sposób sugerowało, że niebawem bez Chin nikt nie da rady. No, a jeszcze

„siedzieć jak na tureckim kazaniu”. Być może oznacza niezrozumienie przez

Europejczyków sukcesów tamtejszego islamskiego rządu, gwałtownego wzrostu

gospodarczego i zwrócenia się w stronę bliskowschodnich sąsiadów. Zresztą nie tak dawno Bronisław Wildstein sugerował, że powinniśmy przyjrzeć się uważnie tureckim reformom i sukcesom. No to może przyjdzie dzień, kiedy będziemy mieli w Warszawie Ankarę?

Osobiście, jeśli można byłoby wybierać, prosiłbym o Stambuł.

Mam własne propozycje. Polska drugą Gruzją gościnności i więzi rodzinnych, drugą

Wenezuelą w liczbie Miss Świata, drugim Singapurem w organizacji ruchu drogowego

i kontroli spalin, drugą Etiopią  
długodystansowców!

Ostatnio pojawiła się być może  
najatrakcyjniejsza oferta: będziemy  
drugą Brazylią. Tak planują Palikot z  
Ikonowiczem, którzy chcą powtórzyć w  
Polsce reformy społeczne prezydenta  
Luli. Od razu przypomniałem sobie  
wizytę u brazylijskiego kolegi, który  
kilka lat pracował w Rio. Rano  
zajeżdżał w slipkach skuterem na plażę  
Ipanema, pływał, wskakiwał na motor i  
jechał do roboty. Tam szybki prysznic,  
przebierał się w spodnie

i koszulę. Kiedy przychodziła pora  
obiadu, wracał na plażę, znowu kąpiel,



skuter,

prysznic, spodnie *etc.* Więc generalnie jestem na tak. Choć pamiętam ostrzeżenie dla

mężczyzn z przewodnika *Lonely Planet*, że jak widzimy stojące na poboczu ulicy piękne wysokie kobiety, to *don't fall in love!*, nie zakochujmy się, bo najpewniej to słynni brazylijscy transwestyci. Ale my mamy już transseksualną posłankę, więc jesteśmy o krok dalej, i to Brazylia mogłaby się starać zostać drugą Polską!

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/45.

## Nie śmieję się, dziadku

Właściwie mógłbym zacząć od nieładnej złośliwej satysfakcji. Nie czyń drugiemu, co

tobie niemiłe. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. No, może z tym ginięciem to

przesada, ale widok min przywódców Platformy czytających najnowszy wywiad rzekę

z Januszem Palikotem (rozmawia Anna Wojciechowska) – bezcenny. Może ktoś robił

zdjęcia i mi podeśle.

Bowiem *Kulisy Platformy* to palikotyzm w czystej postaci, podniesiony do kwadratu.

Tak jak brutalnie i po chamsku atakował Lecha Kaczyńskiego za życia i po śmierci,

Grażynę Gęsicką („prostytucja polityczna”), Jana Marię Rokitę i wielu innych

dawniejszych przeciwników, tak teraz wylewa kubły plwocin na swych niedawnych

sojuszników, przywódców i polityków Platformy. Pudelek piszący o celebrytach to jakieś przedszkolne

igraszki w porównaniu z opowieściami  
szukmistrza z Biłgoraja. Nie ma takiej  
plugawej plotki, której Palikot by nie  
zacytował. Właściwie, z drobnymi  
wyjątkami, wszyscy jeszcze bardzo  
niedawni towarzysze politycznej walki  
to kanalie, mafiosi lub kretyni.

Może i tak jest w istocie, ale cóż takiego  
się stało w ciągu nieco ponad roku,  
odkąd

ukazał się poprzedni wywiad rzeka  
skromnie zatytułowany *Ja* (wtedy  
rozmawiał Cezary Michalski), że ludzie  
obdarzeni wielkimi, wedle Palikota,  
zaletami nagle stali się swymi  
przeciwieństwami? Nie, nie jestem

naiwny. Lubelski milioner postanowił  
zostać Wielkim Przywódcą. A że tonący  
brzydko się chwyta – sondaże! sondaże!  
– to mamy lekturę

z nieodzownym u Palikota  
sugerowaniem, kto jest ukrytym  
homoseksualistą, a kto

pijakiem.

Sama tego chciałaś, Platformo Dyndało.  
Przecież nieraz ludzie będący jak  
najdalej od

PiS i Kaczyńskich apelowali, by Donald  
Tusk i jego partia powstrzymali dzikie  
chamstwo Palikota. Że nawet jak na  
nikczemne standardy polskiej polityki to,

co robi, jest moralnym skandalem. No to teraz macie. Miło? Przecież gdyby Palikot sam nie odszedł, to nadal byście go tulili do piersi i używali jego ataków do przykrywania własnych wpadek, tak jak wtedy, gdy – wedle waszego subtelnego porównania – kopał w klatkę Lecha Kaczyńskiego, bo wiadomo było, że ten nie wytrzyma, zareaguje i zrobi coś piarowo

głupiego. Gdyby nie, to, że dla prawicowych publicystów i polityków Palikot jest

wiceszatanem, powinni cytować jego najnowszą książkę 24 godziny na dobę, dzień po dniu do samych wyborów.

Pewnie nie wejdzie teraz do Sejmu, ale nadal ma, zwłaszcza wśród wielkowiejskiej

wykształconej publiczności, a już szczególnie wśród opiniotwórczych elit, pokaźne grono fanów. Bo wali w Kaczora, naśmiewa się ze Smoleńska i Kościoła. Nie biorą pod uwagę jednego. Jak pisał Dariusz Rosiak: „Palikot nie jest politykiem przekonań – chyba że

w tradycji Groucho Marksa. – »To są moje poglądy! A jak wam się nie podoba, to... proszę bardzo, tutaj mam inne«”. Więc mógł wydawać ultrakatolickie pismo, by za moment pastwić się nad „tłustymi brzuchami

biskupów”. Ślinić się do Tuska, by po chwili go

postponować. Jutro może zacznie szyć brunatne koszule i ogłosi się spadkobiercą Haidera.

Bo Palikot gra wyłącznie na własne ego. Przetarł mu drogę Urban, przetarł Lepper i tylko Bozi dziękować, że jego bogactwu daleko do Berlusconiego, bo mielibyśmy naprawdę przykry w powonieniu pasztet.

Kawiarniana ekscytacja palikotowymi ekscesami przypomina mi równie bezrozumną

fascynację niektórych prawicowców



kibolami „patriotami”, jakieś chore  
inteligenckie

zauroczenie brutalną i pełną  
nieposkromioną pychy siłą. Czasem,  
kiedy punktuję

niebezpieczeństwa palikotyzmu, w  
odpowiedzi słyszę: no, ale pokaż  
drugiego tak

inteligentnego polskiego polityka. Po  
pierwsze, po lekturze obydwu  
wywiadów rzek

i wielu innych tekstów autora *Płoną  
koty w Biłgoraju* mógłbym dyskutować  
o różnicach między inteligencją  
(mądrości nawet nie wspominając) a

mieszanką megalomanii i kabotynizmu człowieka, który na serio postuluje: „przeanalizujmy wreszcie na zimno

fenomen Palikota”, czy opisuje własny heroizm: „Wiem, że nie mógłbym

zinstrumentalizować Kaczyńskich, gdybym sam się nie poświęcił. Nie mógłbym ich

poniżyć, nie poniżając się wraz z nimi”. Po drugie, wysokie IQ świadczy tylko o wysokim IQ, które nie dość, że nie przeszkadza, to często pobudza do flirtu ze złem.

Nasz świat się chybcze i obawiam się, że nadchodzi czas Palikotów, obojętne

w jakie

maski przystrojonych. Ale to nie znaczy, że mam z tego powodu klaskać w łapki i cieszyć się, że ktoś chce naszą karuzelę wysadzić z osi.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/37.

## **Gry miłosne**

Wydawałoby się, że z naszych dwóch politycznych samców alfa ciekawszy do opisu

i analizy jest Jarosław Kaczyński.

Mroczny podmiot publicystycznego pożądanego, niegdyś porównywany do

czarnoksiężnika paraliżującego swych wrogów samym spojrzeniem.

Strateg planujący dwadzieścia ruchów do przodu.

Dzisiaj te fascynacje nieco przebrzmiały, choć Piotr Semka potrafi wpaść w zachwyty,

jak prezes przechytrzył rywali, bo zamiast wziąć udział w debacie z Tuskiem, załatwił

sobie solowy wywiad w telewizji. Jednak spór toczy się raczej o to, czy Jarosław

Kaczyński jest (a wraz z nim PiS i

Polska) niewolnikiem własnych obsesji, czy też – jak argumentuje Robert Krasowski – obsesje te zupełnie świadomie tworzy, zarażając nimi ludzi zagubionych w chybotliwym świecie. Ku swemu skalkulowanemu na chłodno

pożytkowi. Gdzieś po drodze traktowana poważnie dyskusja o meandrach myśli

Kaczyńskiego zamieniła się w spekulacje, kogo prezes tym razem oskarży o zdradę

i zaprzaństwo, kogo jutro rano wykluczy z polskiej wspólnoty.

Z Donaldem Tuskiem sprawa ma się inaczej. Kto, poza piszącymi z

ewidentną intencją

obraży, traktuje jeszcze premiera jako chłopczyka w krótkich spodenkach, ganiającego za piłką (choć nadal gania)? Chyba tylko ci, którzy w ten sposób leczą urazy po kilku solidnych wyborczych łomotach spuszczonej im przez chłopczyka. Za to często, coraz częściej, pada pytanie: kim właściwie jest Donald Tusk?

Można próbować odpowiadać tak jak Sławomir Cenckiewicz, który kończy pracę na

temat premiera. W wywiadzie na jej temat prezentuje kolekcję tropów i

insynuacji.

„Zainspirowała mnie książka Pascala De Suttera *Szaleńcy u władzy*, która uzmysłowiła potrzebę profilu psychologicznego Tuska”. Dalej jest o człowieku „dość przeciętnym i w gruncie rzeczy mało interesującym”, pomniejszanie zaangażowania w opozycję, aż

wreszcie prostackie sugerowanie, że Tusk „w swoim działaniu jest od kogoś uzależniony

w sposób niezgodny z zasadami demokracji”. Co – kryjąc się, zaznacza Cenckiewicz –

może być potwierdzone lub odrzucone.  
Mogę więc nieśmiało założyć, że kiedy  
już dzieło

Cenckiewicza powstanie, wzbudzi  
ekstazę prawicowych recenzentów i –  
kto wie – może

„Gazeta Polska” zgłosi autora wraz ze  
swym nowym felietonistą „Staruchem”  
do

literackiej Nagrody Nobla.

Ale dla ludzi o mniej rozbuchanych  
mocach intelektualnych problem „kim  
tak naprawdę

jest Donald Tusk?” pozostaje.



Interesującym przyczynkiem do odpowiedzi jest ukazująca

się na dniach książka *Daleko od miłości* Michała Majewskiego i Pawła Reszki,

dziennikarzy „Rzeczpospolitej”. „Nie ma jednego Donalda Tuska. Raz jest naturalny

i spontaniczny, a potem jest produktem PR-u, któremu słowa dyktują sondażowe słupki.

Czasami apodyktyczny i nieugięty, innego dnia gra brata łąkę. Bywa intelektualistą,

a później luzakiem z podwórka, który

potrafi kląć, na czym świat stoi. Który Tusk jest prawdziwy? Każdy” – odpowiadają autorzy.

A więc który Tusk? Jedyna broń PO, polityk horyzontami przerastający daleko swą

partię? Polityczny i towarzyski uwodziciel? Bezwzględny brutal? Leniuszek? Pasjonat

czystej władzy? Poszukiwacz akceptacji i pochwał? Zelig? Zmyślny taktyk potrafiący

działać wbrew całemu otoczeniu? Cynik? Polityczne zwierzę obdarzone nadzwyczajnym

instynktem? Liberal? Antyliberal?  
Mistrz empatii? Człowiek poddający się  
napadom

paniki i depresyjnym nastrojom?  
Polityczny terminator? Dla każdej z tych  
charakterystyk znajdą państwo u  
Majewskiego i Reszki potwierdzenie.  
Okraszone zakulisowymi anegdotami,  
czasami balansującymi na krawędzi  
politycznego Pudelka, ale zawsze  
znakomitymi w lekturze.

Szczególne wrażenie robią opowieści o  
kolejnych triumwiratach (Tusk –  
Olechowski –

Płazyński, Tusk – Rokita – Gilowska,

Tusk – Schetyna – Drzewiecki) i kolejnych rzeziach triumwirów. Jak to ujął Jan Maria Rokita (ten sam Rokita, który wcześniej „mordował”

Olechowskiego): Tusk „zabił Zytę, żeby oczyścić sobie pole do zabicia mnie”.

Te fragmenty czytało mi się tym przedniej, że lekturę przerywałem, zaglądając po raz kolejny do książki Simona Sebagi Montefiore *Stalin. Dwór czerwonego cara*. Mechanizmy podobne, tylko mordowali bez cudzysłowów. Swoją drogą, jak wieść niesie, miłośnikiem krwawych anegdot o Dżugaszwilim jest Jarosław Kaczyński.

Bo polityka jakoś zawsze jest taka sama,

zmieniają się tylko stroje i narzędzia. I mimo pędzenia z anegdoty w anegdotę Majewski i Reszka we frapujący sposób pokazują jej mechanizmy w polskim wydaniu, bynajmniej nie tak banalne i idiotyczne jak piana

i pyskówki na powierzchni.

A jak po lekturze ich książki odpowiedziałbym na pytanie, kim jest Donald Tusk? Nie

wiem.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/36.

**Londyn–Warszawa wspólna sprawa!**

Największy malkontent musi przyznać,  
że kroczymy od sukcesu do sukcesu.

Prezydencja nasza, gruzińska potęga  
piłkarska na kolanach, Centralne Biuro  
Śledcze

ośmieszyło Narodowy Bank Szwajcarii  
i uszczęśliwiło polskich  
kredytobiorców,

zatrzymując Franka. Z gangu Szkatuły.  
Ale największy sukces, przy którym  
bledną

wyczyny Domarskiego i  
Tomaszewskiego na Wembley,  
odnieśliśmy na Wyspach. Niech się

chowa Lech Wałęsa i jego podejrzany  
skok przez płot. Polska żyje teraz  
skokiem Moniki

Kończyk, lat 32, z płonącego  
londyńskiego budynku. Znów mówi o  
nas cały świat. Trudno

nie czuć rozpierającej serca dumy, której  
ciutkę brakowało, odkąd Adam Małysz  
zawiesił

narty. Reporterzy szaleją, producenci  
„Tańca z gwiazdami” mają o czym  
myśleć.

Ale nie kierujemy się tylko emocjami.  
Patrzymy na Londyn i wyciągamy  
własne

wnioski. Zaczął Radosław Sikorski na Twitterze: „Z liścia ich wszystkich! Dorżnąć

watahę!” . Stefan Niesiołowski wypowiedział się przed kamerą, której obiektyw pokrył się nieco śliną: „Te szumowiny, kanalie, psychopaci, ścierwa, męty to wypisz, wymaluj angielski odpowiednik pisowskiego bydła. Nie zdziwiłbym się, gdyby wśród zatrzymanych

byli działacze partii pana Kaczyńskiego” . Janusz Palikot wyraził zainteresowanie, jak

wypadki londyńskie wpłyną na sytuację rajów podatkowych na kanale La



Manche. Adam

Hofman podkreślił, że w ten bolesny dla wszystkich Polaków sposób obserwujemy

katastrofalne skutki objęcia europejskiej prezydencji przez nieudolny rząd Donalda

Tuska. Odpowiedział mu Paweł Graś:  
„Obywatele Wielkiej Brytanii i wszyscy

Europejczycy doskonale zdają sobie sprawę, że spokojne i merytoryczne kierowanie Unią

przez polskiego premiera pozwoliło zakończyć te smutne wydarzenia już

czwartego dnia”.

Sam premier wystąpił na konferencji prasowej i zaznaczył, że nie dramatyzowałby

z powodu sytuacji, której skądinąd przygląda się w skupieniu, gdyż wszyscy jej uczestnicy są zapięci na ostatni guzik, a nawet mają kapturki, więc nikt i nic go nie rozprasza.

Prezydent Komorowski wyraził nadzieję, że ktoś w tym całym zamieszaniu pilnuje bab

w domu. Jarosław Kaczyński podkreślił, że gdyby w Polsce istniały wolne media, to

dziennikarze zastanowiliby się nad  
związkiem między pobytym Jana  
Kulczyka

w londyńskim szpitalu a tym, co się teraz  
dzieje. Ale jak dodał, za długo żyje i za  
dużo wie, by na to liczyć.

Grzegorz Napieralski uznał, że źle się  
dzieje i lepiej, żeby było dobrze, i  
zapytał

Tomasza Kalitę, czy nie skołowałby mu  
zdjęcia Davida Camerona z autografem.  
Marek

Wikiński z SLD dodał, że odwołał swój  
wyjazd do Londynu, gdyż obawiał się

natarczywych zalotów umięśnionych młodzieńców, rozochoconych ulicznymi fikołkami.

Czołowe polskie feministki podkreśliły zadowolenie, iż wśród aktywnych uczestników

wydarzeń znalazło się tak wiele kobiet, „co w patriarchalnym światku nad Wisłą byłoby

niewyobrażalne”. Głos zabrali również publicyści. Dla Tomasza Sakiewicza z „Gazety

Polskiej” jasne jest, że za wydarzeniami stoi Rosja chcąc przejąć nabywców gazu

wydobywanego przez Brytyjczyków  
spod dna Morza Północnego. Jego  
redakcyjny kolega

Piotr Lisiewicz skupił się bardziej na  
aspekcie socjologicznym londyńskiego  
lata: „Młodzi ludzie nie  
podporządkowali się regułom  
skorumpowanej kasty władzy.

Zaangażowani w działania patriotyczne,  
nawiązując do chlubnej spuścizny  
Dumnego Albionu,

w przerwach między walkami z  
pretorianami układu przeprowadzali  
staruszki przez pasy

i angażowali się w działalność  
charytatywną w przedszkolach. Po

każdym odzyskaniu

sklepu minutą ciszy czcili pamięć  
Winstona Churchilla. Angielskie media  
panikują, bo

protestujący odbudowują tradycje  
patriotyczne sięgające czasów  
Cromwella. Zapewniamy

was, angielscy bracia, że polscy patrioci  
skupieni w klubach kibica są z wami!”. I  
dodał, że planowana jest misja  
szkoleniowo-humanitarna pod wspólnym  
przywództwem panów Starucha i Litara.  
Jacek Żakowski podkreślił oczywistość  
związku przyczynowo—

skutkowego między niedawnym

spotkaniem Davida Camerona z  
Jarosławem Kaczyńskim

a londyńskim wybuchem: „Tego było za  
wiele nawet dla flegmatycznych  
Anglików,

których nie poruszyła rzekoma tak zwana  
afery podsłuchowa Murdocha, uszyta

w gabinetach władzy. Jeśli dodamy do  
tego zawirowania w branży  
energetycznej,

rywalizację firm telekomunikacyjnych,  
brak leku na malarię, żądanie  
przywrócenia kary

śmierci oraz próby ustalenia dokładnej

wartości liczby pi, to nikt nie może się dziwić.

Napiszę zresztą o tym szerzej w 47 następnych artykułach i wypisach ze wstępu do

socjologii dla pierwszego roku”. Bracia Karnowscy w poruszającym, niepokornym, kulom

się nieklaniającym komentarzu zapytali, czy to aby czysty przypadek, że z powodów burd odwołany został mecz Anglia–Holandia, a bez przeszkód zagrali Niemcy z Brazylijczykami. „Nikt ani nic nie powstrzyma nas przed dążeniem do uzyskania



odpowiedzi na to śmiało pytanie”. Ciąg dalszy niestety nastąpi.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/33.

## **My, włoska brygada!**

W czasie wędrówek po ojczyźnie uderzyło mnie, że prapolskie krasnale ogrodowe

doczekały się godnego rywala. Kraj podbijają dinozaury. A konkretnie parki tematyczne

poświęcone tymże. Jedzie człowiek przez Wielkopolskę czy Pomorze, a tu zza stodoły

w plastikowym wytrzeszczu spoziera  
brontozaur.

Nie wiem, o co chodzi. Czy  
podświadomie społeczeństwo oddaje  
grozę rządów Tuska,

a może po okresie karłowatości  
(krasnalowatości) III RP dinozaury z  
wiejskich podwórek oddają ogrom cudu  
gospodarczego i drapieżność naszych  
cech narodowych, które skazują nas na  
sukces, dopóki nie nadleci meteoryt.  
Myślę, że wyjaśni to prof. Czapiński.

Moda modą, a pewne rzeczy są  
niezmienne. Po pierwsze, tzw. polskie  
akcenty.

Pradziadek kierownika szatni Chelsea miał przyjaciela, który w XIX wieku zjadł bigos,

i już mamy polski akcent w Lidze Mistrzów. Po drugie, co inni o nas myślą, mówią i piszą.

Cień kurtuazji doprowadza nas do patriotycznego orgazmu, nuta krytyki każe stawiać

kosy. Postanowiłem więc jako nieodrodny syn tej ziemi poczytać na zagranicznych forach, co cudzoziemscy ignoranci sądzą o potomkach husarzy. Skoro przy husarii jesteśmy – wywołuje ona zainteresowanie koneserów, którzy dopytują, czy istnieje poświęcone jej

muzeum. W świat poszła wieść, że jesteśmy potęgą rekonstrukcji historycznych. Warto

zwiedzić Auschwitz, Gdańsk, Karpaty, Kraków, Malbork, Toruń, Częstochowę, rosyjski

targ w Warszawie (ale chyba już go nie ma), a nawet Słowiński Park Narodowy.

Pociągi jeżdżą wolno, ciężko w nocy kupić bilety, ale są tanie i bezpieczniejsze od

poruszania się po polskich drogach. W Warszawie jest dziwny dworzec kolejowy i pełno

kantorów, pewnie dla tych Polaków, którzy wracają z pracy w Anglii. Korki w stolicy

potrafią być 24 godziny na dobę, tego nie widziałem nigdzie w Europie. Stare Miasto było chyba odnawiane, bo jest w świetnym stanie. Architektura wygląda na mieszankę rosyjsko-niemiecką, a Warszawa nie jest takim koszmarnym miastem przemysłowym, jak

mówią. Zbrodnią jest pojechać do Polski i nie napić się wódki. Warto spróbować żubrówki i wyborowej, a z dala trzymać się od krakowskiej. Jedzenie jest świetne, trochę wiejskie, ale smaczne. Mają fantastyczny chleb,

śledzie i zupy. Przy posiłku w domu, kiedy dziękujecie za dokładkę, nie traktują was poważnie, i tak dołożą.

Trudno się dogadać po angielsku, zwłaszcza ze starszymi. Ci często znają rosyjski, ale udają, że nie. Należy grzecznie próbować mówić po angielsku, bo jeśli po prostu zagadamy, oczekując odpowiedzi, Polak może się obrazić. Nie należy dotykać ludzi,

zagadując albo rozmawiając. Wchodząc do mieszkania, należy zdjąć okrycie przy wejściu.

Wielu gospodarzy oczekuje również, że zdejmemy buty. Polacy traktują się bardzo

poważnie. Kiedy idą ulicą, wyglądają na skupionych na celu marszu. Nawet ich psy nie

zwracają uwagi na inne psy. W autobusie groźnie wyglądający osiłek potrafi ustąpić

miejsca starszej kobiecie. Miasta wydają się spokojne, ale można wyczuć jakieś napięcie, jakby coś miało zaraz eksplodować. Mają ciekawe wierzenia: nie należy na przykład dziękować, kiedy ktoś życzy ci szczęścia, i nie należy zapalać papierosa od świeczki.

Polacy wyglądają na romantyków. Wszędzie widać dziewczęta z kwiatami bądź

chłopców zmierzających z bukietami na randki. Młodzi się przytulają i całują. Polki są dość zalotne wobec cudzoziemców. Ludzie cenią wygląd i to, jak się ubierają. Polacy są sympatyczni i otwarci, ale nie oczekujcie, że was zaproszą; sami musicie wykazać inicjatywę. Bywają homofobiczni, rasistowscy i seksistowcy, przekonani, że katolicyzm

jest jedyną możliwą wersją chrześcijaństwa. Kobiety w mediach przedstawiane są jako

coś trochę atrakcyjniejszego od stada krów. Polacy są jednocześnie dumni ze swojej



historii i bez przerwy narzekają na Polskę, tak jakby wszyscy chcieli wyjechać, gdyby

tylko mogli.

Przed przyjazdem myślałem, że Polacy są podobni do Rosjan. W żadnym wypadku! Są

bardzo włoscy z charakteru, bardzo otwarci i spontaniczni. Są delikatni, jak mogą,

unikają krytyki gościa lub jego zachowania.

Po piątej po południu żegnają się, mówiąc „dobranoc”. Zupełnie jakby

wszyscy byli

chorzy albo nie marzyli o niczym innym  
jak tylko o położeniu się do łóżka. Nie  
lubią

parasolek. W deszczowy dzień jestem  
zawsze jednym z niewielu  
nieprzemoczonych ludzi.

W telewizji najzabawniejsze jest, że  
każdego, trzyletnie dziecko czy starszą  
kobietę,

dubbinguje ten sam poważny męski głos.  
No i wszędzie leżą psie kupy. Prawie  
nie mają

publicznych pralni, a w prysznicach

zamiast ścianek są zasłonki albo po prostu nie ma nic.

Dogmatyczne sądy wygłaszają jako prawdy nie do podważenia. Może padać pół lata, zimy

bywają strasznie mroźne, ale mówię wam, to najpiękniejszy kraj w Europie!

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/32.

**Kolaboruję, bo jestem podły**

Kierując się logiką, ten rząd nie ma prawa wygrać wyborów. Czegokolwiek się tknie,

spartoli. Miały być autostrady, jest kretowisko. Miało być jedno okienko, jest tuzin

labiryntów. Miały być reformy, a przytulili nasze pieniądze z funduszy emerytalnych,

żeby kryć własną nieporadność. Perorowali o wolności, a ścigają prostaczków za kpiny

z władzy. I obiecują, i obiecują, i obiecują, aż rzygać się chce.

A więc powinniśmy ich powieźć jak najdalej. Ale nie powieziemy. A dlaczego? Bo mają

opozycję, dla której my, ludzie środka,  
jesteśmy kanalami, lemingami,  
debilami,

zdrajcami, ruskimi agentami. I  
powinniśmy dziesięć razy dziennie  
przepraszać, że nie

ukochaliśmy wystarczająco prezydenta  
Kaczyńskiego. I odciąć sobie stopę za  
głos na

Tuska. I codziennie uronić 27 łez nad  
losem braci Karnowskich i żadnym  
wy tłumaczeniem

naszej bierności nie jest, że Karnowscy  
szlochają ze swego powodu codziennie

i całodobowo, krzycząc: „hańba!,  
podłość!”, i dziw wielki, że nie  
otworzyli myjni

samochodowej, co by tę łzawicę jakoś  
spożytkować.

Ale być może bracia nieświadomie  
postanowili wytłumaczyć  
rozczarowanym

i zniesmaczonym wyborcom PO,  
dlaczego nigdy, pod żadnym pozorem nie  
wolno

zagłosować na Jarosława i PiS. Więc  
zrobili, jak potrafili, i wydrukowali, i  
dali na okładkę swego tygodnika  
„Uważam Rze” wywiad z poetą

Jarosławem Markiem Rymkiewiczem, idolem absolutnym Polski patriotycznej i prawdziwej. Jest tylko jeden problem: mnie się wydaje, że Karnowscy to wysoko opłacani agenci Tuska, którzy robią sobie okrutne żarty ze starszego pana, wyzywającego się w radykalizmach: albo chwali oprawców z UB, albo ślini się do Jarosława. I Karnowscy chcą przesłanie pisowskiej opozycji obrócić w kabaret.

No bo posłuchajcie, Szanowni Państwo: „Te narody oddzieliły się od siebie i zaczęły wieść życie osobne kilkaset lat temu. Jeden to naród patriotów, drugi – naród kolaborantów”.

Jakby ktoś nie wiedział, to o nas,  
Polakach.

A więc piszę to jako kolaborant, ale  
pocieszam się, że takich jak ja  
Rymkiewicz tępił

równie stanowczo, kiedy padał w  
Polsce stalinizm, a Rymkiewicz do tegoż  
stalinizmu

tęsknił. I mam prośbę do braci  
Karnowskich: zapytajcie  
najbardziejszego dzisiejszego

polskiego patriotę, o co miał pretensję  
do „inteligenckich szakali”, którzy  
zdradzili



komunizm i próbowali epatować Polaków „mitem o krwawym Urzędzie Bezpieczeństwa”.

Ktoś powie: ale przecież Rymkiewicz nie jest politykiem PiS. Jeśli bełkocze, to na

własny rachunek. Nie do końca. Rydzyk też nie jest politykiem PiS, ale jego działacze

spijają każde słowo z ust toruńskiego, kościelnego biznesmena i jak po ostatnim występie w Brukseli bronią farmazonów jak niepodległości. Czyli się utożsamiają i cieszą, że ktoś za nich mówi to, czego oni już nie muszą.

Z Rymkiewiczem jest podobnie.  
PiSowski tygodnik wybija majaczenia  
ekstremisty na

okładkę i w razie czego można  
powiedzieć: to nie my, to Poeta. Ale na  
portalu

Prawdziwych Patriotów, czyli  
[Wpolityce.pl](http://Wpolityce.pl) Jacek Karnowski ogłasza:  
„Dziś polską inteligencją jesteście my.  
Choćby było nas kilkoro. Choćbyśmy  
gnili na marginesie do końca świata”.

I o to chodzi. Panowie i panie, którzy  
wycierają sobie Polską, Narodem,  
cierpieniem,

patriotyzmem usta, tak naprawdę tym

narodem gardzą. Bo ten w większości  
nie podziela

ich obsesji i atawizmów. Bo uważają, że  
jedynym kryterium polskości jest  
umiłowanie

Jarosława i zapatrzenie w szlachetne  
spojrzenie Macierewicza. A kto sądzi  
inaczej, ten leming niezdolny do  
myślenia. To ja wam za darmo  
podpowiem: trzeba naprawdę  
niebываłego talentu, żeby mając tak  
nieudolną władzę, zrażać skutecznie  
potencjalny

elektorat opozycji. Przecież to powinien  
być samograj. Po czterech latach  
czczych

obiecane, my, obywatele, musielibyśmy zagłosować na alternatywę. Ale ta alternatywa

każdego dnia przypomina nam, że jesteśmy ruską, bezmyślną swołoczą kolaborantów,

mieszkańcami ubekistanu, najpotworniejszego miejsca pod słońcem. Więc proszę, nie

płaczcie już, nie żalcie się, że ten debilny naród was nie rozumie. Jak się na kogoś

nieustannie rzyga, to nie należy czekać na pocałunek wdzięczności. Poczytajcie sobie

jeszcze Rymkiewicza: „Naród kolaborantów jest ogarnięty i obezwładniony obsesją swojej małości, nędzy, podłości i znikczemnienia. Co oczywiście nie przeszkadza i nigdy nie przeszkadzało polskim kolaborantom twierdzić, że kolaborują z przyczyn patriotycznych”.

Nie certolmy się. Kolaboruję (choć nie do końca wiem z kim), bo po prostu jestem podły.

Nie to co wrywający paznokcie ubecy, genetyczni patrioci, którymi tak się zachwycał

Rymkiewicz.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/28.

## **Między nami hitlerowcami**

Najtęższe głowy, najsprawniejsze pióra,  
najpiękniejsze umysły naszego kraju  
próbują

opisać spór polski Anno Domini 2011.  
Pozwolą państwo, że i ja, skromny  
przedstawiciel

hedonistycznego odłamu społeczeństwa,  
posiłkując się prasą polskojęzyczną,  
postaram się o próbę analizy.

Postawiłbym tezę (która skądinąd  
pięknie wyglądałaby zilustrowana na

infografice

dwóch przecinających się osi), że o przyszłość mej ojczyzny walczą faszyci z komunistami (ugrupowania umiarkowane) oraz hitlerowcy ze stalinowcami (formacje bardziej wzmożone). Do debaty włączają się niekiedy trockiści, hunwejbini, damscy bokserzy

i kibole. Jak wiadomo, czasy się zmieniają i coś, co kiedyś wydawało się niewinnym

żarcikiem, dziś może okazać się grubszą przewiną. Taka *Seksmisja* Machulskiego. 30 lat temu można było się śmiać na niej do rozpuku, że niby,

panie, taka zabawna, a dzisiaj to chyba jasne, iż mamy do czynienia z przejawem szczególnie agresywnego męskiego szowinizmu.

Kolejny temat: gra świateł. Żebym to ja wiedział, PRL-owskim harcerzem będąc, iż

łażenie po mazurskich lasach, a nawet po warszawskiej Starówce z zapalonymi

pochodniami to najczystszej wody faszyzm! A teraz proszę. Pochodnia na demonstracji

równa się swastyka i adoracja Adolfa. Mówią to mądrzy ludzie, więc pewnikiem tak jest.



Jeszcze nie przestałem się martwić, że mając 12 lat, byłem niczego nieświadomym

faszyściątkiem, kiedy ze zgrozą pomyślałem o budowie autostrad. W końcu to symbol

Hitlera. Czy możemy więc postawić tezę, że im bardziej nie idzie nam budowa dróg

szybkiego ruchu, tym bardziej odganiamy demony totalitaryzmu? Mam nadzieję, że mi to

ktoś wyjaśni.

Fani piłki nożnej i polskiej dyskusji

publicznej szczególnie cenią sobie derby miasta

Łodzi, kiedy kibice ŁKS i Widzewa wzajemnie wyzywają się od Żydów, Jude *etc.* Podobnie

rzecz wygląda z polską polityką. Hitlerokomuna vs. hitlerokomuna. Dla Jarosława

Kaczyńskiego i jego zwolenników „Gazeta Wyborcza” to spadkobiercy Komunistycznej

Partii Polski. Adamowi Michnikowi zaś PiS przypomina co? Tak, wygrali państwo

odkurzacz! Prawidłowa odpowiedź  
brzmi: Komunistyczną Partię Polski.  
Wzajemne

oskarżenia o bolszewizm i stalinizm to  
elementarny know-how polskiej  
polityki.

Wiadomo, że spory między komunistami  
kończyły się często kulą w tył głowy,

w najlepszym razie długoletnim  
więzieniem. Ale u nas jest ciekawiej.  
Dla jego

przeciwników PiS to partia w  
najlepszym razie zmierzająca do  
faszyzmu, profesorowi

Michałowi Głowińskiemu, specjalście  
od mowy nienawiści, jej zwolennicy  
przypominają

nazistów. Więc Piotr Zaremba poszerza  
pole do dyskusji, porównując do  
hitlerowców

„Gazetę Wyborczą”. Przy okazji, jako  
człowiek o szerokich horyzontach i  
brawurowych

skojarzeniach, dostrzega w pisowskiej  
opozycji i jej sympatykach Żydów w  
czasie

Holocaustu, a w renegatach Kluzikowej  
żydowskich policjantów  
współpracujących

z ludobójcami. Nie, proszę państwa,  
niczego nie przedawkowałem.

Kolejna kwestia: na czym buduje swoje  
poparcie Jarosław Kaczyński?

Wiadomo: na

strachu i nienawiści. A na czym Donald  
Tusk? Bingo! Na strachu i nienawiści.

Do czego

zmierza J.K.? Oczywiście oczywistość:  
do państwa totalitarnego. A co już  
buduje D.T.?

Państwo totalitarne.

W tej debacie zasmucający nieco jest  
jej, odstający od trendów światowych,

europocentryzm. Owszem, raz czy drugi jakiś proplatformerski erudyta dostrzegł

podobieństwo działaczy PiS do chińskich hunwejbiniów, krwiożerczych radykałów

rewolucji kulturalnej. Ale co z Pol Potem? Kilka miesięcy temu wyszła znakomita książka szwedzkiego dziennikarza Petera Fröberga Idlinga *Uśmiech Pol Pota*, w której wiele pisze o demonicznej dobroćności kambodżańskiego satrapy. I co? Nikomu nic się nie skojarzyło? Altruistycznie biorę pod rozwagę kandydatury na polskiego Pol Pota: na

początek Jarosław Gowin i Ryszard

Legutko. Nie dajcie się zwieść ich spokojnej mowie

i subtelnej edukacji. Pol Pot studiował na paryskiej Sorbonie.

Idźmy dalej, bardziej na południe, wprost do Ugandy. Idi Amin, domniemany ludożerca.

No, tu mogę się oprzeć na poszlakach, czyli obserwacji zewnętrznej, więc zgłaszam Karola Karskiego, Michała Kamińskiego i Ryszarda Kalisza.

Ale wbrew pozorom moja analiza ma bardzo optymistyczny wydźwięk. Oto skończył się

definitywnie zatruwający naszą  
codziennosc podzial na Polskę liberalną  
i Polskę

solidarną. Skoro wszyscy jesteśmy  
zarówno hitlerowcami, jak i  
stalinowcami, tedy nie

pozostaje mi nic innego, jak zawołać:  
kochajmy się!

Tekst po raz pierwszy ukazał się we  
„Wprost” 2011/23.

***Hey, hey, USA!***

Siedzę w zablokowanej w monstualnym  
korku taksówce, klniemy z panem  
kierowcą



na paraliż miasta z powodu wizyty  
Obamy, a że taksówkarz wiekowy, to mu  
się z wizytą

Breżniewa kojarzy, chociaż z focha  
Lecha Wałęsy, który prezydentowi USA  
nie poda

nawet nogi, bo w ogóle nie będzie sobie  
zawracał głowy spotkaniem, bo ono dla  
naszego

noblisty jest niczym więcej niż okazją  
do pstryknięcia pamiątkowej fotki. A że  
nie

ruszymy się chyba o dziesięć metrów  
przez najbliższą godzinę, to mogę wyjąć  
laptopa

i oddać się paru amerykańskim  
rzewnościom na klawiaturze.

Początek podstawówki, czyli połowa lat  
70. Rodzice informują, że przyjdzie do  
nas

w odwiedziny prawdziwa Amerykanka.  
Boże, co za ekscytacja! Na pewno  
będzie wyglądać

jak Raquel Welch, Rita Hayworth albo  
inna piękność z westernów, które  
komunistyczna

telewizja dawkuje oszczędnie.

Wydawało mi się, że Amerykanie to  
inna, piękniejsza rasa.

A Amerykanka wprawdzie głaszcze mnie po głowie i daje jakieś łakocie, ale nie wygląda

jak bogini z burzą rozwianych włosów. Cóż za rozczarowanie!

Mam 12 lat i w nieistniejącym już kinie Wars na warszawskim Nowym Mieście

oglądam po raz pierwszy z kilkudziesięciu razy *Hair* Miloša Formana. Pierwszy

mimowolny rezultat to (spełniona dopiero parę lat później) chęć zapuszczenia włosów.

A drugi to pytania do taty: jak to jest, że

cudzoziemiec może w tej Ameryce robić taki krytyczny wobec Ameryki film? Tata tłumaczy i myślę, że ta Ameryka to chyba najfantastyczniejsze miejsce na świecie.

Kiedy kilka lat później, na początku liceum, amerykańscy znajomi rodziców przed

przyjazdem do Polski pytają, co bym chciał dostać, nie mam wątpliwości – dużą

amerykańską flagę, z naturalnego materiału. Nie mogą się nadziwić. A ona wisi na moich drzwiach przez całe lata. Przez które zastanawiam się, czy zatracająca się w swej

antyamerykańskości zachodnia lewica to idioci, czy sowieccy agenci. Pewne rzeczy się nie zmieniają, myślę sobie, czytając dzisiaj porównania Guantánamo do GUŁagu.

Jak dla całego pokolenia Ronald Reagan jest moim idolem, pogromcą Imperium Zła.

A że czytam wiele, tedy wiem, że nie wszystko, co głosi komunistyczna propaganda, jest tylko propagandą, jak choćby obalenie przez USA demokratycznych rządów w Gwatemali czy Iranie pod pretekstem zwalczania światowego komunizmu. Ale wróg naszego wroga,

wiadomo...

Aż przychodzi lato 1990 i ląduję na lotnisku JFK w Nowym Jorku. Noc, gdy wjeżdżam

na Manhattan, jeden z najpiękniejszych widoków świata. Potem rok w Atlancie. Wojna

w Zatoce. Mój kumpel z knajpy, gdzie pracuję jako pomywacz, który pyta, czy idę na

wojnę. I nie może pojąć, że mimo że mieszkam w Stanach od kilku miesięcy, to nie jestem jeszcze i nie czuję się Amerykaninem – więcej, nie chcę nim zostać. Jak to?! To powracające,

wzruszające zdziwienie Amerykanów,  
że mogą nie chcieć wybrać życia na

tym najwspanialszym, danym przez  
Boga, kawałku – no, całym kawale –  
ziemi.

I żółte wstążki na domach, z których  
chłopcy wyruszyli na wojnę. I  
wielotysięczne

pożegnania jadących walczyć za  
Amerykę. I długowłosi faceci w T-  
shirtach z flagą

i z napisem „Tylko spróbuj jej  
dotknąć!”. I odkrywanie przeze mnie  
dumnego,

zapraszającego patriotyzmu. I kraju, w którym można zobaczyć wszystko, co najlepsze

i co najgorsze. Uliczne strzelaniny i całe ulice, gdzie ludzie zostawiają otwarte domy i kluczyki w samochodowych stacyjkach.

Zdziwienie mego taty, wykładowcy uniwersyteckiego, jak bardzo niedouczeni

przychodzą na studia absolwenci liceów. I jeszcze większe jego późniejsze zaskoczenie, jak szybko się uczą, a ściślej jak świetnie są nauczeni, jak się szybko uczyć.



I mimo wszystkich późniejszych lat,  
amerykańskich rozczarowań, ja już na  
zawsze będę

z tych, których powiewająca pod koniec  
*Szeregowca Ryana* amerykańska flaga  
wzrusza i podbudowuje, a nie irytuje czy  
śmieszy. I który spędził całą  
amerykańską noc wyborczą, patrząc w  
niemym podziwie, jak zwycięski Obama  
gratulował walki McCainowi, a ten  
uciszał buczących sympatyków i  
zapewniał ich, że senator Obama jest  
wielkim

amerykańskim patriotą. Wiem, to kicz.  
Nie szkodzi – trawestując Stonesów,  
mogę

powiedzieć *it's only American kitsch, but I like it*. I dlatego bez bólu postoję jeszcze w tym korku.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/22.

## **Mojesz i matoly**

Dzisiaj to zrozumiałem. Bronisław Komorowski jest największym polskim mężem stanu

od czasów Piłsudskiego. A może od Jagiełły. Zaraz to sobie wyjaśnię, tylko zajrzę do

Wikipedii i sprawdzę, czy starszy Litwin był wystarczająco wielki na porównania

z panem prezydentem.

I chciałem publicznie przeprosić za moje niegodne komentarze na Facebooku, z których

mogło wynikać, że mam coś do poczucia humoru pana prezydenta. Byłem pijany. Chory.

Pobili mnie siepacze Joachima Brudzińskiego. Spryskali mnie helem. Ktoś mi się włamał

na konto i za mnie napisał. Proszę, uwierzcie! Kaszaloty, bigosowanie, baby w jaskini albo w chałupie, czy gdzie tam babska mają siedzieć, są nieprawdopodobnie zabawne i urocze!

No i to z całowaniem w rękę, że od czegoś trzeba zacząć. O jejku, aż przestałem pisać, tak mną serdeczny śmiech zatrzęsł. Ten cały Woody Allen, zamiast przyjeżdżać do Katowic, żeby pograć na klarncie, powinien pruć do Belwederu na szkolenia.

Zwracam się szczególnie pokornie do sympatycznych niewątpliwie czytelników

z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Do tych samych, którzy nie bacząc na

niebezpieczeństwo i zagrożenie własnego życia, w brawurowy sposób o szóstej nad ranem

wtargnęli do siedziby terrorystycznej jacejki. Pochwycili w niej 25-latka, autora

internetowej strony [Antykomor.pl](http://Antykomor.pl), na której obrażał swymi zupełnie nieśmiesznymi żartami i kolażami pana prezydenta. Przeszukali piwnicę, skonfiskowali laptop i okazali głęboki humanizm, gdyż przecież mogli potraktować typa jak amerykańscy komandosi Osamę. Autor chyba to docenił, bo stronę natychmiast usunął. A my, porządni obywatele, dowiedzieliśmy się o niej, gdyż wcześniej wskutek złowrogiej konspiracji nikt o niej nie słyszał.

Wykrzywiam również twarz w  
przymilnym uśmiechu, który ślę  
prokuratorom tak

mądrym w swej mądrości, rozumiejącej  
prawdziwe zagrożenia państwa  
polskiego. Wszak

to oni, dbając o nasze bezpieczeństwo  
(wewnętrzne, zewnętrzne, kosmicznego  
nie

wyłączając), ABW na terrorystę posłali.  
Tu odpowiedź od lojalnego obywatela:  
uważam,

że temu Górskiemu, kabareciarzowi,  
pożal się Boże, Robert ma na imię, co to  
z pana

premiera się naśmiewał, chłopcy z ABW też powinni złożyć wizytę o świcie. I kontrolnie raz czy dwa pałą go, panie władzo. No bo jakże to tak? Aha, ten Sekielski z telewizji zrobił taki film wredotę o panu premierze, też by mu się pobudka przydała. Mazurek

i Zalewski! Przecież to do niczego niepodobne, żeby w nowoczesnej demokracji, jaką jest Polska, takie paszkwile na władzę pisać! W razie czego służę adresem Zalewskiego i w osobistej rozmowie chętnie wyjaśnię, dokąd kierować się z windy, bo to wcale nie takie oczywiste i funkcjonariusze mogliby się pogubić jak w 1980 r. Amerykanie pod Teheranem w

czasie próby odbicia zakładników. A redakcję „Rzeczpospolitej” dałoby się wreszcie zamknąć? Przecież to gorsze niż Al-Dżazira, co oni tam wypisują.

Dobrze, za pana prezydenta już przeprosiłem, teraz czas na pana premiera. Moja

wcześniejsza krytyka to był taki nieudany żart, nikt tego nie zrozumiał, nie dziwota, no bo nie każdy rodzi się z poczuciem humoru pana prezydenta. Ale proszę wierzyć na słowo, żartowałem. Tak naprawdę chciałem napisać coś à la politycy Platformy: że moje kilkumiesięczne dziecko, którego nie mam, ale gdybym miał, na pewno by



przestawało

płakać i uśmiechało się do telewizora, widząc w nim Donalda Tuska. Albo że geniusz

premiera bije Mojżesza, a równa się z nim tylko Piłsudski, czy też może na odwrót, nie bądźmy zanadto drobiazgowi. Muszę to wyjaśnić, bo spłacam kredyt mieszkaniowy, wiadomo jak frank szwajcarski poszedł w górę, i nie chciałbym się wpędzić w dodatkowe

koszta, jakimi jest mandat. Na przykład za to, że „w miejscu publicznym okazałem

lekceważenie konstytucyjnym organom

RP poprzez wykrzykiwanie haseł z  
użyciem słów

nieprzyzwoitych”, jak ci kibole, co w  
Białymstoku pod urzędem wojewódzkim  
krzyczeli:

„Tusk, ty matole, twój rząd obalą  
kibole”. Mam również nadzieję, że  
przedawnieniu uległo to, iż wraz z  
kolegami skandowałem w 1988 roku  
„znajdzie się pała na dupę generała!”.

W razie czego chętnie udostępnię  
prokuraturze nazwiska tych kolegów,  
którzy

sprovokowali mnie do niemądrych  
okrzyków, ja osobiście byłem święcie

przekonany, że

chodzi o Pinocheta.

Swoją drogą, jeśli za „matoła” jest pięć stów, to pewnie Stefan Niesiołowski płaci

miesięcznie ze sto tysięcy. Chociaż nie, on korzysta po prostu z wolności słowa.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/21.

**Ani słowa o wojnie!**

Pamiętacie *Hotel Zacisze* i jego gospodarza, zjawiskowo chamskiego Basila Fawlty’ego?

Mój ulubiony odcinek to *Goście z Niemiec*, kiedy grany przez Johna Cleese'a właściciel hotelu szykuje się na wizytę dawnych wrogów. Ofukiwany przez żonę, zdającą sobie sprawę z jego, hm, grzeczności inaczej, powtarza sobie: „ani słowa o wojnie!”. Ale spada mu na głowę zawieszony na ścianie łeb łosia, no i wiadomo, zaczyna się jazda. Co się nasz angielski burak przy dojczegościach odezwie, musi mu się wymस्कnać a to Adolf, a to Luftwaffe, a i krok mu się robi taki teutońsko marszowy. Katastrofa.

Ja nie mam gości z Niemiec, siedzi tylko przy mnie moja domowa  
Zakamuflowana

Opcja Niemiecka, czyli żona Ania, i czyta *Kocie oko* Margaret Atwood. Ale jest piękne popołudnie na Sardynii, słońce płynie za horyzont, na stole karafka miejscowego szczepu cannonau i mówię: „Ani słowa o Polsce! Ani słowa o Smoleńsku! Ani słowa o Jarosławie Kaczyńskim!”. Ale jestem zbokiem, w dodatku silnie uzależnionym, więc wchodzę do sieci i znów mogę się taplać w świecie zdrajców, rozpylonego helu, parchoszwabów, lisich synów, skorygowanych Polaków, tej całej brei, której odcięcie obiecywałem sobie solennie.

Więc kobiety z rodziny wyłączają mi internet i mówią: „Zaraz tam wrócisz,

jeszcze się

zdażysz zapluć po trzykroć, teraz spójrz dookoła. Kultura wina. Ciesz się.

Napisz lepiej, jak to jest, że wystarczy spuścić cię na pięć minut z oczu i już konsumujesz nielegalnie z faszystami”.

Proszę. Błąkając się po miasteczku, przypominałem sobie opowieść Piotra

Adamczewskiego, smakosza nad smakoszy, o casu marzu, czyli „zgniłym serze”.

Brukselscy specjaliści od krzywizny bananów zakazali jego sprzedaży, kierując się

głęboką troską o higienę Sardyńczyków. Fakt faktem, że przyrządzanie casu marzu jest

co najmniej specyficzne. W bryle owczego sera robi się dziury szpikulcem i wpuszcza

w nie larwy much, aby ryły, podjadały (podlewa im się też kropelkami owcze mleko),

defekowały i tak w kółko, aż otrzymamy pożądaną efekt końcowy. Który bardzo chciałem

poznać, a którego dzięki chłopakom z dalekiej Brukseli nie mogłem kupić w sklepie.

Udałem się więc do knajpki wiecznie uśmiechniętego Angela, wyglądającego skądinąd

jak ciemnowłosa wersja Johna Cleese'a z czasów Monty Pythona. Popołudnie przechodziło

w wieczór, ale restauracja była jeszcze zamknięta po sjeście, Angelo popijał przy barze białe vermentino z dwoma kolegami. Jeden przypominał Putina, nazywał się Danko, był

Niemcem i od 20 lat żył na wyspie. Drugi – Fabio – był bardziej jowialną wersją

Piłsudskiego, tyle że bez maciejówki i z



jeszcze niżej spadającym wąsem. Swoją drogą

przeżyłem kolejne zdziwienie na miarę przedszkolnego odkrycia, iż gołąbki to nie żadne ptactwo, lecz ryż z mięsem zawinięty w kapustę. Otóż na dobre i na złe zmuszony jestem zakomunikować, że nie Polska jest europejskim mocarstwem węża. Tytuł ten bez wątpienia należy się Sardynii.

Panowie zaprosili do towarzystwa, wręczyli kieliszek i po wymianie grzeczności

zapytałem o podziemny produkt mleczarski. Wpadli w zachwyt nad mym

zainteresowaniem, a Fabio grzmotnął się w pierś, wychylił kieliszek i rzekł:

„Idziemy do mnie!”. Mieszkał po drugiej stronie ulicy, na podwórzu tonącym w kwiatach. Drzwi otworzyła Chinka – jak się okazało – żona Fabia, który szybko pokroił bagietkę, nalał do kieliszków filu e ferru, czyli sardyńską odmianę grappy, no i najważniejsze, wyjął

z lodówki mroczny ser pożądania. Co wam będę mówił. Może i larwy, może i obleśne, ale

jeżeli kiedykolwiek traficie na Sardinie, pytajcie o casu marzu. Jeleń na rykowisku

w gębie.

I kiedy tak sobie pałaszowaliśmy, Fabio wznosił kieliszek filu e ferru, czyli „żelazny drut”, zapewniam, że ów napój zdecydowanie jest godzien swej nazwy – i wygłosił toast za duce. Myślałem, że się przesłyszałem, ale wzruszony gospodarz, widząc moje pomieszenie, sięgnął do kieszeni i wyciągnął pęk kluczy z breloczkiem, na którym widniał znany profil Mussoliniego w hełmie. Jakby chcąc się upewnić, że nic mi nie umknęło, wyrzucił rękę w sympatycznym geście zamawiania piwnego pięciopaku, dodał: „Jestem faszystą!”, po czym zaczął mi tłumaczyć, jak wielkim człowiekiem był Benito. Już miałem szykować

jakąś ściemę, dlaczego nie mogę wypić  
zdrowia wodza, ale wzruszony  
widokiem duce

Fabio wychylił kieliszek samotnie, ja  
zaś wymówiłem się kolacją i opuściłem  
gościnny dom jowialnego faszysty  
ożenionego z Chinką.

No to teraz jestem już gotów na lekturę  
wywiadu z Adamem Hofmanem bądź  
Stefanem

Niesiołowskim. Niby drobiazg, a cieszy.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we  
„Wprost” 2011/19.

**Wolniej czytać!**

Przede wszystkim mam nadzieję, że kiedy ten numer „Wprost” trafi do kiosków 11

kwietnia, dzień po dziesiątym, to w Warszawie nie trwają walki uliczne. Kiedy jeździłem w latach 90. jako korespondent na wojny w byłej Jugosławii i na Kaukazie, a potem wracałem i szedłem ulicami Warszawy, Lublina czy Opolą, w psychotyczny sposób

wyobrażałem sobie, jak by to było, gdyby na tych chodnikach stały barykady, a spomiędzy ich szczelin strzelali do siebie licealni koledzy. Najpierw zabijaliby się i ranili, a potem

przy wymianie trupów dopytywaliby się o co bardziej biuściaste koleżanki z liceum – co nieraz widziałem.

Od wielu miesięcy żyjemy w takiej atmosferze, że niewiele brakuje, by ktoś podpalił

lont. I ja nawet widzę takie same ludzkie typy, jakie obserwowałem na Bałkanach czy

Kaukazie, które z chęcią wypieprzyłyby polską beczkę z dynamitem w kosmos. Mimo

wszystko wierzę, że jeszcze 11 kwietnia wyjdę spokojnie z domu, by kupić „Wprost”

i przeczytać swoją odę na cześć senatora Banasia.

Bo to w polskiej polityce mój nowy ulubieniec. Bez żartów. Senator kielecki (syczoryk

w kieszeni się otwiera!) Grzegorz Banaś, dawniej PiS, teraz niezależny. Nie, nie dlatego ulubiony, że zadarł z Beatą Kempą i przegrał. Szczerze mówiąc, Beata Kempa mnie fascynuje, uwielbiam twarde kobiety i z dziką rozkoszą spotkałbym się z pisowskim

wilkiem w spódnicy na kawie. Swoją drogą to zadziwiające – spotykasz takiego

killerobulteriera z telewizji i okazuje się  
przesympatycznym człowiekiem,  
pogadacie

o dzieciach, o teściowej albo teściu, a  
nawet – mimo że jest z opcji  
konserwatywnej –

przedyskutujecie, o co chodzi ostatnio z  
Dodą i Nergalem. No bo jakże to, takie  
uczucie i co? A ten chłopak długowłosy  
z „X Factora”, to on gej, jak to się teraz  
dziwnie mówi, czy tak zwyczajnie mu  
odbiło?

Moja teza jest więc taka, że w rozmowie  
w cztery oczy Beata Kempa jest  
czarującą



osobą i chichotalibyśmy o czasach,  
kiedy studiowała prawo na  
Uniwersytecie

Wrocławskim. Albo o tym, jak na moim  
objeździe naukowym w 1988 roku  
(historia,

Uniwersytet Warszawski) wrocławscy  
ubecy zapuszkowali mnie za figle z  
Pomarańczową

Alternatywą. Może pani Beata była  
jedną z tych dziewczyn, które odbierały  
mnie

z aresztu, udzielały gościny, karmiły  
kanapkami i poiły wódką? No, raczej na  
pewno nie był to Grzegorz Schetyna,

który już wtedy był bardzo poważny, chyba nie przepadał za happeningami Majora. Ale może go krzywdzę jak cyngle Donalda.

Kurczę, miało być o brodatym senatorze ze Świętokrzyskiego, a oczywiście zeszło na

kobiety. A więc do adrema.

Grzegorz Banaś urzekł mnie, gdy jeden z jego kolegów rozślawił senatorskie poczucie

humoru: „Przy którymś głosowaniu poprosił [Banaś] marszałka, żeby wolniej czytał

poprawki, bo on już nie jest w PiS i nie ma ściągawki, jak głosować, więc musi się

zastanowić”.

Perwersyjne cudo! Przecież gdyby wszyscy mieli pójść w ślady Banasia, to kraj

i dyskurs publiczny by nam się rozwalily. No bo jakże to tak? Po co się zastanawiać?

Przecież jak jesteśmy platformersem, to wiemy, że Lech Kaczyński nie zasłużył na

pomnik w Warszawie. Jak jesteśmy

pisowcem, to doskonale rozumiemy, że w liberalizacji

ustawy antynarkotykowej chodzi o to, że rząd chce służyć mafii i ujarać przedszkola od Tatr po Bałtyk. Peeselowskie chłopy my? Wara od KRUS-u! Budujemy nową lewicę?

A spróbujcie tknąć Generała przez duże G! I tak dalej, i w ten deseń.

A co począć, kiedy, jak ten Banaś Grzegorz, nagle musimy zacząć myśleć samodzielnie?

No zgroza, panie. Na ten przykład – co zrobić, kiedy sądzimy, że, owszem, Lech

Kaczyński nie był wybitnym prezydentem, więcej, głosowaliśmy przeciwko niemu i byśmy

głosowali jeszcze raz, ale uznajemy, że to, iż był prezydentem Najjaśniejszej

Rzeczypospolitej i nawet największy wróg nie kwestionował jego uczciwości i patriotyzmu, kwalifikuje go, najlepiej wraz z panią Marią, do posiadania dostojnego pomnika w centrum

Warszawy? I myślimy tak, chcąc nadal głosować na platfusów. Albo uważamy,

że tylko PiS uratuje tę umęczoną ziemię, ale mimo wszystko ludzie powinni mieć prawo

do legalnego in vitro, a nawet – precz szatanie! – do jego refundacji. Albo stwierdzimy, że nasze rozpasanie obyczajowe jednak pcha nas do głosowania na grzeškowe komando, ale generał (przez małe g) powinien się cieszyć, że Niepodległa nie posłała go do ciupy, i nie prawić podejrzanych morałów. Albo szanujemy Michnika za prawie wszystko sprzed 1989

roku i nie rozumiemy prawie niczego po tym wspaniałym roku. Albo uważamy, że

Ziemkiewicz jest świetnym pisarzem i niebezpiecznym publicystą.

Kogo, do cholery, mamy wtedy poprosić, żeby wolniej czytał?

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/15.

# Listopadowy spleen

A to załatwili nam Pawła Lisickiego. Na wszystkich świętych, jak się patrzy.  
Stefan

Niesiołowski, który tak ładnie prosił w telewizji, by pogonić z „Rzeczpospolitej” tego wstrętnego pisowca, może zameldować, że zadanie wykonane. Czas na nową falę miłości.

Lubiłem zaczynać dzień od „Rzepy”. Ciśnienie mi skakało, gdy czytałem komentarze

Semki czy Zdorta, analizy Zaremby, sążniste elaboraty Wildsteina, furiackie



ataki

Ziemkiewicza. Gadałem sam do siebie, krztusząc się mamrotanymi słowami polemiki,

gestykulowałem jak tonący w budyniu i czytałem dalej. Nie wspomnę już o czystej

przyjemności lektury weekendowego dodatku „Plus Minus”. Zwłaszcza dla tekstów Reszki

& Majewskiego i Rosiaka, wywiadów Mazurka. A często katowałem dodatek od deski do

deski. Potem brałem do ręki

„Wyborczą”, czytałem artykuły na te same tematy, które

poruszała „Rzeka”, i zastanawiałem się, czy oba tytuły wychodzą w tym samym kraju

i opisują tę samą rzeczywistość. I myślałem, że to by był fajny temat na zajęcia ze

studentami dziennikarstwa lub historii, taka analiza porównawcza.

Nie wiem, może niektórzy autorzy pozostaną w piśmie, może z dnia na dzień

„Rzeczpospolita” nie ukocha władzy

naszej tryumfującej, ale coś się jednak skończyło, coś, czego mi szkoda.

Miejsca po najbardziej wyrazistej opozycyjnej gazecie regularnie wsadzającej kij w szprychy samochwalstwa nie wypełni „Nasz Dziennik” ani mocno

psychodeliczna „Gazeta Polska Codziennie”.

No proszę, rzekłem sobie, jak ładnie świat polskich przecięć medialno-biznesowo—

politycznych nastroił mnie przed 1 listopada. Chociaż już wcześniej ogarnął mnie

bezkształtny spleen. Dokładnie tego dnia, gdy usłyszałem, że Ruch Palikota chce zdjęcia krzyża z sejmowej ściany. Nie dlatego, bym uważał, że krzyż musi wisieć. Rozumiem argumenty o świeckości państwa przemawiające za jego zdjęciem, choć osobiście sądzę, że nierozzerwalnie związany z historią mego kraju mógłby zostać na swoim miejscu. Mnie, niewierzącego, jego widok nie obraża, raczej porusza jakąś lepszą strunę duszy, ale

oczywiście nie mogę się za nikogo wypowiadać. Rzecz w czym innym. Krzyż ów

podarowała matka zamordowanego

księdza Popiełuszki. Posłem Ruchu  
Palikota jest

Roman Kotliński, który swe  
antyklerykalne pismo „Fakty i Mity”  
promował przy pomocy

Grzegorza Piotrowskiego, mordercy  
księdza Jerzego.

Pamiętam ten ostatni dzień października  
1984 roku. Miałem 16 lat i wracałem

z kurpiowskiej wsi do Warszawy na  
pogrzeb księdza Jerzego. Mijaliśmy  
rozstawione przy

szosie wozy pancerne, groza była tak  
zwyczajnie namacalna, rodzice zaklinali

mnie

i moich przyjaciół, byśmy uważali na siebie, ale wiedzieli, że nie mogą zabronić nam pójść.

Świeciło ostre słońce, dzień był piękny, a place i ulice wokół kościoła Stanisława Kostki zalały setki tysięcy oniemiałych ludzi.

Patrzyłem na te nieprzebrane tłumy z dachu kamienicy na rogu Krasińskiego

i Felińskiego wraz z moim przyjacielem Tomkiem, dziś prawnikiem. I baliśmy się

hekatomb. I w najśmielszych

marzeniach nie przypuszczałem, że  
dożyję niepodległej

Polski. A kiedy jednak się narodziła, bez  
szklanych domów, niedoskonała, ale  
wreszcie

własna na dobre i na złe, do głowy by  
mi nie przyszło, że pewnego pięknego  
dnia krzyż

ofiarowany przez matkę Popiełuszki  
będzie chciał ściągać kumpel mordercy  
księdza

Jerzego. Przy całkiem sporym aplauzie.

Mam nadzieję, że krzyż pozostanie na  
swoim miejscu, jednak cokolwiek się

stanie, tej

upiornej, rozciągniętej w czasie symboliki już od siebie nie odegnam. Nic to. Jak co roku pójdę na Powązki i złe moce ulecą. Bo ten najpiękniejszy na świecie cmentarz działa na mnie zadziwiająco pogodnie. I spleen jest jakiś bardziej pastelowy. Lubię kultury, w których urządza się pikniki na grobach bliskich, kiedy żywi mieszają się ze zmarłymi, płynie alkohol i dobre wspomnienia. Sam tak latami robiłem z przyjaciółmi.

Odwiedzę rodziców i będę się uśmiechał, pamiętając wszystkie wspaniałe, czasem



banalne, niekiedy trudne chwile, które są i będą ze mną na zawsze. Jak ta, kiedy mama

dzwoniła z Paryża, bo zbliżało się Wszystkich Świętych i chciała komuś zapalić świeczkę na Père-Lachaise, więc wymyśliła, że uczyni to na grobie mojego ukochanego Jima Morrisona, nie wiedziała tylko, gdzie leży nieszczęsny wokalista Doorsów.

Wy tłumaczyłem jej, mając nadzieję, że nie natknie się na ujaraną trawą posthipisowską

komunę albo jakąś uduchowioną parę oddającą się wzniosłej kopulacji. Poszło bez

zgrzytów, a mama zaczęła potem słuchać *Raiders on the Storm*.

A potem pójdę na groby swoich bohaterów, których czyny i twórczość podziwiałem,

nawet jeśli nie byli aniołami. I to będzie moje święto pięknego życia.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2011/44.

## **Inteligent kupuje pasztetową**

Zapytany, kto pali najwięcej papierosów na świecie, odpowiedziałbym oczywiście, że

Maria Czubaszek. I jak co roku złożyła sylwestrowe postanowienie, że nie zgłupieje

w 2012 i nie rzuci tego przepięknego nawyku. Być może mogliby z nią rywalizować

rodzice mojego przyjaciela Dominika, którzy do Ameryki pływali statkiem, bo nie

wytrzymałoby lotu bez papierosa.

Ale czytam teraz w „Wyborczej” pośmiertne wspomnienie Joanny Sokolińskiej o Hannie

Świdzie-Ziembie, wybitnej i

niekonwencjonalnej uczonej, autorce  
niezwykle ciekawych

prac o młodziży w PRL. Uwielbiam  
fajki od liceum, ale mimo wszystko,  
kiedy pierwszy

raz spotkałem panią profesor, by  
porozmawiać z nią o przygotowywanym  
przez siebie

artykule, nie mogłem wyjść z podziwu.  
Przypalała papierosa od papierosa, aż w  
końcu

przypominała jakąś zjawę rodem z  
romantycznego dramatu, pływającą w  
szarym dymie.

Pisze Sokolińska: „Uważała, że inteligent nie jest od tego, żeby myśleć o rzeczach

materialnych. Inteligent kupuje pasztetową albo szynkę – na co go stać, zjada, żeby mieć to z głowy, i czym prędzej wraca do myślenia – najwartościowszej działalności człowieka”.

Komisarz Wallander, bohater Henninga Mankella, byłby idealnym inteligentem wedle

definicji pani profesor. Nawet tę nieszczęsną pasztetową wsuwa regularnie, plus jakieś pozbawione smaku kiełbasy i kaszanki, które

przeleżały się w lodówce, a jak ta pusta, to kupi zapiekankę albo jakieś danie do odgrzania w mikrofalówce. Brr! Bardzo cenię intelektualne moce szwedzkiego policjanta, ale zdecydowanie bliższy jest mi jego

sycylijski kolega po fachu, komisarz Montalbano, dziecię Andrei Camilleriego. Ten to sobie lubi pojeść. Ba, kiedy po dłuższym niewidzeniu przylatuje do niego narzeczona i Montalbano zmierza już do domu na jej spotkanie, zaczepia go znajomy restaurator,

informując, że właśnie kupił świeżutkie barweny. Hm, cóż robi Montalbano? Jak

to co?

Je, je i je, tłumacząc później ukochanej, że spóźnienie i zalatujący smażeniną płaszcz wzięły się z konieczności nagłego przesłuchania świadka w restauracji. Gdy widzi, że jego zastępca posypuje parmezanem makaron z małżami, oburzony prycha: „Nawet hienie, która przecież jest hieną i żywi się ściervem, żołądek przewróciłby się na drugą stronę na samą myśl, że makaron z małżami można posypać parmezanem”. Aż boję się przyznać, że i mnie się zdarza zachowanie niegodne hieny. Dobrze, że nie czyta tego żaden Sycylijczyk ani neapolitańczyk.

Pytanie, czy myślenie wyklucza dbałość o rzeczy materialne, przypomina dylemat, czy

artysta musi być biedny. No, może przymierać głodem i tryskać talentem, ale takiemu

Vargasowi Llosie raczej nigdy nie brakowało na ceviche. Pozwolę więc sobie pozostać przy przekonaniu, że zamięłowanie do drobnych i większych przyjemności życia nie wpływa ujemnie na zdolność i chęć myślenia.

Żeby pozostać przy Camillerim. Można czytać go w każdej sytuacji, ale czyż lektura nie będzie ze wszech miar bardziej owocna, gdy najpierw kupimy



butelkę białego corvo, ulubionego wina komisarza (nawet w Polsce żaden wielki zbytek, można dostać za 40 zł), i zaopatrzymy się w świeżą rybę w zaprzyjaźnionym sklepiku na Mokotowie? A może ośmiorniczki, chociaż ostatnim razem za bardzo je wysmażyłem? Mój przyjaciel Paweł

Bravo, który zaraził mnie Camillerim, wyciągnął mnie również do Kuchni Dantego.

Dwóch Włochów, mieszkających i pracujących w Warszawie, raz na jakiś czas

w przypadkowych lokalach na mieście gotuje po kilka włoskich dań, a w

przerwach

między serwowaniem posiłków recytuje *Boską komedię* w oryginale, by następnie czytać jej polskie tłumaczenie, próbując zrozumieć jego sens.

Kilkadziesiąt zebranych osób (które płacą po 40 zł za wieczór) pokłada się ze śmiechu, a przy okazji rodzą się najbardziej nieprzewidziane dyskusje. Przy naszym stoliku najbardziej mnie zafrapowała rozmowa o związku między wyborami a wzrostem liczby poszukiwań haseł żydopodobnych w Google.

No cóż, może to słabość, skłonność do hedonizmu, ale uwielbiam debaty przy

stole, gdy

w trakcie dyskusji o Viktorze Orbánie i jego lewicowych krytykach rozmawiamy również

o tym, gdzie w Warszawie można kupić najlepszy kindziuk prosto z Litwy i jak długo go

potem suszyć na wieszaku, czy zupa z suma jest lepsza w Borpince czy U Madziara, co też Paulina dodała do pomidorów, że te bruschetty tak obłędnie smakują, czy bundz tylko owczy, czy krowi też daje radę, jakim cudem blogerke Lisce wychodzą te wszystkie chleby, a nam nie? Kultura masła i piwa czy oliwy i wina? Jakie

znaczenie miało, że Hitler był  
wegetarianinem?

Co nie zmienia faktu, że polecam  
wszystkim wydaną nieco ponad rok temu  
książkę

profesor Świdy-Ziemby *Młodość PRL.  
Portrety pokoleń w kontekście historii.*  
Może być i z pasztetową, ale mnie się  
lepiej czyta z kozim serem, myśliwską i  
tatarem (koniecznie z żółtkiem, oliwą,  
maggi, musztardą, cebulą, ogórkiem  
kiszonym i – co dla niektórych  
bulwersujące – z anchois).

Tekst po raz pierwszy ukazał się we  
„Wprost” 2012/3.

## **To był rok 2012 (widziany w 2011)**

Mistrzostwa Europy możemy uznać za udane. Byliśmy lepsi od Greków między 51.

i 64. minutą, od Rosjan w pierwszym kwadransie, a od Czechów w doliczonym czasie.

A poza tym Szwajcarzy i Austriacy też u siebie nie wyszli z grupy. Za sukces należy

uznać, że na trybunach i wokół stadionów bili się jedynie kibice Legii z sympatykami

Widzewa, którzy jednocześnie okładali

Bełchatów, Wiślacy z Koroną i Lechici z Pogonią.

Trwał proces jednoczenia się prawicy. Adam Hofman po udzieleniu wywiadu, w którym

obnażył autorytarne praktyki w PiS, wraz z aniołkami założył ugrupowanie „Polska Jest

Jazzy!”. Wywołało to ostry atak Joachima Brudzińskiego, sugerującego, że warto się

zastanowić, czy przypadkiem jest, iż Hofman pochodzi z Kalisza, skąd kandydował Marek

Siwiec, a studiował we Wrocławiu,  
gdzie wpływami cieszy się Schetyna.  
Pod koniec roku

sam Brudziński w akcie moralnej  
niezgody na brak demokracji w partii  
odszedł z PiS

i założył ugrupowanie „Polska Jest  
Zajebista”. Kolejnym zawieszonym  
członkiem stał się Mariusz Błaszczak,  
który bez zgody Prezesa kupił garnitur  
Ermenegilda Zegni, ulubionego krawca  
Tuska. Partia, którą zakłada, będzie się  
nazywać „Polska Jest Polska”.

Ma wejść w koalicję z „Samoobroną  
Polską” Ryszarda Czarneckiego. Ludwik  
Dorn

wkrótce po zostaniu wiceprezesem  
„Solidarnej Polski” ogłosił się  
„kumplem ludu

pisowskiego” i dołączył do „Polska Jest  
Jazzy!”, by następnie przejść do  
zajebistych.

Jednoczyła się również lewica. Janusz  
Palikot opublikował książkę, w której  
opisał

psychopatyczne skłonności Leszka  
Millera i manie prześladowcze  
Aleksandra

Kwaśniewskiego. Poruszenie wywołały  
doniesienia o tajnych rozmowach  
Palikota



z przywódcami Młodzieży  
Wszepolskiej o powołaniu formacji  
odwołującej się do tradycji hiszpańskiej  
Falangi. Podobnie jak wstąpienie do PO  
Kwaśniewskiego, Kalisza, Lipińskiego i  
Dorna (po kłótni z zajebistymi).

Donald Tusk zapowiedział głębokie  
reformy po wyborach w 2015 roku i  
zjadł –

komentowane w mediach – obiady z  
panem Czesławem z Katowic, panią  
Leokadią

z Siemianowic i harcerzami z Zielonej  
Góry.

Rok 2012 był intensywny dla księdza

Adama Bonieckiego, który odbył 263 spotkania,

opowiadając o założonym mu kościelnym kneblu. Relacja z każdego z nich trafiała na

pierwszą stronę „Gazety Wyborczej”, która pod koniec roku, powołując się na życzenia

internautów, wezwała do kanonizacji księdza za życia. „To będzie test na otwartość na

współczesny świat polskiego Kościoła” – można było przeczytać w redakcyjnym

komentarzu. W grudniu na pierwsze

miejsce listy bestsellerów trafiła książka Bonieckiego *Co bym powiedział, gdybym mógł mówić*.

Środowisko dziennikarskie żyło zorganizowanym po raz pierwszy konkursem na temat

„Jak bardzo boję się PiS i dlaczego?”. Dziennikarze mogli rywalizować również

w kategoriach tematycznych, m.in.: „Wpływ oglądania Jarosława Kaczyńskiego na

osłabienie odporności organizmu”, „Scenariusze katastrofy gospodarczej pod rządami PiS”

czy „Przemoc w rodzinie a głosowanie na PiS”. Wyniki poznamy za dwa tygodnie.

W referendum zorganizowanym przez władze stolicy warszawiacy zgodzili się, że

nazwanie czegokolwiek imieniem Lecha Kaczyńskiego jest nawoływaniem do nienawiści

i jako takie powinno być zabronione. Posłowie Ruchu Palikota zaproponowali zaś

przemianowanie ulicy ks. Popiełuszki na aleję W. Jaruzelskiego. Honorowym

przewodniczącym komitetu organizacyjnego został Grzegorz Piotrowski. Stowarzyszenie

Wróżów Polskich złożyło wniosek o przyjęcie do Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.

To był dobry rok.

Tekst po raz pierwszy ukazał się we „Wprost” 2012/1.

# **Pakieciki i schizofrenia**

Na początek dowcip z brodą, który pozwoli mi błyskotliwie przejść do Żołnierzy

Wyklętych, Marii Peszek, Łukasza Warzechy i pewnej zarazy naszego życia publicznego,  
hokus-pokus.

Przychodzi milicjant do księgarni i prosi o coś ciekawego do czytania.  
Sprzedawczyni

proponuje książkę o logicznym myśleniu.

– O czym?

– To ja może na przykładzie wyjaśnię.

Ma pan w domu akwarium?

– No mam.

– Czyli lubi pan zwierzęta?

– No lubię.

– Czyli jak zwierzątko, to pewnie spacerki z psem w parku?

– No jasne.

– No a jak spacerki, to pewnie najchętniej z kobietą?

– No ma się rozumieć.

– Czyli nie jest pan pedałem. I to jest właśnie logiczne myślenie.

Zachwycony odkryciem funkcjonariusz kupuje pozycję, wychodzi z księgarni i spotyka

kumpla. Ten pyta:

– Co tam masz?

– A nic, książkę o logicznym myśleniu.

– O czym?

– Zaraz ci wyjaśnię. Masz w domu akwarium?

– Nie.



– No to jesteś pedałem!

\*

Grupa świetnych piosenkarek pod artystycznym przywództwem Dariusza „Maleo”

Malejonka nagrała płytę *Panny Wyklęte* inspirowaną losami powojennych Żołnierzy Wyklętych. Patronem płyty jest legendarna „Inka”, Danuta Siedzikówna, sanitariuszka AK. Po wojnie aresztowana, torturowana i zamordowana przez komunistyczną bezpiekę.

Łukasz Warzecha zachwycił się na Twitterze, że oto mamy dziewczyny,

które nie chcą iść w ślady Marii Peszek. Na co odpowiedziała jedna z Panien Wyklętych, Marcelina: „Akurat mnie się twórczość Marii Peszek podoba, bo ona głośno mówi o tym, co jest teraz i co nas wkurza. A wkurza nas także polityka, która mnie osobiście kompletnie nie obchodzi i która tutaj nie ma nic do rzeczy. W naszych tekstach nie mówimy o teraźniejszości, ale o prawdzie historycznej”. I dodała, że nie chcą być upolityczniane przez prawą stronę.

Na to z kolei odpowiedział redaktor Warzecha. Że Panny są urokliwie naiwne. Że

w dzisiejszej Polsce stosunek do historii

jest powiązany z polityką. Ze swą płytą Panny postawiły się, „czy chcą, czy nie chcą”, w opozycji do Marii Peszek i jej deklaracji w rodzaju, że jakby coś się w Polsce złego działo, „to ja spierdalam z tego kraju”.

I puentuje Warzecha: „Decydując się wziąć udział w tym projekcie, ustawiliście się same po jednej ze stron sporu o dzisiejszą Polskę. I to jest słuszna strona, co powinno was cieszyć. Zapewniam też, że Panien Wyklętych nie da się pogodzić z upodobaniem do Marii Peszek, chyba że cierpi się na schizofrenię”.

Ech, jak ja zazdroszczę Łukaszowi

Warzesze rozbrajającej prostoty w  
postrzeganiu

świata rodem z przytoczonego żarciku.  
Tak jak wcześniej Warzecha wielbił i  
chwalił

Radka Sikorskiego, tak teraz z tym  
samym zapalem gardzi nim i oklada  
razami. Zawsze

jest prosto. Niezmienna pozostaje  
zajadlosc oraz potrzeba czerni i bieli. I  
zeby bylo jasne, jestem sobie w stanie  
wyobrazic rownie pryncypialnego  
publicyste z lewej, ktory kaze sie  
Pannom stuknac w glowe, bo niby jak  
mozna laczyc szacunek dla najbardziej  
postepowej poetki polskiej sceny, Marii

Peszek, z wpisywaniem się w  
prawicowe propagandowe

szaleństwa i pochwałę zwyczajnych  
bandytów, ubieranych dzisiaj przez  
ekstremistów

z IPN w szatki bohaterów narodowych.

Bo to jest najgorsza zaraza, te cholerne  
umysłowe pakieciki, od akwarium do  
pedała.

Przypomina mi się, jak wieki temu, w  
głębokich latach 90., napisałem z  
przyjacielem

jeszcze z warszawskiego liceum  
Mikołaja Reja, Pawłem Bravo, tekst o

lekturach

i filmach, które nas ukształtowały.  
Podtytuł brzmiał, a i sens artykułu w nim  
się

zawierał: *Jesteśmy dziećmi Zbigniewa  
Herberta i kapitana Klossa*. Ówczesni  
strażnicy czystości ideowej pojechali po  
nas po linii schizofrenii właśnie, że albo  
rybka, albo akwarium (trochę już  
Freudem z tym akwarium zalatuje). Albo  
najbardziej niezłomny

z polskich poetów, albo sowiecki szpieg  
z PRL-owskiego serialu.

Mam inne spojrzenie na nasz kraj niż  
Maria Awaria, kłuje mnie ostrość jej

deklaracji,

że nie odda ani krwi za Polskę i jakby co, to spierdala. Ale „Inka” walczyła też chyba o to, by ludzie tacy jak Maria Peszek mogli pisać, mówić i śpiewać to, na co mają ochotę.

Nawet że mają Polskę w dupie.  
Zwłaszcza że tworzy rzeczy piękne, co jak ktoś ma uszy

do słuchania, a rozum do używania, stwierdzi bez kłopotu, także jeśli za nic nie zgadza się z jej poglądami. Tak jak można uważać, że Jarosław Marek Rymkiewicz jest niebezpiecznym politycznie ekstremistą, dla odmiany spragnionym przelewania polskiej

krwi, ale też zachwycającym poetą i niezwykle ciekawym historycznym eseistą.

A piosenki i płyty Peszek wnoszą coś ważnego do polskiej kultury, do tego czegoś zwanego Polską, nawet jeśli samej Peszek i redaktorowi Warzesze zrobiłoby się niedobrze od słów, które przed chwilą napisałem. I może być portret „Inki” na ścianie, i płyta Peszek w odtwarzaczu. Pod jednym dachem. Bo to Polska właśnie.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2013/24.



# Ale ale

Nasza mała zimna wojna domowa ma też swoje sympatyczne i rozczulające strony. Na

przykład odpowiednio czujne zastrzeżenie się na wszelki wypadek, kim się nie jest, tak by swój nie wziął nas za wroga i słownym napalmem przez przypadek nie potraktował.

Daleko nie szukając: sąd skazał doktora G. i od razu rozgrzały się fora dyskusyjne. A na nich taki, dość popularny głos: „I co na to »Gazeta Wyborcza«, która już dawno wydała wyrok uniewinniający? Dając

przyzwolenie na łapówkarstwo w ramach walki politycznej

z PiS-em. PS Brzydzą się PiS-em”.  
Treść jak treść, ale to postscriptum!

Już całkiem zabawne wydawało mi się puentowanie jakiejś zupełnie letniej wypowiedzi

w rodzaju: „Wsadzanie flagi narodowej w psią kupę to chyba jednak lekka przesada”,

natychmiastowym zaznaczeniem: „ale nie popieram PiS-u!”. Ale to już za mało, może nie

brzmieć wiarygodnie i wyjdziemy mimo

wszystko na jakiegoś opętańca ze szwadronu

śmierci Joachima Brudzińskiego, więc dobrze podkreślić to zbrzydzenie. Jak i w drugą

stronę: „Żeby było jasne, nie oglądam tefauenowskiej propagandówki Tuska, nie biorę do ręki tej bolszewickiej wybiórczej, no, ale jednak postulat zabijania ich dziennikarzy, jak postuluje reżyser Braun, to chyba trochę za daleko”.

Ale oczywiście są zastrzeżenia i zastrzeżenia. Bo jak ktoś zaczyna od „antysemitą nie

jestem, ale...”, to na bank wiadomo, jak skończy: że on do Żydów nic nie ma, ale dlaczego od razu muszą mieć większość w rządzie i parlamencie i może by tak się przenieśli do Izraela, to nad Wisłą przestanie wreszcie jechać czosnkiem, a tak w ogóle to stryjenka babci ratowała Żydów w czasie wojny, a oni potem szkalowali Polskę, więc sami widzicie, jak to jest z takimi. Albo: rasistą nie jestem, ale gdy widzę, jak kupa śmierdzących asfaltów rwie w klubie polskie dziewczyny, no to mi się po prostu niedobrze robi. Nic do nich nie mam, ale czy nie mogliby się zabawiać w tym swoim orangutanowie?

Sami państwo widzą, że z tym „ale”

jedno wielkie ale, grunt grząski i niebezpieczny.

Weźmy taką Nieznalską i jej sławetne męskie genitalia na krzyżu. No – jej jak jej, ale wiadomo, o jakie dzieło chodzi. I przyjmijmy, że uważamy, iż to hucpa i taniocha taka na miarę skłonnego do sztubackich prowokacji nastolatka, a sztuki to w tym równie wiele jak pingwinów w saunie. Ale z drugiej strony jacyś wzmożeni wariaci czy fundamentaliści chcą zakazywać i skazywać. I weź, powiedz, co myślisz, człowieku. Bez gigantycznego „ale” się nie obejdzie.

Trzymając się sztuki, ale odchodząc od

pastewnych skandali. Swego czasu  
oczarowało

mnie *Głośniej od bomb* Przemysława  
Wojcieszka, do dzisiaj jeden z moich  
ulubionych polskich filmów, zabawna  
love story ze społecznym pazurem,  
ładnie osadzona w realiach polskiej  
provincji, ze świetnymi rolami  
niedocenianego jak dla mnie Rafała  
Maćkowiaka

i nieznaney wówczas Magdy Schejbal. A  
jak się czymś zajaram, to muszę się od  
razu

przedmiotem fascynacji podzielić z  
całym światem, a przynajmniej z połową  
znajomych,

więc reklamowałem jak mogłem i zagadywałem kogo się da o *Głośniej od bomb*. Aż

trafiłem na koleżankę z branży filmowej, która film widziała, więc zapytałem, jak jej się podobał. I tu się zaczął wywód z długą listą środowiskowych autorytetów, krytyków przeróżnych, którzy film zmieszali z błotem – i lała się nowomowa w rodzaju, że brak

w filmie przewartościowania wartości na płaszczyźnie braku relacji czy jakoś tak. Gdzieś między słowami wisiało to, że Wojcieszek nie skończył żadnej szkoły filmowej, więc jak niby ma dobry film zrobić, aż w końcu nie

wytrzymałem i przerwałem: „Ale tobie *Głośniej od bomb* się podobało do cholery czy nie?”. Ano się spodobało, tylko trzeba było to „ale”

rozciągnięte wyartykułować.

Z kolei w słynnym *Hair*, gdy pani psycholog przepytuje aresztowanego hipisa, jednego z bohaterów filmu, dlaczego nie chce dać sobie obciąć włosów, czy może dlatego, że czuje pociąg do mężczyzn, ten wybuchając śmiechem: „Pyta pani, czy jestem homoseksualistą? No Micka Jaggera z łóżka bym nie wyrzucił, ale nie, nie jestem homoseksualistą”.

A ja uważam, że disco polo jest



naprawdę prymitywne i  
bezwartościowe, kibole zdrowo

przesadzają, ale śmieszy mnie jak  
cholera interpretacja sławetnej pieśni  
*Ona tańczy dla mnie* w wykonaniu  
kibiców Legii na stadionie w  
Szczecinie. A sam utwór chodzi za mną  
jak swego czasu Stefan Niesiołowski za  
Jarosławem Kaczyńskim, żeby ten go  
łaskawie przyjął do PiS. Ale się nim  
brzydzą! Utworem, znaczy się.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Newsweeku” 2013/2.

## **Życzenia wesołego ateuszka**

Bogu niech będą dzięki, że wymyślił

profesorów od ateizmu, a konkretnie  
profesor

Magdalenę Środę i profesora Jana  
Hartmana. Dzięki nim dowiedziałem się,  
co jest ze

mną nie tak. Otóż jestem  
dyskryminowany, uciskany przez  
katolicką większość,

szyderczo pytany, co to będzie ze mną po  
śmierci.

Bo jestem ateistą. Mało tego! Kościół  
używa słowa „ateista” jako zniewagi,  
ma mnie za

moralnego ekshibicjonistę, niemal

zwierzę.

Dżizas! – że zakrzyknę po ateistycznemu.  
Tyle lat przeżyłem, w kanałach ze swą

niewiarą się nie kryłem i tfu! tfu!  
ateizmem również, ateistów znam  
całkiem sporo,

dodajmy, polskich ateistów,  
nadwiślańskich, i pojęcia bladego nie  
miałem, w jak

opresyjnym stanie trwałem. A nawet  
byłem obiektem zazdrości, jak w  
podstawówce,

kiedy ten i ów zamieniłby się ze mną, bo  
nie musiałem chodzić na lekcje religii,

wówczas jeszcze w parafialnych salkach.

Czytając profesorów, pojąłem dopiero, jaką sieczkę z mózgu dałem sobie zrobić. Zamiast bowiem, wzorem Magdaleny Środy, kojarzyć wszystko pod słońcem i w całym wszechświecie celnie i precyzyjnie z opresją Kościoła, jak ten Jaś, któremu i biała

chusteczka wiadomo z czym się kojarzy, bezczelnie żyłem sobie obok prześladowań. Ani

katolicki, ani antykatolicki, po prostu akatolicki. Proszę wybaczyć nierozgarniętemu

ateiście, ale nie czytałem wcześniej  
profesor Środy i profesora Hartmana,  
więc nie

wiedziałem, że nie da się być ateistą,  
mieszkać w Polsce, być w miarę  
szczęśliwym

człowiekiem i nie czuć czarnej opresji.

A ateści mają gorzej, i owszem, ale z  
całkiem innych powodów, niż głosi  
profesorstwo, tak mi się przynajmniej  
wydawało. Jak na średnio rozgarniętego  
bezbożnika przystało, zastanawiałem się  
całkiem regularnie, czy jest jakiś sens, a  
jeśli tak to jaki,

w otaczającym mnie chaosie, czy to

wszystko tylko absurd i gra przypadków,  
i nie da się ukryć, że z tych rozważań  
bardzo pocieszających wniosków nie  
wyciągałem. Więc zazdrościłem trochę  
wierzącym ich wiary, poczucia sensu i  
przeczucia nadziei, ale

choćbym nie wiem jak się starał, nie  
czułem się biedną ateistyczną ofiarą  
opresji,

prześladowań, dominacji, przemocy  
słownej, umysłowej i jakiej tam chciecie.

Ale teraz przejrzałem na oczy i  
rozumiem, że święta Bożego Narodzenia  
są wymierzone

we mnie osobiście i wszystkich braci po

ateuszowskim fachu. Dociera do mnie z wolna, że jako bezbożnik obchodzący święta, biorący je z dobrodziejstwem inwentarza jako piękną tradycję, jestem najlepszym dowodem skuteczności kościelnej opresji, katolickiego

terroru. Więc już nigdy tak nie pobłędzę, ale pozwólcie, po raz ostatni, ode mnie dla was życzenia wesołego ateuszka!

Oto one: Pomarańczowej czekolady Lindta, tej w bloczku, nie nadziewanej, pod ręką.

Ptasiego mleczka w sumie również. Wiary, że ludzie są w sumie OK. Nawet po zajrzeniu

na polskie fora internetowe. I żeby te bagienne wyziwy nie zatrwały nam duszy. I naszym dzieciakom, bo one już nie znają, nie będą znać świata, w którym nie żyje się w wirtualnym ścieku. Żeby mieć parasol na lejącą się tam dzień w dzień nienawiść, żółć, frustrację i szaleństwo. Bo przecież kiedyś w świecie donosów i plugastwa żyli policjanci, tajniacy, prokuratorzy i kilku innych zawodowców, a teraz musimy się z tą podłą magmą mierzyć wszyscy. Wzmacnianą z telewizorów, głośników i płacht przez chcących nami

kierować, mówić nam, jak mamy żyć. Więc siły, by nie dać się temu gównu, i wiary, że



lepiej ufać ludziom i parę razy się  
sparzyć niż żyć w ciągłej podejrzliwości  
i nieufności.

Miłości w każdej postaci. Palpitacji  
serca, bólu brzucha, motyli, ale i  
leniwego spokoju.

Poezji i prozy. W uczuciach i w życiu.  
Szkłanki do połowy pełnej. Wielkich  
wieczorów

w gronie przyjaciół bez przesadnego  
ból u następnego ranka. Przyjaciół, do  
których, jak jest się w dupie, można  
zadzwoić o czwartej nad ranem, a oni  
rzucą tylko jedno: „pogięło cię?”, i  
pomogą. Kłótni i pogodzeń.

Trochę bólu i cierpienia, nie za dużo, nie za często i bez przesady, ale tak w sam raz, żebyśmy kiedy indziej wiedzieli, że jest dobrze, kiedy po prostu jest dobrze. A nawet, że jest dobrze, kiedy nie do końca jest dobrze.

Zdolności dziwienia się bez względu na wiek. Ciekawości świata. Książek, w których

można zatopić się, zapominając o bożym dniu. Filmów, które boją. Seriali, które wywołują zazdrość z powodu talentu scenarzystów – właśnie naprzemiennie oglądam kolejne sezony *Big C*, *Pohamuj entuzjizm*, *Breaking Bad*, *Modern family*, *Big Bang Theory*, *Rodziny*

*Borgiów i Zakazanego imperium*. Płyty, które oszołomią, jak kiedyś mnie *Ziggy Stardust* Bowiego. Dystansu do samych siebie rodem z czeskich filmów. Pasji i nadziei.

Dostrzegania radości i piękna w najmniejszych skrawkach codzienności. Wina, które

rozwali podniebienie, za rozsądną cenę, czyli żeby tak brunello di montalcino sprzedawali po 30 złotych. Momentów olśnienia, na szczycie góry, na łuku rzeki, w piekarni, gdy schodzi pierwszy chleb, na Marszałkowskiej o świcie, że życie jest jednak, kurde, piękne.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w

„Newsweeku” 2012/51.

## **Nic się nie dzieje**

– No i co tam u was w tej Polsce słychać?

– E, stara bida. Nic się nie dzieje.

– Jak nic? Podobno prawica znowu wyciąga Kwaśniewskiemu, że się upił tu i tam.

– Lewica.

– Co lewica?

– Lewica Kwachowi wyciąga, że się zataczał na grobach pomordowanych

oficerów

w Charkowie.

– Ale przecież on łączy lewicę.

– Zasadniczo tak, chociaż akurat dzieli.

– Aha. Czyli on z Millerem przeciw Palikotowi, który chce go postawić razem

z Millerem przed trybunałem za więzienia CIA.

– W zasadzie tak, ale na odwrót.

– Ale jak? Przecież od Kwaśniewskiego Palikot żądał świadectwa trzeźwości?

– Od Kaczyńskiego. Plotki, że Lech Kaczyński pił za dużo wina, były dowodem na to, że

nie nadaje się na prezydenta kraju. Pił tak nieumiejętnie, że nikt tego nie widział

w miejscach publicznych.

Kwaśniewskiego widzieli, i to było dobre, bo Polak nie kaktus, swojego prezydenta szanować musi.

– Ale Miller nie pije za bardzo. Co mu przeszkadzało wino Kaczora?

– Nie Kaczora. Kwacha. I nie wtedy, tylko teraz. Nie wino, lecz wódka, ale nie pita

teraz, tylko wtedy. Przeszkadza teraz.

– Nie rozumiem.

– No bo dawno cię nad Wisłą nie było. To proste jak strumień ciepłej wody z kranu

Platformy. Jak ci to wytłumaczyć? Co jest zabawniejsze? Żart z gwałcenia przeciwniczki politycznej czy mówienie, że uprawia prostytutkę polityczną?

– No chamówa i żenada w obydwu wypadkach.

– Nie, ja naprawdę z tobą nie mogę. Gdzieś ty mieszkał przez te lata? U Dalajlamy na

szczyt gór? To proste jak wyniesienie futra ze sklepu na Florydzie. OK, to nie był

najlepszy przykład. W każdym razie greps z prostytutką był superśmieszny i demaskował

obłudę. Ten z gwałceniem był chamski i prostacki.

– Aha! Rozumiem. I z zemsty za to, że prof. Magdalenę Środę oburzyły żarty

o prostytutce, to palikotowcy w przebraniu goryli próbowali zerwać jej wykład.

– Zasadniczo tak, chociaż na odwrót:



teksty Palikota o prostytutce politycznej Grażyny Gęsickiej z PiS bardzo się prof. Środzie spodobały.

– Czyli to nie jest niepoprawne?

– O babskach z PiS? Żartujesz?

– A dlaczego palikotowcy przebrali się za goryli, żeby zemścić się na Środzie?

– To narodowcy.

– Co narodowcy?

– No goryle były narodowe. To był odwet za to, że im odwołali debatę na uniwersytecie

organizowaną przez Niezależne  
Zrzeszenie Studentów.

– A dlaczego odwołali?

– No bo wolność słowa nie polega na  
tym, żeby narodowcy debatowali na  
uniwersytecie.

To wręcz zagraża wolności słowa.

– No, ale jak im się zakáže, to chyba nie  
ma co się dziwić, że potem dymią?

– I w ten sposób udowadniają, że nie  
należało pozwolić na tę ich debatę.  
Niech sobie

będą narodowcami, ale takimi jak

Roman Giertych. Niech lubią władzę po narodowemu.

Ale może to służby.

– Co służby?

– Goryle. I ci w Radomiu, co zrywali wykład Michnika.

– Jakie służby, kiedy narodowcy?

– No więc na prawicy nie mogą się zdecydować, czy to ideowa młodzież pod gorylimi

maskami się chowała, czy służby Donka. Serce by chciało widzieć początek rewolucji, ale rozum widzi kolejny

spisek Ryżego.

– Aha. Po tym jak przekabacił na swoją stronę Lisickiego, Wildsteina, Semkę,

Ziemkiewicza i Gmyza i kazał im zwalczać ojca Rydzyka?

– No prawie. Ale to według braci Karnowskich.

– A oni nie razem?

– Znaczą dla Polski i Prawdy teoretycznie razem, ale mają konkurs na niepokorność.

Kto bardziej.

– I kto wygrywa?

– No Karnowscy. Strasznie dużo punktów zbierają za płaczliwość. Na prawicy to cenią.

No i Jarosław teraz chce wprowadzić modę na dzieci, a oni nie dość, że bardziej od

tamtych kochają Jarosława, to tak piszą jak dla dzieci, i to niespecjalnie rozgarniętych.

Więc nikogo nie dyskryminują, elektorat ceni takie gesty.

– No tak. A w dodatku Ziemkiewicz powiedział, że nie weźmie więcej do

ręki gazety

z mamą Madzi na okładce i jej nie zacytuje, a teraz...

– To Żakowski, nie Ziemkiewicz. Ziemkiewicz ogłosił, że nie będzie w aliansach

z Hajdarowiczem. I dwa miesiące nie był. A Żakowski mówił o matce Madzi.

– No, ale teraz na okładce „Polityki” mama Madzi zapowiada tekst o niej w środku

numeru autorstwa Żakowskiego właśnie.

– No i co z tego? Po prostu nie weźmie

tego numeru do rąk i przestanie cytować

„Politykę”.

– A Legia jak?

– Jak zwykle. Uwierzyli, że mają mistrza i przerznęli z Koroną, mimo że prowadzili.

A w pucharach męczyli się z drugoligową Olimpią Grudziądz, do przerwy nawet

przegrywali.

– Czyli po staremu.

– No przecież ci mówiłem, że tu się nic

nie dzieje.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2013/10.



# Na Bayerze

Może nie wyglądam, ale wrażliwy chłopak jestem. Łatwo się wzruszam, więc ronię

łezkę, gdy czytam w wywiadzie z kimś znanym z telewizora, jak to przeszkadza mu

popularność czy, nie daj Boże, sława. Te spojrzenia i komentarze ludzi na ulicy, czasem, o zgrozo, zaczepki, autografów chcą w sklepie. Ani chwili spokoju, architektury nawet pokontemplować nie można ani latte dopić, no dramat. Bo przecież człowiek produkuje się w telewizorze po to, by zyskać doskonałą

anonimowość i święty spokój. Do pracy w bibliotece nie przyjęli, więc trudno, trzeba robić w rozrywce albo niusach.

Wiem, znam i potwierdzam, a oto i moja martyrologia, by państwu za wesoło nie było

na początek wakacji. Zwłaszcza w mniejszych miasteczkach pytają mnie czasem

z wyrzutem, po co reklamuję proszek do prania. Że to nie pasuje do tych moich

strongmanów. Usłyszawszy pretensję po raz pierwszy, zrobiłem dosyć głupią minę

i chwilę mi zajęło, zanim zdałem sobie sprawę, że wzięli mnie za Irka Bieleninika. Nadal biorą. Skoro przy kontrowersyjnej urodzie jesteśmy, to dzięki niej dostąpiłem zaszczytu porównania z samym prof. Jerzym Hausnerem, konkretnie w grupie dyskusyjnej poświęconej najbardziej obleśnym ustom w Polsce. Z niej pochodzi mój ulubiony opis

własnej facjaty: „przesterowane silikony na spalonym naleśniku”. Przypominam go sobie, gdy zaczynam wpadać w nadmierną miłość z wzajemnością do samego siebie.

Kiedy jeszcze miałem długie bujne

włosy (ale już lansowałem się na szkło),  
pisałem

reportaż i zaszedłem do domu ciotki  
jednego z bohaterów, który siedział w  
więzieniu.

Otworzył 10-letni smyk (małe  
miasteczko, ufni ludzie), powiedział, że  
mamy nie ma,

wróci za dwie godziny. Przedstawiłem  
się i poprosiłem o przekazanie  
informacji, że wrócę.

Co uczyniłem. Otworzyła matka, której  
szeroki jak poprawiony brzytwą uśmiech  
zgasł na

mój widok: „Ooo... A syn powiedział, że to pan z »Drogi do gwiazd« przyszedł”. Znaczą

Wodecki. Kiedyś w warszawskiej taksówce pan kierowca intensywnie mi się przyglądał

w lusterku i widać było, że zbiera mi się na klasyczne pytanie: „Czy pan to pan?”. Swoją drogą, zawsze się zastanawiam, jak odpowiadać, no bo jeżeli ja to nie ja, czyli nie ten pan, co ma być mną? Co się okazało w tym wypadku, gdyż szofer w końcu rzucił: „Panie! Ja pana skądś znam. Pan nie jeździł czasem na Bayerze?”. To taka warszawska korporacja

taxi, gwoli wyjaśnienia.

Moja robocza teza brzmi, że jak facet z szeroko rozumianego polskiego szołbiznesu nie

usłyszał o sobie, że jest pedałem, to w ogóle nie jest znany, może nawet własna matka go nie poznaje, myląc z listonoszem. Czyli go nie ma. Więc od kilkunastu lat jestem pedałem.

I tak teraz sobie myślę, że matoł ze mnie, że nigdy tego pedalstwa, kiedym jeszcze

singlem bywałem, nie wykorzystywałem do podrywu dziewcząt na zasadzie: „Może ty potrafisz

mnie sprowadzić na ścieżkę hetero?”.

A skoro przy ciemnej stronie mocy  
jesteśmy, to szliśmy kiedyś Kruczą w  
Warszawie

z kolegą Bartkiem Arłukowiczem,  
wówczas jeszcze nie ministrem, nie  
politykiem, tylko

zwycięzcą programu „Agent”, a przede  
wszystkim świetnym lekarzem i jeszcze  
lepszym

kompanem do chuligańskich zabaw. No i  
tak się złożyło, że obaj mieliśmy  
skórzane

kurtki, ja zieloną, Bartek czerwoną. Z

naprzeciwka szli dwaj młodzieńcy o  
wyglądzie

wówczas bandytów stadionowych, a  
dzisiaj patriotów. Omietli nas wzrokiem,  
splunęli pod nogi, a jeden rzucił:

„Pierdolone geje!”. Co nas z doktorem  
rozłożyło, no bo zderzenie

„pierdolonych” z poprawnościowymi  
„gejami” zamiast zwyczajowych  
„pedałów”, i to

jeszcze wypowiedziane przez tych  
właśnie obywateli, było absolutnie  
rozkoszne, wrrr!

Podobnie jak wizyta w stacji kontroli  
pojazdów, gdy się zorientowałem koło  
siódmej



wieczorem, że mi się właśnie tego dnia kończy ważność badań technicznych.

Wpadłem,

kiedy zamykali. Spodziewałem się jakiegoś: „Czyta! Zamknięte!”, a tu nic.

Prosimy na

kanalik, szanowny panie kierowco, czemu tak późno, ależ nie ma problemu, w końcu to

nasza praca. Leciutkie luzy w kierownicy, pan kierowca obieca, że naprawi, bardzo

prosimy, żeby nie sprawiać zagrożenia na drodze, i klocuszki za jakiś czas przydałoby się wymienić. Oj, tu

pobrudziliśmy troszeczkę, już wycieramy i tak dalej, i tak dalej, no kurde angielski salon dżentelmenów. Coś mi tu nie grało, bo nawet moja TV buźka takich cudów nie robi. Płacę, biorę rachunek, wyczuwam wiszące w powietrzu pytanie. – Tak panowie? – zagaduję. – Ale zobaczymy najpierw? – Co zobaczycie? – No ten film? – Jaki

film? – No, jak robiliśmy przegląd. Panowie byli bowiem przekonani, że nagrywam

program w rodzaju „w ukrytej kamerze” i stąd ten cyrk, dzięki któremu skądinąd znów

miałem ważne badania techniczne.

Sami państwo widzą: takie życie to koszmar.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2013/27.

# Serce zdrajcy

Rian Malan zdradził wszystkich. Wyparł się własnego narodu. Narodu? On sam nie

używa tego słowa. Należy bowiem do wyjątkowej wspólnoty: białego plemienia Afryki.

Urodził się Burem. Afrykanerem. Z własnej woli stał się „kafferboetie” – kochankiem

czarnuchów. Podobni mu odszczepieńcy wyklęli go jako białego rasistę. Milan zdrajca:

plemienny renegat i etnofaszysta. Z tych Malanów.

Przez ostatnie 15 lat apartheidu, podczas niezliczonych murzyńskich demonstracji,

zrewoltowane tłumy skandowały nazwiska ludzi, którzy zasłużyli na śmierć. Minister

obrony RPA miał zapłacić głową w pierwszej kolejności. Reporter Rian czuł się zawsze

trochę niepewnie, gdy tysiące gardeł podejmowały hasło „Voetsek, Malan!” – „wypierdalaj Malan!”, skierowane pod adresem jego krewniaka, generała Magnusa Malana.

Odkąd ich przodek, Jacques, wylądował w 1688 roku na Przylądku Dobrej Nadziei,

Malanowie uczestniczyli we wszystkich dramatach afrykanerskiego plemienia.

Byli

pionierami i dowódcami, zwyciężali i ginęli w wojnach z broniącymi się czarnymi

plemionami i nacierającymi Brytyjczykami.

W maju 1948 roku nadszedł dzień ostatecznego tryumfu białego plemienia:

afrykanerska Partia Narodowa wygrała

niespodziewanie wybory. Nowy premier  
obwieścił

dumnie: „Dzisiaj Afryka Południowa  
ponownie należy do nas!”. Burowie  
zrzucili wreszcie brytyjskie jarzmo i  
mogli po swojemu rozwiązać „kwestię  
tubylczą”: wprowadzili apartheid,  
system totalnej segregacji rasowej. Biali  
i czarni mieli zostać rozdzieleni raz na  
zawsze. Twórcą nowych porządków,  
człowiekiem, którego imię utożsamia się  
z apartheidem, był zwycięski przywódca  
Afrykanerów: doktor Daniel François  
Malan,

stryjeczny dziadek Riana.

– Co chcielibyście ode mnie usłyszeć? –

pyta Rian. – Że apartheid był głupi i wredny?

Dokładnie tak. Że czuję się winny i przepraszam? Tak, tak. Że nie jestem taki, jak cała reszta? Gdybyście spotkali mnie kilka lat temu w barze w Nowym Jorku lub Londynie, właśnie to bym wam powiedział. I dodałbym, że z mojego całego ślepego klanu i plemienia tylko ja miałem oczy, które potrafiły naprawdę widzieć, a to, co ujrzałem, przerażało mnie. Podałbym się za uchodźcę politycznego, oświeconego gościa, które brał do łóżka

czarne kobiety i wolał raczej opuścić swój kraj niż nosić karabin, aby bronić



obrzydliwej doktryny białej wyższości.  
Prawdopodobnie uwierzylibyście mi.  
Sam sobie prawie wierzyłem, ale tak  
naprawdę byłem zawsze jednym z nich.  
Jestem Białym urodzonym

w Afryce i cała reszta z tego wynika.

## **Komunizm, czymkolwiek by był**

Rian urodził się w 1954 roku. System  
zbudowany przez jego stryjecznego  
dziadka

zdażył już okrzepnąć, gdy nasz kilkuletni  
bohater odkrył, że „ofiarowanie  
tubylcom

miłości było świetną inwestycją.

Przyjaźnie potraktowani, po stokroć  
odwzajemniali

uczucie. To, że można ich kochać,  
wydawało się wtedy takie łatwe i  
zwyczajne”.

Kiedy miał 13 lat, zobaczył w gazecie  
zdjęcie Che Guevary. „Zrozumiałem z  
tekstu, że

Che był czymś wstrętnym, co zwało się  
„komunistą”, ale wyglądał tak dziarsko  
na

zdjęciach, ze swoimi długimi czarnymi  
włosami, wojskowymi butami, brodą i  
beretem.

Pomyślałem: rety! Komunizm to coś dla mnie. Dola Indian boliwijskich, którym pomagał

Che, przypominała nieszczęśliwy los Czarnych, więc dodałem dwa do dwóch – i bingo! –

byłem Sprawiedliwym Białym,  
orędownikiem uciskanych,  
zaprzysięgłym wrogiem

rasizmu i płomiennym zwolennikiem komunizmu, czymkolwiek by był”.

Afrykanerska rodzina Riana mieszkała na północnych przedmieściach Johannesburga,

w enklawie zamożnego anglojęzycznego  
mieszczactwa. W całym kraju panował

rasistowski, kalwiński despotyzm, a tych  
kilka dzielnic tworzyło wysepkę  
liberalnych

wartości Zachodu. W „nazistowskim  
obozie młodzieżowym”, jak guevarysta  
Rian określał

państwową szkołę, nauczyciele otwarcie  
krytykowali apartheid i chwalili  
wypracowanie

pełne rewolucyjnego ferworu, w których  
rozprawiał się z imperializmem,  
kolonializmem

i czym tam jeszcze.

Rian i jego koledzy uważali się za prześladowanych: zakaz noszenia długich włosów był

równoznaczny w ich oczach z zamykaniem czarnych w bantustanach, a lekcje

przysposobienia obronnego przypominały torturowanie murzyńskich dysydentów.

Rian widział w sobie dzielnego przeciwnika tyranii, ale jeśli czegoś się bał, to nie policji, a tego, że któryś z kolegów przeliczytuje go w lewicowości i radykalizmie. Mając więc 16

lat, złamał żelazne prawo apartheidu i poszedł do łóżka z czarną kobietą.

„Przez lata

przytaczałem to wydarzenie jako ostateczny dowód mych antyapartheidowskich dobrych

chęci, tryumfu nad afrykanerskim wychowaniem. Prawda jednak była taka, że w głębi

serca czułem się winny”.

Miłość Riana do czarnych przejawiała się głównie w słuchaniu wraz z przyjaciółmi

muzyki amerykańskich Murzynów. Palili

marihuanę, bo uważali ją za źródło  
natchnienia

starych afrykańskich mędrców. Nie znali  
prawie żadnych tubylców poza służbą,  
nigdy nie widzieli żadnego miasta  
czarnych – *townshipu*.

Kochali stworzoną przez siebie  
abstrakcję.

Koniec gimnazjum oznaczał zazwyczaj  
służbę w wojsku. Malan podjął decyzję:  
nie

będzie pomagał trzymać czarnych za  
twarz. „Byłem białym lewicowcem, a  
biali lewicowcy

nie służyli w armii apartheidu, a już na pewno nie w 1975 roku”. Portugalczycy szykowali się właśnie do przyznania niepodległości swoim afrykańskim koloniom: Angoli i Mozambikowi. Wszystko wskazywało na to, że władzę w nowych państwach zdobędą

czarni marksiści, zawzięci wrogowie RPA. Konflikt wisiał w powietrzu. „Gdyby wybuchła

wojna, wiedziałbym, po której stronie chcę walczyć: po przeciwnej”.

## **Robak spotyka kalekę**

Biali lewicowcy szli do anglojęzycznych gazet, które w



granicach zakreślonych przez

cenzurę walczyły z apartheidem i  
załatwiały dwuletnie odroczenie służby  
wojskowej.

W redakcji spełniło się jego największe  
marzenie. Spotkał wreszcie  
„prawdziwych”

czarnych. Od dziesięciu lat był po ich  
stronie, ale znał tylko służących i  
handlarzy trawą.

Mike i Mothobi byli ludźmi takimi jak  
on, młodymi dziennikarzami,  
równorzędnymi

partnerami. Posługiwali się doskonałym

angielskim, patrzyli prosto w oczy,  
mówili mu,

żeby się zamknął albo poprawił  
przyniesiony tekst.

„Godzinami gadaliśmy z Mikiem o  
wszystkim, z wyjątkiem polityki.  
Gdybyśmy o niej

rozmawiali, musiałbym czołgać się u  
jego stóp, błagając o przebaczenie za to,  
co moi

ludzie robili jego ludziom. Zamieniłbym  
się w robaka, a Mike w kalekę, ofiarę”.

Miałem zostać reporterem kryminalnym.  
Jeden z jego policyjnych „kumpli”

wydzwaniał

za każdym razem, gdy zastrzelił jakiegoś Murzyna. Liczył na zdjęcie w gazecie, ukazujące go w pełni chwały, stojącego nad trupem niczym łowca trofeów. „Cóż miałem robić?

Gdybym mu powiedział, że jest spragnionym krwi, pierdolonym barbarzyńcą, nie

odezwałby się więcej. Milczałem więc, a spotykając się z policjantami, unikałem ich

wzroku. Bałem się, by nie dostrzegli w moich oczach, że nie jestem jednym z nich”.

Tymczasem szedł po Mike'a i pili w redakcyjnym bufecie, jedynym miejscu w Johannesburgu, gdzie mogli razem spędzać czas. Żaden czarnuch, nawet jeśli pracował

w czołowej gazecie białych, nie miał prawa wstępu do knajp w ich mieście.

16 czerwca 1976 roku: licealiści z Soweto, największego *townshipu* w RPA, protestowali przeciwko uczynieniu z afrikaans (afrykanerskiego) języka wykładowego. Poleciało kilka kamieni, policja otworzyła ogień. Dwóch uczniów zginęło na miejscu, kilkudziesięciu zostało rannych. W kilkanaście minut od policyjnej salwy

Soweto eksplodowało. Koszmar

prześladujący wszystkich białych  
zmaterializował się. Czarni powstali.

Losy starcia ważyły się przez 36 godzin.  
Zaskoczona policja zdołała się  
pozbierać

i kładąc trupem setki Murzynów,  
zmiążdżyła rebelię w ciągu trzech dni.  
„Po kilku

miesiącach gazety ogłosiły, że sytuacja  
wróciła do normy, ale coś takiego jak  
norma już nie istniało. Krajobraz  
psychiczny Południowej Afryki zmienił  
się. Czarni zobaczyli, że wstrząsnęli  
strukturą białej władzy aż po sam

fundament i nagle zyskali nadzieję.

Odwrócił się bieg historii”.

## **Burowie mogą mieć rację**

Malan nie mógł wtedy przypuszczać, że uwolniona w Soweto siła już nigdy nie zostanie

stłumiona i w konsekwencji – 18 lat później – uczyni prezydentem kraju Nelsona

Mandelę. Czuł ją wyraźnie, a jednak nie było w nim – „kochanku czarnuchów” – radości.

„Tak wiele rzeczy umarło w ciągu tych

trzech krwawych dni, ale w swym  
egoizmie

najsilniej opłakiwałem śmierć fantazji –  
mojego marzenia, w którym jako Biały

Sprawiedliwy prowadzę zastępy  
Czarnych na barykady. W oczach  
czerwcowych tłumów

zobaczyłem tylko ślepa furję i nihilizm;  
bałem się, że i ja mógłbym paść ich  
ofiara”.

Kilka dni po stłumieniu rewolty  
zadzwoił do Riana jego policyjny  
„kolega”:

„Przyjeżdżaj szybko. Jeden czarnuch

wpadł w szal, krzyczy: Afryka! Afryka! i siekierą

odrabuje Białym głowy”. Kiedy Malan dojechał na miejsce, Murzyn był już w rękach

policjantów, a na chodnikach leżały trupy białych starców, którzy nie potrafili

wystarczająco szybko uciekać.

„No cóż, tak to właśnie jest, pomyślałem. Jeśli twoja skóra była biała i los zrządził, że znalazłeś się na drodze tego Czarnego z siekierą, to wszystkie dobre rzeczy, jakie powiedziałeś, pomyślałeś i zrobiłeś, nie



ocaliłyby cię. My albo oni. To jest pierwotne i odwieczne”.

Wieczorem tego samego dnia Malan pojechał, jak zwykle, do swych czarnych przyjaciół,

by z pomocą whisky odpędzać zżerające go wątpliwości. „Tej nocy powietrze wokół

naszego stołu było gęste od myśli niewypowiedzianych i niemożliwych do wypowiedzenia.

Nie mogłem po prostu powiedzieć: Słuchajcie, bracia, pod wpływem dzisiejszych wydarzeń przyszło mi do głowy, że Burowie mogą mieć rację –

jeśli nie będziemy was, Czarnych, trzymać mocno pod butem, to wszyscy chwycicie za siekiery i rzucicie się na nas, rycząc: Afryka! Afryka! Oni także skrywali swoje uczucia. Jak mogli nie utożsamiać się z krwawym mścicielem? Nawet ja, Biały, wyczuwałem tę furję, która kazała mi wbijać

siekierę w białe czaszki. Czy ja naprawdę byłem po ich stronie? Czy oni byli po mojej?”.

W ciągu kolejnych tygodni i miesięcy często myślał o jednym białym cywilu, który

zginął w rozruchach. Doktor Melville Edelstein był socjologiem, liberałem,

autorem

książek, w których otwarcie podzielał punkt widzenia czarnych i ostrzegał przed

nadciągającą burzą. Rankiem 16 czerwca prowadził badania w klinice w Soweto. Gdy

wybuchły zamieszki, policja radziła wszystkim białym opuszczenie *townshipu*, ale Edelstein pozostał. Nie bał się; wiedział przecież, po czyjej jest stronie. Kiedy nadszedł

tłum, wyszedł, by go pozdrowić, i czarni bracia skopali doktora na śmierć.

Odwieczne: my albo oni, czy właśnie tak to wygląda? – gryzł się Malan. Kładł się teraz do łóżka z pistoletem u boku, myśląc o chwili, kiedy obudzi się z któregoś ze swych nocnych koszmarów i okaże się, że to jawa, nie sen; rozpoczęła się apokalipsa.

W pierwszych miesiącach 1977 roku coraz rzadziej zasypiał przed świtem, ale nie tylko

lęk przed czyhającymi zmorami odpędzał sen. Od 18. roku życia wykręcał się od służby

wojskowej. Teraz miał 22 lata, nieodwołalne wezwanie na czerwiec do jednostki piechoty i dylemat do

rozwiązania: pójść do apartheidowskiej armii czy opuścić Południową Afrykę na zawsze.

## **Kolacja za 30 srebrników**

„Nie dałeś nic swemu krajowi. Brałeś tylko, a teraz uciekasz” – powiedział jego

afrykanerski ojciec, gdy żegnali się na lotnisku.

Dlaczego uciekł? Przed wojskiem i więzieniem? Nie to było najważniejsze. Uciekał przed paradoksem.

W Soweto zobaczył rozszalałe barbarzyństwo. Co z tego, że jak każdy

biały liberał

potrafił wytłumaczyć czarną  
przestępczość dyskryminacją  
apartheidu? Cóż z tego, że

słyszał o mordach rytualnych  
wyznawców voodoo? Teraz na własne  
oczy oglądał

zmasakrowane zwłoki 10-letniego  
dziecka, któremu zabójcy odcięli palce i  
genitalia,

wydłubali wątrobę, serce i oczy,  
potrzebne jakiemuś czarownikowi do  
przyrządzenia

wywaru. „– No i jak ci się to podoba? –

rechotali afrykanerscy policjanci. – Tak właśnie zachowują się twoi czarni przyjaciele”.

I tak każdego dnia. Opuszczając Soweto, zawsze odczuwał ulgę. Gdy był już

z powrotem w swoim białym Johannesburgu, strach nagle zniknął i pojawiał się wstyd, że

tak łatwo uległ irracjonalnym, rasistowskim urojeniom.

„A potem wracałem do Soweto i strach ponownie chwycił mnie za gardło, nie odstępując

ani na chwilę. Zabijało mnie poczucie

winy i chciałem przelewać krew za  
mych cierpiących czarnych braci, a parę  
chwil później wzdrygałem się z  
przerażenia, widząc dzikie  
okrucieństwo, którego się dopuszczali, i  
barbarzyństwo, drzemiące w ich  
sercach.

Kochałem Czarnych, a mimo to się ich  
bałem. Bałem się ich, a mimo to ich  
kochałem.

To mój paradoks. Nienawidziłem  
Afrykanerów i kochałem Czarnych.  
Byłem Afrykanerem

i bałem się Czarnych. Dlatego  
uciekłem”.



Przyrzekł sobie, że nie poprosi o azyl polityczny, by nie przysparzać więcej wstydu i tak już cierpiącemu afrykanerskiemu ojcu. Wymykał się więc służbom imigracyjnym kolejnych państw, by w końcu wylądować w USA. Spał na dworcach, zmywał gary, nosił

worki, zbierał kukurydzę, sprzedawał krew. W Los Angeles pisywał recenzje

rock'n'rollowe pod pseudonimem. Jakim? „Nelson Mandela”.

Na początku lat 80. nowe władze RPA zaczęły liberalizować apartheid, aby ubiec

nadciągającą rewolucję, a czarni

zareagowali wręcz podręcznikowo: *townships* ogarnęła rebelia. Południowa Afryka stała się modnym tematem w USA. Wystarczyło być „stamtąd”, żeby wzbudzić zainteresowanie, otrzymać propozycję napisania artykułu bądź

podzielić się przemyśleniami na proszonym obiedzie. Goście mieli oczywiście utwierdzać gospodarzy w ich wyobrażeniach o odległym kraju, gdzie wszystko jest proste, gdzie karykaturalni biali łajdacy pastwią się nad niewinnymi czarnymi ofiarami.

„Miałem ich pozbawiać złudzeń?  
Tłumaczyć nieprzetłumaczalne ludziom,  
którzy nie

widzieli *townshipu* na oczy? To nie była kwestia polityki, lecz odwiecznych tajemnic Afryki i rasy, niezwykłych sił, które sprawiały, że kładłem się do łóżka z pistoletem przy głowie i za sprawą których uciekłem z kraju. Gdybym to właśnie powiedział moim gospodarzom, uznaliby mnie za psychopatycznego rasistę. Karmiłem ich więc łatwymi

kawałkami o dziewczynkach wyrzuconych ze szkoły za podejrzenie kręjące się włosy. Oni

kiwali głowami pełni zrozumienia, a ja liczyłem swoje 30 srebrników”.

Przez osiem lat ucieczki zdążył się całkowicie wyleczyć z lewicowości, ba

– wedle

standardów amerykańskich stał się prawdziwym neokonserwatystą, heroldem nowej

prawicy, ale nie wyrwał się ze szponów paradoksu. W ojczyźnie nadal groziło mu

więzienie, ale po cichu liczył na postęp reform. Zresztą i to było nieważne. Musiał wrócić.

## **Co się stało z Davidem?**

*Townshipy* znów płonęły, dziennik telewizyjny przypominał meldunki z frontu, ale Malan zamknął się w

archiwum. Szukał korzeni szaleństwa, które toczyło jego kraj. Na pożółkłych stronicach znalazł historię swego przodka: „przeznaczenie narodu ucieleśnione w losie pojedynczego człowieka”.

Kapsztad, rok 1788. 38-letni David Malan był znamienitym i zamożnym obywatelem,

przykładnym mężem i ojcem czwórki dzieci. Kiedy należąca do sąsiada niewolnica Sara

urodziła chłopca, Mulata, okazało się, że ojcem jest David. Podobne wypadki nie należały do rzadkości. Ten również spowodowałby jedynie drobny

skandalik, ale dalsze postępowanie Davida rozpętało piekło. Porwał dziewczynę i razem uciekli na północ.

Musiał wiedzieć, że przekreśla całe swoje życie.

Ślady kochanków urywały się w miejscu, gdzie kończył się świat białych i zaczynało

Nieznane, tam gdzie biali pionierzy toczyli nieustanne wojny z czarnymi plemionami. Nie sięgała tu władza Kapsztadu, za to obowiązywały co surowsze reguły Starego Testamentu; przede wszystkim zasada „życie za życie”.

Tymczasem Anglicy, którzy w 1795 roku odbili Kapsztad z rąk Holendrów, próbowali

rozciągnąć swą władzę i prawa na tereny pogranicza. Idee, w myśl których biały mógł być niepokojony za zabójstwo czarnego, a nawet za głupią chłostę, wydała się Burom obrzydliwa i nienawistna. W 1813 roku wznieśli pierwszą antybrytyjską rebelię. Bronili boskiego porządku, zgodnie z którym byli panami życia i śmierci czarnych.

I właśnie wtedy, po 25 latach, kroniki ponownie wspominają Davida Malana. Stał na

czele białych dzikusów ogarniętych

rasową nienawiścią. Człowiek, który wyrzekł się

wszystkiego dla miłości czarnej kobiety, był teraz gotów raczej umrzeć niż przystać na równość czarnych.

Dokumenty wymieniają jego nową białą żonę, a milczą o losie Sary.

Rian na próżno próbował dociec, co się działo z jego przodkiem przez 25 lat i co odmieniło serce Davida. „Wiem tyle, że jego przemiana oddawała przemianę całego plemienia; w izolacji w zetknięciu z żywiołami Afryki Burowie stali się Afrykanerami, białym

plemieniem Afryki: butnym, ksenofobicznym i »pełnym krwi«, jak o



tyranach mówią

Zulusi”.

Zaczęli określać się mianem  
„Dopperów” – od nazwy pokrywek,  
którymi gasili świece –

gdyż z rozmysłem tępili wszelkie  
przebłyski Oświecenia. Pragnęli  
pozostać w ciemności.

**Mimo wszystko pozostaniesz  
białaską...**

**Mimo wszystko pozostaniesz  
białaską...**

Rian z trudem poznawał Południową

Afrykę po ośmiu latach. Gazety w swych  
atakach

na apartheid i rząd dystansowały „New  
York Timesa”. Krytycy sztuki  
usprawiedliwiali

się, że spodobały im się rzeźby,  
pozbawione wyraźnie  
antyapartheidowskiego przesłania.

Największe teatry wystawiały  
zaangażowane sztuki czarnych  
dysydentów, a tłumy

białych widzów wpadały w tym większą  
ekstazę, im bardziej obraźliwe obelgi  
spadały na

ich głowy. „Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać”. Nagle zaroilo się od zaprzysięgłych liberałów, którzy zawsze kochali czarnych i opierali się tyranii.

Twardzi rasistowscy Burowie nie zniknęli. Łączyli nawet swe siły, wietrząc szykującą

się „zdradę”, ale oni istnieli zawsze. Teraz jednak nawet jego afrykanerski ojciec wzdychał

nad głupotą wywieszek „tylko dla białych”. Tacy jak on wierzyli w swoją Partię

Narodową, która przeprowadzi RPA ku świetlanej przyszłości, zwłaszcza kiedy

na jej

czele stanął Frederik de Klerk.

Liberałowie rzucali się w objęcia ludzi Mandeli, snując wizje wspólnej rewolucji. Chcieli zapomnieć o swoim kolorze skóry. W kraju toczyła się walka polityczna i cóż w jej kontekście znaczyło to, że byli biali? Nic – odpowiadali sobie. Wszystko – twierdził Malan.

Któregoś dnia Rian wraz z grupką zagranicznych dziennikarzy oglądał pochód

Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC). Czarnym demonstrantom

podrygującym

w rytualnym tańcu wojowników  
próbowała dotrzymać kroku biała  
studentka. „– Och

dziecinko” – zachichotał korespondent  
sieci CBS – „kiedy przyjdzie co do  
czego, mimo

wszystko pozostaniesz białaską”. Malan  
również parsknął śmiechem,  
wyobrażając sobie,

jak amerykańska telewizja zapowiada  
materiał jego kolegi: „W Południowej  
Afryce

niektórzy Biali są wystarczająco głupi,

by wierzyć w prawa człowieka oraz  
demokrację

i myśleć, że uda im się przejść na drugą  
stronę wojny rasowej. Oto relacja  
naszego

wysłannika”.

Gorzkie żarty, ale kiedy townships  
ogarniała gorączka, próżno by w nich  
szukać choćby

jednego białego lewicowca. Bali się jak  
każdy przesiąknięty rasizmem białas.  
Malan nie mógł powstrzymać się od  
pytania: „Jak chcecie walczyć z  
apartheidem i budować sprawiedliwe  
społeczeństwo, jeśli ludzie, dla których

to czynicie, ukamienują was tylko dlatego, że macie białą skórę?”.

## **Próba klęski**

Tuż przed kwietniowymi wyborami 1994 roku, w których po raz pierwszy w historii

RPA uczestniczyli Murzyni, Malan przyglądał się pochodowi czarnych. Skandowali:

„Jeden osadnik, jedna kula!”. Osadnik, czyli biały. „Patrzyłem w oczy tych ludzi

i starałem postawić się w ich sytuacji. Biali koloniści zabrali większość ziem ich

pradziadów. Ich rodzice służyli ludziom takim jak ja. Oni sami wyrosli w skleconych

z blachy chatkach, w bagnisku frustracji i nędzy. Spędzili lata, rzucając kamienie

i koktajle Mołotowa w imię wyzwolenia. Teraz było ono w zasięgu ręki, ale kształty, jakie przybierało, wcale im się nie podobały. Nowe coraz bardziej przypominało stare, a Mandela godził się nie ruszać ziemi, pieniędzy i posad białasów.

Więc zgoda: byli gniewni, sfrustrowani i wykiwani przez okoliczności, ale mnie, mówiąc szczerze, już to nie obchodziło. Z każdym mordem popełnionym przez



zbirów w koszulkach ANC, z każdą  
płonącą oponą na szyi  
»sprzedawczyka«, traciłem zdolność

postrzegania Czarnych jako ofiar.  
Wyobrażałem sobie najgłośniejszego  
krzykacza i po

prostu myślałem: do diabła z tobą. I nie  
nazywaj mnie osadnikiem. Kiedy moi  
przodkowie przybyli do Kraju  
Przyłądkowego w 1688 roku, twoi byli  
800 kilometrów stąd, gdzieś w głębi  
dzisiejszej Namibii. Mam większe  
prawo, żeby być tutaj, i jeśli nie  
potrafisz się zachować, zabiję cię.  
Wezmę splotkę, dołączę do jakiejś  
milicji i wpakuję ci kulę prosto w

mózg”.

Nie, Malan nie poszedł w ślady swych socjalistycznych przyjaciół z lat młodości i nie

zmienił się w zwolennika idei „Volkstaatu” – państwa tylko dla białych, wykrojonego

z dzisiejszej RPA.

W Południowej Afryce ukaże się wkrótce przejmujący album o Crossroads – słynnych

murzyńskich slumsach pod Kapsztadem, których mieszkańcy odznaczyli się wyjątkowym

uporem. Rządowe buldożery równały z ziemią ich chatynki, oni sami wywożeni byli do

odległych bantustanów, ale po każdej pacyfikacji powracali na piaszczyste pustkowia

i Crossroads się odradzało. To właśnie tu w 1985 roku policja po raz pierwszy napotkała zorganizowany opór młodych czarnych bojowników. Tragiczną epopeję Crossroads przypomina obszerny tekst zamieszczony w albumie. Jego autorem jest Rian Malan.

Wciąż się miota, ale pamięta, co usłyszał od pewnej kobiety.

Creina Alcock i jej mąż Neil poświęcili swój biały świat, by żyć z czarnymi na ich

warunkach i pomagać im swą wiedzą. Gdy po dwudziestu latach w buszu spłonęła ich

chata wraz z całym dobytkiem, mieszkańcy wioski, a nawet nieznajomi z dalszych stron,

ofiarowali pomoc na miarę swych nędznych możliwości. Ten dzień przekonał Neila, że nie myli się w swej miłości do czarnych. Był bowiem chory na białaczkę i by przeżyć jeszcze choć pięć lat, powinien był wrócić do cywilizacji. Ale został.

Nie umarł na raka. Kilka miesięcy później został zamordowany przez swoich czarnych

braci, gdy próbował pogodzić zwaśnione klany. Owdowiałą Creinę okradli jej

wychowankowie, wreszcie otrzymała śmiertelne groźby. Czowała się kompletnie zdradzona.

Gdy jakiś czas później Malan słuchał jej historii, myślał o swoim przodku Dawidzie: czy właśnie to go spotkało? Może miał rację, on i pozostali pionierzy, gdy świadomie dokonywali aktu samooślepienia: jeśli kochasz, to wystawiasz się na ciosy; jeśli

wystawiasz się na ciosy, to okazujesz się słaby; a jeśli w Afryce okazujesz się słaby, to jesteś rolowany, jeszcze raz rolowany, i jeszcze raz, aż nie będziesz w stanie dłużej tego znieść.

Ale Creina powiedziała mu coś innego.

„Miłość nie jest nic warta, póki nie zostanie poddana próbie własnej klęski.

Miłość jest po to, by umożliwić ci wzniesienie się ponad klęskę.

Aby żyć gdziekolwiek na świecie, musisz wiedzieć, jak żyć w Afryce.

Jedyne, co możesz czynić, to kochać, ponieważ tylko miłość pozostawia

światło w twoim

wnętrzu, zamiast kompletnej,  
wszechogarniającej ciemności”.

Ładna puenta, ale może być i inna. Kilka  
miesiący temu przyjaciółka Malana  
obudziła

się w środku nocy i zobaczyła nad sobą  
czarnego z siekierą w dłoniach. Intruz  
żądał

wyjaśnień, dlaczego biała kobieta  
zawiesiła na ścianie portret Mandeli. „–  
Lubisz tego człowieka? – Tak” –  
odparła. „– A ja go nienawidzę.  
Nienawidzę” – syknął nocny gość.

Uważał noblistę za sługusa białych.  
Spędził kilka godzin, tłumacząc  
kobiecie, dlaczego z powodu historii  
oraz ideologii jest to konieczne – i  
wtedy ją zgwałcił.

Następnego dnia zdjęła Nelsona  
Mandelę ze ściany.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w  
„Polityce” 1995/1.



# Pierwsze

To trochę głupie, że nic nie pamiętam ze swojego początku życia. Co było pierwsze?

Jadę w parku na rowerku, który tata utrzymuje kijem wetkniętym z tyłu. Ale nie, to

przecież scena z jedyne go filmu z mojego dzieciństwa.

Patrzę na 11-miesięcznego syna, jak rozanielony popluwa chrupkami po dywanie,

chichocząc nieprzytomnie, i myślę, że to

nie fair, że nic z tego nie zapamięta, z tego szczęścia w stanie czystym i nieskalanym. Dobrze kilka lat wyrwane z życiorysu, no naprawdę! Nie skarżę się, bo sam mam z jego początku życia całą górę radości, ale to

jednak trochę głupie, kiedy myślę sobie, że nic, ale to nic nie pamiętam ze swojego

początku życia.

Co było pierwsze? Co pamiętam? Jadę w parku na rowerku, który tata utrzymuje kijem

wetkniętym z tyłu, żeby się nie wywalił, pewnie dopiero co zdjął małe,

utrzymujące

równowagę kółka. Ale nie, to przecież scena z jedyne go filmu z mojego dzieciństwa, który tata nakręcił na taśmie. Gdzieś tam w głowie dopowiedziałem sobie, że to pamiętam.

Więc co było pierwsze? No chyba niestety to, jak się zorientowałem w przedszkolu, że

nie ma Świętego Mikołaja. Bo wprawdzie miał wielką siwą brodę, czerwony strój, ale

zdradziły go mokasyny. Konkretnie: charakterystyczne mokasyny mojego taty.

Ciekawe, co by na to powiedział psychoterapeuta z jakiegoś filmu Woody'ego Allena, że

pierwsze, co w życiu zapamiętałem, to bolesne rozczarowanie. Jak to mawiał na studiach nieco pretensjonalny kolega po ostrym przedawkowaniu Joy Division: człowiek rodzi się doskonały, a potem zaczyna się proces rozpadu. Czy jakoś równie pogodnie.

W sumie pierwszy dzień w podstawówce też porażka, bo gdy pani zapytała, kto potrafi

przeczytać napis na ścianie, nie zgłosiłem się, mimo że potrafiłem czytać, bo po prostu nie wiedziałem, jak

się trzeba zgłaszać. W przedszkolu podnosiliśmy rękę z jednym wysuniętym palcem, a tu? Wstydzilem się eksperymentu. Okazało się, że wystarczy

drugi, ale wpadł na to ktoś inny. Napis odczytał, mnie pogrążył we frustracji i zazdrości.

Mam nadzieję, że miał tragiczne życie, pełne bólu i cierpienia.

Pierwszy papieros? Na obozie sportowym, gdzieśby indziej, piąta klasa podstawówki.

Ekstra mocny, zdaje się. Duża ekscytacja i jeszcze większy syf w ustach. Co nie

przeszkodziło parę lat później oddać się tej rozrywce na kolejne 27 lat. Ale to już jest czas ekscytujących pierwszych razów. Paru przez powściągliwość nie wspomnę, ale im człowiek starszy, tym bardziej zdaje sobie sprawę, że mało co tak smakuje. I nie o seks tylko chodzi.

Pierwszy raz, gdy ktoś na ulicy zwraca się do mnie, jeszcze nastolatka, per „proszę

pana”. Najpierw niedowierzanie, a potem, ho, ho, ho, jakby zadowolenie. Co dzisiaj,

w czasach, kiedy nawet ludzie stojący nad grobem chcą, żeby mówić do nich po imieniu

i najlepiej w zdrobnieniu, wydawać się może ekscentrycznym doznaniem.

Pierwsze zarobione pieniądze. W moim przypadku w liceum, myciem szyb.

Pierwszy

krawat założony na egzamin do liceum.

No z tym to akurat delikatna sprawa, bo przez

resztę życia zakładałem zwis męski ozdobny pewnie ze dwa razy do roku, ale tego

wiosennego ranka 1983 roku duma była wielka.

Moment, gdy zobaczyłem na

Uniwersytecie Warszawskim swoje  
nazwisko na liście

przyjętych na historię. Ten pierwszy  
dzień wolności, poczucie, że oto  
skończyła się

szkółka, zaczyna prawdziwe życie.

Dobrze mi w tym momencie życia, w  
którym jestem. Nie cofnąłbym się, nie

przyspieszał. Wszystko powinno  
podążać swoim tempem w tym  
najdoskonalszym ze

światów, ale z niejaką tkliwością myślę  
o tym czasie, gdy ma się jeszcze przed  
sobą



dziesiątki dróg i tak naprawdę, mając świadomość wszystkich ograniczeń, uwarunkowań

zewnątrznych, to od nas zależy, którą podążymy, nie wiedząc, co nas czeka.

Już nie

dzieci swoich rodziców, jeszcze nieobciążeni własnymi rodzinami, zobowiązaniami,

wszystko, co musimy zrobić, to decydować, czy ruszamy w lewo, czy w prawo, a co dalej, to, hej, przygodo! I sami nie wiemy, kiedy i jak z tej plątaniny dróg i ścieżek robi się jedna porządna i solidna asfaltówka. I dopiero wtedy doceniamy te wszystkie pierwsze

razy.

Tekst po raz pierwszy ukazał się w „Newsweeku” 2013/5.

## **Podziękowania**

Ta książka nie ukazałaby się bez pomocy, albo przynajmniej życzliwej postawy paru

osób.

A więc: kłaniam się nisko Janowi Bijakowi, naczelnemu „Polityki” w 1992, który dał się namówić i wysłał mnie na pierwszą wojenną wyprawę do Karabachu.

Jego sukcesor Jerzy Baczyński, naczelny „Polityki” po dziś dzień, dał mi szansę na wiele kolejnych wyjazdów. I wyrzucił mnie z pracy tylko raz, co, biorąc po uwagę moje przeróżne wyskoki, uznaję za pewną powściągliwość.

W eskapadach pomagał mi Marek Ostrowski, szef działu zagranicznego „Polityki”.

Myślę, że gdybym miał takiego podwładnego jak on mnie, tak niecierpiącego redagowania

cudzych tekstów, co należało do moich obowiązków, to bym oszalał i zabił, a Marek

pomagał.

Poprzednikiem Marka był Krzysztof Mroziewicz. Kiedy mu opowiadałem, jak bez sensu

wdałem się w chojrackie bieganie pod ostrzałem snajperów w Osetii Południowej,

skomentował: „To nie było bez sensu. Prawdziwy reporter musi mieć takie graniczne

doświadczenie”. Jak we *Wniebowziętych*: „Człowiek musi sobie od czasu do czasu polatać”.

Nigdy się nie odwdzięczę mojej

szefowej w dziale społecznym „Polityki” Ewie Wilk i jej mężowi, redaktorowi prowadzącemu „Polityki” Leszkowi Będkowskiemu. Byliście, jesteście i zawsze będziecie dla mnie szlachetnym przykładem odchodzącego w przeszłość fachu o nazwie „dziennikarstwo”. No i fajnie się siedzi w Waszym ogródku.

Dzięki Tomek Lis, że dałeś mi drugie dziennikarskie życie namawiając do pisania

felietonów najpierw dla „Wprost”, a później dla „Newsweeka”.

Marcin Kydryński – dzięki, żeś 20 lat temu wyciągnął mnie do Afryki.

Pamiętam, jak

nie mogłem się zdecydować,  
siedzieliśmy w Twoim mieszkaniu na  
Powiślu i powiedziałeś

mniej więcej tak: „OK, siedź w  
Warszawie, imprezuj, a któregoś dnia  
pomyśl, że jadę

wolny jak ptak przez Saharę. I wtedy  
pożałuj”. To się nazywa siła  
przekonywania.

Miesiąc później siedzieliśmy w  
samolocie, a bakcyl włóczęgi już nigdy  
nie zamarł.

Paweł Szwed, szef wydawnictwa, w

którym ukazuje się ta książka. Gdybyśmy parę lat

temu nie spotkali się na Krakowskim Przedmieściu po latach niewidzenia, dwaj dawni

koledzy z podziemnego NZS-u, gdybyś nie zaproponował napisania książki, która stała się *Gaumardżos! Opowieści z Gruzji*, to pewnie dzisiaj nie byłoby *Między wariatami*.

Paweł Bravo, przede wszystkim za wszystkie grappy, pinot nero i śmierdzące sery,

które mi przywozisz, ale także za to, że od lat czytasz różne moje teksty,

ocenisz

i radzisz, jak je poprawić. A w przypadku *Między wariatami* dokonałeś pierwszej selekcji tekstów i ich układu. Więc dzięki za brnięcie przez setki stron i mam nadzieję, że się godnie odpłacam butelkami saperawi.

Inspiracją do napisanych latem 2013 gawęd dygresyjnych o dziennikarskim życiu od

kuchni były zajęcia ze studentami Polskiej Szkoły Reportażu i ich pytania. Dzięki

i powodzenia w spełnianiu dziennikarskich marzeń! A Julii Jonek



dziękuję za dwukrotne

prowadzenie tych zajęć i podsuwanie niespodziewanych tropów.

## **Między wariatami**

### **Spis treści**

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Co to za książka?](#)

[I IDZIEMY NAPRZÓD, NIE  
COFNIEMY SIĘ](#)

[Do ostatniej kropli krwi](#)

Krajina wojny i rock'n'rolla

Knin sestro, Knin

Żyją ludzie prawosławni

Czarne dni

Jest dobrze

Z Bogiem, Serbio

Cudza wojna

Delegacja

Wojna Ducha Świętego

Alicja z krainy czarów

Granica na Nilu

Czyszczenie Ugandy ze Zła

Seks zakazany

Śmieszne pytania o zabijanie

Obcięte ręce, obcięte wargi

Pod osłoną buszu

Nie baw się z żołnierzami

Dola donosiciela

Duch znika i wraca

Dzieci i helikoptery

Memoriał w buszu

U Ducha na zapleczu

Czarne słońce

Spokój i cisza, czyli wojna

Ucieczka dyrektora

Czyje to ziemie

Banyarwanda, czyli kto?

Hutu chcą władzy

Baza sępów

Rozśpiewani żołnierze

Śmierć za śmierć

Nikt nie chce Tutsi

Kto jest silnym człowiekiem?

Porwana Czeczenia

Samuraje, Pigmeje i kowboje

II DOBRZY BOGOWIE

Kąpiąc Gucia

Rozbrajacz południa

Arhentina

Synowie Edmunda

Dlaczego nie zostałem oceanografem

III W KRAINIE CZARÓW

Charakter

Sprawa do załatwienia

Mazurskie wstęgi dróg

Toaletowa metamorfoza?

Polskie piekło dla nosa

Złapać defekanta

Szkolenie saperskie

Kto nie stoi, ten siedzi

Kultura fizyczna

Dobra materialne i wartości rodzinne

Bezpieczeństwo i higiena pracy

Etyka zawodowa

Na straży prawa

Wybierz przyszłość

Obrazki barowe

Bary młodego kapitalizmu

Postęp w nożach

Żywot Polaka smakosza

Kromka życia w zaparte

Dialogi nad naleśnikami

Fragmentaryczny PS 2013 czyli czasy  
się zmieniają

Szlafroki na placu Defilad

Warszawa bez białych niedźwiedzi

Oto Zachód

Świat odrażająco nudny

Werbunków nie przeprowadzać

Autobusy od Rokossowskiego



Co młodzież ma śpiewać

Pstro!

Zetempowcy i bikiniarze

Trafiła mi się amerykańska komunistka

Lenin na baterie

Wrogie napisy

Właściwe oblicze

Jesteśmy mali, ale czerwoni

Okupanta poproszę

Śpiewały wszystkie internaty

Do kryminału też kolejka

Zlikwidować bałwana

Klawisz sprowokowany

Ostatni gasi światło

IV ADRENALINA W DOMU  
WARIATÓW

Mury, zasieki, zapory

Przyjechała planeta małą

Zero agresji u policjanta

Na Szweda, Legio, marsz

Najdłuższa balanga

Sekretne życie małp

Daleka droga do Kurdystanu

Nie dzieje się nic

Droga do Hakkâri

Odwrót do Van

Wzgardzona miłość Dogana

Jak być Kurdem

Wallenrod z Partii Cnoty

Wróg ze Wschodu

Ten nasz koleżka

Irańczyk z Iranką na próbę

Fruwający meczet

Feministki w kraju agresywnego  
machismo

Adrenalina w domu wariatów

Dziewczyny Szahrama

Nieemożliwe w Omorate

Czy są dziewice w waszych stronach?

Biała histeria

Mężczyzna po byku

Waga za kratą

Taka karma, czyli nieco niemoralna  
opowiadka z sympatyczną puentą i  
całkiem

budującym morałem

V SERCE ZDRAJCY

Jak być patriotą? Pogadanka

Bagnet wyprowadzić

Kiedy chciałbym wystrzelić w kosmos

Czosnek spod pachy

Za mundurem chłopcy sznurem

Ale beze mnie

Polskie jabłka

Pozywanka

Jak dogodzić kobiecie?

Nieistotne

Pod pomnikiem z Mazurkiem

Zgoda, że niezgoda

Odwyk

From Korea with Love

Sen o Warszawie

Nic śmiesznego

Tahrir po polsku

13, 30, 80

Na wycieraczce

Ave, Nergal!

Niepowtarzalny styl

Między Rio i Budapesztem

Nie śmieję się, dziadku

Gry miłosne

Londyn–Warszawa wspólna sprawa!

My, włoska brygada!

Kolaboruję, bo jestem podły

Między nami hitlerowcami

*Hey, hey, USA!*

Mojżesz i matoły

Ani słowa o wojnie!

Wolniej czytać!

Listopadowy spleen

Inteligent kupuje pasztetową



To był rok 2012 (widziany w 2011)

Pakieciki i schizofrenia

Ale ale

Życzenia wesołego ateuszka

Nic się nie dzieje

Na Bayerze

Serce zdrajcy

Komunizm, czymkolwiek by był

Robak spotyka kalekę

Burowie mogą mieć rację

[Kolacja za 30 srebrników](#)

[Co się stało z Davidem?](#)

[Mimo wszystko pozostaniesz białaską...](#)

[Próba klęski](#)

[Pierwsze](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)



Odwiędź  
nas na





Redakcja

*Konrad Nowacki*

Korekta

*Jadwiga Piller*

*Elżbieta Jaroszuk*

Copyright © Marcin Meller, 2013

Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o.,  
Warszawa 2013

Copyright © POLITYKA Sp. z o.o.  
S.K.A. 1996–2013

Copyright © NEWSWEEK

Wydawnictwo dziękuje tygodnikowi  
„Wprost” za udostępnienie tekstów

Wielka Litera Sp. z o.o.

ul. Kosiarzy 37/53

02-953 Warszawa

[www.wielkalitera.pl](http://www.wielkalitera.pl)

ISBN 978-83-64142-16-1

Plik mobi przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)

# Document Outline

- [Karta tytułowa](#)
- [Dedykacja](#)
- [Co to za książka?](#)
- [I IDZIEMY NAPRZÓD, NIE COFNIEMY SIĘ](#)
  - [Do ostatniej kropli krwi](#)
  - [Krajina wojny i rock'n'rolla](#)
    - [Knin siostró, Knin](#)
    - [Żyją ludzie prawosławni](#)
    - [Czarne dni](#)
    - [Jest dobrze](#)
    - [Z Bogiem, Serbio](#)
  - [Cudza wojna](#)
  - [Delegacja](#)

- Wojna Ducha Świętego
  - Alicja z krainy czarów
  - Granica na Nilu
  - Czyszczenie Ugandy ze Zła
  - Seks zakazany
  - Śmieszne pytania o zabijanie
  - Obcięte ręce, obcięte wargi
  - Pod osłoną buszu
  - Nie baw się z żołnierzami
  - Dola donosiciela
  - Duch znika i wraca
  - Dzieci i helikoptery
  - Memoriał w buszu
- U Ducha na zapleczu

- Czarne słońce
- Spokój i cisza, czyli wojna
  - Ucieczka dyrektora
  - Czyje to ziemie
  - Banyarwanda, czyli kto?
  - Hutu chcą władzy
  - Baza sępów
  - Rozśpiewani żołnierze
  - Śmierć za śmierć
  - Nikt nie chce Tutsi
  - Kto jest silnym człowiekiem?
- Porwana Czeczenia
- Samuraje, Pigmeje i kowboje
- II DOBRZY BOGOWIE
  - Kąpiąc Gucia
  - Rozbrajacz południa
  - Arhentina



- Synowie Edmunda
- Dlaczego nie zostałem oceanografem
- III W KRAINIE CZARÓW
  - Charakter
  - Sprawa do załatwienia
    - Mazurskie wstęgi dróg
    - Toaletowa metamorfoza?
    - Polskie piekło dla nosa
    - Złapać defekanta
    - Szkolenie saperskie
  - Kto nie stoi, ten siedzi
    - Kultura fizyczna
    - Dobra materialne i wartości rodzinne
    - Bezpieczeństwo i higiena pracy
    - Etyka zawodowa

- [Na straży prawa](#)
- [Wybierz przyszłość](#)
- [Obrazki barowe](#)
  - [Bary młodego kapitalizmu](#)
  - [Postęp w nożach](#)
  - [Żywot Polaka smakosza](#)
  - [Kromka życia w zaparte](#)
  - [Dialogi nad naleśnikami](#)
  - [Fragmentaryczny PS 2013 czyli czasy się zmieniają](#)
- [Szlafroki na placu Defilad](#)
  - [Warszawa bez białych niedźwiedzi](#)
  - [Oto Zachód](#)
  - [Świat odrażająco nudny](#)
  - [Werbunków nie](#)

przeprowadzać

- Autobusy od Rokossowskiego
- Co młodzież ma śpiewać
- Pstro!
- Zetempowcy i bikiniarze
- Trafiła mi się amerykańska komunistka
- Lenin na baterie
- Wrogie napisy
- Właściwe oblicze
- Jesteśmy mali, ale czerwoni
  - Okupanta poproszę
- Śpiewały wszystkie internaty
  - Do kryminału też kolejka
  - Zlikwidować bałwana
  - Klawisz sprowokowany
  - Ostatni gasi światło

- IV ADRENALINA W DOMU WARIATÓW
  - Mury, zasieki, zapory
  - Przyjechała planeta małp
    - Zero agresji u policjanta
    - Na Szweda, Legio, marsz
    - Najdłuższa balanga
  - Sekretne życie małp
  - Daleka droga do Kurdystanu
    - Nie dzieje się nic
    - Droga do Hakkâri
    - Odwrót do Van
    - Wzgardzona miłość  
Dogana
    - Jak być Kurdem
    - Wallenrod z Partii Cnoty
    - Wróg ze Wschodu
  - Ten nasz koleżka

- Irańczyk z Iranką na próbie
  - Fruwający meczet
  - Feministki w kraju agresywnego machismo
  - Adrenalina w domu wariatów
  - Dziewczyny Szahrama
- Niemożliwe w Omorate
  - Czy są dziewice w waszych stronach?
  - Biała histeria
  - Mężczyzna po byku
  - Waga za kratą
- Taka karma, czyli nieco niemoralna opowiadka z sympatyczną puentą i całkiem budującym morałem
- V SERCE ZDRAJCY

- Jak być patriotą? Pogadanka
- Bagnet wyprowadzić
- Kiedy chciałbym wystrzelić w kosmos
- Czosnek spod pachy
- Za mundurem chłopcy sznurem
- Ale beze mnie
- Polskie jabłka
- Pozywanka
- Jak dogodzić kobiecie?
- Nieistotne
- Pod pomnikiem z Mazurkiem
- Zgoda, że niezgoda
- Odwyk
- From Korea with Love
- Sen o Warszawie
- Nic śmiesznego
- Tahrir po polsku

- [13, 30, 80](#)
- [Na wycieraczce](#)
- [Ave, Nergal!](#)
- [Niepowtarzalny styl](#)
- [Między Rio i Budapesztem](#)
- [Nie śmieję się, dziadku](#)
- [Gry miłosne](#)
- [Londyn–Warszawa wspólna sprawa!](#)
- [My, włoska brygada!](#)
- [Kolaboruję, bo jestem podły](#)
- [Między nami hitlerowcami](#)
- [Hey, hey, USA!](#)
- [Mojżesz i matole](#)
- [Ani słowa o wojnie!](#)
- [Wolniej czytać!](#)
- [Listopadowy spleen](#)
- [Inteligent kupuje pasztetową](#)

- [To był rok 2012](#)
- [Pakieciki i schizofrenia](#)
- [Ale ale](#)
- [Życzenia wesołego ateuszka](#)
- [Nic się nie dzieje](#)
- [Na Bayerze](#)
- [Serce zdrajcy](#)
  - [Komunizm, czymkolwiek by był](#)
  - [Robak spotyka kalekę](#)
  - [Burowie mogą mieć rację](#)
  - [Kolacja za 30 srebrników](#)
  - [Co się stało z Davidem?](#)
  - [Mimo wszystko pozostaniesz białaską...](#)
  - [Próba klęski](#)



- [Pierwsze](#)
- [Podziękowania](#)
- [Spis treści](#)
- [Karta redakcyjna](#)